

RAYMOND KHOURY

SANKTUARIUM

Co łączy dwa pozornie różne incydenty,
które dzielią setki lat historii?



RAYMOND KHOURY

SANKTUARIUM

Co łączy dwa pozornie różne incydenty,
które dzielą setki lat historii?



RAYMOND KHOURY

SANKTUARIUM

Z języka angielskiego przełożył Jacek Mikołajczyk

Tytuł oryginału: THE SANCTUARY

Książkę tę dedykuję moim cudownym córkom - mojemu eliksirowi. Żaden ojciec nie może być bardziej dumny ode mnie.

Kiedy uznany [...] naukowiec twierdzi, że coś jest możliwe, to prawie na pewno ma rację. Kiedy twierdzi, że coś jest niemożliwe, najprawdopodobniej się myli.

ARTHUR C. CLARKE

Tempus edax, homo edacior.

[Czas zżera, lecz człowiek zżera jeszcze bardziej]

PRZYSŁOWIE RZYMSKIE

PROLOG

I

Neapol, listopad 1749 roku

Zgrzyt był ledwie słyszalny, ale mimo to go obudził. Nie był na tyle głośny, żeby wyrwać człowieka z głębokiego snu, on jednak nie spał głęboko już od lat. Przypominało to odgłos metalu ocierającego się o kamień.

Być może to nic takiego. Zwyczajny domowy odgłos. Może jeden ze służących wstał, żeby wcześniej zmierzyć się z dniem.

Być może.

Ale równie dobrze mogło to być coś mniej niewinnego. Jak szpada. Przypadkowo ocierająca się o mur.

„Ktoś tu jest”.

Wstał i zaczął bacznie nasłuchiwać. Przez chwilę panowała całkowita cisza. A potem usłyszał coś jeszcze.

Kroki.

Ktoś skradał się po schodach z bloków wapienia.

Odgłos stąpania ledwie docierał do jego świadomości, ale słyszał go z całą pewnością.

I się zbliżał.

Wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna prowadzącego na niewielki balkon naprzeciw kominka. Odciągnął na bok zasłonę, cicho otworzył drzwi i wyszedł na przejmująco chłodne nocne powietrze. Zbliżała się zima i jego stopy niemal przymarzły do lodowatej kamiennej podłogi. Wychylił się przez balustradę i spojrział w dół. Dziedziniec pałacu spowijały stykso-we ciemności. Skoncentrował wzrok, szukając jakiegoś odbicia, błysku ruchu, ale w dole nikt nie dawał znaku życia. Żadnych koni, żadnych wozów, żadnych lokajów czy służących. Zary-sy domów po drugiej stronie ulicy były ledwie widoczne w oddali, podświetlane przez pierwsze iskierki jutrenki wyglądającej nieśmiało zza Wezuwiusza. Kilka razy zdarzyło mu się obserwować, jak zza góry wstaje słońce, ciągnąc za sobą złowieszczą smugę szarego dymu. Widok był majestatyczny, podniosły i jak niewiele już rzeczy na tym świecie - przynosił mu pociechę.

Tej nocy było jednak inaczej. Czuł, że w powietrzu wisi coś złośliwego, coś dokuczliwego.

Wrócił szybko do środka, założył spodnie i koszulę, nawet nie myśląc o guzikach.

Miał większe zmartwienia. Podbiegł do toaletki i otworzył górną szufladę. Jego palce ledwie zdążyły dotrzeć do rąkojeści sztyletu, kiedy drzwi do komnaty otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wtargnęło trzech mężczyzn. Mieli już wyciągnięte szpady. W szarawej poświacie rzucanej przez stygnące w palenisku węgle zauważył, że mężczyzna w środku trzyma też w ręku pistolet.

Nawet w tym niewyraźnym świetle rozpoznał napastnika. I natychmiast się zorientował, o co mu chodzi.

- Tylko nie rób nic głupiego, Montferrat - warknął herszt zbirów.

Mężczyzna, którego nazwano imieniem markiza de Montferrat, podniósł spokojnie ręce i ostrożnie odsunął się od toaletki. Napastnicy dźwignąwszy groźnie ostrza do jego twarzy, otoczyli go z obu stron.

- Co tutaj robisz? - zapytał ostrożnie.

Raimondo di Sangro schował szpadę do pochwy i położył pistolet na stole. Złapał za krzesło i cisnął je w stronę markiza. Uderzyło o rowek w podłodze i z hukiem przewróciło się na bok.

- Siadaj! - warknął. - Podejrzewam, że zajmie nam to chwilę. Montferrat skupił wzrok na di Sangro, po czym ustawił krzesło i usiadł z wahaniem.

- Czego chcesz?

Di Sangro sięgnął do paleniska i zapalił knot, od którego następnie odpalił lampkę oliwną. Postawił ją na stole, po czym zabrał pistolet i machnął nim pogardliwie w stronę swoich ludzi. Skinęli głowami i wyszli, zamykając za sobą drzwi. Di Sangro przysunął sobie drugie krzesło i usiadł na nim okrakiem, twarzą w twarz ze swoją ofiarą.

- Dobrze wiesz, czego chcę, Montferrat - odpowiedział, groźnie celując w niego pistoletem skałkowym z podwójną lufą. Przyjrzał się markizowi, po czym dodał kwaśno: - I mógł-

byś się wreszcie przedstawić swoim prawdziwym imieniem.

- Prawdziwym imieniem?

- Darujmy sobie te gierki, markizie. - Ostatnie słowo wyrzucił z siebie szyderczym tonem, a na jego twarzy wymalowało się poczucie wyższości. - Sprawdziłem twoje listy. Są podrobione. Okazuje się, że żaden z ochłapów, jakie po przyjeździe tutaj raczyłeś nam rzucić na temat swojej przeszłości, nie ma potwierdzenia w rzeczywistości.

Montferrat wiedział, że jego oskarżyciel ma pełne prawo do zadawania tego rodzaju pytań. Raimondo di Sangro odziedziczył tytuł principe di San Severo - księcia San Severo -

już jako wrażliwy szesnastolatek, po śmierci dwóch braci. Do swoich przyjaciół i wielbicieli zaliczał Karola VII, młodego hiszpańskiego króla Neapolu i Sycylii.

„Jak mogłem tak się pomylić co do tego człowieka? - myślał z rosnącym przerażeniem Montferrat. - Jak mogłem tak się pomylić co do tego miejsca?”.

Po wielu latach udręk i zwątpienia, niecały rok wcześniej porzucił wreszcie swoją mi-sję w krajach Orientu i wrócił do Europy, docierając do Neapolu przez Konstantynopol i Wenecję. Nie zamierzał zostawać w mieście. Planował udać się dalej, do Messyny, skąd z kolei chciał pożeglować do Hiszpanii i być może z powrotem do Portugalii, do domu.

Zatrzymał się przy tej myśli.

„Dom”.

Słowo to znaczyło wiele dla innych, dla niego - prawie nic. Czcze, puste słowo, które upływ czasu boleśnie pozbawił znaczenia.

Neapol pozwolił mu na chwilę przestać myśleć o złożeniu broni. Pod rządami hiszpań-

skich wicekrólów wyrósł na drugie miasto w Europie, po Paryżu. Był również częścią odkrywanej przez niego nowej Europy, innej od tej, którą za sobą zostawił. Była to ziemia, na któ-

rej idee Oświecenia kierowały ludzi ku nowej przyszłości, idee przyjęte i pielęgnowane w Neapolu przez Karola VII, który opowiadał się za dialogiem, nauką i kulturalną debatą. Król za-

łożył Bibliotekę Narodową oraz Muzeum Archeologiczne, w którym zostały umieszczone wydobyte z ziemi szczątki Herkulanum i Pompei, niedawno odkrytych spalonych miast. Co więcej, wrogo odnosił się do inkwizycji, zmory dawnego życia Montferrata. Nieufnie traktował też jezuitów i ostrożnie próbował powstrzymać ich zakusy, zresztą skutecznie i bez prowokowania gniewu papieża.

Markiz powrócił więc do imienia, którego wiele lat wcześniej używał w Wenecji -

Montferrat. Z łatwością wtopił się w tętniące życiem miasto, w rzesze odwiedzających go przybyszów. W Neapolu kilka państw założyło akademie, które miały pomieścić strumień podróźników, przybyłych w celu studiowania nowo odkrytych rzymskich miast. Montferrat wkrótce spotykał się już z uczonymi, zarówno miejscowymi, jak i przybyszami z całej Europy, ludźmi myślącymi podobnie jak on, o otwartych umysłach.

Ludźmi takimi jak Raimondo di Sangro.

Otwarty umysł, w rzeczy samej.

- To wszystko kłamstwa - kontynuował di Sangro, mierząc w Montferrata z pistoletu i wpatrując się w niego z błyskiem bezgranicznej zachłanności w oczach. - W dodatku intrygujące i raczej dziwne jest to, że pewna przemiła starsza dama, hrabina de Czergy, twierdzi, że знаła cię pod tym samym imieniem w Wenecji, Montferrat... Ile lat temu? Trzydzieści? Wię-

cej?

Wypowiedziane przez di Sangro imię przeszło serce fałszywego markiza jak szpada.

„On wie. Nie, nie może wiedzieć. Ale podejrzewa”.

- Oczywiście umysł starej pudernicy nie jest już tym, czym był kiedyś. Ostatecznie czas dokonuje w każdym z nas spustoszeń, prawda? - naciskał di Sangro. - Co do ciebie jednak, twierdziła tak uparcie, tak jasno, tak zdecydowanie i tak niewzruszenie, że w żadnym razie się nie myli... że trudno było puścić mimo uszu sklerotyczne bajdurzenia starej wiedźmy.

Odkryłem poza tym, że po arabsku mówisz jak w ojczystym języku. Że znasz Konstantynopol jak własną kieszeń i że wiele podróżowałaś po krajach Orientu, udając doskonale, jak słysza-

łem, arabskiego szejka. Tak wiele tajemnic wokół jednego człowieka, markizie. To wbrew logice, wprost nie do wiary.

Montferrat w duchu zmarszczył brwi, gromiąc samego siebie za choćby cień myśli, że człowiek ten może być jego bratnią duszą, potencjalnym sprzymierzeńcem. Za testowanie go, wypróbowywanie - potajemne, rzecz jasna.

Tak, całkowicie pomylił się co do tego człowieka. „Ale może - pomyślał - taki już jego los. Może czas wreszcie sobie ulżyć. Wyjawić światu sekret. Może człowiek jest już w stanie poradzić z nim sobie w szlachetny i wielkoduszny sposób”.

Di Sangro utkwiał w nim wzrok, wpatrując się w każde drgnienie mięśni twarzy markiza.

- Daj już spokój. Musiałem zerwać się z łóżka o tej bezbożnej porze, żeby usłyszeć twoją historię, markizie - rzekł wyniośle. - Zresztą mówiąc szczerze, nie bardzo mnie obchodzi, kim tak naprawdę jesteś i skąd pochodzisz. Chcę tylko poznać twoją tajemnicę.

Montferrat podchwycił hardo wzrok swojego inkwizytora.

- Nie chcesz jej poznać, principe. Zaufaj mi. To nie jest dar, dla nikogo. To przekleństwo, jasne i oczywiste. Przekleństwo, od którego nie ma wytchnienia.

Di Sangro się nie poruszył.

- Pozwolisz może, że sam to osądzę. Montferrat się nachylił.

- Masz rodzinę - powiedział głuchym i odległym głosem. - Żonę. Dzieci. Król jest twoim przyjacielem. Czegóż więcej człowiek może sobie życzyć?

Odpowiedź padła z niepokojącym spokojem.

- Więcej. Tego samego.

Montferrat pokręcił głową.

- Powinieneś zostawić to w spokoju.

Di Sangro przysunął się do więźnia. W jego oczach pałał niemal mesjański zapal.

- Posłuchaj mnie, markizie. To miasto, to śmieszne królewiatko... jest niczym. Jeżeli tajemnica, którą, jak podejrzewam, chronisz, jest prawdziwa, będziemy władać światem. Nie rozumiesz? Ludzie sprzedadzą za nią dusze.

Fałszywy markiz nie wątpił w to ani przez sekundę.

- Tego się właśnie obawiam.

Sfrustrowany di Sangro, usiłując ocenić determinację przeciwnika, zaczął dyszeć cięż-

ko. Jego oczy pomknęły nieco w dół, tak jakby coś na klatce piersiowej Montferrata przycią-

gnęło jego uwagę. Nachylił się groźnie i sięgnął ręką przez stół, wyciągając spod rozpiętej koszuli fałszywego markiza medalion. Dłoń Montferrata poszybowała w górę i złapała di Sangro za nadgarstek, powstrzymując go, książę jednak szybko uniósł pistolet i odciągnął skałkę.

Montferrat powoli zwolnił uścisk. Książę przytrzymał przez chwilę medalion w palcach, po czym nagle zerwał go z szyi Montferrata, niszcząc łańcuszek.

Był to prosty, okrągły, odlany z brązu medalik przypominający dużą monetę, średnicy niewiele większej niż szerokość dwóch palców. Jego jedyną ozdobę stanowił wąż, zwinięty w kłębek na kształt pierścienia wokół tarczy medalionu, z głową u szczytu uformowanego przez całe ciało okręgu.

Wąż zjadał własny ogon.

Książę spojrzał na Montferrata pytającym wzrokiem. Ale w twardych nagle oczach fałszywego markiza nie znalazł odpowiedzi.

- Mam już dosyć czekania, markizie - syknął groźnie di Sangro. - Mam już dosyć prób zrozumienia tego wszystkiego! - warknął, zaciskając palce wokół medalionu i potrząsając nim ze złością przed Montferratem.

- Mam dosyć tajemniczych uwag, dosyć rozszyfrowywania twoich ezoterycznych aluzji. Mam dosyć wysłuchiwania raportów o tym, jakie pytania zadajesz uczonym i podróżnikom, i składania w całość tego, do czego, jak mniemam, sprowadza się prawda o tobie. Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć. Wybór należy do ciebie. Możesz mi powiedzieć, tu i teraz. Albo możesz zabrać to ze sobą do grobu. - Przysunął jeszcze bliżej pistolet. Obie jego bliźniacze lufy znajdowały się teraz kilka centymetrów od twarzy więźnia. Di Sangro pozwolił, żeby groźba wisiała przez chwilę w powietrzu. - Ale jeżeli zdecydujesz się umrzeć dziś w nocy, tutaj - dodał - i nie wyjawisz mi swojej tajemnicy, proszę cię tylko, abyś rozważył odpowiedź

na jedno pytanie: Kto dał ci prawo do pozbawiania nas tego, do okazywania światu pogardy i pozostawienia go w niewiedzy? Co takiego zrobiłeś, żeby zasłużyć sobie na prawo decydowania o tym za resztę z nas?

Pytanie to markiz wiele razy sam sobie zadawał, ściagało go ono przez całe życie.

Dawno temu pewien człowiek, stary człowiek, który umarł na jego oczach, przyjaciel, do którego śmierci - według własnego przekonania - w pewien sposób się przyczynił, dokonał

tego wyboru za niego. Jego przyjaciel wydając ostatnie tchnienie, zaskoczył go, stwierdzając, że

mimo żalonych i ohydnych uczynków Montferrata potrafi dostrzec w jego oczach po-wściągliwość i powątpiewanie. Stary mężczyzna z jakiegoś powodu poczuł pewność, że mę-

stwo, szlachetność i uczciwość jego młodego wychowanka ciągle jeszcze gdzieś w nim tkwią, zagrzebane głęboko i stłumione mylnym poczuciem obowiązku. W godzinie śmierci przyjaciel ten zdołał nadać życiu swojego podopiecznego sens i tchnąć wąż nadzieję - coś, czego fałszywy markiz dawno przestał w nim szukać. A potem nastąpiła opowieść, wyznanie, następnie zaś rozpoczęła się misja, której wypełnienie pochłonęło resztę życia markiza.

Wybór został dokonany za niego. Prawo do decydowania zostało mu przekazane przez kogoś, kto zasługiwał na nie o wiele bardziej, niż on we własnym przekonaniu będzie kiedykolwiek.

Zaskoczył jednak sam siebie.

Zrobił, co w jego mocy, walczył jak lew o to, żeby odkryć, co zawierały brakujące strony kodeksu, i żeby wyrwać starożytnej księdze jej sekrety.

W Portugalii udało mu się wymknąć oskarżycielom. Przeszukał całą Hiszpanię, potem Rzym. Wyprawił się do Konstantynopolu i dalej jeszcze, do krajów Orientu. Ale nie udało mu się znaleźć niczego, co pozwoliłoby wypełnić misję.

Zawiódł.

Doszedł do wniosku, że powrót do kraju dzieciństwa pomoże mu w postanowieniu, co robić dalej. Ingerencja di Sangro oznaczała oczywiście zmianę planów. Jednak we mgle, która wypełniła jego umysł, jedna myśl rysowała się wyraźnie: okazanie pogardy siedzącemu przed nim mężczyźnie i pozostawienie go w stanie niewiedzy byłoby decyzją, którą podjąłby bardzo chętnie.

Co do reszty świata... Cóż, to już zupełnie co innego.

- Więc? - warknął di Sangro. Jego dłoń drżała lekko pod ciężarem pistoletu.

Mężczyzna, który kazał się nazywać Montferratem, zeskoczył z krzesła i rzucił się na przeciwnika, sięgając w jego kierunku ręką i odpychając pistolet dokładnie w momencie, w którym di Sangro pociągnął za cyngiel. Do uszu walczących dotarł ogłuszający huk eksplodującego ładunku, a z wylotu górnej lufy wydobyła się kula, z gwizdem przelatując obok ucha Montferrata i wbijając się ostatecznie w boazerię znajdującej się za nim ściany. W momencie, gdy obaj walczący o broń mężczyźni z trzaskiem upadli na stół obok kominka, otworzyły się drzwi komnaty. Do środka z uniesionymi szpadami wdarli się pachołkowie di Sangro. Mont-serrat zauważył moment wahania w oczach przeciwnika i wykorzystał go, ze straszliwą siłą wbijając tył łokcia w gardło principe. Cios sprawił, że księżę cofnął się i rozluźnił na chwilę palce zaciśnięte wokół pistoletu, pozwalając Montferratowi wyrwać mu go z dłoni. Markiz odepchnął księcia, uniósł pistolet, odwrócił lufę i odbezpieczył skałkę, jednocześnie usuwając się z drogi nacierającemu pachołkowi, po czym wypalił. Pocisk trafił napastnika w pierś. Pachołek wykręcił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę i upadł na podłogę u stóp Montferrata.

Markiz cisnął pustym pistoletem w drugiego napastnika i błyskawicznie odebrał leżą-

cemu mężczyźnie szpadę. Tymczasem książę zdołał nieco dojść do siebie i stanąwszy chwiejnie na nogach, również wyciągnął szpadę.

- Nie zabijaj go - syknął, przesuając się nieco do przodu i dołączając do pachołka. -

Potrzebuję go żywego... na razie.

Montferrat ścisnął oburącz szpadę i uniósłszy ją w obronnej postawie, zaczął nią lekko trącać to w lewo, to w prawo, trzymając napastników na dystans. Obaj stojący naprzeciw niego mężczyźni byli niecierpliwi, więc - jak wynikało z jego doświadczenia - w walce z nimi zimna krew była równie dobrą bronią co szpada. Wystarczyło poczekać, aż popełnią błąd. Pachołek aż się palił, żeby udowodnić swoją przydatność, i lekkomyślnie rzucił się do przodu.

Montferrat szpadą sparował cios i z całej siły kopnął mężczyznę, celując bosą stopą w udo.

Pachołek zawył z bólu. Montferrat kątem oka zauważył, że książę wycofuje się przytomnie.

Postanowił pozostać przy swoim napastniku i machnął szpadą, uderzając z całej siły w ostrze słabnącego przeciwnika i wytrącając mu je z dłoni. Książę krzyknął ze wściekłości i ruszył

naprzód, nacierając na Montferrata, którego szpada w tej akurat chwili była zajęta w innym miejscu. Montferrat zdołał odepchnąć kopniakiem pierwszego napastnika, po czym szybko odwrócił się w stronę di Sangro. Pachołek zatoczył się do tyłu, po czym uderzył w stół i ześlizgnął się prosto do ogromnego kominka. Z paleniska buchnął strumień iskier i węgielków.

Mężczyzna wrzasnął z bólu, jaki przeszył jego przypaloną dłoń, którą próbował złagodzić upadek. Montferrat dostrzegł, że od lampki, którą pachołek zrzucił ze stolika, zajmuje się płomieniem dywan, a potem rękaw napastnika.

Z dywanu wystrzeliły z wściekłością w górę płomienie. Zaczęły lizać gęstą aksamitną zasłonę, po chwili pochłaniając ją bez reszty. Fałszywy markiz cofnął się, żeby sparować na-tarcie di Sangro. Fala gorąca i dymu zamieniły komnatę w piekło. Książę nadal bezlitośnie nacierał. Zaskoczył Montferrata morderczym ciosem, którym wytrącił mu szpadę z dłoni.

Montferrat cofnął się, usiłując umknąć sprzed krawędzi ostrza di Sangro, które zawisło nagle niebezpiecznie blisko jego gardła. Przez gęstniejący w komnacie dym zauważył, że zbir ze spaloną dłonią zdołał stłumić płomienie ogarniające jego płaszcz i ponownie stanął do boju.

Ruszył bokiem, ustawiając się przy drzwiach komnaty i blokując Montferratowi drogę ucieczki.

Mieli nad Montferratem przewagę w liczbie i uzbrojeniu i on dobrze o tym wiedział.

Ciskając nerwowo oczyma to w prawo, to w lewo, nagle dostrzegł nową możliwość.

Postanowił z niej skorzystać. Podniósł ręce i, utkwivszy wzrok w di Sangro, ruszył w bok, w stronę

płonącej zasłony.

- Musimy ugasić pożar, zanim rozprzestrzeni się na pozostałe piętra - krzyknął, stawiając ostrożne kroki w stronę zasłony.

- Do diabła z pozostałymi piętrami - rzucił w odpowiedzi di Sangro.

- Wszystko mi jedno, dopóki płomienie nie strawią tego, co wiesz.

Montferratowi udało się dotrzeć do płonącej zasłony. Leżał tam porzucony, tłący się, na wpół spalony płaszcz pachółka. Przyszła kolej na ruch markiza. Złapał płaszcz, osłonił nim dłonie, po czym sięgnął rękoma ku płomieniom, zerwał zasłonę z drążka i rzucił nią w di Sangro i jego sługusa. Ogarnięty płomieniami płaszcz wylądował ciężko na ramieniu księcia, któ-

ry krzyknął w przerażeniu i z furią spróbował go odrzucić. Materiał na chwilę objął płomiennym uściskiem rękę księcia, ale di Sangro zdołał strącić go na podłogę, gdzie utworzył mię-

dzy nim a markizem barierę ognia. Montferrat nie czekał. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi na balkon i ruszył w mrok.

Po dotkliwym gorącu, jakie wypełniało komnatę, chłodne powietrze napływające znad zatoki uderzyło go w twarz. Zerknął szybko za siebie i zobaczył, że di Sangro i jego na wpół

spalony pachółek depczą gorączkowo płomienie, starając się je wyminąć i podążyć za nim.

Księżę podniósł oczy i podchwycił spojrzenie Montferrata. Ten skinął głową, po czym z sercem podchodzącym do gardła wspiął się na barierkę i runął w dół.

Wylądował z głuchym łoskotem na balkonie przyległej poniżej komnaty. Upadek spowodował, że szczękę i zęby przeszył mu grot bólu, a w głowie odezwał się dzwon. Otrząsnął

się i zerwał na nogi, po czym wspiął się na barierkę z kutego żelaza i wskoczył na wystający dwa piętra poniżej daszek. Di Sangro właśnie pojawił się na balkonie.

- Brać go - krzyknął w ciemność. Kiedy tak stał, rozświetlany od tyłu przez łunę ognia, przypominał demona z piekła rodem. Montferrat rzucił okiem na wejście do pałacu i zauważył pędzących w jego stronę dwóch mężczyzn, których sylwetki wyraźnie rysowały się w poświacie rzucanej przez trzymaną przez jednego z nich w rękę latarnię. Przeczłogał się przez daszek i wskoczył na sąsiedni, górujący nad przylegającą budowlą, znacząc drogę śladem rozbijanych o ciągnący się poniżej grunt dachówek. Spojrzał przed siebie na dachy i ko-miny, kreśląc w myślach drogę ucieczki. Wiedział, że w ciemnościach gęsto zabudowanego miasta uda mu się zgubić prześladowców i zniknąć.

Bardziej martwiło go to, co - jak doskonale wiedział - musiało teraz nastąpić.

Kiedy już odzyska swój skarb, który ukrył w bezpiecznym miejscu, z dala od pałacu -

zawsze był ostrożny - będzie musiał udać się gdzieś dalej.

Będzie musiał znaleźć sobie nowe imię i nowy dom.

Wymyślić siebie na nowo. Jeszcze raz.

Robił to już wcześniej.

Będzie to robił jeszcze wiele razy.

Usłyszał, jak di Sangro głosem szaleńca wykrzykuje w ciemność jego imię:

- Montferrat!

Wiedział, że to nie jest ich ostatnie spotkanie. Człowiek taki jak di Sangro nie poddaje się łatwo. Ogarnęła go gorączkowa żądza, z gatunku tych, które kiedy już dopadną człowieka, nigdy go nie opuszczają.

Kiedy Montferrat zanurzał się w ciemności, myśl ta wywołała w nim dreszcz.

II

Bagdad, kwiecień 2003 roku

- Dziesięć minut, sir!

Kapitan Erie Rucker z Pierwszego Batalionu Siódmego Pułku Kawalerii zerknął na zegarek i skinął głową. Spojrzał na otaczające go twarze, brudne i napięte, ociekające potem.

Nie minęła jeszcze dziesiąta rano, a słońce paliło już ich z morderczą siłą. Ciężkie ochronne kombinezony nie ułatwiały im zadania, nie wtedy, kiedy temperatura na zewnątrz sięgała ponad czterdziestu stopni w cieniu. Nie mogli jednak ruszyć do ataku bez nich.

Godzina zero.

Czas ruszać.

Duszne, zakurzone powietrze z upiorną punktualnością przeciął dobiegający z pobliskiego minaretu śpiew - wezwanie do modlitwy. Za plecami Ruckera coś zaskrzypiało. Odwrócił się i zauważył staruszkę o w połowie siwych, w połowie pokrytych henną włosach, wyglądającą z okna domu po drugiej stronie ulicy, przy której znajdował się cel. Przyglądała mu się przez chwilę ponurym, beznamiętnym wzrokiem, po czym zatrasnęła okiennice.

Dał jej kilka sekund, żeby schroniła się głębiej w domu, po czym skinął szorstko głową do zastępcy dowódcy, dając sygnał do ataku.

Wystrzelony z głównego wielozadaniowego humwee granat typu Mark 19 zagwizdał

na szerokiej ulicy i zrównał z ziemią główne wejście prowadzące na ogrodzony teren. Do boju ruszyło dwudziestu żołnierzy z dowódcami oddziału na czele, natychmiast dostając się pod ogień nieprzyjaciela. Nie zważając na świszczące wokół kule, rozbiegli się po dziedzińcu w poszukiwaniu osłony, za którą mogliby przykucnąć. Dwóch ludzi padło, zanim pozostali zdołali znaleźć bezpieczne stanowiska po obu stronach wejścia do budynku. Wkrótce zaczęli zasypywać dom gradem ognia karabinowego, służącego za tarczę dla żołnierzy o wielkich mięśniach i jeszcze większych sercach, którzy szybko przeciągnęli rannych na względnie bezpieczną stronę ulicy.

Drzwi wejściowe do domu były zabarykadowane, a okna zasłonięte. Przez następne dwadzieścia dwie minuty wymieniono tysiące pocisków, co jednak dało stosunkowo niewiele.

Kolejny żołnierz został ranny: w samochód, za którym przykuczał, uderzyła wypuszczona z budynku seria z karabinu.

Rucker dał rozkaz do odwrotu. Dom był otoczony. Mężczyźni w środku nigdzie się nie wybierali.

Czas był po jego stronie.

JAK WIELE INNYCH, RÓWNIEŻ ta akcja rozpoczęła się od niezapowiedzianej wizyty anonimowego informatora.

Tego dusznego wiosennego wieczoru do załogi posterunku przy wejściu do FOB

Camp Headhunter podszedł jakiś mężczyzna w średnim wieku, w obszarpanym garniturze i z zabrudzone opaską wokół czoła. Bojąc się, że ktoś zauważy, jak kolaboruje z wrogiem, mówił

szybko i cicho. Żołnierze kazali mu pozostać w pobliżu, po czym zadzwonili po tubylca tłu-macza, z którym współpracowali. Tłumacz wysłuchał mężczyzny i powiedział żołnierzom, że jak tylko sprawdzą, że nie ma na sobie żadnego ładunku, powinni go natychmiast wprowadzić. I nie czekając na odpowiedź, pobiegł zaalarmować dowódcę bazy.

Mężczyzna miał informacje na temat miejsca pobytu „osoby poszukiwanej”.

Zaczęło się polowanie.

Wyśledzenie najbardziej zagorzałych baasistów z bandy Saddama było dla sił zbrojnych w Iraku absolutnym priorytetem. „Rajd” na Bagdad okazał się naprawdę błyskawiczny, miasto zostało wzięte szybciej i przy znacznie mniejszym wysiłku, niż się spodziewano, ale większości złych chłopców udało się z niego uciec. Schwytano lub zabito tylko kilka osób ze słynnej, wypuszczonej przez Pentagon talii kart z czterdziestoma pięcioma najbardziej poszukiwanymi Irakijczykami - nie złapano przy tym ani samego Asa Pik, ani jego dwóch synów.

Mężczyzna w opasce, choć ulokowany bezpiecznie w pokoju odpraw bazy, mówił ze wzburzeniem. Więcej niż wzburzeniem. Był przerażony. Tłumacz wyjaśnił to dowódcy bazy, który jednak nie wyciągnął z tego faktu zbyt daleko idących wniosków. Oficer spodziewał się czegoś w tym rodzaju. Ludzie ci przez całe dziesięciolecia żyli pod rządami potwornego i bezwzględneho dyktatora. Donoszenie na jednego ze swoich dręczycieli nie mogło być dla nich beztruską przygodą.

Tłumacz wcale nie był tego tak pewien.

Kiedy się okazało, że członek reżimu, którego mężczyzna w opasce miał zamiar wydać, nie znajdował się nawet na liście najbardziej poszukiwanych przez Pentagon, dowódca był rozczarowany. Nigdy nie słyszał o takim zbrodniarzu. Wydawało się, że nikt nic o nim nie wie.

Mężczyzna w opasce nie znał nawet jego nazwiska. Nazywał go tylko hakimem.

Lekarzem.

Ale nawet w bezpiecznym schronieniu wysuniętej bazy taktycznej był w stanie mówić o nim jedynie przyciszonym, wystraszonym tonem.

Nie mógł podać jego nazwiska. Nie znał żadnych konkretnych szczegółów, z wyjątkiem tego, że przed inwazją często widywano, jak w środku nocy do jego zamkniętej posiadłości przyjeżdżali mężczyźni w wyciemnionych samochodach, wyglądających na rządowe.

Kilka razy wypatrzone wśród nich samego nieustraszonego przywódcę.

Nie potrafił nawet dokładnie go opisać, z wyjątkiem przyprowadzającego o dreszczyk szczegółu, który zaintrygował wszystkich zgromadzonych w pokoju: hakim nie był Irakijszym. Nie był nawet Arabem.

Był człowiekiem Zachodu.

W talii kart nie znajdował się jednak żaden człowiek Zachodu.

Skoro już o tym mowa, warto dodać, że tylko jedna osoba na liście nie była członkiem ani irakijskiego rządu, ani władz wojskowych. Co ciekawe, była to jedyna królowa w talii - w każdym razie z punktu widzenia fizjologii. Najniższą rangę spośród wszystkich kart przypisano kobiecie, badaczce o imieniu Huda Ammasz, pieszczotliwie nazywanej Panią Wąglik, córce byłego ministra obrony i - jak głosiła plotka - szefowej irackiego programu broni biologicznej.

Wszystkie elementy układanki były na miejscu. Lekarz. Osoba bliska Saddamowi.

Człowiek Zachodu. Przerażony tubylec. Wystarczyło, żeby kości zostały rzucone.

Zawiadomiono wywiad. Odpowiedź przyszła tego samego wieczoru.

Sporządzono plany.

O świcie Rucker i jego ludzie utworzyli już wokół celu zewnętrzny kordon, złożony z sił naziemnych i wozów opancerzonych. Cel, jak twierdził mężczyzna w opasce, był zlokalizowany w trzypiętrowym betonowym budynku w środku dzielnicy Bagdadu o nazwie Saddamiya. Oczywiście ta część miasta nie zawsze tak się nazywała. Kiedyś była to niebezpieczna okolica. Na tych właśnie podłych ulicach dorastał Saddam: tu uczęszczał do szkoły, tu pobierał pierwsze lekcje walki z

życiem. Po przejęciu rządów w kraju wprowadził do dzielnicy buldożery, które zrównały ją z ziemią, po czym zbudował na jej miejscu zamknięty rejon nowo-czesnych beto-nowych i ceglanych budynków, ustawionych wzdłuż arkadowych pasaży i wła-

ściwie odgradzonych od reszty miasta. Dzielnica wzięła od niego imię i zamieszkały w niej osoby, które uznawał za cenne dla kraju. Od momentu zdobycia Bagdadu batalion kilka razy szturmował ten rejon i zawsze poruszał się w nim z maksymalną ostrożnością, biorąc poprawkę na łatwą do przewidzenia awersję zamieszkujących go nadal lojalistów do sił inwazyjnych.

Uzbrojone oddziały zajęły pozycje, snajperzy ustawili się do strzału. Można było rozpocząć oblężenie.

Rucker, zgodnie z najnowszą procedurą przestrzeganą w takich wypadkach, zastosował taktykę nazywaną przez żołnierzy „kordon-puk-puk”. Polegała ona na tym, że kiedy już obrzeża celu zostały zabezpieczone, oddziały podchodziły do budynku i dawały znać o swojej obecności. Tłumacz poinformował więc przez megafon znajdujące się w środku osoby, że mają dziesięć minut na wyjście z domu z podniesionymi rękami.

Dziesięć minut później rozpętało się piekło.

KIEDY SANITARIUSZE RUSZYLI DO RANNYCH, Rucker pragnąc zminimalizować straty, jakie musieli ponieść w czasie nieuchronnej próby odwrotu, wydał rozkaz, żeby „popracować nad celem”. Nadleciały dwa śmigłowce OH-58D Kiowa i zalały budynek deszczem rakiet i ogniem z karabinów maszynowych. Tymczasem oddziały naziemne wypuściły jeszcze kilka granatów typu Mark 19 i kilka silniejszych, wystrzeliwanych z ramienia granatników przeciwpancernych AT-4.

Budynek wreszcie pogrążył się w ciszy.

Rucker jeszcze raz wysłał swoich ludzi do środka, tym razem jednak poprzedzały ich dwa wozy humvee, z dymiącymi jeszcze lufami karabinów maszynowych kaliber 50. Wkrótce dowódca się zorientował, że nad budynkiem dosyć porządnie „popracowano”. Jego ludzie posuwali się z pewną trudnością, znajdując po drodze kilka martwych ciał i spotykając tylko trzech samotnych i pogrążonych w głębokim szoku żołnierzy Gwardii Republikańskiej. Szybko się nimi zajęli.

Usłyszał przez radio kilka okrzyków „Czysto!” i poczuł głęboką ulgę. Jego wysunięte do przodu oddziały potwierdziły opanowanie celu.

Ruszył w stronę domu hakima, mijając po drodze żołnierzy, którzy na potrzeby identyfikacji zaczęli układać martwe ciała w szeregu. Spojrzał na brudne, poplamione krwią twarze i zmarszczył brwi. Najwyraźniej byli to tutejsi, Irakijczycy, żołnierze piechoty, dawno temu opuszczeni przez dowodzących nimi oficerów. Zawołał, żeby przyprowadzono mężczyznę w opasce. Silnie uzbrojeni strażnicy popędzili go i kazali mu rzucić okiem na trupy. Nad każdym kręcił głową, a wraz z rosnącą liczbą niezidentyfikowanych ciał w widoczny sposób narastało jego przerażenie.

Hakima nie było wśród trupów.

Rucker się skrzywił. Operacja wymagała znacznych środków, trzech jego ludzi było rannych, jeden z nich poważnie, a wyglądało na to, że wszystko to na nic. Już miał zarządzić jeszcze jedno przeszukanie, kiedy w radio zatrzeszczał głos należący do sierżanta Jessa Eddisona.

- Sir! - Rucker po raz pierwszy w życiu słyszał u Eddisona tak niepokojąco podniecony ton. - Myślę, że powinien pan to zobaczyć.

Rucker i jego zastępca ruszyli za dowódcą oddziału do wewnętrznego westybulu, z którego pięły się w stronę sypialni wielkie, obudowane marmurem schody. Z boku zauważyli drzwi prowadzące do piwnicy. Zapalili latarki, żeby oświetlić pozbawione okien przejście, po czym ostrożnie podążyli schodami i wkrótce spotkali się z Eddisonem i kilkoma szeregowymi z Drugiego plutonu. Eddison strumieniem światła z własnej latarki wskazał drogę i poprowadził resztę wzdłuż korytarza.

Znaleźli tam coś, co nie do końca można było określić mianem pokoju rekreacyjnego.

Chyba że określający miał na nazwisko Mengele.

Piwnica zajmowała cały teren pod domem i zewnętrznym dziedzińcem. Pierwsze jej pomieszczenia były zupełnie zwyczajne. Najpierw trafili na biuro. Jego wyposażenie najwyraźniej zostało w pośpiechu wyniesione. Podłogę zaściełały jakieś postrzępione papiery, a w rogu na kupce czarnego popiołu leżał stos spalonych książek i opraw. W następnym pomieszczeniu mieściła się duża łazienka, w trzecim - kolejny pokój z kilkoma sofami i dużym tele-wizorem.

Czwarte pomieszczenie było znacznie większe. Zajmowała je w pełni wyposażona sala operacyjna. Sprzęt i wszystkie narzędzia chirurgiczne były supernowoczesne. Panująca w niej względna czystość silnie kontrastowała z zapuszczoną resztą domu. Najprawdopodobniej pilnujący budynku strażnicy w ogóle tam nie wchodzili. Może z wyboru. Może ze strachu.

Podłoga była mokra i pokryta jakąś niebieskawą cieczą. Rucker i jego ludzie podążyli za Eddisonem, skrzypiąc butami na wilgotnych kamiennych kaflach. Przejście prowadziło do laboratorium, w którym na przysuniętych do ściany, zaopatrzonych w szuflady szafkach laboratoryjnych zauważyli rząd czystych kadzi wypełnionych jakimś zielono-niebieskim roz-tworem. Kilka z nich było rozbitych, tak jakby ktoś pośpiesznie, chaotycznie usiłował ukryć dowody. Inne były nietknięte.

Rucker i dowódca oddziału weszli do środka, pragnąc przyjrzeć się bliżej laboratorium. Zobaczyli rurki wsunięte do cieczy oraz unoszące się w nienaruszonych kadziach ludzkie organy: mózgi, oczy, serca i inne mniejsze części ciała, których Rucker nie rozpoznawał.

Obok, na stole do pracy, leżały porzucane szalki Petriego. Poprzyklejano na nich starannie jakieś etykiety, z oznaczeniami nie do rozszyfrowania przez laika. Stały też tam dwa potężne mikroskopy. Kable, za pomocą których były kiedyś podłączone do komputera, wiodły donikąd. Wszystkie komputery zniknęły.

W kącie laboratorium Rucker dostrzegł przejście do kolejnego pomieszczenia, długiego i wąskiego. Wszedł do środka i zauważył kilka długich lodówek ze stali nierdzewnej, ustawionych jedna obok drugiej. Zastanawiał się przez chwilę, czy samemu sprawdzić, co jest w środku, czy też poczekać na

ekipę od substancji szkodliwych. Doszedł do wniosku, że skoro nie zauważył żadnych zamków czy oznaczeń, to ryzyko jest raczej minimalne. Otworzył

pierwszą lodówkę. Była wypełniona starannie ustawionymi kadziami z gęstą czerwoną cieczą. Zanim Rucker zauważył etykiety z datami i nazwiskami, wiedział już, że to krew.

Ludzka krew.

I to nie w małych, lekarskich woreczkach, do których był przyzwyczajony.

Była to krew w ilości liczonej na baryłki.

Po chwili Eddison zaprowadził ich do części piwnicy, o której mówił przez radio. Wą-

ski korytarz wiódł do kolejnego pomieszczenia, które musiało być wydrążone pod dziedziń-

cem, choć Rucker nie był już tego pewien, ponieważ w pogrążonym w mroku labiryncie stracił wycucie kierunku i trudno mu było dopasować przestrzeń do tego, co znajdowało się na górze. Było to, praktycznie rzecz biorąc, więzienie. Cela za celą, wzdłuż obu stron korytarza.

Ich wnętrza były zresztą przyzwoicie umeblowane: łóżka, toalety, umywalki. Rucker widział

w życiu gorsze. Przypominały raczej pozbawiony okien oddział szpitalny.

Czy może: przypominałyby, gdyby nie ciała.

Po dwa w każdym pomieszczeniu.

Zabite strzałem w głowę w ostatnim, rozpaczliwym akcie oblędu.

Wśród nich były kobiety i mężczyźni. Młodzi i starzy. Dzieci, co najmniej kilkana-

ścioro, chłopcy i dziewczynki. Wszyscy w identycznych białych kombinezonach.

Ostatnią celę Rucker zapamięta do końca życia.

Na gołej białej podłodze leżały na wznak ciała dwóch młodych chłopców. Ich głowy niedawno zostały ogolone do łysej skóry. Wpatrywali się w sufit znieruchomiałymi oczami, a w ich czołach ziały niewielkie, okrągłe otwory, z których niczym farba akrylowa wylewała się gęsta i błyszcząca krew, otaczając na kształt ramy bezwłose czaszki. Na ścianie celi odsłoniło się oczom Ruckera prymitywne malowidło, wyryte w niej widelcem lub jakimś innym tę-

pym narzędziem.

Szych zrozpaczonej duszy, niemy okrzyk przerażonego dziecka skierowany do nieczułego świata.

Okrągły wizerunek węża, zwiniętego w kłębek i zjadającego własny ogon.

ROZDZIAŁ 1

Zabqine, południowy Liban, październik 2006 roku

Evelyn Bishop spojrzała jeszcze raz na pozostałości po meczecie i zauważyła go, ukrytego za pokrytym warstwą odłamków murem, stojącego samotnie z nieodłącznym papierosem wetkniętym między kciuk a palec wskazujący. Widok ten kazał jej wrócić pamięcią do odległej przeszłości. "Faruk?"

Minęły lata, ale to niewątpliwie był on. W jego oczach, które spojrzały na nią w odpowiedzi, pojawił się niepewny, potwierdzający to uśmiech.

Ramez - drobny i nadaktywny były student Evelyn, obecnie pełniący funkcję asystenta na jej wydziale, szyta, co było bardzo poręczne w tej części świata - spojrzał na nią z jamy pod zewnętrznym murem meczetu. Evelyn powiedziała mu, że zaraz wróci, i ruszyła w stronę stojącego mężczyzny.

Nie widziała Faruka od czasu, gdy dwadzieścia lat wcześniej pracowali razem przy gorących i wilgotnych wykopaliskach na terenie Iraku. Ona była wtedy niestrudzoną sitti Evelyn, panią Evelyn, młodą, tryskającą energią, pełną pasji półboginią prowadzącą wykopaliska w pałacu Sanheriba w Niniwie oraz w Babilonie, ponad sto kilometrów na południe od Bagdadu. On był po prostu Farukiem, jednym z tubylców współpracujących z archeologami - niskim, grubym, łysym nałogowym palaczem, sprzedawcą starożytności i „człowiekiem do wszystkiego”, czyli przedstawicielem zawodu, którego obecności, jak się zdaje, wymaga każ-

de przedsięwzięcie w tej części świata. Zawsze był uprzejmy, rzetelny, sprawny i dyskretny -

trzymał się na uboczu. Skromnie kiwnąwszy głową, dostarczał to, co wcześniej obiecał, i nigdy nie wymawiał się przed spełnieniem żadnej, nawet najbardziej kłopotliwej prośby. Dziś jednak jego przygarbione plecy, bruzdy żłobiące czoło oraz kilka ocalałych siwych pasemek tam, gdzie wcześniej rządziła gęsta czarna czupryna, świadczyły o tym, że minione lata nie obeszły się z nim zbyt łaskawie. I nic dziwnego - przecież Irak w ostatnim czasie raczej nie przeżywał złotego wieku.

- Faruk?! - zawołała z promiennym śmiechem. - Co słyhać? Mój Boże, ile to już lat?

- Dużo, bardzo dużo, sitti Evelyn.

Wprawdzie nigdy nie był wylewny, ale tym razem - jak zauważyła Evelyn - w jego głosie pobrzmiwała szczególna powściągliwość. Trudno jej było określić wyraz jego twarzy.

Chodziło tylko o dystans, zwyczajny po tylu latach. Czy może o coś jeszcze?

W jej myśli wkradł się niepokój.

- Co tutaj robisz? Mieszkasz tu?

- Nie, opuściłem Irak dopiero dwa tygodnie temu - odpowiedział ponuro, po czym do-dał: -

Przyjechałem, żeby panią odnaleźć.

Jego odpowiedź wprawiła Evelyn w zakłopotanie.

- Żeby mnie odnaleźć...? - Nabrała pewności, że coś jest nie tak. Zauważyła, jak zacią-

gając się szybko od czasu do czasu papierosem, nerwowo strzela oczami na boki. Wzmogło to jej niepokój. - Wszystko w porządku?

- Proszę. Możemy...?

Kiwnął jej ręką i zaczął się oddalać od meczetu, zmierzając w stronę bardziej dyskretnego i osłoniętego miejsca za rogiem.

Evelyn podążyła za nim, z wzrokiem ostrożnie wbitym w ziemię, przez cały czas uważnie wypatrując bombek z ładunków kasetowych, którymi zasypano cały region. Kiedy jednak obserwowała, jak Faruk rzuca ukradkowe spojrzenia na prowadzącą wzgórzem główną ulicę wioski, narastała w niej pewność, że Irakijczyk ma się na baczności przed zupełnie innym niebezpieczeństwem. Za wąskimi drózkami na zboczu wzgórza migotał jakiś ruch - roz-

ładowywano ciężarówki z pomocą humanitarną, stawiano prowizoryczne namioty, zniszczonym krajobrazem ciągnęły w żółwym tempie samochody, a wszystkiemu od czasu do czasu towarzyszył daleki wybuch, jakby przypominając, że choć trzydziestoczworoletnia wojna oficjalnie się skończyła i podpisano zawieszenie broni, to do rozwiązania konfliktu ciągle było jeszcze daleko. Evelyn nie dostrzegła niczego, co mogłoby wprawić jej towarzysza w niepokój.

- Co się dzieje? - zapytała. - Wszystko w porządku?

Faruk rozejrzał się, po raz kolejny sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje, po czym wyrzucił papierosa i wyjął z kieszeni kurtki niewielką, postrzępioną brązową kopertę.

Wręczył jej pakunek i powiedział:

- Przywiozłem to dla pani.

Evelyn otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej plik fotografii. Wykonano je polaro-idealnie. Były wymięte i zniszczone.

Evelyn spojrzała pytająco na Faruka, choć instynkt podpowiadał jej, co zobaczy na zdjęciach. Ledwie rzuciła na nie okiem i wiedziała już, że potwierdziły się jej najgorsze prze-czucia.

PRZENIOSŁA SIĘ DO LIBANU W 1992 ROKU, wkrótce po tym, jak kraj zaczął się podźwigać z długiej i jak się okazało, niepotrzebnej wojny domowej. Uciekła na Środkowy Wschód zaraz po ukończeniu Berkeley, pod koniec lat sześćdziesiątych. Pracowała przy różnych wykopaliskach w Jordanii, Iraku i Egipcie, aż wreszcie doszły ją słuchy o wakacie na stanowisku wykładowcy na Wydziale Archeologii Uniwersytetu Amerykańskiego w Bejrucie. Łączyła się z tym możliwością aktywnego uczestnictwa w pracy przy wykopaliskach w niedawno otworzonej dla badaczy

śródmiejskiej części miasta, niezwykle kusząca, biorąc pod uwagę fenicką, grecką i rzymską historię tych okolic - możliwość, której nie mogła nie wykorzystać. Zgłosiła swoją kandydaturę i dostała posadę.

Dziś, piętnaście lat później, Bejrut był już zdecydowanie i bezpowrotnie jej domem.

Wiedziała, że przeżyje w nim resztę swoich lat i umrze, a myśl ta wcale nie była dla niej nieprzyjemna. Liban przyjął ją życzliwie, ona zaś odwdzieczyła mu się z nawiązką. Z pewnością potwierdziłby to krąg jej pełnych entuzjazmu i pasji studentów, podobnie jak odnowione muzeum miejskie w Bejrucie. W okresie odbudowy śródmieścia Evelyn wzięła się za łby z deweloperami i ich buldożerami, niezmordowanie lobbując rząd i międzynarodowych obserwatorów UNESCO. Jedne bitwy wygrała, inne przegrała, ale z pewnością wywarła swój wpływ na wygląd miasta. Była niezaprzeczalną współakuszerką jego powtórnych narodzin. Miasta i całego kraju. Zetknęła się z optymizmem i cynizmem, z bezinteresownością i korupcją, ze szczodrością i z chciwością, z nadzieją i rozpaczą - doświadczyła pełnej gamy ludzkich instynktów i emocji, odsłoniętych i obnażonych bez wyraźniejszego względu na poczucie wsty-du czy przyzwoitości.

A teraz ta katastrofa.

Zarówno Hezbollah, jak i Izraelczycy potwornie się przeliczyli, za co ostateczną cenę, co było łatwe do przewidzenia, zapłacili cywile. Tego lata, zaledwie kilka tygodni wcześniej, Evelyn obserwowała ze ściśniętym gardłem, jak śmigłowce transportowe i okręty wojenne ewakuowały schwytanych w pułapkę cudzoziemców, ale nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby do nich dołączyć. Była w domu.

Miała zresztą mnóstwo pracy. Wykłady miały być wznowione już za tydzień, miesiąc później niż zazwyczaj. Zajęcia z letniego semestru należało zaplanować na nowo. Niektórzy pracownicy wydziału nie wrócili. Zbliżające się miesiące miały być ogromnym organizacyjnym wyzwaniem, urozmaicanym od czasu do czasu tak osobliwymi zleceniami, jak to, które przywiodło ją tutaj, do Zabqine, sennego miasteczka położonego wśród falistych wzgórz po-

łudniowego Libanu, dziesięć kilometrów od granicy z Izraelem.

Z miasteczka zostało niewiele poza nazwą. Większość domów zamieniła się w stosy szarego gruzu, powykręcanych metalowych prętów i stopionego szkła. Inne zostały dosłownie zrównane z ziemią, wchłonięte w czarne leje po sterowanych laserowo bombach. Na teren miasteczka szybko wjechały buldożery i zaczęły usuwać resztki - porządkować makabryczne wysypisko, na którym pewnie powstanie kolejny hotelowy kompleks. Ciała tych, którzy zginęli pod sprasowanymi podłogami swoich domów, zostały pogrzebane, a miasteczko w wyzywający sposób zaczęło przejawiać nieśmiałe oznaki życia. Ci, którym udało się uciec przed nalotem, wracali teraz, zajmując prowizoryczne namioty i zastanawiając się, jak odbudować swoje domy. Przez dłuższy czas miało nie być prądu, ale mieszkańcom zapewniono przynajmniej zapasy wody pitnej, dostarczanej w cysternach przez ciężarówki. Ustawiła się przed nimi niewielka kolejka wieśniaków, czekających cierpliwie z plastikowymi zbiornikami i bu-telkami w rękach, inni dzielili między siebie ładunek kilku ciężarówek UNIFIL, które przy-wiozły żywność i inne podstawowe artykuły. Wokół biegały dzieci, bawiąc się - jakżeby inaczej - w wojnę.

Ramez przywiózł ją do miasteczka tego samego dnia rano. Pochodził z położonej nieopodal miejscowości. Pewien starszy mężczyzna, jedyny wieśniak, który pozostał w Zabqine w czasie bombardowania - przez co na wpół stracił słuch - zaprowadził ich przez dywan po-tłuczonych cegieł do ruin niewielkiego meczetu. Mimo że Ramez dokładnie opisał je wcze-

śniej Evelyn, widok, który ją przywitał, kiedy dotarli wreszcie na szczyt wzgórza, był wstrząsający.

Zielona kopuła meczetu jakimś cudem przetrwała bombardowanie, które zniszczyło pozostałą część niewielkiego kamiennego budynku. Leżała tam, wsparta dziwacznie na szczątkach, układając się w jakąś surrealistyczną instalację, którą tylko wojna jest w stanie wyczarować. Na nagich gałęziach pobliskich drzew trzepotały upiornie postrzępione paski czegoś, co kiedyś musiało być wyściełającym meczet czerwonym kobiercem.

Bomby, które zburzyły mury meczetu, zrobiły również wyrwę w ziemi, przez co powstała pod ich tylną krawędzią szczelina, odsłaniając niewidoczną wcześniej, znajdującą się poniżej komnatę. Na jej ścianach widniały wyraźne, choć wyblakłe i nadgryzione przez ząb czasu, biblijne freski. Był to kościół pre-islamski, zakopany pod meczetem. Według Biblii, wybrzeżem Libanu wędrowali Jezus i jego wyznawcy, było więc ono gęsto naznaczone pozostałościami z tamtych czasów. Na przykład kościół Świętego Tomasza niedaleko Tym został

postawiony na najprawdopodobniej najstarszej świątyni w historii - gmachu z I wieku, wzniesionym przez świętego Tomasza po powrocie z Cypru. Pod koniec VII wieku przez region przetoczyła się jednak fala islamu i wiele miejsc kultu zostało zajętych i przejętych przez wyznawców nowej wiary.

Szperanie w szyickich kapliczkach w poszukiwaniu pozostałości po innej, dawnej wierze nie było rzeczą prostą, zwłaszcza teraz, kiedy wspomnienie o wojnie ciągle jeszcze było świeżą, otwartą raną i wywoływało emocje silniejsze nawet niż zazwyczaj.

Evelyn spodziewała się, że czeka ją trudny dzień.

Ale nie spodziewała się czegoś takiego.

OPADŁA NA NIĄ FALA ROZCZAROWANIA. Z nieskrywanym smutkiem w oczach spojrzała na Faruka.

- Co ty robisz, Faruk? - zapytała łagodnie. - Przecież mnie znasz.

Zdjęcia, które Evelyn trzymała w rękach, były wykonanymi w pośpiechu ujęciami cennych przedmiotów z minionej ery, zabytków pochodzących z regionu zwanego kolebką cywilizacji: tabliczek z pismem klinowym, pieczęci cylindrycznych, figurek alabastrowych i z terakoty, glinianych naczyń. Widziała mnóstwo podobnych zdjęć, odkąd w 2003 roku amerykańskie oddziały wzięły szturmem Bagdad, a na całym świecie wybuchło oburzenie z powodu tego, że nie zabezpieczono odpowiednio miejskiego muzeum i innych miejsc zaliczanych do światowego dziedzictwa kultury. Szabrownicy dostali amoku, zaczęły się pojawiać oskarżenia o wciąganie do współpracy ludzi z

wewnątrz i o polityczne machinacje - wkrótce zresztą wy-cofane, po czym wysunięte na nowo - a szacunkowe dane na temat liczby skradzionych przedmiotów szybowały to w górę, to w dół z szaloną niefrasobliwością. Jedno było pewne: wiele skarbów sprzed tysięcy lat zostało niezaprzeczalnie rozkradzionych. Niektóre z nich udało się odzyskać, większość - nie.

- Proszę, sirt Evelyn... - błagał Faruk.

- Nie - ucięła szorstko, wciskając mu z powrotem w dłonie fotografie. - Zwariowałeś.

Przynosisz mi te... Co to w ogóle ma znaczyć? Naprawdę spodziewałeś się, że je kupię albo pomogę ci sprzedać?

- Proszę - powtórzył łagodnie. - Musi mi pani pomóc. Nie mogę tam wrócić. O, tutaj. -

Zaczął gorączkowo przebierać zdjęcia, czegoś wśród nich szukając. - Proszę spojrzeć na to.

Evelyn zauważyła, że jego poźółkłe palce się trzęsą. Przyjrzała się twarzy Faruka, jego ruchom - najwyraźniej był przerażony, w czym zresztą nie było nic dziwnego. Za szmuglowanie zabytków z Iraku groziły surowe kary. Cały proceder mógł się dla niego naprawdę źle skończyć, w zależności od tego, po której stronie granicy zostałby złapany. Co prawda, uwa-

żała, że zna się całkiem dobrze na ludziach i choć tego akurat człowieka nie poznała zbyt dobrze i nie widziała go od lat, wydawało jej się, że w jego wypadku zniżanie się do uczestnictwa w grabieży swojego kraju, kraju, do którego - z tego co pamiętała - był mocno przywiązany... Z drugiej strony, ona nie przeżyła kilku krwawych zamachów stanu oraz trzech dużych wojen i przedzielających je okresów terroru. Powstrzymała więc skłonność do osądzania i przyznała przed sobą niechętnie, że nie ma pojęcia, przez co ten człowiek musiał przejść, od-kaąd widziała go po raz ostatni. I do jakich desperackich środków musieli się teraz uciekać ludzie, żeby przeżyć.

Faruk wyciągnął z pliku kilka zdjęć i utkwiał ponownie wzrok w Evelyn.

- Tutaj.

Wzięła głęboki wdech, starając się nieco uspokoić, spojrzała na niego i skinęła głową, po czym skupiła się na fotografiach, które jej wręczył.

Na pierwszym zdjęciu widniało kilka starych kodeksów, leżących prawdopodobnie na stoliku. Evelyn przyjrzała się im bliżej. Bez zaglądania do wnętrza ksiąg trudno było ocenić ich wiek. Ta część świata mogła się pochwalić niezwykle bogatą historią i przez kilka tysięcy lat defilowała przez nią niemal nieprzerwana parada wielu następujących po sobie cywilizacji.

Kilka charakterystycznych szczegółów pozwalało jednak stwierdzić coś na ten temat: księgi miały popękane skórzane oprawy, a niektóre z nich ozdobiono dodatkowo złożonymi tłoczeniami, geometrycznymi wzorami i wizerunkami medalionów w kształcie mandorli i wisior-ków. Było też wyraźnie widać fałdy biegnące przez zszycia na grzbietach, co pozwalało datować księgi na okres przed XIV wiekiem. Z czego wynikało, że potencjalnie mogły mieć cał-

kiem sporą wartość dla muzealników i kolekcjonerów.

Przeszła do kolejnego zdjęcia i zamarła. Uniosła nieco fotografię, żeby przyjrzeć się jej uważniej, i musnąwszy ją lekko palcami w daremnej próbie rozjaśnienia ujęcia, zmusiła umysł do przebiccia się przez zalew wspomnień wywołanych tym, co się na niej znajdowało: starym kodeksem, wciśniętym niewinnie między dwie równie starożytne księgi. Jego tłoczona skórzana oprawa była popękana i zakurzona. Skrzydełko tylnej okładki zostało wyciągnięte.

Była to cecha charakterystyczna średniowiecznych islamskich ksiąg, choć kiedy wolumin był zamknięty, skrzydełko wsuwano zazwyczaj pod przednią okładkę, używając go zarówno jako zakładki, jak i metody zabezpieczenia stron przed uszkodzeniami.

Pozornie w księdze nie było niczego niezwykłego. Na jej oprawie jednak został wytłoczony charakterystyczny symbol: okrągły, przypominający pierścień motyw węża zjadającego własny ogon.

Evelyn podniosła oczy i napotkała wzrok Faruka.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytała pośpiesznie.

- To nie ja. To Abu Barzan, mój stary znajomy. On też handluje antykami. Ma sklepik w Al-Mawsil - wyjaśnił Faruk, używając arabskiej nazwy Mosulu, miasta położonego kilkaset kilometrów na północny wschód od Bagdadu. - Nic nielegalnego, wie pani, tylko to, co mogliśmy sprzedawać za Saddama. - Przed inwazją eksport najcenniejszych antyków był wy-

łącznym przywilejem funkcjonariuszy partii Baas. Hołota, czyli reszta społeczeństwa, musiała się zadowolić odpadkami. - Jak pani wie, Saddam miał wszędzie informatorów. Teraz jest oczywiście inaczej. Ten znajomy miesiąc temu przyjechał do mnie do Bagdadu. Wyjeżdża on często na północ, do jakichś starych wiosek, na poszukiwanie dzieł sztuki. Jest pół-Kurdem, a kiedy tam jedzie, niby przypadkiem zapomina o swojej drugiej, sunnickiej połówce, i wszystkie domy stoją przed nim otworem. W każdym razie natknął się na te rzeczy - wie pani, jak to teraz jest. Totalny bałagan. Totalny chaos. Bomby, trupy, szwadrony śmierci... Ludzie biegną przerażeni, robią, co się da, żeby uniknąć niebezpieczeństwa i zarobić na chleb. Sprzedają, co tylko mają pod ręką, zwłaszcza że mogą to już robić otwarcie. Tyle że jest teraz niewielu ku-pujących, w każdym razie w Iraku. Tak czy inaczej, Abu Barzan zdobył tę kolekcję i próbo-wał ją sprzedać. Chciał wyjechać z kraju, zamieszkać gdzieś, gdzie jest bezpiecznie - wszyscy tego chcemy - ale potrzebował pieniędzy. Rozpytywał więc wszędzie po cichu, szukając nabywców. Wiedział, że mam kilka niezłych kontaktów za granicą. Zaoferował, że podzieli się ze mną wpływami.

Faruk zapalił kolejnego papierosa, rozglądając się ukradkiem na boki.

- W każdym razie, kiedy zobaczyłem Uroborosa, pomyślałem o pani - dodał, sięgnąwszy ręką w kierunku zdjęcia kodeksu i uderzywszy w nie palcami. - Popytałem, czy ktoś wie, gdzie pani teraz przebywa. Mahfuz Zacharia...

- Jasne - przerwała Evelyn. Była w kontakcie z dyrektorem Narodowego Muzeum Archeologicznego

w Bagdadzie. Zwłaszcza po inwazji, kiedy wybuchł skandal z grabieżami. -

Faruk, wiesz przecież, że nie mogę tego nawet dotknąć. Ta rozmowa nie powinna w ogóle się odbyć.

- Musi mi pani pomóc, sirt Evelyn. Proszę. Nie mogę wrócić do Iraku. Tam jest gorzej, niż może to sobie pani wyobrazić. Chce pani tej książki, prawda? Załatwię ją pani. Proszę mi tylko pomóc tutaj zostać, proszę. Mogę pracować jako kierowca. A może asystent? Zrobię wszystko. Mogę być użyteczny, przecież pani wie. Proszę. Nie mogę tam wrócić.

Evelyn skrzywiła się.

- Faruk, to nie jest takie proste. - Pokręciła lekko głową i spojrzała na zniszczone wzgórza biegnące poniżej meczetu. Wzdłuż niewielkiego kamiennego muru leżały rzędy brą-

zowych liści tytoniu, nawleczone kilka miesięcy wcześniej na druty i pozostawione, żeby mogły suszyć się w letnim słońcu. Były szare i przegniłe, i pokrywała je taka sama warstwa gę-

stego kurzu, jaka opadła na cały region. Nad głowami Evelyn i Faruka wyrósł nagle, po czym zniknął wraz z lekkim wiatrem, cichy warkot izraelskiego samolotu, przypominając o ciągle wiszącym w powietrzu napięciu.

Na twarzy Faruka pojawił się cień. Jego oddech stał się szybki i płytki. Poruszył rękami.

- Pamięta pani Hadż Ali Salluma?

Kolejne nazwisko rodem z przeszłości. Kolejny sprzedawca antyków, jeśli Evelyn pamięć nie myliła - co jej się zresztą zwykle nie zdarzało. Z Bagdadu. Prowadził sklepik trzy domy od straganu Faruka. Pamiętała, że byli przyjaciółmi, choć w momencie, gdy sprawa dotyczyła klientów i handlu, zamieniali się w zaciekle konkurentów.

- Nie żyje - powiedział Faruk drżącym głosem. - Moim zdaniem z powodu tej książki.

Evelyn zachmurzyła się, szukając odpowiednich słów.

- Co mu się stało?

W oczach Faruka pojawił się na chwilę błysk strachu.

- Co jest w tej księdze, sirt Evelyn; Kto jeszcze jej szuka?

W jej głosie narosła konsternacja.

- Nie wiem.

- A może pan Tom? Pracował nad tym z panią. Może on wie. Musi go pani zapytać, sirt Evelyn. Stało się coś bardzo złego. Nie może mnie pani tam z powrotem wysłać.

Jeszcze jedno wspomnienie, które ukłuło Evelyn w samo serce. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, o wszechobecne wokół sterty gruzu odbił się głos Rameza.

- Evelyn?

Faruk rzucił w jej stronę pełne niepokoju spojrzenie. Wyciągnęła szyję i zauważyła, że od strony meczetu zbliża się do nich Ramez. Odwróciła się z powrotem do Faruka, który przypatrywał się prowadzącym w stronę głównej ulicy dróżkom. Kiedy znowu na nią popatrzył, wydawało się, że z jego twarzy odpłynęła cała krew. Rysujące się w jego oczach przera-

żenie sprawiło, że poczuła uścisk w sercu. Faruk wcisnął jej do ręki plik fotografii i kopertę, po czym rzucił:

- Śródmieście, dziewiąta, obok wieży zegarowej. Niech pani przyjdzie, proszę.

Ramez dołączył do nich wreszcie, zastanawiając się najwyraźniej, o co chodzi.

Evelyn zaczęła szukać odpowiednich słów, nie do końca wiedząc, co powiedzieć.

- To Faruk, mój stary znajomy. Z dawnych lat, z Iraku. - Wydawało się, że Ramez wyczuwa unoszący się nad nimi niepokój. Zauważyła, że Faruk wykonuje jakiś ruch i w uspokajającym geście wyciągnęła w jego stronę rękę. - W porządku. Ramez i ja pracujemy razem.

Na uniwersytecie.

Robiła, co w jej mocy, żeby przekonać jakoś Faruka, że jej kolega nie stanowi zagro-

żenia, ale Irakijczyka najwidoczniej coś wystraszyło, bo skinął tylko pospiesznie Ramezowi głową i powtórzył błagalnym, ale upartym tonem: - Niech pani przyjdzie, proszę.

Zanim zdołała zaprotestować, zaczął się wspinać ścieżką prowadzącą od miasteczka w stronę meczetu.

- Faruk, czekaj! - zawołała za Irakijczykiem, odbiegając od Rameza. Daremnie jednak.

Już go nie było.

Odwróciła się do Rameza, który stał obok zamyślony. Nagle się zorientowała, że ciągle trzyma w ręku zdjęcia, że Ramez mógł je zauważyć. I zauważył. Spojrzał na nią pytają-

cym wzrokiem. Wcisnęła fotografie do koperty i schowała ją do kieszeni, przywołując na usta rozbrajający uśmiech.

- Przepraszam za to. To tylko... To długa historia. Wracamy do komnaty? Ramez skinął uprzejmie głową i poprowadził Evelyn z powrotem w stronę ścieżki.

Podążyła za nim z nieobecnyim wzrokiem i wywołanyim przez niepokojące słowa Faruka ściskiem w żołądku. Jej umysł był zbyt poruszony, żeby zaalarmował go przelotny widok dwóch mężczyzn o twardych, zimnych jak gład oczach, stojących poniżej w miasteczku na skraju drogi. Zresztą, biorąc pod uwagę scenerię czy jej kontekst, nie było w nim nic zdumiewającego: od wybuchu wojny zdołała się już przyzwyczaić do takich spojrzeń. Tyle tylko, że nie przyciągnęło jej uwagi również zachowanie mężczyzn, którzy popatrzyli w jej kierunku, po czym jeden z nich wsiadł do samochodu i odjechał dosyć gwałtownie, a drugi zerknął

jeszcze raz na nią i odszedł, znikając za pobliskim zawalonym budynkiem.

ROZDZIAŁ 2

Złapaliście go jeszcze? Wyjechał z Bagdadu ponad cztery lata wcześniej, nadal jednak, mimo wrodzonego talentu do języków obcych i podejmowanych wielokrotnie wysiłków, w jego arabskim, zwłaszcza pod względem słownictwa i akcentu, były jeszcze wyczuwalne lata, jakie spędził w Iraku. To dlatego przydzieleni mu ludzie - dowodził nimi Omar, który właśnie dzwonił - pochodzili ze wschodniej części jego nowej ojczyzny, z terenów graniczą-

cych z Irakiem, gdzie zajmowali się szmuglowaniem w obie strony broni i bojowników. Oba języki były dosyć podobne - mniej więcej jak kalifornijski valspeak i wschodniolondyński cockney - ale różnice między nimi były do tego stopnia wyraźne, że mogły z nich wynikać różnego rodzaju nieścisłości i nieporozumienia.

Co nie mogło się zdarzyć.

Był dumny ze swojej dokładności. Nie tolerował braku precyzji, źle znosił również czyjąś niesolidność. A ze zmieszanego tonu mężczyzny, który wyczuł już w momencie, gdy mu przerwano i gdy odebrał telefon, wnioskował, że jego cierpliwość zostanie wystawiona na ciężką próbę.

Nastąpiła chwila wahania, po czym z głośnika komórki dobiegła zimna odpowiedź:

- Nie.

- Co to znaczy, nie? - warknął hakim z wściekłością, ściągając z dłoni rękawiczki chirurgiczne. - Czemu nie? Gdzie on jest?

Omar nie należał do osób, które dało się łatwo wystraszyć, mimo to w jego tonie pojawił się pewien respekt.

- Był ostrożny, mu'allimna .

Ludzie przydzieleni mu po drugiej stronie granicy zawsze go tak nazywali. „Nasz mistrz”. Przydomek używany przez skromnego, uniżonego sługę i wyrażający szacunek. Nie żeby nauczył ich zbyt dużo. Tylko tyle, żeby się upewnić, że będą robić to, co się im każe, i to bez zadawania zbędnych pytań. Była to nie tyle nauka, ile trening, w którym najważniejszym czynnikiem motywacyjnym był strach.

- Nie mieliśmy też za bardzo okazji - kontynuował Omar. - Śledziliśmy go aż do Uniwersytetu

Amerykańskiego. Poszedł na Wydział Archeologii. Czekaliśmy na niego na ze-wnątrz, ale musiał użyć innego wyjścia. Jeden z moich ludzi obserwował Bramę Morską i zauważył go, jak się wymyka i wsiada do taksówki.

Hakim zmarszczył brwi.

- Czyli wie, że jest śledzony? - zapytał szorstkim tonem.

- Tak - potwierdził niechętnie Omar. Dodał jednak zaraz: - Ale to żaden problem. Do jutrzejszego wieczoru go złapiemy.

- Mam nadzieję - rzucił kwaśno w odpowiedzi hakim. - Dla waszego dobra. - Usiłował

powściągnąć gniew. Omar nigdy jeszcze go nie zawiódł. Wiedział, jaka jest stawka, i bez wątplenia znalazł się na swojej robocie. Oddelegowano go do dyspozycji hakima z wyraźnym rozkazem opiekowania się nim i zadbania o to, by zapewnić mu wszystko, czego potrzebuje.

Omar wiedział, że w służbach nie toleruje się porażek. Hakim czerpał z tego pewną pociechę.

- Gdzie jest teraz?

- Pojechaliśmy za nim do Zabqine, miasteczka na południu, niedaleko granicy. Spotkał się tam z kimś.

Wiadomość natychmiast rozbudziła w hakimie ciekawość. - Z kim?

- Z kobietą. Amerykanką. Nazywa się Evelyn Bishop. Jest profesorem archeologii na uniwersytecie. To starsza kobieta. Ma pewnie ponad sześćdziesiąt lat. Pokazał jej jakieś doku-menty. Nie mogliśmy podejść bliżej, żeby zobaczyć, co takiego, ale chodziło chyba o zdjęcia kolekcji.

„Interesujące - pomyślał hakim. - Irakijski handlarz jest w mieście dopiero od kilku godzin i zaraz udaje się do kobiety, która przypadkiem jest archeologiem?” Zanotował w pa-mięci tę informację, mając zamiar później się nad nią zastanowić.

- I...?

Nastąpiła kolejna chwila wahania, po której Omar ściszył głos.

- Zgubiliśmy go. Zauważył nas i uciekł. Szukaliśmy go w całym miasteczku, ale zniknął. Za to obserwujemy tę kobietę. Jestem teraz przed jej mieszkaniem. Przerwano im, na pewno mają jakieś niedokończone sprawy.

- Co oznacza, że was do niego zaprowadzi. - Hakim w milczeniu skinął sam do siebie głową. Podniósł dłoń i pomasaował nią twarz, rozcierając zmarszczoną brew i wysuszone usta.

Nie mógł tolerować wpadek. Za długo na to czekał. - Pilnujcie jej! - rzucił lodowatym tonem.

- A kiedy się spotkają, dostarczcie mi ich oboje. Ją też. Zrozumiano?

- Tak, mu'allimna - padła krótka odpowiedź. Bez cienia wahania. Właśnie tak, jak hakim lubił.

Rozłączył się, po czym powtórzył w myślach treść rozmowy, schował telefon do kieszeni i wrócił do pracy.

Umył ręce, włożył nową parę rękawiczek chirurgicznych i podszedł do łóżka, na któ-

rym leżał balansujący na skraju świadomości, związany pasami młody chłopiec. Spod jego ciężkich powiek wyglądały zwężone, przypominające szklane białe półksiężycy oczy, a z róż-

nych miejsc ciała wyrastały rurki, wraz z powolnym strumieniem krwi wysysające z niego resztki życia.

ROZDZIAŁ 3

Minęła szósta wieczorem, kiedy Evelyn wróciła wreszcie do miasta i znalazła się w swoim mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy przy Rue Comodore. Po całym dniu, który z różnych stron odcisnął na niej swoje piętno, czuła się wyczerpana. Kiedy Faruk uciekł, Ramez - ani razu zresztą nie pytając o Irakijczyka i nie wspominając o nim w czasie rozmowy, co Evelyn uznała za niezwykle przejaw powściągliwości - zdołał im załatwić osobiste spotkanie z burmistrzem Zabqine, który przecież, co zrozumiałe, miał na głowie ważniejsze sprawy niż rozmowy o wykopaliskach w jakiejś - być może wczesnochrześcijańskiej - świątyni.

Mimo to Evelyn i jej młodemu podopiecznemu udało się go oczarować i w rezultacie uzyskali zgodę na dalsze badania.

Co było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę to, że jej umysł przez cały czas był pochłonięty czymś zupełnie innym.

Od chwili, kiedy Faruk pokazał Evelyn obszarpaną kopertę ze zdjęciami, wszystkie jej myśli krążyły niemal wyłącznie wokół wywołanych przez nie wspomnień. W domu wzięła długi gorący prysznic. Siedziała teraz przy biurku, wpatrując się w grubą teczkę, która towarzyszyła jej jak cień przy każdej przeprowadzce. Z ciężkim sercem rozsypała wstążkę, jaką teczka była przewiązana, i zaczęła przeglądać jej zawartość. Stare fotografie, wyblakłe, pożół-

kłe kartki z notatnika oraz różne odbitki pomogły jej rozjaśnić tę część pamięci, która od dłuższego czasu była całkowicie pogrążona w ciemności. Kartki przewracały się jedna po drugiej, wywołując w Evelyn kotłowaną uczuć, które zalały ją i pociągnęły za sobą w czasy i miejsca, o jakich nigdy nie będzie mogła zapomnieć.

Al-Hillah w Iraku. Jesień 1977 roku.

Przebywała na Środkowym Wschodzie dopiero od ponad siedmiu lat, z czego większą część spędziła przy wykopaliskach w Petrze w Jordanii i w Górnym Egipcie. Nauczyła się tam bardzo dużo - to tam po raz pierwszy zakochała się w tej części świata - ale nie były to jej badania. Wkrótce zapragnęła zatopić zęby w czymś, co mogłaby nazwać własnym. I po wielu latach ciężkich badań i nieustających

zabiegów o fundusze udało jej się dopiąć swego. Wykopaliska, o jakich mowa, miały być prowadzone w mieście, które fascynowało ją, odkąd tylko mogła sięgnąć pamięcią, i które jeszcze wtedy nadal było w zbyt małym stopniu docenione przez archeologów - w Babilonie.

Historia tej bajecznej metropolii sięga ponad czterech tysięcy lat, ale ponieważ miasto zbudowano z suszonej w słońcu cegły, a nie z kamienia, niewiele z niego zdołało ocaleć po spustoszeniach dokonanych przez czas. To co przetrwało, zostało w końcu wywiezione przez różne potęgi kolonialne, które przez pół wieku rządziły tą nieszczęsną krainą. W nierównym starciu z matką naturą, Turkami, Francuzami i Niemcami, jak sępy rozdrapujące jej skarby, starożytna kolebka cywilizacji nie miała zbyt wielkich szans.

Evelyn miała nadzieję, że choć w niewielkim stopniu uda jej się naprawić tę niesprawiedliwość historii.

Wykopaliska zaczęły się na dobre. Warunki pracy nie były zbyt trudne, a ona zdążyła się już przyzwyczać do upałów i insektów. Zdziwiło ją, jak pomocne okazały się władze.

Pięć lat wcześniej, po dziesięciu latach kolejnych zamachów stanu, kontrolę nad krajem przejęli baasiści, którzy w jej oczach byli pragmatyczni i uprzejmi - kiedy odwiedziła stanowisko po raz pierwszy, niedaleko kręcono Egzorcystę, a na krwawy przewrót Saddama trzeba było czekać jeszcze kilka lat. Tereny wokół były biedne, ale zamieszkiwali je mili i życzliwi ludzie. Bagdad leżał w odległości kilku godzin jazdy, co było bardzo wygodne i zapewniało do-stęp do dobrego jedzenia, porządnej kąpieli i towarzystwa, za którym przy tego rodzaju okazjach zawsze bardzo się tęskniło.

Samego odkrycia dokonała dzięki szczęśliwemu trafowi. Pewien koziarz, który przekopywał ziemię w poszukiwaniu wody, odnalazł niedaleko starego meczetu w Al-Hillah podziemną komnatę, a w niej niewielki skarb, złożony z tabliczek z pismem klinowym oraz innego rodzaju zabytków wczesnego piśmiennictwa. Evelyn, która przebywała akurat w pobliżu, dotarła na miejsce pierwsza i zdecydowała, że teren nadaje się do dalszych badań.

Kilka tygodni później, przeprowadzając za pomocą sondy badania w przylegającym do meczetu starym warsztacie, znalazła coś jeszcze. To, co odkryła, nie było już ani tak stare, ani cenne. W żadnym razie nie należało do kategorii spektakularnych znalezisk: kilka niewielkich, zadaszonych sklepieniem beczkowym podziemnych komnat, przez wieki ukrytych przed wzrokiem ciekawskich. Pierwsze pomieszczenia były puste, z wyjątkiem prostych drewnianych mebli i jakichś urn, słoików oraz przyrządów kuchennych. Interesujące, ale nie sensacyj-ne. W najgłębiej ukrytej komnacie coś jednak przyciągnęło jej uwagę: wyryty na głównej ścianie pomieszczenia duży okrągły wizerunek węża zjadającego własny ogon.

Uroboros.

Był to jeden z najstarszych mistycznych symboli na świecie. Jego korzenie sięgały ty-sięcy lat: do Chin pod rządami dynastii Shan, z której czasów pozostały do dzisiaj wizerunki smoków o głowach słoń, i starożytnego Egiptu, skąd znali go Fenicjanie i Grecy, którzy wła-

śnie nadali mu nazwę Uroborosa, czyli „pożeracza ogona”. Później symbol ten odnajdywano w

mitologii staroskandynawskiej, w tradycji hinduskiej i w symbolice azteckiej, żeby wymienić tylko kilka kultur. Zajmował również stałe miejsce w tajemnej symbolice alchemików różnych okresów. Wąż zjadający własny ogon był potężnym archetypem, który dla różnych ludzi oznaczał różne rzeczy - dla jednych był symbolem pozytywnych mocy, dla innych zwiastunem zła.

Dalsze poszukiwania przyniosły jeszcze ciekawsze odkrycia. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się przyrządami kuchennymi, było czymś znacznie bardziej interesującym: prymitywnymi narzędziami laboratoryjnymi. Kawałki rozbitego szkła po dokładniejszej analizie okazały się tak naprawdę fragmentami kolb i zlewek. W pomieszczeniu odnaleziono szczątki korka i rurek oraz kolejne słoiki i woreczki ze zwierzęcej skóry.

W komnatach uwagę Evelyn przyciągnęło coś złowieszczonego. Odniosła wrażenie, że niepewnym krokiem przekroczyła próg miejsca spotkań jakiegoś tajnego stowarzyszenia, grupy spiskowców, którzy chcieli widywać się z dala od ciekawskich oczu, strzeżeni przez złowrogięgo pożeracza ogona. Kilka kolejnych tygodni spędziła na bardziej uważnym penetrowaniu wydrążonych pod ziemią korytarzy, czego rezultatem było jeszcze jedno odkrycie - w kącie jednego z ciemnych pomieszczeń znalazła zakopany duży ceramiczny słoik, zamknięty szczelnie za pomocą zwierzęcej skóry. Był na niej wytłoczony Uroboros, podobny do tego, który widniał na ścianie. W środku słoja Evelyn odkryła kilka arkuszy papieru - materiału, który w tym regionie zajął miejsce pergaminu i papieru welinowego już w VIII wieku, na długo przed tym, zanim dotarł do Europy - gęsto zapisanych tekstami i misternie zdobionych hipnotycznymi geometrycznymi wzorami, symbolami będącymi naukowym odzwierciedleniem natury i kolorowymi, choć dziwacznymi rysunkami anatomicznymi.

Evelyn przerzuciła kilka znajdujących się w teczce ujęć symbolu - sztychów, drzeworytów i innych rodzajów grafik - aż wreszcie trafiła na plik starych, wyblakłych fotografii.

Odłożyła go na bok i zaczęła się przyglądać poszczególnym zdjęciom. Składało się na nie kilka ujęć komnaty oraz fotografie jej samej z członkami ekipy na tle wykopalisk. Na jednej z nich zauważyła Faruka. „Ale się zmienił - pomyślała. - Wszyscy się zmieniliśmy”. Nagle zeszywniały jej palce: spojrzała na zdjęcie, które wywołało u niej lekki dreszcz. Widniała na nim ona sama - o wiele młodsza, ambitna trzydziestolatka o jasnych oczach - oraz mężczyzna w jej wieku. Stali obok siebie na terenie pustynnych wykopalisk, dwoje poszukiwaczy przygód z zamierzchłej epoki. Zdjęcia nie były najlepszej jakości - niewielkie odbitki, które wywołała niedługo po ich zrobieniu, silnie przebarwione po ponad trzydziestu latach spędzonych w teczce. Słońce prażyło tego dnia bezlitośnie, ich twarze były więc zasłonięte okularami przeciwsłonecznymi i bezpiecznie pograżone w cieniu kapeluszy safari. Mimo to oczy Evelyn szybko dopełniły szczegóły obrazu rysów mężczyzny. I nawet po tych wszystkich latach jego widok sprawił, że jej serce zaczęło bić żywiej.

„Tom”.

Skupiła się jeszcze mocniej na fotografii i hałas rozciągającego się na zewnątrz, wypełnionego zgiełkiem miasta roztopił się w ciszy. Zdjęcie wywołało na jej ustach słodko-gorzki uśmiech, idealnie korespondujący ze sprzecznymi uczuciami, jakie kłębiły się w jej duszy.

Nigdy nie zrozumiała do końca tego, co tak naprawdę się wtedy wydarzyło.

Tom Webster pojawił się w Al-Hillah niezapowiedziany, kilka tygodni po dokonaniu przez Evelyn odkryciu. Przedstawił się jako archeolog i historyk z Instytutu Haldene'a, ośrodka badawczego afiliowanego przy Uniwersytecie Browna. Powiedział jej, że przebywał włą-

śnie w Jordanii, kiedy kolega wspomniał mu o poszukiwaniach Evelyn związanych z Uroborosem. Badania w tych zamierzchłych czasach, przed nastaniem ery Internetu, wymagały poszukiwań w bibliotekach i zasięgania rady ekspertów w rozmowach z nimi - i to często, o zgrozo, bezpośrednich! Tom stwierdził, że przyjechał drogą lądową na wykopaliska, żeby się z nią zobaczyć i dowiedzieć czegoś więcej o jej odkryciach.

Spędzili razem cztery tygodnie.

Nigdy już żadnego mężczyzny nie obdarzyła tak silnym uczuciem.

Czas mijał im na badaniu komnaty, analizowaniu pism i ilustrowanych arkuszy ze słojami oraz na wyprawach do różnych bibliotek i muzeów w Bagdadzie i w całym Iraku, których celem były spotkania z uczonymi i historykami.

Rodzaj kaligrafii, jaką zostały spisane teksty, pozwalał z dużym prawdopodobień-

stwem szacować czas ich powstania na epokę Abbasydów, mniej więcej w X wieku. Datowanie metodą radiowęglową, któremu poddano jeden ze skórzanych pasków, potwierdziło te przypuszczenia. Teksty zostały spisane przepiękną kaligrafią i bogato zilustrowane, a dotyczyły bardzo różnych tematów: filozofii, logiki, matematyki, chemii, astrologii, astronomii i duchowości. Żaden fragment nie pozwalał jednak domyślić się ich autora, w żadnym nie wspomniano też o znaczeniu symbolu pożeracza ogona.

Evelyn i Webster pracowali z równą pasją i wkrótce w ich poszukiwaniach pojawiła się iskierka nadziei - trafili na informacje na temat mało znanego stowarzyszenia z tej samej epoki, Braci Czystości. Dokładniejsza tożsamość braci wciąż była kwestią domysłów. Wiadomo było o nich niewiele ponad to, że stanowili grupę neoplatonickich filozofów, którzy spotykali się potajemnie co dwanaście dni, i że na ich zagadkowe dziedzictwo składało się niezwykle kompendium naukowej, duchowej i ezoterycznej wiedzy, czerpanej z różnych tradycji, uważane za jedną z najstarszych encyklopedii w historii ludzkości.

Niektóre aspekty tekstów odnalezionych w komnacie pasowały do pism pozostawionych przez braci zarówno pod względem stylu, jak i treści. Żaden z traktatów nie mówił jednak nic na temat duchowości mieszkańców komnat. Choć nauka braci była silnie zakorzeniona w islamie, w ich pismach odnajdowano również ślady Ewangelii i Tory. Członkowie stowarzyszenia byli uważani za wolnomyślicieli, którzy nie chcą się podpisywać pod naukami któregośkolwiek z wyznań. Przeciwnie - starali się znaleźć prawdę we wszystkich religiach i cenili wiedzę jako prawdziwy pokarm duszy. Dążyli do pojednania, połączenia różnych sekt, które rozpleniły się wówczas w tej części świata, pragnąc zbudować otwarte, duchowe sanktuarium dla wszystkich.

Evelyn i Webster zaczęli spekulować na temat tego, czy tajne stowarzyszenie z podziemnej komnaty mogło stanowić jakieś odgałęzienie braci, nie znaleźli jednak niczego, co mogłoby potwierdzić lub

obalić ich hipotezę. W każdym razie jeden z jej aspektów wydawał

się przekonujący: uważano, że główne ośrodki braci znajdowały się w Basrze i Bagdadzie.

Al-Hillah leżało dokładnie między tymi miastami.

Przez cały czas, jaki spędzili razem, Evelyn ciągle zaskakiwało niesłabnące zainteresowanie Webstera tematem, dziwiły ją też jego niewyczerpane pokłady energii i usilne pragnienie wyjaśnienia tajemnicy, na jaką zdarzyło się jej trafić. Jak na kogoś, o kim nigdy wcześniej nie słyszała, wydawał się również wiedzieć zadziwiająco dużo o Uroborosie i historii regionu.

Była też prawie pewna, że zakochał się w niej równie mocno jak ona w nim. Przez co jeszcze trudniej było się jej pogodzić z jego nagłym wyjazdem. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, z czym ją zostawił. I kłamstwo, z którym musiała odtąd żyć na co dzień.

Kiedy dopadło ją znowu wspomnienie tego bolesnego rozstania, jej twarz zachmurzy-

ła się, a ona sama poczuła żal. Wreszcie jednak udało jej się zmusić do powrotu do biernej akceptacji, uczucia, które pielęgnowała w sobie przez wiele lat, odepchnąć melancholię na bok i wrócić myślami do swojego obecnego kłopotliwego położenia.

Z ramek wiszących na ścianie naprzeciw jej biurka spoglądało na nią kilka pokrytych ilustracjami stron pochodzących z komnaty tajnego bractwa, urzekających swoją urodą i tajemniczością. Oderwała od nich oczy i wyciągnęła plik zdjęć, które zostawił jej Faruk. Odnalazła te, na których widniał stary kodeks. Przypomniała sobie niepokojące wieści i ciarki przeszły jej po plecach.

Ktoś, kogo znała, zginął. Z powodu tego.

Skąd znajomy Faruka wytrzasnął ten kodeks? I co w nim było? Kilkadziesiąt lat temu poszukiwania zawiodły Toma i ją donikąd. Dlaczego ta księga miałaby mieć jakiegokolwiek znaczenie?

Przypomniała sobie ostatnie pytanie Faruka: „Kto jeszcze szuka tej księgi?”.

Biorąc pod uwagę wrzawę, jaka obecnie ją otaczała, było to ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Nie miała jednak wyjścia. Nie miała ochoty spotykać się z Farukiem, ale wiedziała, że nie może go zawieść. Liczył na nią. Potrzebował pomocy. Był przerażony. Im dokładniej przypominała sobie strach, który wykrzywił jego twarz, tym bardziej niepokoiła ją myśl o spotkaniu.

Dręczyła ją również inna myśl.

Musiała powiadomić Toma.

Gdyby tylko udało jej się do niego dotrzeć. Właściwie nie utrzymywali kontaktów.

Tak naprawdę nie widziała się z nim ani nie rozmawiała od momentu, kiedy wyjechał z Iraku.

Nawet wtedy, gdy odkryła, że jest w ciąży.

Odłożyła zdjęcie i wyciągnęła swój organizer: duży, oprawiony w skórę filofax, który towarzyszył jej od kilkudziesięciu lat i ledwie mógł już pomieścić wszystkie papiery, wizytówki i notatki, jakie wcisnęła przez ten czas między jego sfatygowane okładki. Zaczęła grzebać w kieszeniach notesu i po chwili znalazła starą wizytówkę. Widniało na niej nazwisko Toma Webstera, wydrukowane surową, kaligraficzną czcionką, oraz nazwa instytutu i logo.

Ani razu dotąd jej nie użyła, z czasem więc wizytówka zapadła się w najbardziej odległy za-kamarek jej organizera i umysłu.

Trzydzieści lat. Bez sensu nawet próbować.

W uszach zabrzmiało Evelyn błaganie Faruka. „Musi go pani zapytać, sitti Evelyn”.

Coś w niej pękło i kazało zaryzykować.

Minęło kilka chwil, zanim sygnał odbił się od kilku satelitów i zanim wreszcie usłyszała znajomy sygnał amerykańskich linii telefonicznych. Wkrótce potem kobiecy głos prze-sadnie uprzejmym tonem poinformował Evelyn, że dodzwoniła się do Instytutu Haldane’a.

Evelyn się zawahała.

- Próbuję się skontaktować ze starym znajomym - powiedziała w końcu niezdecydowanym głosem. - Nazywa się Tom Webster. Zostawił mi ten numer, ale... było to już jakiś czas temu.

- Chwileczkę. - Evelyn ścisnęło się serce, kiedy telefonistka sprawdzała nazwisko w swoim spisie. - Przykro mi - odezwał się po chwili znowu głos, dziwnie beztroskim tonem. -

Nie mam tutaj nikogo takiego.

Evelyn skurczyła się w fotelu.

- Jest pani pewna? To znaczy, czy byłaby pani uprzejma sprawdzić jeszcze raz?

Telefonistka poprosiła Evelyn o powtórzenie i przeliterowanie nazwiska, przejrzała jeszcze raz spis i znowu niczego nie znalazła. Evelyn westchnęła ciężko i ze smutkiem. Telefonistka musiała to usłyszeć, bo dodała po chwili:

- Jeśli pani sobie życzy, mogę jeszcze sprawdzić w naszych teczkach osobowych i oddzwonić. Może pani znajomy zostawił jakieś dane kontaktowe?

Evelyn podała swoje nazwisko i numer libańskiej komórki, po czym podziękowała i się rozłączyła. Tak naprawdę nie spodziewała się, że uda jej się skontaktować z Tomem - mi-nęło zbyt dużo czasu - ale mimo to dreszczyk podekscytowania pozostawił w niej wrażenie napięcia i niepokoju.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Zmarszczyła brwi. Umówiła się z Mią w jej hotelu na drinka. Nie mogły wybrać gorszej pory. Przemknęło jej przez głowę, żeby zadzwonić i odwołać spotkanie, ale nie mogła znieść myśli o siedzeniu w domu przez dwie godziny w objęciach

brzęczących w różnych zakamarkach umysłu wspomnień, i to w oczekiwaniu na to, żeby udać się na spotkanie, którego z każdą upływającą minutą obawiała się coraz bardziej.

Doszła do wniosku, że drink z córką, w otoczeniu dobrej muzyki i obcych twarzy, po-może jej przeczekać ten czas. Po prostu kiedy rozmowa zejdzie na kłopotliwy temat, będzie musiała wykonać kilka drobnych uników. Wolała się w niego nie zagłębiać, przynajmniej zanim się nie dowie, o co w tym wszystkim chodzi.

Zamknęła teczkę i odłożyła ją na biurko. Wepchnęła zdjęcia i komórkę do torebki i ruszyła w stronę hotelu po drugiej stronie ulicy.

ROZDZIAŁ 4

Teleksy przeszły do historii. Podobnie jak średniej klasy chińska restauracja, na miejscu której pojawiła się lśniąca nowością Benihana. Zniknął również okrągły i tytułowy News Bar - zastąpiony przez równie pomysłowo nazwany Lounge, dopełniony boazerią Wenge, składankami Café del Mar z głośników i mojitos z męczennicy - podobnie jak Coco, miesz-kanka baru, papuga, która z tak upiorną bezbłędnością potrafiła naśladować zbliżające się pociski artyleryjskie, że wielu niewtajemniczonych klientów natychmiast zaczynało szukać schronienia. Piętnaście minut sławy hotelu rozciągnęło się na prawie całe lata osiemdziesiąte, kiedy stał się ulubionym lokalem „watahy” w Bejrucie. Dan Rather, Peter Jennings - wszyscy zatrzymywali się tutaj. W czasach, kiedy rywalizujące ze sobą bojówki zamieniły Zachodni Bejrut w sztandarowy przykład współczesnego miejskiego chaosu - zanim jeszcze to honorowe miano zaczęły sobie uzurpować Mogadisz, a później Bagdad - Commodore stanowiła sanktuarium filet mignon, elektryczności, działających teleksów i nigdy niewysychających barów - a wszystko to dzięki nieustraszonemu menedżerowi hotelu i kilku solidnym łapów-kom. Prawdę mówiąc, menedżer wykonywał swoje obowiązki nawet zbyt dobrze: większość reporterów, którzy przyjechali do miasta, żeby zdawać relacje z walk, rzadko ryzykowała wy-

ściubianiem nosa poza spokojne i bezpieczne mury hotelu, pisząc swoje sprawozdania raczej zza linii biurka niż frontu.

Dni te, na szczęście, Bejrut dawno miał już za sobą - w każdym razie z grubsza rzecz biorąc. Lifting, który pozwolił przywrócić miasto do życia, nie ominął również hotelu, teraz działającego pod nazwą Meridien Com-modore. Mimo nowego, nowoczesnego wizerunku, ciągle była to jednak ulubiona spelunka reporterów, nawet bez Coco. Wataha była lojalna, co stało się widoczne zwłaszcza po nagłym wybuchu krótkiej, lecz brutalnej wojny, która przez całe lato okupowała pierwsze strony wszystkich liczących się w świecie gazet. Commodore odzyskał dawną sławę, podsycaną przez alkohol, adrenalinę i najlepsze szerokopasmowe łą-

cze w mieście, po raz kolejny udowadniając swój dryg do zapewniania gościom wrażenia, że wszyscy są częścią jednej wielkiej sycylijskiej rodziny - co znacznie poprawiało samopoczucie Mii Bishop, zważywszy że jej doświadczenie w przebywaniu w strefie wojny oscyloowało wokół zera.

Nie żeby specjalnie się paliła, by nadrabiać tego rodzaju zaległości.

Nie po to wybrała genetykę, żeby teraz szukać przygód.

- WIEM, ŻE TO NIE MOJA SPRAWA, ALE... Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Po luźnej rozmowie z Evelyn na temat postępów w jej pracy oraz wymianie anegdotek i obserwacji na temat dziesiątków tysięcy rodzajów reperkusji wojny, które w dającej się przewidzieć przyszłości miały dodawać ich życiu kolorów, Mia wreszcie zadała to pytanie.

Gryzło ją ono od chwili, kiedy usiadły, i choć nie czuła się najlepiej, gdy je zadawała, jeszcze gorzej by się poczuła, gdyby nie zaoferowała swojej matce pomocy, kiedy ta jej potrzebowała.

Evelyn drgnęła lekko, poprawiając się w głębokiej sofie, po czym upiła z kieliszka długi łyk wina.

- W porządku - zapewniła, przywołując na twarz wymuszony według Mii półuśmiech, po czym jej oczy pobiegły gdzieś na bok i zagubiły się w kojącym blasku wina. - To nic takiego.

- Jesteś pewna? Evelyn się zawahała.

- Chodzi o to... Spotkałam dzisiaj kogoś. Kogoś, kogo nie widziałam od bardzo dawna. Od piętnastu lat, może nawet dłużej.

Mia posłała jej znaczący uśmiech.

- Rozumiem. Evelyn złapała aluzję.

- Nie chodzi o to, naprawdę - zaprotestowała. - To tylko taki „człowiek do wszystkiego”, który pomagał nam przy wykopaliskach. W Iraku. Przed Saddamem. Byłam na południu z Ramezem. Pamiętasz go, prawda?

Mia skinęła głową.

- Chyba tak. W zeszłym tygodniu, w twoim gabinecie? Taki mały, co?

Był jedynym kolegą Evelyn, jakiego dotąd poznała. Przebywała w Bejrucie od trzech tygodni. Przyleciała jednym z pierwszych samolotów, które wylądowały w mieście od ponownego otwarcia lotniska, zbombardowanego pierwszego dnia wojny przez izraelskie lotnictwo.

Jej pierwszy kontakt z dziwnym światem powojennego Bejrutu był dosyć gwał-

towny: potężny airbus, kilka sekund po tym, jak jego koła dotknęły płyty lotniska, zahamował

gwałtownie, po czym ostro zjechał z pasa, na którym pojawiły się nagle buldożer i ciężarówka z cementem, nonszalancko zalewające betonem gigantyczny lej po bombie. Mia ciągle miała przed oczami widok robotników, którzy beztrząsliwie machali rękami do niej i pozostałych przebywających na pokładzie wstrząśniętych pasażerów.

Niezależnie od tego, czy na jego pasach startowych ziały leje po bombach czy nie, Bejrut był już otwarty dla biznesu. A ona, choć kilka miesięcy później, niż miała w planie, mogła wreszcie zacząć rozkręcać fenicki projekt, do którego przygotowywała się od roku.

Zwrócono się z nim do niej, kiedy pracowała w Bostonie w niewielkim zespole genetyków, którzy postawili przed sobą ambitne zadanie prześledzenia kierunków rozpowszechniania się rodzaju ludzkiego po globie. Projekt, zakładający gromadzenie i analizowanie pró-

bek DNA pobranych od tysięcy przedstawicieli wyizolowanych grup ludzkich na wszystkich kontynentach, pozwolił na potwierdzenie z całą stanowczością tezy, że wszyscy pochodzimy od jednego niewielkiego plemienia łowców i zbieraczy, które żyło w Afryce jakieś sześćdziesiąt tysięcy lat temu. Odkrycie to nie zostało zbyt dobrze przyjęte przez pewne „wrażliwe” kręgi. Mia dołączyła do zespołu wkrótce po ukończeniu studiów podyplomowych, co niemal zbiegło się w czasie z ogłoszeniem jego najważniejszej tezy - od tego momentu praca w ramach projektu okazała się nieco nudna i monotonna, ponieważ w znacznej mierze polegała na zdobywaniu kolejnych i kolejnych próbek w celu potwierdzenia ogólnego założenia. Szybko zaczęła myśleć o tym, by znaleźć zajęcie pozwalające na inne, bardziej odkrywcze poszukiwania, okazało się jednak, że z powodu prezydenckiej awersji i do badań nad komórkami macierzystymi najbardziej interesujące projekty w dziedzinie genetyki zostały wyhamowane.

Tkwiła więc w miejscu - aż wreszcie pojawiła się ta oferta.

Człowiek, który się z nią skontaktował, był przedstawicielem Fundacji Haririego, organizacji charytatywnej dysponującej naprawdę poważnymi środkami, założonej przez milio-nera i byłego premiera Libanu, zamordowanego w 2005 roku. Propozycja złożona przez re-prezentanta fundacji była mglista, ale frapująca. Najprościej rzecz ujmując, chodziło o to, żeby Mia pomogła w odkryciu, kim byli Fenicjanie.

Co prawdę mówiąc, zbiło ją nieco z tropu.

Jak się okazuje, mimo że o Fenicjanach wspomina się w wielu antycznych tekstach, których autorzy się z nimi zetknęli, zadziwiająco niewiele wiadomo o nich z pierwszej ręki.

Jak na ludzi, którym przypisuje się wynalezienie pierwszego na świecie alfabetu i których rola jako „kulturalnego pośrednika” doprowadziła do odrodzenia w Grecji, co z kolei dało początek zachodniej cywilizacji, nie zostawili po sobie zbyt dużo. Nie ocalały po nich żadne pisma i literatura, a wszystko, co o nich wiemy, zostało nam przekazane przez osoby trzecie.

Nawet nazwa została im nadana przez obcych - Greków, którzy nazywali ich Phoinikes, czerwonymi ludźmi, od luksusowych czerwonych szat, które Fenicjanie barwili wysoko cenioną farbą otrzymywaną z gruczołów mięczaków. Nie odnaleziono żadnych fenickich bibliotek, żadnych skarbów fenickiej wiedzy, żadnych fenickich zwojów papirusów ukrytych w alabastrowych słojach. Nie ocalało nic z dwóch tysięcy lat tajemniczej historii Fenicjan, której brutalny kres zadały ostatecznie miecze kolejnych najeźdźców, w tym Rzymian, którzy w 146

roku przed Chrystusem spalili Kartaginę i rozsypali na jej ruinach sól, zabraniając ponownego

osiedlania się w tym miejscu przez dwadzieścia pięć lat i zrównując z ziemią ostatni prężny ośrodek fenickiej kultury. Wyglądało na to, że najmniejszy ślad po nich został zmieciony z powierzchni globu.

Jednak ich nazwa ciągle wywoływała gorące emocje w samym Libanie.

Po zakończeniu prowadzonych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wojen domowych nazwę Fenicjan skutecznie zdołały sobie przywłaszczyć pewne chrześcijańskie frakcje w Libanie, wykorzystując ją w celu zakreślenia subtelny podziału między sobą a swoimi muzułmańskimi krajanami i uznając tych ostatnich za późnych imigrantów z Półwyspu Arabskiego z czasów narodzin islamu, którzy mają mniejszy tytuł do libańskiej ziemi.

Każda kłótnia w tej części świata, jak się zdaje, sprowadzała się do czterech prostych słów:

„My byliśmy tutaj pierwsi”. Narastało napięcie, co doprowadziło do sytuacji, w której okre-

ślenie „Fenicjanie” stało się w oficjalnych kręgach słowem tabu. Żadnej wzmianki o tym ludzie nie można było odtąd znaleźć nawet w Muzeum Narodowym w Bejrucie, w którym na etykietkach eksponatów pojawiła się bardziej politycznie poprawna terminologia w rodzaju:

„wczesna epoka brązu”. Przynosiło to krajowi wstyd i stanowiło zwyczajne przeinaczanie historii. Stąd projekt.

Mia miała świadomość, że wkracza na polityczne pole minowe. Założenia projektu były jednak szlachetne: gdyby udało się wykorzystać próbki DNA do ustalenia, że wszyscy mieszkańcy kraju, zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie, są spadkobiercami jednej kultury, jednego narodu, jednego plemienia, mogłoby to pomóc odwrócić odwieczne stereotypy i wywołać w kraju poczucie jedności. Z Mią miało pracować dwóch libańskich ekspertów: szanowany historyk, który wykładał na tutejszym uniwersytecie, oraz genetyk, który miał być jej asystentem. Pierwszy był chrześcijaninem, drugi muzułmaninem. Mia wkrótce się jednak zorientowała, że plemienne animozje mają dla mieszkańców tego regionu pierwszorzędne znaczenie i redefiniowanie historii niekoniecznie bywa przez nich przyjmowane z entuzjazmem.

Zsumowała plusy i minusy: z jednej strony wielkie trzy - zero na karku, brak męża i dzieci oraz kronika towarzyska smętna jak sklep monopolowy w centrum Kabulu, z drugiej -

intrygujący i szczerze wspierany finansowo projekt, który miałaby sama poprowadzić. Wybór był prosty, tym bardziej że pojawiła się przed nią szansa, żeby poznać lepiej swoją matkę.

Żeby naprawdę ją poznać.

Podpisała się więc nad wykropkowaną linią i szybko spakowała rzeczy, a potem równie szybko je rozpakowała i przez dwa miesiące oglądała CNN, czekając, aż skończą się walki, zostanie wreszcie podpisane zawieszenie broni i zniesiona blokada kraju.

- ZNAJDUJE SIĘ DOSŁOWNIE POD MECZETEM - opowiadała Evelyn.

- Być może to najstarsza kapliczka w historii ludzkości. Jest naprawdę zdumiewająca.

Zabiorę cię tam, jeśli masz ochotę. Ramez pochodzi z małego miasteczka nieopodal i usłyszał gdzieś o tym.

- I facet po prostu się tam pojawił, ni stąd, ni zowąd? Evelyn skinęła głową.

Mia przyjrzała się matce. Coś w mocnym, szczerym tonie jej głosu upewniło ją, że nie chodzi tylko o to, że nie jest skora do zwierzeń, że się nie myli, wyczuwając mimo wszystko w jej tonie pewne nerwowe drżenie.

- Trudno sobie wyobrazić, przez co musieli tam przejść - powiedziała ze smutkiem. -

Szukał pracy?

Evelyn skrzywiła się z zakłopotaniem.

- Tak. Coś w tym rodzaju. To... skomplikowane.

Wydawało się, że nie bardzo ma ochotę zagłębiać się w temat. Mia postanowiła to uszanować. Przyjęła odpowiedź Evelyn lekkim skinieniem głowy, po czym odwzajemniła półuśmiech i sama napiła się wina. Nastąpiła chwila krępującej ciszy, na szczęście po chwili pojawił się kelner, który napełnił kieliszek Mii resztką wina z wetkniętej w kubek z lodem butelki i zapytał, czy życzą sobie czegoś jeszcze.

Evelyn wyrwała się z zadumy i usiadła prosto na sofie.

- Która godzina?

Zerknęła na zegarek, a Mia spojrzała na kelnera i pokręciła głową. Kiedy odchodził, zauważyła stojącego przy barze, krótko ściętego mężczyznę o czarnych jak atrament włosach, głęboko osadzonych oczach i ospowatej twarzy, który palił papierosa i obserwował je kątem oka. Jego wzrok był zimny, ale wydawał się odrobinę za bardzo skupiony. Po chwili mężczyzna się odwrócił. Przebywała w Bejrucie dosyć krótko, wiedziała już jednak, że w mieście tym mężczyźni znacznie bardziej, niż była do tego przyzwyczajona, zwracają uwagę na jej ujmujące rysy twarzy, podkreślone wyraźnie cudzoziemskim powabem jasnej, lekko piegowatej skóry i blond włosów. Byłaby jednak nieszczerą, gdyby nie przyznała, że czuje się mile po-

łechtana rzucanymi wciąż w jej kierunku zalotnymi spojrzeniami. Również w tym wypadku potraktowałyby to jako komplement, zwłaszcza gdyby gapił się na nią jakiś przystojny męż-

czynna, tyle że nawet matka tego faceta nie nazwałaby go „przystojnym”, a w jego wzroku nie było ni cienia zalotności. Co więcej, jego ukradkowe spojrzenie wywołało u niej gęsią skórkę. Ale i to nie zdarzyło jej się w tym mieście po raz pierwszy - oprócz zachwyków, jej egzotyczny, cudzoziemski powab czasem wywoływał również niechęć, ponieważ wielu ludzi, odkąd niespodziewanie rozpętała się wokół nich brutalna wojna, przejawiało tu wrogość i nieufność w stosunku do cudzoziemców. Gość jednak w jakiś sposób nie pasował do tego miejsca, nie wyglądał na kogoś, kto wpadł tutaj, żeby przyjemnie spędzić czas, jego twarz była po prostu zbyt zimna, malował się na niej zbyt odległy

wyraz, jak u androida i...

Evelyn wstała nagle, ucinając mgliste, lekko paranoiczne rozważania Mii.

- Naprawdę muszę już iść. Nie wiem, co sobie myślałam - zbesztła sama siebie, podnosząc z sofy kurtkę i torebkę. Odwróciła się do Mii. - Przepraszam, naprawdę nie mogę się spóźnić na... Muszę się z kimś spotkać. Możemy poprosić o rachunek?

Mia wyczytała z twarzy matki, że naprawdę się spieszy.

- Idź. Zajmę się tym.

Evelyn zaczęła czegoś gwałtownie szukać w torebce.

- Przynajmniej zapłacę za...

Mia sięgnęła ręką i położyła ją na dłoniach matki, powstrzymując ją delikatnie.

- Nie przejmuj się. Po prostu idź. Zapłacisz następnym razem. Evelyn posłała w jej stronę uśmiech, w którym odmalowywało się wiele różnych uczuć - wdzięczność, troska, niepokój, a może nawet, pomyślała nagle Mia, czując jak coś ściska ją za serce, strach. Po czym pobiegła w stronę wyjścia.

Mia obserwowała, jak lawiruje wśród stałych klientów, którzy stali w rogu knajpy, i znikła w mglistych oparach tłumu. W barze wrzało jak w ulu. Wypełniali go zwyczajni klienci: mnóstwo pijący i jeszcze więcej palący. Mia zatopiła się w fotelu, niepewna, co o tym wszystkim myśleć. Omiotła spojrzeniem wnętrze baru i nagle zauważyła, że android również wychodzi.

Wydawało się, że się spieszy.

Za bardzo się spieszy.

Myśl ta uruchomiła w i tak już zaniepokojonym umyśle Mii dzwonek alarmowy.

Spróbowała podążyć za androidem wzrokiem i uniosła się nieco w fotelu, wyciągając za nim szyję, ale zdążył się już roztopić w morzu klientów tłoczących się przy barze i zasłaniających widok w stronę wyjścia.

Głowę Mii zaczęły zalewać myśli wypływające z najbardziej mrocznych zakątków jej wyobraźni. Wydawało jej się, że wnętrze baru nagle zaczęło się cofać i rozmywać w powietrzu. Dwie - a może trzy? - lampki wypitego wina bynajmniej nie polepszały sytuacji. Opadła z powrotem na fotel, oszołomiona i skołowana, i próbowała się uspokoić. I wtedy go zobaczyła.

Telefon komórkowy Evelyn.

Wetknięty w szparę z boku sofy. Wystawał z niej jednym końcem, ledwie widoczny.

Zaczęła przesuwać w myślach taśmę ze wspomnieniami z wieczoru - przypomniała sobie, że jak

tylko usiadły, matka wyjęła komórkę z torebki i położyła ją z boku na sofie, tak jakby czekała na jakiś telefon.

Mia nawet się nie zawahała.

Złapała za telefon i rzuciła się w pościg.

ROZDZIAŁ 5

Wybiegła z hotelu na ulicę i zobaczyła, jak szara taksówka marki Mercedes rusza wła-

śnie Rue Commodore. Przez tylną szybę zdołała jeszcze zauważyć tył głowy Evelyn. Wokół

hotelu kręciło się kilku taksówkarzy, starając się złowić klientów. Natychmiast podbiegli do niej i zaoferowali swoje usługi. W zamieszaniu obok Mii przejechał kolejny samochód, czarne bmw z czterema pasażerami - tym razem przez przednią szybę Mii śmignął widok androida z baru, który z grafitowoczarnymi oczami utkwionymi w taksówce Evelyn rozmawiał

przez telefon komórkowy. Opuchnięty od natłoku wrażeń umysł Mii pozbył się wszelkich wątpliwości: ktoś śledził Evelyn.

„To niedobrze”.

W jej przesączonej winem głowie zakolała oczywista myśl: zadzwoń do matki na komórkę. W tym samym momencie przypomniała sobie, że komórkę Evelyn trzyma w ręku.

„Świetnie”.

Spojrzała w lewo, potem w prawo, poczuła zastrzyk adrenaliny, który powoli zaczął

oczyszczać jej umysł, ale absurd sytuacji i nagle uświadomiona potrzeba szybkiego działania sprawiły, że na chwilę znowu straciła kontrolę nad myślami, a kakofonia i nakładające się na siebie krzyki taksówkarzy jeszcze bardziej ją zdezorientowały - wreszcie jednak złapała za rękę najbliższego kierowcę i krzyknęła:

- Gdzie masz samochód?

Łamaną angielszczyzną mężczyzna poinformował ją, że jego taksówka stoi tuż obok i wskazał ręką w stronę mercedesa - już pierwszego dnia pobytu w Bejrucie Mi a pomyślała, że musi ich tutaj być więcej niż we Frankfurcie - zaparkowanego kilka samochodów dalej po drugiej stronie ulicy.

Wskazała oddalające się bmw. Zdażyły się już za nie wślizgnąć dwa samochody.

- Widzisz ten wóz? Jedźmy za nim. Musimy ich złapać. Ok? Kierowca chyba nie zrozumiał i wzruszył tylko ramionami, rzucając ukradkiem zdziwione spojrzenie w stronę kolegów... Mia jednak popychała go już w kierunku taksówki.

- Szybko, jedziemy, yalla! - ponagliła nerwowo. - Musimy jechać za tym samochodem, rozumiesz? Jechać? Za samochodem? - Gestykulowała dziko i powoli sylabizowała poszczególne słowa, tak jakby w jakiś cudowny sposób mogło to sprawić, że jej obcy język stanie się dla kierowcy bardziej zrozumiały.

Nagle jednak coś w nim zaskoczyło: zrozumiał chyba, że niezależnie od tego, nad czym cudzoziemka się rozwodzi, jest to bardzo, bardzo pilne. Zaprowadził ją szybko do samochodu, posadził na tylnym siedzeniu, a sam wskoczył za kierownicę i po kilku sekundach mercedes ruszył z miejsca, włączając się w chaotyczny wieczorny ruch uliczny.

TAKSÓWKA URYWANYM RUCHEM zaczęła się przebijać przez wąskie, zatłoczone uliczki Zachodniego Bejrutu. Mia nachylała się daleko do przodu, właściwie siedząc kierowcy na plecach. Kiedy mijali Rue Commodore, ciskała ostrym jak rapier wzrokiem w stronę każdego kolejnego skrzyżowania, pragnąc się upewnić, że taksówka Evelyn gdzieś nie skręciła.

Wreszcie udało jej się wypatrzeć w oddali mercedesa, który właśnie zjeżdżał w prawo, w stronę placu Sanayeh.

Czarne bmw, trzymając się jeden wóz lub dwa samochody w tyle, podążyło w ślad za nim.

Mii wirowało w głowie. Chciała dotrzeć jakoś do kierowcy, wytłumaczyć mu, żeby trzymał dyskretny dystans, żeby nie tracił z widoku samochodu Evelyn, jednocześnie nie wzbudzając podejrzeń androida i jego kumpli - nie było to jednak łatwe do zakomunikowania, zwłaszcza jeśli chciało się to zrobić jedynie za pomocą kilku podstawowych gestów kierowca-nych do wstecznego lusterka.

Jednocześnie do głowy gwałtownie cisnęły jej się kolejne pytania. Dlaczego ktoś śledzi jej mamę? Kto ją śledzi? Może po prostu mają ją na oku? W końcu znajdowały się w kraju, w którym „tajna policja” działała - wbrew nazwie - całkiem jawnie, a po ostatniej wojnie cudzoziemcy na pewno stali się tutaj obiektem podejrzeń. To, jakie konkretnie zagrożenie mogłaby przedstawiać sześćdziesięcioletnia kobieta, umknęło jakoś uwadze Mii. A może ktoś chciał jej wyrządzić krzywdę? Porwać ją? Wprawdzie w Bejrucie od czasów Dzikiego Zachodu w latach osiemdziesiątych nie odnotowano żadnych wypadków porwania - po rozmowie z przedstawicielem fundacji Mia solidnie odrobiła pracę domową - ale sytuacja w całym regionie coraz bardziej wymykała się spod kontroli, a ekstremiści po obu stronach barykady ciągle wymyślali nowe sposoby zadawania bólu i dokonywania aktów przemocy, tak naprawdę więc nic już nie było nie do pomyślenia.

„W porządku, zaczynasz być śmieszna. Uspokój się. Ona jest profesorem archeologii, na litość boską. Mieszka tutaj od lat. To prawdopodobnie jakaś rutynowa sprawa. Oddasz jej telefon, ona sobie pojedzie dalej na spotkanie, a ty zdążysz do hotelu akurat, żeby sobie zobaczyć Jona Stewarta”.

To nie działało.

Działo się coś bardzo, bardzo złego.

Jeszcze raz powtórzyła w myślach cały wieczór i choć nie знаła zbyt dobrze swojej matki, wciąż była przekonana, że kiedy tylko usiadły do stolika, wyczuła w jej głosie zakłopotanie i tłumiony niepokój.

Zresztą i tak było cudem, że udało im się nawiązać choć tak słabą więź.

Mia, odkąd skończyła trzy lata, była wychowywana przez siostrę matki, Adelaide, i jej męża, Aubreya, w Nahant, na niewielkiej wyspie na północ od Bostonu, połączonej z lądem za pomocą prowadzącej przez groblę drogi. Spotykały się tylko w Boże Narodzenie, kiedy Evelyn odwiedzała rodzinę, oraz latem, gdy Mia wyjeżdżała do kolejnej dziury, w której grzebała jej matka.

Evelyn urodziła Mię w Bagdadzie. Wkrótce potem stało się dla niej jasne, że wycho-
wywanie córki w Iraku nie będzie łatwe. Na Bliskim Wschodzie samotna matka była wtedy narażona na wzgardę -
jawnie okazywaną lub skrytą. Również sytuacja polityczna nie była zbyt korzystna. Kiedy Mia miała
roczek, w krwawym zamachu stanu władzę w Iraku przejął

Saddam Husajn, który pogрузzył kraj w strachu i paranoi. Irak zerwał stosunki dyplomatyczne z Syrią,
a drobne potyczki na granicy z Iranem wkrótce, w 1980 roku, zamieniły się w trwają-

cą dziesięć lat wojnę. Dla nowego reżimu wykopaliska Evelyn były powodem do dumy, ona sama
była więc bezpieczna. Jednak sytuacja wokół niej z każdym dniem stawała się mniej ciekawa i
Evelyn w końcu postanowiła wyjechać do Kairu.

Egipt podbił serce Evelyn, a praca w tym kraju okazała się niezwykle satysfakcjonują-

ca. Jeśli jednak chodzi o szkoły i opiekę medyczną, to sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej.
Evelyn walczyła przez pierwszy rok, dokonując cudów zręczności, żeby połączyć macierzyństwo z
prowadzeniem wykopalisk i zapewnić Mii przyzwoite życie - mając jednocześnie świadomość, że
prędzej czy później będzie musiała dokonać wyboru. Kiedy Mia miała trzy lata, w kraju wybuchła
epidemia cholery, co ostatecznie - przekonało Evelyn, że nie może tam dłużej wychowywać córki.
Lekarstwa były trudno dostępne, dzieci umierały i Evelyn postanowiła umieścić Mię w jakimś
lepszym, bezpieczniejszym miejscu.

Sama myśl o opuszczeniu regionu bolała Evelyn. Na szczęście jej siostra, Adelaide, zaproponowała
kompromisowe, choć trudne, rozwiązanie. Ona i jej mąż mieli jedno dziecko, dziewczynkę pięć lat
starszą od Mii. Komplikacje przy porodzie sprawiły, że Adelaide nie mogła mieć więcej dzieci, choć
oboje z mężem gorąco tego pragnęli. Zastanawiali się nawet nad adopcją, kiedy Evelyn odwiedziła
ich na święta. Pewnego wieczoru, gdy plażę przed domem otulił dywan śniegu, Adelaide wyszła z
propozycją. Byli troskliwą, wypróbowaną parą -

oboje pracowali jako profesorowie w college'u - i Evelyn wiedziała, że Mia znajdzie dzięki nim
pełen miłości dom. I będzie miała siostrzyczkę.

Wywiązali się z obietnicy co do słowa i stworzyli Mii wspaniały dom. Poszła do college'u i jak to
często bywa w okresie dorastania oddaliła się od Evelyn.

A potem pojawił się ten projekt.

Prowadzone przez Mię badania nad DNA były dość blisko związane z bardziej tradycyjną pracą historyków i archeologów, sprowadzającą się do grzebania w kościach i kamieniach. W projekcie uczestniczyło wprawdzie kilku lokalnych ekspertów od Fenicjan, ale jednocześnie wielu informacji, których Mia potrzebowała, mogła jej bez problemu dostarczyć Evelyn. Zdzwoniły się więc już pierwszego dnia po przybyciu Mii do Bejrutu i zainicjowały nowy etap znajomości, przypominający bardziej nieśmiałą przyjaźń niż relację matki z córką.

Mia chciała zbliżyć się jakoś do matki, ale Evelyn stanowiła twardy orzech do zgryzienia. Na każdym kroku wykazywała instynkt badacza i ciekawość w stosunku do ludzi, sama jednak rzadko kogokolwiek do siebie dopuszczała. Mia dzieliła z nią pewne fascynacje, ale była znacznie bardziej otwarta - zbyt otwarta, zdaniem swojej matki. Początkowo Mia doszła więc do wniosku, że Evelyn jest zimna i powściągliwa, i wydawało jej się, że pozostaną po prostu na etapie bliskiej współpracy. Jednak po kilku długich wyprawach samochodem do różnych odległych stanowisk archeologicznych oraz po kilku suto zakrapianych arakiem kolacjach w tradycyjnych górskich techszibis, Mia z zaskoczeniem i radością odkryła, że w operatywnej, chłodnej i racjonalnej archeolog, jaką była dla niej Evelyn Bishop, czai się również wielkie ludzkie serce.

Nad którym właśnie rozciągnął się cień, rzucony przez ludzi o niejasnych intencjach.

MIA OPANOWAŁA NIEPOKÓJ i skupiła się na wydarzeniach na drodze. Na chwilę straciła z oczu mercedesa, który jednak pojawił się znowu pięć samochodów przed nią. Sunął przez miasto, z przyczajonym na ogonie cieniem.

Taksówka Evelyn zjechała z obwodnicy w stronę śródmieścia. Na odbudowę spustoszonego w czasie wojny domowej centrum starego miasta nie żałowano środków, obfitowało więc ono teraz w różnego rodzaju pasażerów handlowe i restauracje. Mercedesowi i bmw udało się jakoś przedrzeć przez skrzyżowanie, za to taksówkę Mii nagle otoczyły samochody nadjeżdżające skłębioną ławą z prowadzących w trzech różnych kierunkach ulic, odcinając ją od celu.

Mia gwałtownymi gestami i okrzykami zaczęła poganiać kierowcę, na przemian strasząc go i błagając, taksówkarz ruszył więc do przodu, torując sobie drogę przez gąszcz otaczających ich błotników i zderzaków. Piętnaście przekleństw i kilka złorzeczeń później wreszcie udało mu się przebić przez korek.

Im bardziej zbliżali się do strefy dla pieszych, tym gęstszy stawał się ruch. W końcu Mii udało się wypatrzeć, że około stu metrów przed nimi Evelyn wysiada z taksówki i znika powoli na jednym z deptaków.

- Tam, to ona - zawołała, wskazując palcem znikającą postać, ale w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że taksówka znowu utknęła i poziom adrenaliny gwałtownie w niej opadł. Między nią a Evelyn rozciągało się morze innych unieruchomionych pojazdów, gęste na trzy samochody, i wstrzymywane moją gestem przez jednego policjanta, który pozwolił właśnie toczyć się ciężko i walczyć o życie strumieniowi z poprzecznej ulicy.

Mia spojrzała w lewo, a potem w prawo, usiłując ocenić, co powinna zrobić. Nagle zauważyła, że android i jakiś inny mężczyzna wysiadają z bmw, które również ugrzęzło w korku, i zaczynają przemykać między samochodami, zmierzając w kierunku, w jakim udała się Evelyn. Wszędzie wokół było mnóstwo ludzi - w Bejrucie kolację jadło się zawsze po dziewiątej, czasem nawet później, a w taki jak ten łagodny październikowy wieczór restauracje i ogródki w śródmieściu były szczególnie popularną atrakcją, pozostając otwarte do późnych godzin nocnych. Mia stanęła przed dylematem, który nagle przestał być dla niej tylko wyborem teoretycznym: czym innym było nadal próbować śledzić Evelyn ze względnie bezpiecznego miejsca w samochodzie, w towarzystwie całkiem niezłe zbudowanego taksówkarza, czym innym rzeczywiście ją dogonić, ściągając jednocześnie na siebie uwagę śledzących Evelyn zbirów.

Właściwie nie miała wyboru.

Sięgnęła do kieszeni, wcisnęła kierowcy w dłoń dziesięciodolarowy banknot - amerykański dolar był ulubioną walutą w Libanie - po czym z duszą na ramieniu wyskoczyła z samochodu i pobiegła przez korek, mając nadzieję, że instynkt całkowicie ją zawodzi, i zastanawiając się jednocześnie, co też się stanie, jeśli jednak nie.

ROZDZIAŁ 6

Odkąd w Zabqine Faruk zniknął Evelyn z oczu, w głowie gotowało jej się od pytań.

Irakijczyk dotrzymał obietnicy i czekał na nią przy wieży zegarowej na środku Place de l'Etoile, nerwowo paląc papierosa. Wieża liczyła sobie niecałe sto lat i była świadkiem najgorszych scen wojny domowej, którą jednak dziwo, udało się jej przetrwać, mimo że wyrastała na samej osławionej „Zielonej Linii” oddzielającej Wschodni Bejrut od Zachodniego Bejrutu. Prawie piętnaście lat po tym, jak jej przepiękne tureckie krenelaże zostały skrupulatnie zrekonstruowane, stała teraz jak wartownik, obserwując miasto, które znowu kipiało od gniewu i gwałtu. Z wszystkich jej stron powiewały flagi Libanu i transparenty z płomiennymi antywojennymi hasłami, a na jej podstawie wisiały obrazy i grafiki przedstawiające okropieństwa niedawno zakończonej wojny.

Faruk dobrze wybrał miejsce spotkania. Plac roił się od ludzi. Niektórzy z nich zatrzymywali się przy wystawie w pełnym szacunku milczeniu, inni przechodzili niefrasobliwie obok z torbami z zakupami w rękach lub rozmawiając przez telefony komórkowe. W takim tłumie łatwo było pozostać niezauważonym, co bardzo im odpowiadało. Po drugiej stronie placu stał budynek parlamentu, strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy, co również liczyło się na plus.

Kiedy Evelyn podeszła do Faruka, Irakijczyk zgasił papierosa i rzuciwszy trwożliwie wzrokiem przez ramię, złapał ją za rękę i poprowadził w stronę jednego z pasaży rozchodzących się promieniście od placu.

Evelyn zrezygnowała ze wstępów i natychmiast przeszła do rzeczy.

- Faruk, co się dzieje? Jak mam to rozumieć, że Hadż Ali zginął z powodu księgi? Co mu się stało?

Faruk zatrzymał się na osłoniętym od hałasu rogu ulicy, tuż przy zniszczonej galerii.

Odwrócił się do Evelyn, drżącymi palcami wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił go. Na jego twarzy położył się cień - najwyraźniej walczył z bolesnymi wspomnieniami.

- Kiedy Abu Barzan, mój znajomy z Mosulu, pokazał mi, co próbuje sprzedać, i zobaczyłem księgę z Uroborosem, natychmiast pomyślałem o pani. Resztę... Było tam kilka cał-

kiem niezłych dzieł sztuki, bez wątpienia, wiedziałem jednak, że nie będzie pani zainteresowana udziałem w czymś takim. Ale musi pani zrozumieć, że te pozostałe przedmioty, że to one były tak naprawdę wartościowe, a przecież ja, jak już mówiłem, musiałem zdobyć tyle pieniędzy, ile tylko się da, żeby wydostać się z tego przekłętego miejsca na dobre. Spróbowa-

łem skontaktować się z kilkoma klientami, którzy - powiedzmy, mieli mniej skrupułów niż pani, ale prawdę mówiąc, niewielu już mi ich pozostało. Powiedziałem więc o tym Alemu.

Miał kilka dobrych kontaktów, inną klientelę niż moja, taką, która nie zadaje zbyt wielu py-tań... Poza tym spieszyłem się, bo musiałem za wszelką cenę znaleźć kupca, zanim zrobi to Abu Barzan, nawet gdyby trzeba się było podzielić zyskiem z kimś trzecim, takim jak Ali.

Wie pani, połowa jest zawsze lepsza niż nic, a gdyby Abu Barzanowi udało się sprzedać towar przede mną, zostałbym z niczym. Powiedziałem o tym Alemu i dałem mu kopie zdjęć, które dostałem od Abu Barzana. - Faruk pokręcił głową, tak jakby sam siebie chciał zgromić za ten straszliwy błąd. - Kopie wszystkich zdjęć.

Zaciągnął się głęboko dymem, tak jakby zbierał siły do trudniejszej połowy opowie-
ści.

- Nie wiem, komu je pokazał, ale niecały tydzień później przyszedł do mnie i powiedział, że ma kupca, który zgodził się kupić wszystko za żadaną przez nas cenę. Wszystko. Nie chciałem, żeby sprzedawał księgę - wiedziałem, że kiedyś była pani zainteresowana wszystkim, na czym znajdował się ten symbol, i pomyślałem, że mogę dzięki niej namówić panią do pomocy przy upłynnieniu reszty albo przynajmniej znalezieniu pracy tutaj, w Bejrucie, kaza-

łem więc Alemu powiedzieć kupcowi, że może dostać wszystkie pozostałe przedmioty, które są na zdjęciach, wszystkie oprócz tej księgi, za obniżoną cenę. Ali zgodził się ze mną, że to rozsądna kontrpropozycja - już dwie alabastrowe figurki z kolekcji były warte znacznie wię-

cej, niż chcieliśmy za całość, a co do księgi, to cóż... Na pewno kupiec machnie na nią ręką. -

Przełknął ślinę. - Nie mogliśmy się bardziej mylić.

Przez tydzień nie miałem od niego żadnych wieści i nagle pewnego ranka zadzwoniła do mnie jego żona. Szalała ze strachu. Powiedziała, że jacyś mężczyźni przyszli do niego do sklepiku. Według niej nie byli Irakijczykami. Uważała, że to Syryjczycy i że mogli być... -

Faruk potarł grzbiet nosa, tak jakby samo to słowo wywoływało u niego fizyczny ból.

- Muchabarat.

Muchabarat.

Termin ten był wszechobecny w tej części świata i zwykle wypowiadano go ostroż-

nym, ściszonej tonem. Kiedy Evelyn wiele lat wcześniej po raz pierwszy odwiedziła Bagdad, „Muchabarat” było pierwszym słowem, jakiego się nauczyła. W dosłownym sensie oznaczało ono po prostu „informację” albo „komunikację”, nikt jednak nie używał go w tym kontekście. Teraz już nikt. Teraz, kiedy zaczęto go używać jako skrótową nazwę tajnej policji, jako określenie na „dostarczycieli informacji”, bez których żaden tyran nie był w stanie rzą-

dzić. Oczywiście tego typu agencje nie występowały tylko na Środkowym Wschodzie. W zatrważającym brutalnym nowym świecie XXI wieku prawie wszystkie kraje - z wyjątkiem być może Liechtensteinu - wydawały się beztrudnie korzystać z ich usług, a one same traktowały swoje ofiary z barbarzyństwem, przy którym obłąkańcze praktyki Ivara Bez Kości wydawały się dziecinną igraszką.

- Trzymali ją na zewnątrz, a dwóch z nich rozmawiało z Alim - dodał smętnie Faruk. -

W pewnym momencie usłyszała jakieś krzyki. Chcieli wiedzieć, gdzie są dzieła sztuki. Uderzyli go kilka razy, a potem wyciągnęli ze sklepienia, wpełchnęli do samochodu i odjechali. Zabrali go, tak po prostu. Ostatnio w Iraku ciągle się to zdarza, ale tym razem nie chodziło o politykę. Zanim odjechali, żona Alego podsłuchiwała, jak mówili coś o zdjęciach. O kopiach, które mu dałem. To oni byli kupcami, sitti Evelyn, albo raczej, co bardziej prawdopodobne, działali w imieniu potencjalnego kupca. I jeden z nich powiedział do drugiego: „On chce tylko tę księgę. Resztę możemy sami sprzedać”. „Tylko księgę”, sitti Evelyn. Rozumie pani?

Evelyn poczuła w gardle piekące nudności.

- I zabili go?

Faruk ledwie był w stanie wydobyć z siebie głos.

- Tego wieczoru znaleziono jego ciało wrzucone do rowu obok drogi. Było... - Pokrę-

cił głową i się skrzywił. Najwyraźniej myśl ta przez cały czas go prześladowała. Westchnął i dokończył: - Użyli wiertarki.

- I co zrobiłeś?

- A co mogłem zrobić? Ali nie wiedział o Abu Barzanie. Nie powiedziałem mu, skąd pochodzą zabytkowe przedmioty. Znam go dobrze, ale czasy są teraz ciężkie, żyjemy w cięż-

głym strachu i paranoi, i ze wstydem muszę przyznać, że nie ufałem mu na tyle, żeby mu powiedzieć o Abu Barzanie. Bałem się, że dogadają się za moimi plecami.

Evelyn wiedziała, do czego zmierza.

- Co oznacza, że Ali mógł im powiedzieć tylko o tobie.

- Właśnie. Dlatego uciekłem. Jak tylko odłożyłem słuchawkę, spakowałem kilka rzeczy i wyszedłem. Miałem w domu trochę pieniędzy - wszyscy przechowujemy je teraz w domu, bo banki nie są już bezpieczne. Niedużo, tyle, żeby wydostać się z Bagdadu i przekupić strażników na posterunkach granicznych. Zabrałem je więc i uciekłem. Ukryłem się w domu przyjaciela. Tego samego wieczoru znaleziono ciało Alego i wiedziałem już na pewno, że będą szukać i mnie. Wyjechałem z kraju. Jechałem kilkoma autobusami, płaciłem za pod-wiezienie kierowcom ciężarówek - jak tylko się dało. Najpierw dotarłem do Damaszku. Była to mniej oczywista trasa niż przez Amman i bliżej stamtąd do Bejrutu, w którym chciałem skontaktować się z panią. Zobaczyć się z panią. Poprzytałem na uniwersytecie, gdzie powiedziano mi, że pojechała pani do Zabqine. Nie mogłem czekać. Musiałem się z panią zobaczyć.

Evelyn nienawidziła się za pytanie, które musiała teraz zadać. Mimo że robiło się jej niedobrze, kiedy myślała o potwornym losie, jaki spotkał Alego, oraz mimo głębokiego współczucia dla Faruka - nie tylko z powodu jego aktualnego żalostnego położenia, ale również ze względu na koszmar, przez który musiał przejść w ciągu ostatnich kilku lat - nie potrafiła przestać myśleć o zdjęciu.

W końcu udało jej się zapanować nad sprzecznymi uczuciami.

- A co z księgą? Widziałeś ją? Wiesz, gdzie jest? Faruka, jak się zdaje, pytanie wcale nie uraziło.

- Kiedy przyszedł do mnie Abu Barzan, poprosiłem go, żeby mi pokazał kolekcję, ale nie miał jej przy sobie. Podróżowanie z tak cennymi przedmiotami było niebezpieczne. Za dużo blokad ulicznych i bojówek.

Domyślam się, że ukrył je gdzieś w swoim sklepiku albo w domu, w jakimś bezpiecznym miejscu. Wydobędzie z niego kolekcję dopiero wtedy, gdy znajdzie kupca, i wywiezie za granicę, gdzie łatwiej jest sfinalizować transakcję. Do Turcji albo Syrii. Najprawdopodobniej do Turcji, bo bliżej do niej z Al-Mawsilu, żeby nie ryzykować przeprawy przez Bagdad. Evelyn przychodziły do głowy coraz to nowe pytania.

- Ale skąd on to wszystko wziął? Nie powiedział ci, gdzie to znalazł? Faruk nie odpowiedział. Spojrzał Evelyn przez ramię i nagle w jego oczach błysnął strach. Złapał ją za rękę.

- Musimy iść. Teraz.

Przez ułamek sekundy jego słowa do niej nie docierały. Wydawały się wisieć w powietrzu, jak jakaś równoległa prowadzona rozmowa, która w ogóle jej nie interesowała, która nie mogła jej interesować, jak rozmowa, której przyglądała się jedynie z boku. Potem poczu-

ła, że odwraca głowę, prawie odruchowo, bezwiednie, podążając za wystraszoną wzrokiem Faruka, i zobaczyła dwóch krępych mężczyzn, tych samych, których zapamiętała jak przez mgłę z porannej wyprawy, przeciskających się energicznie przez tłum z ustami zaciśniętymi pod gęstymi

wąsami w wąskie linie, z oczami jak ciemne szparki w ospowatych hełmach i równie jak hełmy pozbawionymi oznak życia, i zmierzających prosto w ich kierunku.

Faruk pociągnął Evelyn za sobą, prawie wyrywając jej rękę ze stawu, i zaczął się przeciskać przez niczego niepodświadomy tłum.

ROZDZIAŁ 7

Mia przechodziła ostrożnie przez tętniący życiem pasaż, rozpaczliwie przeczesując wzrokiem tłum w poszukiwaniu matki i jednocześnie starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Czuła krążącą w żyłach adrenalinę. Straciła kilka cennych sekund, przepychając się przez spiętrzoną falę samochodów, żeby okrążyć zablokowane bmw, i kiedy wreszcie dotarła do strefy dla pieszych, android i jego kumpel zniknęli już jej z oczu. Dotarłszy do końca krytego pasażu, nie miała wyboru i musiała wychylić się spod względnie bezpiecznej kolumnady, wkraczając w otwartą przestrzeń placu, który opadał łagodnie w stronę wieży zegarowej. Powietrze wokół niej było przesycone drażniącą mieszaniną nastroju niezłomnego świętowania i ciągle żywego smutku. Mając nadzieję, że uda jej się przemknąć niezauważenie, z dłońmi spoconymi ze strachu wkroczyła między dwa rzędy restauracji, wzrokiem szukając ciągle ja-kiegokolwiek śladu po matce lub jej prześladowcach.

Tłum na chwilę rozsunał się przed nią i serce zamarło jej w piersi, bo zobaczyła matkę, która sto metrów dalej rozmawiała z kimś, kogo Mia po raz pierwszy widziała na oczy.

Poczuła ulgę - Evelyn stała i gawędziła z człowiekiem, którego najwyraźniej znała, wszystko było więc w jak najlepszym porządku - nagle jednak zauważyła, że mężczyzna na coś reaguje, ciągnie matkę za rękę i oboje zaczynają uciekać.

Gwałtowność jego reakcji wstrząsnęła Mią. Szybko omiotła wzrokiem plac i w połowie drogi między sobą a Evelyn dostrzegła androida oraz jego kumpla, którzy wprawdzie nie biegli, ale poruszali się tak szybko, jak tylko mogli, żeby nie zwracać na siebie za bardzo uwagi.

Przeszył ją strach, jakiego nie odczuwała jeszcze nigdy w swoim spokojnym życiu, to-czącym się w bezpiecznych murach uniwersytetu. Poczuła się przygwożdżona do podłoża.

Chciała wołać o pomoc, ale wokół nie dostrzegała żadnej znajomej twarzy, do której mogłaby się zwrócić, żadnego policjanta, którego mogłaby wezwać. Nie miała też czasu na myślenie.

Odrzuciła strach na bok, przywołała nogi do porządku i rzuciła się w pościg.

FARUK I EVELYN UCIEKALI PRZEZ PLAC, przebijając się przez tłum bez jakiegoś konkretnego planu ucieczki w głowach. To jedno, to drugie rzucało co chwilę przez ramię przerażone spojrzenie w stronę swoich nieugiętych prześladowców, starając się jednocześnie utrzymać odpowiedni dystans.

- Faruk, zatrzymaj się! - zawołała Evelyn piskliwym ze zdenerwowania i paniki głosem. - Wokół nas są ludzie. Nic nam tutaj nie zrobią.

- Im jest wszystko jedno! - odkrzyknął, zwalniając nieco. Zaryzykowałby może, gdyby w zasięgu ich wzroku znajdowali się przynajmniej żołnierze ochraniający parlament, ale w momencie, kiedy zauważył pościg, mężczyźni zagradzali im już drogę do wartowników i nie było sposobu, żeby wrócić do nich z Evelyn okrężną drogą.

Nagle wzrok Faruka przyciągnął jakiś ruch w rozciągającym się z przodu tłumie. Kolejny mężczyzna, z podobnie zaciśniętymi ustami i o podobnie lodowatym spojrzeniu. Zmierzał spokojnym krokiem w stronę Faruka i Evelyn, sięgając ręką do wewnętrznej kieszeni kurtki. Faruk był pewien, że wymacał tam rękojęść schowanej w kaburze broni.

W tym samym momencie Irakijczyk zauważył z lewej strony jakąś ulicę. Zanurkował

w nią. Biegła około stu metrów w górę, prowadząc do meczetu stojącego przy samej krawędzi strefy dla pieszych.

Evelyn potknęła się na zakręcie, ale szybko odzyskała równowagę. Z trudem łapała oddech, zaczynały ją już boleć nogi i było jasne, że dłużej nie wytrzyma takiego tempa. Była w całkiem niezłej kondycji jak na sześćdziesięciolatkę, nie mogła jednak biec bez końca.

Uciekali dalej, zostawiwszy za sobą gwar i jasne światła placu, a ich kroki odbijały się echem w tunelu ciemności, która zniemacka ich otoczyła.

Nagle Evelyn uderzyła pewna myśl. Faruk nie wiedział, dokąd biegnie. Nie znał zbyt dobrze Bejrutu, w ogóle go nie znał, więc bezsensu było, że to on ją prowadzi. Evelyn dość dobrze orientowała się w śródmieściu, choć nie przypominała sobie akurat tej uliczki, pomy-

ślała więc, że rozsądniej byłoby jednak trzymać się dalej tłumu. Poza tym bieganie pod górkę, nawet po lekko tylko stromym zboczu, z pewnością nie przyspieszało ucieczki.

- Faruk, posłuchaj! - zawołała, łapiąc oddech. - Musimy odszukać jakichś policjantów, kogoś, kto nas obroni...

- Nikt nas nie obroni! - odkrzyknął Faruk łamiącym się głosem. - Nie przed nimi, nie widzi pani? Musimy znaleźć taksówkę, jakiś samochód, cokolwiek...

Głos mu zamarł, bo nagle usłyszeli za plecami miarowy stukot czyichś pospiesznych kroków, przecinający nocne powietrze i odbijający się echem od pobliskich murów. Męż-

czyzna z bronią dołączył do kumpli i wszyscy trzej usiłowali teraz otoczyć Faruka i Evelyn, nie przejmując się już tym, że mogliby przyciągnąć czyjąś uwagę.

Evelyn z każdym krokiem poruszała się wolniej i już miała się poddać, kiedy nagle zobaczyła z prawej strony wąską boczną uliczkę biegnącą wzdłuż muru meczetu. Wpadała ona do Rue Weygand, jednej z głównych alei, która pulsowała o tej porze wieczornym ruchem i na której było mnóstwo taksówek.

Widok dodał jej sił, podobnie zresztą jak Farukowi.

- Biegniemy - zawołał Irakijczyk, po czym oboje skęcili gwałtownie w prawo i wpadli w opustoszałą uliczkę, dysząc ciężko i zmiierzając w stronę rysujących się w dali, oznaczających być może ocalenie jasnych światła.

Byli już w połowie drogi, kiedy Evelyn zobaczyła, jak w uliczkę skręca jakiś samochód i rusza w ich stronę.

Czarne bmw.

Faruk pobiegł w stronę samochodu i zaczął machać przed nim gwałtownie rękami, wykrzykując głośno regionalny odpowiednik słowa: „Pomocy!”. Evelyn zwolniła trochę, tknięta nagłym złym przeczuciem. Widziała za szybą sylwetkę siedzącego w samochodzie mężczyzny, obrysowaną padającym na niego zza pleców światłem. Wyglądał, jakby trzymał

przy uchu telefon.

Coś jej podpowiadało, że nie znalazł się tutaj przypadkiem.

- Faruk! - zawołała. - Zaczekaj!

Faruk zahamował gwałtownie i odwrócił się do niej, zdyszany i zdezorientowany.

Evelyn spoglądała podejrzanie na samochód, który nagle zatrzymał się na środku uliczki z pracującym ciągle złowieszczo na półobrotach silnikiem. Po chwili kierowca włączył długie światła, zalewając okolicę ostrym, zimnym strumieniem.

Evelyn cofnęła się kilka kroków, osłaniając dłonią oczy przed oślepiającą luną, i nagle jej uwagę przykuł jakiś hałas za plecami. Odwróciła się i dostrzegła trzech ścigających ich mężczyzn, którzy wbiegli właśnie w uliczkę. Zatrzymali się na jej widok. Jeden z nich miał w ręku składany telefon, który po chwili zamknął i schował do kieszeni. Rozejrzał się wokół, upewniając się, że okolica jest czysta, i skinął głową do kumpli. Evelyn usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, że kierowca wychodzi z samochodu.

Spojrzała na Faruka. Stał ciągle w miejscu, sparaliżowany strachem, wpatrując się w zbliżających się do nich czterech drapieźników. W tle było słychać pomruk silnika czarnego bmw, które z otwartymi drzwiami czekało na nich jak jakaś wygłodniała zjawa.

Zaczęła krzyczeć.

ROZDZIAŁ 8

W momencie, gdy Mia docierała do muru meczetu, usłyszała krzyk matki. Spojrzała w głąb uliczki i zobaczyła dwóch mężczyzn walczących z Evelyn. Stali w połowie uliczki, sześćdziesiąt metrów od Mii. Zmrużyła oczy, chroniąc je przez jaskrawym światłem reflektorów samochodu, myśląc jednocześnie o tym, że chyba rozpoznaje charakterystyczną kratownicę wlotu powietrza bmw.

Evelyn krzyczała i kopała androida, który dłonią próbował zakneblować jej usta.

Ugryzła go, po czym ostro zaatakowała torebką, co tylko jeszcze bardziej go pobudziło. Zła-pał za torebkę, wyrwał ją Evelyn z ręki i rzucił na ziemię, po czym brutalnie uderzył kobietę w plecy. Evelyn aż się zatoczyła.

Bliżej Mii Faruk opierał się o biegnący wzdłuż uliczki zewnętrzny mur meczetu. W

świecie reflektorów wyglądał jak zapędzone w przysłowiowy kozi róg zwierzę. Napierało na niego dwóch napastników - android i mężczyzna, którego Mia zobaczyła dopiero teraz.

Pierwszy z nich podniósł dłoń na wysokość twarzy i wyciągnął palec w ostrym, groźnym geście.

Mia zeszywniała. Instynkt ucieczki wzywał ją, żeby przykucnęła przy murze i trzymała się z dala od jatki. Instynkt walki, zanim jeszcze zdołał się w niej objawić, został zmuszony do uległości przez zdrowy rozsądek. Mężczyźni mieli nad nią zdecydowaną przewagę, a ponieważ raczej nie przypominała Batgirl, nie była w stanie wymyślić niczego, co mogłaby w tej sytuacji zrobić.

No, prawie niczego.

Mogła zrobić coś elementarnego. Pierwotnego. Niezbyt twórczego czy zuchwałego.

Być może niebezpiecznego.

Zdecydowanie niebezpiecznego, jak sobie szybko uświadomiła, ale coś przecież musiała zrobić.

Wydarła się wniebogłosy.

- Mamo! - krzyknęła najpierw. A potem dodała: - Pomocy!

Kotłowanina w głębi uliczki nagle zamarła, tak jakby ktoś w niebiańskim magnetowidzie wcisnął kosmiczną pauzę. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę Mii. Na twarzach porywaczy wymalował się wyraz wściekłego zdziwienia, mężczyźni, który szamotał się z Evelyn, opadła ze zdumienia szczęka, a Evelyn wbiła w Mię na krótką chwilę oczy z wyrazem takiej rozpacz i wdzięczności, że Mia nigdy już tego nie zapomni.

Stopklatka nie trwała jednak długo i wszyscy szybko wrócili do życia: mężczyźni walczący z Evelyn podwoili wysiłki, żeby wepchnąć ją do samochodu, a android zostawił Faruka i ruszył w stronę Mii.

Cofnęła się niepewnie kilka kroków, po czym jej instynkt samozachowawczy wreszcie przeżył chwilę triumfu. Rzuciła się w stronę meczetu, wyciskając z odrętwiałych nóg ostatni atom energii i wrzeszcząc ciągle jak opętana. Rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię i zobaczyła, że znajomy Evelyn wymyka się swojemu zbirowi, który napierał na niego i próbował go zepchnąć w bok, po czym rzuca się w przeciwnym kierunku i przecina drogę, zmierzając w kierunku niezabezpieczonego od strony pasażera samochodu.

Android głosem, który zmroził jej krew w żyłach, krzyknął w jej stronę coś po arabsku i wkrótce usłyszała jego szybkie kroki, zbliżające się do niej od tyłu. Minęła zakręt i niemal wpadła na dwóch żołnierzy armii libańskiej, którzy w tym samym momencie wyłonili się zza rogu muru. Musieli przybiec z niewielkiej budki wartowniczej, którą Mia dostrzegła przed głównym wejściem do meczetu. Złapała jednego z nich za ramię i usiłując złapać oddech, wskazała ręką w stronę androida,

który nagle pojawił się u wylotu ulicy.

Android zahamował gwałtownie, zaskoczony widokiem żołnierzy.

- Moja matka. Porwali ją. Proszę, pomóżcie nam - zaczęła krzyczeć Mia, szukając w oczach żołnierza choćby śladu zrozumienia. Ten patrzył na nią przez chwilę podejrzliwie, po czym chłodnym gestem odsunął ją na bok i jedną ręką sięgając po broń, krzyknął do androida coś, co zabrzmiało jak rozkaz. Android zdecydowanym, ale uspokajającym ruchem podniósł

rękę i odkrzyknął mu coś tonem, który zmroził Mię - niemal zgromił żołnierza, tak jakby był

prowadzącym musztrę sierżantem. Co gorsza, sięgnął jednocześnie drugą ręką za plecy. Mia odwróciła się w panice do żołnierza, ale szybko się uspokoiła: na jego twarzy nie zauważyła nawet cienia zakłopotania. Krzyknął coś w odpowiedzi androidowi i podniósł broń - i nagle z jego klatki piersiowej wytrysnęła fontanna krwi, jakaś siła cisnęła jego ciałem o mur meczetu, a w uszach Mii eksplodowały dwa ogłuszające strzały.

Mia oderwała wzrok od upadającego żołnierza, odwróciła się szybko i zobaczyła, że android znowu bierze kogoś na cel. W tym samym momencie ocalały żołnierz złapał ją i pchnął w dół w stronę muru, drugą ręką samemu unosząc broń w stronę przeciwnika. Pistolet androida wypalił kilka razy i kule głośno wbiły się w mur obok Mii, wyrwijąc z niego ka-wałki kamienia, które z łoskotem upadły na ziemię. Żołnierz również zaczął strzelać, musiał

jednak spudłować, ponieważ Mia zobaczyła, że android znowu oddaje kilka strzałów, po czym zawraca i znika w uliczce.

Żołnierz zerwał się na nogi i podbiegł do leżącego partnera. Mia ostatkiem sił podniosła się z ziemi i chwiejnym krokiem dołączyła do nich. Widok przyprawił ją o mdłości. Ranny żołnierz wydawał się martwy. Jego twarz była poplamiona krwią, a oczy w oszłomieniu wpatrywały się w pustkę. Drugi żołnierz wyrzucił z siebie kilka wściekłych słów, po czym gestem kazał Mii trzymać się z boku i popędził za androidem. Mia spojrzała na niego w osłupieniu i odwróciła się z powrotem w stronę leżącego na ziemi zakrwawionego martwego cia-

ła. Ciągle w szoku, nie potrafiła zmusić się, by zostać sama.

Wbiegając na uliczkę, usłyszała pisk opon. Jakieś dziesięć metrów od niej z podniesioną bronią biegł żołnierz, nie miał jednak szans. Bmw już na niego nacierało. Oddał kilka rozpaczliwych strzałów, po czym ogromny samochód uderzył w niego, wyrzucając go w górę niczym szmacianą lalkę. Obrócił się w powietrzu i upadł przednią szybę jak pająk, po czym odbił się od dachu i bagażnika wozu i z głuchym łoskotem wylądował na ulicy.

Mia była następna.

Zrobiła unik i rzuciła się za zakręt muru dokładnie w momencie, gdy z wylotu uliczki wyskoczyło w górę bmw. Jego zderzak zaczął o ścianę kilka centymetrów od Mii, wypeł-

nając powietrze ogłuszającym zgrzytem kamienia pocieranego o metal, po czym samochód skręcił

gwałtownie w prawo i popędził w stronę meczetu. Mia zdążyła dostrzec w środku wszystkich czterech mężczyzn - androida i kierowcę z przodu, a dwóch pozostałych zbiorów z tyłu - oraz swoją matkę, wciśniętą między tych ostatnich.

Po towarzyszu Evelyn nie było już śladu.

Mia, utykając, wyszła zza muru. Ulica znowu była pogrążona w martwej ciszy, tak jakby nic się nie wydarzyło. Nie wiedziała, co robić. Zauważyła drugiego żołnierza, który le-

żał kilka metrów dalej, na uliczce. Za nim dostrzegła należącą do matki torebkę, której zawartość rozsypała się po ziemi, i trochę dalej but. Podeszła do żołnierza, nagle uświadamiając sobie, że całe jej ciało się trzęsie. Leżał tam, na ziemi, wykręcony w nienaturalnej pozycji, a z jego ust sączyła się strużka krwi. Spojrzał na nią obolałymi oczami i zamrugał.

Pod Mią ugięły się kolana. Uklękła obok i się rozpłakała.

ROZDZIAŁ 9

Kolejne kilka godzin Mia zapamiętała jak przez mgłę. Siedziała w ascetycznie urządzonej pokoju przesłuchań posterunku policji Hobeish przy Rue Bliss i było jej niedobrze.

Sytuacji nie poprawiało to, że pokój o gołych betonowych ścianach był zimny i wilgotny.

Ciągle się trzęsała, choć najpewniej był to raczej wynik szoku i strachu. Próbowała skupić się na tym, co tylko w tej chwili tak naprawdę się liczyło: uwolnieniu matki. Nie była jednak pewna, czy do dwóch detektywów siedzących naprzeciw niej przy stoliku lub do wzburzonych policjantów, to wpadających do pomieszczenia, to z niego wybiegających, cokolwiek docierało.

Zostawiła zakrwawionego żołnierza, powłokła się jak zombie w stronę głównej, zatłoczonej drogi, do której wpadała uliczka, i po prostu stanęła przy niej cała we łzach i z podniesionymi rękami. Coś w jej umęczonej twarzy musiało przyciągnąć uwagę przejeżdżających osób, bo samochody jeden za drugim zaczęły się zatrzymywać, a ich kierowcy oferować pomoc. Wkrótce zjawiała się i kawaleria - kilka pojazdów z uzbrojonymi funkcjonariuszami oddziałów specjalnych policji Fuhud. Cicha boczna uliczka szybko przeobraziła się w hałaśliwe, chaotyczne zoo. Postrzelony żołnierz był martwy. Ten, którego staranował samochód, ciągle się trzymał, szybko więc zabrała go karetka. Zabrano również torebkę i but Evelyn. Mię wciąż przesłuchiwali i przekazywali sobie z rąk do rąk jacyś policjanci - próbowała im wyja-

śnić, że jej matka zapomniała telefonu, wręczyła im go nawet razem z własną komórką, o któ-

wą prośba z ich strony lekko ją zresztą zaniepokoiła - aż w końcu kazano jej wsiąść do jednego z jeepów i błyskawicznie pod opieką uzbrojonych strażników przewieziono na posterunek.

Poprawiła się na zimnym metalowym krześle i wypila niewielki łyk wody z butelki, którą burknąwszy zdawkowe „Proszę”, przyniósł jej jeden z policjantów. Bolało ją gardło -

wydawało się jej, że ktoś je potraktował papierem ściernym. Rozpaczliwe krzyki ciągle brzęczały jej w uszach. Przełknęła i spróbowała jeszcze raz.

- Posłuchajcie. Musicie ją znaleźć. Oni ją porwali. Musicie coś zrobić, zanim będzie za późno.

Jeden z detektywów skinął głową i odpowiedział jej łamaną angielszczyzną, nie usłyszała jednak tego, co powinna była usłyszeć, tylko kolejną porcję wymijających i wypowiedzianych protekcyjnym tonem frazesów. Co gorsza, jego partner - żyłasty, przypominający szczura męczyzna, który w milczeniu przewracał zawartość torebki matki Mii i właśnie wysypał ją na stół, nagle żywo zainteresował się jakimiś zdjęciami, które znalazł wsunięte do brązowej koperty. Przyglądając się im, spojrzał kilka razy na Mię wzrokiem, który bardzo jej się nie spodobał. Szturchnął wyższego kolegę i pokazał mu fotografie. Mia nie rozumiała, o czym obaj mówią - nie widziała nawet, co było na zdjęciach - ale policjanci nagle zaczęli spoglądać na nią jeszcze bardziej podejrzliwie.

Zaczęła się trząść jeszcze mocniej.

Detektywi omówili coś między sobą i wydawało się, że doszli do porozumienia, co robić dalej. Szczurek zabrał rzeczy Evelyn i wcisnął je z powrotem do torebki, a jego miłujący frazesy przyjaciel gestem przykazał Mii pozostać na miejscu i wyjaśnił jej najlepiej, jak tylko mógł, że za chwilę wróca. Mia reagowała ciągle z pewnym opóźnieniem i zanim zdążyła zaprotestować czy zapytać, o co im chodzi, wychodzili już z pokoju. Zatrzasnęli za sobą drzwi, a po chwili usłyszała szcęk przekręcanej klucza i zatraskujące się złowieszco zamka.

Świetnie”.

Opadła na krzesło i zamknęła oczy, mając nadzieję, że kiedy je otworzy, cały ten koszmar gdzieś zniknie, a ona sama będzie mogła zacząć dzień na nowo.

GODZINĘ PÓŹNIEJ OBAJ DETEKTYWI znowu siedzieli naprzeciw niej przy stole, tyle że towarzyszył im przypominający mopsa męczyzna w szarym garniturze bez krawata, z krzywym wyrazem bladuróżowej twarzy, wskazującym, że przed chwilą został wyrwany z domowych pieleszy. Mii rozjaśniło się już nieco w głowie - podano jej filiżankę kawy po turecku, gęstej jak syrop lokalnej specjalności, do której musiała się przyzwyczaić, ale którą w ciągu ostatnich kilku tygodni nawet zaczęła lubić - a jeszcze bardziej się ożywiła, gdy jej nowy gość przedstawił się jako John Baumhoff i poinformował ją, że pracuje w amerykańskiej ambasadzie.

Niestety, rozmowa, która po chwili nastąpiła, szybko rozwiała jej nadzieje.

Baumhoff uderzył palcami w zdjęcia, które wyłożył na stół, żeby mogła je zobaczyć.

- Twierdzi więc pani, że nic o tym nie wie? - zapytał ponownie, głosem odrobinę za wysokim, jak na jego płeć.

Mia westchnęła i spróbowała się uspokoić.

- Mówiłam już panu, co się stało. Byłyśmy na drinku. Zapomniała telefonu. Zauważy-

łam, że ktoś ją śledzi. Próbowалаm ją ostrzec. A ci mężczyźni wepchnęli ją do samochodu i zabrali...

- Zabijając po drodze jednego żołnierza i poważnie raniąc drugiego - przerwał jej Baumhoff, zerkając znacząco na siedzących obok niego detektywów, którzy potwierdzili jego słowa uroczystym skinieniem głowy.

- Tak, tak właśnie było - wybuchła - i dlatego musicie ją znaleźć, do jasnej cholery!

Pewnie siedzi już zamknięta w jakiejś dziurze, kiedy wy gracie tutaj sobie w kanastę jakimiś zdjęciami.

Baumhoff spojrzał na nią zmęczonymi oczami, po czym sięgnął ręką w stronę stołu i podniósł zdjęcia, przebierając je leniwie jedno po drugim pulchnymi palcami.

- Droga pani, hm... - Wydawało się, że zdążył już zapomnieć nazwisko, które kilka minut wcześniej zanotował w leżącym przed nim notatniku. Po chwili przypomniał sobie i kontynuował, przeciągając nosowo samogłoski. - Bishop. Jeśli pani matka rzeczywiście zosta-

ła porwana, to właściwie niewiele możemy na to poradzić.

- Możecie zablokować drogi - zaprotestowała Mia. - Możecie zaalarmować wojsko.

Na Boga, przecież żołnierze są tu wszędzie! Musicie coś zrobić.

Baumhoff spojrzał na nią kwaśnym wzrokiem.

- Nie jesteśmy w domu, proszę pani. Tutaj tak to nie działa. Jeżeli bandyci chcą kogoś dorwać, może być pani pewna, że go dopadną. Albo ją, w tym wypadku. Znają wszystkie boczne dróżki. Wiedzą, gdzie mogą być bezpieczni. Zaplanowali wszystko z góry. Nie jeste-

śmy w Iraku, proszę pani - wrzucił ramionami. - Nie porwano tu żadnego cudzoziemca od bodaj piętnastu lat, jeśli nie dłużej. Tego się już tutaj nie robi. Z wyjątkiem sporadycznych za-bójstw politycznych, Bejrut to zadziwiająco bezpieczne miasto, zwłaszcza dla cudzoziemców.

Dlatego właśnie - dodał, ponownie spoglądając na trzymane w dłoniach zdjęcia - zgadzam się z moimi kolegami, że chodziło prawdopodobnie o coś innego. Pani matka musiała się wpakować w jakieś tarapaty. - Jego brwi ułożyły się w łuk, a on sam wciągnął usta i otworzył w pytającym geście dłonie, tak jakby czekał, aż to Mia w jakiś sposób wypełni luki w jego wiedzy.

Mia spojrzała na niego zdumiona.

- O czym pan mówi?

Przyglądał się jej przez chwilę - jego cyniczne zachowanie zaczynało działać jej na nerwy - po czym uniósł nieco plik zdjęć.

- O tym - powiedział. - Te rzeczy są kradzione, proszę pani. Mii opadła szczęka.

- Co?

- Kradzione - powtórzył Baumhoff. - Ukradzono je w Iraku. Musiała pani coś czytać w gazetach, że mają tam wojnę.

- Tak, ale...

Mia znowu pogrążyła się w szoku.

- Z różnych muzeów skradziono tam tysiące zabytków. Ciągłe stamtąd wyciekają, od-najdując jakoś drogę do rąk kolekcjonerów, których nie bardzo interesuje, skąd pochodzą. Są warte mnóstwo pieniędzy... Jeśli uda się je przeszmugłować i - dodał znaczącym tonem - jeśli znajdzie się na nie odpowiedniego kupca.

Znowu spojrzał na nią znacząco.

Mia zachmurzyła się, starając się znaleźć odpowiednie słowa.

- Twierdzi pan, że moja matka ma z tym coś wspólnego?

Policjant wskazał dłonią zdjęcia.

- Były w jej torebce, prawda?

- Skąd pan wie, że są kradzione? - wypaliła Mia. - Przecież mogą być legalne.

Baumhoff pokręcił głową.

- Kiedy zaczął się ten cały bałagan, wprowadzono zakaz eksportu zabytków z terenu Mezopotamii. Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że zostały skradzione, bo nie zdążyłem ich jeszcze sprawdzić - jutro popytam o nie naszych ludzi - ale wszystko wskazuje na to, że przeszmugłowano je przez granicę. Co wyjaśnia nieco dzisiejsze wydarzenia. Zadawanie się z takimi ludźmi zawsze niesie z sobą pewne ryzyko.

Mia szybko wróciła pamięcią do rozmowy z Evelyn w Lounge.

- Chwileczkę! - zawołała podekscytowanym głosem. - Matka powiedziała mi, że spotkała kogoś tego dnia. Człowieka, który wiele lat temu pracował dla niej. W Iraku.

To rozbudziło zainteresowanie detektywów, którzy poprosili Baumhoffa o wyjaśnienia. Mia opowiedziała, co usłyszała od Evelyn, a oni skwapliwie to zanotowali. Baumhoff wzruszył ramionami i włożył zdjęcia do swojej teczki.

- W porządku. Cóż, późno już i niewiele więcej tutaj wymyślimy. Będzie pani musiała zostać u nich na noc, aż oficer z administracji spisze jutro rano pani zeznania - poinformował

ją lekkim tonem, wstając z krzesła.

Mia wyszła z siebie.

- Właśnie byłam świadkiem porwania mojej matki, a wy chcecie, żebym tutaj została?

- Nie wypuszczą pani, dopóki nie spiszą zeznań - odpowiedział ponuro Baumhoff. -

Odziedziczyli po Francuzach biurokrację, a dzisiaj nie da się już tego zrobić. Nic pani nie bę-

dzie. Może pani zostać na noc w tym pokoju, jest tu wygodniej niż w celi, niech mi pani wierzy. Przyniosą pani coś do jedzenia, poduszkę i jakieś koce. Zobaczymy się jutro.

- Nie może mnie pan tutaj zostawić! - krzyknęła do niego, zrywając się na nogi.

Szczurek rozłożył ramiona w uspokajającym geście i zablokował jej drogę ucieczki. - Nie może pan tego zrobić!

- Przykro mi - powiedział Baumhoff ze spokojem grabarza. - Zginął człowiek, inny walczy o życie, a pani, czy się to pani podoba czy nie, siedzi w tym po uszy. Jutro zajmiemy się sprawą. Niech się pani nie martwi. Proszę spróbować się przespać.

Posłał jej pożegnalny, bezradny półuśmiech. Nagle gdzieś w pokoju rozdzwoniła się komórka. Baumhoff i detektywi instynktownie sięgnęli po telefony, szybko się jednak zorientowali, że to nie ich sygnał. Pierwszy wywęszył go - co Mii ani trochę nie zdziwiło - szczurek.

Sięgnął do torebki Evelyn i wyjął z niej dwa telefony, Evelyn i Mii. Mia nie rozpozna-

ła dzwonka. Dzwonił więc pewnie telefon Evelyn.

Szczurek instynktownie wcisnął zielony przycisk i odebrał telefon. Miał już coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Przez chwilę wpatrywał się w aparat, po czym spojrzał na Baumhoffa. Pracownik ambasady rzucił cicho w jego kierunku krótkie: - Dawaj! - Szczurek odwrócił się do partnera, szukając u niego aprobaty. Ten skinął głową i powiedział coś, co najprawdopodobniej oznaczało zgodę. Baumhoff, bojąc się już, że nie zdąży odebrać, złapał

za telefon i przycisnął go do ucha.

- Halo? - zaryzykował udawanym swobodnym tonem.

Mia obserwowała, jak Baumhoff skupia się na rozmowie i na jego twarzy powoli rysuje się pełne powagi napięcie. Usłyszała dobiegający ze słuchawki słaby głos - bez wątpienia męski, należący chyba do jakiegoś Amerykanina. Baumhoff słuchał przez chwilę, po czym powiedział:

- Nie, nie może pan w tej chwili rozmawiać z panią Bishop. A kto mówi? Mia usłysza-

ła, że mężczyzna coś odpowiada. Najwyraźniej nie spodobało się to Baumhoffowi, który warknął

poirytowanym tonem:

- Jestem kolegą pani Bishop. Kto mówi?

Mężczyzna po drugiej stronie linii powiedział jeszcze kilka słów, które na twarzy Baumhoffa wywołały zdziwienie.

- Tak, oczywiście, wszystko u niej w porządku. A dlaczego miałoby być inaczej? Kto mówi? - Tracił szybko cierpliwość i nagle zawołał do słuchawki podniesionym i poirytowanym głosem: - Proszę mi natychmiast powiedzieć, kto mówi!

Pokój na sekundę lub dwie sekundy pograżył się w ciszy, po czym Mia zobaczyła, że Baumhoff marszczy brwi i odrywa telefon od ucha. Spojrzał na nią rozdrażnionym wzrokiem, po czym odwrócił się do detektywów.

- Nie wiem, kto to był. Rozłączył się, a na ekranie nie wyświetlił się żaden numer.

Wskazał ręką telefon, żeby to potwierdzić.

Spojrzał na Mię, w której wzroku odczytał jednak, że również nie ma o niczym pojęcia. Szczurek sięgnął po telefon. Baumhoff oddał mu go, po czym skinął głową i powiedział

Mii:

- Wrócę jutro rano. I wyszedł.

Mia spojrzała za nim, nic jej to jednak nie dało. Po chwili wyszli również detektywi, zamykając za sobą drzwi. Zaczęła krążyć po pokoju, wpatrując się w jego ponure, gołe ściany. Gniew, który ścisnął ją za gardło i kazał jej zapomnieć o fizycznym bólu, zaczął w niej powoli opadać, zastępowany stopniowo przez zmęczenie i nudności.

Opadła na podłogę i oparłszy się plecami o ścianę, schowała twarz w obu dłoniach.

Jej beztrąsko rozpoczęty dzień nieoczekiwanie zamienił się w scenę z Midnight Express .

ROZDZIAŁ 10

Każdy kolejny wybój na drodze sprawiał, że głowę Evelyn przeszywał grot bólu. Ba-gażnik samochodu wymoszczono kilkoma złożonymi na pół kocami, ale niewiele to pomogło.

Jakby nie wystarczyło już, że droga była dziurawa i nierówna, pokryta wybojami, które momentami zamieniały się w prawdziwe wyrwy - w chwilach przytomności rysowała się w wyobraźni Evelyn raczej jako górski szlak niż równa jezdnia - to w dodatku sama podróż przypominała niekończącą się serię ostrych zakrętów, wijących się gwałtownie to w lewo, to w prawo, oraz podjazdów i zjazdów, które przy każdej zmianie kierunku unosiły ciało kobiety jak butelkę targaną w czasie sztormu przez prąd i ciskały nim o wewnętrzne krawędzie багаż-

nika.

Jej cierpienia wzmagała taśma, którą zakleiono jej usta, oraz zarzucony na głowę płó-

cienny worek. Już samo odcięcie zmysłów od wrażeń ze świata zewnętrznego było czymś potwornym, bez dodatkowych „atrakcji” w postaci podróży długą i krętą drogą. Evelyn ledwie była w stanie oddychać, z trudem walcząc o każdy słaby łyk wciąganego przez nos zimnego i wilgotnego, stęchłego powietrza. Niepokoiła się, co się stanie, jeśli zrobi się jej niedobrze.

Mogła się udusić własnymi wymiocinami i nikt by jej nawet nie usłyszał. Myśl o tym sprawiła, że poczuła w żyłach otrzewiający zastrzyk lęku. Od ciągłych uderzeń bolały ją kości, a nylonowe paski zaciśnięte wokół jej nadgarstków i kostek brutalnie ocierały jej cienką pomarszczoną skórę.

Wolałaby zemdleć. Co jakiś czas czuła, że spiralnym ruchem zapada się w ciemność, ale za każdym razem, kiedy już docierała na sam skraj nieświadomości, kolejne uderzenie przeszywało jej ciało bólem i przywracało jasność umysłu.

Samochód nie zdążył się zbytnio oddalić od śródmieścia i szybko zjechał na opustoszały parking za silnie zniszczonym budynkiem na południowych obrzeżach miasta. Evelyn wywleczono z bmw, związano, zakneblowano, przykryto jej głowę kapturem, po czym ze świadcząca o wielu latach doświadczenia sprawnością wepchnięto do bagażnika oczekujące-go nieopodal samochodu. Usłyszała, jak porywacze rozmawiają o czymś przez chwilę, ale ich słowa nie dotarły do jej ogłuszonego i przytłumionego umysłu. Po chwili ktoś trzasnął

drzwiami i samochód ruszył w drogę. Evelyn nie była w stanie stwierdzić, jak długo tkwiła w bagażniku, pewna była jedynie, że minęło wiele godzin.

W żaden sposób nie mogła też odgadnąć, jak długo to jeszcze potrwa.

Jej umysł pogrążył się w natłoku rozmazanych obrazów. Widziała, jak biegnie bez-myślnie przez śródmiejskie pasáže, jak brakuje jej tchu, jak nogi z wysiłku odmawiają jej posłuszeństwa. Biegnie za Farukiem. Widzi jego przerażoną twarz.

Faruk. Co z nim? Udało mu się uciec? Nie było go w samochodzie. Wydawało się jej, że przypomina sobie, jak wymyka się porywaczom i biegnie w głąb uliczki, obok samochodu.

Tuż po tym, jak ktoś wykrzyknął jej imię.

Mia. Nie przyszło jej się to, chyba nie. Czyżby Mia rzeczywiście tam była? Błysnął

jej przed oczami surrealistyczny obraz Mii - stojącej na końcu uliczki jak sparaliżowana i krzyczącej ile sił w płucach. Była prawie pewna, że to się rzeczywiście wydarzyło. Ale jak?

Co ona tam robiła? W jaki sposób dostała się tam tak szybko? Pamiętała, że piły razem wino.

Zostawiła ją w hotelu. Skąd więc Mia wzięła się przy tej uliczce? I - co bardziej istotne - czy była

bezpieczna?

Wokół jej gardła zacisnęła się pięść żalu. Ktoś zginął. Była tego pewna. W jej uszach ciągle dzwoniły strzały. Żołnierz staranowany przez samochód. Ogluszający, przerażający łomot, ciało uderzające o szybę jak manekin w czasie testów wypadkowych, rozbijające ją. Pró-

bowiała się skoncentrować, próbowała przypomnieć sobie coś więcej, ale po każdym uderzeniu jej ciało znowu przeszywał ból, nie pozwalając zebrać myśli.

Spróbowała się poddać, zmusić się do omdlenia - bezskutecznie. Uczucie niewygody i ból były nieugięte. Z rosnącym przerażeniem zaczęła się koncentrować na szczegółach podró-

ży. Godziny. Jechali od wielu godzin. Nie wyglądało to dobrze. Nie w tak niewielkim kraju.

Dokąd ją zabierano? Próbowała przebić się przez rozbieżne wspomnienia, wrócić pamięcią do prasowych relacji sprzed wielu lat, z „mrocznego okresu” najnowszych dziejów Libanu. Porwania. Dziennikarze, zakładnicy porywani dla okupu w biały dzień na ulicach. Pamiętała, jak opisywali swoje podróże - owinięci taśmą jak mumie, wepchnięci w skrzynie, ukryci w ba-gażnikach. Kiedy wyobraziła sobie ich cele, poczuła rosnący strach. Nadzy. Drżący z zimna.

Przywiązani do niedziałających kaloryferów. Żyjący na resztkach ohydneho jedzenia. A potem jej umysł przecięła myśl najczarniejsza z wszystkich.

Nikt nigdy nie wiedział nawet, gdzie ich trzymano.

Lata niewoli. Najsprawniejsze służby wywiadowcze na świecie, żadnego śladu. Żadnego informatora. Żadnego okupu. Żadnych prób ucieczki. Wyglądało to tak, jakby ich ktoś zmiotł z powierzchni ziemi i jakby pojawiali się na niej z powrotem po wielu latach - jeśli mieli szczęście.

Samochód musiał uderzyć w jakiś naprawdę groźny wybój, bo głowa Evelyn odskoczyła nagle do tyłu i uderzyła o metalowe wieko bagażnika. Eksplozja bólu pozwoliła jej wreszcie przedostać się poza krawędź świadomości i pogрузić w litościwych odmętach po-zbawionego marzeń snu.

ROZDZIAŁ 11

Faruk wpatrywał się pozbawionym wyrazu wzrokiem w chaotyczną mozaikę szałasów i prowizorycznych namiotów. Niemal czuł cierpienie i rozpacz wiszące w otaczającym go bezruchu, mimo że wokół panowały przytłaczające ciemności, rozjaśniane tu i ówdzie jedynie przez słabe migotanie gazowych lampionów. Było upiornie cicho, z wyjątkiem stłumionych dźwięków odbiorników radiowych, które dobiegały gdzieniegdzie spośród drzew. Większość uchodźców wreszcie zapadła w sen. Ogród Sanayi był jednym z niewielu skrawków zieleni w betonowym gąszczu Bejrutu - przy czym słowo „zieleni” było określeniem nieco na wyrost, jeśli wziąć pod uwagę, jak spalona i zaniedbana była na nim ziemia nawet w normalnych okolicznościach. Gdy na południu wybuchła wojna, setki uchodźców zamieniły go w swój dom.

Podobnie jak Faruk, kiedy przybył do miasta, w którym nie miał się do kogo zwrócić. Już nie miał.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, po czym zgasił go, rzucając na ziemię. Poklepał się po kieszeniach. Paczka była pusta. Zgniół ją w kulkę i wyrzucił, wzruszając ramionami. Podniósł klapy marynarki, otulając nimi szyję, i oparł się o niewysoki mur biegnący wzdłuż krawędzi placu.

Do czego to doprowadziło go życie? Sam w obcym, zniszczonym przez wojnę kraju.

Bez domu. Kucający na skrawku wysuszonego błota. Jego perspektywy wyglądały nawet gorzej niż tych nieszczęśników, którzy osiedlili się na rozciągającym się przed nim ugorze.

Schował głowę w ramionach i spróbował się odciąć od świata, ale przeżyć ostatnich dwudziestu czterech godzin nie można było się tak łatwo pozbyć. Potarł twarz, przeklinając samego siebie za to, że przypomniał sobie o zainteresowaniach Evelyn, za to, że wplątał ją w tę całą transakcję, na którą sama nigdy by się nie zgodziła, za to, że wszczął całą tę awanturę... Po chwili wpatrzył się w ciemność, zastanawiając się, co robić.

Wyjechać? Wrócić do domu, do Iraku? Wrócić... do czego? Do kraju obróconego w perzynę, spustoszonego przez brutalną wojnę domową? Kraju masowych porwań, szwadronów śmierci i samochodowych bomb-pułapek, kraju wszechobecnego chaosu i cierpienia?

Pokręcił głową. Jego kraju już nie było. A on tkwił tutaj, obcy na obcej ziemi, a jego jedyny kontakt, jedyna przyjazna dusza została porwana.

Z jego powodu.

On ją w to wciągnął, a teraz ona była w ich rękach.

Myśl o tym wbiła się w jego serce jak sztylet. Jeszcze raz pokręcił głową, po chwili jeszcze raz. Jak mógł do tego dopuścić? To była jego wina, bez dwóch zdań. Widział ich, wiedział, że idą po niego, a mimo to zaprowadził ich do niej, spowodował, że porwali ją zamiast niego. Przypomniał sobie umęczone ciało Hadż Alego i przeszedł go dreszcz. Jego stara przyjaciółka - sitt Evelyn - w rękach tych potworów. Sama myśl o tym była tak przerażająca, że aż trudno było ją sobie wyobrazić.

Musiał jakoś pomóc Evelyn. Jakoś. Powiedzieć komuś, w co ją wpakował. Pomóc ją znaleźć, wskazać odpowiedni kierunek. Ostrzec innych, z kim mają do czynienia. Ale jak? Do kogo miał się zwrócić? Nie mógł iść na policję. Przebywał w kraju nielegalnie. Próbował

sprzedać kradzione rzeczy. Nawet gdyby policjanci uwierzyli w jego dobre intencje, nie potraktowaliby zbyt uprzejmie zbiega z Iraku i przemytnika.

Pomyślał o młodej kobiecie, która spotkała ich na uliczce. Gdyby nie ona, zostałby porwany razem z Evelyn. Byłby... Wyobraził sobie wiertarkę wbijającą się wirującym wiertłem w jego skórę. Odepchnął od siebie tę myśl i skupił ponownie na młodej kobiecie. Początkowo myślał, że miał po prostu szczęście. Potem jednak przypomniał sobie okrzyk kobiety.

Krzyczała chyba: „Mamo!”, co go wtedy niezmiernie zaskoczyło. Czyżby była jej córką? A nawet jeśli, to skąd się tam wzięła? Czy to Evelyn się z nią umówiła, czy też był to tylko zbieg okoliczności?

Były to jednak jałowe rozważania. Nie widział, kim jest kobieta ani jak się z nią skontaktować. Po ucieczce wolał nie kręcić się w pobliżu. Nie wiedział nawet, co się stało z dziewczyną. Przecież równie dobrze mogli porwać także ją.

Z gąszczy jego myśli nagle wyłoniła się pewna twarz. Człowiek, z którym Evelyn przyjechała do Zabqine. Ramez - tak się chyba nazywał. Co o nim mówiła Evelyn? Że pracują razem. Na uniwersytecie.

Był w stanie go znaleźć. Mógł pójść jeszcze raz na Wydział Architektury. Post Hall na terenie kampusu. Ramez widział go z Evelyn. Mógł mu powiedzieć wszystko, co wiedział.

Być może Evelyn opowiedziała mu nawet o Faruku i o tym, co od niego usłyszała. Będzie się o nią niepokoił. Wysłucha go.

To było to. Nie mógł zrobić nic więcej. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej pomysł

przypadał mu do gustu. Potrzebował pieniędzy. Gotówka prawie mu się skończyła, a jego po-

łożenie stało się jeszcze bardziej rozpaczliwe. Nie chodziło już o to, żeby odnaleźć gdzieś lepsze miejsce na świecie, w bardziej normalnym kraju niż jego ojczyzna. Chodziło o przetrwanie, nic więcej. Musiał zniknąć, a do tego potrzebował pieniędzy. Musiał znaleźć kupca, który zainteresowałby się kolekcją Abu Barzana. Nie rozmawiał z handlarzem od momentu, kiedy opuścił Irak. Stary piernik mógł do tej pory sam znaleźć nabywcę, pozostawiając Faruka z niczym. Kolega Evelyn musiał mieć jakieś kontakty w tym kręgu. Znać bogatych libańskich kolekcjonerów. Może Farukowi uda się zainteresować go pomocą w sprzedaży zabytkowych przedmiotów. Dopuszczał go do zysku. Granica dzieląca biednych i bogatych zamieniła się ostatnio w tym mieście w prawdziwą przepaść i jego mieszkańcy w tych dniach raczej nie byli przy forsie. Pieniądze były problemem. A nawet cnotliwi i przywiązani do zasad obywatele muszą coś jeść i płacić czynsz.

Na Faruka opadła zasłona zmęczenia. Usiadł na ziemi i zwinął się w sobie, mając nadzieję, że ogarnie go sen. Rano pójdzie na uniwersytet. Odnajdzie Rameza. Porozmawia z nim. I może - po prostu może - skończy się to dla niego lepiej niż dla jego przyjaciela Alego.

Nie wierzył w to ani przez sekundę.

ROZDZIAŁ 12

Tom Webster odłożył telefon komórkowy i wyjrzał przez okno zajmujące całą ścianę jego biura przy Quai des Bergues. W Genewie był wczesny, rześki wieczór. Na zachodzie słońce chowało się za skalistymi wierzchołkami Alp, odbijając się w jeziorze i zalewając jego spokojną powierzchnię ognistą, złoto-różową luną. Nie spadł jeszcze śnieg, ale wkrótce moż-

na się go było spodziewać. Rozmowa rozbudziła w nim uczucie głębokiego niepokoju.

Powtórzył ją jeszcze raz w myślach, zastanawiając się nad każdym jej niuansiem, analizując każdy zasłyszany strzęp słów czy tonu. Najpierw nastąpiła chwila milczenia, zaraz po tym, jak ktoś odebrał

telefon. Następnie zdecydowanie wyczuł wahanie. Później jakieś po-przekręcane słowa, wypowiedziane chyba po arabsku. Wreszcie odezwał się jakiś mężczyzna, który twierdził, że jest kolegą Evelyn. W jego głosie Tom wyczuł wyraźnie oficjalny ton. A uparte domaganie się, żeby rozmówca się przedstawił, w oczywisty sposób zaprzeczało temu, że telefon odebrał jakiś przygodny znajomy Evelyn.

„Dała się w to wciągnąć” - pomyślał Webster. A potem uderzyła go bardziej kłopotliwa myśl: „Czy wszystko u niej w porządku?”.

Wiadomość, jaką otrzymał od telefonistki z instytutu, była dla niego ogromnym zaskoczeniem. To przecież... ile już lat?

Trzydzieści.

Zastanawiał się, co po tych wszystkich latach skłoniło Evelyn do próby nawiązania kontaktu.

Miał na ten temat kilka teorii.

Oba wydarzenia - nagły telefon od jednego ze zwiadowców w Iraku niecały tydzień temu, a potem Evelyn dzwoniąca na centralę Haldane - musiały być jakoś ze sobą powiązane.

To było oczywiste. Nie spodziewał się jednak żadnych problemów. On i jego partnerzy zawsze działali tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Musieli być ostrożni - biorąc pod uwagę to, nad czym pracowali, dyskrecja była czymś absolutnie niezbędnym - nie było jednak żadnego powodu, żeby spodziewać się jakichkolwiek komplikacji.

Spróbował wytłumaczyć sobie jakoś telefon od Evelyn i uciszyć niepokój, ale nie mógł od tego uciec. Coś takiego nie wróżyło niczego dobrego. Dawno temu nauczył się ufać instynktom, które właśnie gwałtownie domagały się jego uwagi. Musiał się dowiedzieć, co tam się naprawdę wydarzyło. Potem będzie musiał zadzwonić do pozostałych. Powiedzieć im, co się dzieje. I wszyscy trzej - jak zawsze - będą musieli wypracować jednomyślnie zaakceptowane rozwiązanie, sposób na to, jak poradzić sobie z nową sytuacją.

Spojrzał na zegarek. W Bejrucie było już dwie godziny później. Różnica czasowa oznaczała, że nie uda mu się uzyskać odpowiedzi na nurtujące go pytania w ciągu kilku godzin. Będzie musiał poczekać i wykonać kilka telefonów tuż przed świtem. Co jednak wcale mu nie przeszkadzało.

Tak jak jego poprzednicy, poświęcił temu całe życie.

A jeśli instynkt go nie zwodził, wplątała się w to teraz Evelyn.

Znowu.

Wypuścił powietrze z płuc i odwrócił się w stronę biurka. Kodeks leżał na nim. Wyjął

go przed chwilą z sejfu. Leżał sobie jak gdyby nigdy nic, niewinnie. Webster spojrzał na niego, po czym podniósł go i nieznacznie pokręcił głową.

Niewinnie.

Prawie.

Księga ta od wieków oplatała swoją kuszącą siecią jego i innych. Jej urok był nieodparty, i to nie bez powodu. Warto było poświęcić dla niej życie.

Wzruszył ramionami, otworzył księgę na pierwszej stronie i wrócił myślami do tego, jak to się wszystko zaczęło.

ROZDZIAŁ 13

Tomar, Portugalia, sierpień 1705 roku

Sebastian poczuł chłód wilgoci sączącej się ze ścian i obejmującej swoim śmiertelnym uściskiem jego kości. Wąskimi krętymi schodami podążał za strażnikiem. Starał się nie patrzeć w górę, trzymać oczy z dala od płomieni pochodni strażnika. W rozkołysanej złocistej poświacie dostrzegał rowki wytarte na środku każdego stopnia schodów. Przez chwilę zastanawiało go to, szybko się jednak domyślił, że zostały wyryte w kamieniu przez ciągnięte nimi od wieków kajdany.

Wielu więźniów zgniło tutaj, w Tomarze. Wielu jeszcze miało zgnieć.

Podążał za strażnikiem długim wąskim korytarzem. Po obu jego stronach ciągnęły się rzędy nierównych drewnianych drzwi, zamkniętych na złowrogie stalowe zamki. Strażnik wreszcie zatrzymał się przed jednym z nich. Grzebał przez chwilę w sporych rozmiarów obręczy z kluczami, po czym otworzył drzwi. Zadrżały w zawiasach, kiedy ciągnął je do siebie.

Otwór przypominał wylot jaskini, wejście do mrocznej i przepastnej otchłani. Sebastian spojrzął na strażnika. Spocony mężczyzna z przyprawiającą o dreszcz obojętnością skinął mu głową. Sebastian zebrał się w sobie, wyjął z obręczy na murze pochodnię, odpalił ją od tej, którą trzymał w ręku strażnik, po czym wszedł do środka.

Mimo upiornego otoczenia rysująca się w ciemnościach sylwetka, przykucnięta w najdalszym kącie celi, natychmiast wydała się Sebastianowi znajoma. Zamarł na jej widok.

Ogarnęło go uczucie nieskończonego smutku.

- Już dobrze - powiedział do niego starzec. - Podejdź tutaj. Sebastian nie był w stanie się poruszyć. Wydawało się, że jego stopy są przyśrubowane do zimnej kamiennej podłogi.

- Proszę - szeptem powtórzył starzec. Jego głos był szorstki i suchy. - Podejdź. Usiądź

ze mną.

Sebastian zbliżył się niepewnie o krok, później jeszcze trochę. Jego oczy z niechęcią przyjmowały ścielący się przed nimi, ściskający za serce widok.

Poturbowany, wyniszczony mężczyzna podniósł skute łańcuchem, powykrzywiane ramię i skinął nim zachęcająco. Dwa z jego palców, jak zauważył Sebastian, nie ruszały się.

Kciuka w ogóle nie było.

Izaak Montalto był dobrym człowiekiem. Przyjacielem ojca Sebastiana. Obaj byli wykształconymi ludźmi, nauczycielami i wychowawcami elity, i spędzili wiele lat, pracując wspólnie we wspaniałym mieście Lizbonie, gdzie studiowali i tłumaczyli zapomniane od lat arabskie i greckie pisma. Kres temu przyniósł dosyć niepozorny przeciwnik. Tej zimy miasto spustoszył wirus, zwykła grypa, jak określono by ją dzisiaj. Jego ofiarą padła również rodzina Sebastiana. Chłopak ocalał - kiedy tylko w rodzinie pojawiły się pierwsze symptomy choroby, jego ojciec zareagował bardzo szybko i oddał go pod opiekę swojego przyjaciela Izaaka, który mieszkał w położonej nieopodal miejscowości Tomar. Izaak i jego żona zadbali o dziecko najlepiej, jak tylko potrafili, ale kilka tygodni później zachorowała również ona. Starzec nie miał wyboru i umieścił Sebastiana pod opieką braci zakonnych klasztoru w Tomarze.

Żona Izaaka nie dotrwała do końca zimy, ale jemu samemu i Sebastianowi udało się przeżyć.

Jako wdowiec Izaak nie mógł zatrzymać przy sobie chłopca. Wychowali go więc zakonnicy, razem z innymi sierotami. Izaak zawsze był jednak w pobliżu. Stał się przyjacielem i mistrzem Sebastiana, obserwując uważnie, jak z dziecka wyrasta chłopak, a później młody mężczyzna. Pożegnał go z ciężkim sercem, kiedy młodzieniec został wybrany na sługę Bożego i skierowany do klasztoru przy katedrze w Lizbonie. Od tamtej chwili minęły trzy lata. A teraz Sebastian patrzył znowu na Izaaka - ofiarę inkwizycji, blade, wyniszczone odbicie męż-

czynny, którym był kiedyś.

- Izaaku - powiedział przepełnionym smutkiem i wyrzutami sumienia głosem. - Mój Boże...

- Tak - szepnął Izaak, chichocząc boleśnie. Jego źrenice zwęziły się z bólu, który przeszył mu klatkę piersiową. - Twój Boże... - Z trudem przełknął ślinę i skinął głową. - Twój Bóg musi być z siebie dumny, widząc, jak bardzo jego słudzy się starają, żeby inni przestrzegali jego nakazów.

- Jestem pewien, że nigdy nie życzyłby sobie czegoś takiego - zaprotestował Sebastian.

Do oczu starca jakimś cudem utorował sobie drogę cień uśmiechu.

- Uważaj, mój drogi chłopcze - ostrzegł. - Dzięki taki słowom możesz trafić do sąsiedniej celi.

Inkwizycja szalała na Półwyspie Iberyjskim już od dwóch stuleci. Tak jak w sąsiedniej, bardziej znanej pod tym względem Hiszpanii, jej głównym celem było usunięcie z kraju konwertytów z innych wyznań - muzułmanów i żydów - którzy mimo oficjalnego przyjęcia wiary katolickiej nadal w tajemnicy przestrzegali przykazań dawnej religii.

Nie zawsze tak było. W wyniku rekonkwisty - odbijania hiszpańskich i portugalskich ziem z rąk Maurów, którzy zajęli je w XI wieku - powstało na półwyspie tolerancyjne, wielorasowe i wielowyznaniowe społeczeństwo. Chrześcijanie, żydzi i muzułmanie żyli i pracowali razem, a ich

wspólnoty dynamicznie się rozwijały. W takich miastach, jak Toledo współpracowali przy tłumaczeniu tekstów, które przez stulecia przechowywano w kościołach i meczetach. Odkryli na nowo nauki Greków, które w świecie Zachodu przez długi czas były zapomniane. To dzięki ich wysiłkom mogły się rozwinąć uniwersytety w Paryżu, Bolonii i Oksfordzie. A właśnie tam tak naprawdę zaczął się renesans i rewolucja naukowa.

Tolerancja religijna wzbudzała jednak niezadowolenie Rzymu. Kwestionowanie ślepej wiary w Boga i w jeden uniwersalny zbiór zasad musiało być powstrzymane. Królowie Hiszpanii wykorzystali nietolerancję do własnych celów. W 1478 roku powołali inkwizycję, a nieco ponad pięćdziesiąt lat później w ich ślady poszła również Portugalia. Prawdziwe przyczyny wszystkich konfliktów wywoływanych z powodu różnic religijnych mają przeważnie wię-

cej wspólnego z chciwością niż z wiarą. Rekonkwista i inkwizycja nie były pod tym względem wyjątkiem. Chodziło w nich tak naprawdę o grabież ziemi.

Natychmiast rozpoczęło się wymuszone chrzczenie innowierców. Półwysep miał być oczyszczony - i rozkradzony. Żydom i muzułmanom, którzy pozostali w Hiszpanii i Portugalii, pozostawiono wybór: albo nawrócenie, albo wygnanie. Konwertytów nazywano „neo-

-christos”, nowymi chrześcijanami. Wśród tych, którzy zdecydowali się zostać, było wielu właścicieli ziemskich i bogatych kupców. Mieli dużo do stracenia. Przyjęli więc krzyż, niektórzy niechętnie nawracając się na nową wiarę, inni - nie rezygnując z religii swoich ojców i jej rytuałów i przestrzegając jej zasad w czterech ścianach domostw czy nawet, w wypadku niektórych bardziej zropanzonych maran, uczęszczając do tajnych synagog.

Wkrótce inkwizycja musiała zarekwirować na potrzeby swoich więzień wiele budynków użyteczności publicznej. Zatrzymanych na przesłuchanie nieszczęśników rozciągano na kole, po czym wrywano im ręce i nogi. Inkwizytorzy wykazywali również szczególne upodobanie do podeszew stóp ofiar. Niektórych więźniów bito pałkami, innym zadawano rany, które następnie smarowano masłem i trzymano nad ogniem. Dzięki sfałszowanym decyzjom sądów i podrobionym denuncjacjom wymuszano przyznanie się do winy. Tym, którzy przyznali się dobrowolnie, pozwalano zapłacić grzywnę i wyrazić skruchę w czasie auto dafę

- publicznego aktu pokuty. Tym, z których wyznania wydobyto na mękach, konfiskowano majątek i skazywano ich na więzienie - często dożywotnie - lub spalenie na stosie.

„Neo-christos” ślali posłów z prośbami - i łapówkami - do papieża oraz jego świty, żeby pohamował zapał inkwizytorów. Król wydawał jednak w Rzymie znacznie większe sumy Pieniądze płynęły więc do Watykanu, maranie zaś żyli nadal w strachu, zmuszani do wyboru między wygnaniem i utratą wszystkiego a ryzykiem wyładowania w katowni.

Izaak postanowił pozostać. A izba tortur, która prześladowała go przez lata, koniec końców stała się jego domem - ostatnim domem.

- Nie wiedziałem, Izaaku - tłumaczył się młody mężczyzna. - Nie wiedziałem, że cię szukają.

- Już dobrze, Sebastianie.

- Nie - wybuchnął łamiącym się od nadmiaru emocji głosem. - Twierdzą, że w twoim domu znaleźli jakieś księgi. Że mają dowody na piśmie, zeznania kogoś, kto potwierdza to, o co cię oskarżają - lamentował. - Co mogę zrobić, Izaaku? Proszę. Powiedz mi, zrobię wszystko, żeby odwrócić tę potworną niesprawiedliwość.

Sebastian Guerreiro podążał ścieżką Pana z otwartym sercem. Nie spodziewał się, że doprowadzi go ona do czegoś takiego. Służył inkwizycji dopiero od ponad roku.

Wybrał go sam wielki inkwizytor, Francisco Pedroso, człowiek energiczny i charyzmatyczny. Jednak z każdym kolejnym dniem, z każdą potwornością, której był świadkiem, w umyśle młodego mężczyzny mnożyło się coraz więcej pytań, aż wreszcie Sebastian doszedł

do etapu, gdy nie był już w stanie dłużej godzić nauk, które przyjął z taką gorliwością, z uczynkami swoich mistrzów.

- Cii... - odpowiedział starzec. - Wiesz dobrze, że nic już nie można zrobić. Poza tym zarzuty są prawdziwe. Moja wiara została mi przekazana przez ojca, podobnie jak jemu. A nawet gdyby tak nie było, moje trzydzieści hektarów ziemi w Tomarze taką ją czyni. - Izaak odchrząknął i spojrzał na Sebastiana. Jego oczy, lśniące życiem, stanowiły uderzający kontrast w stosunku do jego umęczonego ciała. - Nie po to prosiłem, żeby cię tutaj przywiedzio-no. Proszę. Usiądź ze mną. - Uderzył lekko dłonią w pokrytą słomą ziemię obok siebie. - Muszę ci o czymś opowiedzieć.

Sebastian skinął lekko głową i dołączył do niego.

- Miałem nadzieję, że nie będę cię musiał o to prosić jeszcze przez wiele lat, Sebastianie. To coś, co zawsze planowałem, ale... - Westchnął ciężko. - Chyba nie mogę czekać ani chwili dłużej.

Na twarzy Sebastiana pojawiło się zdziwienie i zakłopotanie.

- Cóż to takiego, Izaaku?

- Muszę ci powierzyć pewien sekret. To ogromnie ciężkie brzemie. Może cię ono za-bić albo doprowadzić do tak wspaniałego miejsca jak to. - Izaak zamilkł na chwilę, z pozoru obserwując reakcję młodego mężczyzny, po czym dodał: - Powinienem kontynuować, czy może popełniłem błąd, wierząc, że ciągle jesteś tym Sebastianem co kiedyś?

Sebastian podchwycił jego badawcze spojrzenie, po czym zawstydzony opuścił wzrok i wbił go w ziemię.

- Jestem taki, jakim mnie zapamiętałeś, ale nie mogę cię zapewnić, że jestem godzien twojego zaufania - powiedział żałośnie. - Wiele widziałem, Izaaku. Widziałem rzeczy, do któ-

rych żaden człowiek nie powinien dopuścić, a mimo to cofałem się i nie mówiłem nic. - Popatrzył na Izaaka, szukając jego karcącego wzroku. - Zhańbiłem pamięć o moim ojcu. Przyniosłem hańbę tobie.

Izaak wyciągnął okaleczoną, trzęsącą się dłoń i położył ją na ramieniu młodego mężczyzny.

- Żyjemy w niedobrych czasach. Nie wini siebie za nikczemne uczynki tych, którzy mają władzę, żeby im zapobiec.

Sebastian skinął głową. Poczł, że serce pęka mu z żalu.

- Żadne brzemię nie będzie zbyt ciężkie, Izaaku. Nie po tym, w czym uczestniczyłem.

Izaak wdawał się po raz ostatni ważyć w myślach decyzję.

- Twój ojciec chciał, żebyś wiedział - rzekł w końcu. - Obiecałem mu, że powiem ci, kiedy nadejdzie pora. Obawiam się jednak, że jeśli nie powiem ci teraz, mogę już nie mieć okazji. A wtedy wszystko będzie... stracone.

Sebastianowi rozbłyły oczy.

- Mój ojciec?

Starzec nieznacznie skinął głową.

- Wiele lat temu znaleźliśmy coś, on i ja. Tu, w Tomarze. W kryptach klasztoru. -

Utkwił w Sebastianie rozpalony wzrok. - Księgę, Sebastianie. Najcenniejszą z ksiąg. Księgę, która kiedyś mogła zawierać wielki dar.

Sebastian zmarszczył brwi.

- „Kiedyś”?

- W kryptach klasztoru, jak dobrze wiesz, znajdują się prawdziwe skarby wiedzy: ku-fry i skrzynie ze starymi, liczącymi setki lat kodeksami i zwojami, łupem z dalekich katastrof i krucjat, czekającymi na przetłumaczenie i skatalogowanie. To żmudne i niekończące się zadanie. Twój ojciec i ja zostaliśmy zaszczytzeni przez mnichów zaproszeniem do wspólnej pracy nad tłumaczeniem, ale ksiąg tych było naprawdę dużo, a wiele z nich zawierało nieciekawe zapisy dysput, osobistej korespondencji na mało istotne tematy... Banały.

Ale jedna księga, spoczywająca w zakurzonej kufrze, natychmiast przyciągnęła naszą uwagę. Leżała wśród znacznie cenniejszych woluminów i starych zwojów. Była częściowo uszkodzona - w pewnym momencie swojej długiej historii musiała być zalana wodą - brakowało w niej też ostatnich stron i tylnej oprawy. Przednia przetrwała jednak właściwie bez szwanku. Widniał na niej symbol, którego nigdy wcześniej nie widzieliśmy - wąż tworzący okrąg i zjadający własny ogon.

Księga została napisana w starym języku arabskim, raczej trudnym do przetłumaczenia. Jej tytuł był jednak jasny. - Starzec przerwał na chwilę, żeby oczyścić spieczone gardło, i zerknął ostrożnie na

drzwi, upewniając się, że nikt nie podsłuchuje. - Została nazwana Kitab al Wasifa - księga receptur.

Starzec nachylił się konspiracyjnie.

- Twój ojciec i ja postanowiliśmy utrzymać istnienie tej księgi w tajemnicy przed mni-chami. Pewnej nocy potajemnie wynieśliśmy ją z klasztoru. Minęły miesiące, zanim udało nam się ją odpowiednio przetłumaczyć. Została spisana w bardzo starym piśmie naschi i po arabsku, ale co chwilę napotykaliliśmy słowa i wyrażenia z perskiego, co zresztą nie było niczym dziwnym w tego rodzaju pismach naukowych, choć z pewnością nie ułatwiało nam pracy. W końcu jednak przeczytaliśmy ją. I wszyscy czworo - twoi rodzice, ja i moja ukochana Sarah - zawarliśmy pakt. Postanowiliśmy wypróbować jej nauki na sobie. Zobaczyć, czy zadziałają. A jeśli tak, powiadomić świat o naszym odkryciu.

Początkowo księga wypełniła swoją obietnicę. Natknęliśmy się na coś cudownego, Sebastianie. Potem jednak, stopniowo, z czasem, uświadamialiśmy sobie zauważalną w niej skazę. Skazę, która - gdyby jej nie usunąć - oznaczała, że nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć o naszym odkryciu, ponieważ mogło ono doprowadzić do różnego rodzaju wstrząsów, zdolnych do zwrócenia biegu świata w stronę, w którą żaden zdrowo myślący człowiek nie chciałby go skierować. - jego twarz wykrzywił smutek. - A potem z nieubłaganym okrucień-

stwem włączył się w to wszystko los.

Wydawało się, że myśli starca zabłądziły w stronę dawno minionych, bolesnych dla niego czasów, wróciły do zimy, w której stracił żonę i przyjaciół. Od tego czasu jego życie było wypełnione smutkiem.

- Co jest w tej księdze? - zapytał Sebastian.

Starzec spojrział na niego, po czym z ogniem w oczach szepnął krótko:

- Życie.

WYZNANIE IZAACA WPROWADZIŁO umysł Sebastiana w stan wrzenia, a jego samego obezwładniło bezlitośnie na wiele dni. Nie mógł myśleć o niczym innym. Nie mógł spać. Z nieobecny wzrokiem, półświadomie wypełniał najważniejsze obowiązki. Jedzenie i picie straciło dla niego smak.

Wiedział, że jego życie na zawsze się zmieniło.

Wreszcie udało mu się w swoim napiętym harmonogramie wygospodarować dzień wolny, kiedy jego nieobecność nie mogła wzbudzić niczyich podejrzeń, i wyruszył w stronę ciągnących się za Tomarem wzgórz. Bardzo dobrze znał ziemie Izaaka. Zajęto je, kiedy starzec został uwięziony, i jego winnice gniły teraz i marniały, podczas gdy trybunał inkwizycyjny knuł intrygi, żeby doprowadzić do nieuchronnego i tak wyroku.

Sebastian pomknął konno w stronę pagórka, który Izaak szczegółowo mu opisał. Dotarł do niego w momencie, gdy pogrążającego się w mroku nieba trzymały się jeszcze uparcie ostatnie światła dnia.

Bez trudu odnalazł na wzgórzu kwitnące drzewo oliwne. „Drzewo smutku”, jak nazwał je Izaak. „W innym kraju, w innych czasach - pomyślał Sebastian - zasłużyło-by na zupełnie przeciwne miano”.

Zsiadł z konia i odmierzył dwadzieścia kroków w stronę zachodzącego słońca. Były tam wychodnia i kamień, dokładnie według słów Izaaka. Żyły na czole Sebastiana pulsowały z podekscytowania, kiedy uklękął i za pomocą niewielkiego sztyletu zaczął wkopywać się w wysuszoną ziemię.

Po kilku minutach uderzył w jakiś przedmiot.

Wgryzł się dłońmi w glebę, gorączkowo rozkopując grunt wokół niewielkiej skrzyni.

Po chwili podnosił już ją ostrożnie, tak jakby miała się rozpaść w jego uścisku. Było to niewielkie metalowe pudełko, mierzące może trzy szerokości dłoni w szerz i dwie wzdłuż. Nagle gdzieś dalej na wzgórzu poderwała się do lotu chmara kruków, krążąc przez chwilę młodemu mężczyźnie nad głową i znikając w ciągnącej się poniżej dolinie. Sebastian rozejrzał się, upewnił się, że jest sam, po czym, drżąc z podekscytowania, podważył wieko pudełka.

W środku, tak jak to opisał Izaak, znajdowały się dwa przedmioty. Sakwa owinięta w ochronną warstwę naoliwionej skóry i niewielkie drewniane pudełko. Sebastian odłożył pudełko, odwinął skórę i wyciągnął księgę oprawioną w tłoczoną skórę.

Spojrzał na nią, chłonąc oczyma widniejący na niej dziwny, hipnotyzujący symbol.

Otworzył. Pierwsze strony były wykonane z gładkiego, mocnego, błyszczącego papieru. Pokrywały je piękne, niezwykle wierne ilustracje, obrazujące ludzkie ciało i jego wewnętrzne procesy, z których każda zajmowała całą stronicę, we wszystkich możliwych miejscach wypełnione opisami. Na innych stronach widniały rządki starannego pisma naschi, naniesionego czarnym atramentem i opatrzonego wyrazistymi nagłówkami. Po chwili Sebastian oderwał

wzrok od stronic, przewrócił je i zobaczył to, o czym mówił Izaak. Brakowało tylnej oprawy księgi. Rozerwane obszycie pozwalało sądzić, że wyrwano z niej również całkiem sporo koń-

cowych stronic. Kilka pozostałych było wyschniętych i nierównych, a atrament został z nich starty wiele lat temu, pozostawiając po sobie jedynie ciąg nieczytelnych niebieskawych plam.

Sebastian poczuł ucisk w sercu i zrozumiał.

Brakowało najważniejszej części księgi. A przynajmniej taka mieli nadzieję Izaak i rodzice Sebastiana, kiedy odkryli skazę: na zaginionych stronicach została zapisana tajemnica, klucz do jej przezwyciężenia. Nie mogli być jednak tego pewni. Skaza była, być może, nie do usunięcia. Być może nie było lekarstwa. A w takim wypadku księga stanowiła ogromne zagrożenie, a całe przedsięwzięcie było z góry skazane na porażkę.

Odłożył księgę i podniósł z ziemi niewielkie pudełko. Na jego wieku również został

wyryty symbol. Sebastian odhaczył z wahaniem kłamrę i otworzył je.

Jego zawartość ciągle była na miejscu.

I na tym opustoszałym wzgórzu Sebastian zrozumiał, jakie jest jego przeznaczenie.

Będzie kontynuował ich pracę.

Spróbujecie usunąć skazę.

Nawet jeśli, wiedział to doskonale, będzie musiał przez to narazić życie.

WYŚLEDZENIE POCHODZENIA KSIĘGI nie było łatwe. Ojciec Sebastiana i Izaak pracowali nad tym przez lata. Udało im się ustalić tyle, że znajdowała się w jednej ze skrzyń z kodeksami i zwojami, które dotarły do Tomaru po upadku Akry w 1291 roku.

Teksty zostały zdobyte przez templariuszy w trakcie jednego z ich wypadów do Ziemi Świętej, w czasach, gdy byli znani ze zgłębiania mistycyzmu i wiedzy swoich muzułmańskich wrogów, na długo przez zawieszeniem zakonu przez papieża Klemensa V w 1312 roku. Po aresztowaniu templariuszy we Francji wszystko, co należało do nich, miało zostać przekazane Rycerskiemu Zakonowi Szpitalników św. Jana - szpitalnikom. Prawo do osądzania templariuszy przyznano jednak radom kościelnym prowincji i na przykład rada Tarragoneze, której przewodniczył arcybiskup Rocaberti, przyjaciel rycerzy zakonników, zadekretowała niewinność katalońsko-aragońskich templariuszy, podobnie jak rady na Majorce i w Królestwie Walencji. Zakon miał być rozwiązany, ale bracia mogli pozostać w klasztorach i pobierać dożywotnią pensję.

Jakub II, król Aragonii, który nie miał ochoty, żeby bogactwa templariuszy wylądowały w szkatułach coraz potężniejszych szpitalników, założył nowy zakon, Zakon Rycerzy z Montesy, i włączył do niego dawnych templariuszy. Członkowie zakonu, znani odtąd jako montesinos, mieli podlegać szczytującej się długą tradycją regule Zakonu Calatravy, przyjmowanej przez cystersów i przypominającej pod wieloma względami regułę templariuszy. Mogli zatrzymać swoją własność i byli zobowiązani bronić królestwa przed muzułmanami z Granady, ostatniego bastionu islamu na Półwyspie Iberyjskim.

W Portugalii król Dionizy nie zapomniał o ogromnym wkładzie templariuszy w zwycięstwo nad Maurami. Sprytnie obronił dziedzictwo zakonu. Najpierw spokojnie skonfiskował ich majątek, następnie jednak poczekał, aż na miejsce Klemensa V zostanie wybrany kolejny papież i przekonał go do udzielenia mu zgody na założenie nowego zakonu, który miał

się nazywać po prostu Zakonem Chrystusa. Templariusze zmienili więc właściwie jedynie nazwę. Ich kastylijsko-portugalskich braci nawet nie przesłuchano, nie mówiąc już o osądzeniu.

Zostali zwyczajnie członkami nowego zakonu, również przyjmując regułę Zakonu Calatravy i wychodząc z matni bez szwanku.

Zamek Tomar był siedzibą portugalskich templariuszy i stał się nią również dla nowego zakonu. Strzelista budowla o urzekająco pięknej architekturze, która nie straciła nic ze swojego splendoru, była słynna na cały półwysep z powodu misternych gotyckich, romań-

skich i manuelińskich rzeźb i motywów oraz dzięki charakterystycznemu okrągłemu kościo-

łowi templariuszy, w którym zostało pochowanych wielu ich mistrzów. Z czasem dodano do niego konwent i klasztor, dzięki czemu stał się znany jako Convento de Cristo.

Izaak powiedział Sebastianowi, że według archiwów templariuszy skrzynia, w której znajdował się uszkodzony kodeks, pochodziła z Lewantu. Dalsze szczegóły jego historii nie były łatwe do ustalenia, ponieważ dokumentacja portugalskich templariuszy była trudno do-stępna. Uczyniono przecież wszystko, żeby spalić każdy dowód na piśmie świadczący o tym, że templariusze bezwstydnie zostali przeobrażeni w Zakon Chrystusa. Portugalscy templariusze - a więc i Zakon Chrystusa - przyjęli do swojego grona wielu braci, którym udało się uciec przed prześladowaniami z Francji rządzonej przez Filipa Pięknego. Musieli ukrywać swoje wyraźnie francuskie nazwiska, aby uniknąć potencjalnych zarzutów ze strony Watykanu.

Ojciec Sebastiana i Izaak nie mieli jednak dostępu do wielu krypt i klasztorów. Sebastian, członek inkwizycji, mógł go uzyskać. Młody człowiek zaczął więc z ogromną ostrożno-

ścią i dyskrecją badać tajne archiwa Kościoła, mając nadzieję, że znajdzie w nich coś na temat pochodzenia tajemniczego kodeksu.

Wiele godzin spędził w archiwach Torre de Tumbo w Lizbonie. Odwiedził stare ko-

ścioły i zamki templariuszy w Longroiva i Pombal, brnąc przez stare rejestry datków, konce-sji, zapisy dysput i kodeksy praw, i szukając w nich wskazówek, które albo mogłyby mu przybliżyć treść zaginionych stron, albo pozwoliłyby odkryć, gdzie może się znajdować jakaś kopia księgi. Pojechał do zamku Almourol, postawionego przez templariuszy na niewielkiej wyspie na środku rzeki Tejo, o którym mówiło się, że nawiedzają go duchy księżniczki wyczekującej na powrót kochanka, Maura.

Nie znalazł niczego.

O wszystkich swoich posunięciach informował Izaaka, ale stan starca coraz bardziej się pogarszał. W jego płucach zagnieździła się infekcja i Sebastian wiedział, że mistrz nie przetrwa zimy. Niestety jego poszukiwania przyciągnęły uwagę przełożonych.

Został wezwany przed oblicze wielkiego inkwizytora. Francisco Pedroso wiedział o wizytach młodego mężczyzny u umierającego marana i słyszał o prowadzonych przez niego w całym kraju poszukiwaniach. Sebastian wyjaśnił, że swoje wyprawy prowadzi, gorliwie po-szukując heretyckich tekstów, i zapewnił, że w ten sposób nie plami niczyjego dobrego imienia. Wizyty w celi Izaaka próbował zbyć lekceważeniem, opisując je jako ostatnie, daremne próby uratowania duszy starca.

Blade starcze wargi złowrogiego kapłana wyjaśniły Sebastianowi, że Bóg bacznie obserwuje poczynania swoich wyznawców, i przypomniały młodemu mężczyźnie, że obronę ofiar uważa się za większą zbrodnię niż ta, którą popełnili.

Sebastian wiedział, że nadszedł kres jego wysiłków podejmowanych w Portugalii. Od tej pory miał być obserwowany. Każdy błąd mógł go zaprowadzić do lochów. A kiedy zimą umarł Izaak, młody człowiek doszedł do wniosku, że nic go już nie trzyma w ojczystym kraju.

Dziedzictwo jego rodziców i Izaaka musiało być zabezpieczone. Co więcej, ich pracę należało dokończyć, wypełnić ich obietnicę.

Pewnego rześkiego wiosennego poranka Sebastian skierował swojego jedynego konia w stronę Ponte Velha i lasów eukaliptusowych porastających otaczające je góry. Postanowił

udać się do Hiszpanii i komturii templariuszy w Tortosie, Miravet, Monzón, Gardenie i Peni-scoli. W razie konieczności miał zamiar kontynuować poszukiwania w najważniejszym ośrodku nauki i translatoryki, jakim było Toledo.

Gdyby i te poszukiwania nie przyniosły skutku, zamierzał, zahaczając po drodze o Konstantynopol, podążać śladem zjadającego własny ogon węża aż do miejsca jego pochodzenia po drugiej stronie Morza Śródziemnego, do samego serca starego świata, do spowitych głęboką mgłą tajemnic, jakim dawał schronienie.

ROZDZIAŁ 14

Przez wszystkie szpary w betonowej ścianie pokoju przesłuchań nagle zaczęło się są-

czyć poranne zawodzenie muezina z pobliskiego meczetu, wrywając Mię ze snu. Półprzytomnie zerknęła na zegarek i zmarszczyła brwi. Dopiero co udało jej się wygrać z niewygodą swojego legowiska - dwóch drapiących koców, które zgięła na pół i położyła na pokrytej kafelkami podłodze - oraz hałaśliwą wrzawą krzyków i odgłosów spisywania zatrzymanych, które wstrząsały przez całą noc posterunkiem.

Świat nabrał nieco rumieńców kilka godzin później, kiedy w drzwiach pokoju przesłuchań pojawił się jakiś policjant, tym razem grzeczny, trzymając w ręku butelkę świeżej wody i parujące manuzi - cienkie, przypominające pizzę ciastko, posmarowane mieszaniną tymianku, nasion sezamu i oliwy z oliwek. W akcie najwyższej odwagi poprosiła jeszcze raz o moż-

liwość skorzystania z toalety, wiedząc doskonale, że aby pozbyć się wspomnień z drugiej wizyty w policyjnej ubikacji, w której panował iście średniowieczny smród, będzie potrzebowa-

ła wielu lat terapii - oraz najprawdopodobniej solidnej dawki antybiotyków. Po chwili zaprowadzono ją z powrotem do jej prowizorycznej celi i zamknięto na kilka męczących godzin, które spędziła, chodząc w kółko i usiłując trzymać na wodzy najczarniejsze myśli. Wreszcie, mniej więcej w porze lunchu, zaskrzypiały drzwi i ukazał się w nich promyk nadziei pod postacią niejakiego Jima Corbena.

Przedstawił się jako jeden z radców handlowych ambasady i zapytał, czy wszystko u niej w porządku. Byli z nim szcurek i inspektor od frazesów, natychmiast jednak zauważyła, że w rozkładzie sił nastąpiła znaczna różnica. Corben miał charakter, a detektywi z pewnością byli tego świadomi. Jego postawa, uścisk dłoni, zdecydowany ton głosu, kontakt wzrokowy, jaki nawiązywał... „Dwa gatunki ludzi” - pomyślała Mia, porównując go z Baumhoffem, i to zanim jeszcze zajęła się fizyczną przepaścią, jaka dzieliła obu pracowników ambasady.

Baumhoff został pod tym względem całkowicie zdeklasowany - przypominający wieprza, ły-sięjący pięćdziesięciokilkulatek o ziemistej skórze kontra zadbany, lekko opalony blondyn w pół drogi między trzydziestką a czterdziestką. Jej wrażenia skaził jednak bezpowrotnie pewien dodatkowy fakt: zaraz po tym, jak Corben zapytał, czy wszystko u niej w porządku, wypowiedział magiczne słowa, które natychmiast przebiły się przez jej desperację i niemal wyci-snęły jej z oczu łzy - cztery krótkie słowa, których nigdy nie zapomni:

- Przyszedłem cię stąd wyciągnąć.

Musiała minąć sekunda albo dwie, zanim sącząca się z tego zdania rozkosz w pełni dotarła do zmysłów Mii. Corben wziął sprawy w swoje ręce i poprowadził ją w stronę drzwi.

Detektywi nie protestowali, nie pisnęli ani słowa, choć przecież nie złożyła jeszcze oficjalnego zeznania. Corben najwyraźniej wyłożył im jakieś nadrzędne przepisy i nie pozostało im nic więcej, jak tylko stać z boku i patrzeć, jak odchodzą. Mia podążyła w oszołomieniu za swoim zbawcą w stronę zaplecza posterunku i tylnym wyjściem wydostała się wprost na zala-ny oślepiającym światłem świat, nie podpisując ani jednego formularza ani nie otrzymując zgody na zwolnienie zatrzymanej.

Corben poprowadził ją szybko do swojego samochodu, ciemnografitowego grand cherokee z przyciemnianymi szybami i na dyplomatycznych tablicach, który stał zaparkowany między policyjnymi radiowozami i wozami terenowymi, po czym pomógł jej wsiąść, a sam wskoczył za kierownicę. Wyjechał z policyjnego parkingu i skinąwszy głową pilnującemu bramy strażnikowi, dołączył do ruchu ulicznego.

Zerknął do wstecznego lusterka.

- Przed posterunkiem czeka kilku reporterów. Nie chciałem, żeby na ciebie napadli.

- Wiedzą o mnie?

Corben skinął głową.

- Wczoraj wieczorem było tam mnóstwo świadków. Ale nie martw się. Póki co, udało nam się nie wymieniać nazwiska twojej matki, nikt też nie wspomniał ani słowem o tobie.

Osobiście zadbałem, żeby tak pozostało, przynajmniej do momentu, kiedy sama zdecydujesz.

Gliniarze z posterunku dostali rozkazy. Wiedzą, co mają mówić, a co pozostawić do swojej wiadomości.

Mia czuła się, jakby wychodziła ze stanu hibernacji.

- „Wspomniał”? Chodzi ci o wiadomości?

- Informacja o porwaniu twojej matki pojawiła się w dzisiejszych gazetach. Póki co dziennikarze mówią tylko o anonimowej Amerykance, ale jeszcze dzisiaj poznają jej nazwisko, bo ambasada ma

zamiar wydać oświadczenie. Próbujemy zminimalizować znaczenie ca-

łej sprawy, ale mimo to robi się wokół niej coraz głośniejsze. Również rząd nie jest zainteresowany jej rozdmuchiowaniem. Taka afera to nie najlepsza prasa dla kraju, a obecnie, jak się pewnie orientujesz, sytuacja jest dość delikatna. Będą próbowali przedstawić wszystko jako wypadek przy handlu kradzionymi zabytkami, coś w rodzaju bójki przemytników nad skradzionym towarem.

- To jakieś bzdury - zaprotestowała Mia. - Moja mama nie jest przemytnikiem.

Corben wzruszył ze współczuciem ramionami, ale nie wydawał się przekonany.

- Jak dobrze ją znasz?

Być może chodziło o to, że była wyczerpana i głodna, a może w sugestii Corbena czaił się cień prawdy, w każdym razie Mia nie wiedziała już, co tym wszystkim myśleć.

- To moja matka - odgryzła się mimo to.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Mia zmarszczyła brwi.

- Jestem tutaj dopiero od trzech tygodni, w porządku? Wcześniej mieszkałam w Bostonie. Nie mogę powiedzieć, że byłyśmy jak papużki nierozłączki, ale mimo to jest moją matką i wiem, kim jest. To znaczy, daj spokój. Spotkałeś ją kiedyś? Jest jak matka Teresa, je-

śli chodzi o archeologię. - Westchnęła ciężko, po czym dodała: - Jest dobrym człowiekiem.

„Dobrym człowiekiem”. Zdawała sobie sprawę, jak pusto to zabrzmiało, ale wierzyła w to i kropka.

- A co z twoim ojcem? Gdzie on jest? Twarz Mii posmutniała nieco.

- Nigdy go nie poznałam. Zmarł wkrótce po tym, jak się urodziłam. Wypadek samochodowy. Na drodze do Jordanii.

Corben spojrzał na nią i skinął głową, tak jakby zastanawiał się nad jej słowami.

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy - wzruszyła ramionami. - To było dawno temu.

Wyglądała w milczeniu przez okno. Ulicami ciągnęli ludzie zajmujący się własnymi, codziennymi sprawami. Mia poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Nie mogła patrzeć na ich niefrasobliwość - po chwili przypomniała sobie jednak, że prawdopodobnie nie byli wcale tak spokojni, na jakich wyglądali, biorąc pod uwagę to, co właśnie przeszli oraz jak kruchy był

pokój w ich kraju. Nie wiedziała, co czai się za uprzejmym wyrazem ich twarzy i pomyślała, że może gdy się nad tym głębiej zastanowić - kiedy nagle człowiek ma do czynienia z sytuacją kryzysową, w

obliczu której dopiero można powiedzieć, jaki jest naprawdę - że może nie znamy tak dobrze innych, jak nam się wcześniej wydawało. Z pewnym poczuciem winy po-myślała, że Baumhoff i Corben mogą mieć rację. Nie знаła zbyt dobrze swojej matki. Nie wiedziała, jak tak naprawdę wygląda jej życie. Na tym właśnie polegała różnica między instynktowną pewnością a trudną do zaakceptowania prawdą.

Samochód zwolnił i zatrzymał się, utknąwszy w korku na wąskiej jednopasmowej ulicy. Mia odwróciła się do Corbena.

- Nie myślisz chyba poważnie, że handlowała kradzionymi antykami? Corben spojrzał jej w oczy.

- Moim zdaniem widać wyraźnie, że chodziło im konkretnie o nią, jeśli więc nie znajduje się na pierwszym miejscu listy celów w ramach czyjejś kampanii przeciw cudzoziemcom, co według naszego wywiadu jest wysoce, wysoce nieprawdopodobne, to jest to jedyne rozsądne wytłumaczenie, jakie w tej chwili przychodzi mi do głowy.

Kiedy Mia przetrwała jego słowa, wyraźnie zepsuł jej się nastrój. Corben przyjrzał się jej uważnie.

- Posłuchaj! To nieważne, dlaczego ją porwano. Fakty są takie, że ktoś ją porwał. Ktoś porwał kobietę, Amerykankę, prosto z ulicy, i powody, dla których to uczynił, mają znaczenie jedynie o tyle, o ile pomogą nam ją odnaleźć. Ponieważ o to nam właśnie chodzi, do tego dą-

żymy. Odnaleźć ją. Resztą zajmiemy się później.

W jego głosie pojawiła się nuta otuchy

Mia zdołała się zmusić do półuśmiechu. Oczy rozblęły jej determinacją. Kiwnęła z wdzięcznością głową.

- Wiem, że jesteś zmęczona - dodał. - Wiem, że myślisz teraz wyłącznie o tym, żeby wrócić do siebie, wskoczyć pod prysznic i zmyć z siebie to wszystko, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać o wczorajszym wieczorze. Byłaś tam. To co mi powiesz, może mieć podstawowe znaczenie dla naszych wysiłków, żeby ją znaleźć. W takich sytuacjach czas zawsze jest przeciwko nam. Jak myślisz, dasz radę?

- Oczywiście, że tak - skinęła głową Mia.

ROZDZIAŁ 15

Evelyn obudził ostry gorzki zapach. Podskoczyła, próbując odepchnąć od siebie jego źródło. Otworzyła szeroko oczy, które natychmiast zaatakował strumień wypełniającego pokój neonowego światła. Wydawało się, że naciera na nią ze wszystkich stron, tak jakby znalazła się nagle w jakimś białym pudle. Szybko zacisnęła z powrotem powieki. Przez szum w jej głowie powoli zaczęły się przebijać promienie świadomości. Przede wszystkim, nie leżała już zamknięta w bagażniku. Siedziała na twardym krześle z metalową ramą. Spróbowała zmienić nieco pozycję i poczuła piekący

ból w nadgarstkach i kostkach. Spróbowała nimi poruszyć, ale nie mogła. Zorientowała się, że jest przywiązana do krzesła.

Wyczuła wokół siebie ruch, ostrożnie więc otworzyła oczy. Kilka centymetrów od swojej twarzy dostrzegła cofającą się dłoń. Jej palce coś trzymały, przedmiot o cylindrycznym kształcie. Skupiła na tym wzrok i zorientowała się, że to kapsułka. „Pewnie sole trzeź-

wiące” - pomyślała. Kiedy przybliżyła się odrobinę do dłoni, zdołała wyczuć ich zapach. Stał przed nią jakiś mężczyzna.

Evelyn zauważyła jego oczy. Były niebieskie, o rzadko spotykanym odcieniu, i całkowicie pozbawione emocji. Przyszło jej do głowy słowo „arktyczne”. Oczy skupiały się na niej, przyglądając się jej z obojętną ciekawością, wyczulone na każde drgnienie jej ciała.

Ani razu nie mrugnęły.

Mężczyzna mógł mieć około pięćdziesiątki. Miał przystojną, dystygowaną twarz. Jej rysy - czoło, kości policzkowe, podbródek i nos - były wydatne, wyraziste, a mimo to wydawały się doskonale wyrzeźbione. Mężczyzna był lekko opalony, jego skóra miała głęboki złoty odcień. Miał gęste, falujące, siwiejące włosy, które zaczesywał gładko do tyłu. Był wysoki, co najmniej powyżej metra osiemdziesiąt. Evelyn najmocniej utkwilo jednak w głowie to, jak był szczupły. Nie chudy czy kościsty. Po prostu szczupły, co podkreślał dodatkowo jego wzrost. Wyglądało na to, że dba o siebie i potrafi okiełznać apetyt, przez co zresztą nie wydawał się ani odrobinę słabszy. Z jego postawy emanowały pewność siebie i poczucie władzy, a lodowate oczy świadczyły o zimnym, bezwzględny charakterze, co mocno zaniepokoiło Evelyn.

Z jakiegoś powodu instynkt podpowiadał jej, że mężczyzna nie jest Arabem. Potwierdził to jego akcent - kiedy wreszcie zdecydował się odezwać. Nie do niej. Do kogoś, kogo nie widziała, a kto stał za nią.

- Daj jej wody - rozkazał spokojnie. Mówił po arabsku, ale zdecydowanie nie był to jego ojczysty język. Evelyn zdziwiło niezmiernie, gdy się zorientowała, że wyczuwa w głosie mężczyzny domieszkę akcentu irakijskiego.

Obok pojawił się inny mężczyzna, który podniósł jej do ust butelkę zimnej wody mineralnej. Miał mroczną, ponurą twarz i nieczule oczy - zupełnie jak mężczyźni, którzy porwali ją w Bejrucie. Jej porwacz wydawał się dysponować całym zastępem zbirów. Zatrzymała się przy tej myśli, z wdzięcznością pociągając kilka łyków z butelki, zanim ciemny typek nie cofnął się i ponownie nie zniknął jej z oczu jak duch.

Stojący przed nią mężczyzna podszedł do niskiej szafki, która stała wzdłuż ściany, i otworzył jedną z szuflad. Nie widziała, co robi, usłyszała tylko jakby odgłos rozrywanej plastikowej torebki. Z rosnącą trwogą zaczęła się rozglądać po pokoju. Był pozbawiony okien, a jego ściany pomalowano ostrą jaskrawobiałą farbą. Błyszcząca biała szafka z szufladami cią-

gnęła się przez całą długość ściany. Wydawało się, że w pokoju panuje nienaganny porządek i że ktoś, kto go urządzał, musiał być niesamowicie przywiązany do funkcjonalności. „Chorobliwie przywiązany” - pomyślała nagle Evelyn. Doszła do wniosku, że pomieszczenie było odbiciem jego właściciela.

Przez jej umysł przemknęło kilka kolejnych niepokojących myśli.

Po pierwsze - i najważniejsze - nie zawiązano jej oczu. Porywacze w Bejrucie... Cóż, to tłumaczyło się samo przez się. Nie mogli przecież paradować po zatłoczonych śródmiej-skich pasażach w kominiarkach. Ale tutaj... To już coś zupełnie innego. Tutaj nie było żadnych wynajętych zbirów. Ten człowiek był bez dwóch zdań szefem. To, że nie przeszkadzało mu, że Evelyn widzi jego twarz, nie wróżyło zbyt dobrze na przyszłość.

Po drugie, jego strój. Miał na sobie luźną koszulę, spodnie khaki i ciemnoniebieską marynarkę. To oczywiście nic takiego. Gorzej, że narzucił na to wszystko biały lekarski kitel.

W białym pokoju. Z długim segmentem pełnym szuflad i szafek. Oświetlonym, jak zauważyła, spojrzawszy do góry, jaskrawobiałym światłem, takim jak na salach operacyjnych.

Evelyn z trudem przełknęła ślinę.

Nie odważyła się odwrócić i przyjrzeć reszcie pokoju, ale i bez tego w jej umyśle zaczęły się rysować kształty narzędzi chirurgicznych, które z pewnością czaiły się gdzieś za jej plecami.

- Dlaczego chciał się z tobą spotkać? - zapytał mężczyzna, stojąc ciągle plecami do niej. Mówił po angielsku z europejskim akcentem. Gdyby miała zgadywać, powiedziałaaby, że z włoskim albo może greckim. Miała jednak w tej chwili na głowie ważniejsze rzeczy.

Instynkt Evelyn domagał się, żeby zapytać mężczyznę, kim, do diabła, jest i dlaczego kazał tej bandzie zbirów porwać ją prosto z ulicy, wcisnąć do samochodu i przywieźć tutaj, powstrzymała jednak oburzenie. Jej umysł pracował na podwyższonych obrotach, usiłując przeanalizować wydarzenia, które ją tutaj doprowadziły. Wiedziała, że miało to coś wspólnego z Farukiem i z jego zamordowanym przyjacielem. Z antykami z Iraku. Oraz, jeśli dobrze pamiętała, z Uroborosem. Co oznaczało, że mężczyzna w kitlu najprawdopodobniej wiedział

dobrze, czego szuka. A zatem rozdrażnianie go byłoby bardzo nierozsądnym posunięciem.

- Dlaczego tutaj jestem?

Odwrócił się do niej. W ręku trzymał strzykawkę i gumowy pasek. Skinął do stojące-go za nim mężczyzny, który przysunął mu krzesło oraz niewielki stolik i ustawił je przed Evelyn. Mężczyzna w kitlu usiadł i spokojnie położył strzykawkę i pasek na stoliku. Odwrócił się do Evelyn, sięgnął od niechcenia ręką i zacisnął dłoń wokół jej szczęki. Jego uścisk był silny, bolesny, ale on sam zachował kamienną twarz i odzywał się całkowicie spokojnym głosem:

- Jeśli mamy się polubić, to radziłbym przestrzegać kilku podstawowych zasad. Zasada numer jeden:

nigdy nie odpowiadasz pytaniem na pytanie. Zrozumiano?

Wbił wzrok w jej oczy i nie opuszczał go, dopóki nie skinęła głową. Wtedy dopiero rozluźnił uścisk, a na jego wąskich ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Jeszcze raz - kontynuował - i wolałbym się już nie powtarzać. Dlaczego chciał się z tobą spotkać?

Evelyn poczuła, że cierpie jej skóra. Zobaczyła, że mężczyzna sięga ręką i podwija jej rękaw. Poczła lekki, pizmowy zapach jego wody kolońskiej. Co najgorsze, była to dobra woda kolońska.

- Zakładam, że chodzi panu o Faruka - odpowiedziała, starając się z całych sił, żeby nie zabrzmiało to jak pytanie.

Przez usta mężczyzny przemknął uśmiech. Jak na tak przystojną twarz, wydał się niepokojąco groźny.

- Tym razem wybaczam. - Skończył podwijać jej rękaw. - Tak, chodzi mi o Faruka.

Spojrzała na niego, niepewna, od czego zacząć.

- Potrzebował pieniędzy. Próbował sprzedać kilka dzieł sztuki z Iraku. Mezopotam-skich dzieł sztuki. - Przerwała, zawahała się, po czym postanowiła zaryzykować. - A czy wolno mi zadawać pytania?

Mężczyzna w zamyśleniu zasznurował wargi.

- Najpierw zobaczymy, czy się polubimy - powiedział, wbijając w nią wzrok, po czym uderzył kilka razy dwoma palcami w jej przedramię, odsłaniając żyłę.

ROZDZIAŁ 16

Hotel znajdował się niedaleko posterunku, doszli więc do wniosku, że porozmawiają właśnie tam. Bar - dobrze, Lounge - był o tej porze właściwie pusty. Mia wolała jednak unikać miejsca, w którym poprzedniego wieczoru rozmawiała z Evelyn, i zaprowadziła Corbena na patio. W Bejrucie październik był miesiącem łagodnym i przyjemnym - nie było już tak dusz-no i gorąco jak w sierpniu czy we wrześniu, ale nie trzeba się było jeszcze obawiać zimowych deszczy. Pogoda pasowała idealnie do pogawędki na tarasie. Pod warunkiem, że nie oznacza-

ło to konieczności sięgnięcia pamięcią do najkoszmarniejszego wieczoru, jaki się w życiu przeżyło, i to zaledwie kilka godzin po jego zakończeniu.

Mia opisała Corbenowi poprzedzające porwanie wypadki, począwszy od dziwnie nie-obecnego nastroju Evelyn, jej równie dziwnych słów na temat spotkania z kimś, „kogo nie widziała od bardzo dawna”, irakijskiego „człowieka do wszystkiego” sprzed lat, który pojawił

się „ni stąd, ni zowąd”, tego, dlaczego było to „skomplikowane” oraz - w tym momencie Mia odczuła znowu dreszcz niepokoju - androida o ospowatej twarzy. Czując, jak powoli jej przemęczony umysł się rozjaśnia, opowiedziała także o mężczyźnie, który został porwany razem z Evelyn, zastanawiając się na głos, czy może przypadkiem to nie on był tym irakijskim „człowiekiem do wszystkiego”.

Corben wsłuchiwał się w pełnym skupieniu w jej słowa, wyczulony na każdy najdrobniejszy szczegół opowieści. Kilka razy zanotował coś w niewielkim czarnym notatniku, czasem też przerywał Mii, zasypując ją pytaniami na temat drobiazgów, które - co zresztą zdziwiło nawet ją samą - udało się jej zapamiętać. Nie żeby uważała je za użyteczne. Żaden z obrazów, które utkwiły jej w pamięci - twarz androida, kratownica samochodu, człowiek, z któ-

rym spotkała się Evelyn - nie wydawał się wystarczająco istotny. Gdyby jeden ze zbirów miał

paskudną bliznę na policzku albo hak wyrastający z dłoni, wówczas może tak. W ludziach tych nie było jednak niczego, co wyróżniałoby ich z tłumu, przynajmniej nie w tym mieście.

Mii nie wydawało się, żeby którakolwiek z jej uwag mogła się okazać przydatna dla Corbena, i czuła się przez to niezmiernie przybita, bo szanse na to, że uda się odnaleźć jej matkę, topniały w jej oczach do zera.

Wspomniała, że Evelyn zapomniała telefonu, i nagle uświadomiła sobie, że również jej wciąż nie zwrócono komórki. Przypomniała sobie o dziwnym telefonie do Evelyn na posterunku - tym, który odebrał Baumhoff. Zaintrygowało to wyraźnie Corbena, który poprosił

ją, żeby możliwie szczegółowo opisała mu, co zobaczyła i usłyszała. Zanotował również, że ma odzyskać telefon Mii, wydobyć z komisariatu komórkę Evelyn oraz zapytać Baumhoffa o rozmowę. Wydawało się, że informacje te mają dla niego duże znaczenie, co podniosło Mię nieco na duchu.

Corben zapytał ją o zdjęcia, a ona powtórzyła to, co powiedziała już Baumhoffowi i detektywom: że nigdy ich nie widziała, że Evelyn jej ich nie pokazała. Opowieść o ostatnim fragmencie całego incydentu - pojawieniu się żołnierzy, krzyku, samochodzie - przyszła jej z trudem. Corben przez cały czas był jednak cierpliwy i pełen zrozumienia. Z jego oczu emanowały uczynność i troska, pomógł jej też przebrnąć przez kilka końcowych zdań opowieści.

Nie wyglądał na specjalnie zadowolonego z tego, co usłyszał. Mia zauważyła, że rozgląda się wokół, przypatrując się tylnej ścianie hotelu i patio, tak jakby oceniał wzrokiem zagrożenie.

Na jego twarzy pojawił się niepokój.

- O co chodzi?

Corben wydawał się starannie wazyć słowa.

- Chciałbym, żebyś zmieniła hotel.

- Dlaczego?

- Moim zdaniem powinniśmy przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Tak na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

Zmarszczył brwi, tak jakby wolał nie zagłębiać się zbyt mocno w temat.

- Facet w barze widział, jak siedzicie razem, jak długo o czymś rozmawiacie - powiedział powoli i spokojnie. - Później pojawiłaś się na uliczce i pokrzyżowałaś im plany. Sądzę, że jest wysoce prawdopodobne, że chodziło im również o mężczyznę, z którym spotkała się twoja matka, w przeciwnym razie nie próbowaliby go porwać. Z tego co mówisz, wnioskuję, że facet jakoś im się wyrwał i uciekł. Jeśli mam rację, oznacza to, że niestety - a raczej na szczęście - nie dostali tego, czego chcieli, i to przez ciebie. Z pewnością nie są z tego powodu zachwyceni i niewykluczone, że będą chcieli się dowiedzieć, skąd się tam wzięłaś. Co masz wspólnego z Evelyn. I czy bierzesz udział w tym, w co wplątała się twoja matka.

Mia poczuła, że ciarki przechodzą jej po plecach.

- Czy ty właśnie powiedziałaś, że mogą mnie szukać?

- Nie dowiedzą się, ile wiesz, dopóki z tobą nie porozmawiają - spekulował dalej Corben. - Ale nie bój się, nie dojdzie do tego - zapewnił szybko. - Tyle tylko, że musimy być ostrożni.

- Ostrożni? Co przez to rozumiesz? Rozmawiamy o ludziach, dla których nie stanowi problemu porwanie kogoś z ulicy!

Mia poczuła, że ściany tarasu zaczynają na nią napierać.

- Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć, ale masz rację. Ci faceci nie żartują -

przyznał grobowym tonem. - Przydzielę ci kilku ludzi do ochrony, ale sama rozumiesz, że nie możemy tutaj zbyt wiele. W zależności od tego, jak w ciągu kilku następnych dni wszystko się potoczy, powinnaś się zastanowić nad odłożeniem na jakiś czas badań i wyjazdem z kraju.

Wrócisz, jak trochę się tutaj uspokoi.

Mia spojrzała na niego z niemą konsternacją, po czym pokręciła z niedowierzaniem głową, otumaniona z powodu przebiegu wypadków.

- Nigdzie nie wyjadę. Na litość boską, moja matka została porwana!

Czekała, aż na twarzy Corbena pojawi się uśmiech, aż mężczyzna skinie głową, zrobi cokolwiek, żeby ją zapewnić, że strumień pełnych przemocy obrazów, które nagle zaczęła podsuwać jej wyobraźnia, jest niczym więcej niż paranoidalną reakcją nadpobudliwej histeryczki. Nie doczekała się. To nie była paranoja.

Poczuła, że robi jej się niedobrze.

Nagle przez szum w jej głowie przebił się głos Corbena:

- Mówiłaś, że twoja matka mieszka po drugiej stronie ulicy.

- Tak - skinęła głową. - Dlatego właśnie wybrałam ten hotel.

- W porządku. Musisz mi pokazać jej mieszkanie. Pójdziemy tam teraz. Rozejrzę się tylko, a potem wrócimy tutaj i się spakujesz.

Corben wstał z krzesła i podał Mii rękę. Podniosła się, czując, że nogi ma jak z waty.

Uczepiła się jego ramienia, powoli dochodząc do siebie. Na jego wargach pojawił się pocieszający uśmiech.

- Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą. I znajdziemy ją.

- Trzymam cię za słowo - szepnęła, myśląc w duchu, że nie spuści go z oka do momentu, kiedy wszystko będzie dobrze, kiedy razem z matką znajdą się na jakimś innym, bezpiecznym kontynencie.

ROZDZIAŁ 17

Mężczyzna w kitlu odchylił się w krzesło, przypatrując się Evelyn oczami jastrzębia.

Wydawało się, że gnębi go jakaś myśl. - A więc ten Irakijczyk - zapytał cierpkim tonem - któ-

ry rozpaczliwie pragnie sprzedać jakieś antyki, jedzie przez dwie niebezpieczne granice, żeby odnaleźć cię i spotkać się z tobą, mimo że, zgodnie z tym, co przed chwilą powiedziałaś, widzieliście się przez ponad dwadzieścia lat, nie jesteś jego klientką i nigdy nie w życiu nie po-

średniczyłaś w jego transakcjach? Widzisz, do czego zmierzam? - Przerwał na chwilę i się za-myślił.

- Chyba jednak wrócimy do mojego pierwszego pytania, a mianowicie: Dlaczego chciał się z tobą zobaczyć?

Evelyn poczuła, że po plecach przechodzą jej wzdłuż kręgosłupa ciarki. „Nie ma sensu kłamać ani kluczyć wokół tematu - pomyślała. - On wie”.

- Wiedział, że będę zainteresowana jednym z tych przedmiotów - wyjaśniła łamiącym się głosem. Nie była pewna, czy ratuje się z opresji, czy raczej sama kopie sobie grób.

Twarz mężczyzny złagodniała, tak jakby w swojej pogawędce właśnie przełamali ja-kąś barierę.

- Którym przedmiotem? - podniósł pytająco brwi.

- Księgą - wyjaśniła ponuro. - Ach.

Skinął powoli głową i rozparł się na krzesle, najwyraźniej usatysfakcjonowany. Palce złożył na wysokości ust w piramidkę.

- A dlaczego uważał, że będziesz nią zainteresowana?

Evelyn odchrząknęła. A potem opowiedziała mu o tym, co wydarzyło się w 1977 roku w Al-Hillah. O tym, jak została wezwana, żeby zająć się przypadkowym odkryciem. O podziemnych komnatach. Pozostałościach po obecności osób, które jej zdaniem były członkami jakiegoś tajnego

stowarzyszenia. Opowiedziała o Uroborosie. W komnacie i na księdze, którą chciał jej sprzedać Faruk.

Mówiąc, przyglądała się twarzy swojego inkwizytora. Choć najwyraźniej był bardzo zainteresowany jej opowieścią, to zdaniem Evelyn, wiedział już o symbolu. Zapytał, czy przebadła temat bractwa, co odkryła na jego temat. Opowiedziała mu o braciach, o podobień-

stwach w dokumentach i rozbieżnościach w lokalizacji. Zresztą tak naprawdę nie miała wiele do opowiedzenia. W swoich badaniach w pewnym momencie trafiła na ścianę. Wyglądało na to, że bractwo z podziemnej komnaty po prostu zniknęło.

Zamilkła. Opowiedziała o wszystkim, o czym wiedziała, z wyjątkiem jednego. Nie wspomniała o Tomie. Nie była pewna, dlaczego. Tom właściwie nie prosił jej, żeby nikomu nie mówiła o jego zainteresowaniach. Ale ona wiedziała. Wiedziała, że nie był z nią szczery.

Wiedziała, że nie powiedział jej, dlaczego tak naprawdę się tam znalazł, co go tam przywiodło, co naprawdę wiedział o tym dawno zapomnianym bractwie. A kiedy teraz siedziała w jakiejś pozbawionej okien komnacie z kostkami i nadgarstkami przywiązanymi do krzesła, wiedziała, że wpatrujący się w nią człowiek szuka tego samego, co wiele lat temu Tom. I że, co za tym idzie, jeśli mężczyzna ten dowie się o Tomie, zechce przedstawić mu takie samo zaproszenie, jakie miała nieszczęście otrzymać ona.

Kiedy się nad tym zastanawiała, poczuła ukłucie gniewu. Poczuła się zdradzona. Ile tak naprawdę wiedział Tom? I - co bardziej wiązało się z tematem - czy wiedział, że również inni interesują się bractwem? Inni, którzy powiedzmy, byli mniej życzliwie nastawieni niż on? Czy byłaby mniej narażona na niebezpieczeństwo, gdyby Tom powiedział jej wszystko, co wiedział? Czy zachowałaby się w jakiś inny sposób? Nie była pewna, czy cokolwiek by to zmieniło. Minęło tyle lat.

Mimo wątpliwości, mimo upływu lat, ciągle czuła potrzebę chronienia go. Nie potrafiła zresztą tego wyjaśnić. Tak po prostu... było. Zawładnął ją jakiś instynkt - silniejszy od samozachowawczego.

Dziwna rzecz - czuła się przez to lepiej, wiedząc, że zataiła coś przed inkwizytorem.

Wiedząc, że mu się w jakiś sposób oparła. To było takie małe zwycięstwo.

Niestety, zdaje się, że on to wyczuł. Przez twarz przemknął mu cień podejrzenia, po czym mężczyzna zapytał:

- Poddałaś się więc i skupiłaś na innym obszarze badań?

- Tak - stwierdziła kategorycznym tonem.

Przyjrzał się jej. Wytrzymała jego wzrok z tak szczerym wyrazem twarzy, na jaki tylko mogła się zdobyć, mając nadzieję, że niepokój, który ją ogarniał, nie zdoła się przebić na zewnątrz. Po chwili opuściła wzrok i się odwróciła.

- Kto jeszcze wie o twoim odkryciu? - zapytał.

Pytanie, choć mogła się go spodziewać, zmieszało ją. Spróbowała stłumić niepokój.

- Nikt.

„Zabrzmiało, jakbym się broniła” - pomyślała nagle. Poza tym odpowiedź była całkowicie niezgodna z prawdą i on dobrze o tym wiedział.

- To znaczy, oczywiście wiedzą o tym ludzie, z którymi pracowałam przy wykopaliskach, inni archeolodzy i wolontariusze - dodała niezgrabnie. - Wypytywałam też pracowników uniwersytetu w Bagdadzie, rozmawiałam z kilkoma innymi osobami.

Nie była pewna, czyjej instynktowne „nikt” nie padło za szybko.

Mężczyzna w kitlu spojrzał na nią niepokojąco przeszywającym wzrokiem. Wydawa-

ło się, że potrafi wwiercić się jej do umysłu, niemal czuła, jak w nim myszkuje, i z całego serca pragnęła go stamtąd wyrzucić. W końcu skinął głową i się nachylił.

- Mogę?

Podniósł gumowy pasek. Evelyn drgnęła.

- Co pan robi?

Podniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Chcę tylko pobrać od ciebie trochę krwi. Nie ma się czym przejmować. Poruszyła ramieniem w lewo i prawo, starając się przeszkodzić oprawcy.

- Nie, proszę, nie...

Mężczyzna znowu złapał ją za szczękę, ale tym razem jego uścisk był silny jak imadło. Kiedy nachylił groźnie nad nią twarz, zatrzymując się kilka centymetrów od niej, jego oczy były zimne jak stal.

- Radzę ci nie komplikować swojej sytuacji - syknął powoli przez zaciśnięte usta.

Przez chwilę się nie ruszał, pozwalając, żeby jego słowa zapadły jej w pamięć, po czym puścił ją i zabrał się do obwiązywania wokół jej ramienia, powyżej łokcia, gumowego paska.

Evelyn siedziała, niezdolna wykrztusić słowa, obserwując go w milczeniu.

Przytrzymał jej rękę i uderzył w nią kilka razy palcami. Żyła zaczęła pulsować zache-

cająco. Mężczyzna sięgnął po strzykawkę. Nie patrząc na Evelyn, wbił ostrożnie igłę w żyłę.

Wprawnym ruchem szybko zdjął gumowy pasek z jej ręki, pozwalając, by w żyłach z powrotem zaczęła krążyć krew. Odczekał chwilę, po czym powoli odciągnął tłoczek, napełniając strzykawkę krwią.

Evelyn poczuła w gardle mdłości. Odwróciła się i spojrzała w najbardziej odległy za-kątek pokoju, starając się oddalić od siebie nieprzyjemne uczucie.

- Początek był nie najgorszy - zauważył swobodnym tonem mężczyzna. - Niestety mu-szę zadać ci kilka bardziej szczegółowych pytań. Zaczniemy od tego, że muszę wiedzieć, kto jeszcze słyszał o twoim zainteresowaniu zaginioną grupą. Muszę również wiedzieć, co do-kładnie powiedział ci nasz mały handlarz, skąd wziął antyki i - co jeszcze bardziej istotne -

gdzie je trzyma. Wreszcie, chciałbym się dowiedzieć, jak mogę go znaleźć. A teraz, zanim za-czniesz odpowiadać, chciałbym cię jeszcze poprosić, żebyś mówiła tak ochoczo i szczegóło-wo, jak to tylko możliwe. Potrafię zadawać ból na tyle sposobów, że trudno byłoby je wszystkie wymienić, i nie chciałbym, żebyś zmuszała mnie do tego, żebym je na tobie wypróbował.

Poza tym, nie chciałbym cię uszkodzić, naprawdę. Wydaje się, że jesteś całkiem zdrowa. Lata fizycznej, ale niezbyt intensywnej pracy prawdopodobnie podziałały na ciebie lepiej niż jakakolwiek dieta. Możesz mi się jeszcze przydać w badaniach. Potrzebuję jednak kilku odpowiedzi, zresztą, nawet jeśli będę musiał nakłonić cię do mówienia prawdy siłą, podejrzewam, że pewne wyniki z tego miejscowe uszkodzenia nie wpłyną zbyt mocno na przydatność reszty twojego organizmu.

Evelyn nie wiedziała, jak ma rozumieć jego słowa, które jednak podziałały na nią wstrząsająco. „Przydatność reszty organizmu”? Co on, do diabła, przez to rozumiał? Jej umysł walczył przez chwilę z krótkim napadem przerażających myśli, po czym z upływu krwi zakreśliło jej się w głowie. Minuty ciągnęły się jedna za drugą, aż wreszcie poczuła, że igła wysuwa jej się z ramienia.

Mężczyzna w kitlu wstał, podniósł strzykawkę do światła i wstrząsnął nią lekko. Wydawał się zadowolony. Przykrył strzykawkę i położył ją na stoliku. Podniósł z niego coś innego, po czym wrócił i usiadł znowu przy Evelyn. Zauważyła, że przyniósł ze sobą inną strzykawkę, mniejszą, oraz niewielką fiolkę wypełnioną bladożółtym płynem. Trzymał również w dłoni nasączony alkoholem kłębek bawełny, którym opatrzył niewielką dziurkę na jej ramieniu. Następnie sięgnął po strzykawkę i napełnił ją płynem z fiołki.

- Wiem dobrze, że nie powiedziałaś wszystkiego na temat tego, z kim dzieliłaś swoją małą fascynację. Nasze oczy i głosy zdradzają nas w stopniu większym, niż nam się wydaje.

Wystarczy tylko wiedzieć, czego szukać. - Wycisnął ze strzykawki kilka pęcherzyków powietrza, które pozostały w igle, po czym odwrócił się do Evelyn. W jego oczach, które znowu spoczęły uważnie na kobiecie, pojawił się błysk okrucieństwa. - Ja wiem - ostrzegł, po czym sięgnął ku niej ręką, przycisnął jej ramię i wprowadził weń zawartość strzykawki, dodając: - a to jest niewielka próbka tego, czego możesz się spodziewać, jeśli znowu wyczuję, że nie jesteś ze mną do końca szczerą.

Kiedy Evelyn obserwowała, jak ciecz znika w jej ciele, czuła, że wokół jej serca zaciska się żelazna

pięść strachu. Spojrzała na swojego dręczyciela. Jej umysł zalała fala paniki, oczy zaczęły szukać jakiegoś tropu na jego beznamiętnej twarzy, a oddech stał się płytki i szybki. Otworzyła usta, żeby zadać pytanie, ale nagle zamarła, bo poczuła coś dziwnego wokół miejsca, w które wbił igłę. Przez chwilę nic się nie działo, po czym dziwne uczucie zaczę-

ło się rozprzestrzeniać w obu kierunkach, docierając wkrótce do samych koniuszków palców z jednej strony i klatki piersiowej z drugiej, przy czym kiedy się rozchodziło, stawało się coraz intensywniejsze, z podrażnienia zamieniając się w piekący ból, potem w nieznośne rwanie, aż wreszcie każda żyła w jej ciele zaczęła płonąć żywym ogniem, tak jakby cały jej system sercowo-naczyniowy został wypełniony jakimś gorejącym paliwem.

Jej ciało opanowały drgawki. Było sztywne z bólu, obraz przed jej oczami się zamażał, usta zaczęły się trząść, a na czole pojawiły się kropelki potu, zalewając po chwili całą twarz.

Wydawało się, że od środka trawi ją ogień.

Mężczyzna w kitlu siedział i obserwował. Trzymał fiolkę na wysokości twarzy i wydawało się, że jest naprawdę zuroczony.

- Całkiem interesująca substancja. Nazywa się kapsaicyna. Otrzymuje się ją z papryczek chili, choć uczucie, jakie towarzyszy człowiekowi, kiedy wbija zęby w enchiladę, niezupełnie przypomina to, jakie wywołuje, gdy krąży mu w żyłach w skoncentrowanej formie, prawda?

Jego uśmiešek rozmazał się w powietrzu. Evelyn próbowała powstrzymać łzy, drżąc pod wpływem przeszywającego ją bólu.

- Papryczka chili to wspaniały owoc - zauważył rzeczowym tonem jej dręczyciel. -

Wiele nam mówi o ludzkiej naturze. Pomyśl tylko o tym. Z punktu widzenia ewolucji, powodem, dla którego tak pali, kiedy się ją ugryzie, jest mechanizm obronny. Który całkiem skutecznie odstrasza zwierzęta, zupełnie jednak nie działa na ludzi. Nie, my jesteśmy inni. Bierzymy ten czerwony owoc i w żadnym razie nie trzymamy się od niego z daleka. Szukamy go, hodujemy i czerpiemy z niego przyjemność. Perwersyjną przyjemność. Po pierwsze, dodaje-my go do naszego pożywienia. Dobrowolnie. Z wyboru. Rozkoszujemy się bólem, jaki nam sprawia. Ale to jeszcze nic w porównaniu z perwersyjną przyjemnością, jaką czujemy, wykorzystując go do zadawania bólu innym. Czy wiesz, że Majowie używali chili do wymierzania kary niestałym dziewczętom, wcierając im je w oczy oraz - jeśli poddawali w wątpliwość ich dziewictwo - w genitalia? Z kolei Inkowie ustawiali się naprzeciw wroga, dbając o to, by wiatr wiał im w plecy, po czym przed bitwą rozpalali ogromne ogniska, w których palili papryczki chili. Nawet dzisiaj Chińczycy używają ich do torturowania tybetańskich mnichów.

Uwiązują ich nad ogniem i wrzucają w płomień chili. Sprawia ono, że ból jest bardziej intensywny, nie wspominając już o tym, co się dzieje z oczami mnichów. Gaz pieprzowy czy chili eon carne? To rozdymka wśród owoców. A wiesz, co jest najciekawsze? Że odkrywamy właśnie potencjał, jaki drzemie w kapsaicynie jako środka przeciwbólowym. Przeciwbólowym! I jak tu nie mówić o ludzkiej pomysłowości?

Jego słowa nie docierały do Evelyn. Widziała tylko, jak porusza ustami i słyszała strzępki zdań, ale jej mózg był otępiały i nie był w stanie przetwarzać żadnych wyrazów. Fala bólu zalała każdy neuron w jej ciele, spustoszyła każdy, najdalszy jego zakątek. Evelyn pró-

bowwała uchwycić się czegoś niosącego nadzieję, jakiegoś obrazu czy myśli, które mogłyby posłużyć za przeciwwagę dla bólu, i jej umysł wypełnił się obrazem twarzy Mii - nie krzyczącej twarzy na końcu uliczki, ale promiennie roześmianej buzi, do której była przyzwyczajona. Znalazła się na skraju omdlenia, kiedy nagle, równie gwałtownie, jak się pojawił, ból zaczął się cofać. Wzięła kilka głębokich wdechów, napinając się w oczekiwaniu na kolejną falę i drżąc ze strachu na samą myśl o niej, ta jednak nie nadchodziła. Ból wypalił się jak płomień.

Mężczyzna w kitlu obserwował Evelyn z przerażającą obojętnością, jakby była królikiem doświadczalnym w klatce. W jego arktycznych oczach nie pojawiła się nawet iskierka zainteresowania. Po chwili zerknął od niechcienia na zegarek i skinął niemal niezauważalnie sam do siebie głową, tak jakby zapisywał w pamięci jej reakcję i czas jej trwania.

W głowie Evelyn zadudniły ostatnie słowa, jakie dotarły do niej, zanim zrobił jej zastrzyk. Nazwał to małą próbką tego, czego mogła się spodziewać.

Na samą myśl o tym zadrżała.

Mała próbka.

Wolała nawet nie próbować wyobrazić sobie, co wywołują właściwe środki.

Obserwował, jak odzyskuje zmysły, i po chwili skinął głową do ducha za jej plecami.

Ten bez słowa podał jej znowu wodę, po czym z powrotem wycofał się w głąb pokoju. Mężczyzna w kitlu przechylił głowę i nachylił się, żeby lepiej przyjrzeć się Evelyn.

- Sądzę, że masz mi coś do powiedzenia - stwierdził lakonicznie.

ROZDZIAŁ 18

Kiedy Mia wychodziła z Corbenem z hotelu, kierując się w stronę budynku po drugiej stronie Rue Comodore, poczuła nieznaną jej do tej pory bezradność. Było to dziwne uczucie. Każdy por jej ciała wypełnił się lekkim bólem, a ona sama, szukając z niepokojem niewidocznych zagrożeń, zaczęła podejrzliwie przyglądać się twarzom na ruchliwej o tej porze ulicy, nie wyłączając grupki oczekujących pod hotelem taksówkarzy. Trzymała się blisko Corbena, który stanął na chwilę przy swoim zaparkowanym samochodzie i wyjął ze schowka niewielki skórzany woreczek. Spojrzała na niego i zauważyła, że i on bacznie śledzi ruchy otaczających ich ludzi. Nie wiedziała, czy powinna czerpać z tego pociechę, czy poczuć jeszcze większy niepokój. Kiedy ruszyli chodnikiem w stronę wejścia do kamienicy Evelyn, instynktownie jeszcze bardziej zbliżyła się do swojego opiekuna.

Gdy Evelyn przyjechała do Bejrutu, miasto ciągle jeszcze lizało rany po czasach, które tutejsi mieszkańcy ze stoickim spokojem określali jako »trudne». Rząd istniał tylko na papierze, a o

zupełnie podstawowe udogodnienia, takie jak elektryczność czy telefon, trzeba było walczyć. Mieszkanie po drugiej stronie Rue Commodore miało przez to wiele zalet. Hotel nieprzerwanie świadczył usługi gościom, część swoich błogosławieństw roztaczając również na najbliższą okolicę. Władze uniwersytetu załatwiły Evelyn przyzwoite mieszkanie na trzecim piętrze otynkowanego na szaro budynku, dosłownie naprzeciw hotelu. Od tej pory nazywała je domem. Być może nie mogła poszczycić się najlepszym widokiem w mieście - żadnego morza z jego gorejącymi zachodami słońca, żadnego monumentalnego pasma gór na wschodzie - ale przynajmniej nie musiała kulić się nad książką przy gazowej lampce, kiedy to samo malownicze słońce schowało się już za horyzontem. Nie wspominając o tym, że hotelowy barman przyrządzał całkiem niezłe martini i dysponował zupełnie przyzwoitą kartą win w równie przyzwoitych cenach.

Mia odwiedziła tam kilka razy matkę. Dopóki nie skończyła college'u, spędzała w jej bejruckim mieszkaniu każde wakacje. Wpadła do niego również raz czy dwa razy, kiedy już pracowała w Libanie, ale wtedy było jakoś inaczej. Zdawała sobie sprawę, że również tym razem będzie się w nim czuć obco.

Kiedy dotarli do budynku, Mia wskazała go Corbenowi. Ten obrzucił wzrokiem ulicę, po czym poprowadził Mię przez otwarte szklano-metalowe drzwi w stronę recepcji na parterze. Był to typowy budynek z lat pięćdziesiątych. Miał pięć pięter wyposażonych w biegnące wzdłuż fasady balkony. Panował w nim modernistyczny duch Bauhausu - co oznaczało, że próżno w nim było szukać elektrycznych dzwoneczków i innych środków bezpieczeństwa stanowiących typowe wyposażenie nowszych kamienic. Drzwi prowadzące do recepcji powinny być zamykane na noc, ale przez cały dzień były otwarte. Portiera najczęściej można było zastać na zewnątrz, gdzie grał w tryktraka albo palił fajkę wodną, zawzięcie dyskutując na tematy polityczne - teraz jednak nigdzie nie mogli go dostrzec.

Weszli do windy, starego modelu ze skrzypiącą metalową kratą, którą trzeba było ręcznie zasunąć, zanim kabina wykonała jakikolwiek ruch. Wjechali na trzecie piętro. W korytarzu, zaopatrzonym tylko w jedno wysoko umieszczone okno wychodzące na wewnętrzny szyb, było ciemno, ale Mia znalazła czasowy włącznik światła i nacisnęła go. Na każdym pię-

trze znajdowały się dwa mieszkania. Mia poprowadziła Corbena do drzwi po lewej. Stał

przy nich i przez chwilę przypatrywał się zamkowi. Spojrzał przez korytarz na drzwi do drugiego mieszkania, po czym skinął na Mię ręką i poprosił, żeby do nich podeszła.

- Możesz tam stanąć na chwilę?

Ustawił Mię plecami do drzwi.

- Tak?

- Doskonale.

Wysłuchiwał się przez kilka sekund w ciszę, upewniając się, że są sami, po czym wró-

cił do drzwi do mieszkania Evelyn.

Mia nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Patrzyła, jak rozpina swój skórzany woreczek i wyciąga z niego jakieś narzędzia. Po chwili zaczął jednym z nich grzebać przy zamku do drzwi.

Odwróciła ostrożnie głowę i zauważyła, że ustawił ją tak, żeby zasłaniała wizjer. Spojrzała z powrotem na Corbena, wbijając w niego wzrok z osobliwym zdumieniem.

- Myślałam, że jesteś radcą handlowym - szepnęła w końcu. Spojrzał na nią z ukosa i nonszalancko wzruszył ramionami.

- Mogę ci pokazać wizytówkę.

- Jasne. A od kiedy to absolwenci szkół biznesu mają do zaliczenia włamywanie?

Skrzywił się, skoncentrowany na ostatnim ruchu, i po chwili, dokładnie w momencie, kiedy zgasło światło, zamek szczęknął i zwolnił zapadnię. Corben uśmiechnął się do Mii zadowolony z siebie.

- Mieliśmy dużo przedmiotów do wyboru.

Mia również się uśmiechnęła, czując, że niepokój powoli zaczyna ją opuszczać. Na tym etapie każdą zmianę nastroju witała z radością.

- A myślałam, że ze studiów nigdy nic się nie pamięta.

- Zależy, co się studiuje.

Spojrzała na niego niepewnie, po czym nagle zrozumiała.

- Jesteś z CIA, tak? Corben nie odpowiedział.

Przez chwilę analizowała w myślach jego milczenie, po czym dodała ponuro:

- Dlaczego nagle zaczęło mi się wydawać, że wszystko to jest bardziej poważne, niż myślałam?

Na jego twarzy pojawił się niepokojący cień.

- Dobrze wiesz, że sprawa jest poważna. - Jego słowa oraz ton, jakim zostały wypowiedziane, wyryły się głęboko w umyśle Mii. Wydawało się, że wyczuł jej przerażenie, bo dodał szybko z pocieszającą nutą w głosie: - Jesteś w dobrych rękach. Po prostu nie wszystko naraz.

Spojrzał na nią, czekając, aż skinie mu głową, co w końcu udało jej się zrobić.

Powoli otworzył drzwi. Prowadziły do niewielkiego korytarza, za którym było widać salon. Zajrzał do środka. Mieszkanie, położone przy wąskiej uliczce i otoczone przez wysokie budynki, nie było zbyt jasne i panowała w nim martwa cisza.

Wszedł do środka, gestem zachęcając Mię, żeby podążyła za nim.

Salon był przestronny, rozświetlony przez okno i parę przesuwanych drzwi, które prowadziły na wychodzący na ulicę balkon. W środku, zdaniem Mii, nic się nie zmieniło: głębokie sofy i perskie dywany leżały dokładnie tam, gdzie zapamiętała. Pełno w nim było pamią-

tek zebranych w trakcie wielu lat podróży i badań: oprawione rękopisy i sztychy na ścianach, antyki i zabytkowe przedmioty na niewielkich stojakach umieszczonych na półkach i kreden-sach, piętrzące się wszędzie stopy książek. Mia zaczęła się rozglądać, przeczesując wzrokiem liczne zakamarki pokoju. Wszystko wokół niej wiele mówiło o intensywnym życiu, jakie prowadziła Evelyn, o jej oddaniu wybranej przez siebie drodze. Salon sprawiał wrażenie miejsca przytulnego, nieco staroświeckiego, oderwanego od świata, i tak był naznaczony osobowością swojej właścicielki, że Mia poczuła lekką nostalgię za skąpo urządzonym mieszkaniem, które wynajmowała w Bostonie - pozytywnie bezosobowym. O miejscu, w którym mieszkała teraz

- pokoju hotelu przy Rue Commodore - nie wspominając.

Zaczęła krążyć po pokoju, poruszając się jak we mgle, opanowana nagle przez wspomnienia, które zalały jej umysł. Zatrzymała się przed oprawionymi w ramki rękopisami, w których przyciągnęły jej uwagę niezwykle rysunki ludzkiego ciała, otoczone gęstymi rządkami liter. Zobaczyła, że Corben rusza w głąb mieszkania. Poszła za nim, patrząc, jak wychodzi z sypialni matki, rzuca okiem na pokój gościnny i łazienkę, po czym mijając ją, wraca do salonu.

Mia zawahała się przy drzwiach, ale po chwili weszła do pokoju matki. Przez firanki wpadał do niego strumień popołudniowego światła, wypełniając go kuszącą miękkością. Nie była w nim od lat. Jak tylko weszła do środka, w nozdrza uderzył ją trudny do pomylenia z czymkolwiek innym zapach, żywy i ciepły. Poczowała się, jakby znowu miała dziesięć lat i wchodziła późnym wieczorem do pokoju, żeby wślizgnąć się do łóżka matki i przytulić się do niej. Podeszła z wahaniem do toaletki. Na brzegach lustra wszędzie były poprzyklejane jej zdjęcia, w różnym wieku. Oczy Mii spoczęły na jednym z nich, na którym jako dziesięcioletnia dziewczynka stała z Evelyn w otoczeniu ruin w Baalbek. Dobrze pamiętała ten dzień. Poczowała chęć, żeby zabrać ze sobą zdjęcie, ale zaraz zrobiło jej się głupio i postanowiła zostawić je w spokoju.

Nagle ogarnął ją smutek: było jej przykro, że nieproszona wchodzi do sanktuarium matki. Poczowała, że po jej ciele rozchodzi się promieniście niepokój o Evelyn. Z ciężkim sercem wyszła z pokoju i wróciła do salonu. Corben sprawdzał właśnie półki. Objęła się ramionami, starając się jakoś pocieszyć, po czym podeszła do okna przy balkonie i wyjrzała na ruchliwą ulicę. Wpatrzyła się w ludzi zabijających na dole czas, pragnąc gorąco, żeby gdzieś wśród nich pojawiła się nagle Evelyn, cała i zdrowa.

Nie zobaczyła jednak Evelyn. Zobaczyła granatowego mercedesa klasy E, który dyskretnie minął budynek i zatrzymał się tuż obok hotelu.

ROZDZIAŁ 19

Corben omiółł fachowym spojrzeniem pokój i doszedł do wniosku, że jak tylko uda się umieścić Mię

w jakimś bezpiecznym miejscu, konieczna będzie kolejna wizyta - tym razem dłuższa, wypełniona bardziej gruntownymi poszukiwaniami. Jak tylko będzie to możliwe, zajrzy również do gabinetu Evelyn na uniwersytecie. Oba miejsca wkrótce zostaną też sprawdzone przez libańskich detektywów - nie działali oni tutaj tak szybko jak w domu, ale w tym momencie Corbenowi zupełnie to odpowiadało. Miał jeszcze otwartych kilka możliwości i wiedział, jak z nich skorzystać.

Wszystko to dopadło go całkiem nieoczekiwanie, w dodatku - o ironio! - o mały włos okazja nie przeszła mu w ogóle koło nosa. Zazwyczaj nie zajmował się takimi sprawami jak porwanie Evelyn, w każdym razie nie w wypadku, gdy udało się ustalić, że nie chodzi o politykę, co tym razem było wiadome od samego początku. To, że znalazł się ostatecznie tutaj, w jej mieszkaniu, wyniknęło z zupełnie innych powodów. W ambasadzie i wśród kolegów w CIA udało mu się zagwarantować sobie pozycję eksperta od spraw irackich. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z tym krajem, miało więc lądować na jego biurku. Zadbał, żeby każdy z pracowników nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlatego właśnie rano Baumhoff - początkowo niefrasobliwym tonem - poinformował go o porwaniu Evelyn i pokazał zdjęcia.

Trop, na który wpadł w podziemnym laboratorium w Iraku, zgubił ponad trzy lata wcześniej. Od tego momentu zmienił kraj i pracował nad kilkoma innymi zadaniami, ciągle jednak uważnie wypatrywał swojego ulotnego kłębka, mając nadzieję, że kiedy pojawi się ja-kaś wskazówka - cień informacji, cokolwiek - uda mu się jej nie przeoczyć. Dziś dowiódł samemu sobie, że jego pracowitość i zaangażowanie nie poszły na marne. Przy odrobinie szczę-

ścia mogło się okazać - po prostu mogło - że znowu trafił na świeży trop.

Przypadek jest najlepszym detektywem. Żył wystarczająco długo, żeby się przekonać, jak wiele prawdy tkwi w tym stwierdzeniu.

Zobaczył, że Mia staje przy oknie i ruszył w stronę dębowego biurka ustawionego po drugiej stronie pokoju. Było zwalone teczkami, podręcznikami i materiałami do wykładów.

Corbena bardziej zainteresował leżący nieco z boku laptop. Kiedy wyłączał go z sieci, zauwa-

żył gruby, omszały organizer Evelyn. Był otwarty na stronach kalendarza obejmujących aktualny tydzień. Na górze leżała lekko obszarpana, staroświecka wizytówka. Podniósł ją. Widniało na niej nazwisko jakiegoś archeologa z Rhode Island. Zazaczył nią stronę, na której był

otwarty organizer, po czym zamknął go i położył na laptopie. Musiał przejrzeć również jego zawartość.

Zauważył, że pod organizernem leży stara teczka. Coś w niej przyciągnęło jego uwagę i postanowił do niej zaglądnąć.

Pozycja, w jakiej leżała na biurku, wskazywała na to, że Evelyn przeglądała ją tuż przed tym, jak dzień wcześniej wieczorem opuściła mieszkanie. Corben otworzył kopertę.

Jego oczy uderzył widok drzeworytu, na którym widniał wąż zjadający własny ogon. Poczul w żyłach zastrzyk adrenaliny.

Trop, bez wątpienia świeży trop. Zanim jednak do końca zdał sobie sprawę ze swojego odkrycia, jego narastające podekscytowanie z brutalną skutecznością rozwiął nagły okrzyk Mii.

- To oni! - zawołała, odwracając się do Corbena z oczami pałającymi przerażeniem. -

Są tutaj!

Corben podbiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Mia wskazywała palcem trzech mężczyzn, którzy szli chodnikiem w stronę hotelu. Z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Przyszli po mnie! - wykrzyknęła.

- To ci, których widziałaś wczoraj?

Mia skinęła głową.

- Ten w środku to ta kreatura z baru. Gość z lewej był chyba z nim, kiedy ścigali w śródmieściu mamę. Trzeciego nie znam.

Corben przeanalizował sytuację. Jego wprawne oko z kilku ledwie dostrzegalnych gestów bandytów wyczytało natychmiast, że ich szefem jest mężczyzna o kruczoczarnych włosach, który szedł pośrodku między dwoma pozostałymi. Poruszali się płynnie jeden za drugim wzdłuż chodnika, dyskretnie rozglądając się na boki, wyczuleni na wszystko, co działo się wokół nich. Corben przyjrzał się ich ciałom w poszukiwaniu broni i nawet z trzeciego piętra dostrzegł wiele mówiące wybrzuszenie pod kurtką pierwszego mężczyzny.

Mia wbiła w nich wzrok.

- Idą po mnie do hotelu? Mogą tak? W biały dzień?

- Owszem, jeśli mają legitymacje służby bezpieczeństwa. Które mogli zdobyć bez najmniejszego problemu. Każda z milicji ma tutaj własny przydział agentów. Mogą być powią-

zani z którąś z grup.

Kiedy Corben sięgał po telefon komórkowy i wystukiwał na klawiaturze numer, w jego głowie rysował się jednak jeszcze bardziej niepokojący scenariusz.

Dysponował w mieście kilkunastoma kontaktami - w większości byłymi członkami oddziałów milicji, którzy z kolei mieli własne „kręgi zaufania”, oraz kilkoma oficerami libań-

skiego wywiadu wojskowego, byłymi i obecnymi - których w razie konieczności mógł poprosić o

pomoc. Każdy z nich miał inną strefę wpływów i był przydatny na konkretnym terenie.

Po dwóch sygnałach odezwał się męski głos.

- Mówi Corben - rzucił beznamiętnie w słuchawkę. - Potrzebuję wsparcia na Commodore. Mam tu trzech facetów, może więcej. Uzbrojeni. - Wyjrzał na zewnątrz i dodał: - Zaczekaj.

Corben i Mia stali przez chwilę w milczeniu, obserwując, jak zabójcy zbliżają się do hotelu. Corbenowi zeszywniały mięśnie. Zbliżała się chwila prawdy.

W dole trzej mężczyźni dotarli do wejścia do hotelu.

Nie weszli jednak do środka. Nawet tam nie spojrzeli.

Szli dalej i minawszy kilka zaparkowanych samochodów, w tym samochód Corbena, zaczęli przechodzić przez ulicę.

Miał rację, kiedy pomyślał o alternatywnym scenariuszu.

Zmierzali prosto na nich.

ROZDZIAŁ 20

- Mia obserwowała, jak zabójcy przechodzą przez ulicę, i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zmierzają do kamienicy Evelyn. Patrzyła, jak znikają jej z oczu, ukryci pod wystającym balkonem, i czuła, jak grunt ucieka jej spod nóg. Nie odważyła się wyjść na zewnątrz, żeby patrzeć, jak się zbliżają. Odwróciła się do Corbena. Skąd wiedzieli, że jesteśmy tutaj? -

zapytała.

- Nie chodzi chyba o ciebie. Jeszcze na to za wcześnie. Chcą przeszukać jej mieszkanie. - Przycisnął telefon do ucha. - Przyślij mi tu kogoś szybko. Jesteśmy w kamienicy naprzeciw hotelu. Trzecie piętro. Mieszkanie Evelyn Bishop. Pospiesz się, właśnie tu wchodzą!

- krzyknął i wyłączył telefon. Wsunął sobie teczkę Evelyn pod kurtkę za pasek na plecach, po czym złapał Mię za rękę. - Idziemy - rozkazał, prowadząc ją w stronę drzwi wejściowych.

Wypadli na korytarz i nagle stanęli twarzą w twarz z kobietą, która właśnie wyszła z sąsiedniego mieszkania. Zamarła na widok dwojga obcych wybiegających przez drzwi Evelyn. Zawahała się, po czym zaczęła mówić coś po arabsku. Corben powstrzymał ją, krzyząc:

- Wracaj do środka, zamknij drzwi i trzymaj się z daleka. Rozumiesz?

Kobieta przenosiła wzrok to na Mię, to z powrotem na niego, zupełnie wystraszona i zdezorientowana.

- Już! - rozkazał jeszcze raz Corben, po czym podszedł do niej i wepchnął ją z powrotem do

mieszkania. Kobieta szybko skinęła głową i zniknęła za drzwiami, zamykając je za sobą na rygiel, tak jak jej kazał.

Nagle zapaliło się żółte światło sygnalizujące ruch windy, a sekundę później rozległo się głośne szcęknięcie i szum uruchomionego silnika. Kabina, znajdująca się na ostatnim piętrze, ruszyła w dół. Do pojawienia się zabójców zostało kilka minut.

Corben podbiegł do krawędzi klatki schodowej przylegającej do szybu windy i przez kilka sekund nasłuchiwał. Potem cofnął się, spojrzał w górę na schody i się skrzywił. Ta opcja raczej mu się nie podobała. Dostęp na dach mógł być zablokowany. W akcję mogli się włą-

czyć sąsiedzi. Za dużo niewiadomych.

- Co? - zapytała Mia. - Co robimy?

- Do środka.

Wepchnął ją z powrotem do mieszkania Evelyn.

Zamknął starannie drzwi i zatrzasnął zamek. Zauważył również łańcuch i już go podnosił, żeby wsunąć jego końcówkę na miejsce, pomyślał jednak, że lepiej zostawić go w spokoju, gdyby był zamknięty, stałoby się jasne, że ktoś jest w mieszkaniu, a przecież tego nie chcieli.

Wiedział, że na obmyślenie jakiegoś planu zostało mu zaledwie kilkadziesiąt sekund.

Spojrzał szybko na wielkie, przesuwne szklane drzwi balkonowe i na okno. Podjął decyzję. Odwrócił się do Mii.

- Zaciągnij zasłony. Tak szczelnie, jak się da. Żeby nie przepuszczały światła. I zamknij drzwi do sypialni.

Zrobiła, co kazał, i pokój pogrążył się w lepkiej niemal ciemności. Corben w tym czasie ściągnął z poręczy sofy pokrowiec i zaczął biegać wokół lamp i żyrandolu w salonie, zacięcie krusząc wszystkie żarówki. To samo zrobił w przedpokoju.

Mia zamknęła drzwi do sypialni i wróciła pędem do salonu. Zobaczyła, że Corben szuka czegoś gwałtownie w szufladach w kuchni. Wyciągnął kilka kuchennych noży i sprawdził ich ostrza. Wybrał jeden z nich, na oko najsolidniejszy, i wepchnął go sobie z boku za pasek spodni.

Mia obserwowała go w osłupieniu.

- Proszę, powiedz mi, że masz gdzieś w jakiejś kaburze przy kostce pistolet - stwierdziła półzartem.

- Został w samochodzie - odpowiedział ponuro Corben. Jako Amerykanin był w tym nerwowym mieście uważany za obiekt szczególnych podejrzeń, a stanowisko „radcy handlowego” równie łatwo było rozszyfrować jako skrót oznaczający agenta CIA, jak podobnie popularną funkcję „attache kulturalnego”. Charakterystyczne wybrzuszenie od broni - które mieszkańcy tego miasta zauważyliby

jeszcze szybciej niż obywatele Corleone - byłoby ewidentnym kuszeniem losu. Z tego właśnie powodu Glock i Ruger Corbena, do momentu, kiedy naprawdę zaczynało wyglądać na to, że sytuacja będzie wymagała użycia jednego z nich (albo obu), leżały zawsze bezpiecznie zamknięte w schowku jego jeepa. A jeszcze do niedawna nic nie wskazywało na to, że będzie miał do czynienia z tego rodzaju sytuacją.

Co się stało, to się nie odstanie.

Corben rozejrzył się po kuchni. Była schowana trochę z boku i znajdowała się daleko od salonu, a szklane drzwi na jej przeciwległej od wejścia ścianie prowadziły na niewielki balkon. Obok nich stała wysoka, stara ciężka lodówka, z kolei boczna ściana była zabudowana na blatem i szafkami. Przeszedł przez kuchnię, podszedł do tylnej ściany i wyjrzał na zewnątrz. Zauważył, że kuchenne drzwi balkonowe nie mają zasłon ani żaluzji. Nie miało to jednak znaczenia. Postanowił już, że kuchnia posłuży im za wyjście awaryjne. Wyjął teczkę Evelyn i wręczył ją Mii. Rzuciła na nią ze zdziwieniem okiem, po czym spojrzała pytająco na Corbena.

- Zostań tutaj i pilnuj jej - powiedział. - Zamknij za mną drzwi i nie otwieraj, aż wró-

cę. - Ruszył w stronę wyjścia, wskazując palcem na drzwi balkonowe. - Za to te zostaw otwarte.

Mia spróbowała zaprotestować, ale słowa zamarły jej w ustach. Corben zobaczył, że jest roztrzęsiona i się zatrzymał.

- Poradzimy sobie - dodał pewnym głosem. W jego oczach było widać silne przekonanie. Mia niechętnie, z oporem skinęła głową i Corben wybiegł z kuchni.

Mia zamknęła drzwi, słysząc, jak serce głośno pulsuje jej w uszach. Odwróciła się i spojrzała przez całą kuchnię na balkon, po czym jej wzrok opadł na trzymaną w dłoniach teczkę.

Patrzyła na nią przez chwilę z nerwowym zainteresowaniem, po czym ją otworzyła.

Na zewnątrz Corben sunął szybko w ciemnościach w stronę drzwi wejściowych. Spojrzał przez wizjer. W tym samym momencie szcęknięcie głośno odblokowujący drzwi windy. Corben wiedział, że zabójcy nie mogą zauważyć przez soczewkę czy szparę pod drzwiami żadnego ruchu - korytarz był całkowicie pogrążony w ciemnościach.

Usłyszał, że przesuwana się metalowa krata zabezpieczająca kabinę windy, po czym zobaczył, jak przez jej drzwi wychodzi dwóch mężczyzn, których widział wcześniej na ulicy.

Domyślił się, że trzeci został na dole na straży. Goście byli zawodowcami. Wiedzieli, co robią. Na myśl o tym zeszywniał jeszcze bardziej.

Patrzył, jak mężczyzna o ospowatej twarzy, którego opisała mu wcześniej Mia, zapala światło i rozgląda się po półpiętrze.

Mężczyźni, najwyraźniej zadowoleni, że nikt nie będzie im przeszkadzał, odwrócili się do drzwi mieszkania Evelyn. Corben zgiął palce i poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie. Zobaczył, że obaj

zabójcy wyciągają dziewięciomilimetrowe pistolety automatyczne, po czym przykręcają do nich tłumiki i przeładowują broń. Ospowaty kiwnął swojemu podwładnemu, żeby ruszył naprzód.

Corben wstrzymał oddech i odsunął się od drzwi. Chciał się za nimi ukryć, kiedy je otworzą. Odchylił się i przywarł do ściany. Zacisnął na chwilę powieki, starając się jeszcze bardziej przyzwyczaić oczy do ciemności.

Drzwi zaskrzypiały lekko - ktoś je sprawdzał. Corben nie usłyszał jednak dźwięku klucza wsuwanego do zamka. Zabójcy najwyraźniej nie mieli go przy sobie. Zacisnął zęby i czekał. Sekundę później w powietrzu rozległo się sześć następujących po sobie kaszlnięć -

strzałów z pistoletu z tłumikiem - za którymi niemal natychmiast podążyły odgłosy kul wgrzających się w drewniane drzwi i druzgoczących zamek. Corben uniósł dłoń, chroniąc twarz przed drzazgami i kawałkami stali odbijającymi się rykoszetem po niewielkim przedpokoju.

W nozdrzach poczuł lekki zapach zwęglonego drewna i prochu.

Drzwi zaczęły się otwierać i zbliżać powoli do niego. Zamarł. Z napięciem obserwował, jak w szparze pojawia się unoszący się w powietrzu tłumik. Za tłumikiem wyrosła po chwili reszta pistoletu, a za nim opatulona w rękaw kurtki dłoń pierwszego z zabójców.

Corben rzucił się na nią i wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie.

ROZDZIAŁ 21

Corben skoczył na mężczyznę ze zwinnością pantery i złapał go za nadgarstek, wcią-

gając go do przedpokoju i jednocześnie używając jego pleców do zatrzaśnięcia drzwi. Okręcił

się wokół własnej osi i wykorzystał impet zabójcy, który wykonał młynek i uderzył o drzwi, tym razem przodem, blokując je własnym ciałem. Z przykręconego do pistoletu tłumika wydobył się wściekły strzał, którego iskra rozświetliła wykrzywioną, zakrwawioną po spotkaniu z drzwiami twarz napastnika. Corben wiedział, że dysponuje tylko sekundą lub dwiema, zanim ospowaty typ na zewnątrz zareaguje i spróbuje wtargnąć do mieszkania. Nadal trzymając zabójcę za nadgarstek, przycisnął jego pistolet do drzwi, a drugą ręką wymierzył mu cios w dolną część pleców, trafiając idealnie w nerkę.

Z gardła mężczyzny wydobył się stłumiony okrzyk. Jego dłoń rozluźniła uścisk na pistolecie, który upadł z hukiem na podłogę. Corben poczuł, że mężczyzna słabnie. Wykorzystał szansę. Odskoczył nieco na bok, a jednocześnie pociągnął zabójcę tak, że ten całym cia-

łem oparł się o drzwi. W tym samym momencie przez drewno przebiło się kilka pocisków, łą-

dując ostatecznie w piersi napastnika. Corben, nadal trzymając go ręką, poczuł, że ciało napastnika pod naporem rozrywających je kul zaczyna się trząść i zwijać. Puścił zabójcę. Ciało z głuchym łoskotem upadło na podłogę i zamarło, znowu blokując drzwi. Z ust mężczyzny wydobywał się chrapliwy bulgot.

Corben wstrzymał oddech i skulił się przy drzwiach, wsłuchując się w skupieniu w martwą ciszę.

- Fawwaz? - zawołał mężczyzna na zewnątrz.

- On nie żyje, dupku! - odkrzyknął Corben. - Nie żyje, a ty jesteś następny. Mam jego broń.

Co nie do końca było prawdą. W każdym razie, jeszcze nie.

Corben ściągnął brwi i czekał w napięciu na odpowiedź, która jednak nie nadeszła.

Przez wybite przez kule dziury w drzwiach wlewały się z korytarza do mieszkania cienkie strumienie światła, rzucając na leżące w przedpokoju ciało delikatną, misterną poświatę. Corben rozejrzał się, szukając pistoletu i w myślach błyskawicznie analizując różne możliwości.

Żadna z nich nie wydała mu się jednak szczególnie obiecująca. Nagle nastąpiła ciemność. Najwyraźniej na korytarzu zadziałał wyłącznik czasowy. Zabójca nie włączył ponownie światła.

Corben usłyszał za to, jak ospowaty typ wykrzykuje kolejne imię:

- Wassim!

Odpowiedziały mu jakieś warknięcia, które odbiły się upiornym echem po klatce schodowej. Zdaje się, że strzelec na korytarzu wołał trzeciego mężczyznę, każąc mu wejść na górę i dołączyć do siebie.

Im ciaśniej, tym przyjemniej.

„Nie”.

Corben szybko przeczesał wzrokiem ciemności w poszukiwaniu broni martwego napastnika. Początkowo nie mógł jej znaleźć, ale po chwili dostrzegł pistolet, który leżał po drugiej stronie korytarza, zwrócony w stronę drzwi i osób, które mogły przez nie wejść. Podej-

ście do niego byłoby ryzykowne. Gdyby Corben chciał tego spróbować, musiałby się całkowicie odsłonić.

Zaczął się zastanawiać, jak się dostać do pistoletu, gdy nagle usłyszał rozbrzmiewają-

ce po klatce schodowej szybkie kroki. Zorientował się, że za kilka sekund znowu będzie miał

przeciw sobie dwóch zabójców - uzbrojonych w dwa potężne pistolety automatyczne, którym będzie mógł przeciwstawić jedynie mizerny kuchenny nóż. Stwierdził, że musi wykonać jakiś ruch. Oderwał się gwałtownie od ściany i zanurkował po pistolet. W tym samym momencie zabójca wymierzył potężny kopniak w drzwi. Na szczęście blokowało je ciało. Zabójca napał

na drzwi, przesuając swojego martwego kumpla bardziej w głąb pokoju, wsunawszy jednocześnie do środka pistolet, z którego posypał się na Corbena grad kul. Palce agenta dotknęły leżącej na podłodze broni dokładnie w momencie, kiedy tuż obok niego zaczęły się odbijać pociski. Udało mu

się złapać pistolet i jednym susem uciec z pokoju, uchylając się od kolejnych strzałów, które utkwiły w ościeżu drzwi kilka centymetrów od niego.

Ruszył pędem przez pogrążony w ciemnościach salon i wskoczył za biurko Evelyn, słysząc, jak kilka kul wbija się w jego dębową ramę. Wychylił się i sam posłał krótką serię, zmuszając zabójcę do szukania schronienia za drzwiami. Dzielilo ich od siebie około pięciu metrów. Salon tonął w mroku, co wszystkim im uniemożliwiało oddanie czystego strzału.

Corben miał przynajmniej tę przewagę nad napastnikami, że znał rozkład mieszkania. Mógł

dzięki temu zyskać kilka cennych sekund, których bardzo potrzebował, jeśli miał zamiar przebić się z powrotem do Mii.

Rzucił okiem na swój zdobyczny pistolet. Nawet w stłumionej, migoczącej poświacie przebijającej się przez brzegi zasłon był w stanie rozpoznać model: SIS-Sauer, konkretnie P226. Może nie najelegantszy, ale za to niezwykle precyzyjny i niezawodny. Szybko wycią-

gnął w myślach wnioski związane z wyborem broni przez bandytów: nie używali standardowych makarowów, których było na tym terenie mnóstwo. Ci faceci - oraz osoba, która ich tu wysłała - mieli kontakty i fundusze pozwalające na zakup poważnego żelastwa. Obliczył błyskawicznie, ile zostało mu kul. Zakładając, że w dwukolumnowym magazynku pistoletu mie-

ściło się ich piętnaście, plus jedna w komorze (jeśli oczywiście facet chciał wykorzystać maksymalną siłę ognia swojej zabawki), oraz że magazynek był pełny, zanim jego właściciel po-

łknął swoją porcję naboju przy drzwiach - co było na szczęście dosyć rozsądnym założeniem - Corben doszedł do wniosku, że zostało mu jeszcze sześć pocisków.

Najwyżej sześć.

Usłyszał kliknięcie - to zabójca próbował włączyć światło, oczywiście bezskutecznie.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i w mieszkaniu rozbrzmiały kolejne kroki. Trzeci zabójca dotarł na miejsce. Corben usłyszał krótką, gwałtowną wymianę zdań - mężczyźni najwyraźniej się ponaglali i planowali kolejne posunięcie - i postanowił wykorzystać chwilowe zamieszanie. Ostrożnie, nie chcąc tracić cennych kul, posłał w kierunku intruzów kilka strzałów, po czym wyskoczył zza biurka, ruszył pędem przez pogrążony w mroku pokój i wylądował za dużą, przysuniętą do balkonu sofą. Kilka stłumionych strzałów trafiło w stolik po jego prawej stronie i roztrzaskało stojące na nim ramki ze zdjęciami. Nie odpowiedział ogniem. Zaczekał, wyęzając słuch, żeby usłyszeć, czy napastnicy wkroczą w jego strefę rażenia. Byli jednak na to zbyt doświadczeni i pozostali w ukryciu gdzieś za ścianą obok drzwi. Jeden z mężczyzn przeładował broń. Corben, nie-zrażony, przesunął się jeszcze trochę, docierając do niewielkiego przejścia prowadzącego do kuchni. Wziął kilka głębokich oddechów i rzucił się sprin-tem w otwartą przestrzeń. Kilka strzałów przecięło wokół niego powietrze, on jednak nie zatrzymywał się tak długo, aż udało mu się schronić za ścianą, w którą zresztą również wbiło się kilka kul. Odpowiedział ogniem i ruszył przejściem do kuchni, jednym ciosem otwierając drzwi, a drugim zamykając je za sobą.

Mia opierała się plecami o szafkę, drżąc ze strachu. Corben zauważył, że z całej siły przyciska do piersi teczkę. Na jego widok - całego, w jednym kawałku, na pierwszy rzut oka nieuszkodzonego - jej twarz się rozjaśniła. Wyglądała tak, jakby miała do niego milion pytań, nie mieli jednak na to czasu, a ona dobrze o tym wiedziała.

Corben wepchnął pistolet za pasek i złapał za ogromną lodówkę. Jęknął i skrzywił się, przepychając ją przez wyłożoną kafelkami podłogę, pragnąc wykorzystać urządzenie do za-blokowania drzwi. Był już w połowie drogi, kiedy przez drewno przebiły się z korytarza pierwsze kule, docierając nawet do tylnej krawędzi lodówki i odbijając się o ścianę samej kuchni. Mia krzyknęła, kiedy jedna z nich uderzyła w drzwi balkonowe, rysując na ich szybie pajęczynę pęknięć.

- Odejdź od drzwi - zawołał Corben i z jękiem docisnął lodówkę do framugi. Przez drzwi przebiło się kilka kolejnych kul, z brzękiem docierając do ściany lodówki, ta jednak wytrzymała ich napór, na chwilę zabezpieczając Mię i Corbena przed atakiem.

Strzały umilkły, ale po krótkiej chwili zastąpił je głuchy łomot uderzeń, które jedno za drugim zaczęły trafiać w drzwi. Zabójcy usiłowali je staranować i ciężka lodówka, choć z trudem, zaczęła powoli, centymetr po centymetrze, ustępować. Corben chwycił krzesło i wcisnął

je między krawędź lodówki a gruby kaloryfer, zyskując kilka cennych sekund, po czym nie zatrzymując się nawet, by złapać oddech, wziął teczkę z rąk Mii, wcisnął ją sobie za pasek na plecach i krzyknął:

- Idziemy!

Ruszyli pędem w stronę balkonu. Ograniczał się on do niewielkiego, wąskiego prosto-kąta, wzdłuż którego były rozciągnięte druty służące do wieszania prania. Corben dzięki wcześniejszym oględzinom wiedział, że występ przylega do podobnego balkonu należącego do sąsiedniego mieszkania. Oba były połączone ścianą z grubych szklanych bloków, zwień-

czonych pokrytym tynkiem murkiem, do którego była zamocowana metalowa balustrada.

Wskazał Mii krawędź balkonu.

- Wejdz na murek - zachęcił ją. - Podam ci rękę.

Nie wydawała się szczególnie zachwycona tym pomysłem.

Corben szybko rzucił okiem z powrotem do kuchni. Z każdym kolejnym pchnięciem w drzwi lodówka coraz bardziej się przechylała, a krzesło coraz mocniej przyciskało do kaloryfera.

- Już! - ponaglił Mię. - Wejdz na górę, przejdź na drugą stronę i nie patrz w dół.

Podobne uwagi w tego rodzaju sytuacjach zawsze wydają się przynosić skutek przeciwny do zamierzonego.

Mia, dorzucając własny kamyczek do chlubnej tradycji, wyjrzała przez skraj balkonu i spojrzała w

dół. Dziedziniec z tyłu budynku - niezagospodarowany teren zawałony skrzyniami i porzuconymi materiałami budowlanymi - wydawał się leżeć o wiele niżej, niż wskazywałyby na to trzypiętrowa odległość od ziemi.

Kolejne głuche uderzenie dobiegające z wnętrza mieszkania przekonało jednak Mię do działania.

Zacisnęła zęby i przerzuciła nogę przez murek.

ROZDZIAŁ 22

Mia, tuląc się do dzielącej balkon ściany, uniosła się nieco i przeniosła ciężar ciała na drugą stronę, znalazłszy się tym samym na balustradzie i dyndając obiema nogami nad ziemią. Corben chwycił ją za rękę i Mia zaczęła przesuwać się wzdłuż gładkiej metalowej porę-

czy, z wszystkich sił powstrzymując się od spoglądania w dół.

- Dobrze, tylko tak dalej - zachęcał, popychając ją powoli i ostrożnie. Mia pobladłymi palcami ścisnęła kurczowo balustradę.

Nagle z kuchni dobiegł głośny trzask - wreszcie pękło ścisane z obu stron krzesło.

Mia wystraszyła się, poluzowała uścisk i ześlizgnęła się do tyłu. Krzyknęła, puszczając balustradę i usiłując złapać się murku, na którym siedziała okrakiem, ale szklane bloki były zbyt gładkie i nie udało jej się ich uczepić.

Corben rzucił się do przodu i złapał ją. Popchnął Mię w górę, a potem w stronę sąsiedniego balkonu, na którym wreszcie wylądowała z głuchym plaśnięciem. Nie mogła złapać oddechu.

Spojrzał jeszcze raz w stronę kuchni, po czym sam przeszedł przez poręcz i wspiał się na murek. Drzwi balkonu na szczęście były otwarte. Dołączył do Mii i nagle oboje usłyszeli, że lodówka sunie wściekle po kuchennej podłodze pod wymierzanymi ze zwierzęcą siłą cio-sami zabójców. Corben wepchnął Mię do mieszkania i ruszyli przez nie biegiem. Nigdzie nie zauważyli kobiety, którą spotkali wcześniej, co zresztą było raczej szczęśliwą okolicznością.

Pewnie schowała się w łazience albo wpełzła pod łóżko. Corben miał nadzieję, że wyjdzie stamtąd dopiero, kiedy będą już daleko od budynku.

Odsunął rygiel, zamykający drzwi wejściowe i otworzył je z hukiem. Na korytarzu panowała cisza - zabójcy ciągle jeszcze byli w mieszkaniu Evelyn. Corben skinął ręką na Mię i oboje ruszyli schodami w dół. Byli już prawie na parterze, kiedy usłyszeli krzyki i głośne kroki ścigających ich zabójców. Przez klatkę schodową śmignęło kilka kul, anonsując nowe niebezpieczeństwo i wzbudzając fontannę iskier z poręczy, i po chwili opadając im pod stopy z łoskotem na kamienną podłogę.

Corben i Mia zbiegli schodami i wyjrżeli z holu kamienicy na chodnik. Na ulicy obok hotelu stał zaparkowany jeep Corbena. Tuż za nim zauważyli mercedesa zabójców. Corben szybko się zorientował, że nie będą mieli czasu, by wskoczyć do samochodu i odjechać, zanim zabójcy dotrą na ulicę, podejrzewał jednak, że zdąży sięgnąć do schowka z bronią, co znacznie odmieni na ich korzyść

nieciekawą sytuację. Z Mią przy ramieniu ruszył w stronę jeepa, ale w tym samym momencie zauważył mężczyznę, który właśnie zbliżał się w ich stronę ze znanym im już doskonale zaciętym wyrazem twarzy. Ręką sięgał do wybrzuszenia pod kurtką. Najwyraźniej zabójcy zostawili na zewnątrz czwartego człowieka, żeby pilnował samochodu.

Mia również go dostrzegła.

- Jim! - zawołała ostrzegawczo.

Corben spojrział w głąb ulicy, opracowując szybko plan.

- Tędy.

Wziął ją za rękę i ruszyli w drugą stronę, w głąb ulicy, oddalając się od hotelu, jeepa i schowka z bronią.

Pognali wąskim chodnikiem, przepychając się przez tłum zaskoczonych pieszych i ignorując ich wzburzone okrzyki. Mia zauważyła, że Corben spogląda przez ramię i pobiegła za jego wzrokiem. Zobaczyła androida i drugiego zabójcę, którzy wybiegali z kamienicy Evelyn i dołączyli do trzeciego mężczyzny. Wszyscy puścili się pędem ulicą w ślad za nią i Corbenem. Zorientowała się, że android wpatruje się prosto w nią i oczy rozszerzyły jej się z przerażenia. Jego ostre spojrzenie podziałało na nią jak cios w żołądek.

Rozpoznał ją. Przypomnił sobie z poprzedniego wieczoru. Była tego pewna.

Na samą myśl o tym poczuła drżenie w kolanach, zebrała się jednak w sobie i pobiegła dalej.

Corben dosyć dobrze znał teren i wiedział, że nie mają zbyt wielu możliwości. Wzdłuż ulicy ciągnęły się sklepy i wejścia do apartamentowców, w których próżno byłoby szukać schronienia. Zdawał sobie sprawę, że zabójcy nie dadzą za wygraną ani nie będą mieli skrupułów, żeby go zastrzelić, a ją porwać w biały dzień wprost z ulicy. Wiedział również, że w magazynku zostały mu zaledwie dwa lub trzy pociski - z pewnością za mało, żeby powstrzymać napastników. W oczekiwaniu na cud przeczesywał wzrokiem mijane wyrwy w zabudowie i wejścia do budynków. Nagłe zauważył, że chodnik się obniża i zamienia w rampę wjazdową. Z nieprzeniknionego wylotu podziemnego garażu wyłonił się jakiś samochód, który na-stępnie skręcił, wjechał na ulicę i minął uciekinierów.

- Tam - krzyknął, łapiąc za rękę Mię i ciągnąc ją we wskazanym kierunku.

Pognali zakrzywioną rampą, stukając głośnie butami o jej betonową nawierzchnię i wypełniając zamkniętą gładkimi ścianami przestrzeń wokół siebie odgłosami przypominają-

cymi trzaski pioruna.

Wbiegli na parking poprzecinany lasem kolumn. Wytyczone nimi wąskie zatoki były szczelnie wypełnione samochodami. Wokół nie było widać ani parkingowego, ani schowka z kluczami, do którego mogliby się włamać. Corben się skrzywił. Byli w pułapce.

Nagle zgasły wszystkie światłówki i podziemny garaż pogrążył się w ciemności. Corben odwrócił się do Mii, wskazując jej najodleglejszy zakątek parkingu.

- Idź tam i schowaj się za samochodem. Nie ruszaj się, cokolwiek by się działo.

Wstrzymała oddech.

- Co chcesz zrobić?

- Zatrzymam ich. Muszą się odsłonić, jeśli chcą tu wejść przez rampę, a gdy sprzątnę jednego z nich, może reszta się wycofa. Idź już.

Przez chwilę patrzył, jak Mia znika w pogrążonej w ciemności wnęce, po czym dał

nura między samochody i ustawił się za dużym samochodem osobowym, który stał dokładnie naprzeciwko wylotu garażu. W duchu miał nadzieję, że się nie pomylił, określając liczbę pozostałych nabojów, a jeśli nawet - to na swoją korzyść. Serce ciągle waliło mu w piersiach jak oszalałe. Wciągnął kilka razy głęboko przez nos powietrze, starając się nie myśleć o wi-szącym wokół zapachu oleju i smaru, ale uspokoić oddech i przygotować się do strzału.

Usłyszał stukot kroków odbijający się echem po ścianach rampy. Nagle kroki umilkły i garaż pogrążył się w ciszy. Domyślił się, że zabójcy skradają się w jego stronę. Poruszył palcami, po czym zacisnął je z powrotem wokół rękojeści pistoletu i ustawił się w odpowiedniej pozycji.

Przez ścianę rampy przemknął jakiś długi wąski cień. Tuż za nim podążyły dwa inne upiorne kształty. Z kąta, pod jakim cienie padały na ścianę, Corben wywnioskował, że zabój-cy przykucnęli. Ciało Corbena zeszywniało, a on sam wycelował pistolet, zsunął palec z osłonki spustu i przygotował się do strzału. Liczyła się każda kula, ale nawet gdyby strzelał

celnie, i tak nie miał zbyt wielkich szans.

W uszach pulsowała mu krew, a wzrok wbił w zniekształcony cień, który ześlizgnął

się po ścianie i nagle się zatrzymał. Corben rozluźnił uścisk na pistolecie, po czym z powrotem zacisnął palce, trzymając je ciągle w gotowości. Próbował wytłumić w uszach dźwięki docierające do garażu z ulicy i skupić się na każdym odgłosie, który pozwoliłby mu ustalić, gdzie są zabójcy. Nie słyszał jednak nic. Nakreślił sobie w wyobraźni, co mogą robić, co zresztą zależało głównie od tego, do jakiego stopnia byli zdesperowani. Gdyby po prostu wbiegli do środka, udałoby im się go dopaść, ale on postrzeliłby jednego lub dwóch. Pod warunkiem, że pistolet, który sobie przywłaszczył, był na początku załadowany do pełna, ale innej opcji wolał nawet nie rozważać. Stłumił wątpliwości i skoncentrował się na cieniu.

Ten się nie poruszył. Tkwił ciągle złowieszczo w miejscu, prześladowując go, szydząc z niego.

Nagle Corben usłyszał całą lawinę kroków. Zeszywniał. Jego oczy zaczęły przeczesywać otwartą przestrzeń niczym radary, a pistolet poruszał się to w lewo, to w prawo wzdłuż strefy rażenia. Poczłł gwałtowny zastrzyk adrenaliny i nagle na jego oczach cień rzucił się w górę - nie w dół - ściany.

Zabójcy się wycofywali, i to szybko. Corben nie zmienił pozycji, wciąż gotów do akcji, na wypadek gdyby zabójcy chcieli go wywabić z ukrycia. Po chwili do jego uszu dobiegł daleki, ale narastający ryk syren.

Wsparcie. Udało się.

Wyskoczył zza samochodu i podbiegł do rampy. Wydostał się na ulicę w samą porę, żeby zobaczyć, jak mercedes zabójców rusza z miejsca i zaczyna znikać w oddali. Z tyłu, od strony Commodore, pędziły w stronę Corbena dwa radiowozy policji Fuhud. Zatrzymały się i wyskoczyli z nich policjanci uzbrojeni w M16, natychmiast zabezpieczając ulicę. Trzej oficerowie wbiegli na schody i zniknęli we wnętrzu hotelu.

Corben dyszał ciężko. Schował pistolet i ruszył z powrotem do garażu, żeby poinformować Mię, że są już bezpieczni.

Póki co.

ROZDZIAŁ 23

Mia półprzymtomnie krzątała się po swoim pokoju hotelowym. Bramy jej umysłu dosta-

ły się pod ostrzał dwóch bliźniaczych barbarzyńców: strachu i zmęczenia. Walczyła rozpaczliwie, żeby jeszcze przez chwilę przytrzymać ich na dystans. Musiała spakować rzeczy i wynieść się z tego miejsca w diabły. W hotelu zdecydowanie nie było już bezpiecznie. Zresztą je-

śli o to chodzi, nie była pewna, czy gdziekolwiek indziej jest inaczej. Ci faceci, z którymi dwa razy spotkała się w ciągu ostatnich niecałych dwudziestu czterech godzin, ci maniacy - wydawało się, że takie zjawisko, jak trema, jest im całkowicie obce. Pojawiali się bezwstydnie w najrozmaitszych miejscach, zupełnie się z tym nie kryjąc, i zaczęli wykonywać swoją brudną robotę, tak jakby całe miasto stało przed nimi otworem. A ona pokrzyżowała im plany.

Dwa razy.

Wolała jednak o tym teraz nie myśleć.

Spróbowała powstrzymać nerwy i skupić się na tym, co sama miała do zrobienia. Corben kazał jej zabrać tylko to, co niezbędne, ale i tak nie miałyby zbyt wiele do pakowania -

większość jej rzeczy ciągle czekała na wysyłkę, aż zaaklimatyzuje się w Bejrucie i wprowadzi do jakiegoś mieszkania. Dał jej kwadrans, a od tego czasu minęło już dwadzieścia minut.

Wpychała właśnie laptopa i jakieś papiery do plecaka, kiedy wrócił Corben. Miał ze sobą laptopa i duży skórzany organizer. Wiedziała, że oba przedmioty należą do jej matki. Pa-miętała, że widziała je u niej na biurku.

- Gotowa? - zapytał. Skinęła głową.

Corben wyszedł pierwszy. Mia ogarnęła pokój pożegnalnym spojrzeniem, po czym podążyła za Corbenem w stronę recepcji i wyjścia z hotelu.

Na ulicy wszędzie tłoczyli się policjanci i oficerowie Fuhud. Przez prowizoryczną blokadę prześlizgiwały się samochody, których kierowców policjanci, po pobieżnym zlustrowaniu wzrokiem, odprawiali machnięciem ręki. Przed sklepami i na balkonach kłębili się mieszkańcy dzielnicy, przyglądając się zamieszanemu i - lokalna tradycja - snując teorie spiskowe na temat niedawno zakończonej strzelaniny.

Kiedy szli w kierunku jeepa Corbena, Mia spojrzała z niepokojem w stronę wejścia do kamienicy Evelyn. Kilku oficerów stanowczo starało się tam utrzymać ludzi na dystans, podczas gdy pielęgniarze wynosili nosze. Martwe ciało strzelca - domyślała się, że to ono - było przykryte obszarpanym starym kocem, który Gila Grissoma z Kryminalnych zagadek Las Vegas przyprawiłby o atak serca. Techniki kryminalistyczne zdecydowanie nie były dla tutejszej policji priorytetem.

Wsiadła do samochodu Corbena od strony pasażera i patrzyła, jak agent zamienia kilka słów z ubranymi po cywilnemu mężczyznami o zaciętych wyrazach twarzy, po czym wskakuje za kierownicę. Oni z kolei wsiedli do zaparkowanego nieopodal zakurzonego czarnego range rove-ra. Kiedy jeden z nich zniknął we wnętrzu samochodu, rozchyliła mu się kurtka i Mia zauważyła schowany pod nią pistolet.

Corben wrzucił bieg. Jeep odbił od krawężnika i ruszył w głąb ulicy. Mia ostrożnie przyglądała się okolicy. Range rover trzymał się z tyłu. Nie oddalał się od nich na odległość większą niż dwa skrzyżowania. Zauważyła, że Corben zerka do lusterka. Odwróciła się. Range rover nagle zwolnił i zatrzymał się pod pewnym kątem, blokując ulicę. Corben z satysfakcją skinął lekko głową i pojechał dalej. Jak domyśliła się Mia, był to prosty i skuteczny sposób upewniania się, że nikt ich nie śledzi.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Do mnie - odpowiedział obojętnym tonem. - Dopóki nie dowiemy się, co się tutaj dzieje, nie zostawię cię w żadnym hotelu.

Plan wprowadził ją w pewne zakłopotanie.

- Uważasz, że twoje mieszkanie jest bezpieczne?

- Określmy to w ten sposób - odpowiedział bez cienia wahania w głosie. - Jest poza zasięgiem radaru. A dla tych, którzy jednak widzą je na swoim radarze, stanowi strefę zakazaną i oni o tym wiedzą.

- Strefę zakazaną?

Zanim odpowiedział, zastanawiał się przez chwilę.

- O tym, czym się tak naprawdę zajmuję, mogą wiedzieć wyłącznie agenci innych wywiadów. Mamy takie porozumienie, zawarte przez nasze rządy. Czerwone linie. Wyraźnie wytyczone. Nie przekracza się ich, nie narażając się na poważne reperkusje. Rozkaz musiałby być wydany na bardzo wysokim

szczeblu, a tutaj nie mamy do czynienia z czymś takim. -

Przerwał, po czym dodał: - Będiesz tam bezpieczna. Póki co, nie chodzi im o ciebie. Przyszli do kamienicy z powodu twojej matki, chcieli przeszukać jej mieszkanie. Być może nawet nie przyjrżeli ci się tak wyraźnie, żeby się zorientować, że byłaś na miejscu porwania, ale musimy się zabezpieczyć. Jeśli mają informatorów w policji, a pewnie mają, szybko połączą to w jedną całość. Umieszczę cię więc w bezpiecznym miejscu i zostaniesz tam, aż wszystko sprawdzę. I tak musisz zresztą odpocząć. A ja pójdę do biura, wykonam kilka telefonów, pogadam z ludźmi. Potem wymyślimy, co robić dalej.

Mia miała zbyt duży mętlik w głowie i była za bardzo zmęczona, żeby się kłócić. Skinęła głową i utkwiała wzrok w przedniej szybie.

Przez pozostałą część drogi w ogóle się nie odzywała. Wiele miała do przemyślenia, poza tym nie była jeszcze gotowa do rozmowy. Nie tutaj, nie teraz. Musiała złapać oddech, pozwolić opaść fali adrenaliny, która zalewała ją od kilku godzin, i oczyścić umysł. Potem dopiero chciała zacząć rozmowę na interesujący ją temat. Długą rozmowę.

FARUK CZEKAŁ CIERPLIWIE W CIENIU przed Post Hall. Tuż przed nim wąskim podjazdem, prowadzącym do kamiennej budowli z czasów tureckich, w której mieścił się Wydział Archeologiczny, ciągnęli w obu kierunkach studenci i pracownicy uniwersytetu.

Ukryty pod ciemnym baldachimem gęstych cyprysów obserwował wejście, opierając się o jeden z kilku zaparkowanych samochodów, których właściciele cieszyli się przywilejem wolnego wjazdu na teren kampusu. U jego stóp leżało kilkanaście niedopałków. Czekał już od kilku godzin i w jego brzuchu coraz częściej odzywało się donośne burczenie.

W porannej prasie widział kilka artykułów na temat porwania Evelyn, kiedy więc podchodził do budynku uniwersytetu, starał się zachować daleko posuniętą ostrożność. Ku jego zdziwieniu jednak, okolica wydawała się nie różnić zbyt mocno od tego, co zapamiętał z po-przedniej wizyty, dzień wcześniej, kiedy szukał Evelyn. Przypomnił sobie, że nazwisko archeolog nie pojawiło się w prasie, co tłumaczyło nieobecność reporterów i ekip telewizyjnych, ale z pewnością nie wyjaśniało braku zwiększonych środków bezpieczeństwa. A przynajmniej on niczego takiego nie dostrzegł. Mimo wszystko, choć zauważył tylko dwóch detektywów z Fuhud, którzy wchodzili do budynku i wychodzili z niego kilka godzin później, wolał nie wchodzić, tak jak poprzednio, na teren wydziału, żeby znaleźć asystenta. Postanowił poczekać na zewnątrz, gdzie mógł obserwować wszystkich wchodzących i unikać kolejnych przykrych niespodzianek.

Jego cierpliwość się opłacała - mniej więcej w porze lunchu wreszcie zauważył Rameza, drobnego współpracownika Evelyn.

Rozejrzał się po obu stronach uliczki. Nie zauważył niczego alarmującego. Z sercem pulsującym w uszach wyłonił się z ukrycia i ruszył w stronę asystenta.

CZTERY SKRZYŻOWANIA DALEJ OMAR zamknął z trzaskiem telefon komórkowy i wyjrzał

przez okno granatowego mercedesa. Samochody na Rue Bliss poruszały się, o dziwo, w cał-

kiem przyzwoitym tempie. Ulica, której jezdnię ciągle żłobiły stare tramwajowe tory, przeważnie była koszmarnie zatłoczona. Ciągnęła się przez kilka kilometrów i przylegała do uniwersytetu. Mur kampusu biegł wzdłuż jej chodnika, przedzielany tylko przez kilka wejściowych bram. Drugą jej stronę zajmowały ogromnie popularne kawiarnie, ciastkarnie i lodziarnie. Ich klienci z podziwu godną niefrasobliwością zostawiali samochody zaparkowane przy krawężniku w dwóch albo nawet trzech rzędach - w Bejrucie było to normą - nieuchronnie powodując korki i wybuchające od czasu do czasu awantury.

W tej sytuacji chaos był jednak błogosławieństwem. Zapewniał dobrą ochronę w czasie luźnej rozmowy. A po to właśnie znalazł się tam Omar.

Odmówiono mu swobodnego dostępu do mieszkania staruszki.

W chaosie, jaki później nastąpił, stracił człowieka. A najgorsze ze wszystkiego było to, że hakim nie był zadowolony.

Wiedział, że musi naprawić swoje błędy.

Zerknął w boczne lusterko. Przy wejściu na posterunek policji Hobeish stało kilku gli-niarzy.

Jego kontakt właśnie wychodził z budynku.

Mężczyzna spojrzął w głąb ulicy, w kierunku Omara, i zobaczył mercedesa. Omar po-machał mu dyskretnie ręką, ledwie unosząc dłoń do szyby. Szczurek zauważył jego gest, skinął beztrąsko głową kolegom, minął ich i ruszył w stronę zaparkowanego samochodu.

MIA z CIĘŻKIM SERCEM ROZGADAŁA się po swoim nowym lokum. Skończyła szoarmę - kanapkę z jagnięcina, którą w pośpiechu kupili po drodze - i krokiem lunatyczki wyszła z kuchni, wciąż starając się ułożyć w myślach wypadki, które ją tutaj sprowadziły.

Mieszkanie było wyposażone w dwie sypialnie - o jedną więcej, niż potrzebował żyją-

cy w pojedynkę Corben, ale w Bejrucie trudno było znaleźć mniejsze lokum, a czynsze były względnie niskie. Agent oprowadził szybko Mię po mieszkaniu - kuchnia, łazienka, sypialnia dla gości, czyste ręczniki - po czym zostawił ją i pojechał do ambasady. Powiedział, że wróci za kilka godzin.

Czuła się dziwnie. Była w mieszkaniu mężczyzny, którego ledwie znała. Gdzie tam!

W ogóle go nie znała. W normalnej sytuacji - zakładając, że na przykład znalazłaby się tutaj, bo widuje się z facetem albo jakoś się nim interesuje - próbowałaby zabić czas, myszkując gdzie się dało: przeglądając książki na półkach, płyty w wieży, czasopisma na stoliku do kawy. To, co robiło się kiedyś w świecie bez iPodów czy stron na Facebooku, w których moż-

na znaleźć wszystko, czego się tylko chce o kimś dowiedzieć - w świecie, w którym potrzeba

fizycznego myszgowania miała jeszcze uzasadnienie. Może nawet zajrzałaby do szaf w jego sypialni, do stolika nocnego przy łóżku, może do szafki w łazience. Oczywiście było to nie-

ładne, ale w jakiś sposób oczekiwane. Zwyczajna ludzka ciekawość. Człowiek robi to, żeby się dowiedzieć, co powoduje tą drugą osobą. Jeśli ma szczęście, na jego twarzy pojawia się uśmiech, a myszgowanie zbliża go do innego. Jeżeli nie, wymyka się chyłkiem i ucieka gdzie pieprz rośnie.

Ale tym razem tak nie było.

Mia nie miała ochoty na żadną wyprawę badawczą, choć przecież facet był agentem CIA. Jakie możliwości to otwierało! Gdzieś w najdalszych zakątkach wyobraźni coś kiwało na nią, próbując ją zachęcić do zagłębienia się w tę jaskinię Ali Baby, pełną gadżetów i intryg. Ale Mia nie słuchała. Ledwie pobieżnie rzuciła okiem na mieszkanie, a to co zobaczyła, z trudnością utarło sobie drogę do jej świadomości. Właściwie nie było nawet specjalnie na co patrzeć. Mieszkanie było skąpo umeblowane, a to co się w nim mimo wszystko znajdowało, było bardzo kawalerskie - w stylu „chrom i skóra”. Każdy przedmiot wydawał się tutaj znajdować z jakiegoś powodu. Nigdzie nie było niczego zbytecznego czy umieszczonego dla efektu. Zresztą niekoniecznie musiało to stanowić odbicie osobowości Corbena, który być może wcale nie był szary czy nijaki. Mia podejrzewała, że mężczyźni tacy jak on - zajmujący się tym, czym on - żyli ciągle w podróży i nie ciągnęli za sobą zbyt wielu gratów. Trudno było sobie wyobrazić, żeby Corben trzymał na półkach pamiątki po ulubionych przewrotach, a na stoliku do kawy albumy ze zdjęciami infiltrowanych osób i informatorów.

Wrzuciła do kubła papieraek po kanapce, umyła ręce i oparła się o blat. Zaspokoiliła głód, ale nadal czuła się okropnie. Opadała z niej powoli adrenalina, której miejsce z tryum-fem zaczęło zajmować wyczerpanie. Poczowała, że drżą jej kolana i zamknęła na chwilę oczy, żeby to opanować. Nalała sobie szklanekę wody, którą wychyliła duszkiem, po czym przeszła do salonu, gdzie ułożyła się w kłębek na sofie.

Po kilku sekundach jej ciało poddało się bez walki i zapadło w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

ROZDZIAŁ 24

Utrzymanie ambasady w Bejrucie od ponad trzydziestu lat stanowiło dla Departamentu Stanu jedną z głównych bolączek. Wprawdzie ostatnio ból nieco zelżał, ale wszyscy, któ-

rzy kiedykolwiek pracowali w Libanie, wiedzieli, że to tylko tymczasowe wytchnienie. Stara siedziba przy ruchliwej drodze nad urwiskiem, z oknami wychodzącymi na Morze Śródziemne, w połowie lat siedemdziesiątych miała być zastąpiona przez specjalnie wybudowany w tym celu budynek. W 1975 roku wybuchła wojna domowa, która położyła kres tym planom.

Rok później, w czasie przekraczania „Zielonej Linii” został porwany i ostatecznie zamordowany ambasador Francis E. Meloy. Do czasu, kiedy w 1977 roku nastąpiła pierwsza z wielu chwil wytchnienia, miasto podzielono między walczące ze sobą frakcje i okazało się, że teren, na którym budowano nową ambasadę, nie jest już dla Amerykanów bezpiecznym miejscem.

Projekt został odłożony na półkę, a opuszczony betonowy szkielet straszy tam po dziś dzień.

Personel ambasady pracował dzielnie dalej w starym budynku, do momentu, kiedy w kwietniu 1983 roku samobójczy rajd samochodu-pułapki - pierwszy z tego rodzaju ataków terrorystycznych na większą skalę, zwiastun wielu kolejnych, wymierzonych w interesy Stanów Zjednoczonych na całym świecie - rozbił jego fasadę na dwie części. Zginęło czterdziestu jeden pracowników ambasady, w tym ośmiu agentów CIA, między innymi jej szef operacji na Bliski Wschód Robert Ames. Ich śmierć skutecznie uniemożliwiła agencji jakąkolwiek działalność w Libanie i położyła grunt pod całą serię głośnych porwań, które nastąpiły wkrótce potem. CIA przez wiele lat odbudowywała swoje struktury w kraju, tylko po to, by pięciu jej agentów - zespół, który niedługo wcześniej zaczął się przedzierać przez chaos, w jakim w latach osiemdziesiątych był pogrążony Liban - w 1988 roku eksplodowało w powietrzu nad Lockerbie w Szkocji, razem z pozostałymi pasażerami lotu nr 103 linii Pan Am.

Niedobitki amerykańskiej misji dyplomatycznej znalazły wtedy schronienie w pobliskiej ambasadzie brytyjskiej - ośmiopiętrowym apartamentowcu, w dziwaczny sposób od schodów do samego szczytu zasłoniętym ogromną, przypominającą namiot siatką antyrakietową. Pracownicy spędzili tam kilka ciężkich miesięcy, po upływie których zostali przeniesieni do dwóch willi w Awkarze, na porośniętych bujnym lasem wzgórzach na północ od miasta.

Tereny te znajdowały się pod kontrolą chrześcijan, okazało się jednak, że i to nie mogło zapewnić nikomu bezpieczeństwa. Rok później na ogrodzony teren znowu przebił się samochód-

d-pułapka, zabijając jedenaście osób. Departament Stanu wreszcie się poddał i zamknął na kilka lat misję. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych walki wreszcie ucichły, personel wrócił do Awkaru, czekając na ukończenie nowej, silnie ufortyfikowanej siedziby we wschodniej części miasta, niedaleko Ministerstwa Obrony. Nowy projekt ciągle jeszcze pozostawał w fazie realizacji.

Corben zostawił Mię w mieszkaniu i pojechał prosto do Awkaru.

Zameldował się krótko u kolegów na pierwszym piętrze przybudówki konsularnej.

Mieścili się tam biura szefa bejruckiej rezydentury CIA, Lena Hayflicka, oraz czterech pozostałych agentów. Mieli pełne ręce roboty. Nawet bez wciąż aktualnych zadań, takich jak wy-

śledzenie Imada Mughijaha, człowieka uważanego za kierowcę samochodu-pułapki, który w 1983 roku eksplodował w bazie marines i zabił 241 żołnierzy, oraz monitorowania posunięć ciągle rodzących się zbrojnych grup w rodzaju Fa-tah-al-Islam, w Libanie trudno było się nudzić. Nigdy niewypowiedziana, brudna wojna trwała w najlepsze. Dla agencji był to oczywi-

ście chleb powszedni, choć duże możliwości niosły ze sobą jeszcze większe ryzyko. Mimo to porwaniem Bishop trzeba się było zająć natychmiast, gdy więc tylko Baumhoff pokazał Corbenowi zdjęcia, agent załatwił sobie przejęcie nowego zadania.

Całe popołudnie spędził w biurze przy telefonie i bazach danych, w sprawie porwania nie pojawiły się żadne nowe informacje. Nikt nie dzwonił, nie wziął na siebie odpowiedzialności, nie zażądał okupu. Corben nie był tym zaskoczony, choć do pewnego stopnia spodziewał się, że jakaś skrajna grupa będzie próbowała przypisać sobie aferę i w pewien sposób wykorzystać sytuację. Stany

Zjednoczone rządziły w regionie metodą grubej pałki, mogły jednak również wyświadczyć komuś przysługę, jeśli ten ktoś na to zasłużył lub jeśli to na nich - jak w tym wypadku - wymusił. Nikt jednak nie zażądał żadnej przysługi.

Po kontrolnym telefonie do oficera Fuhud, z którym odbył krótką konferencję, kiedy Mia przebywała w swoim hotelowym pokoju, dowiedział się, że martwy mężczyzna z mieszkania Evelyn nie miał przy sobie dokumentów ani niczego, co pozwoliłoby ustalić jego tożsamość. Następnego dnia w gazetach miało się pojawić zdjęcie jego twarzy, ale Corben nie spodziewał się, żeby w najbliższym czasie ktokolwiek przyznał się do znajomości z bandytą.

Wykonał również kilka telefonów do swoich znajomych w libańskim wywiadzie, starając się ich wysondować i jednocześnie nie zdradzić się z czymkolwiek, co mogłoby wskazywać, że jest bardziej zaangażowany w śledztwo, niż wymaga tego standardowa procedura przestrzegana w wypadku porwania obywatelki Stanów Zjednoczonych. Nie dowiedział się niczego nowego, niczego, co pozwoliłoby popchnąć sprawę w tym czy w innym kierunku. Upewnił się tylko, że koledzy powiadomią go, jeśli dotrą do jakichś interesujących informacji.

Odzyskał od Baumhoffa telefon Evelyn i przejrzał wykaz jego rozmów przychodzą-

cych, ostatnia z nich została jednak wykonana z zastrzeżonego numeru, co zresztą potwierdzało relację Baumhoffa. Od tego czasu nikt do Evelyn nie dzwonił. Corben przejrzał wybierane numery. W ciągu ostatnich kilku dni Evelyn dzwoniła głównie na lokalne numery i dopiero ostatnia rozmowa przyciągnęła uwagę Corbena. Amerykański numer. Rhode Island, je-

śli wierzyć numerowi kierunkowemu.

Przypomniał sobie o wizytówce, którą znalazł w leżącym na biurku otwartym organizerze. Wyciągnął ją. Numer pasował. Figurował pod nim niejaki Tom Webster z Instytutu Archeologii i Historii Starożytnej. Corben szybko obliczył w myślach różnicę czasową i zorientował się, że na Wschodnim Wybrzeżu jest jeszcze dość wcześnie. Było mało prawdopodobne, że zastanie tam kogokolwiek o tej godzinie. Otworzył w komputerze okienko wyszukiwarki i znalazł stronę internetową instytutu. Wyczytał z niej, że jest to działający dzięki prywatnym funduszom, afiliowany przy Uniwersytecie Browna ośrodek badawczy zajmujący się studiami w dziedzinie archeologii i sztuki starożytnego basenu Morza Śródziemnego, Egiptu i Azji Zachodniej oraz promocją tych dyscyplin. W wykazie pracowników nie było nikogo o nazwisku Webster. Corben zapisał w notatniku informacje: „Tom Webster”, „Haldane, Brown U” i „prywatne fundusze”, starając się zapamiętać, że ma zadzwonić do instytutu później.

Zaniósł telefon do pokoju łączności i wręczył go głównemu tamtejszemu specjalście, oficerowi wsparcia technicznego Jake'owi Olshanskiemu, prosząc, żeby użył swoich magicznych umiejętności i sprawdził, czy potrafi wysledzić płochliwego rozmówcę, który zadzwonił

na komórkę Evelyn. Poprosił również o wykaz jej połączeń przychodzących i wychodzących z ostatnich dwóch tygodni i zapytał młodego technika, czy nie mógłby spróbować ściągnąć podobnego wykazu z telefonu stacjonarnego archeolog, zakładając oczywiście, że taki miała.

Odebrał u Baumhoffa telefon Mii i szybko przejrzał jego zawartość, nic jednak nie przycię-
gnęło w nim jego uwagi. Poprosił Olshanskiego, żeby wydrukował mu szybki wykaz z karty SIM i
zanotował w pamięci, że ma odebrać komórkę, kiedy będzie wychodził, i oddać ją Mii.

Zostawił też technikowi laptopa Evelyn - wcześniej sam próbował go uruchomić, ale jego wy-
siłki udaremniła prośba o podanie hasła dostępu. Wiedział, że Olshansky poradzi z tym sobie bez
problemu.

Wrócił do gabinetu i skupił się z powrotem na organizerze Evelyn. Był wypchany wizytówkami i
notatkami - prawdziwy skarbiec informacji na temat aktywnego, pracowitego życia swojej
właścicielki. Pierwszy połów nie przyniósł niczego użytecznego. Notatki w kalendarzu z minionego
tygodnia, a szczególnie z dwóch ostatnich dni, na pierwszy rzut oka nie zawierały niczego na temat
dawnego znajomego, z którym spotkała się Evelyn. Corben odłożył

organizery, zostawiając go sobie na później. Doszedł do wniosku, że na dokładne przeszukanie go
potrzebuje więcej czasu.

Profile Evelyn i Mii, które ściągnął z bazy danych, raczej go nie zaskoczyły - zawiera-

ły bardzo skromną liczbę informacji. Corben nie znalazł niczego, co mogłoby podważyć oczywistą
prawdę, że obie kobiety wiodły spokojne życie i nigdy nie przekroczyły prawa -

nawet niezapłaconego mandatu za złe parkowanie. Trafił na kilka dosyć głośnych komentarzy, które
wygłosiła Evelyn w czasie walki o tereny śródmiejskie Bejrutu, jaka toczyła się między
deweloperami a konserwatorami zabytków, nie były one jednak tak agresywne, żeby mógł uznać, że
miały związek ze sprawą.

Odchylił się na krześle i przebiegł jeszcze raz w myślach przez wydarzenia, które na-
stąpiły od momentu, gdy poprzedniego wieczoru Mia spotkała się z Evelyn na drinka. Skupił

się na swobodzie i pewności, z jaką wykonywał swoje zadanie oddział zabójców. Bejrut miał

już daleko za sobą stare, mroczne czasy i uzbrojona po zęby, świetnie wyszkolona grupa
zawodowych morderców nie mogła tak po prostu bezkarnie działać w mieście bez jakiegoś rodzaju
„oficjalnych” powiązań lub cichej zgody ze strony jednej z kilku głównych operujących w regionie
bojówek. Nieuchronnie oznaczało to, że trop prowadzi do jednego z „wielkich braci” - służb
wywiadowczych Libanu lub Syrii. Zidentyfikowanie martwego zabójcy pozwoliło-by natychmiast
określić, dla jakiego klanu pracowali bandyci, ale wydawało się raczej mało prawdopodobne. W
tym regionie łatwo było wynająć „pistolet”, a ślady zazwyczaj dobrze się zacierało. Każda bojówka,
każda agencja dysponowała specjalistą od wygładzania - czy raczej maskowania - rzeczywistości.

Musiał się dowiedzieć, skąd pochodziło zagrożenie. Nawet akcent mógłby zainicjować długi ciąg
domysłów, które w końcu ułożyłyby się w informację, skąd pochodził zabójca, i być może
doprowadziły Corbena do obiektu, który według jego przekonania wynajął ekipę zawodowców.
Niestety, zdolności wokalne zabójcy zostały poważnie umniejszone przez jego

- cóż - śmierć. Corben zdawał też sobie sprawę, że faceci dwa razy skrewili. Było bardzo mało prawdopodobne, żeby zrobili to po raz trzeci. Od tej chwili musiał być do przesady ostrożny.

Sięgnął po teczkę, którą zabrał z biurka Evelyn, i zaczął przeglądać jej zawartość.

Prawdopodobnie większa liczba informacji była zapisana na twardym dysku laptopa, ale biorąc pod uwagę to, jak stare wydawały się papiery i zdjęcia, które wypełniały teczkę, podejrzewał, że to na niej powinien się przede wszystkim skupić. Uważniej niż wcześniej przeczytał

notatki Evelyn i jeszcze raz przyjrzał się fotografiom. Spędził sporo czasu w Iraku, wiedział więc, że Al-Hillah znajdowało się nieco na południe od Bagdadu.

Wyobraził sobie odkrytą przez Evelyn podziemną komnatę i wrócił myślami do laboratorium, które było przedmiotem jego własnych badań.

Oba miejsca znajdowały się w Iraku, obie dzieliła przestrzeń zaledwie stu kilkudziesięciu kilometrów.

Oba zdobił symbol Uroborosa.

Na osobistej liście ulubionych fantasmagorii Corbena zbiegi okoliczności plasowały się tuż za bezinteresownymi politykami, darmowymi lunchami i demokracją na Środkowym Wschodzie.

Zajrzał do swoich notatek z rozmowy z Mią. Skupił się na słowach „iracki człowiek do wszystkiego”, wokół których zakreślił kółko. Przez chwilę się zastanawiał, po czym jeszcze raz spojrzął na zdjęcia z torebki Evelyn. W jego głowie zaczęła kołatać pewna myśl. Pozwolił jej dojrzeć. Wszystko wydawało się pasować. Niespodziewanie pojawia się mężczyzna, którego Evelyn dawno temu знаła w Iraku - „człowiek do wszystkiego”. Wkrótce potem Evelyn znika. W jej torebce znajdują się zdjęcia niezwykle cennych zabytków z Mezopotamii. Corben był prawie pewien, że człowiek ten przyjechał zobaczyć się z Evelyn, żeby zaoferować jej sprzedaż tych przedmiotów, szczególnie księgi. Evelyn dawniej miała jakiś związek z symbolem węża zjadającego własny ogon - związek, o którym Corben musiał dowiedzieć się czegoś więcej. Wiedział jednak, że jego obiekt ciągle żyje i ma się dobrze, i że działa z tym samym bezwzględny zapamiętaniem, jakie przejawiał w Bagdadzie. Wiedział, że to właśnie ta bezwzględność kazała mu wysłać swoich ludzi w celu porwania Evelyn i przeszkolenia jej mieszkania.

Był blisko.

Niemal wyczuwał obecność hakima - gdzieś tam ścigającego swoje ulotne marzenie.

Musiał go wypłoszyć, a oczywista droga ku temu wiodła przez irakijskiego „człowieka do wszystkiego”. Najwyraźniej dysponował czymś, czego szukał hakim. Był kluczem do odnalezienia dzieł sztuki i ciągle przebywał gdzieś niedaleko, prawdopodobnie w ukryciu. Pytanie tylko, jak go znaleźć. Zanim zrobi to hakim.

Trzeba było wywabić „człowieka do wszystkiego” - zakładając, że jeszcze nie uciekł z miasta, co

było zresztą realną możliwością, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Corben zastanowił się nad tym i po chwili jeszcze raz rzucił okiem na teczkę, którą zabrał z mieszkania Evelyn. Znajdowało się w niej kilka starych zdjęć, pamiątek z wykopalisk, a na niektórych z nich było widać Evelyn stojącą w otoczeniu jakichś mężczyzn - najprawdopodobniej arabskich robotników. Istniała duża szansa, że na jednym z nich znajdował

się zaginiony handlarz, Corben nie wiedział tylko, jak może wyglądać.

W odróżnieniu od Mii.

Corben się zamyślił. Będzie musiał z nią o tym porozmawiać. Wolałby jej w to nie mieszać - w ciągu ostatnich niecałych dwudziestu czterech godzin przeszła wystarczająco dużo - stawka była jednak wysoka, a dziewczyna i tak tkwiła w tym po uszy. Musiał po prostu rozegrać wszystko ostrożnie. Co nie mogło być łatwe, biorąc pod uwagę to, z kim miał do czynienia.

Nagle na jego biurku zadzwonił telefon, zakłócając powoli klarujący się w jego głowie obraz sytuacji. Corben, sięgając po słuchawkę, sprawdził na wyświetlaczu identyfikator rozmówcy. Dzwonił ambasador.

ROZDZIAŁ 25

Evelyn wpatrywała się w ściany swojej celi i ogarniała ją rozpacz gęsta jak zimowa mgła. Pozornie niewielkie pomieszczenie pozytywnie odbiegało od tego, czego się spodziewa-

ła. W niczym nie przypominało brudnych, walących się i pełnych szczurów nor, które przypominała sobie z drukowanych w prasie relacji zakładników porwanych w latach osiemdziesią-

tych. Wyglądało raczej jak jednoosobowa sala w przeciętnym szpitalu na Środkowym Wschodzie. No, może nie w zwyczajnym szpitalu. Raczej w szpitalu psychiatrycznym.

Ściany, podłoga i sufit były pomalowane na biało. Łóżko, choć wąskie i przyśrubowane do podłogi, było wyposażone w znośny materac, o takich luksusach, jak poduszka, prze-

ścieradło i koc nie wspominając. W pokoju znajdowała się muszla klozetowa i niewielka umywalka, w dodatku obie działały. Gorzej było ze światłem - zwisające z sufitu dwie świetlówki buczały irytująco na samym progu słyszalności. Dwie rzeczy podkopywały jednak poczucie ulgi Evelyn, które mogłoby się jej udzielić dzięki względnie cywilizowanym warunkom, w jakich miała przebywać. Ścian pokoju nie urozmaicał najmniejszy nawet otwór. Za to w drzwiach - grubych, metalowych i pozbawionych, jak zauważyła Evelyn, klamki - znajdowało się niewielkie lustrzane okienko, wypełnione prawdopodobnie półprzezroczystą szybą, przez którą porywacze mogli obserwować wnętrze pomieszczenia. Co więcej, cela wzbudzała u Evelyn większy niepokój, niż mogłoby to zrobić najgorsze szambo, o jakim kiedykolwiek czytała - tyle że w odmienny sposób. W miarę przyzwoite warunki kazały przypuszczać, że będzie w nim długo uwięziona, a jego kliniczne, chłodne, surowe wnętrze wydawało się jeszcze bardziej groźne niż cele, o których czytała. Ze ścian pomieszczenia zionęły wyraźnie nie-cne zamiary i Evelyn czuła to każdym porem swojej skóry.

Ból, który płonął niedawno w jej żyłach, całkowicie ustąpił. Evelyn, powoli rozcierała nagie ramiona, ciągle oszołomiona brakiem jakichkolwiek skutków ubocznych działania...

„Jak on to nazwał?” Nie pamiętała. Przypomniła sobie ze złością, jak wartkim strumieniem płynęły z jej ust słowa, jak opowiadała o wszystkim, o czym wiedziała. Poczowała się słaba, bezsilna i - co było ze wszystkiego najgorsze - upokorzona. Odkąd wiele lat temu zamieszkała w regionie, wiele razy trafiała na przeciwieństwa losu i trudne sytuacje, i zawsze była dumna z wewnętrznej siły i determinacji, jakie w razie potrzeby potrafiła w sobie odnaleźć. Ostatnie kilka godzin przejechało po jej poglądach na temat własnej odwagi niczym buldożer. Porywacz bez najmniejszego wysiłku zredukował Evelyn do kulącego się ze strachu, przerażonego zwierzątka - myśl o tym paliła ją równie mocno jak diabelska ciecz, którą brutalnie wstrzyknął jej w żyły.

Najgorsze było zaś to - najbardziej frustrujące, wprost nie do wytrzymania - że nie wiedziała nawet, w co się wplątała.

Odkrycie Al-Hillah ostatecznie zawiodło ją donikąd. Trop urywał się nagle w samej komnacie, tam, gdzie się rozpoczynał, a bez niego o całej sprawie trzeba było zapomnieć.

Po odejściu Toma, po tym, jak cyklon w jej głowie nieco się uspokoił, zbeształa sama siebie za to, że pozwoliła mu sobą zawładnąć, że nie chciała dostrzegać żadnych sygnałów. Z

drugiej strony, Tom był irytująco trudny do rozpracowania. Przez cały okres trwania ich krótkiego związku czuła w nim głęboko osadzony niepokój, konflikt, coś, z czym walczył rozpaczliwie na jej oczach. Nie miała wątpliwości, że wiele przed nią ukrywał - fakt, że znalazła się w tej celi, potwierdzał to z całą stanowczością. Już wtedy jednak czuła - w każdym razie miała nadzieję - że nie ma do czynienia ze zwyczajnym, nudnym rodzajem oszustwa, jakiego mogłaby się teoretycznie spodziewać: żona, szara codzienność, od której Tomowi na chwilę udało się uciec. Sprawiało to wrażenie czegoś poważniejszego. Jednak za każdym razem, kiedy odważyła się poruszyć temat, on zaczynał krążyć i zręcznie, z wrodzonym wdziękiem kierował rozmowę na inne tory. Wiedziała, że jego uczucia są prawdziwe - sam zresztą kiedyś to przyznał. Oczywiście wiedziała też, że mężczyźni to kłamcy, ale gdzieś tam w środku była pewna, że się co do niego nie myli, a przez te wszystkie lata jej instynkt wielokrotnie dowiódł

swojej niezawodności. Pamiętała nawet dzisiaj szczerą, jaka rozbłysła w jego oczach, kiedy mówił jej, co do niej czuje, choć jego zdolność do tego, żeby wyjechać z tak zimnym wyra -

chowaniem, była czymś, z czym nigdy nie zdołała się pogodzić.

Ciągle jeszcze pamiętała jego pożegnalne słowa, tak jakby nadal stał obok niej, tak jakby wciąż szeptał jej do ucha:

„Nie mogę z tobą zostać. Nie możemy być razem.

Nie chodzi o kogoś innego. Chciałbym, żeby to było takie proste. Nie mogę jednak o tym mówić. Musisz tylko wiedzieć, że gdyby istniał jakikolwiek sposób na to, żebyśmy byli razem, nie wahałbym się ani sekundy”.

A potem wyjechał.

Zostawiając ją i każąc żyć dalej, zapomnieć o nim, poradzić sobie z porzuceniem tym trudniejszym do zaakceptowania, że całkowicie nieoczekiwanym i - w każdym razie w jej oczach - nieusprawiedliwionym. Każąc wychowywać jego dziecko, dziecko, o którym nawet nie wiedział. Dziecko, które przez lata musiała okłamywać. Małą dziewczynkę, której ojciec -

jak jej tłumaczyła - umarł.

Żyła z tym przez trzydzieści lat, ale nawet teraz, kiedy tylko zaczynała o tym myśleć, czuła w piersiach bolesny uścisk. Nie było to łatwe, ale zdawała sobie sprawę, że gdyby Mia dowiedziała się, że jej ojciec żyje, natychmiast wyruszyłaby na jego poszukiwanie, a tego Evelyn nie chciała. Tom wyraził się jasno. Nie należało narażać Mii na bolesne rozczarowanie.

Najważniejsze, że udało jej się to ukryć przed hakimem. W żadnym razie nie życzyła-by sobie, żeby się dowiedział, że Mia jest córką Toma. Zacząłby wtedy ścigać również Mię, o czym Evelyn wołała nawet nie myśleć.

Małe zwycięstwa. Tylko tego mogła się teraz ucześcić.

Nagle jej uwagę przykuło coś za drzwiami celi. Jakiś hałas. Ostre, wysilone ruchy, kroki, szurające po kamiennej podłodze.

Podeszła do drzwi i spróbowała wyrzeć przez lustrzany otwór, ale zobaczyła tylko ostre odbicie własnej twarzy. Przykleiła ucho do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Dotarł do niej odgłos zamykanych drzwi, po którym usłyszała jakieś ruchy i krzyk, od którego przeszły ją ciarki - krzyk jakiegoś chłopca, bolesny, błagalny skowyt. Po tym przeraźliwym dźwięku do uszu Evelyn dobiegło wściekłe warknięcie mężczyzny, który kazał chłopcu zamilknąć -

„Chrass, wlaa” - a potem plaśnięcie i bolesny jęk uderzonego najwyraźniej dziecka. Evelyn usłyszała jeszcze jakieś jęki, a potem trzaśnięcie drzwi i dźwięk przekręcanego po chwili zamka.

Zaczekała minutę, aż mężczyzna odejdzie, z sercem podchodzącym do gardła odliczając sekundy i zastanawiając się, czy powinna spróbować nawiązać z innym więźniem kontakt.

Później uderzyła ją jeszcze jedna myśl: „A co, jeżeli trzymają tutaj więcej osób?” Niestety, żadnym sposobem nie mogła się tego dowiedzieć. Mężczyzna, który zaprowadził ją do celi, zakrył jej głowę czarną szmatą, którą usunął dopiero, gdy znaleźli się w środku. Myśl, możli-wość, że są tutaj inni, przerażała ją jeszcze bardziej.

Postanowiła zaryzykować.

- Halo? Jest tam kto?

Jej szept odbił się głębokim echem w panującej wokół ciszy.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Powtórzyła pytanie, tym razem nieco głośniej, nieco bardziej rozpaczliwie. I znowu nikt nie odpowiedział.

Nagle wydało się jej, że usłyszała gdzieś daleko jakiś jęk, ale nie była tego pewna. W

uszech pulsowało jej serce, utrudniając wsłuchiwanie się w ciszę.

Zaczekała kilka minut, po czym spróbowała jeszcze raz, ale znowu odpowiedziała jej tylko martwa cisza. Roztrzęsiona i przygnębiona opadła na podłogę i schowała twarz w dłoniach, bezsilnie starając się nadać wirującemu wokół koszmarowi jakiś sens.

Jej umysł wrócił do obrazu twarzy mężczyzny w kitlu, kiedy obserwował ją i wsłuchiwał się w jej opowieść. Jak tylko Evelyn wspomniała o Tomie, hakim wyraźnie się zainteresował. Wypytał ją szczegółowo o Webstera, chcąc się dowiedzieć o nim wszystkiego, co tylko było możliwe. Instynkt jej nie mylił. Nie powinna była wspominać o Tomie, choć prawdę mówiąc, nie miała zbyt wielu możliwości, żeby zachować milczenie. Płomienie, które ogarnę-

ły jej ciało, z pewnością by jej na to nie pozwoliły.

Mia była na razie bezpieczna - przynajmniej Evelyn miała taką nadzieję - nie można było jednak wątpić, że porywacz zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby odnaleźć Toma Webstera. Wraz z tą niepokojącą myślą w głowie Evelyn pojawiła się jeszcze jedna, może nawet bardziej przerażająca: czyjej córka zdoła znaleźć kogokolwiek, kto pomoże jej szukać matki z równą gorliwością, i czy jeszcze ją kiedykolwiek zobaczy.

ROZDZIAŁ 26

Gabinet ambasadora mieścił się w tylnej części głównej willi, w miarę możliwości daleko od wejścia na teren kompleksu. Był oddzielony od zewnętrznego świata drzwiami odpornymi na działanie bomb i ścianami z grubego, lustrzanego, kuloodpornego szkła. Sosnowy las za terenem ambasady oraz okolice jej bramy wjazdowej patrolowali bezustannie marines i żołnierze libańskiej armii. Tego rodzaju środki ostrożności były oczywiście niezbędne, ale nikt nie miał żadnych złudzeń co do ich ostatecznej skuteczności. Gdyby zapadła decyzja - najprawdopodobniej w jednej ze stolic regionu - że w ramach chorego planu politycznego należy uderzyć na ambasadę, żadne barykady nie byłyby w stanie temu zapobiec. Wszyscy pracownicy wiedzieli o tym, począwszy od osoby w samym środku celownika, czyli ambasadora. Z

doświadczeń Corbena wynikało, że różni ludzie różnie radzili sobie z tak uroczą sytuacją.

Obecnie pracujący tu ambasador, trzeba przyznać, przyjmował ją z podziwu godnym stoicyzmem.

Kiedy Corben wszedł do gabinetu, ambasador siedział z mężczyzną, którego agent nie znał i który szybko wstał i przedstawił się jako Bill Kirkwood. Miał mocny uścisk dłoni, bystre oczy i przyjemną powierzchowność. Był wysoki - dorównywał wzrostem Corbenowi - i wydawało się, że trzyma formę. Corben domyślił się, że Kirkwood jest pewnie starszy od niego o kilka lat, że prawdopodobnie dobija czterdziestki, a może już ją przekroczył.

- Bill przyleciał dzisiaj po południu z Ammanu - wyjaśnił ambasador. - Jest tutaj z powodu kryzysu z Evelyn Bishop.

Zaskoczyło to Corbena. „Trochę za szybko” - pomyślał.

- A co pana łączy z tą sprawą?

- Spotkałem Evelyn kilka lat temu. Pracuję w dziale dziedzictwa kulturowego w UNESCO, a ona walczyła tutaj w naszym imieniu z deweloperami o uratowanie terenów położonych w śródmieściu. Jest trochę jak trąba powietrzna, niełatwo ją zapomnieć - dodał z pełnym życzliwości uśmiechem. - Od tamtej pory sponsorowaliśmy częściowo jej pracę.

Corben spojrzał pytającym wzrokiem na ambasadora, niepewny, do czego zmierza rozmowa.

- Bill jest zaniepokojony - stwierdził ambasador. - Zarówno z osobistego, jak i zawodowego punktu widzenia.

Odwrócił się do Kirkwooda, pozostawiając mu dalsze wyjaśnienia.

- Cóż, najważniejsze jest oczywiście to, żeby Evelyn nic się nie stało. Bez dyskusji.

Jest osobą, którą szanujemy i o którą się troszczymy, muszę być więc pewien, że zrobiono wszystko, by wróciła do nas cała i zdrowa - wyrecytował Kirkwood. - Poza tym - dodał z pewnym wahaniem w głosie - tak, oczywiście niepokoi nas, że dobre imię jednej z naszych najbardziej szanowanych i rozpoznawalnych zawodowych współpracowniczek może zostać zszargane przez jakąś aferę z przemyśnianiem dzieł sztuki, na którą natychmiast rzucą się gazety. A z tego, co rozumiem, rząd libański chce to przedstawić właśnie w ten sposób. - Przerwał

na chwilę, spojrzał pytającym wzrokiem na ambasadora, po czym kontynuował: - Jak się wydaje, mogę również założyć, że nie jesteśmy całkiem dalecy od tego, żeby poprzeć ten punkt widzenia.

- Musimy rozważyć wszystkie plusy i minusy, zanim to ogłosimy - odpowiedział ambasador, spokojnie przybierając defensywną postawę wytrawnego zawodowca. - Sytuacja w Libanie jest bardzo delikatna. Amerykanka, zwłaszcza starsza kobieta, porwana wprost z ulicy i to bez powodu - bez wątplenia zostanie to uznane za akt terroryzmu skierowany przeciw Zachodowi. W dodatku nie mogło się to stać w gorszym momencie. Ci ludzie rozpaczliwie dążą do tego, by ich kraj odzyskał opinię normalnego i cieszącego się pokojem, który przecież dopiero co udało im się sobie po latach chaosu zapewnić. A po tym, co stało się tego lata, Liban równie rozpaczliwie potrzebuje zagranicznych inwestycji, bardziej niż kiedykolwiek.

Dzwonili do mnie już w tej sprawie i premier, i minister spraw zagranicznych. Są w panice. Nie muszę wam mówić zbyt wiele o tym, jak wpływa to na obraz kraju w czasie negocjacji w sprawie zdobywania funduszy, a gdyby napięcie miało się zwiększyć, sam incydent zainspirował naśladowców...

- Podczas gdy afery z przemyśnianiem wplątanej w brudną transakcję w najmniejszym stopniu nie stanowi odbicia stanu politycznej niestabilności, a zatem o wiele łatwiej ją zignorować - dokończył z

nutą kpiny w głosie Kirkwood, po czym zwrócił się do Corbena: - Widzi więc pan, z czym mamy do czynienia.

- Gdyby Evelyn została uznana za przemytnika, raczej nie wpłynęłoby to pozytywnie na obraz waszej organizacji - wyklarował sytuację Corben.

Kirkwood rozważał przez chwilę jego słowa, po czym skinął głową z miną winowaj-cy.

- Oczywiście, że nie. Nie zaprzeczę, że chcielibyśmy również uniknąć szargania naszego imienia. Organizacja raczej nie cieszy się pełnym i gorliwym poparciem ze strony Waszyngtonu. Ledwie udało nam się z powrotem włączyć nasz kraj w jej struktury i nie było to łatwe.

Stany Zjednoczone były jednym z trzydziestu siedmiu członków-założycieli UNESCO, Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury. Organizacja, która rozpoczęła działalność w 1945 roku, wkrótce po zakończeniu wojny, miała za zadanie propagować pokój i bezpieczeństwo przez zachęcanie do międzynarodowej współpracy w dziedzinie - rzecz jasna - oświaty, nauki i kultury. W ciągu następnych czterech dekad, kiedy rozrosła się znacznie i ostatecznie w jej szeregach znalazło się ponad sto pięćdziesiąt krajów, jej polityka - głównie zagraniczna, uznawana za niepokojąco „lewicową” - różniła się poważ-

nie od założeń rządu Stanów Zjednoczonych. Napięcie narastało i narastało, aż wreszcie w 1984 roku Stany Zjednoczone wystąpiły z organizacji. Przystąpiły do niej po raz drugi w 2003 roku, co miało stanowić symboliczny, ponadpartyjny gest ze strony prezydenta Busha, ale nie trzeba było zbyt mocno zagłębiać się w temat, żeby się zorientować, że oficjalne kręgi waszyngtońskie nadal spoglądały na organizację sceptycznym i pogardliwym wzrokiem, podobnie zresztą jak na jej starszego brata - ONZ.

- Do sprawy należy podejść z maksymalną ostrożnością - przyznał ambasador - za-równo jeśli chodzi o to, co zrobimy, żeby odnaleźć Evelyn Bishop, jak i o to, co powiemy ludziom.

Corben przez chwilę przyglądał się obu mężczyznom.

- Jeśli chodzi o jej odnalezienie, wie pan, że to również nasz priorytet. Co do udziału mediów, cóż... W tej sprawie nie chodzi o politykę. Jesteśmy tego właściwie pewni. Rzeczywiście uważam - dodał, zwracając się do Kirkwooda - że ma to coś wspólnego z dziełami sztuki z Iraku, ale rola Evelyn Bishop ciągle pozostaje niejasna.

- Wie pan, co to za dzieła sztuki? - zapytał Kirkwood.

Corben się zawahał. Nie chciał zdradzać więcej szczegółów, niż było to konieczne, musiał jednak postępować ostrożnie.

- Statuetki, tabliczki, pieczęcie. Mamy ich zdjęcia - poinformował obu rozmówców.

- Mogę je zobaczyć?

Pytanie zaskoczyło nieco Corbena. Kirkwood zagłębiał się w temat mocniej, niż moż-

na się było tego spodziewać.

- Oczywiście. Są w moim gabinecie. Kirkwood skinął głową.

- Rozumiem. Uważamy więc, że jest jakoś powiązana z tymi ludźmi. Pytanie tylko, czy dobrowolnie wzięta udział w transakcji, czy może usiłowała ją uniemożliwić. Widzą pa-nowie, do czego zmierzam? Chodzi o punkt widzenia, który powinniśmy sobie wypracować.

Zwietrzyła coś, próbowała ich powstrzymać, może nawet wydać policji, a oni ją złapali. Znając Evelyn, prawdopodobnie to właśnie się wydarzyło.

- W ten sposób wszyscy byliby zadowoleni - zauważył ambasador.

- Problem polega na tym - zauważył Corben - że z nikim się nie skontaktowała. Gdyby rzeczywiście usiłowała ich powstrzymać, zadzwoniłaby do kogoś, dając jednocześnie prze-mytnikom powód ku temu, żeby ją uciszyć. I to mnie właśnie niepokoi. Jeśli rzeczywiście tak się sprawy miały, jeśli zjawili się, żeby ją uciszyć... Nie zwrócą się do nas z żadnymi żądaniami. Musimy jakoś do nich dotrzeć i coś im zaoferować za jej bezpieczny powrót. Zakładając, że nie są już gdzieś daleko.

Spojrzał ponuro na obu mężczyzn.

- Rozumiem, że chce pan swoimi kanałami rozpuścić wici, przekazać wiadomość, że chcemy ją odzyskać i to bez zadawania żadnych pytań - odpowiedział ambasador.

- Właściwie to już zacząłem - potwierdził Corben. - Po tym jednak, co wydarzyło się latem, nasze kontakty są o wiele słabsze. Kraj jest podzielony dokładnie na dwie części. Jedna w ogóle z nami nie rozmawia, a druga w tym wypadku na niewiele się przyda.

- Mam mnóstwo kontaktów w regionie - powiedział Kirkwood. - Chętnie popracował-

bym nad tym razem z panem. Być może mam dostęp do zupełnie innego kręgu osób niż pan.

Jeśli chodzi o antyki z Iraku, mamy bardzo dużo dojść. I będzie to wyglądało na neutralną ak-cję ONZ, a nie misję zleconą przez Wielkiego Diabła - dodał, używając ulubionego regional-nego epitetu oznaczającego Amerykę.

Corben spojrzał na ambasadora, który wyraźnie przychylnie odnosił się do propozycji.

Corben - przeciwnie. Zawsze pracował sam. Chodziło zarówno o charakter jego pracy, jak i własne preferencje. Chociaż jednak nie cieszyła go myśl o kimś, kto będzie mu zaglądał przez ramię, nie mógł raczej odmówić. Poza tym Kirkwood mógł się okazać przydatny. Organizacja Narodów Zjednoczonych rzeczywiście miała mnóstwo kontaktów w regionie. W końcu odnalezienie Evelyn bez wątpienia zaprowadzi go do hakima. A przecież o to właśnie chodziło, choć nie widział powodu, żeby dzielić się tym spostrzeżeniem ze swoimi rozmówcami.

- Nie widzę przeszkód - zgodził się.

Następnym pytaniem Kirkwoodowi udało się go zaskoczyć.

- Słyszałem, że jest w to wplątana jeszcze jedna kobieta. Co o niej wiemy?

- Mia Bishop - wyjaśnił Corben. - To jej córka.

ROZDZIAŁ 27

Salon pławił się już w delikatnej poświacie zmierzchu, kiedy Mia obudziła się na sofie Corbena. Otworzyła oczy i przez chwilę nie bardzo wiedziała, skąd się wzięła w tym nieznanym miejscu. Po chwili wszystko sobie przypomniała. Usiadła powoli i obiema dłońmi starła z twarzy znużenie. Poczekała, aż jej zmysły znowu zaczną działać, po czym wstała, powlokła się do przeszklonych drzwi i wyjrzała na balkon. Budynki po drugiej stronie ulicy były jedno-licie szare i wyglądały na tak wymęczone i sfatygowane, że poczuła z nimi duchowe pokrewieństwo. Mnóstwo balkonów zostało nielegalnie oszklonych, dzięki czemu ich właściciele zamienili zewnętrzne tarasy w przestrzeń mieszkalną. Prawie wszystkie fasady szpeciły ślady po szrapnelach i dziury od kul. Z płaskich dachów wyrastał las anten telewizyjnych, a rozpostarta nad nimi pajęczyna kabli telefonicznych i przewodów elektrycznych nie pozwalała zapomnieć o wszędobylskiej w kraju prowizorce. Ze ściśle estetycznego punktu widzenia Bejrutu nie można było nazwać ładnym miastem. Mimo to, wbrew temu, czego można się było spodziewać, i wbrew wszelkiej logice, rzucało w jakiś sposób urok na odwiedzających je go-

ści. Mia nie była pod tym względem wyjątkiem.

Wzięła szybki prysznic, wytarła się i nagle usłyszała dochodzący od drzwi wejściowych hałas. Zesztywniała. Przez chwilę nasłuchiwała uważnie, po czym szybko owinęła się w ręcznik i podkrađła do drzwi łazienki.

Uchyliła je lekko i wyjrzała przez wąską szparę. Nie udało jej się dostrzec wejścia.

Przez jej głowę przewaliła się burza myśli. Czy powinna się zabarykadować w łazience? Zły pomysł. Nie było tam żadnych okien. A może powinna rzucić się pędem do jednej z sypialni, skąd mogłaby wyjść na balkon? Niewiele by to dało, biorąc pod uwagę fakt, że mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze budynku i że drugi raz nie miała zamiaru popisywać się chodzeniem na linie. Jej umysł w gwałtownym tempie odrzucał kolejne możliwości, a tymczasem zapadka w zamku szczęknęła głośno i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Przez ułamek sekundy każdy włoszek na ciele Mii wydawał się sztywny. W końcu w mieszkaniu rozbrzmiał głos Corbena.

- Mia?

Zamknęła oczy i z ulgą wypuściła z płuc powietrze, besztając się jednocześnie za uleganie własnej wybujałej wyobraźni.

- Sekundę! - odpowiedziała, ze wszystkich sił starając się stłumić w głosie zdenerwowanie.

Ubrała się. Zastąpiła Corbena w kuchni. Przyniósł ze sobą jej telefon komórkowy. Włą-

czyła go i zobaczyła, że ma kilka nieodebranych wiadomości. Nazwisko Evelyn musiało za-cząć wyciekać do mediów. Pierwszą wiadomość zostawił kierownik projektu z ramienia fundacji. Drugą - Mike Boustany, pracujący nad nim z Mią miejscowy historyk, którego zdążyła całkiem dobrze poznać. Powinna do nich obu oddzwonić i powiedzieć im, co się stało, ale postanowiła z tym poczekać do następnego dnia. Podejrzewała, że kiedy rozejdą się wieści, zadzwoni do niej jeszcze kilku zaniepokojonych przyjaciół i kolegów, wyciszyła więc w telefonie dzwonek, postanawiając sprawdzać wszystkie połączenia. Miała zamiar odebrać tylko jedną rozmowę: od ciotki w Bostonie. W tej chwili chciała przede wszystkim omówić kilka spraw z Corbenem. Jej gospodarz przyniósł ze sobą jakieś jedzenie, które kupił po drodze.

Mia dopiero teraz poczuła, że jest głodna jak wilk.

W salonie wyłożyli na stolik z pojemników z folii aluminiowej szaszłyki z jagnięcej kafty, hummus i inne przystawki, po czym usiedli po turecku i zaczęli pochłaniać potrawy, popijając je zimnym piwem Almaza. Jedzenie w Bejrucie, podobnie jak w całym basenie Morza Śródziemnego, zamieniało się zawsze w wyrafinowaną ucztę złożoną ze starannie przy-prawionych dań. Stanowiło główny towarzyski rytuał. Mia uległa terapeutycznemu urokowi pysznych potraw i piwa i przez jakiś czas prowadziła z Corbenem luźną konwersację - głównie na temat jedzenia - z zadowoleniem przyjmując chwilę wytchnienia od szaleństwa, które przez ostatnie godziny rządziło jej światem, oraz - jak nagle zdała sobie sprawę - doskonale się bawiąc w towarzystwie agenta. To, że ostrożnie trzymali się powierzchownych tematów, w ogóle jej nie przeszkadzało. Swobodna pogawędka była miłą odmianą. W końcu jednak opróżnili talerze i podobnie jak złociste światło zmierzchu ustąpiło w końcu czerni, tak też prysnął beztroski nastrój towarzyszący ich boskiemu posiłkowi. Niebezpieczny goryl, który w milczeniu przyglądał im się z najciemniejszego zakątka swojej klatki, utorował sobie wreszcie pazurami drogę ku nim i głośno zaczął domagać się uwagi.

Mia czas, który spędziła w samotności, wykorzystwała do przemyślenia wszystkiego, co jej się przydarzyło, wszystkiego, co widziała i słyszała.

- Jim - zaryzykowała w końcu po chwili wymownego milczenia. - O co w tym tak naprawdę chodzi?

Zauważyła, że jego oczy umknęły wymijająco na bok i dopiero po chwili wróciły na miejsce, z powrotem napotykając jej wzrok.

- To znaczy? - zapytał.

- Wydaje mi się, że niewiele rozumiem z tego, co się tutaj tak naprawdę dzieje.

Twarz Corbena się zachmurzyła.

- Nie jestem pewien, czy wiem wiele więcej niż ty. Zostaliśmy bez ostrzeżenia wy-puszczeni na szerokie wody i póki co reagujemy tylko na to, co się dzieje.

- Coś jednak wiesz - nie dała się zbyć Mia. Poczowała, że się rumieni. Rzadko naciskała w ten sposób ludzi, i to w takiej sytuacji, ale w końcu nigdy przedtem nie znajdowała się w podobnym położeniu. Tak jak większość znanych jej osób.

- Tak myślisz?

- Daj spokój, Jim.

- Co? - zaprotestował, rozkładając w pytającym geście rękę.

- No wiesz, na przykład teczka.

- Jaka teczka?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Ta, którą zabrałeś z mieszkania mojej matki. Zajrzałam do niej, kiedy siedziałam w kuchni.

- I...?

- Ze wszystkich rzeczy, na które natknąłeś się w jej mieszkaniu, zainteresowała cię tylko ta teczka. Zauważyłam na niej symbol: wąż zwinięty w pierścień, tak jakby zjadał sam siebie. Ten sam symbol widziałam na jednej z ksiąg ze zdjęć, które pokazałeś mi na posterunku, tych z torebki mamy. - Mia przerwała i wpatrzyła się w twarz Corbena, próbując coś z niej wyczytać. Nic to jednak nie dało: agent nawet nie mrugnął, czego zresztą można było się spodziewać po funkcjonariuszu wywiadu. Mia zdążyła się już jednak nakręcić i czuła, że roz-piera ją energia. Naciskała więc dalej. - Poza tym brutalność, z jaką działali ci gangsterzy.

Chryste, wiem, że przemykanie dzieł sztuki to nie jest czysty interes, żaden też ze mnie ekspert od podziemnego świata i nie mam pojęcia, co dzisiaj jest normalne na ulicach Bejrutu, ale wydaje mi się to trochę za ostre - porywanie ludzi w biały dzień, zabijanie, strzelanina w mieszkaniu... - Zamilkła, zbierając się na odwagę, żeby posunąć się jeszcze dalej. - I jeszcze twój udział.

Corben zmarszczył brwi.

- Mój udział?

Mia posłała mu nieznaczny, nerwowy półuśmiech.

- Wydaje mi się, że CIA raczej rzadko angażuje się w odzyskiwanie skradzionych w muzeach zabytków.

- Została porwana obywatelka Stanów Zjednoczonych - przypomniał jej Corben. - To teren działania agencji.

Dopił piwo i odstawił spokojnie butelkę, po czym znowu spojrzał jej w oczy.

„Nieprzenikniony jak Sfinks” - pomyślała Mia. Odbiegając nieco od tematu, zaczęła się zastanawiać, jak nieznośne byłoby zmierzenie się przy stoliku pokerowym czy, co gorsza, życie z kimś tak zamkniętym w sobie.

- Skoro tak mówisz, jednak... - Wzruszyła ramionami, ciągle nieprzekonana. Zresztą, nawet nie starała się mu uwierzyć. - Daj spokój, Jim.

- Spojrzała mu w oczy, szukając w nich jakiegoś kontaktu, pragnąc, żeby się otworzył.

- Ona jest moją matką. Wiem, że macie swoje procedury, i rozumiem to, ale chodzi o życie mojej matki, a może i moje.

Nie przestawała wpatrywać się w Corbena, który wyraźnie się zastanawiał, czy się nie poddać. Niemal słyszała, jak furkocze jego mózg, jak przerabia niepokojące szczegóły tego, w co zostali wplątani, jak wybiera, czym - jeśli w ogóle czymkolwiek - może się z nią podzielić, a co pozostawić do swojej wyłącznej wiadomości. Po krótkiej chwili Corben zasnurowałwargi, skinął niemal niezauważalnie głową, po czym wstał i podszedł do swojej leżącej po drugiej stronie pokoju aktówki. Przyniósł ją i z powrotem usiadł. Otworzył szyfrowy zamek, wyciągnął teczkę, położył ją przed sobą na stoliku i oparł o nią dłonie.

- Nie wiem ciągle wszystkiego, w porządku? Powiem ci tyle, ile wiem.

- Uderzył dłonią w teczkę. - Znalazłem to u twojej matki na biurku - starą teczkę, któ-

ra na pierwszy rzut oka nie ma nic wspólnego z jej obecną pracą. Twoja matka zostawiła ją na biurku tego samego dnia, kiedy spotkała człowieka, którego poznała kiedyś w czasie wykopalisk w Iraku. Myślę, że to on dał jej zdjęcia, które znaleźliśmy w jej torebce. Może chciał je jej sprzedać, może miał nadzieję, że skontaktuje go z jakimiś potencjalnymi nabywcami.

Może sama była nimi zainteresowana. Z powodu tego.

- Otworzył teczkę i wyjął z niej kserokopię Uroborosa, którą następnie podsunął Mii. -

Jak słusznie zauważyłaś, wykopaliska udokumentowane w tej teczce mają coś wspólnego z symbolem węża, tego samego, który widnieje na księdze.

Na odbitce było widać stary czarno-biały rysunek zwiniętego węża, kopię na oko kil-kusetletniego drzeworytu. Mia przyjrzała się mu uważniej niż wcześniej. Bestia właściwie była czymś więcej niż wężem. Miała ogromne łuski i zęby jadowe, i przypominała raczej smoka. Oczy potwora były zimne i wpatrywały się beznamiętnie przed siebie, tak jakby akt zjadania własnego ogona był czymś zupełnie naturalnym i bezbolesnym. Był to złowrogi obraz, odwołujący się do pierwotnych lęków. Pozółkła, sfatygowana kopia, z której zionęło złem.

Mia spojrzała na Corbena.

- Co to jest?

- Nazywa się Uroboros. Jest bardzo stary i w różnych czasach był spotykany w różnych kulturach.

- A co oznacza?

- Wydaje się, że nie ma określonego znaczenia. Moim zdaniem to po prostu archetypiczny, mistyczny symbol, który przez różnych ludzi mógł być odczytywany na różne sposoby, w zależności od tego, do czego go wykorzystywali. Nawet nie przykładając się specjalnie do pracy, znalazłem wiele nawiązań do niego, i to w źródłach tak różnych, jak staroegipskie mity i legendy indyjskie z jednej strony, a pisma alchemików i gnostyków z drugiej.

Mia nie mogła oderwać oczu od rysunku.

- Pozostałe dzieła są nieważne. Temu komuś - kimkolwiek jest - zależy tylko na księdze.

- Możliwe. A dzięki tej teczce możemy dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej. -

Corben postukał palcem w teczkę Evelyn. - Nie miałem jeszcze czasu, żeby przejrzeć ją do-kładnie. Tak czy inaczej, nie jest to nawet tak bardzo istotne. Ma to o tyle znaczenie, że Evelyn została porwana właśnie z tego powodu. I na dzisiaj naszym najlepszym tropem jest człowiek, który moim zdaniem jej to przyniósł, mężczyzna, którego poznała dawno temu, iracki

„człowiek do wszystkiego”, o którym według ciebie wspomniała. On wie więcej na temat tego, co się tutaj dzieje i kto jeszcze jest w to zamieszany. Z kolei my wiemy o nim bardzo niedużo, chociaż...

- Corben przerwał. W jego oczach pojawiło się wahanie. Mia widziała, że walczy z sobą, że nie chce kontynuować. Po krótkiej chwili powiedział jednak: - Możesz mieć rację, że to ten sam człowiek, z którym twoja matka się spotkała, kiedy została porwana. A jeśli tak, to

- cóż - widziałas go. Możesz go zidentyfikować. Mam nadzieję, że jeśli to ten sam facet, to może odwrócił teczkę, tak że leżała teraz bezpośrednio prze Mią - po prostu może tutaj gdzieś jest jego zdjęcie. To by nam bardzo pomogło.

Spojrzała na niego niepewnie, czując się nieco oszukana jego odpowiedzią, po czym skinęła głową i otworzyła ponownie teczkę. Mimo że bardzo ją ciekawiły zgromadzone w niej materiały - kartki z notatkami, zapisanymi ręcznie wdzięcznym, klasycznym charakterem pisma, który doskonale знаła z listów otrzymywanych od matki w dzieciństwie, odbitki dokumentów i fragmentów angielskich, arabskich i od czasu do czasu francuskich książek z podkreślanymi zdaniami i uwagami na marginesie, mapy Iraku i całego Lewantu z różnymi oznaczeniami, strzałkami i objętymi w kółka notatkami, a wszystko to gęste od wielu, wielu znaków zapytania - przerzuciła je szybko, na większość z nich rzucając tylko pobieżnie okiem i szukając zdjęć, którym powinna się uważniej przyjrzeć.

Wreszcie znalazła wciśnięty między jakieś kartki plik starych fotografii. Zaczęła je przeglądać. Na niektórych z nich rozpoznawała o wiele młodszą, szczuplejszą Evelyn, wy-strojoną w bojówki koloru khaki, siatkowe kapelusze i szylkretowe okulary przeciwsłoneczne. Wyobraziała sobie fascynujące, niezwykle życie, jakie musiała wieść w tym czasie jej matka: samotna kobieta, urodzona na

Zachodzie, podróżująca do egzotycznych, skąpanych słoń-

cem krajów, spotykająca różnych ludzi, zanurzająca się w ich kulturach, pracująca z nimi nad wydobywaniem ukrytych skarbów ich dziejów. Było to bez wątpienia aktywne życie i Evelyn mogła się czuć spełniona, ale musiała zapłacić za nie pewną cenę, którą w jej wypadku była samotność, powściągliwość i nieumiejętność otwarcia się na innych.

Palce Mii zatrzymały się na zdjęciu, na którym Evelyn stała z jakimś mężczyzną. Jego rysy były przesłonięte przez okulary przeciwsłoneczne i pogrążone w cieniu kapelusza, w dodatku mężczyzna pochylił nieco i odwrócił twarz. Poczowała jednak, że włosy jeżą jej się na karku. Znała to zdjęcie. Dostała jego kopię, kiedy miała siedem lat, i zawsze trzymała ją przy sobie schowaną w portfelu. Mężczyzna na fotografii był jej ojcem. Evelyn powiedziała jej, że to jedyne jego zdjęcie, jakie miała. Spędzili razem tylko kilka tygodni. Mię zasmucało to, że nie wie nawet, jak naprawdę wyglądał.

Wpatrzyła się ze smutkiem w fotografię, a po chwili do jej głowy zaczęła się podkra-
dać niepokojąca myśl. Jej ojciec był tam. Był z Evelyn, kiedy znalazła podziemną komnatę.

I umarł miesiąc później. W wypadku samochodowym.

Nagle poczuła ukłucie w piersiach. Przez sekundę wydawało się jej, że serce w ogóle przestało jej bić. Z twarzy odpłynęła jej cała krew.

Corben zauważył to.

- Co się stało? Wręczyła mu fotografię.

- Mężczyzna na zdjęciu. - Wydawało się, że słowa wydobywają się z niej jak z jakiejś mgły. - To mój ojciec. Był tam.

Corben wpatrzył się w nią, czekając na ciąg dalszy.

- Zmarł miesiąc później. Zginął w wypadku samochodowym. - Jej oczy zaświeciły się tysiącem pytań. - A co, jeśli to nie był wypadek? Jeżeli został zamordowany? Z powodu tego?

Na twarzy Corbena przez moment malował się wyraz niepewności. Po chwili jednak pokręcił głową.

- To raczej mało prawdopodobne. Nic nie wskazuje na to, że Evelyn kiedykolwiek wcześniej miała z tego powodu problemy. Gdyby jego śmierć była z tym jakoś powiązana, to pewnie i ona znalazłaby się w niebezpieczeństwie. A zdaje się, że tak nie było, to znaczy -

prowadziła całkiem otwarty tryb życia.

Oddał jej zdjęcie. Mia wpatrywała się w nie jeszcze przez długą chwilę, po czym skinęła głową.

- Chyba masz rację - przyznała.

- Na wszelki wypadek sprawdzę to, zerknę do naszych baz danych. Jak się nazywał? -

zapytał Corben.

- Webster - powiedziała Mia. - Tom Webster.

NAZWISKO PODZIAŁAŁO NA CORBENA jak pocisk karabinowy.

Tom Webster.

Evelyn zeszłego wieczoru próbowała się skontaktować z Tomem Websterem. A spirytualiści raczej nie mają w zwyczaju dzwonić na centrale instytutów naukowych, żeby pogawędzić sobie ze zmarłymi.

Webster nie umarł. A przynajmniej tak uważała Evelyn. Żył. A ona przez te wszystkie lata okłamywała córkę.

Corben poczuł w żyłach zastrzyk adrenaliny. To było bardzo ważne. Musiał opatrzyć to nazwisko najwyższym priorytetem. Potrzebował od Mii kolejnych informacji na temat tego, gdzie rzekomo zginął Webster, i tego, co opowiedziała jej o nim Evelyn, chociaż biorąc pod uwagę, że okłamała córkę na temat jego śmierci, Corben wątpił, że cokolwiek, czego dowie się od Mii na temat jej zaginionego dawno temu ojca, okaże się prawdą.

To mogło zaczekać.

Patrzył na Mię, jak odkłada zdjęcie na bok i przechodzi dalej, przyglądając się kolejnym fotografiom. Wreszcie jej oczy zatrzymały się na czymś, co jak się zdawało, przyciągnę-

ło jej uwagę.

- Mężczyzna z uliczki. Myślę, że to on - powiedziała.

ROZDZIAŁ 28

Hakim poprawił szkiełko pod mikroskopem i nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze.

Na płaskim ekranie pojawił się kolejny powiększony obraz. Przystudiował go uważnie - zawsze tak robił z danymi, które uzyskiwał dzięki swoim testom. "Jest czysta" - pomyślał. Badania krwi Evelyn nie wykazały niczego odbiegającego od normy. Żadnych obcych substancji, żadnych zniekształceń. Wyniki były dokładnie takie, jakich można było oczekiwać w wypadku całkiem zdrowej kobiety w jej wieku.

Zapatrzył się w komórki na ekranie i przypomniał sobie jej słowa. Był całkowicie pewien, że powiedziała mu wszystko, co wiedziała. Zapewnił to sobie.

Tom Webster. Nie potrafił przestać o nim myśleć.

„Czyżby był jednym z nich?”.

Sama myśl o tym zelektryzowała go. Jego umysł krążył wokół niej bez końca. Wydawało się to nieprawdopodobne. Minęło tyle lat... Ale jak inaczej można to było wyjaśnić? Za każdym razem, kiedy próbował oddalić od siebie tę myśl, przedstawić sobie fakty w nowym świetle, pierwsze skojarzenie wracało, przecinało jego wątpliwości jak brzytwa i zaszczepiało się głęboko w jego świadomości. Jak inaczej tłumaczyć to, że pojawił się na miejscu zaraz po tym, jak gruchnęła wieść o odkryciu, i zniknął, kiedy tylko trop okazał się ślepy? Nie, nie było innego racjonalnego wyjaśnienia.

Musiał być jednym z nich.

Jego zadaniem było chronić sekret.

Obserwować badania archeologiczne w regionie, upewniając się, że nikt nie natknie się na to, co z tak ogromnym wysiłkiem zostało przez nich poddane kontroli. Coś, co - skrzywił się - gromadzili chciwie przez wieki, co trzymali w tajemnicy.

Hakimowi przyspieszył puls.

Wrócił myślami do żalostnej bajeczki o nieszczęśliwej miłości. Powtórzył w myślach fakty. Mężczyzna, Tom Webster - nazwisko to wypaliło się w świadomości hakima, choć nie wierzył, że było prawdziwe - z chirurgiczną precyzją przewrócił jej życie do góry nogami.

Odkrycie doprowadziło donikąd, w każdym razie on tak to jej przedstawił. Co tak naprawdę odnalazł, czego jej nie pokazał? A potem odegrał przed nią numer z porzuceniem, zostawiając ją z drętwą gadką na temat tego, dlaczego nie może być z nią, na temat jakichś powodów, któ-

rych nie może jej wyjawić.

Deja vu.

Widział już ten numer, a właściwie czytał o nim.

Wiele lat temu. W domu, we Włoszech.

W Neapolu.

Po części właśnie dzięki temu wyruszył w swoją podróż.

Tak, oczywiście wiedział, że mężczyźni często mówią takie rzeczy. Kiedy przestają się kimś interesować. Kiedy chcą wyruszyć na kolejne podboje. Romansowanie dla żółtodziobów, rozdział pierwszy. Punkt: nie zależy mu na tobie. Kiedy indziej stwierdziłby, że to kolejny argument wspierający cyniczny, zblazowany obraz rodzaju ludzkiego, jaki rysował się w jego głowie od lat.

Ale nie tym razem. Tym razem było inaczej.

Wszystko do siebie pasowało.

A sam pomysł, że ten cały Tom Webster rzeczywiście mógł brać udział w czymś, czego istnienia

nigdy nie był pewien, czymś, w co uparcie wierzył, wbrew wszystkiemu, co racjonalne, że był gdzieś tutaj... Uśmiechnął się w duchu.

„To rzeczywiście istnieje. Dokładnie tak, jak podejrzewałem.

Principe miał rację”.

Opanowała go fala radosnego podekscytowania, która musiała jednak walczyć z gniewem, jaki poczuł na myśl o losie, który w ten sposób rozdawał karty. Evelyn odkryła komnatę w 1977 roku. W 1980 opuściła Irak. On przyjechał tam zaledwie kilka lat później.

Przeklął swojego pecha.

Gdyby znajdował się w regionie, kiedy odnaleziono komnaty, mógłby o nich usłyszeć.

Może spotkałby tego całego Toma Webstera. I może w tej chwili cieszyłby się już tym, czego ciągle jeszcze musi szukać.

Los. Czas. Właściwe miejsce we właściwym czasie. Ale może właśnie pojawiła się przed nim szansa, żeby to naprawić.

Musiał znaleźć Webstera. Numer, który dał Evelyn, znajdował się ciągle w organizerze w jej mieszkaniu. Omar i jego ludzie powinni byli go stamtąd zabrać, ktoś jednak pokrzy-

żował im plany - nawiasem mówiąc, musiał z kimś odbyć poważną rozmowę na ten temat.

Wiedział, że bez problemu może znaleźć ten numer w Internecie, ale nie spodziewał się, żeby to zbyt wiele dało. Webster prawdopodobnie nie chciał dać się znaleźć. Z pewnością starannie zatarł za sobą ślady.

Hakim musiał również dopaść tego podejrzanego handlarza antyków. Musiał dotrzeć do książki, która według niego była kluczem do wszystkiego. Ale ta kobieta i jej historia... Naprawdę była dla niego darem od Boga. Choć oczywiście nie wierzył w takie bzdury.

Pojawiły się jednak komplikacje, których charakter wymagał głębszego zastanowie-nia.

Po pierwsze, córka kobiety. Zaryzykowała własne życie, przerywając jego ludziom zadanie i pozwalając uciec handlarzowi. Po drugie, mężczyzna, który razem z nią znalazł się w mieszkaniu archeolog. Hakim wysłał tam Omara i jego ludzi, żeby zabrali stamtąd wszystko, co mogłoby go zainteresować - przede wszystkim wszystko, na czym zauważą symbol węża.

Tymczasem nie dość, że w środku zastali córkę Evelyn, to w dodatku towarzyszył jej mężczyzna, który najwyraźniej był zawodowcem. Świetnie wyszkolony gracz, który pokonał w strzelaninie Omara - w końcu nie pierwszą lepszą łajzję, jeśli chodzi o tego rodzaju robotę - i zabił

jednego z jego ludzi. Z tego, co mówił Omar, był Amerykaninem. Kto to mógł być i co tam robił z dziewczyną? Czyżby był nową figurą w grze - jeszcze jedną? Czy on również był jednym z nich? Czy

wszystko to nagle zaczęło się budzić do życia? A może znalazł się tam z innych, bardziej błahych powodów, nie wiedząc tak naprawdę, o co toczy się gra?

Hakim postarał się opanować podekscytowanie. Czekał tak długo, pracował tak cięż-

ko. Oddał tym poszukiwaniom całe życie. A teraz, był o tym coraz bardziej przekonany, wszystko zaczęło nagle układać się w całość.

Wreszcie.

Musiał się tylko dowiedzieć, kim są ci wszyscy gracze.

Dopóki jednak mu się to nie uda, powinien być ostrożny.

Użyje swoich kontaktów, żeby sprawdzić Webstera, choć podejrzewał, że nie będzie go łatwo wyśledzić. Omar przepytą swoje źródła w libańskiej policji i wywiadzie. Dowie się, ile się da, na temat Amerykanina. Najważniejsze było jednak teraz odnalezienie handlarza antyków. Hakim nie mógł go zgubić. Zachmurzył się, bo zdał sobie sprawę, że nie ma żadnej gwarancji, że uda mu się dopaść Irakijczyka. Omar naprawdę spieprzył sprawę, choć hakim wiedział, że zrobi teraz wszystko, żeby naprawić swój błąd.

Nagle spomiędzy pytań, które falą zalały umysł hakima, zaczęła się wyłaniać pewna myśl, co znacznie poprawiło mu nastrój. Jeśli mimo wszystko pani archeolog nie była tylko kolejną uwiedzioną ofiarą, jeśli Webster naprawdę żywił w stosunku do niej silniejsze uczucia... Być może hakimowi uda mu się go wywabić z ukrycia.

Ukochana w niebezpieczeństwie - cóż za urocza przynęta.

Na filmach zawsze się to sprawdza.

Musiał się tylko upewnić, że jej wołanie o pomoc będzie wystarczająco głośne.

ROZDZIAŁ 29

Mia przyjrzała się z bliska zdjęciu. Twarz należała do mężczyzny stojącego trochę z boku, trzymającego się nieco na dystans od grupy spoconych, uśmiechniętych robotników.

Skupiła się, starając się ją skojarzyć z przerażonym mężczyzną, który mało co - razem z jej matką - nie został siłą wepchnięty do samochodu i porwany, który cudem uniknął nieznanego losu. Uniosła zdjęcie. - Ten tutaj.

Wręczyła je Corbenowi, pokazując palcem mężczyznę, którego chyba rozpoznawała.

Corben spojrział na zdjęcie, po czym przewrócił je na drugą stronę. Na odwrocie fotografii, tym samym eleganckim charakterem pisma, co notatki w teczce, zapisano ołówkiem nazwiska. Przewrócił zdjęcie jeszcze raz na jedną i drugą stronę, przypisując imiona do odpowiadających im twarzy.

- Wygląda na to, że ma na imię Faruk.

- Po prostu Faruk?

- Dokładnie. - Corben otworzył notes i zapisał w nim imię. - Nie widzę nazwiska.

Mia spojrzała nie niego rozczarowana.

- Czy to wystarczy? Corben odłożył notes.

- Zawsze coś. - Wpatrzył się uważnie w twarz na fotografii, tak jakby chciał się jej nauczyć na pamięć. - Przerzucić pozostałe, dobrze? Może jest tam gdzieś jeszcze jedno jego zdję-

cie.

Mia spełniła prośbę Corbena, ale nic to nie dało. W każdym razie mieli przynajmniej twarz i nazwisko, które mogły przypuszczalnie posłużyć ludziom Corbena jako punkt zaczepienia w poszukiwaniach.

Mia odłożyła zdjęcia. Myślami pobiegła ku Evelyn. Od jej porwania minęły już prawie dwadzieścia cztery godziny. Mii oblała się o uszy obiegowa opinia, że we wszelkiego rodzaju śledztwach w sprawie zaginionych osób najbardziej liczy się pierwsze czterdzieści osiem godzin - wprawdzie nie potwierdził jej tego żaden z funkcjonariuszy sił porządkowych, ale słyszała o tym w wielu programach telewizyjnych i filmach. W każdym razie wydawało się to całkiem rozsądne - przecież obiegowe opinie zawsze skądś się biorą - a jeśli rzeczywi-

ście tak było, szanse na odnalezienie Evelyn właśnie o połowę zmaleły.

- Jak masz zamiar go znaleźć?

- Nie wiem. Nie mamy zbyt wielu punktów zaczepienia. Niby możemy zacząć od jej organizera, ale w kalendarzu na ten tydzień Evelyn nie miała zanotowanych żadnych spotkań.

Mamy imię, muszę więc jeszcze raz przejrzeć jej kontakty, zobaczyć, czy nie ma w nich związanych z nim szczegółów. Mamy jej telefon komórkowy. Musimy sprawdzić wykaz po-

łączeń, może gdzieś tam jest jego numer. To samo z laptopem, chociaż jest zabezpieczony hasłem, włamanie się do niego zajmie nam więc trochę czasu.

Mia skinęła poważnie głową i jeszcze raz wzięła do ręki zdjęcie Faruka. Rzuciła na nie okiem, czując narastającą frustrację i bezsilność. W jej głowie zaczęły pojawiać się sprzeczne myśli.

- Widział mnie, jestem tego pewna - powiedziała nieśmiało, ciągle wpatrując się w zdjęcie i starając się przypomnieć sobie feralny wieczór. - Widział mnie, jak weszłam w tę uliczkę.

Corben spojrzał na nią niepewnie. Przecież doskonale o tym wiedział.

- Rozpozna mnie. Co oznacza, że jeśli mnie zobaczy, zaufa mi. Może powinniśmy to wykorzystać. Może w ten sposób jesteśmy w stanie go wywabić z ukrycia.

- Co, mamy cię wykorzystać jako przynętę? - zapytał z lekkim niedowierzaniem w głosie Corben. - Plan jest taki, żeby trzymać cię od tego z daleka, nie pamiętasz?

Mia skinęła głową. Ciągłe się jej jednak wydawało, że ta akurat nitka może zaprowadzić do kłębka. Widział ją, być może jej zaufa. To mogło być w jakiś sposób użyteczne. Wró-

ciła myślami do rozmowy z Evelyn. O kim jej mama wtedy mówiła? O swoim koledze. Był tam z nią.

- Jest jeszcze asystent z Wydziału Archeologii. Ramez. Pracuje z mamą. Młody facet.

To on zabrał ją wczoraj na południe, żeby sprawdzić kryptę. Powiedziała, że był z nią, kiedy pojawił się ten drugi gość - Faruk.

- Nie wspominałaś o tym w hotelu - zauważył Corben. Mia się skrzywiła.

- Przepraszam, powinnam była ci o tym powiedzieć. Myślę jednak, że może on coś wie. Może Evelyn powiedziała mu, co się dzieje.

Corben zastanawiał się przez chwilę.

- Znasz go?

- Spotkałam go raz w jej gabinecie na uniwersytecie.

- Dobra, świetnie. - Corben zapisał nazwisko w swoim notatniku. Zerknął na zegarek i zmarszczył brwi. Było już po dziewiątej. - O tej porze nie będzie go już na uniwersytecie. -

Sięgnął do aktówki i wyjął z niej organizer Evelyn. Nagle jednak wpadł na inny pomysł. Wyciągnął swój telefon i wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Wstał i podszedł do prowadzą-

cych na balkon szklanych drzwi. Mia usłyszała, że udało mu się z kimś połączyć i że prosi ko-goś, żeby poszukał w telefonie Evelyn numeru do „Rameza”. Zaczekał chwilę, po czym powiedział: - Chwileczkę - i wrócił do stolika. Zapisał numer w notatniku, rzucił swojemu rozmówcy krótkie: - Mam - i szybko wystukał numer. Mia usłyszała sygnał, nikt jednak nie odbierał. Corben czekał, aż telefon po drugiej stronie zadzwoni kilka razy - w Bejrucie panował irytujący zwyczaj wyłączania poczty głosowej - po czym ze sfrustrowanym wzrokiem odłożył telefon. - Nie odbiera - wyjaśnił Mii.

- Nie myślisz chyba, że on też został...?

Zawahała się, nie chcąc wypowiadać na głos swoich obaw, czując nagle, że daje się ponieść wyobraźni.

Najbardziej zaniepokoiło ją to, że Corben nie od razu odrzucił jej sugestię.

- Nie, myślę, że coś bym o tym usłyszał. Prawdopodobnie ma już dość odpowiadania na telefony od ludzi, którzy słyszeli o porwaniu twojej matki i wiedzą, że pracuje z nim na tym samym wydziale.

Mia zmarszczyła brwi, zaniepokojona.

- Możesz zdobyć jego adres? - zapytała. Jej własna nieustępliwość zaskoczyła ją. Dopiero po chwili zaczęła się zastanawiać, czy jej pytanie nie należy do irytującej kategorii „nie ucz ojca, jak się robi dzieci”.

Jednak Corbenowi wydawało się to nie przeszkadzać. Zerknął jeszcze raz na zegarek.

- Nie chciałbym informować o nim tutejszych glin, nie o tej godzinie. A raczej nie widzę powodu, dla którego miałby się znajdować w naszej bazie danych, nie dostanę więc jego adresu tak od razu. Zadzwoń do niego jeszcze raz za kilka minut.

Mia patrzyła, jak analizuje uzyskane właśnie informacje. Jego twarz ciągle była prawie całkowicie nieprzenikniona, ale Mia z całą pewnością wyczuwała w niej pewien niepokój. Przypomniała sobie, jak stała z nim przed drzwiami do mieszkania matki. Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Postanowiła zaryzykować kolejne pytanie. Zadała je nieco poważniejszym tonem.

- Wtedy przed mieszkaniem matki. Powiedziałeś, że dobrze wiem, że sprawa jest poważna. I oczywiście tak było, jasne, ale powiedziałeś to tak... - Przerwała. Wiedziała, że ma rację. Przekonanie o tym przenikało ją z oslepiającą jasnością. - Nadal nie powiedziałeś mi wszystkiego. Jest jeszcze coś, prawda?

Corben odchylił się, przeczesał dłonią włosy, potarł lekko kark i spojrzał na Mię, najwyraźniej podejmując decyzję. Nachylił się, sięgnął ręką do aktówki i wyciągnął swojego laptopa. Otworzył go i włączył, po czym położył palec wskazujący na niewielkim czytniku linii papilarnych i uderzył w kilka klawiszy. Ekran się zaświecił. Corben w milczeniu odnalazł ja-kiś folder i odwrócił się do Mii.

- To jest tajne - wyjaśnił jej, uniósłszy w górę kciuk, po czym wziął głęboki oddech, najwyraźniej wciąż się zastanawiając, czy nie popełnia błędu, wtajemniczając ją w całą sprawę.

Odwrócił ekran w jej stronę. Było na nim widać zdjęcie jakiejś ściany w wąskim, przypominającym celę pokoju. Wydrapano na niej coś okrągłego, rozmiarów - sądząc po skali, jaką mogła stanowić zwisająca powyżej lampa - otwartej parasolki. Mia natychmiast to rozpoznała.

- Zdjęcie pochodzi z Iraku z pierwszych lat wojny - wyjaśnił Corben. - Jeden z naszych oddziałów dostał cynk na temat lekarza, który obracał się w kręgach bliskich Saddamowi, ale kiedy żołnierze zaatakowali jego posiadłość, faceta już tam nie było.

Mia miała ochotę zadać milion pytań, ale Corben jeszcze nie skończył.

- Znalaziono tam coś absolutnie przerażającego. W piwnicy lekarz urządził sobie sporych rozmiarów

laboratorium. Miał tam supernowoczesną salę operacyjną, w pełni wyposażoną. Prowadził w niej eksperymenty, eksperymenty, które... - Corben zamilkł na chwilę, dobie-rając odpowiednie słowa. Przez jego twarz przemknął wyraz bólu, Mia usłyszała ból również w jego głosie. - Eksperymentował na ludziach. Młodych i starych. Mężczyznach, kobietach.

Dzieciach...

Mia poczuła, jak krew mrozi jej się w żyłach. Zaczęło ją zżerać przerażenie, lęk o matkę.

- W podziemiach znaleźliśmy też cele, ale krótko przed atakiem wszystkie przebywające w nich osoby zostały zabite. Trafiliśmy na kilkadziesiąt ciał pochowanych na polu niedaleko domu - kontynuował - wrzuconych do masowych grobów, nagich. Na wielu z nich przeprowadzono operacje. Niektórym brakowało jakichś części. W piwnicy, w lodówkach znaleź-

liśmy duże zapasy różnych organów i hektolitry krwi. Niektóre z ran pozostały rozcięte, nie-zaszyte. Najwyraźniej kiedy już przestawał się interesować operowanymi, nie przejmował się takim drobiazgiem, jak zamykanie im ran. Odkryliśmy jeszcze kilka... przerażających rzeczy, których ci może oszczędzę. Facet wykorzystywał po prostu ludzi jako króliki doświadczalne, a kiedy któregoś z nich już nie potrzebował, zwyczajnie go wyrzucał. Najprawdopodobniej dostarczał mu ich Saddam, ich i wszystko, o co tylko lekarz poprosił. - Corben przerwał. Wydawało się, że próbuje pozbyć się obrazów, które opanowały jego umysł, i zebrać się w sobie.

- To - wskazał na ekranie laptopa symbol Uroborosa - było wyrzeźbione na ścianie jednej celi.

Mia poczuła nagle na ustach wilgoć. Zdała sobie sprawę, że nieświadomie przygryzła sobie dolną wargę tak mocno, że wypłynęła z niej krew. Otworzyła usta i musnęła palcem wargę, ścierając z niej czerwoną kroplę.

- Jakie to były eksperymenty?

- Nie jesteśmy pewni. Ale biorąc pod uwagę zainteresowanie Saddama badaniami prowadzącymi do opracowania skutecznych sposobów popełniania masowych morderstw...

Oczy Mii rozszerzyły się z przerażenia.

- Myślisz, że pracował nad bronią biologiczną? Corben wzruszył ramionami.

- Tajemnica spowijająca jego badania, martwe ciała, parasol ochronny roztoczony przez Saddama... Określmy to w ten sposób. Nie uważam, żeby szukał lekarstwa na raka.

Mia spojrzała jeszcze raz na zdjęcie celi.

- Ale skąd się wzięły te ryty na ścianie?

- Nie wiemy. Udało nam się znaleźć kilka osób w Bagdadzie, które się z nim zetknęły.

Rozmawiałem z handlarzem antykami oraz z człowiekiem, który był kiedyś kustoszem w Muzeum

Narodowym. Wydaje się, że facet - nazywali go hakimem - był zafascynowany historią Iraku, zwłaszcza z przełomu pierwszego i drugiego tysiąclecia. Według nich wiedział o niej bardzo dużo i mnóstwo podróżował po całym regionie. Kiedy udało mi się zdobyć ich zaufanie, obaj, niezależnie od siebie, opowiedzieli mi, że prosił ich, żeby szukali dla niego lokalnych odniesień do Uroborosa w starych księgach i manuskryptach.

- Co, przypuszczalnie, zrobili.

- Jasne - przyznał Corben. - Tyle że niczego nie znaleźli. Poprosił ich więc, żeby szukali dalej, rozszerzając obszar badań, nawet poza granice Iraku. Żeby nie przestawali szukać.

Oni oczywiście spełnili jego prośbę. Według nich facet miał prawdziwą obsesję na punkcie tego symbolu, obaj też strasznie się go bali.

- I nic nie znaleźli? Corben pokręcił głową.

- A teraz szuka tej książki... - Mia połączyła w głowie kropeczki w jeden obrazek. -

Więc ten... lekarz. Ciągłe jest gdzieś tutaj?

Corben skinął głową.

Mii serce ścisnęło się z przerażenia.

- I według ciebie to on porwał moją mamę?

Słowa te ledwie przeszły jej przez gardło. Z całych sił pragnęła, żeby Corben zaprzeczył.

Z jego ponurego wyrazu twarzy wyczytała, że tego nie robi. Ale ona i tak już wiedziała.

- Ślad po nim urwał się w Tikricie kilka tygodni po odkryciu laboratorium. Od tego czasu nie natrafiliśmy na nic nowego. Biorąc pod uwagę to, że Evelyn przez komnatę, którą odkryła, w pewnym sensie ma coś wspólnego z Uroborosem, oraz bezwzględność, z jaką ktoś szuka tych dzieł sztuki - powiedział grobowym głosem Corben - uważam za bardzo prawdopodobne, że to właśnie on ją porwał albo że przetrzymuje ją ktoś, kto jest z nim jakoś powią-

zany.

Mia poczuła, że brakuje jej powietrza w płucach. Sytuacja jej matki wydawała się wystarczająco przerażająca, kiedy Mia myślała, że wplątała się tylko - tylko! - w jakieś kon-szachty z gangiem przemytników. To... to było tak okropne, że trudno było to sobie nawet wyobrazić.

Wbiła przed siebie nieobecny wzrok, a jej umysł zaczął sobie torować drogę przez ponure informacje Corbena. Wydawało się jej, że wokół panuje mrok, że wszystko, co ją otacza, zaczyna jej się rozmywać przed oczami. Jakaś odległa cząstka jej świadomości zarejestrowa-

ła, że Corben podnosi telefon i wystukuje numer, że znowu nikt nie odbiera i że agent zamyka

komórkę. Minęła dobra chwila, zanim Mii udało się przebrnąć przez stan oszołomienia i zrozumieć, że pewnie jeszcze raz próbował dzwonić do Rameza.

Z mgły wyłoniło się nagle pewne pytanie.

- Biorąc pod uwagę to całe zamieszanie wokół broni masowego rażenia - zwróciła się do Corbena - i to, co wiesz o tym facecie, podejrzewam, że nad sprawą pracuje z tobą sztab ludzi. Odnalezienie tego lekarza to sprawa priorytetowa, prawda?

- Była - ponurym tonem powiedział Corben. - Ale już nie jest. Zbyt często podnosili-

śmy fałszywy alarm o broni masowego rażenia i teraz słowo to znalazło się nagle na indeksie.

Podejrzewam, że sami sobie na to zasłużyliśmy, w każdym razie nikt już o niej nie chce słyszeć, a nawet jeśli już zechce, to priorytetem jest teraz wyjście z Iraku, a nie znajdowanie kolejnych źródeł.

- Ale to jakiś potwór - zaprotestowała Mia, zrywając się ze wściekłością z podłogi.

- Myślisz że on jeden? - odparował Corben z chłodną frustracją w głosie. - Na świecie żyje mnóstwo innych zbrodniarzy, pochodzących z Rwandy, Serbii i tak dalej. Mieszkają sobie spokojnie na zielonych przedmieściach Londynu albo Brukseli pod przybranymi nazwiskami i nikt im nie przeszkadza. Interesują się nimi tylko dziennikarze śledczy. Nikt więcej.

Ci pismacy to nowi Simonowie Wiesenthalowie, ale nie jest ich zbyt wielu, po prostu garstka zapaleńców, którzy poświęcają czas i ryzykują życie, by wysledzić tych rzeźników. Tylko ich to obchodzi. Raz na jakiś czas publikują na temat jednego z nich artykuł na kilka kolumn, czasem niezbyt daleko od pierwszej strony gazety. Zdarza się, że jeżeli uda im się narobić trochę szumu, jakiś prokurator zwróci na to uwagę i zainteresuje się sprawą, najczęściej jednak ludziom tym udaje się wywinąć.

Miał rację. Saddam i jego stracony brat stanowili raczej wyjątki od reguły. Zazwyczaj obaleni dyktatorzy wiedli na wygnaniu błogie, niezakłócone wyrzutami sumienia życie, a ich podwładni, zbiry, które nadzorowały lub nawet uczestniczyły w zabójstwach na ich zlecenie, znikali z powierzchni ziemi i spokojnie rozpływali się w anonimowym tłumie.

- Nie prowadzi się żadnych szeroko zakrojonych oficjalnych akcji, by ich aresztować -

dodał Corben. - Życie toczy się dalej. Politycy ustępują ze stanowisk, zastępują ich inni, a o zbrodniach z nie tak znowu odległej przeszłości szybko się zapomina. W Departamencie Stanu nikt o tym teraz nie chce słyszeć. Również sami Irakijczycy nie mają zamiaru go ścigać, mają teraz poważniejsze problemy. Trudno mi też sobie wyobrazić, żeby rząd Libanu miał się w to angażować, biorąc pod uwagę chaos, w jakim pogrążony jest ostatnio kraj.

Mia nie mogła w to uwierzyć.

- Pracujesz nad tym sam?

- Właściwie tak. Mogę wykorzystywać siły i środki agencji, jeśli wymaga tego sytuacja, dopóki jednak nie pojawi się realna, naprawdę realna możliwość przytknięcia faceta, nie mogę wezwać kawalerii.

Mia wpatrywała się w niego w osłupieniu. Z minuty na minutę sytuacja przedstawiała się coraz gorzej, a obrazy, które pojawiały się w jej umyśle, nie dawały się wyprzeć.

- Eksperymentował na dzieciach? Corben skinął głową.

Na samo dno jej żołądka z głuchym łoskotem upadła oczywista prawda.

- Musimy ją odnaleźć. Ale musimy również go powstrzymać, tak? Poczowała, że w oczach wzbierają jej łzy, ale udało jej się je stłumić. Corben spojrzał na Mię. W jego wzroku zamigotały na chwilę jakieś cieplejsze uczucia. Skinął w zamyśleniu głową, zastanawiając się nad jej słowami.

- Tak.

- Musimy znaleźć Faruka. Jeśli uda nam się dotrzeć do niego, zanim znajdzie go ten...

- Przerwała, niepewna, jak ma określić hakima, szybko jednak znalazła odpowiednie słowo. -

Potwór. I jeśli Faruk ma tę księgę, to może uda nam się ją wymienić na moją matkę.

Twarz Corbena rozjaśniła się trochę.

- Mam nadzieję, że tak.

Podniósł telefon i wcisnął klawisz ponownego wybierania.

ROZDZIAŁ 30

Ramez trwożliwie wpatrywał się w telefon, który raz za razem buczał cicho i wibro-wał, wężowymi zrywami przesuwając się nieznacznie po blacie stolika to w jedną, to w drugą stronę. Z każdym kolejnym zgrzytem zapalał się ekran telefonu, rzucając przez chwilę upiorną, niebieskozieloną poświatę na ściany ciemnego salonu maleńkiego mieszkania. Za każdym razem Ramez mrużył porażone jasnym światłem oczy. Napis „rozmowa prywatna” - oznaczający numer zastrzeżony - łypał alarmująco w odpowiedzi, szydząc z niego przez chwilę, po czym ekran z powrotem stawał się czarny. Kiedy telefon znowu budził się do życia, Ramez czuł, że cały sztywnieje, tak jakby urządzenie było podłączone bezpośrednio do jego czaszki.

Po ośmiu próbach telefon litościwie przestał się rzucać. Pokój z powrotem pograżył

się w ciemnościach, ponurych, samotnych ciemnościach, które od czasu do czasu rozpraszały pędzące przez prawie gołe ściany refleksy reflektorów przejeżdżających ulicą poniżej samochodów. W ciągu ostatniej godziny anonimowy rozmówca już trzeci raz usiłował się do niego dodzwonić, ale Ramez nie miał zamiaru odbierać. Zważywszy, że prawie nigdy nie zdarzały mu się takie telefony - dziwna rzecz, zastrzeżenie numeru było w Libanie uważane za towarzyski nietakt - wiedział doskonale, w

jakiej sprawie ktoś do niego dzwoni. I przerażało go to.

Dzień zaczął się jak zawsze. Pobudka o siódmej, lekkie śniadanie, prysznic, golenie, krótki, dwudziestominutowy spacer w kierunku uniwersytetu. Zanim wyszedł z domu, Ramez przeczytał poranne gazety i natknął się w nich na artykuł o porwaniu kobiety w śródmieściu, nie wiedział jednak, że to Evelyn. Dowiedział się o tym dopiero wtedy, kiedy w Post Hall pojawili się policjanci.

Zaraz po przyjsciu na wydział powędrowali prosto do niego, a wieści, jakimi się z nim podzielili, podziałały na niego jak niespodziewany cios w żołądek. Czuł, że z każdym wypowiedzianym przez policjantów słowem zanurza się głębiej i głębiej w kocioł ze smołą kłopotów, których z całego serca pragnąłby uniknąć, których uniknąć jednak nie mógł. Próbowali znaleźć Evelyn, a on musiał im pomóc. Nie miał wyboru.

Kiedy zapytali go, czy wie coś na temat zainteresowań Evelyn jakimś irackimi zabytkowymi przedmiotami, natychmiast przed oczami pojawił mu się mężczyzna, którego spotkał

w Zabqine. Ożywili się bardzo, kiedy wspomniał o Faruku, podał więc jego imię - tylko imię, bo przecież nie znał nazwiska mężczyzny - i opis. Z powściągliwych komentarzy policjantów wywnioskował, że pasuje on do człowieka, który był widziany z Evelyn, kiedy została porwana.

Spotkanie z detektywami wystarczająco go już nastraszyło. Widok Faruka wyłaniają-

cego się kilka godzin później zza zaparkowanych przy Post Hall samochodów i podchodzącego do niego, sprawił, że omal nie wyskoczył ze skóry. Początkowo nie wiedział, co o tym my-

śleć. Przecież Faruk mógł pracować dla porywaczy. Przecież mogli chcieć porwać również Rameza. Kiedy więc zobaczył zbliżającego się Faruka, cofnął się niechętnie, ale dostrzegłszy błagalny wyraz twarzy irakijskiego „człowieka do wszystkiego” i jego pełen przygnębienia sposób zachowania, szybko się przekonał, że mężczyzna nie stanowi żadnego zagrożenia.

Kiedy siedział teraz w swoim pogrążonym w mroku salonie i przypominał sobie całą ich niepokojącą rozmowę, każde słowo brzmiało mu w uszach z przerażającą dźwięcznością.

Na tyłach budynku znaleźli miejsce, w którym mogli spokojnie pogadać. Faruk zaczął od tego, że chciałby przekazać policjantom wszystko, co wiedział o porwaniu, chciałby pomóc Evelyn, ale nie może do nich pójść. Przebywał w kraju nielegalnie, poza tym jeśli gazety nie kłamały, ukradzione antyki stały się już przedmiotem zacieklej rywalizacji. Ramez przerwał

mu, mówiąc, że policjanci byli już u niego i poinformował Faruka, że dał im jego rysopis -

myślał, że w ten sposób pomoże im znaleźć Evelyn.

Słowa te wywołały u Faruka panikę. Mieli jego imię, jego rysopis i coraz więcej świadczyło o tym, że jest poszukiwany za przemyt dzieł sztuki. Z oczyma pałającymi udrę-

czonym, pełnym przerażenia blaskiem poprosił Rameza o pomoc. Rozpaczliwie potrzebował

pieniędzy i - tak, chciał sprzedać cenne przedmioty. Początkowo miał nadzieję, że Ramez pomoże mu właśnie w tym, teraz jednak wiedział już, że to bez sensu. Teraz liczyło się dla niego tylko to, żeby przeżyć. Powiedział Ramezowi wszystko - wszystko, co wiedział i co widział - o ludziach, którzy ścigali go w Iraku, o księdze, o śladach po wiertarce na ciele jego przyjaciela Hadż Alego Salluma, a z każdym jego słowem Ramezowi coraz bardziej krew ścinała się w żyłach.

Faruk poprosił Rameza, żeby wystąpił w roli pośrednika. Chciał, żeby naukowiec porozmawiał z policjantami, zawarł z nimi w jego imieniu umowę: on się ujawni i w miarę swoich możliwości pomoże im znaleźć Evelyn, nie chce jednak wylądować w libańskim więzieniu ani zostać odesłany z powrotem do Iraku. Co więcej, liczy na ich ochronę. Zdawał sobie sprawę, że mężczyznom, którzy porwali Evelyn, chodziło tak naprawdę o niego, wiedział też doskonale, że jeśli będzie działał sam, jego dni są policzone.

Ramez odmówił - nie chciał dać się w to wplątać - Faruk był jednak zdesperowany.

Błagał go, prosił, żeby naukowiec zastanowił się nad sytuacją Evelyn, żeby zrobił to dla niej.

Ramez w końcu powiedział, że się zastanowi. Podał Farukowi swój numer telefonu i kazał mu do siebie zadzwonić następnego dnia w południe.

Następnego dnia, w południe.

Nie o dziesiątej.

Nie dzisiaj.

Wzrok Rameza ciągle był przyklejony do telefonu, a jego zmęczony umysł usiłował

odgadnąć, kto też do niego wydzwania. Jeśli to był Faruk, nie miał zamiaru odbierać. Wciąż jeszcze nie postanowił, wciąż nie wiedział, czy zdecyduje się mu pomóc. Z jednej strony czuł, że jest to winien Evelyn, wiedział też, że musi to zrobić. Nie mógł zataić tak cennej informacji przed policjantami. Z drugiej - mieszkańcy Bejrutu słynęli raczej z innych cnót niż rygory-styczne przestrzeganie litery prawa, a Ramez - przede wszystkim - nie chciał umierać.

Jeśli to jednak nie Faruk, Ramez wolał nawet nie myśleć, kto to mógł być. Kiedy wyobraził sobie mężczyzn z wiertarkami wpadających do jego mieszkania i zabierających go ze sobą, poczuł, że zalewa go fala paranoi. Skulił się na sofie, objął ramionami kolana, a jego klatka piersiowa zaczęła unosić się szybko i opadać. Wydawało mu się, że ściany niewielkiego pokoju zacieśniają się wokół niego. Czekala go długa noc.

ROZDZIAŁ 31

- Mia patrzyła, jak Corben zamyka klapkę telefonu. Odwrócił się i pokręcił głową.

Spojrzał na zegarek i zmarszczył w zamyśleniu brwi. Nie chciałbym tego tak zostawiać do rana - powiedział - ale chyba nie mamy wyboru. Jeśli są na jego tropie, to i tak jest już za póź-

no. Jeżeli nie, to wolałbym ich nie alarmować z jego powodu o tej godzinie. Zadzwonię do chłopaków z Hobeish zaraz rano - dodał, mając na myśli posterunek, na którym przetrzymywano Mię - i wyciągnę od nich odpowiednie informacje.

- Możemy pójść rano na uniwersytet - podpowiedziała Mia - i tam się z nim spotkać.

- „My?” - zareagował trochę po niewczasie Corben.

- Nie wiesz nawet, jak wygląda. Muszę ci go pokazać - zaprotestowała Mia.

- Przecież mogę zapytać kogoś na wydziale.

- Widziałam się z nim. Będzie spokojniejszy, jeśli zobaczy znajomą twarz - zaczęła nalegać głosem tryskającym nerwową energią. - Poza tym nie chcę tutaj zostać sama. Będę się czuć jak kaczka na strzelnicy. - Przerwała, łapiąc oddech. - Chcę pomóc, rozumiesz?

Corben odwrócił wzrok, rozważając różne możliwości i najwyraźniej nie będąc zachwycony żadną z nich. Po chwili spojrział z powrotem na Mię ponurym wzrokiem.

- W porządku - ustąpił. - Zobaczmy, co ma do powiedzenia, a potem się okaże.

Podszedł do lodówki, wyjął dwa piwa i podał butelkę Mii.

Wzięła ją i podeszła do balkonu. Stała przy szybie i zaczęła sączyć piwo, wpatrując się melancholijnym wzrokiem w noc. Światła zbitych ciasno budynków pałały jaskrawym blaskiem, zlewając się w unoszącą się nad miastem białawą łunę. Zastanawiała się, gdzie jest teraz Evelyn, myślała też o Faruku i Ramezie. Gdzie też ukryli się na noc? Bejrut był gęsto zaludnionym miastem, które potrafiło strzec swoich tajemnic. Nikt tak naprawdę nigdzie nie wiedział, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, ale tutaj, podejrzewała Mia, przyczajona wrogość stanowiła klasę samą dla siebie.

- Nie rozumiem - powiedziała do Corbena. - Ten symbol, zwinięty wąż. Czego ten gość tak naprawdę szuka? Jeśli rzeczywiście chodzi mu o księgę, to dlaczego chce właśnie tę?

Przecież nie jest jakimś fanatycznym kolekcjonerem.

- Dlaczego nie?

- Wydaje się, że jest skłonny stosować dosyć ekstremalne środki, żeby ją zdobyć - zauważyła Mia. - Musi mieć dla niego jakieś szczególne znaczenie, nie sądzisz?

- Facet jest naukowcem, specjalistą od broni biologicznej. Tego rodzaju goście szukają wirusów, a nie zabytkowych przedmiotów sprzed kilkuset lat - przypomniał jej Corben. - Nie rozumiem, jakie ta księga może mieć znaczenie dla jego pracy.

- Chyba że szuka wzmianek o jakichś starożytnych plagach - stwierdziła półzartem Mia.

Corben nie wykluczył od razu tej możliwości. Jego twarz zachmurzyła się, a potem przez jego usta przemknął cień uśmiechu.

- I z tą właśnie wesołą myślą powinniśmy się przespać.

Mia poczuła ukłucie niepokoju. Wolałaby, gdyby natychmiast jej zaprzeczył.

Na tym poprzestali. W ponurym milczeniu dopili piwo i schowali resztę jedzenia. Mia obserwowała, jak Corben rozpoczyna wieczorny rytuał przekręcania zamków w drzwiach i gaszenia świateł. Zastanawiała się, co sprawia, że ludzie żyją w ten sposób: samotni, narażeni na niebezpieczeństwo, zanurzeni w różne sekrety, wyuczeni manipulacji i nieufności do świata. Z tego co się orientowała, Corben wyglądał na pragmatycznego, trzeźwo myślącego faceta, który był raczej odporny na

szlachetne urojenia w rodzaju „ocale świat przed zagładą”. Nie mogła zaprzeczyć, że fascynowała ją bohaterska, naznaczona życiem rodem z filmu sensacyjnego strona jego osobowości - na statecznych, akademickich wodach, którymi przeważnie nawigowała, nie spotykała tego rodzaju mężczyzn. Ale było też w nim coś mrocznego, nieznanego, niedostępnego, co z jednej strony również mogło się oczywiście wydawać pociągające, choć z drugiej - wywoływało lęk.

- Mogę cię o coś zapytać?

Odwrócił się z ciekawości.

- Jasne.

Uśmiechnęła się, czując się nieco skrępowana.

- Czy Jim to twoje prawdziwe imię? To znaczy, czytałam, gdzieś, że w twojej branży zawsze używa się imion w rodzaju Mike albo Jim jako przykrywk.

Corben zachichotał cicho i skrzywił się.

- Tak naprawdę mam na imię Humphrey, ale... nie pasuje mi to do profilu zawodowego.

Przez chwilę nie rozumiała, a potem Corben się uśmiechnął.

- Jestem Jim. Pokazać ci paszport?

- Jasne - zakpiła. - Najlepiej wszystkie. - Wzięła oddech, a potem na jej twarzy zarysował się wyraz powagi. - Dzięki. Za wszystko dzisiaj.

Skrzywił się z zażenowaniem.

- Przepraszam, że cię tam zabrałem. Do mieszkania twojej matki. Mia wzruszyła ramionami.

- Dotarliśmy do jej rzeczy przed nimi. Może warto było.

Zbliżała się jedenasta, kiedy wreszcie Mia znalazła się w łóżku w sypialni dla gości.

Nie mogła zasnąć, leżała więc tylko, wpatrując się w obce, bezosobowe wnętrza i zastanawiając się, jak to się mogło wszystko tak szybko skomplikować. Kiedy otrzymała ofertę, ostrzegano ją przed wyjazdem do Bejrutu. Robili to głównie ludzie, którzy pamiętali miasto wyłącznie z niekończących się relacji w mediach na temat wojny domowej, bombardowań i porwań, ludzie, którzy w ogóle nie znali tego kraju mozolnie podnoszącego się jak Feniks z popiołów.

W każdym razie, tak można było określić Liban jeszcze kilka miesięcy temu. Mogła bez problemu wycofać się i odrzucić propozycję - nie potrzebowała nawet żadnej wymówki, wojna była wystarczającym powodem, żeby omijać ten kraj z daleka - nęciła ją jednak możliwość zgłębiania nowych możliwości i rozpoczęcia ekscytującego życia, którego pozazdrościłby jej każdy z kolegów.

Spróbowała poskromić wzburzony umysł, przewracając się na łóżku oraz poprawiając i przesuważ poduszkę, ale wszelkie jej próby były z góry skazane na niepowodzenie. Była zbyt pobudzona.

Usiadła i zaczęła nasłuchiwać. Spoza sypialni nie dobiegały do niej żadne dźwięki.

Corben musiał zasnąć. Pomyślała, że spróbuje podjąć jeszcze jedną próbę walki z bestią o imieniu bezsenność, zrezygnowała jednak z tego i wyskoczyła z łóżka.

Poszła do salonu. Blade światło ulicznej lampy rzucało na ścianę długie cienie. We-szła cicho do kuchni i nalała sobie szklankę wody. Kiedy wracała do salonu, wzrokiem zawa-dziła o leżącą na biurku Corbena teczkę Evelyn.

Wydawała się ją przyzywać.

Wróciła myślami do momentu, kiedy szybko przeglądała jej zawartość, siedząc w kuchni mieszkania matki. Doszła do wniosku, żeteczka zasługuje na większą uwagę.

Podeszła do biurka i otworzyła ją.

Jej wzrok natychmiast przykuły rysunki Uroborosa.

Usiadła na sofie i zaczęła przeglądać zdjęcia z wykopalisk oraz odbitki pochodzących z różnych ksiąg rysunków. Tym razem każdemu z nich poświęcała dobrą chwilę, spisane ręcznie notatki odkładając na bok.

Przeoglądając materiały, wyciągała rysunki różnych inkarnacji bestii, które udało się skompletować jej matce, i układała je na stoliku. Wyraźnie się od siebie różniły: niektóre były bardzo proste i Mia doszła do wniosku, że muszą być najstarsze. Jeden rysunek wyglądał na aztecki, kilka kojarzyło się wyraźnie z Dalekim Wschodem i wąż przypominał na nich raczej smoka, inne były bardzo wymyślne i symboliczne, przywodząc na myśl Eden lub greckich bogów.

Skupiła się dłużej na wersji, która wydawała jej się najciekawsza, tej, którą wytłoczono na księdze widocznej na zdjęciach oraz wyryto na ścianie podziemnej komnaty. Rysunek podobnie jak wcześniej poruszył Mię. Odłożyła go na bok i zaczęła przeglądać notatki Evelyn.

Matka Mii musiała spędzić wiele godzin na zgłębianiu tematu, ale w pewnym momencie najwidoczniej się poddała. Potwierdzały to daty, które Mia znalazła na arkuszach: najstarszy pochodził z 1977 roku, najpóźniejszy z 1980. Wkrótce się dowiedziała, że odkryta przez Evelyn podziemna komnata znajdowała się w miejscowości Al-Hillah w Iraku. Zaciekawiona wstała, wyciągnęła z torby swojego laptopa i włączyła go. Namierzyła niezabezpieczone połą-

czenie Wi-Fi, podpięła się pod nie i otworzyła wyszukiwarkę. Po chwili znalazła na mapie miejscowość. Okazało się, że leży na południe od Bagdadu. Zapamiętała to sobie i zaczęła szukać dalej.

Przejrzała informacje na temat manuskryptów, które Evelyn znalazła w komnacie.

Zgodnie z jej notatkami, styl tekstów kojarzył się z pismami pewnego tajnego stowarzyszenia z epoki, grupy wyrafinowanych gnostyków o nazwie Bracia Czystości, która również prowadziła działalność na terenach dzisiejszego południowego Iraku. Temu tematowi było poświę-

conych kilka stron notatek, ozdobionych różnymi uwagami, dodatkowymi oznaczeniami i strzałkami łączącymi zapisane między nimi zdania. Mia zanotowała nazwę stowarzyszenia, starając się zapamiętać, że ma później poszukać o nim dalszych informacji. Niektóre słowa były zakreślane lub podkreślone. Mia wypatrzyła uwagę „Odgałężenie Braci?”, opatrzoną rzucającym się w oczy znakiem zapytania.

Przewróciła stronę i jej wzrok przykuła kolejna otoczona obwódką notatka: „Inne pisma pasują, ale brak wzmianek o rytuałach i liturgii. Dlaczego?”. Na marginesie przeciwległej strony, obok notatek i dat, Evelyn napisała: „Wierzenia?” i „Heretycy? Czy to dlatego się ukrywali”, opatrując swoje uwagi kilkoma dużymi, zdecydowanymi znakami zapytania.

Mia uważnie przeczytała notatki. Evelyn znalazła wiele zbieżności między pismami braci i tekstami znalezionymi w komnacie. W oczywisty sposób różniły się jednak tym, że żaden z traktatów z komnaty nie zawierał ani zdania na temat wierzeń jej mieszkańców.

Na następnych stronach Evelyn przedstawiła wyniki swoich badań nad Uroborosem.

Mia wróciła do odbitek z różnymi jego rysunkami, na których również znajdowało się mnóstwo notatek.

Wydawało się, że istniało tyle interpretacji znaczenia tego symbolu, ile kultur, w których można go było odnaleźć. Dla niektórych stanowił reprezentację zła, ale o wiele częściej -

jak zauważyła Mia - był uznawany za symbol dobroczynny, niosący ze sobą nadzieję. Zdumiało to nieco Mię, ponieważ kłóciło się z ukłuciem lęku, jakie poczuła, kiedy po raz pierwszy zobaczyła węża.

Evelyn znalazła w historii dziesiątki odniesień do Uroborosa: począwszy od starożytnego Egiptu i Platona, przez XIX wiek, w którym niemiecki chemik Friedrich Kekule odkrył

pierścieniową strukturę molekularną benzenu po tym, jak - co podkreślał - przyśnił mu się wąż zjadający własny ogon, aż po czasy niemal współczesne, kiedy Carl Jung prowadził studia nad jego archetypicznym wpływem na ludzką psychikę oraz szczególnym znaczeniem, jakim obdarzali go alchemicy. Była tam nawet wzmianka - Mia przyjęła ją ze słodko-gorzkim węzłem w gardle - o fenickiej wersji Uroborosa, smoka zjadającego własny ogon, wyrzeźbionego na ścianie jednej z ich świątyń.

Przez cały czas Mia trafiała na jeden przywoływany ciągle na nowo temat - temat, któ-

ry wywoływał u niej sprzeciw wynikający z jej instynktownych przekonań. Chodziło o cią-

głość. Uroboros odnosił się do cyklicznego charakteru natury, wyrażał nieskończony cykl życia, śmierci i powtórných narodzin, pierwotną jednię wszystkich rzeczy. Wróciła do rysunku, na którym widniała niemal sielska interpretacja skrzydlatego Uroborosa, ukazanego w ogrodzie i z cherubinem we wnętrzu pierścienia.

Wpatrzyła się w symbol, zastanawiając się nad tym, co chwilę wcześniej przeczytała.

Coś jej w tym nie pasowało. Przypomniała sobie rozmowę z Corbenem na temat różnych potencjalnych motywów działania hakima. Uroboros wydawał się nie oznaczać niczego złego, choć właściwie z drugiej strony - czy naprawdę musiał? W końcu swastyka już w epoce kamienia na Dalekim Wschodzie była symbolem szczęścia. Hitler zinterpretował ją w inny sposób i zamieniła się w coś zupełnie przeciwnego. Czyżby i tym razem tak było? Corben twierdził, że mężczyzna jest szalony. Ale co z tego, jeżeli naprawdę szuka jakiegoś zapomnianego wirusa, trucizny, zarazy? Znaczenie zabytkowych przedmiotów wydawało się złowieszcze, sprawiały one wrażenie czegoś związanego ze złem. Z kolei z tego, co czytała na temat symbolu zjadacza własnego ogona, wydawało się wynikać coś przeciwnego. W tym, co zazwyczaj było uznawane za symbol ciągłości, Mia nie mogła się dopatrzeć niczego strasznego. Zastanawiała się jednak, czy jej początkowa reakcja nie była czymś bardziej pierwotnym, czy nie sprowadzała się do instynktownego lęku, jaki archetyp wywoływał u ludzi, niezależnie od wpisanej weń symboliki. Być może dałoby się to wyjaśnić okolicznościami, w jakich go do-

świadczyła - w biegu, uciekając przez zabójcami, słysząc odgłos świszczących kul. Mimo to na kilka ze swoich pytań nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Czy zjadacz ogona był czymś, czego należy się bać? Czy dla hakima może oznaczać cokolwiek innego niż zło? Czy członkowie bractwa, które spotykało się w podziemnej komnacie, dysponowali czymś, czego tak rozpaczliwie pragnął hakim?

Wróciła myślami do tamtych czasów, do X wieku, i spojrzała znowu na laptopa. Zaczęła szukać informacji na temat ówczesnych uczonych. W wyszukiwarce natychmiast wyskoczyło kilka zapamiętanych przez nią wielkich nazwisk - Awicenna, Jabir ibn Hayyan. Surfowała od jednego do drugiego, wczytując się w różne ciekawostki. W końcu zalogowała się do swojego konta w wersji on-line encyklopedii Britannica.

Kiedy, jak tyle razy wcześniej, zaczęła się przebijać przez pojawiający się na ekranie materiał, poczuła się jak w domu. Im więcej jednak czytała, tym bardziej jej poczucie bezpieczeństwa topniało. Nic, na co udało jej się trafić, nie zdołało rzucić jaśniejszego światła na to, czego mógł szukać hakim.

Nie chodziło w żadnym razie o to, że w czasach braci na tych terenach brakowało wielkich umysłów. Mia przebrnęła przez kilka biografii Al-Fa-rabiego, który często był uznawany za drugiego po Arystotelesie znawcę nauki i filozofii, dzięki czemu zasłużył sobie nawet na miano Drugiego Nauczyciela. Trafiła na informacje o Al-Razim, znanym o wiele póź-

niej w Europie jako Rhazes, ojcu tego, co dziś występuje pod nazwą gipsu modelarskiego, używającym go do składania złamanych kości już w dziesiątym wieku, oraz o Al-Birunim, który wiele podróżował po Dalekim Wschodzie i pisał obszerne traktaty na temat ziółek, O wiele ważniejszy według Mii był jednak Ibn Sina, czy Awicenna, bo pod takim imieniem stał się znany na

Zachodzie. Awicenna był najbardziej wpływowym medykiem swoich czasów. W wieku osiemnastu lat cieszył się już sławą znakomitego filozofa i poety. W wieku lat dwudziestu jeden pisał specjalistyczne traktaty ze wszystkich dziedzin uznawanych ówcz-

śnie nauk. Różnił się od swoich poprzedników tym, że interesował go wpływ substancji chemicznych na leczenie różnych dolegliwości. Pod tym właśnie kątem studiował niezwykle szczegółowo takie choroby, jak gruźlica i cukrzyca, a jego dzieło życia, czternastotomowy Kanon nauki medycznej, było tak miarodajne i zaawansowane, że pozostało w Europie głównym tekstem źródłowym nauk medycznych aż do XVII wieku - pięćset lat po napisaniu.

Wszyscy ci mędracy mieli wspaniałe osiągnięcia w wielu dyscyplinach. Studiowali anatomię ludzkiego ciała, rozpoznawali choroby, opracowywali lekarstwa. Jednak żadnego z nich nic nie łączyło z Uroborosem, Mia nie znalazła też w ich pracach niczego, co odnosiłoby się do negatywnego aspektu tego symbolu. Interesowało ich po prostu osiągnięcie mistrzo-stwa w panowaniu nad siłami natury.

Jeżeli już, to wspomniani uczeni filozofowie byli zainteresowani raczej poprawą kondycji rodzaju ludzkiego niż jego zniszczeniem.

Wybrała z pliku zdjęcia podziemnej komnaty i jeszcze raz im się przyjrzała. Spróbo-wała wyobrazić sobie to, co się na nich znajdowało, i spojrzeć na to świeżym okiem. Właściwie nie było w nich niczego, co mogłoby się kojarzyć ze złem. Podążyła tym tokiem myślenia i znalazła w teczce arkusze, na których Evelyn naszkicowała plan komnat i zaznaczyła na nim, co i gdzie znalazła. Nie było tam nigdzie kości, odkrywcy nie trafili też ani na ślady za-schniętej krwi, ani na ostre narzędzia czy ołtarze ofiarne. Evelyn zdaje się doszła do tego samego wniosku. U spodu rysunku swoim charakterystycznym pismem zanotowała i podkreśli-

ła słowo „Sanktuarium”, za którym postawiła jeszcze jeden znak zapytania.

Czego strzeżono w tym sanktuarium? Przed kim lub przed czym trzeba to było ukrywać?

W laptopie Mii wyczerpała się bateria. Mia poczuła zmęczenie. Odłożyła kopertę i wróciła do łóżka.

Tym razem nie miała kłopotów z zaśnięciem, kiedy jednak wpadała w objęcia snu, w jej głowie pojawiła się uporczywa, dręcząca myśl, która brutalnie sponiewierała wszystkie jej nadzieje na spokojny odpoczynek: myśl o tym, że z gruzów starożytnego świata, poprzedzony dręczącym obrazem węża zjadającego własny ogon, narodził się na nowo paniczny, siejący wśród ludzi zamęt strach, który z nieubłaganą siłą zaczął sobie torować drogę do najgłęb-szych nawet zakamarków jej umysłu.

ROZDZIAŁ 32

Paryż, październik 1756 roku

Fałszywy hrabia ze znużeniem przebijał się przez gorącą, duszną salę balową. W głowie czuł łomot od aroganckich rozmów, piskliwego śmiechu i nieustannej muzyki, a jego oczy były ciągle narażone na atak iskier rzucanych przez wirujące koła Katarzyny oraz widok wspaniałych, cudaczkich

kostiumów żyraf, pawi i innych paradujących przed nim egzotycznych zwierząt. To właśnie w takie noce najbardziej tęsknił za Wschodem. Wiedział jednak, że dni te dawno, dawno temu minęły.

Przypatrywał się zmęczonym wzrokiem wielkiej sali, coraz bardziej czując się oszustem, którym zresztą rzeczywiście był. Spoglądały na niego zwierzęce głowy, wykonane z papier mache i wetknięte niepewnie na upudrowane peruki, a jego nozdrza łechtały długie pióra.

Wokół niego z zapamiętaniem zabawiali się i tańczyli goście Palais des Tuileries. Gdziekolwiek się odwrócił, jego wzrok przyciągały perły i diamenty, mieniące się tysiącami barw w świetle świec beztrudno plamiących dywany kopczykami stopionego wosku. Nie był to jego pierwszy bal, nie był i ostatni. Wiedział, że jeszcze wiele razy będzie się musiał męczyć na wieczorach w rodzaju dzisiejszego bal de la jungle, balu w stylu dżungli - na kolejnych okropnych pokazach wybuchającej pompy, w takt kolejnych mimochodem prowadzonych konwersacji, kolejnych bezwstydnym flirtów. Było to częścią życia, jakie sobie urządził, przy tego rodzaju okazjach spodziewano się więc - a nawet oczekiwano - jego obecności. Wiedział

też, że na tym jego cierpienia się nie skończą: w ciągu nadchodzących dni i nocy będzie musiał w kolejnych salonach znosić niekończące się, beładne opowieści o balu, dotyczące publicznie odniesionych zwycięstw i ich bardziej prywatnych, nieprzyzwoitych konsekwencji.

Była to cena, jaką musiał płacić za dostęp do tej sfery - dostęp, którego potrzebował, jeśli kiedykolwiek jego misja miała zakończyć się sukcesem, z każdym rokiem wydającym się zresztą coraz bardziej odległym.

Zadanie, jakie przed sobą postawił, chyba jednak należało do kategorii niewykonalnych.

Często, tak jak tego wieczoru, orientował się nagle, że jego umysł błąka się, zagubiony wśród poplątanych ścieżek myśli, usiłując sobie przypomnieć, kim tak naprawdę jest, co tutaj robi i jaki cel ma jego życie.

I nie zawsze odpowiedź na te pytania przychodziła mu z łatwością.

Coraz częściej trudno mu było zachować dystans do swojej roli, nie pozwolić samemu sobie do końca zagubić się w fałszywej tożsamości. Na każdym kroku czyhała na niego ta pokusa. Każdego dnia spotykał na ulicach dziesiątki biedaków, mężczyzn i kobiet, którzy daliby sobie uciąć prawą rękę za życie, jakie wiódł - życie, które w ich oczach polegało wyłącznie na zabawie. Zastanawiał się, czy nie za długo już walczył, czy nie za długo się ukrywał, czy nie za długo był sam. Korciło go, żeby porzucić swoją misję i rzec się zadania, które wiele lat wcześniej zostało mu powierzone w lochach To-maru, by zacząć korzystać z możliwości, jakie zapewniało mu jego pozornie pomyślne aktualne położenie, osiąść wreszcie i przeżyć resztę swoich dni, ciesząc się wygodami i - co było najważniejsze - poczuciem normalności.

Z każdym dniem coraz trudniej było mu zwalczyć tę pokusę.

JEGO WYPRAWA DO PARYŻA W żadnym razie nie była prosta.

Udało mu się wymknąć z Neapolu, wiedział jednak, że nigdzie - a już na pewno nie we Włoszech - nie będzie do końca bezpieczny i że di San-gro nie spocznie, dopóki go nie odnajdzie. Widział to w oczach księcia, wiedział również, że dysponuje on wystarczającą fortuną i władzą, by go wytropić. Postanowił więc zacierać za sobą ślady, w każdym nowym miejscu przedstawiając się jako ktoś inny i zostawiając po sobie gęstą sieć fałszywych informacji co do pochodzenia i posunięć sfabrykowanych przez siebie postaci.

Ostrożnie mylił tropy, podróżując do wielkiego miasta przez Pizę, Mediolan i Orlean, za każdym razem występując pod nowym nazwiskiem: hrabia Bellamare, markiz d'Aymar, kawaler Schoening. W nadchodzących latach - słusznie lub niesłusznie - ludzie pewnie będą z nim kojarzyć jeszcze wiele innych nazwisk. Ale póki co udało mu się znaleźć wygodne schronienie w paryskich apartamentach, na których występował jako hrabia de St. Germain.

Paryż odpowiadał hrabiemu. Był ogromnym, tętniącym życiem miastem - największym siedliskiem ludzkim w Europie - i przyciągał równie wielkie rzesze podróżników i awanturników, zarówno tych, którzy robili wokół siebie mnóstwo hałasu, jak i bardziej dys-kretnych. Mógł tutaj spotkać innych wędrowców, ludzi, którzy tak jak on przebywali przez ja-kiś czas na Wschodzie i w czasie podróży mogli gdzieś natrafić na symbol węża zjadającego własny ogon. Paryż był również miastem nauki i dysput, skarbnicą wielkiej wiedzy, i mógł się poszczycić wspaniałymi bibliotekami oraz bogatymi zbiorami manuskryptów, ksiąg i zabytków, w tym tych, które najbardziej interesowały hrabiego: ukradzionych na Wschodzie w czasie krucjat i skonfiskowanych pięć wieków temu po rozwiązaniu zakonu templariuszy.

Tych, które mogły zwierzać brakujące części zagadkowej układanki, w jaką wiele lat temu dał się wplątać.

Kiedy przybył do Paryża, wielkie miasto weszło właśnie w okres dynamicznych zmian. Radykalni myśliciele poddawali w wątpliwość konieczność istnienia bliźniaczych tyranii monarchii i Kościoła. Paryż gotował się od sprzeczności, wrzał z powodu oświecenia i intryg - intryg, z których St. Germain postanowił uczynić odpowiedni użytek.

Już kilka tygodni po przyjeździe udało mu się zaprzyjaźnić z ministrem wojny. Dzięki jego pomocy zdołał się znaleźć w orbicie łask samego króla. Arystokratom nietrudno było zaimponować. Hrabia przezornie uzbroił się w swoją znajomość dalekich lądów i mistrzowskie opanowanie wielu języków - jego francuski w Paryżu uznawano za równie nienaganny, jak włoski w Neapolu, należało do tego dodać płynną angielszczyznę, hiszpański i arabski oraz jego rodzinny portugalski - na wypadek gdyby sama jego szlachetność wymagała dodatkowego wsparcia. Wkrótce udało mu się wygodnie usadowić w koterii rozpieszczonych królew-skich akolitów.

Kiedy jego zdolności zostały już rozpoznane, mógł podjąć na nowo misję. Dzięki gładkim słowom utorował sobie drogę do wielu wspaniałych arystokratycznych domów, mieszczących często równie zadziwiające prywatne kolekcje. Pochlebstwami zjednał sobie kler, uzyskując dostęp do bibliotek i krypt wielu klasztorów. Mnóstwo czytał, zanurzając się bez reszty w relacjach z podróży Tavermera, studia z dziedziny patologii Mor-gagniego, traktaty medyczne Boerhaavea i wiele innych dzieł, które pojawiły się w tym czasie w Europie.

Zapoznał się szczegółowo z Pharmacopoeia Extemporanea Thomasa Fullera i z intrygującą Dysputę o wstrzemięźliwym życiu Luigiego Cornaro - człowieka, który zmarł w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat, do końca prowadząc aktywne życie. Wzbogacił dzięki tym pismom swój umysł o bezcenne skarby wiedzy, nie zbliżyły go one jednak ani o krok do szczęśliwego finału jego beznadziejnej misji.

Nigdzie nie znalazł symbolu węża zjadającego własny ogon, nigdzie nie trafił na żadne wskazówki z dziedziny medycyny czy nauki, które pozwoliłyby mu przewyciężyć podstawowy niedostatek substancji.

Jego nastrój wahał się wciąż między biegunami entuzjazmu i rozpacz. Nowe tropy podniecały go, po czym, kiedy okazywały się kolejnym ślepych zaułkiem - w jego umyśle pojawiały się na nowo wątpliwości, jeszcze bardziej podkopując jego determinację. Chętnie podzieliłby się z kimś swoim ciężarem, znalazł kogoś, kto mógłby mu pomóc, a może nawet przejąłby jego misję, po tym jednak, jak nawet ledwie wyczuwalna woń jego tajemnicy zamieniła di Sangro w ogarniętego obsesją drapieżnika, wolał nie ryzykować próbami wtajemniczenia kogokolwiek innego.

Wiele nocy spędził na rozmyślaniach, czy pozbycie się substancji i jej diabelskiej formuły wyzwoliłoby go z niewoli. Kilka razy udało mu się nawet bez niej obejść, nigdy jednak nie wytrzymał dłużej niż tydzień lub dwa. Zawsze potem pojawiała się w nim na nowo świadomość przeznaczenia i wracał do jedyne go życia, jakie znał.

- WYBACZY PAN, MÓJ DROGI PANIE.

Z bolesnego otępienia wyrwał go jakiś kobiecy głos.

Odwrócił się i zobaczył, że stoi przed nim dziwaczny tłum wesołych uczestników hucznej zabawy. Na ich twarzach malowała się pełna paleta reakcji: od podekscytowania po zmieszanie. Spośród nich ostrożnie wystąpiła starsza kobieta, na oko w wieku sześćdziesięciu lat, w wydymającym się kostiumie owcy. Coś w jej postaci sprawiło, że hrabia poczuł gwał-

townie zbliżające się niebezpieczeństwo. Przez chwilę patrzyła na niego z zaciekawionym, skonsternowanym wyrazem okrągłej twarzy, po czym wysunęła rękę i przedstawiła się jako Madame de Fontenay. Nazwisko sprawiło, że przecucie hrabiego zamieniło się w pewność.

Zamaskował jednak niepokój, uklonił się lekko i uściśnął jej dłoń.

- Mój drogi hrabio? - zapytała drżącym z nerwowego podekscytowania głosem. - Czy byłby pan uprzejmy odpowiedzieć mi, czy któryś z pańskich bliskich krewnych nie przebywał

przypadkiem w Rzymie jakieś czterdzieści lat temu? Wuj, może nawet - zawahała się -

ojciec?

Fałszywy hrabia uśmiechnął się wylewnie z wyćwiczoną nieszczerością.

- Całkiem możliwe, madame. Moja rodzina wydaje się obarczona nienasyconą żądzą podróżowania. Co do mojego ojca, obawiam się, że nie mogę tego stwierdzić z całą pewno-

ścią. Trudno mi było nadażyć za jego wyprawami, kiedy byłem dzieckiem, a jeśli chodzi o jego poczynania przed moimi narodzinami, obawiam się, że moja wiedza jest jeszcze mniejsza. - Tłumek zareagował głośnym chichotem, daleko bardziej wspaniałomyślnie, niż zasługiwała na to uwaga St. Germain. - Dlaczego, jeśli mogę, pani pyta?

Iskierka ciekawości w jej oczach ani trochę nie przygasła.

- Znałam wtedy pewnego człowieka. Widzi pan, hrabio, zalecał się do mnie. Ciągle pamiętam nasze pierwsze spotkanie - zaczęła wspominać. - Śpiewaliśmy razem skomponowane przez niego barkarole i... - Oczy damy zamigotały pogodnie, tak jakby jej umysł wrócił do dawnych czasów. - Jego rysy twarzy, włosy, budowa ciała... nawet postawa. Miał w sobie siłę i szlachetność, które spotyka się jedynie u wielkich ludzi. - Wydawała się naprawdę zaskoczona. - To samo, wszystko, widzę u pana, hrabio.

St. Germain uklonił się z udawaną skromnością.

- Jest pani zbyt łaskawa.

Kobieta machnęła ręką na jego słowa.

- Ależ proszę, hrabio. Błagam pana, niech pan się nad tym zastanowi i powie mi, czy rzeczywiście miałam zaszczyt poznać jednego z pańskich krewnych. Podobieństwo jest zbyt uderzające, aby przejść nad nim do porządku dziennego.

St. Germain postanowił zakończyć krępującą rozmowę. Uśmiechnął się radośnie do swojej prześladowczyni.

- Powtórzę, jest pani zbyt łaskawa, obdarzając mnie takim komplementem - odwdzię-

czył się. - Nie spocznę, dopóki nie dojdę, kim było moje odbicie, które zrobiło na pani tak wielkie wrażenie.

Skłonił się lekko, wyraźnie zaznaczając koniec pogawędki i zachęcając damę do przejścia dalej, ta jednak nawet się nie poruszyła. Stała dalej w miejscu, sparaliżowana widokiem hrabiego.

- Intrygujące - mruknęła pod nosem, po czym dodała: - Doszły mnie słuchy, że pan również wspaniale gra na fortepianie, hrabio. Może uczył pana człowiek, którego tak dobrze pamiętam.

St. Germain rozciągnął wargi w uśmiechu, który jednak nie zdołał utorować sobie drogi do jego oczu. Już miał odpowiedzieć, kiedy tuż przy niewielkiej menażerii dostrzegł obserwującą go znajomą twarz. Kobieta - Theresia de Condillac - wydawała się rozbawiona, widząc go w tarapatach.

- Ach, tu pan jest - zawołała wreszcie, zbliżając się do niego ze znaczącym błyskiem w oku. - Wszędzie pana szukałam.

Towarzystwo wymieniło kurtuazyjne dygnięcia i ukłony, pospiesznie dokonano niezbędnych prezentacji, po czym kobieta wzięła St. Germain pod ramię i przeprosiwszy zdawkowo obecnych,

uprowadziła hrabiego sprzed oblicza jego kłopotliwej prześladowczyni.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że wyrywam go z objęć tak namiętnej wiel-bicielki - stwierdziła, kiedy wtapiali się w tłum.

- Nie jestem pewien, czy słowo „namiętna” jest w tej sytuacji najbardziej odpowiednie. Może raczej: „stetryczała”?

- Nie musi być pan tak niemiły, hrabio - roześmiała się. - Sądząc z jej zarumienionego oblicza, mogłaby panu przedstawić kilku przyrodnych braci, o których nie ma pan pojęcia.

Przeszli do ogrodów oświetlonych przez pochodnie i kolejne wirujące koła Katarzyny.

Tuż przy ziemi wisiały smugi dymu z fajerwerków, przesłaniając brzeg rzeki. W rozległych ogrodach wystawiono na pokaz sprowadzone z Wersalu z królewskiej menażerii słonie, zebry i różne gatunki małp, które miały symbolizować wszechpotęgę swoich właścicieli, wydają-

cych się zresztą pozostawać w błogiej nieświadomości co do metafory zniewolenia i ucisku pogwałconych, w jaką wbrew ich intencjom w nieprzychylnych oczach mogły się zamienić zamknięte w klatkach zwierzęta.

Znaleźli cichą ławkę, schowaną pod kasztanowcem, z widokiem na ciągnące się w obie strony nabrzeże rzeki. Spotkali się kilka tygodni wcześniej w domu wuja Theresii. St.

Germain zapragnął poznać tego ostatniego, bo doszły go słuchy, że cieszy się reputacją zapa-lonego orientalisty, dysponującego okazałym zbiorem pochodzących z regionu manuskryptów. Po raz drugi trafili na siebie w salonie pani Geoffrin - przypadkowo, jak mu się wtedy wydawało, choć kiedy wraz z upływem czasu jej pytania stawały się coraz bardziej osobiste, był tego coraz mniej pewien. Zresztą, nie przeszkadzało mu to. Theresia de Condillac była po-nętą kobietą. Natura obdarzyła ją promienną kobiecością, a jako bezdzietna, zamożna wdowa nie mogła narzekać na brak konkurentów, których zalotom opierała się zresztą nader po-wściągliwie.

Obserwowali z daleka armię rozbawionych gości i wymieniali żartobliwe uwagi, od czasu do czasu kosztem któregoś z bardziej krzykliwie ubranych uczestników balu. Kostium Theresii był podobnie mało ambitny co hrabiego St. Germain: składał się jedynie z szalu z białych piór, który zarzucony na prostą balową suknię, nadawał jej wygląd eterycznego - i raczej słabo kojarzącego się z dżunglą - gołębia. Z kolei St. Germain, bez peruki i cały w czerni, jeszcze mniej przypominał panterę, niż było to jego zamiarem.

- Wuj mówił mi, że stał się pan regularnym gościem w jego domu - stwierdziła w koń-

cu. - Jest pod wrażeniem pańskiej wiedzy na temat Lewantu. Tęskni za powrotem do Konstantynopola.

Hrabia odwrócił się do niej. Wydawało się, że Theresia szuka odpowiedzi w jego twarzy.

- Rozumiem jego tęsknotę. To wielki luksus, dać się zdobyć... - przerwał, przyglądając się widocznej

w dali surrealistycznej scenerii - ...prostocie tego miasta.

I nagle, tak jakby ktoś chciał zakpić z jego słów, w oczach zamigotał mu dziwny, przelotny obraz.

W wywołanej przez fajerwerki mgiełce, w tłumie udawanych goryli i strusi, zmateria-lizowała się para wpatrzonych prosto w niego oczu młodego mężczyzny o policzkach i czole pokrytych grubymi smugami złotej i brązowej farby, głowie wciśniętej w kręconą jasną perukę, przesytą zwierzęcymi uszami, oraz szyi owiniętej w gęstą futrzaną grzywę. Młodzieniec, otoczony stadem zwierzaków, wpatrywał się przez chwilę w hrabiego, jak tygrys obserwujący swoją ofiarę przez grube źdźbła trawy afrykańskiej sawanny.

Drapieżnik czaił się tak tylko przez ułamek chwili, po czym przesłonił go tłum roze-
śmianych gości. Kiedy przeszli, już go nie było.

St. Germain zmrużył oczy i wpatrzył się w dal, nigdzie jednak nie było nawet śladu tygrysa. Zmysły hrabiego były bezustannie bombardowane przez wrzawę docierającą od strony tłumu oraz dźwięki orkiestry, przede wszystkim zapytał więc sam siebie, czy nie zmyliły go oczy. Postanowił zapomnieć o dziwnym obrazie i skupił się z powrotem na towarzyszcze.

Theresia musiała zauważyć, że błądzi wzrokiem po tłumie, ale nie zareagowała.

- Być może - odparła. - Tyle że moim zdaniem wuj tęskni raczej za tamtejszym maria-ge a la cabine - zażartowała, nawiązując do praktykowanego w Konstantynopolu „tymczasowego” małżeństwa, kabin, w myśl zasad którego można było na miesiąc wypożyczyć sobie chrześcijańską kobietę. - Które zresztą - dodała poważniejszym nagle tonem - wydaje się po-ciągać również pana, jeśli się nie mylę.

Jej szczerość zaskoczyła hrabiego.

- Myślę, że pociąga ono każdego mężczyznę - odpowiedział.

- Tak, tyle że bezosobowa, niezobowiązująca natura tego zwyczaju wydaje się panu szczególnie odpowiadać.

Jej słowa ugodziły go w samo serce. Oczywiście trudno było je uznać za nieoczekiwane. St. Germain starał się podsycać swoją reputację jako osoby przywiązanej do niezależności i prywatności - osoby, która nie stroniąc od bliskiego flirtu, stara się unikać zobowiązań. Jednak sposób, w jaki wypowiedziała to Theresia, ten lekki, znaczący, ironiczny ton w jej głosie, w jej oczach - wydawało się, że przejrzała go na wylot. Co bardzo zaniepokoiło hrabiego.

- Nie jestem pewien, czy powinienem to uznać za komplement czy naganę - odpowiedział ostrożnie.

- Ani za to, ani za tamto - powiedziała swawolnym tonem. - Proszę to poczytać za drobną uwagę zaintrygowanego obserwatora.

- Obserwatora? Czy mam przez to rozumieć, że jestem obiektem badań, jak jedna z tych biednych

bestii? - zapytał, wskazując dłonią na najbliższą klatkę. Zorientował się, że wbrew zdrowemu rozsądkowi znowu przeszukuje wzrokiem tłum, spodziewając się znaleźć w nim skradającego się tygrysa. Którego oczywiście nigdzie nie zauważył.

- Nie sędzę, mój drogi hrabio - zapewniła Theresia. - Choć podejrzewam, że dla osoby, która by się panem zainteresowała, musiałyby to być nieznośnie irytujące, zważywszy na pańską słabość do wymijających odpowiedzi na najprostsze nawet pytania. Zastanawiam się, czy ktokolwiek zna pana naprawdę, w dosłownym znaczeniu tego słowa?

Uśmiechnął się. Zaprzagnął odpowiedzieć, że nawet on nie zna siebie naprawdę, już nie i co gorsza, poczuł nieprzepatą chęć, żeby słowa te skierować właśnie do niej. Jednak na samą myśl o tym instynktowne, chroniące go przed światem okiennice natychmiast zatrzasnę-

ły się z powrotem głucho.

- Gdzie by się podział mój czar, gdybym był jak otwarta księga? - zapytał więc.

- Och, myślę, że pański czar nie ucierpiałby zbyt mocno, gdyby się pan choć trochę otworzył. Zastanawiam się tylko, czy to rzeczywiście strach przed tym, że wystraszy pan swoich wielbicieli, czy też raczej obawa przed zaproszeniem kogokolwiek do własnego serca.

Hrabia nie spieszył się z odpowiedzią. Wolał wytrzymać wzrok Theresii i upajać się nim, niepewny, jak powinien zareagować.

Po tamtej kolacji w salonie pani Geoffrin zaczął dyskretnie rozpytywać o nową znajomą. Okazało się, że według obiegowej opinii lubi towarzystwo mężczyzn - mężczyzn, których sama dobiera - ostatnio jednak coś się zmieniło w tym względzie. Od kilku miesięcy nie miała romansu z żadnym ze swoich wielbicieli. St. Germain nie był na tyle zarozumiały, żeby dojść do wniosku, że to on jest tego przyczyną. Swobodne obyczaje Theresia poskromiła zresztą na długo przed pierwszym z nim spotkaniem. Ale choć i jemu zdarzały się przygody, i to zbyt często, by mógł je wszystkie zapamiętać - arystokracja, zwłaszcza w Paryżu, była ogromnie zdeprawowana - tym razem było inaczej. Wydawało się to mniej błahe. Ważniejsze.

Co stanowiło pewien problem.

St. Germain desperacko pragnął być z nią. W Theresii de Condillac było coś niezaprzeczalnie pociągającego, ale te same powody, dla których czuł w stosunku do niej tak ogromne pożądanie, sprawiały jednocześnie, że uchylanie przed nią drzwi do własnego serca było zbyt niebezpieczne.

- Obawiam się, że maluje pani moje życie w zbyt żywych barwach, niż na to rzeczywiście zasługuje - odpowiedział w końcu.

Theresia nachyliła się w jego stronę.

- Dlaczego więc nie powie mi pan, jakie to sekrety czają się w niezdobytej fortecy pańskiej duszy i nie pozwoli mi samej tego osądzić?

St. Germain wzruszył ramionami.

- Nie ośmieliłbym się zanudzać pani banałami wypełniającymi moją żalną egzystencję. Jednak...

Słowa zamarty hrabiemu w gardle. Chociaż jej twarz była urzekająca, nie mógł powstrzymać oczu przed ucieczką w dal, gdzie nagle pośród parady jarmarcznych kostiumów wypatrzyły ponownie tygrysa. Tak jak wcześniej, mężczyzna po prostu stał nieruchomo, przesłonięty mgiełką poruszających się biesiadników, wbijając uporczywie wzrok w hrabiego. I tak jak wcześniej nagle zniknął mu z oczu.

Serce St. Germain załała fala niepokoju. Nagle poczuł się zdemaskowany, wyczuł niebezpieczeństwo.

Tym razem Theresia zareagowała.

- Czy wszystko w porządku, hrabio?

- Oczywiście - odpowiedział St. Germain opanowanym głosem. - Po prostu jest już późno i obawiam się, że muszę panią przeprosić.

Wziął ją za rękę i pocałował w dłoń.

Wydawało się, że jego nagła chęć ucieczki wprowadziła ją w zakłopotanie. Posłała mu cierpki uśmiech.

- I znowu most zwodzony w górę, hrabio?

- Dopóki napastnik nie odstąpi od murów - odpowiedział, ukłoniwszy się lekko, i odszedł. Kiedy wtapiał się w tłum, ciągle czuł na plecach jej wzrok.

Zaczął się pospiesznie przeciskać między gośćmi, rzucając nerwowo oczami na prawo i lewo, czując, że kręci mu się w głowie od wirujących wszędzie przebranych w surrealistyczne kostiumy bestii, i zmierzając prosto w stronę głównego wyjścia. Kiedy opuszczał pałac, puls tętnił mu w uszach. Skinął na swojego stangreta, który stał z kilkoma innymi woźnicami przy niewielkim ognisku. Mężczyzna pobiegł w te pędy, żeby przyprowadzić karoce, i kilka chwil później zmierzali już Rue St. Honore na wschód w stronę mieszkania St. Germain przy Ile de la Cite.

Zatopił się w wygodnym welurowym siedzeniu i zamknął oczy. Rytmiczny stukot końskich kopyt uspokajał go. Wrócił myślami do balu i zganiał sam siebie za atak paniki, który teraz nagle wydał mu się nieuzasadniony. Zastanawiał się, czyjego instynktów nie zmyliła czasem obecność Theresii. Myśl o niej w jakiś sposób uwolniła umysł hrabiego od niepokoju i pozwoliła mu skierować go na normalne tory. Doszedł do wniosku, że musi się z nią znowu zobaczyć. Było to nieuniknione. Odwrócił się do okna i pozwolił, żeby chłodne nocne powietrze owiewało mu twarz.

Karoca skręciła w prawo, w Rue de l'Arbre Sec, i wkrótce znaleźli się na Pont Neuf.

St. Germain wybrał starą dzielnicę Cite, przedkładając ją nad inne, nowsze, i wynajął w niej kilka eleganckich pokojów z oknami wychodzącymi na rzekę i pasaże przy jej prawym brzegu. Płynąca

woda działała na niego kojąco, co pozwalało mu nie zwracać uwagi na kożuch unoszących się na jej powierzchni śmierdzących odpadków. Bryza nadciągająca znad Sekwany w większość dni i nocy łagodziła smród śmieci i ludzkich nieczystości, które notorycznie, zgodnie z obrzydliwą tradycją tout a la rue, mieszkańcy wyrzucali prosto na ulicę.

Kiedy przejeżdżali przez most, St. Germain spojrzął na lewo. Była rześka jesienna noc i księżyc, któremu niewiele już brakowało do pełni, zalewał miasto chłodnym srebrzystym blaskiem. Hrabia uwielbiał widok z mostu, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku, kiedy kupcy i uliczni handlarze zdążyli już zwinąć swoje towary, a spacerowicze położyć się spać. Północne nabrzeże, ciągnące się wzdłuż biegu rzeki, było zatłoczone pustymi łódkami i żaglówkami, a od czasu do czasu znaczyły je nieregularne punkciki ognisk. Dalej w księżycowej poświacie błyszczwały kryte łupkiem dachy szeregu budynków przykucniętych przy Pont Notre Dame, z oknami rozjaśnionymi przez mdłe światła cieniutkich świec. Jeszcze dalej nad Wyspą góro-wała nieźrównana Notre Dame, której pozbawione iglic bliźniacze wieże na niebotyczną wysokość wbijały się w baldachim rozgwieżdżonego nieba - gmach mający wielbić wielkość Boga, z każdym dniem zyskujący jednak większą sławę jako dowód geniuszu człowieka.

Dotarli na zachodni kraniec wyspy i skręcili w Quai de l'Horloge, wąską uliczkę ograniczoną z jednej strony rzędem domów, a z drugiej wychodzącym na rzekę niskim murem. Pokoje St. Germain mieściły się w pobielanym budynku po drugiej stronie drogi. Znajdowali się pięćdziesiąt metrów od wejścia, kiedy hrabia usłyszał nagle, że stangret wstrzymuje konia i wciska hamulec. Karoca szarpnęła i się zatrzymała.

St. Germain wychylił się z okna i zawołał do woźnicy:

- Roger? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Stangret zawahał się, po czym odpowiedział:

- Tam z przodu, monsieur le comte . Droga zablokowana.

W jego głosie pojawiło się obco brzmiące drzenie.

St. Germain usłyszał rzenie konia i spojrzął na drogę. Ulice Paryża zostały w tym miesiącu oświetlone i w niewyraźnym blasku wiszących olejowych latarni hrabia zauważył trzech jeźdźców, którzy blokowali uliczkę trzydzieści metrów przed karocą. Stali po prostu nieruchomo jeden przy drugim.

Nagle usłyszał, że od strony mostu dobiegają kolejne odgłosy końskich kopyt. Odwró-

cił się. Nabrzeżem pędził jeszcze jeden jeździec. Kiedy przemykał pod latarnią, St. Germain zauważył wymalowane na jego twarzy złote i czarne tygrysy paski, które pod powiewającą nad nimi czarną peleryną wyglądały jeszcze groźniej niż przedtem.

Zaniepokojony odwrócił się w stronę jeźdźców blokujących mu drogę. Jego oczy przeczesywały ciemność, porównując pogrążone w cieniu rysy twarzy środkowego mężczyzny ze wspomnieniami

wypełniającymi najbardziej mroczne zakątki jego pamięci. Ledwie zdążył w pełni zarysować sobie w umyśle obraz jeźdźca, kiedy nocnym powietrzem wstrzą-

snął znajomo brzmiący okrzyk:

- Buona sera, marquese . - Głos di Sangro był taki sam, jakim St. Germain go zapamię-

tał. Suchy, ironiczny, chrapliwy. - A może wolałbyś, żebym zwracał się do ciebie gentile conte?

St. Germain rzucił szybko okiem do tyłu w stronę zbliżającego się jeźdźca, który odcinał mu właśnie drogę odwrotu. Jego zamaskowana twarz nagle nabrała w umyśle hrabiego życia. Zorientował się, dlaczego młodzieniec wzbudzał w nim niepokój. Przypomniał sobie, że mignął mu przelotnie kilka tygodni wcześniej w jednej z paryskich restauracji. Zdał sobie też sprawę, kiedy zobaczył go po raz pierwszy. W Neapolu. Wiele lat temu. Przez chwilę, w czasie wizyty w pałacu należącym do di Sangro.

Był synem księcia. Jednak pełnego szacunku nastolatka zastąpił teraz młodzieniec, wyglądający nader groźnie.

St. Germain rzucił okiem na stangreta, który spoglądał na niego nerwowym wzrokiem.

- Jedź, Roger - rozkazał ostrym tonem. - Jedź prosto na nich.

Stangret krzyknął i smagnął batem konia, który natychmiast rzucił się galopem naprzód. St. Germain wyjrzał przez okno i zobaczył, że konie blokujące im drogę cofają się nieznacznie, a jeden z jeźdźców wyciąga jakiś przedmiot, który błysnął złowrogo w świetle księ-

życa. Hrabiemu St. Germain zajęło sekundę, żeby się domyślić, że to kusza, i zanim zdążył

krzyknąć, jeździec wycelował i wystrzelił. Powietrze z ostrym świstem przecięła niewielka strzała, wbijając się stangretowi prosto w pierś. Z jego ust wydobył się pełen bólu jęk, po czym mężczyzna osunął się na bok i spadł z nacierającej karocy.

Jeźdźcy rozproszyli się, podjechali nieco do przodu, krzycząc i machając rękami do zdezorientowanego konia, który zaczął się rzucać nierówno to w jedną, to w drugą stronę, prac jednak ciągle naprzód. Karoca mknęła wybrukowaną uliczką, a St. Germain uwiesił się brzegu okna, gwałtownie roztrząsając w myślach różne możliwości. Nagle mignął mu obraz jeźdźca po drugiej stronie di Sangro, unoszącego jeszcze jedną kuszę i strzelającego z niej w konia.

Do uszu St. Germain dobiegło ostre, ciche rzenie i wiedział już, że strzała utkwiała głą-

boko w ciele zwierzęcia. Koń stanął dęba, sprawiając, że karoca zaczęła się kołysać nierówno na boki. Jej koło musiało zahaczyć o krawędź jakiegoś kamienia, bo St. German nagle kurczowo chwycił się krawędzi okna, a cały lekki powóz podskoczył do przodu i przetoczył się ciężko na jedną stronę, ślizgając się jeszcze przez parę metrów i w końcu zatrzymując się ze zgrzytem.

St. Germain szybko oprzytomniał i pozbierał się po upadku, wszystkie zmysły nakierowując na

jakikolwiek ruch z zewnątrz. Na ulicy panowała jednak martwa cisza, zakłócana tylko stukotem kopyt wierzchowców napastników powoli okrążających hrabię. St. Germain, oparłszy się plecami o leżące pod nim zablokowane drzwi, podkulił nogi i kopniakiem otworzył karocę z drugiej strony, po czym podciągnął obolałe i potłuczone po upadku ciało.

Upadł na ziemię i spojrzał na ulicę. Leżało tam nieruchome ciało stangreta. Rozprostowując poobijane kości i wstając, czuł narastający w sobie gniew.

Do zbliżających się do niego trzech jeźdźców dołączył syn di Sangro.

- Bravo, ragazzo mio - pogratulował hrabiemu ksiązę. - Sei stato grande . Nieźle sobie poradziłeś.

Di Sangro odwrócił się i spojrzał hrabiemu St. Germain w oczy.

Wszyscy czterej mężczyźni stali teraz przed nim i napierali na niego, oświetleni od tyłu przez kołyszącą się lekko nad ich głowami nędzną latarnię.

Di Sangro dźgnął konia, który zbliżył się jeszcze kilka kroków do hrabię, a sam wbił wzrok w swoją ofiarę.

- Przyjemne życie sobie tutaj prowadzisz, marquese . Tracąc cię, Paryż będzie niepo-cieszony.

- A strata Paryża będzie jednocześnie zyskiem Neapolu, nieprawdaż? - odgryzł się St.

Germain.

Di Sangro uśmiechnął się i zsiadł z konia.

- Może nie całego Neapolu, choć moim bez wątpienia.

Syn podążył w ślady ojca. Dwaj pozostali jeźdźcy nie ruszyli się z siodeł. Ksiązę podszedł do St. Germain, przyglądając mu się tak, jakby widział go po raz pierwszy.

- Dobrze wyglądasz, marquese . Nadzwyczaj dobrze, należałoby dodać. Czyżby to zgniłe powietrze Paryża tak dobrze na ciebie oddziaływało?

St. Germain nie odpowiedział. Przenosił nerwowo wzrok z di Sangro na jego syna i z powrotem. Podobieństwo zawsze było uderzające, zwłaszcza w wyrazie oczu, a kiedy chłopiec zamienił się w mężczyznę, jeszcze się zwiększyło. Jednak sam di Sangro znacznie się przez te lata postarzał: był cięższy, bledszy, a skóra na jego twarzy i szyi stała się obwisła i pomarszczona. St. Germain przeklął sam siebie za to, że nie połączył faktów już wcześniej, że nie skojarzył, kim jest młodzieniec już w chwili, kiedy jego wzrok spoczął na nim w restauracji. Przez cały czas spodziewał się, że di Sangro kiedyś go dopadnie - kilka lat spokojnej, choć ostrożnej anonimowości to i tak więcej, niż się spodziewał. Wiedział, że jego egzysten-cja w Paryżu właśnie dobiegła kresu, jednocześnie zdając sobie sprawę, że jeśli w ogóle ma mieć szanse na rozpoczęcie gdzieś nowego życia, natychmiast musi coś przedsięwziąć.

Umysł hrabiego gorączkowo rozważał różne możliwości, choć tak naprawdę nie rozpościerało się ich przed nim zbyt wiele. Ponad różnymi nieciekawymi scenariuszami unosiła się jednak jedna myśl, proste przekonanie, które dodawało kolorów jego reakcjom w różnych rodzajach konfrontacji z di Sangro, jakie przez te wszystkie lata rozgrywał we własnym umy-

śle: di Sangro potrzebował go żywego. Alternatywa „sekret albo życie” była czczą pogroźką -

wiedział, że di Sangro zrobi wszystko, by utrzymać go przy życiu tak długo, aż przy użyciu wszelkich pozostających do jego dyspozycji i z pewnością nieprzyjemnych sposobów wyci-

śnie z niego prawdę.

Była to jednak obosieczna broń. Pozostanie przy życiu było miłą perspektywą tylko wtedy, gdy towarzyszyła temu wolność. Więzienie i tortury o wiele mniej odpowiadały hrabiemu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wątpliwości, jakie żywił w stosunku do determinacji, z jaką opierałby się naciskom.

Znalazł się w pułapce. Jeźdźcy ustawili się po obu stronach swojego pana, blokując St.

Germain drogę ucieczki. Za nim rozciągała się ściana budynku, którego drzwi wejściowe po zapadnięciu zmroku zostały zatrzaśnięte. Z przodu, za di Sangro i jego synem, było widać niski mur i rzekę.

St. Germain wziął głęboki oddech i wyciągnął szpadę.

- Wiesz, że nigdzie z tobą nie pójdę - powiedział kategorycznym tonem. - A tutaj nic nie wskórasz.

Di Sangro rozciągnął wargi w lodowatym uśmiechu i kiwnął ręką na swoich ludzi.

- Moim zdaniem nie masz wyboru, marquese .

Wyciągnął szpadę i wycelował nią w St. Germain. Jego syn zrobił to samo. Kątem oka hrabia zauważył, że jeźdźcy przeładowali kusze.

St. Germain zaczął się obracać to w jedną, to w drugą stronę, czubkiem szpady trzymając księcia i jego syna na dystans. Choć czuł się już zmęczony i ciężar, który niósł ze sobą przez kilka kontynentów coraz bardziej mu ciążył, nie takiej ulgi poszukiwał. Nie mógł znieść myśli o tym, że zostałby schwytany, nie przez tego człowieka. Był gotów opierać się do ostatniej kropli krwi, choć wiedział, że wszystko wskazuje na to, że wraz z jego śmiercią umrze chroniona przez niego tajemnica. Zastanawiał się, czy koniec końców okaże się to przysługą wyrządzoną światu, czy też raczej był winny ludzkości utrzymanie sekretu przy życiu, nawet jeśli miał on spocząć w rękach takiego zapatrzonego w siebie szaleńca, jak di Sangro.

Nie, musiał pozostać wolny. Musiał żyć. Nie był gotów umierać. Ale doszedł też do wniosku, że nie mógł już dłużej nie dzielić się z nikim sekretem. Było to zbyt bezpieczne. Je-

śli uda mu się i tym razem wyjść z opresji i kontynuować misję, będzie musiał wtajemniczyć innych,

bez względu na wiążące się z tym niebezpieczeństwo. Po prostu musiał lepiej wybierać.

Poczuł w żyłach żelazną determinację i rzucił się zaciekle na obu przeciwników. Kiedy ich szpady skrzyżowały się ze szczękiem, który rozniósł się po opustoszałej ulicy, zauwa-

zył, że di Sangro porusza się wolniej niż poprzednio, za to w osobie syna księżę znalazł bardziej niż godnego następcę. Młodzieniec był utalentowanym szermierzem. Z chirurgiczną precyzją odparowywał pchnięcia hrabiego St. Germain i wydawał się nieomylnie przewidywać jego ruchy. Księżę wycofał się nieco, zadowolając się rolą blokującego St. Germain drogę ucieczki, i w końcu syn całkowicie przejął jego obowiązki, nacierając na przeciwnika i sprawnie wymachując szpadą. Kaptur peleryny ześlizgnął mu się z głowy. W nikłym świetle zawieszzonej nieopodal latarni tygrysie pasy przecinające jego twarz wyglądały jeszcze bardziej demonicznie, wzmacniając drapieżny błysk czający się w jego oczach i rozprasząc St.

Germain.

Ostrze szpady syna księcia przecinało powietrze coraz szybciej i gwałtowniej, a St.

Germain z trudem parował i blokował kolejne uderzenia. Kiedy próbował przekroczyć szeroki rynsztok, nie chcąc wdepnąć w płynącą nim obrzydliwą breję, musiał odskoczyć nagle w bok, żeby uniknąć potężnego pchnięcia, i jego but zaczepił o kamień, przez co hrabia stracił

równowagę. Syn di Sangro wykorzystał okazję i rzucił się do przodu, przypuszczając atak na St. Germain. Hrabiemu udało się stanąć znowu pewnie na nogach i odsunąć się na prawo, nie zdołał jednak umknąć ostrzu, które trafiło w jego lewe ramię. Poczuł piekący ból. Szybko uniósł z powrotem szpadę, akurat po to, by odeprzeć kolejne pchnięcie napastnika i znowu stanąć w obronnej pozycji.

Krążyli wokół siebie jak dzikie koty, wbijając w siebie wściekły wzrok. Szczęknięcia skrzyżowanych szpad zastąpiły ich ciężkie oddechy. Wąskie wargi młodzieńca wykrzywiły się w lekkim uśmiechu. Rzucił szybko okiem w stronę ojca, który z zadowoleniem skinął mu głową. St. Germain dostrzegł w młodym arystokracie nierozważny tupet i podobną jak u jego ojca dumę. We wnętrzu rękawa czuł spływającą stróżkę krwi, a wokół rany chłód, który

- jak doskonale wiedział - miał wkrótce sprawić, że ból będzie się stawał coraz bardziej intensywny, a mięśnie zaczną sztywnieć. Musiał działać szybko, choć zdawał sobie oczywiście sprawę, że nie uda mu się pokonać wszystkich czterech mężczyzn.

Wiedział jednak, gdzie powinien uderzyć.

Zebrał w sobie całą energię, jaką udało mu się z siebie wykrzesać, i ruszył na syna księcia z nowym zapasem sił, smagając go ostrzem ze wszystkich stron i zmuszając do cofnięcia się o kilka kroków, tak że to on w końcu zaczął brnąć przez rynsztok i spiętrzoną w nim kupkę osadu. Młodzieniec wydawał się zaskoczony energicznym atakiem St. Germain i kiedy odpierał lawinę jego obłąkańczych ciosów i pchnięć, spojrział przelotnie pełnym zwątpienia wzrokiem na ojca, tak jakby szukał u niego otuchy. St. Germain dostrzegł chwilę sła-bości i zaatakował. Ostrze jego szpady zatopiło się w boku młodego fehmistrza, który zawył

z bólu.

Syn księcia zatoczył się z zaskoczonym, pełnym niedowierzania wzrokiem, po czym dotknął rany i uniósł zakrwawioną dłoń. Di Sangro zobaczył, że młodzieniec chwiejnym krokiem brnie przez nieczystości i ruszył ku niemu pędem z okrzykiem „Arturo!”. Jego syn zwalczył jednak ból, gestem powstrzymał ojca i ponownie stanął naprzeciw St. Germain. Podniósł

szpadę, ale kiedy ruszył do przodu, załamały się pod nim kolana.

- Prendetelo - krzyknął do swoich ludzi di Sangro i popędził synowi na pomoc. St.

Germain patrzył, jak obaj jeźdźcy zeskakują z siodła i zbliżają się do niego, blokując obie strony ulicy. W ciemnościach błysnęły ich kusze. Hrabia spojrzął za siebie - niski mur biegną-

cy wzdłuż krawędzi dróżki znajdował się w zasięgu jego skoku. Rzucił się w tamtą stronę, dobiegł do murku, cisnął na bok szpadę i zaczął się wspinać. Poczuł, że jego ramię ogarniają płomienie bólu, ale w końcu udało mu się dostać na występ. Odzyskał równowagę i wstał.

Poniżej zobaczył Sekwanę, zimną i zaśmieconą odpadkami, tyle że tym razem widok płynącej powoli, mieniącej się w świetle księżycy wody bynajmniej nie podziałał na niego kojąco. Hrabiemu zakręciło się w głowie. Wciągnął w płuca nocne powietrze i odwrócił się, spoglądając na ulicę. Di Sangro zauważył go. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę i St. Germain zobaczył, że z twarzy księcia promieniują ból, gniew i rozpacz.

- Nie bądź głupcem, marquese... - wrzasnął di Sangro.

Zanim jednak zdążył cokolwiek dodać, St. Germain po prostu odwrócił się, zamknął

oczy i jednym krokiem pokonał szerokość występu, pozwalając swojemu ciału zanurkować w rzece.

Uderzył twardo w powierzchnię wody i zanurkował daleko w jej głębię. Opadając, stracił na chwilę orientację i trudno mu było określić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Zaczął młó-

cić ramionami wodę, koziółkując w niej bezsensownie. Od nagłej zmiany ciśnienia zaczęło mu dudnić w uszach, a jego płuca gwałtownie domagały się powietrza. Spróbował się uspokoić, ale zimno zaczęte wgryzać się w jego ciało, mącąc płynące przez głowę myśli. Kiedy opadał, mignęło mu przed oczami coś, co mogło być odbiciem na powierzchni wody. Postanowił zmierzać w kierunku tego czegoś, ale ciężar jego ubrań ciągnął go w kierunku dna rzeki. Sięgnął rękoma w dół i zdołał zdjąć przemoczone buty, jednak reszta ubrania kurczowo trzymała się jego ciała za pomocą gęstych rzędów guziczków: kolejne warstwy szlachetnych materiałów, spodnie, koszula, fular, kamizelka i surdut kleiły mu się do skóry i utrudniały ruchy.

Wydawało się, że sam diabeł sięga ku niemu swoimi łapskami, ściągając go w dół, w objęcia śmierci, i przez chwilę poczuł nawet perwersyjną ulgę, że wszystko to wreszcie się skończy, tu i teraz, coś jednak kazało mu ciągle walczyć o życie, zaczął więc poruszać gwał-

townie wszystkimi kończynami naraz, rozpaczliwie przebijając się przez wodę i wreszcie udało mu

się wy dostać na powierzchnię.

Wynurzył się i stwierdził, że unosi się wraz z prądem wodami Sekwany w otoczeniu porozrzucanych tu i ówdzie kawałków drewna oraz zgniłych owoców. Odpłynął dosyć daleko od Ile de la Cite i znajdował się mniej więcej na środku rzeki, powoli zbliżając się do Tuileries. Zaczął walczyć z pływem, krztusząc się kolejnymi łykami brudnej wody. Przemoczone ubranie nadal ścigało go w dół, a jego ramiona raz za razem uderzały ślepo w unoszące się na powierzchni rzeki odpadki i śmieci. Walczył, jak nigdy wcześniej, trzymając się kurczowo życia, nie poddając się rzece i przez cały czas starając się płynąć w stronę jej prawego brzegu, w stronę suchego lądu. Centymetr za centymetrem rozpalone przez bezdomnych ogniska, porozrzucane na prawo od niego na nabrzeżu, płonęły coraz bliżej. Kiedy wreszcie uściśnął kurczowo zardzewiałą żelazną obręcz, która wystawała z ciągnącej się wzdłuż rzeki przystani, zdążył już stracić poczucie czasu.

Wyczołgał się z wody i opadł na plecy, z wdzięcznością wdychając powietrze, pozwalając swojemu wyczerpanemu ciału wracać powoli do życia. Nie wiedział, czy od tej chwili minęły minuty czy godziny, ciągle jednak było jeszcze ciemno, kiedy usłyszał nagle głos, w którym rozpoznał swoje imię. Pomyślał, że to sen, bo chwilę później zamajaczyła nad nim anielska twarz Theresii, ściszone głosem kierująca do niego słowa, które nie do końca rozumiał.

Poczuł, że jakieś męskie ramiona podnoszą jego poturbowane ciało. Theresia pomogła mu owinąć się w gęsty koc i hrabia wkrótce opadł na siedzenie bezpiecznej i wygodnej karocy, która uniosła go gdzieś daleko od szurów i bandytów, zagłębiając się w ciemne uliczki miasta świateł.

KIEDY JECHALI DO MIESZKANIA THERESII, W głowie hrabiego St. Ger-main kłębiły się setki pytań, a jego zdezorientowany umysł usiłował jakoś objąć to, co mówiła do niego jego wyba-wicielka.

Zauważyła na balu, że coś go zdenerwowało, a kiedy wychodził z pałacu, dostrzegła, że jego tropem podążył mężczyzna przebrany za tygrysa. Opuściła szybko przyjęcie, które nagle przestało ją interesować, a stangret powiedział jej, że zauważony przez nią człowiek udał

się za hrabią i śledził jego karocę. Ruszyła za nimi, wyczuwając kłopoty. Walkę obserwowała z mostu. Była zbyt wystraszona, żeby interweniować. Kiedy St. Germain wskoczył do rzeki, pomyślała, że utonął. Dopiero jej stangret wypatrzył go, jak płynie środkiem Sekwany i ostatecznie zaprowadził ją do hrabiego.

Do St. Germain nie do końca docierały jej słowa, ale nie przeszkadzało mu to. Póki co cieszył się, że żyje i może być z nią. Gdzieś głęboko w środku wiedział, że to tylko chwilowe, nie chciał jednak tym myśleć. Nie opierał się dłużej i odpłynął daleko w bezpiecznym schronieniu jej ramion, pragnąc odciąć się od zewnętrznego świata na tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

Zabrała go do swojego mieszkania w nowej, modnej dzielnicy Marais. Jej pokojówka przygotowała mu kąpiel. Theresia pomogła hrabiemu zdjąć ubrania i wejść do wanny, a potem, kiedy już opatrzyła mu rany i go nakarmiła, dla bezpieczeństwa zgasili wszystkie stojące obok łóżka świece, oprócz jednej, i z wilczym zapamiętaniem posiedli się nawzajem.

Obudził się wraz z pierwszymi promieniami słońca. Wpatrzył się w leżącą obok niego Theresię. Ciągle bolało go ramię, ale przynajmniej rana przestała krwawić. Przesunął delikatnie dłoń po jej plecach aż do krzyża, delektując się gładkością wyczuwanej pod palcami skóry i bojąc się tego, co było nieuniknione. Obserwował, jak oddycha spokojnie obok niego, a jego umysł zaczął wędrować ku pogodnemu życiu, w którym nie musiałby żyć kłamstwem i mógł czerpać przyjemność z kurczącego się czasu, jaki mu jeszcze pozostał. Zorientował się, że zadaje sobie to samo pytanie, jakie ciągle ostatnio go dręczyło, że zastanawia się nad sensem misji, której poświęcił całe życie, pyta sam siebie, czy nie nadszedł już czas, żeby wreszcie się poddać i wycofać w stronę błogiej, zwyczajnej egzystencji.

Kiedy rozmyślał nad podróżą swojego życia, ogarnęły go również wątpliwości, co ostatecznie osiągnie, nawet jeśli rzeczywiście uda mu się odnaleźć to, czego szuka.

Odnalezienie tego to jedna sprawa.

Ogłoszenie, wyjawienie tego światu, zapewnienie mu dostępu do tego, obdarowanie tym wszystkich... To drugie wyzwanie było znacznie trudniejsze.

Świat nie był na to przygotowany, to było pewne. Zostałyby wezwane potężne siły, żeby to zdławić, żeby powstrzymać odmianę - i umocnienie - rodzaju ludzkiego. Nieśmiertelność - konkretnie: duchowa, indywidualna nieśmiertelność - była darem, którym mogła obdzielać wyłącznie religia. Żaden inny czynnik nie mógł zmniejszyć przerażającego widma nieuniknionego, nieuchronnego nadejścia śmierci. Dar, którego poszukiwał, był świętokradczy, był czymś nie do pomyślenia. Kościół nigdy by na to nie pozwolił. Kim był on, żeby pokonać tak zajadłą wrogość?

Poczuł w głowie zamęt. Jego poczuciu znużenia i rozpaczki przeciwstawiał się wysnu-ty z jego własnych obserwacji wniosek, że mimo wszystko przyszłość jest obiecująca. Czuł, że z każdym mijającym rokiem wiatr zmian coraz silniej owiewa otaczające go ludzkie siedli-ska. Salony i kawiarnie pulsowały od nowych idei, które rzucały rękawicę ignorancji, tyranii i przesądom. Coraz częściej podważano sens religijnych dogmatów i prześladowań. Russo, Wolter, Diderot i inni byli w pełni sił, walcząc z zakazami rozpowszechniania ich dzieł wydanymi przez wszechobecnych jezuitów. Ludzie odnajdywali pociechę i inspirację w słowach wielkich myślicieli, którzy wierzyli, że człowiek jest w istocie dobry i że szczęście w ziemskim życiu, osiągnane przez braterstwo z innymi oraz postęp w nauce i sztuce, może być bardziej rozsądnym i szlachetnym obiektem ich aspiracji niż nadzieja na raj, do którego należy dążyć przez skrucę.

Powoli zaczęli się ośmielać cenić bardziej swoje obecne niż przyszłe życie.

Ciągle jednak zostało wiele przeszkód do przezwyciężenia. Ubóstwo i choroby. Przed-wczesna śmierć czaiła się za każdym rogiem, a najtęższe umysły epoki ciągle starały się zrozumieć, z czego jest zbudowane i jak działa ludzkie ciało. To w ogromnym stopniu zakłóciło-by ich pracę i mogło przynieść katastrofalne skutki. Przede wszystkim zaś pozostawała trudna do rozwiązania kwestia chciwości człowieka, jego wrodzonej skłonności do gromadzenia i patrzenia z zazdrością na to, co zgromadzili inni. Co St. Ger-main miał okazję zaobserwować z pierwszej ręki na przykład u di Sangro.

Spojrzał na sylwetkę śpiącej obok niego kobiety. Sięgnął ku niej ręką i pogłaskał jej nagie ramię. Jego wzrok spoczął na twarzy Theresii, promiennej nawet przez sen, i w jej delikatnie wyrzeźbionych rysach dojrzał coś obiecującego, inspirującego, coś niesłychanie nęcącego. W sercu hrabiego coś pękło.

Poczuł się wyczerpany.

A może to wszystko jest nieosiągalne? Może czas stać się samolubnym?

Może czas się poddać?

Myśl ta przyniosła mu pocieszenie. Miał jednak jeszcze kilka palących problemów do rozwiązania.

Tak czy inaczej będzie musiał wyjechać. Miał możliwość udania się w podróż i wymyślenia siebie na nowo. Wypełnił kilka poufnych misji dla samego króla, który - w kolejnej chybionej próbie utrzymania się przy władzy - ustanowił le Secret du Roi, „królewski sekret”, tajną inicjatywę, w myśl której wysyłał za granicę agentów, żeby realizowali tam misje przeważnie niezgodne z prowadzoną przez niego oficjalnie polityką, takie jak próba zawarcia pokoju z Brytyjczykami. St. Germain mógł wykorzystać ten system, żeby wymknąć się z kraju i osiąść gdzieś w tajemnicy.

Z ciężkim sercem doszedł do wniosku, że to jedyna możliwość.

W tej właśnie chwili, jakby czytając mu w myślach, Theresia poruszyła się obok niego i zaczęła przeciągać. Twarz rozjaśnił jej uśmiech. Przysunęła się do niego.

Wydawało się, że trafnie odczytała wyraz jego twarzy, bo jej własne rysy na moment spowił cień, po czym zapytała niepewnie:

- Chcesz opuścić Paryż, tak?

Nie potrafił się zmusić do kłamstwa, nie w stosunku do niej. Skinął więc głową, nie odrywając oczu od Theresii.

Wytrzymała jego wzrok, a po chwili nachyliła się ku niemu i leniwie go pocałowała.

Kiedy wreszcie się od siebie oderwali, powiedziała po prostu:

- Chcę jechać z tobą.

St. Germain spojrzał na nią i się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ 33

Kiedy Ramez ukrytą w cieniu drzew alejką ostrożnie zmierzał w stronę Post Hall, kampus ledwie budził się do życia. Przez całą noc prawie nie zmrużył oka. Obserwował zegar, który minuta po minucie odmierzał niekończące się godziny, i kiedy słońce wreszcie raczyło objawić się na

horyzoncie, poczuł, że nie potrafi już wytrzymać odosobnienia. Niepewnym krokiem wyszedł z mieszkania i ruszył pędem w stronę uniwersytetu, po drodze co chwila oglądając się przez ramię i przeczesując ulicę w poszukiwaniu czegokolwiek, co choćby w najmniejszym stopniu odbiegało od codziennej rutyny.

O tej porze budynek był jeszcze opustoszały. Najbardziej sumienni pracownicy pojawiali się w nim dopiero przed siódmą trzydzieści, Ramezowi zostało więc jeszcze pół godziny. Zaczął chodzić po gabinecie, wyglądając od czasu do czasu przez okno na drzewa cytrusowe i zerkając w stronę leżącego na jego biurku telefonu komórkowego, dręczony przez wątpliwości i przerażenie.

Kiedy usłyszał, że na wydziale zaczynają się pojawiać jego koledzy, podjął decyzję: położy kres piekącemu bólowi, który ściska mu serce. Złapał za komórkę.

SZCZUREK OBSERWOWAŁ w SKUPIENIU, jak wyższy detektyw rozmawia przez telefon. Czytając między wierszami, domyślił się, co się dzieje. Jak tylko jego partner odłożył słuchawkę, jego podejrzenia się potwierdziły. Dzwonił mężczyzna, który pracował na uniwersytecie z porwaną Amerykanką. Skontaktował się z nim irakijski przemytnik antyków, którego szukali i który za jego pośrednictwem chciał zawrzeć umowę. Mężczyzna był przerażony.

Wysoki detektyw kazał mu nie ruszać się z miejsca. Zapewnił go, że on i jego partner zaraz tam będą.

Powiedział szczurkowi, żeby był gotów do wyprawy na uniwersytet, po czym wycią-

gnął telefon komórkowy. Nie wybiegł z posterunku natychmiast po usłyszeniu wieści. To dobrze.

Szczurek zgadywał, że jego kolega dzwonił do amerykańskiego agenta, żeby przekazać mu uzyskane informacje. Musiał działać szybko. Nie płacono mu za zbijanie bąków.

Musiał ich powiadomić. A potem musiał opóźnić ruchy policjantów na posterunku, tak żeby to tamci dotarli na uniwersytet pierwsi.

Powiedział partnerowi, że idzie się wysikać i wyszedł. Udał się prosto do pokoju przesłuchań, upewnił się, że nikt go nie podsłuchuje i wykręcił numer do Omara.

DZWONEK TELEFONU ODBIŁ SIĘ echem po mieszkaniu i wyrwał Mię z przypominającego śpiączkę snu. Usiadła i przetarła oczy. Była półprzytomna. Nie wiedziała, która godzina. Po-kój był pogrążony w całkowitych ciemnościach - rolety zupełnie odcinały go od zewnętrznego świata. Zauważyła światło wpełzające przez szparę pod drzwiami i domyśliła się, że jest już rano.

Zważywszy na okoliczności, zdziwiło ją, że spała tak długo. Przeczesła palcami włosy, włożyła spodnie i ciężkim krokiem wyszła z sypialni. Corben był w kuchni. Zdażył się już ubrać i rozmawiał właśnie przez telefon, jednocześnie wciskając do aktówki jakieś teczki - w tym tę, którą zabrał z mieszkania Evelyn.

Kiedy tylko dotarło do niej, jak jest skupiony i jak bardzo się spieszy, poczuła, że przez kręgosłup przechodzi jej dreszcz.

Zauważył ją i przechylił telefon, odsuwając go od ust.

- Musimy iść - powiedział ściszym, ale stanowczym głosem. Zacięty wyraz jego twarzy dopowiedział Mii resztę. Musieli iść teraz. Pytania mogły poczekać.

Ledwie zdołała wskoczyć w buty, a już zjeżdżali windą do podziemnego garażu. Corben wprowadził ją do środka, po czym ruszył pędem w stronę Swojego jeepa. Po minucie jechali już w stronę uniwersytetu.

- Wysyłają tam kilku ludzi - podsumował Corben - ale wolałbym, żeby Ramez znajdował się pod naszą opieką, jak zadzwoni telefon.

Zerknął na zegarek. Mia spojrzała na swój.

- Więc Faruk ma zadzwonić w południe? Corben skinął głową.

- Mamy jakieś cztery godziny.

Przez głowę Mii zaczęły pędzić jak oszalałe pytania, a jej zmysły zalała fala adrenaliny.

- Dlaczego w takim razie nie odebrał telefonu wczoraj wieczorem, kiedy próbowałeś się do niego dodzwonić? Co by było, gdyby to dzwonił Faruk? Gdyby na przykład zmienił

zdanie albo gdyby coś mu się stało?

Corben wzruszył ramionami.

- Za cztery godziny powinniśmy się tego dowiedzieć.

- Powinien był odebrać telefon - upierała się Mia. Corben odwrócił się do niej.

- Jest dobrze. Najważniejsze, że nawiązał kontakt.

Mia wzięła głęboki wdech i opadła na fotel, starając się powściągnąć swój metodyczny, analityczny naukowy umysł, ale wokół kłębiło się zbyt dużo niewiadomych, zbyt dużo możliwych wariantów, żeby udało jej się go wyłączyć.

- A co, jeśli Faruk go obserwuje? Nie chcesz chyba go wystraszyć.

- Jeżeli go obserwuje, zobaczy ciebie - zapewnił ją Corben. - A to powinno go uspokoić, a może nawet zachęcić do tego, żeby się ujawnić.

Mia skinęła do siebie głową i odwróciła się, wbijając wzrok w uciekającą pod kołami drogę. Męczyła ją cisza. Zmuszała ją do podsumowywania tego, co właśnie robiła, a to wzbudzało w niej lęk. Pomyślała znowu o matce, o tym, co ona musi teraz czuć. Spróbowała się uspokoić, wyprzedzając w myślach wydarzenia i wyobrażając sobie, że ułożyły się w najszcześniejszy, najbezpieczniejszy scenariusz: zabierają Rameza, dzwoni Faruk, sprowadzają go do siebie i albo

wykorzystując dostarczone przez niego informacje, żeby wysledzić hakima i uwolnić Evelyn, albo zdobywają przemycone dzieła sztuki, wymieniają je na nią i wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Jednak jej umysł odmawiał współpracy, upierając się przy mniej optymistycznym rozwoju wypadków, który mimo wysiłków Mii, by je zablokować, za każ-

dym razem niosły ze sobą wiele cierpienia i zatrważająco wysoką liczbę zgonów.

Corben skręcił w prawo, przez Rue Abdel Aziz wjechał od tyłu w Bliss i po chwili krętym podjazdem zmierzał już w stronę głównej bramy uniwersytetu. Nazywano ją Bramą Medyków i o każdej porze dnia była pogrążona w półmroku z powodu cienia rzucanego na nią przez rozległy baldachim olbrzymich wiekowych bananowców. Z powodu miejscowego zamięłowania do samochodów-pułapek pojazdy wjeżdżające na uniwersytet były drobiazgowo kontrolowane, ale jeep Corbena miał tablice dyplomatyczne, wyraźnie określające, że należy do taboru amerykańskiej ambasady, z czego wynikały szczególne przywileje. I rzeczywiście, kiedy strażnik przy bramie zauważył rejestrację, obrzucił tylko pobieżnym wzrokiem wnętrze samochodu i machnął ręką, pozwalając im przejechać.

Wjechali na parking i zatrzymali się za rzędem wyrastających przy drodze z Post Hall statecznych drzew cyprysowych. Mia poczuła nerwowe mrowienie i wysiadła za Corbenem z samochodu. Zauważyła, że agent rozgląda się, tak jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie obserwuje, po czym otwiera tylną klapę wozu. Bagażnik był pusty, ale w jego wyściełanej dywanikiem podłodze było widać zasuwkę. Corben odblokował ją. Jeszcze raz ukradkiem rozejrzał się po okolicy, po czym odchylił wieko. W schowku mieścił się mały arsenał: starannie przypięta paskami strzelba, pistolet maszynowy, kilka automatów i parę skrzynek z amunicją.

Kiedy Corben wyciągnął jeden z pistoletów, załadował do niego pełen magazynek, wepchnął go za pasek i przysłonił kurtką, Mia poczuła, że mrowienie staje się jeszcze bardziej dokuczliwe.

Corben zatrzasnął wieko. Wydawało się, że zauważył rysujący się na jej twarzy lęk.

- Tak na wszelki wypadek - zapewnił ją.

- Dobry pomysł - mruknęła, niepewna, czy powinna czuć ulgę, że tym razem agent jest uzbrojony.

Minęli kilku studentów kręcących się po kampusie przed rozpoczęciem wykładów i weszli do starego kamiennego budynku. W holu nie było recepcji - Wydział Archeologiczny był niewielki i na pełnym etacie pracowało w nim zaledwie kilkunastu naukowców. Mia wiedziała, że gabinet Evelyn znajdował się na piętrze, poprowadziła więc Corbena obok pustej sali wykładowej i wejścia do muzeum w kierunku schodów.

Idąc korytarzem, sprawdzali kolejne pomieszczenia, aż wreszcie trafili na gabinet Rameza. Drzwi były otwarte. Kiedy Ramez ich zauważył, na jego twarzy zarysował się strach, który po chwili - gdy rozpoznał Mię - ustąpił miejsca dezorientacji.

- Jestem córką Evelyn - uśmiechnęła się Mia, starając się go uspokoić. - Spotkaliśmy się już,

pamiętasz? W jej gabinecie.

- Oczywiście. - W oczach Rameza ciągle czaił się strach. Naukowiec przenosił wzrok to na Mię, to na Corbena. Chciał coś powiedzieć, ale Corben mu nie pozwolił i przejął inicjatywę.

- Jestem z ambasady amerykańskiej - poinformował go beznamiętnym tonem. - Próbujemy znaleźć Evelyn i mamy nadzieję, że nam w tym pomożesz. Detektywi z Fuhud, do któ-

rych dzwoniłeś, powiedzieli mi o mężczyźnie, z którym się wczoraj spotkałeś, Faruku. Naprawdę musimy z nim porozmawiać - przekonać się, czy dzięki jego pomocy możemy ją uwolnić.

- Ma do mnie zadzwonić w południe. Głos Rameza drżał nieprzyjemnie.

Corben wskazał na leżącą na biurku komórkę.

- Na ten telefon? Ramez skinął głową.

- Powiedzieli mi, że do mnie przyjadą. Powiedzieli, że poinformują mnie, co mam mówić.

- Wolałbym, żebyś pojechał z nami do ambasady - stwierdził Corben. - Tam jest bezpieczniej. Zostaniemy tam, aż uda nam się sprowadzić Faruka.

Oczy Rameza rozszerzyły się, a on sam instynktownie cofnął się o krok.

- Bezpieczniej?

- Tak na wszelki wypadek - zapewnił go Corben. - Nie wiemy, jakie kontakty mają ci ludzie, ale wydaje się, że wiedzą, co robią. Oni również szukają Faruka. W żadnym innym miejscu nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa.

Przerwał, najwyraźniej czekając, aż znaczenie jego słów dotrze do Rameza.

Z ponurego wyrazu twarzy naukowca można było wywnioskować, że zrozumiał je doskonale.

- Powinniśmy już iść - powiedział poważnym tonem Corben, podchodząc jednocze-

śnie do biurka i zabierając telefon. Wręczył go Ramezowi, który przyjął go, patrzył na niego przez chwilę, po czym schował do przedniej kieszeni dżinsów. - Powiadomię policjantów, że jesteś z nami. - Zauważył, że w oczach Rameza ciągle czai się niepokój. - Wszystko będzie dobrze. Chodźmy.

Ramez spojrział na Mię. Skinęła mu nieznacznie głową i uśmiechnęła się zachęcająco.

Wzruszył ramionami i również kiwnął ponuro głową.

Z Corbenem na czele wyszli z budynku i wrócili do samochodu. Agent wskazał Ramezowi miejsce na

tylnym siedzeniu, rozglądając się po sennej okolicy - kampus uniwersytecki nawet w najgorszych czasach był w Bejrucie oazą spokoju. Chwilę później wielka bra-ma otworzyła się przed nimi i szary cherokee znalazł się znowu na hałaśliwej ulicy.

Corben zaczekał, aż minie go kilka samochodów, po czym zawrócił i ruszył Rue Bliss w stronę dużego skrzyżowania znajdującego się niedaleko wjazdu na teren uniwersytetu. Zerknął w lusterko, wpatrując się w Rameza, i sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do detektywów z Fuhud. Naukowiec spoglądał przed siebie, a na jego twarzy malował się niepokój. Nagle coś śmignęło w lusterku - cień, któremu towarzyszył wysilony ryk silnika oraz przenikliwy pisk opon - i kilka sekund później w tylny zderzak jeepa z impetem wbił się taranem nieznanego samochodu.

ROZDZIAŁ 34

Corben zacisnął dłonie na kierownicy. Zderzenie rzuciło jeepem do przodu, a jego impet przycisnął Mię i Rameza do pasów bezpieczeństwa. Oboje krzyknęli z przerażenia. Corben zerknął w lusterko i zauważył w nim samochód - dużego ciemnego mercedesa, którego widział wcześniej przed kamienicą Evelyn. Napastnik pozostał nieco w tyle - cherokee oderwał

się od niego w chwilę po uderzeniu - zanim jednak agent zdołał wcisnąć pedał gazu i zdystansować go, samochód zapiszczał i jeszcze raz wbił się w zderzak jeepa, tym razem pod pewnym kątem, zmuszając go do niekontrolowanego, gwałtownego skrętu. Zaparkowane na prawo pojazdy zmyły się w oczach Corbena w jedną całość i nagle cherokee zahaczył o jeden z nich przednim zderzakiem, przekreślił się w bok, po czym uderzył w niewielką przestrzeń między jednym a drugim samochodem. Corbenowi i Mii wybuchły w twarz poduszki powietrzne, a wielki jeep staranował zaparkowane pojazdy, wypełniając powietrze hukami miazdzonej stali i piskiem ścierającej się gumy, wpadając w poślizg i zatrzymując się dopiero po jednym z zapierających dech w piersiach wstrząsów.

Od pierwszego zderzenia nie minęło nawet pięć sekund.

Ogłuszony Corben, któremu nagle obraz rozmazał się przed oczami, a w uszach zaczęło dzwonić, usłyszał, że samochód napastników zatrzymuje się z piskiem opon gdzieś niedaleko, na lewo od nich. Wiedział, że jeśli nie będą się poruszać z prędkością światła, zostanie im zaledwie kilka sekund życia. Nie widział nic przez popękaną szybę, ale okno od jego strony było otwarte i zobaczył, że drzwi samochodu bandytów otwierają się i wychodzą z nich uzbrojeni mężczyźni, z których jeden, ospowaty gość, którego zapamiętał z pościgu po ucieczce z mieszkania Evelyn, rzuca głośno po arabsku jakieś rozkazy. Corben spojrzał na Mię, która wyraźnie była w szoku, choć poza tym, że poduszka powietrzna wbiła ją w fotel, wydawało się, że wyszła ze zderzenia bez szwanku, po czym sięgnął po pistolet. Z kamienną twarzą strzelił najpierw w swoją, a potem w jej poduszkę. Obie szybko opadły, pozbawione wypełniającego je powietrza. Corben przykucnął, wystawił rękę przez okno i posłał kilka strzałów w stronę zabójców, którzy natychmiast rozbiegli się, szukając jakiejś osłony.

- Wychodź, tamtędy, już! - krzyknął do Mii, wskazując palcem drzwi.

Mia odpięła pas i szarpnęła desperacko za klamkę. Drzwi się nie otworzyły - po zderzeniu ich rama musiała się wykrzywić.

- Zacięły się - krzyknęła w odpowiedzi, ciągle napierając na nie całym ciężarem ciała.

- Nie chcą się otworzyć!

- Otwórz, bo zginiemy - wrzasnął Corben i strzelił jeszcze raz przez okno, zasypując ulicę kulami i zdobywając kilka cennych sekund. - Ramez, wychodź z wozu! Już! Na ulicę! -

rozkazał. Podniósł się nieco, żeby zerknąć przez zagłówek siedzenia na tył samochodu i zobaczył koniuszki palców profesora wystające zza oparcia i trzęsące się nerwowo. - Ramez! -

krzyknął jeszcze raz, naukowiec jednak nie odpowiedział i warknął tylko wściekle po arabsku coś, czego Corben nie zrozumiał.

Mia uderzyła ramieniem w drzwi, które skrzypnęły i otworzyły się na kilka centymetrów. Kopnęła je z całej siły, aż odchyliły się na tyle szeroko, by mogli przez nie wypełznąć z samochodu.

- Ok! - zawołała.

Corben popędził ją rozpaczliwie, krzycząc:

- Na zewnątrz i na ziemię!

Strzelił jeszcze kilka razy przez okno, po czym ze skuloną głową prze-czołgał się przez siedzenie i przecisnął przez szparę w drzwiach, upadając na chodnik.

- Ramez! - zawołał, waląc pięścią w tylne drzwi. Uniósł głowę i zajrzał do wnętrza samochodu, ale szybko musiał przykucnąć, klnąc niczym szewc, bo o karoserię samochodu zazgrzytała seria kul, wbijając się ostatecznie w mur z tyłu za nimi.

Usłyszał, że herszt zabójców krzyczy po arabsku:

- Musimy go mieć żywego, nie zabijajcie naukowca! Sekundę później Ramez zawołał

również po arabsku:

- Wychodzę, nie strzelać!

- Nie! - wrzasnął Corben. Usłyszał szcęk otwieranych po drugiej stronie tylnych drzwi. Odwrócił się do Mii. - Na ziemię! - rozkazał jej. Ścisnął obiema dłońmi pistolet i wziął

głęboki oddech, po czym z palcem na spuście skoczył w górę. Zobaczył, że Ramez z podniesionymi rękami chwiejnym krokiem oddala się od jeepa i zmierza w stronę dwóch zabójców, którzy wychylili się ze swoich kryjówek. Jeden z nich znalazł się dokładnie naprzeciw wylotu lufy pistoletu Corbena. Agent wystrzelił kilka razy. Mężczyzna poleciał do tyłu, wrzeszcząc z bólu, a na jego ramieniu wykwitła czerwona plama krwi. Corben wziął na cel drugiego bandytę, zawahał się jednak na moment, bo Ramez stał na linii ognia, i zanim zdążył wypalić, ospowaty wychylił się z ukrycia i wypuścił w jego stronę serię. Corben uchylił się i kilka kul wbiło się z hukiem niczym nity w wygiętą

blachę poszycia jeepa, podczas gdy inne musnęły jego dach i utkwiły w murze.

Mia i Corben przykucnęli przy samochodzie, opierając się o niego plecami. Corben rozglądał się na boki, rozpaczliwie starając się znaleźć wyjście z pułapki. Mia obserwowała go z sercem podchodzącym do gardła.

Usłyszał jeszcze kilka okrzyków po arabsku:

- Wykończyć ich, szybko, musimy ruszać!

Naprężył mięśnie, wyrzwał przez próg drzwi i zobaczył, że obaj zabójcy z dwóch stron zbliżają się do jeepa, a ich herszt wpycha Rameza do swojego samochodu. Wciągnął w płuca potężny haust powietrza, podniósł ostrzegawczo palec, wstrzymując Mię, zaczął ułamek sekundy, wsłuchując się uważnie w coraz bliższe odgłosy kroków, po czym, trzymając się cią-

gle przy ziemi, przetoczył się na bok w stronę tylnej części unieruchomionego samochodu i uniósłszy pistolet wycelował go w stopy znajdującego się zaledwie trzy metry od nich zabójcy. Wyrównał broń i wypuścił z niej trzy krótkie strzały. Kostki mężczyzny eksplodowały krwią, a on sam wywrócił się i zaczął wrzeszczeć z bólu.

Zaskoczyło to niezmiernie drugiego zabójcę. Mężczyzna wpadł w szal i posłał w stronę jeepa wściekłą serię z pistoletu, wrzeszcząc i klnąc ile sił w płucach.

Kule z impetem wbiły się w pojazd, rozrywając blachę, materiał fotela i ocalałe ze zderzenia szyby. W końcu herszt bandy ostrym głosem rozkazał swojemu człowiekowi wró-

cić do samochodu. Rozwścieczony strzelec, klnąc bez przerwy i wysyłając serię za serią, zaczął się wycofywać w stronę mercedesa.

Corben poczuł, że zaciskają mu się mięśnie szczęki. Czekał, aż zabójca odwróci się i zacznie wchodzić do samochodu, umożliwiając Corbenowi strzał. I rzeczywiście, kilka sekund później wściekła salwa umilkła. Corben zobaczył, że Arab wchodzi do mercedesa, i zakładając, że przeciwnik będzie najbardziej bezbronny znajdując się już do połowy w wozie, wyskoczył zza jeepa i wystrzelił. Niestety, sekundę wcześniej zaczęły zamykać się drzwi samochodu, a co gorsza mężczyzna z roztrzaskanymi kostkami odwrócił się, podniósł pistolet maszynowy i wycelował go w agenta. Corben szybko uchylił się i strzelił kilka razy wykrzywionemu z bólu Arabowi w pierś i czaszkę. Mercedes w tym czasie śmignął do przodu i po paru sekundach zniknął za rogiem.

Corben wstał. W uszach ciągle czuł ogłuszające uderzenia własnego serca. Wyszedł

na ulicę i spojrzał na powalonego zabójcę. Było raczej mało prawdopodobne, by udało mu się przeżyć. Agent rozejrzał się, usiłując się przyzwyczaić do martwej ciszy, która nagle zastąpiła panujący jeszcze kilka sekund wcześniej przeraźliwy zgiełk, po czym zawołał do Mii:

- Jesteś cała?

Mia wychyliła się zza jeepa, pokryta pyłem i z przytępieniem wzrokiem. Najwyraźniej jednak nic jej

się nie stało.

- Tak - powiedziała, kiwając jednocześnie głową. Okrążyła poobijany samochód i podeszła do Corbena.

Cała wstrząsająca scena rozegrała się w oszalamiającym tempie. Mia ciągle jeszcze była w szoku, ale czuła się też w dziwny sposób znieczulona. Wypadek, kule - wydawały jej się czymś osobliwie odległym, tak jakby wszystko przydarzyło się nie jej, a komuś innemu.

Całość układała się w jakąś niewyraźną, ogłuszającą, szaloną burzę, którą jednak Mii udało się przetrwać.

Widziała martwego zabójcę leżącego na środku drogi i chciała się odwrócić, ale nie mogła, nie od razu. Coś kazało jej podejść bliżej. Przez długą chwilę wpatrywała się zimnym wzrokiem w ciało - jedna ze stóp została oderwana od kostki, a asfalt wokół był zbryzgany krwawą masą - oraz surową, nieruchomą twarz bandyty, po czym spojrzała na Corbena.

On również na nią popatrzył, tak jakby starał się ocenić, jak się czuje. Jednak Mia w żadnym razie nie była załamana. Nie bała się, nie chciało jej się płakać. Czuła coś zupełnie innego.

Czuła gniew.

I w tym właśnie miejscu, na środku zakurzonej drogi, obok kałuży krwi zbierającej się pod martwym zabójcą, widząc parę wydobywającą się z silnika jeepa oraz zszokowanych cywili wyłaniających się z każdego zakątka i zmierzających ku nim w pełnym osłupienia milczeniu, poczuła, że najbardziej na świecie pragnie, aby dranie, którzy to zrobili, dranie, którzy porwali jej matkę, zabili żołnierzy, a teraz porwali również Rameza, porąbani psychopaci, którzy odbierali życie innym i poniewierali miastem tak, jakby było ich własnością, z bezczelną obojętnością siejąc wokół ból i zniszczenie, aby zostali przez kogoś powstrzymani i aby cierpieli przy tym - by użyć wyrażenia, którego znaczenie zaczęła nagle przyjmować z zupeł-

nie nieznanym sobie upodobaniem - potworne katusze.

ROZDZIAŁ 35

Corben skończył właśnie przetrząsać ciało zabójcy, szukając czegokolwiek, co mogło-by go doprowadzić do hakima lub telefonu komórkowego bandyty - niczego oczywiście nie znalazł - kiedy wpadli detektywi z Fuhud. Zabrali się szybko do usuwania martwego ciała i zniszczonego jeepa, dzięki czemu Corben mógł swobodnie odejść. Nie miał zamiaru zatrzymywać się na miejscu dłużej, niż było to absolutnie konieczne, zresztą nawet nie musiał.

Wprowadzenie policjantów we wszystkie szczegóły było niezbędną grzecznością, jeśli chciał nadal cieszyć się ich sympatią, ale zegar tykał. Faruk miał zadzwonić do Rameza za niecałe cztery godziny, a skoro naukowiec znalazł się w rękach wroga, Corben musiał działać szybko.

Wyciągnął swoją aktówkę i bez większej nadziei sprawdził tył jeepa, szukając telefonu Rameza,

który w zamieszaniu wypaść mógł mu z kieszeni. Nie znalazł go. Uklęknął na jedno kolano i zajrzał również pod samochód, ale i tam nie było śladu po komórce. Upewnił

się, że broń w schowku samochodu jest zabezpieczona, po czym opowiedziawszy w skrócie dwóm detektywom, co się wydarzyło, oraz poleciwszy im jak najszybciej oczyścić teren i póki co nie mówić nic prasie, podziękował za propozycję podwiezienia i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, polecając kierowcy zawieźć go razem z Mią do ambasady w Awkarze.

MIA SPOJRZAŁA PRZEZ TYLNA SZYBĘ taksówki na znikające w dali miejsce strzelaniny. Jechali w stronę Wschodniego Bejrutu i rozpościerających się za nim wzgórz.

Ciągle była oszołomiona wypadkami, które rozegrały się zaledwie kilka minut wcześniej, a przed oczami przesuwał jej się chaotyczny ciąg rozszalałych, wstrząsających obrazów. Powoli przyzwyczajała się do powściągliwej zwyczajności wygodnego samochodu. Kierowca, który prawie nie mówił po angielsku, włączył radio i z głośników zaczęła dobiegać ja-kaś otępiająca, wesoła arabska muzyka. Corben rozmawiał przez komórkę z kimś z ambasady, jej myśli powoli się uspokajały, aż wreszcie zaczęła bardziej przytomnie analizować to, co się jej przydarzyło. Obok przesuwały się za oknami gęsto upakowane, nieco odrapane, pokryte tynkiem apartamentowce, a Mia zastanawiała się, dokąd został zabrany Ramez. Wyobraziła go sobie w jakimś ponurym, pozbawionym okien pomieszczeniu - może w tym samym, w którym przetrzymywano Evelyn - ale po chwili pobiegła myślami do zbliżającego się telefonu od Faruka. Kiedy rozważyła w myślach potencjalne możliwości, poczuła przypływ niepokoju.

Usłyszała, że Corben kończy rozmowę, a ponieważ zatrzymali na ulicy przypadkową taksówkę - w dodatku z nieudanej próby nawiązania przez kierowcę luźniej rozmowy jasno wynikało, że właściwie nie rozumie on słowa po angielsku - Mia doszła do wniosku, że mogą swobodnie omówić sytuację. Odwróciła się do Corbena.

- Musimy coś wymyślić, żeby ostrzec Faruka - zaczęła. - Jeśli zadzwoni do Rameza, wejdzie prosto w ich pułapkę.

- Więc twoim zdaniem wiedzieli, że ma zadzwonić.

Nie zastanawiała się nad tym, ale wydawało jej się to oczywiste.

- A dlaczego mieliby go w innym razie porywać? Pojawili się w zbyt dobrym momencie, żeby uznać to za przypadek, nie sądzisz? Popatrz: Ramez dzwoni, że jest z nim w kontakcie i, bum!, nagle zjawiają się znikąd i go porywają? - Myśl o tym wywołała w niej jeszcze większy niepokój. Nie mogła się powstrzymać, żeby w obecności kierowcy nie ściszyć głosu.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że nie chcesz nic mówić tutejszym glinom o Ramezie.

Chodziło ci o to, że porywacze mogą mieć kreta na posterunku, tak?

Corben spojrzał na kierowcę. Mia podążyła za jego wzrokiem. Taksówkarz nie wykazywał

najmniejszego zainteresowania rozmową.

- Byłbym zdziwiony, gdyby nie mieli - powiedział Corben ściszym, niezrażonym tonem.

- W takim razie wiedzą, że Faruk do niego zadzwoni - powtórzyła uparcie konspiracyjnym szeptem.

- Musisz coś zrobić, żeby go ostrzec. Może wykorzystamy media? Mogliby-

śmy za ich pośrednictwem poinformować, że Ramez został porwany, może nawet dać mu sygnał, żeby się z nami skontaktował, zadzwonił na policję albo... Nie! - poprawiła się szybko -

Żeby zadzwonił do ciebie, bezpośrednio do ambasady.

- Jeśli się zorientuje, że Ramez został porwany - sprzeciwił się Corben - natychmiast ucieknie. Będzie tak wystraszony, że nikomu nie zaufa. Po prostu zniknie. A jeżeli tak się stanie, stracimy jedyny trop prowadzący do twojej matki.

- Ale on wejdzie prosto w ich pułapkę.

Wyraz twarzy Corbena wskazywał, że zdążył już to przemyśleć.

- Może potrafimy to wykorzystać.

- To znaczy? - zapytała zaskoczona Mia. Corben się zawahał.

- To znaczy, że może uda nam się za jednym razem dostać do Faruka i wypłoszyć tych gości. - Spojrzał znowu na kierowcę. - Nie wchodźmy może teraz w szczegóły.

Zrozumiała aluzję. Nie uważała wprawdzie, żeby rozmowa w obecności kierowcy przedstawiała jakiegokolwiek ryzyko, ale postanowiła ustąpić. Oparła się o tył siedzenia i wyjrzała przez okno, ciągle nie mogąc się pogodzić z myślą, że mieli wykorzystać Faruka jako przynętę.

Taksówka mknęła właśnie bulwarem, mijając nową przystań, w której błyszczące trzydziestometrowe jachty były mało estetycznie zestawione z rozklekotanymi drewnianymi łodziami rybackimi. Wjechali na autostradę prowadzącą do Wschodniego Bejrutu. Miasto tętniło życiem, nie zatrzymując ani na chwilę zblazowanego spojrzenia na nie tak znowu rzadkich aktach przemocy, które w innych krajach wywołałyby ogromne oburzenie. Przed oczami Mii przesuwali się sprzedawcy warzyw i owoców, a w umysł wwiercało jej się uporczywie pytanie, którego żadną siłą nie udawało się jej zignorować i które, kiedy już przeszło się do porządku dziennego nad palącym problemem uwolnienia Evelyn, sięgało tak naprawdę do sedna wszystkiego, co się wokół działo.

Odwróciła się znowu do Corbena.

- O co mu chodzi? Czego on szuka w jakiejś zatęchłej starej księdze?

- Nie wiem - odpowiedział zwyczajnie Corben.

- Przestań, przecież musiałeś badać sprawę. Pewnie masz jakąś teorię na ten temat, pewnie

próbowałaś się domyślić, czego szuka.

Corben znowu spojrzął przelotnie na kierowcę, po czym odwrócił się do Mii.

- Jak już mówiłem, to niekoniecznie jest istotne.

- Nie jest istotne?

- Próbujesz, tak jak cię nauczono, zastosować logikę, żeby wejść w głowę jakiegoś maniaka - wyjaśnił. - Ale to nie działa w ten sposób. Rozmawiamy o chorych ludziach, umyślowo chorych, szaleńcach. Saddam, jego synowie, kuzyni... Oni żyli w świecie własnych fan-tazji. Ludzkie życie nie miało dla nich żadnej wartości. Niektórzy chłopcy mają frajdę z wy-rywania skrzydeł motylom albo wysadzania żab za pomocą petard. Ci faceci bardzo ich przypominają, tyle że zabawa z ludźmi sprawia im jeszcze większą radość.

- Dobra, rozumiem, ale ciągle nie wiem, o co chodzi z tymi zabytkami.

- Możliwości jest mnóstwo - odpowiedział Corben. - Pamiętasz eksperymenty doktora Mengele? Obsesję Hitlera na punkcie okultyzmu? Może facet uważa, że jest związany z jakimś dawnym kultem. Kluczowe znaczenie ma tutaj słowo „szaleniec”. Kiedy weźmie się pod uwagę ten czynnik, wszystko staje się możliwe. W RPA kilka lat temu, w czasach apartheidu, pewien naukowiec prowadził projekt związany z programem broni biologicznej. Wiesz, na czym polegał? Gość próbował opracować etnospecyficzną broń biologiczną. Pracował nad wirusem, który zabijał wyłącznie czarnych ludzi. A było to już po tym, kiedy rozpuszczano tam w wodzie jakieś świństwo, dzięki któremu czarni stawali się bezpłodni. I to jest wykonalne. Wszystko jest wykonalne, jeśli chodzi o zabijanie ludzi. Skąd więc mam wiedzieć? Może facet szuka jakiejś dawnej recepty na coś, może jakiegoś wirusa, choroby albo trucizny, która przedstawia dla niego osobliwy, poetycki urok? A może jest zwyczajnym świrem i własna ob-sesja stanie się przyczyną jego upadku? Przekonamy się później.

Mia zastanawiała się przez chwilę. Być może rzeczywiście nie miało to znaczenia.

Najważniejsze było uwolnienie Evelyn, a pozbycie się haki-ma można było potraktować jako premię. Nie potrafiła jednak przejść nad tym do porządku dziennego.

- Irak, Persja, cały ten region ma za sobą bardzo bogatą historię, jeśli chodzi o medycynę - zauważyła. - Ale to przecież było tysiąc lat temu.

Jej mózg pracował teraz znacznie sprawniej niż wcześniej, a roztrząsanie zagadnień związanych z historią i medycyną pozwoliło jej znaleźć się na terytorium, na którym czuła się o wiele pewniej i bezpieczniej, nastawić umysł na teoretyczne myślenie, dzięki czemu mogła go oderwać od brutalnej rzeczywistości, w którą została wciągnięta. Pocięchę przynosiła jej również myśl, że mogła się w ten sposób okazać użyteczna.

- Wiesz może, ile lat ma ta księga? - zapytała. - Nie.

Zmarszczyła brwi i się zamyśliła. W jej głowie zakiełkował pewien pomysł.

- Pracowałam tutaj z pewnym historykiem. Facet nazywa się Mike Boustany i jest chodzącą encyklopedią, jeśli chodzi o wiedzę na temat regionu. Może kiedy pokażę mu zdję-

cia, będzie w stanie przybliżyć nam trochę wiek tej księgi?

Corben się skrzywił.

- Nie jestem pewien, czy mając na względzie to wszystko, co się wokół nas dzieje, powinniśmy je komukolwiek pokazywać.

- Mike na pewno będzie dyskretny, jeżeli go o to poprosimy. - Mia widziała, że Corben ciągle nie jest przekonany. - Powinniśmy próbować chwycić się wszystkiego, prawda?

Evelyn na pewno by tego sobie życzyła.

Corben przez chwilę wpatrywał się w Mię.

- Jasne, czemu nie - ustąpił w końcu. - Możesz spróbować. Chciałbym jednak, żebyś zastanowiła się nad czymś jeszcze. Powinnaś jeszcze raz przemyśleć możliwość wyjazdu z kraju. - Mia otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, on jednak uciszył ją gestem uniesionej dłoni.

- Czujesz, że powinnaś być tutaj, zdaję sobie z tego sprawę. To normalne. Ja też chciałem, żebyś została, bo myślałem, że może przypomnisz sobie coś istotnego. Ale to wszystko coraz bardziej wymyka się spod kontroli. Wiem, że chcesz zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby pomóc nam uwolnić matkę, ale realnie rzecz biorąc, nie sądzę, żebyś mogła jeszcze cokolwiek w tym kierunku uczynić. Ci faceci gotowi byli cię dzisiaj zabić. Musisz pomyśleć o swoim bezpieczeństwie. My będziemy się oczywiście starać ci je zapewnić, ale... niczego nie mogę zagwarantować. Nie mówię, że masz wyjechać gdzieś daleko, ale nawet Cypr byłby lepszy niż dalszy pobyt tutaj. Chcę tylko, żebyś się nad tym zastanowiła, w porządku?

Mia poczuła, że coś ją ściska za serce. Wiedziała, że zużyła już zapasy życzliwej kar-my, jakimi obdarowano ją w ciągu ostatnich kilku dni. Dalszy pobyt w mieście był po prostu kuszeniem losu i kiedy się nad tym zastanawiała, propozycja Corbena - choć demotywująca -

wydawała jej się całkiem sensowna. Jednak nie chodziło o racjonalne myślenie. Nie mogła wyjechać. I tyle. Wiedziała, że nie jest w Bejrucie bezpieczna. Nie była nawet pewna - nie mogła być - czy zostając w mieście, w jakikolwiek sposób przyczyni się do uwolnienia matki.

Ale tkwiła już w tym po uszy. Czuła się odpowiedzialna nie tylko za Evelyn, ale również za Rameza i Faruka, za powodzenie ich walki o przetrwanie. Czuła więz z tym miastem i z tymi ludźmi, nie potrafiła też przestać myśleć - nie miało sensu, żeby się tego wypierać - o perwersyjnej i niebezpiecznej radości, jaka pojawiła się gdzieś w jej trzewiach, gdy wokół świstały kule i kiedy uciekała, walcząc o życie.

Czując w piersiach ciężar konsternacji zmieszanej z ulgą, niepewna, za którymi instynktami powinna podążać, spojrzała wreszcie na Corbena.

- Zrób po prostu tyle, ile się da - mruknęła w końcu, nie mając ochoty roztrząsać dalej tego tematu. - Nie proszę o nic więcej.

- Załatwione. - Corben przerwał, po czym skinął uspokajająco głową. - Odzyskamy ją.

Wiedziała, że wcale nie było to takie pewne. Że nie mieli żadnej pewności.

Że przeciwnik miał nad nimi przewagę.

Ogarnęło ją poczucie ogromnej pustki. Odwróciła się i wyrzała przez okno. Przemykające obok miasto zamieniało się w zalaną słońcem, rozmazaną betonową plamę.

ROZDZIAŁ 36

Corben znalazł Mii miejsce pracy w niewielkim, wolnym pokoju obok biura prasowego, podłączonym do Internetu i wyposażonym w telefon. Powiedział jej, że zważywszy na to, że wkrótce miał zadzwonić Faruk, oraz na napiętą sytuację, poprosi kogoś innego, żeby załatwił jej pokój w hotelu lub w należącym do ambasady bezpiecznym mieszkaniu, i że w obu wypadkach ktoś przez cały czas będzie jej pilnował. Zapewnił też, że jak tylko znajdzie chwilę, żeby podskoczyć do siebie do mieszkania, przywiezie stamtąd jej rzeczy, a tymczasem ka-zał jej natychmiast dać mu znać, jeśli będzie czegokolwiek potrzebowała.

Zostawił ją w dobudówce i ruszył korytarzem w stronę głównej willi i gabinetu ambasadora.

Przez głowę przemknęło mu, że Mia miała zamiar porozmawiać ze swoim kolegą historykiem o zdjęciach. Zaniepokoiło go to nieco, ale nie sądził, żeby można było cokolwiek z tym zrobić. Wolałby, żeby zgodziła się opuścić kraj. Hakim i jego ludzie nie mieli zamiaru nikogo oszczędzać i nie przejmowali się skutkami ubocznymi. A poza tym, że Mia mogła zidentyfikować Faruka, Corben nie uważał, żeby mogła się w jakikolwiek sposób okazać przydatna. Mimo to był pewien, że zostanie. Co wywoływało w nim mieszane uczucia.

Mimo nieciekawych okoliczności, w jakich mieli okazję się poznać, polubił jej towarzystwo. Była ładna i inteligentna, i była Amerykanką.

Stanowiło to miłą odmianę w stosunku do luźnych znajomości, jakie zwykł nawiązywać, odkąd los rzucił go w ten zakątek planety. W Bejrucie nie brakowało kobiet - wręcz przeciwnie, zwłaszcza że ogromna liczba mężczyzn opuściła Liban w poszukiwaniu lepszej pracy i mniejszego ryzyka śmierci od jakiegoś zabłąkanego szrapnela - Corben był zaś przystojnym, wolnym mężczyzną. Biorąc więc pod uwagę to, że miasto w obliczu stałego - a w wypadku ostatniego lata rzeczywistego - zagrożenia wojną, aż iskrzyło od seksu, na jego kar-neciku rzadko pojawiały się wolne miejsca. Praca narzucała mu jednak pewne ograniczenia, jeśli chodzi o życie osobiste. Luźne związki zawsze pozostawały luźnymi związkami i Corben wiedział, że i tak nic nie wyszłoby z próby bycia z Mią, nawet jeżeli wokół nich nie rozpęta-

łoby się to całe piekło. Co właściwie mu odpowiadało.

Raczej nie był rodzinnym typem.

Ruszył schodami w stronę gabinetu ambasadora. Wolałby teraz nie tracić czasu na tego rodzaju spotkania, ale musiał poinformować szefa o porannych wydarzeniach. Nie miał

też ochoty rozmawiać na ich temat z nikim z ambasady, ale nie mógł się wykręcić ze spotkania. Strzelanina była zbyt głośna, zbyt rzucająca się w oczy, żeby trzymać się teraz z boku. W

każdym razie, kiedy się dowiedział, że w spotkaniu oprócz szefa placówki będą brać udział

również ambasador i Kirkwood, nie był zachwycony. Wiedział, że najbliższe godziny miały kluczowe znaczenie, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była teraz jakaś nieuzasadniona interwencja.

Natychmiast, kiedy się zjawił, poproszono go do środka. Przywitał się z wszystkimi i zajął fotel po drugiej stronie biurka ambasadora.

Ostrożnie ważył słowa. Co zresztą nie było dla niego problemem.

Leżało to w jego naturze.

Poinformował zgromadzonych w gabinecie mężczyzn o porwaniu Rameza i powiedział im, że Faruk jest nawróconym przemytnikiem i handlarzem, który znał Evelyn i zabiegał

o jej pomoc w sprzedaży zabytkowych przedmiotów. Nie wspomniał o księdze i jej związku z hakimem, sugerując, że to jacyś szukający skarbów przemytnicy z konkurencji porwali Evelyn i ścigali teraz Faruka. Opowiedział o oczekiwanej w południe rozmowie telefonicznej i o tym, jak planował dotrzeć do Faruka pierwszy, mając nadzieję, że dowie się od niego, kto przetrzymuje Evelyn i że uda mu się dzięki temu doprowadzić do jej uwolnienia.

Nie był zachwycony. Naprawdę nie chciał, żeby ktokolwiek się teraz wtrącał. Jeszcze mniej cieszył go fakt, że nie był pewny Kirkwooda. Natychmiastowe przybycie mężczyzny i jego żywe zainteresowanie sprawą uruchomiło w głowie Corbena dzwonek alarmowy, które-mu wiele lat wcześniej nauczył się ufać. Wyczuwał, że mężczyzna coś przed nim ukrywa.

Niestety nie miał czasu, żeby się tym zająć.

KIRKWOOD Z OKNA NA PARTERZE obserwował, jak Corben wraca do dobudówki.

Był już w ambasadzie, kiedy ambasador został telefonicznie poinformowany o zbrojnym ataku niedaleko uniwersytetu.

Kolejna jawna próba, w biały dzień, i to tym razem w zatłoczonej części miasta.

Sprawy zaczynały wymykać się spod kontroli. Musiał działać z większą ostrożnością.

Dzień wcześniej Corben po spotkaniu z ambasadorem zaprowadził go do swojego biura. Kirkwood czuł, że agent nie będzie szczególnie otwarty ani rozmowny, ale w końcu tego można się było

spodziewać po kimś, kto w ten sposób zarabia na życie. Należało się liczyć z tym, że będzie zaciemniał sprawę i kręcił. Tego rodzaju faceci nie dzielą się swoją wiedzą nawet z innymi rządowymi agencjami. Mimo to Corben zgodził się pokazać mu zdjęcia, a kiedy Kirkwood zobaczył na jednym z nich kodeks, jego podejrzenia potwierdziły się na całej linii.

Oba wydarzenia - telefon od zwiadowcy w Iraku, nagły, sprzed dwóch tygodni, informujący go o księdze, oraz próba nawiązania z nim kontaktu przez Evelyn za pośrednictwem centrali w Haldane - były ze sobą powiązane.

Rozgrywał w myślach różne scenariusze i nie miał wątpliwości, że ktokolwiek porwał

Evelyn Bishop, szukał tego samego co on. Ktoś jeszcze dowiedział się o tym i najwyraźniej miał zamiar zrobić wszystko, żeby położyć łapy na księdze.

Co trochę mieszało szyki Kirkwoodowi.

Wprawdzie miał jeszcze kilka asów w rękawie, ale ich użycie wymagało zgody na wymianę, a poza tym nie był pewien, czy będzie miał okazję nimi zagrać.

Wyciągnął telefon komórkowy i upewniwszy się, że nikt nie podsłuchuje, wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Minęło kilka sekund, zanim sygnał odbił się od kilku satelitów i w słuchawce rozległ się zakłócany trochę trzaskami sygnał. Po dwóch dzwonekach po drugiej stronie linii odezwał się mięsisty, gardłowy męski głos.

- Co słychać? - zapytał Kirkwood.

- W porządku, nie narzekam. Przedostanie się przez granicę zabrało mi trochę więcej czasu, niż myślałem. Mnóstwo osób próbuje się stąd wydostać. Ale już wszystko w porządku.

Jestem w drodze.

- A więc trzymasz się planu?

- Oczywiście. Będę tam za kilka godzin. Spotykamy się jutro w nocy, tak jak się umówiliśmy?

Kirkwood zastanowił się, czy nie warto zaryzykować malej zmiany planów, ale szybko doszedł do wniosku, że lepiej trzymać się tego, co ustalili wcześniej. Wybrali prawdopodobnie odpowiedni moment, poza tym raczej trudno mu było wymyślić skrót, który nie wią-

załby się z jakimś niebezpieczeństwem lub komplikacjami.

- Tak. Zobaczymy się tam. W razie problemów dzwoń. Wyłączył telefon, zastanawiając się, czy podjął właściwą decyzję. Wyjrzał przez okno i wrócił myślami do Mii Bishop.

Obserwował ją wcześniej, kiedy razem z Corbenem wchodziła do przybudówki.

Zaskoczyła go stanowczość w jej kroku, tym bardziej dziwna, jeśli pomyślało się o tym, przez co właśnie przeszła. Zastanawiał się, co się dzieje w jej głowie, jak się czuje, bę-

dać wplątana w coś takiego. Najważniejsze jednak, że była ostatnią osobą, która widziała jej matkę. Jak blisko ze sobą były? Czy Evelyn się jej zwierzyła? Czy młoda pani genetyk powiedziała Corbenowi wszystko, co wiedziała?

Musiał z nią porozmawiać.

Najlepiej nie w obecności Corbena.

ROZDZIAŁ 37

Corben wbiegł schodami na drugie piętro, zmierzając do pokoju łączności. Minęła już dziewiąta trzydzieści i do umówionej rozmowy Rameza z Farukiem zostały niecałe trzy godziny. Zadzwoił do Olshanskiego jeszcze z taksówki i powiedział mu, żeby spróbował uruchomić podsłuch.

Spotkanie poszło całkiem nieźle. Pozwolili mu pracować dalej na własną rękę, a w tym momencie właściwie niczego więcej nie potrzebował. Kirkwood tylko siedział i nie zadał

ani jednego wścibskiego pytania.

Corben zastał Olshanskiego w jego norze. Technik siedział przed zestawem trzech płaskich monitorów. Z głośników komputerów dochodziły jakieś stłumione i czasem zniekształcone głosy. Na środkowym ekranie było widać kilka otwartych okien. Na jednym z nich Corben dostrzegł przypominający fale graficzny wykres, przedstawiający jakieś odgłosy. Pod nim był wyświetlony komputerowy syntezytor, którego Olshansky właśnie używał, stukając coś na klawiaturze.

- Jak nam idzie? - zapytał Corben.

Olshansky nawet na niego nie spojrzał, wpatrując się w monitor.

- Udało mi się załadować mu do telefonu odbiornik GPS, ale póki co facet trzyma chyba komórkę w kieszeni. Słyszę tylko takie czary-mary.

Poprzednik Olshanskiego włamał się do komputerów dwóch libańskich operatorów sieci komórkowych, zresztą bez większego problemu.

Fakt, że kilku ich pracowników znajdowało się na liście płac ambasady, z pewnością nie utrudnił mu zadania. Corben miał nadzieję, że uda się wykorzystać ten dostęp, żeby za pomocy uruchamianej zdalnie „wędrównej pluskwy” podsłuchać, co się dzieje w zasięgu odbio-ru mikrofonu zainstalowanego w komórce Rameza. Umożliwiająca to technologia była przerażająco prosta.

Większość użytkowników telefonów komórkowych nie zdaje sobie sprawy, że ich telefony nie są do końca odcięte od zasilania nawet wtedy, gdy się je wyłącza. Żeby się o tym przekonać, wystarczy jednak ustawić w komórce alarm, wyłączyć ją i poczekać, aż zapali się ekran. FBI we współpracy z NSA opracowała technikę obserwacyjną - choć oczywiście służ-

by nigdy by się do tego nie przyznały - która umożliwiała zdalne załadowanie do większości telefonów komórkowych oprogramowania podsłuchowego. Pozwalało ono na uruchamianie w dowolnym momencie mikrofonu w aparacie, zdalnie i dyskretnie, co zamieniało tak naprawdę telefon w pluskwę, i to niezależnie od tego, czy był włączony czy nie. Żeby skonfigurować w ten sposób aparat, nie był nawet potrzebny bezpośredni dostęp do niego. Było to twórcze rozwinięcie starej prostej metody, wymyślonej jeszcze przez KGB, polegającej na zwiększeniu napięcia w linii naziemnej w celu uruchomienia mikrofonu w telefonie nawet w momencie, kiedy był on odwieszony.

Corben wsłuchał się w trzaski dochodzące z komórki Rameza. Brzmiały jak odgłos pocierania jakiegoś materiału o mikrofon, tak jakby telefon rzeczywiście znajdował się w czyjejś kieszeni. W tle było słychać jakieś odległe, ledwie dające się wyróżnić głosy.

- Możesz poprawić jakość dźwięku?

- Próbowałem. W zasięgu są jakieś zakłócenia. Nie mogę ich wyeliminować. - Wzruszył ramionami.
- Lepiej nie będzie.

RAMEZ NIE MÓGŁ POWSTRZYMAĆ drzenia. Jego otarte nadgarstki pulsowały, wpijając się w plastikowe paski, a ciągły ruch wywoływał w nich irytujące pieczenie. W każdym razie wyobrażał sobie, że tak się właśnie dzieje. Zarzucono mu na głowę jutowy worek i nic nie widział.

Bandyci zrobili to w kilka sekund po tym, jak wepchnęli go do samochodu, a potem -

choć wcale się nie opierał - wymierzili mu na dodatek z sadyzmem kilka silnych ciosów w twarz, wciskając go po chwili pod siedzenie i przygważdżając nogami do podłogi.

Jazda nie trwała zbyt długo i chociaż przebywanie w samochodzie - z głową okrytą śmierdzącym workiem, żebrami narażonymi na wymierzane od czasu do czasu uderzenia i uszami pełnymi śmigających obok stłumionych odgłosów miasta - było przeraźliwie męczące, wolałby tak cierpieć jeszcze o wiele dłużej, gdyby tylko mogło to opóźnić rozwój sytuacji.

Wyciągnęli go z samochodu i powlekli do jakiegoś rozbrzmiewającego echem budynku, po czym sprowadzili w dół po schodach, rzucili na krzesło i związali. Wariat z betonowymi pięściami nie mógł się powstrzymać od jeszcze jednego ciosu, który - co było najbardziej przerażające - tak jak poprzednie wylądował na jego wciśniętej w ciemny worek twarzy cał-

kowicie niespodziewanie.

Ramez słyszał od czasu do czasu jakieś ruchy, kroki i rozbrzmiewające gdzieś wokół

niego oraz nieco dalej głosy, męskie głosy. Bandyci mówili bez wątpienia z syryjskim akcentem, co nie wróżyło niczego dobrego - podobnie zresztą jak wszystko inne. Ramez poczuł

smak potu spływającego mu po posiniaczonej twarzy i mieszającego się z krwią z rozciętej wargi. Zadrżały mu usta. Worek, śmierdzący jakąś nieludzką kombinacją zgniłych owoców i smaru silnikowego, nie był zupełnie nieprzezroczysty. Przebijało się przez niego kilka słabych promieni zewnętrznego świata, nie na tyle jednak jasnego, żeby Ramez mógł cokolwiek zobaczyć - dręczyły go

tylko, nie pozwalając przewidzieć wymierzanych co jakiś czas przy-padkowych ciosów, których zadawanie wydawało się sprawiać porywaczom przyjemność.

Usłyszał zbliżające się kroki. Jego ciało zeszywniało. Wyczuł czyjąś obecność - ktoś mu się przyglądał, i to z odległości zaledwie kilku centymetrów. Milczący cień przesłonił całe światło i świat Rameza pogrążył się w jeszcze większej ciemności niż przedtem.

Mężczyzna przez kilka męczących sekund nic nie mówił. Ramez zamknął oczy i na-prężył się, oczekując kolejnego ciosu. Nie był w stanie powstrzymać drżenia - przeciwnie, trząsał się coraz bardziej, co tylko wzmagало pieczenie w nadgarstkach.

Cios jednak nie nadszedł.

I mężczyzna wreszcie przemówił.

- Za kilka godzin ktoś zadzwoni na twój telefon. Mężczyzna z Iraku, z którym spotka-
łeś się wczoraj. To prawda?

Zmysły Rameza ogarnęło przerażenie. „Skąd oni o tym wiedzą? Przecież nikomu o tym nie mówiłem. Dzwoniłem tylko na policję”.

Jedyny możliwy wniosek uderzył w niego jak kowadło. „Mają kontakty na posterunku. Co oznacza, że nikt mnie nie będzie szukał”. Zresztą, i tak była to złudna nadzieja. W ca-

łej makabrycznej historii miasta jeszcze żadna ofiara porwania nie została odbita siłą. Albo bywały zwalniane, albo - w większości wypadków - nie.

Nie miał czasu roztrząsać w myślach tej niewesołej perspektywy, bo poczuł, że męż-

czyzna łapie go za lewą dłoń i przytrzymuje ją mocno. Jego uścisk był miażdżący. Ramez zamarł.

- Chcę, żebyś powiedział mi dokładnie to, co ci każę. - Głos mężczyzny był przeraża-jąco groźny, choć spokojny. - Masz go przekonać, że wszystko jest w porządku. Ma ci uwierzyć. Ma uwierzyć, że wszystko jest w porządku. Jeśli zrobisz to dla nas, możesz iść do domu.

Nic nam nie zrobiłeś. Ale jest to dla nas bardzo, bardzo ważne. Musisz zrozumieć jak bardzo.

A żeby ci to ułatwić, powiem tyle, że jeśli go nie przekonasz, to...

Mężczyzna nagle, bez ostrzeżenia wygiął mu środkowy palec do tyłu - do samego końca - wyrwijąc kość z chrząstki i dotykając nim skóry ręki.

Z oczu Rameza wytrysnęły łzy. Szarpnął się, naprężył paski, zawył z bólu i - mimo gwałtownego, rozpaczliwego przyływu wydzielanej przez jego organizm endorfiny - prawie zemdłał, ale mężczyzna nawet się nie poruszył. Trzymał po prostu palec, wyginając go mocno do tyłu i nie przestawał mówić:

- ...możesz się spodziewać o wiele większego bólu niż teraz, zanim wreszcie pozwoli-my ci zdechnąć.

OLSHANSKY O MAŁO NIE WYSKOCZYŁ ze skóry, kiedy usłyszał krzyk, który eksplodował w głośnikach jego systemu.

Dobiegał z nich przez kilka męczących sekund, po czym zamienił się w skomlenie i wreszcie zamarł. Zaskoczył nawet Corbena, choć agent spodziewał się czegoś w tym rodzaju.

Wiedział, czego bandyci będą chcieli od Rameza, i zdawał sobie sprawę, że będą musieli tak nastraszyć naukowca, żeby mógł odegrać przekonujące przedstawienie.

- Jezus Maria - mruknął Olshansky. - Co oni mu, do cholery, zrobili?

- Podejrzewam, że wolałbyś nie wiedzieć - zmarszczył brwi Corben. Westchnął bezradnie, wyobrażając sobie scenę, która właśnie rozgrywała się w jakiejś piwnicy.

Krzyk i skomlenie zamilkły, zastąpione przez te same co wcześniej, denerwujące szu-my. Olshansky potarł policzki, kręcąc głową. Wyglądał na naprawdę wstrząśniętego.

Corben postanowił przez chwilę nie zakłócać ciszy. W końcu jednak odwrócił się do pierwszego z prawej monitora i zapytał:

- Co z lokalizacją?

Na ekranie było widać mapę Bejrutu, pokrytą liniami wyznaczającymi granice zasięgu różnych nadajników telefonii komórkowej obejmujących miasto.

Olshansky zebrał myśli.

- Są w tej strefie - powiedział, wskazując mapę. W Bejrucie komórki były ogromnie rozpowszechnione. Każda strefa w zatłoczonym mieście obejmowała jakieś dwa, trzy kilometry kwadratowe. Nawet jednak przy tak zaawansowanych metodach triangulacji, jakimi dysponował Olshansky, strefa o średnicy stu metrów ciągle była dosyć sporym stogiem siana, w jakim musieli szukać Rameza.

Corben zmarszczył brwi. Ramez był przetrzymywany w jednym z południowych przedmieść Bejrutu. Na terytorium Hezbollahu. Czyli zdecydowanie strefie zakazanej dla wielu Libańczyków. Praktycznie innej planecie dla Amerykanów, zwłaszcza o tak podejrzanych zawodach, jak „doradcy handlowi”. Było to również jedyne miejsce, w którym nie miał

żadnych kontaktów.

- Przynajmniej wiemy, skąd będą wyjeżdżać, kiedy zadzwoni Irakijczyk - stwierdził

Corben. Spojrzał znowu na zegarek. Musiał prędko wracać do miasta. Wstał i zaczął się zbierać do wyjścia. - Dasz mi znać, jak coś usłyszysz?

- Jasne - zapewnił Olshansky, nie odrywając oczu od ekranu. - O której godzinie gość ma telefonować?

- W południe. Poproszę Leilę, żeby do ciebie przyszła - dodał Corben, mając na myśli jedną ze współpracujących z ambasadą tłumaczek - na wypadek, gdyby udało ci się coś wyła-pać.

- Jasne - powiedział głuchym głosem Olshansky.

Corben zmierzał już w stronę drzwi, kiedy Olshansky coś sobie przypomniał.

- Tak przy okazji. Pamiętasz tego płochliwego gościa? Jest Szwajcarem. Corben się zatrzymał.

- Co?

Olshansky ciągle wyglądał na nieszczęśliwego.

- Ten zastrzeżony telefon na komórkę Evelyn Bishop, o który mnie prosiłeś.

Corben całkowicie zapomniał o rozmowie, którą kazał sprawdzić Olshanskiemu - tej, którą na posterunku odebrał Baumhoff.

- Dzwoniono do niej z Genewy - kontynuował Olshansky. Zaskoczyło to Corbena.

- Niełatwo to było sprawdzić - dodał informatyk. - Ktokolwiek dzwonił, cenił sobie prywatność. Rozmowa była przekierowywana na dziewięć międzynarodowych serwerów, z których każdy był chroniony własnym firewallem.

- Nic jednak nie oprze się twoim subtelnym metodom, co? Łaskotanie czułego ego Olshanskiego nigdy nie było czynnością bezproduktywną.

- Nie w wypadku tego dzieciątka - stwierdził ponuro Olshansky. - Udało mi się dotrzeć do serwera w Genewie, ale dalej ani kroku. Mówimy o naprawdę zawodowym kodzie.

Nie da się go złamać. Co oznacza, że nie mogę podejść ani metra bliżej.

- Genewa.

- Dokładnie.

Olshansky wzruszył ramionami.

- Cóż, daj mi znać, jak ci się uda zawęzić lokalizację do bardziej przydatnego poziomu

- odpowiedział beznamiętnym tonem Corben. - Może być trudno wziąć pod obserwację całe miasto.

Po czym wyszedł, słysząc ciągle w uszach skowyt Rameza.

ROZDZIAŁ 38

Koordynator projektu z ramienia fundacji był bardzo zawstydzony, kiedy Mia opowiedziała mu, co się wydarzyło. Przeprosił ją z całego serca, tak jakby za ataki była odpowiedzialna jego rodzina, i zapewnił, że w pełni rozumie jej sytuację i poprze każdą decyzję, którą Mia podejmie. Mia się rozłączyła, po czym wlepiała wzrok w monitor. Zdała sobie sprawę, że od wspólnego drinka z Evelyn znajdowała się na e-mailowym wygnaniu. Corben poprosił sekretarkę, żeby zalogowała ją do systemu biura prasowego, ale jak tylko Mia położyła ręce na klawiaturze, postanowiła przedłużyć jeszcze trochę post.

Czuła się zwyczajnie przytłoczona. Spojrzała przez okno na gęsto porośnięte lasem wzgórza za ambasadą, porządkując bezładne, szalone obrazy przepływające jej przed oczami i usiłując zarazić się panującym na zewnątrz spokojem. Zamiast tego przypominał się jej Uroboros, którego zaczęła wkrótce gryzmolić w leżącym przed nią notatniku. W końcu się podda-

ła. Znalazła w komórce numer i wybrała go. Po czwartym dzwonku w słuchawce rozległ się głos Mike'a Boustany'ego, historyka, z którym pracowała nad projektem. Słodki ton w jego głosie wkrótce ustąpił miejsca prawdziwej, serdecznej trosce. Mężczyzna nie słyszał jeszcze o porwaniu Rameza, wiadomość ta całkowicie więc go zaskoczyła. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy Mia powiedziała mu, że była świadkiem obu porwań.

Zapytał najpierw, co się dzieje. Mia czuła, że nie musi przed nim niczego ukrywać, i opowiedziała mu wszystko. Boustany milczał, zaskoczony tym, co ją spotkało.

- Może jest coś, w czym mógłbyś mi pomóc, Mike - zakończyła. - Co wiesz o Uroborosie?

- Zjadaczu ogona? Mamy jakieś ryty tego symbolu w naszych fenie - kich świątyniach. O to ci chodzi?

- Nie. Ten, który mnie interesuje, jest znacznie młodszy. Może z dziesiątego wieku.

Opowiedziała mu o jego wizerunkach w podziemnej komnacie i księdze.

Boustany wiedział mnóstwo o Braciach Czystości, ale jego zdaniem trudno było dostrzec jakikolwiek ich związek z Uroborosem. Mia chciała zagłębić się w temat, czuła jednak, że nie powinna wspominać historykowi o hakimie i jego zamku strachów. Powiedziała mu więc tylko, że trochę gubi się w znaczeniach symbolu i streściła, co udało jej się wyczytać na temat arabskich i perskich

uczonych tamtej epoki.

Boustany wiedział o nich bardzo dużo.

- Nie rozumiem jednego - podsumowała. - Ktoś najwyraźniej jest zdolny do przelania mnóstwa krwi, żeby tylko położyć łapy na tej księdze, tymczasem w tym, co tamci uczeni próbowali osiągnąć, trudno się dopatrzeć czegoś złego. Co w takim razie jest w tej księdze?

Boustany zachichotał cicho.

- Pewnie iksir .

- Co? O czym ty mówisz?

- Najstarsze pragnienie człowieka. Widzisz, problem polega na tym, że spoglądasz na to wszystko z racjonalnego punktu widzenia.

Zmarszczyła brwi.

- Już mi to ktoś powiedział.

- Czytałaś o osiągnięciach tych uczonych filozofów, które są łatwo dostępne. Tyle że, jak pewnie wiesz, oni nie ograniczali się do jednej dyscypliny. Interesowali się całą dostępną człowiekowi wiedzą - pragnęli osiągnąć mistrzostwo w opanowaniu tajemniczych sił rządzą-

cych naturą i stać się czymś w rodzaju zniczy oświetlających ścieżki wszystkich nauk. Studiowali więc medycynę, fizykę, astronomię, geologię... Ich umysły były głodne wiedzy, a przecież mieli mnóstwo do odkrycia. Przeprowadzali sekcje zwłok, snuli przypuszczenia co do istoty mechanizmów, według których funkcjonuje układ słoneczny... I prędzej czy później każdy z nich zwracał się w stronę alchemii.

- Alchemii? Przecież oni byli uczonymi, a nie szarlatanami.

Głos Boustany'ego znowu stał się spokojny jak powierzchnia jeziora.

- Alchemia była nauką. Bez niej ciągle rozpalalibyśmy ogień za pomocą dwóch paty-ków.

Po tych słowach zabrał ją na wyprawę do pradawnych czasów, kiedy nauka i religia zaczęły się w niepokojący sposób przenikać, kiedy rodziła się alchemia.

Wyjaśnił, jak starożytni Grecy w znamienny sposób rozdzielili naukę - na którą w tamtych czasach składały się głównie astronomia i chemia, która oznaczała „mieszanie” substancji - od religii.

- Nauka rozkwitła jako oparte na racjonalnych dociekaniach powołanie akademików i myślicieli - opowiadał. - Wszystko to się zmieniło, kiedy jeden z generałów Aleksandra Wielkiego, Ptolemeusz, ustanowił w Egipcie królestwo. Aleksandria - miasto założone przez wielkiego zdobywcę i nazwane od jego imienia - stała się centrum rozwiniętej nauki, czego dowodem była na przykład znajdująca

się w niej legendarna biblioteka. Najeżdżcom zaimponowało mistrzostwo Egipcjan w chemia, mimo że w ich wypadku wiedza mieszała się z religią i obsesją na punkcie życia po życiu. W ten sposób Grecy wchłonęli zarówno naukę, jak i religię Egipcjan. Chemia zaczęła się splatać z mistycyzmem, a praktykujących ją uczonych postrzegano odtąd jako podejrzanych adeptów tajemnej wiedzy. Mistrzów w dziedzinie chemia i astrologów obawiano się w tym samym stopniu co kapłanów. Wkrótce zaczęli oni wykorzystywać tę opinię, upajając się nowo zdobytą sławą czarnoksiężników i magików oraz zwierając szeregi i spowijając swoje praktyki mgiełką tajemnicy. Aby podtrzymać mity na własny temat, nasycili swoje dzieła symboliką, która była dostępna jedynie wtajemniczonym.

Nauka i magia przestały się od siebie odróżniać.

W rezultacie nauka - poważna nauka - zaczęła kuleć. Tego rodzaju nastawienie kazało uczonym trzymać się na uboczu i nie dzielić się z nikim swoimi odkryciami - albo porażkami.

Co gorsza, przyciągnęło to do nich różnej maści szalbierzy i szarlatanów, którzy w jeszcze większym stopniu okryli naukę złą sławą. Wszystkich opanowała trudna do odparcia pokusa zmierzenia się z najważniejszym wyzwaniem chemii - zamiany metali nieszlachetnych w złoto. Tendencje te całkowicie wymknęły się spod kontroli, aż wreszcie dwie siły ostatecznie zdławiły w Europie naukę: obawa rzymskiego cesarza Dioklecjana przed tym, że tanie złoto osłabi jego rządy, która doprowadziła do wydania rozkazu spalania wszystkich znanych pism z dziedziny chemia, oraz rozwój chrześcijaństwa, które bezwzględnie tępiło heretyckie, po-gańskie nauki. W ten sposób z chrześcijańskiego Imperium Rzymskiego wymieciono grecką naukę. Pałeczkę przejął wtedy Wschód i poprowadził ją bardzo daleko.

W siódmym wieku wojska arabskich plemion zjednoczyły się, a następnie - czerpiąc siłę z nowej religii - przekroczyły granice Półwyspu Arabskiego i rozlały się po ogromnych połaciach Azji, Europy i Afryki. Kiedy podbiły Persję, ich przedstawiciele natrafili na pozostałości po greckich naukach. Pisma te zaintrygowały ich. Słowo chemia wyewoluowało w nowe określenie: al-kimija - przedrostek „al” pełni w arabskim taką samą funkcję jak w angielskim „the”. Los powierzył grecko-egipską alchemię Arabom. Mieli się nią opiekować przez następne pięć stuleci.

Wywiązali się ze swojego zadania doskonale: opanowali całą przekazaną i ni wiedzę i znakomicie ją rozwinęli.

Ten złoty wiek skończył się wraz z inwazją barbarzyńskich Mongołów i Turków.

Ostatecznie pozostałości po arabskiej wiedzy naukowej krzyżowcy przywieźli z powrotem do Europy. Do przywrócenia greckich osiągnięć macierzystemu kontynentowi przyczynili się szczególnie chrześcijanie zamieszkujący Półwysep Iberyjski, którzy odzyskali od Maurów ziemie w Hiszpanii i Portugalii. Dzięki wysiłkom tłumaczy z Toledo i innych centrów naukowych osiągnięcia nauki Wschodu ożyły w końcu na nowo na Zachodzie.

Al-kimija stała się alchemią, a kilkaset lat później przybrała bardziej szanowane miano chemii.

- Ci uczeni filozofowie osiągnęli naprawdę dużo na gruncie tego, co dzisiaj nazywamy chemią - opowiadał Boustany. - Potrafili otrzymywać kwasy, mieszać metale i syntetyzować nowe substancje.

Przez stulecia interesowała ich w szczególności jedna z nich.

- Złoto - powiedziała Mia.

- Oczywiście. Nęcąca perspektywa wytwarzania złota nigdy nie przestała kusić nawet najbardziej trzeźwo myślących uczonych. W którymś momencie każdy z nich dawał się opę-

tać obsesji na punkcie tego, co najbardziej interesowało ich mecenasów, czyli różnych kalifów i imamów: uzyskiwaniu z metali nieszlachetnych złota.

Mia zastanowiła się nad słowami historyka. W mieszkaniu Corbena przejrzała pobież-

nie krótką biografię Jabira ibn Hayyana, znanego na Zachodzie pod imieniem Geber. Jego dzieła, spisane trudnym do odczytania kodem, według powszechnego mniemania były uznawane za źródło angielskiego słowa gibberish, czyli bełkot. Potrafił on uzyskiwać silne kwasy, ale pracował również usilnie, odnosząc spore sukcesy, nad trans-mutacją metali. Mia nie zwróciła wcześniej na to uwagi, ale nawet gdyby to było w jakiś sposób możliwe - choć nie uważała, że było - nie sądziła, żeby w kontekście odkryć w laboratorium hakima miało to być

- by użyć ulubionego określenia Corbena - istotne.

- Myślę, że tutaj nie chodzi o to - powiedziała.

- Dlaczego nie?

- Jest coś, o czym ci nie wspomniałam - wyjaśniła z pewnym wahaniem. - W całą sprawę wplątany jest pewien facet. Uważamy, że to on za wszystkim stoi. Gość... prowadzi jakieś dziwne eksperymenty medyczne.

Boustany przez chwilę się nie odzywał.

- Na ludziach?

- Właśnie.

Historyk długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Może więc facet rzeczywiście szuka iksiru - powiedział w końcu.

- Znowu ten iksir . O czym ty, do diabła, mówisz?

- O obsesji starej jak świat. Jest jej na przykład poświęcony Epos o Gil-gameszu, jedna z najstarszych spisanych opowieści w dziejach ludzkości.

Mia w ciągu kilku tygodni znajomości z historykiem zdążyła już poznać jego upodobanie do dręczenia w ten sposób ludzi. Przeważnie było to urocze. Tym razem musiała po prostu wszystko od niego wydobyć.

Boustany wyjaśnił jej, że dla Awicenny i innych uczonych filozofów brakującym elementem zabawki był kamyczek uruchamiający lawinę, katalizator, który byłby w stanie pobudzić odpowiednią mieszankę metali nieszlachetnych. Według sięgającej czasów starożytnych tradycji, miał nim być jakiś suchy proszek. Grecy określali go słowem xeōn, co w ich języku oznaczało „suchy”. W arabskim używano słowa al-iksir. Setki lat później Europejczycy zaczęli nazywać nieodkryty al-iksir eliksirem. A w związku z tym, że dawnych uczonych znamy dzisiaj przede wszystkim jako filozofów, i ponieważ uważano, że tajemnicza substancja pochodzi z ziemi, stała się również znana jako kamień filozoficzny.

- Tę mityczną substancję uważano za tak cudowną, że alchemicy wkrótce zaczęli przypisywać jej również inne moce - dodał Boustany - Miała nie tylko być katalizatorem, któ-

ry uruchamiał proces prowadzący do nieopisanych bogactw, ale oferowała również, według nich, władzę leczenia wszelkich chorób. Ostatecznie zaczęto uważać, że jest w stanie zapewnić człowiekowi nieśmiertelność. Stąd właśnie wzięło się określenie potencjalnego al-iksiru życia, czyli eliksiru życia. W ten sposób misją al-kimija stało się osiągnięcie dwóch, blisko ze sobą związanych celów: złota i wiecznego życia.

W umysłach alchemików oba ściśle się ze sobą łączyły. Złoto się nie psuje, a więc się nie starzeje. Niektórzy uczeni wymyślili nawet sposoby na przyswajanie go sobie - zwykle w formie proszku - i złota zaczęto poszukiwać bardziej z powodu jego domniemych odmładzających właściwości niż wartości przeliczanej na pieniądze.

Idea eliksiru życia - kontynuował Boustany - została uzupełniona o archetypiczną teorię starzenia, według której jego przyczyną była utrata jakiejś substancji witalnej. Dlatego właśnie nasze ciała wyraźnie wysychają i kurczą się, aż wreszcie całkowicie przestają funkcjonować. Taoiści nazywali tę substancję ching i opisywali ją jako witalny oddech życia.

Również Arystoteles, Awicenna i wielu innych uważali, że ciało z wiekiem traci swoją „wrodzoną wilgoć”. Wenecki lekarz Eugen Steinach propagował wśród pacjentów jako środek odmładzający stosunek bez wytrysku - metodę polegającą na zachowaniu życiodajnych płynów, którą dzisiaj nazywamy wasektomią. Inny chirurg, Serge Voronoff, uważał, że skoro komórki reprodukcyjne nie starzeją się tak mocno jak inne, muszą zawierać jakiś przeciwstawiający się temu procesowi hormon. Podejmując chybioną próbę ponownego nasycenia organizmu większą ilością tego magicznego eliksiru, wszczepiał ludziom w jądra tkanki jąder małp, zresztą z łatwym do przewidzenia, tragicznym skutkiem. Nawet żarliwa wiara w pomyślne życie po śmierci nie potrafiła powstrzymać rozpaczliwych prób odnalezienia recepty na długowieczność: w latach pięćdziesiątych starzejący się papież Pius XII przez cały czas utrzymywał sze-

ściu osobistych lekarzy. Szwajcarski chirurg Paul Niehans wstrzykiwał mu wyciąg z gruczo-

łów płodów owiec. Na imponującej liście klientów kliniki Niehansa w Montreux w Szwajcarii znajdowali się królowie i gwiazdy Hollywood.

Tak więc - podsumował Boustany - przez całe wieki alchemicy i szarlatani wymyślali tysiące trucizn i płynów, eliksirów młodości, które miały uzupełnić lub zastąpić wspomnianą zagubioną „esencję”

życia. Wózki wędrownych handlarzy zostały zastąpione przez suplementy wypełniające całe aleje supermarketów i rozplenione w Internecie, a sprzedawcy cudownych mikstur - przez pseudonaukowców oferujących hormony, minerały i inne cudowne lekarstwa, które mają przywrócić naszym ciałom młodzieńczy wigor, nie będących w stanie poprzeć swoich obietnic żadnymi naukowymi dowodami lub podpierających je danymi naukowymi starannie wyselekcjonowanymi i odpowiednio zinterpretowanymi. Cel jest jednak ten sam. Ostateczna granica - jedyna, której do tej pory nie udało nam się przezwyciężyć.

Mia westchnęła ponuro.

- Z tego, co mówisz, wnioskuję, że mamy do czynienia z szaleńcem.

- Na to wygląda.

Mia odłożyła słuchawkę, ciągle walcząc z myślą o „szalonym naukowcu” - myślą, którą, malując sobie w wyobraźni obraz porywacza swojej matki, przez cały czas starała się od siebie oddalić, a która prawdopodobnie pokrywała się jednak w znacznym stopniu z prawdą.

ROZDZIAŁ 39

Hakim zagłębił się w swoim fotelu w gabinecie, rozkoszując się błogim uczuciem ożywienia. Poranny zabieg, któremu z bezwzględną regularnością poddawał się od lat, jak zawsze wywołał u niego stan pobudzenia. Delektował się rześkim jesiennym powietrzem, wdychając je głębokimi zachłannymi haustami, a koktajl złożony z hormonów i sterydów rozchodził mu się po żyłach i sprawiał, że przez jego skórę płynął przyjemny prąd. Nagły strumień energii oczyścił mu umysł i obraz przed oczami, wzmacniając jednocześnie zmysły. Wszystko wokół wydawało się płynąć nieco wolniej. Nie potrafił sobie wyobrazić stanu większej euforii, zwłaszcza że kuracja nie pociągała za sobą utraty kontroli nad rzeczywistością, co w jego wypadku byłoby nie do zaakceptowania.

Gdyby tylko ludzkość wiedziała, co traci.

W dodatku wieści z Bejrutu były całkiem obiecujące. Omar i jego ludzie dorwali Rameza. Jeden z nich został zabity, inny odniósł poważną ranę - trzeba się będzie nim zająć, choć wyprawa do szpitala, nawet w przyjaźnie nastawionej części miasta, była niemożliwa, a stan mężczyzny najwyraźniej nie pozwalał na to, by przemycić go przez granicę - ogólnie jednak cała operacja zakończyła się sukcesem.

Szkoda tylko, że nie udało się zabić Amerykanina. Hakim wyczuwał, że zainteresowanie mężczyzny sprawą stawało się powoli problemem. Dotarł zbyt blisko, był zbyt... zaangażowany.

Omar poinformował hakima, że Amerykanin zabrał z mieszkania Bishop jej laptopa i teczkę. Jedną teczkę. Standardowa procedura w takich wypadkach, a może coś więcej? Co prawda została uprowadzona Amerykanka, a Amerykanie traktowali takie sprawy poważniej niż inni, ale uparta determinacja mężczyzny kazała podejrzewać, że kryje się za nią coś bardziej osobistego.

Czyżby facet wiedział, o co tak naprawdę toczy się gra?

Hakim kazał Omarowi zachowywać od tego momentu szczególne środki ostrożności.

Do telefonu irakijskiego handlarza zostało bardzo mało czasu. Księga wkrótce będzie należeć do hakima.

Sprawy wyglądały obiecująco.

Bardziej niż obiecująco.

Jakimś sposobem, w miarę jak świeża dawka preparatu rozchodziła się po organizmie hakima i jego umysł widział wszystko coraz wyraźniej, uzyskiwał coraz większą pewność, że tym razem, wreszcie, jest blisko.

Zamknął oczy i wciągnął głęboko w płuca powietrze, upajając się perspektywą nieodległego sukcesu. Jego myśli pobiegły swobodnie, a przed oczami zaczął się hakimowi przesuwać ciąg obrazów jego domu Reminiscencje.

Tego, jak po raz pierwszy zwrócił uwagę na niezwykle możliwości, jakie prezentowała sobą kaplica.

Tego, jak po raz pierwszy uświadomił sobie swoje wyjątkowe dziedzictwo.

Oczywiście odwiedzał kaplicę już wcześniej. Wychował się tam, w Neapolu, mieście, w którym po dziś dzień imię jego przodka wymawia się ściszym głosem. Ale ta wizyta -

miał wtedy dziewięć lat - pozwoliła mu narodzić się na nowo dla tajemnic przeszłości. Tego dnia do kaplicy zabrał go dziadek.

Uwielbiał spędzać czas ze staruszką. Było w nim coś trwałego, dodającego otuchy.

Nawet w tak niewinnym, chłopięcym wieku - nazywał się wtedy jeszcze Ludovico - był w stanie wyczuć szacunek, jaki jego dziadek wzbudzał u innych. Sam pragnął cieszyć się podobną wewnętrzną siłą, zwłaszcza kiedy przebywał na placu zabaw, gdzie więksi i silniejsi chłopcy dokuczali mu z powodu jego przodka.

W Neapolu nazwisko di Sangro było krzyżem ciężkim do udźwignięcia.

Dziadek nauczył go być dumnym i zwracać uwagę na dziedzictwo jego rodziny. Na li-tość boską, w końcu byli książętami, a poza tym geniusze i wizjonerzy często byli wyśmiewani i prześladowani w swoich czasach. Ojciec Ludovica nie był zainteresowany zrozumieniem tego, co leżało u podstaw ich przeszłości, wybierając postawę pełną zażenowania i skruchy w stosunku do swojego rodowodu. Ludovico był inny, a jego dziadek dostrzegał to w małym chłopcu i pielęgnował. Uczył go, że ich przodek osiągnął naprawdę dużo. Owszem, cieszył

się złą sławą czarnoksiężnika i demonicznego alchemika. Wokół aż huczało od plotek, że prowadził jakieś potworne eksperymenty na nieświadomych niczego ofiarach. Niektórzy uważali, że ich celem

było wyhodowanie doskonałych kastratów, nie legalnie trzebionych śpiewaków, którzy urzekali publiczność i umożliwili siedemnasto - i osiemnastowiecznej włoskiej operze wspięcie się na same wyżyny tej sztuki. Inni szli nawet dalej, twierdząc, że książę zlecił zabójstwo siedmiu kardynałów, którym nie podobały się jego zainteresowania, i że kazał

sobie zrobić fotele z ich skóry i kości.

Zdaniem dziadka Ludovica, tego rodzaju opowieści świadczyły o ograniczonych zdolnościach intelektualnych, niewielkiej wyobraźni i zwyczajnej zazdrości krytyków Raimonda di Sangro. Książę należał w końcu do prestiżowej Accademia della Crusca, szanowanego klubu zrzeszającego ówczesną włoską elitę literacką. Wynalazł nowe rodzaje broni palnej, na przykład dubeltówkę ładowaną od tyłu, i zrewolucjonizował proces wytwarzania fajerwerków. Wyprodukował wodoodporny materiał oraz udoskonalił techniki barwienia marmuru i szkła. Najważniejsze jednak, że zasłużył się budową pomnika nieśmiertelnej potęgi: Capella San Severo, swojej prywatnej kaplicy w samym sercu Neapolu.

Hakim doskonale pamiętał brzemienną w skutki wizytę z dziadkiem w kaplicy. W dolnej części zewnętrznych murów, tuż przy wejściu, znajdowały się tam okratowane okna komnat, które kiedyś służyły księciu za laboratorium. Wnętrze niewielkiego barokowego kościoła olśniewało niespotykanymi nigdzie indziej malowidłami i dziełami sztuki. Marmurowe posą-

gi, z których najslynniejszy był Zasłonięty Chrystus Sanmartino, fascynowały każdym swoim szczegółem, dokładnością rysów twarzy wyraźnie widocznych pod cieniutką warstwą marmuru. Po dziś dzień dla ekspertów jest zagadką, w jaki sposób było możliwe osiągnięcie takiego efektu.

Dziadek zaprowadził go jednak do innej rzeźby - Odarcia z iluzji Queirola. Był to kolejny cud wykorzystujący efekt zasłonięcia i ukazywał ojca księcia, który z pomocą skrzydlatego młodzieńca próbuje uwolnić się z więzów sieci. Dziadek hakima wyjaśnił mu, że rzeźba przedstawia człowieka, który wspomagany przez intelekt stara się wydobyć z pułapki fałszywych przekonań.

W piwnicy mieściło się jeszcze więcej cudów. Wąskie, spiralnie zwinięte schody prowadziły do laboratorium księcia, w którym w dwóch szklanych gablotach znajdowały się niesławne „maszyny anatomiczne” szkielety mężczyzny z jednej strony i kobiety w zaawansowanej ciąży z drugiej. Ich żyły, arterie, organy i cały układ krążenia były idealnie zakonserwowane za pomocą jakiejś nieznannej i nadal budzącej zdumienie techniki.

W późniejszych latach dziadek dużo opowiadał młodemu Ludovico o tajemniczym życiu jego przodka. Principe, jak twierdził staruszek, miał obsesję na punkcie udoskonalenia rodzaju ludzkiego. Kastraci byli doskonałymi śpiewakami. Maszyny anatomiczne były elementem jego poszukiwań, których celem było stworzenie doskonałego ludzkiego ciała. Na płycie nagrobnej księcia były wyryte znamienne słowa: „Podziwu godny człek urodzony, by porwać się na to, co niemożliwe”. Górowała ona zresztą nad pustym grobem: jego ciało zosta-

ło wykradzione. W pewnym momencie życia principe w jego obsesji nastąpił gwałtowny zwrot. I kiedy Ludovico skończył osiemnaście lat, dziadek wreszcie powiedział mu, co stało się przyczyną opętania jego przodka.

Przekazał mu również pamiętniki Raimonda di Sangro oraz coś, co młodzieniec miał

odtąd cenić bardziej niż wszystko inne: talizman, medalion, na który składał się wizerunek węża zjadającego własny ogon. Ha-kim nigdy się z nim nie rozstawał.

Wyjawiona tajemnica wpłynęła na życie Ludovica bardziej, niż jego dziadek wyobrażał to sobie w najśmielszych snach - czy może koszmarach.

Początki były bardzo obiecujące. Ludovico był świetnym uczniem i wkrótce został

studentem uniwersytetu w Padwie, gdzie zrobił doktorat z wyróżnieniem z geriatrici oraz biologii komórkowej. Jako cieszący się doskonałą reputacją, błyskotliwy młody biogenetyk uzyskał możliwość prowadzenia na macierzystej uczelni badań w dysponującym znaczącym budżetem laboratorium, gdzie eksperymentował z komórkami macierzystymi, przemianami hormonalnymi i rozpadem komórkowym. Z czasem jednak coraz silniej odczuwał ograniczenia narzucane przez oficjalną naukę. Zaczął robić postępy i coraz wyraźniej przekraczać ogólnie przyjęte w biologii zasady etyki. Jego eksperymenty stawały się coraz bardziej ryzykowne.

Coraz skrajniejsze.

Gorzką ironią losu w tym właśnie czasie zmarł jego dziadek. Rodzice próbowali wychować Ludovica na dobrego katolika, uczono go więc w domu i w kościele, że śmierć była wyrazem Boskiej woli i że On był jedynym dysponentem nieśmiertelności. Dziadek usiłował

ograniczyć wpływ tych nauk na wnuka, ale dopiero jego śmierć - to jedno zwyczajne wydarzenie - sprawiła, że wypowiedane wielokrotnie słowa zapadły hakimowi w świadomość. Ludovico zdał sobie sprawę, że zaakceptowanie czegoś takiego jak śmierć, jest wbrew jego naturze, że nie może dać się pokonać śmierci. Że nie ustąpi bez walki. Grób - własny oraz tych, których kochał - mógł poczekać.

Miłość nie była w stanie przezwyciężyć śmierci. Nauka - owszem.

W ten sposób, przy takim nastawieniu umysłu, zaczął prowadzić coraz mniej akceptowalne eksperymenty.

Wkrótce stały się one nielegalne.

Został zmuszony do odejścia z uniwersytetu, wypędzony bliską perspektywą podjęcia przeciw niemu przez władze kroków prawnych.

Żadne laboratorium na Zachodzie nie chciało nawet o nim słyszeć.

Wyjście z trudnej sytuacji zaproponował mu uniwersytet w Bagdadzie. Co w końcu doprowadziło go - a przynajmniej miał taką nadzieję - do ulotnej tajemnicy, która prześladowała jego przodka.

UMYSŁ HAKIMA, POBUDZONY PRZEZ krążące w jego żyłach chemikalia, zaczął ponownie

analizować wydarzenia ostatnich kilku dni, przewiercając je na wylot i spoglądając na nie z różnych, innych niż wcześniej stron. Mimo radosnego podekscytowania, jakie wywoływała u niego perspektywa zatrzymania irakijskiego handlarza i zdobycia księgi, hakim nie był jednak w stanie przestać myśleć o zaginionym kochanku amerykańskiej archeolog. Coś związanego z nim gnębiło jego umysł, podkopywało pragnący w nim zagościć spokój, tak jakby został w nim uruchomiony jakiś czujnik.

I w tym właśnie stanie wzmożonej aktywności mózgu, który składał w całość kolejne elementy układanki, hakim poczuł, że z samych rubieży jego świadomości opada na niego cudowne objawienie.

„Jak mogłem nie zauważyć tego wcześniej?”.

„Przebiegła suka” - pomyślał. Udało jej się zataić przed nim mały klejnocik.

Zerwał się i wypadł z gabinetu. Ruszył po wykafelkowanej podłodze w stronę piwnicy, wykrzykując po drodze rozkaz, żeby ktoś go tam eskortował.

EVELYN AŻ PODSKOCZYŁA, KIEDY w zamku drzwi usłyszała brzęk klucza.

Nie wiedziała, jak długo przebywa w zamknięciu, ani nawet tego, czy na zewnątrz jest dzień czy noc. W ponurym odosobnieniu jej celi poczucie miejsca i czasu straciło na znaczeniu. Wiedziała tylko, że nie przebywała w niej zbyt długo i że sądząc z relacji z innych porwań w Bejrucie, spędzi pewnie w więzieniu jeszcze bardzo dużo czasu.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł jej inkwizytor. Tym razem nie miał na sobie kitla, co wlało pewną otuchę do serca Evelyn. Obrzucił szybko wzrokiem celę, jak surowy menedżer hotelu oceniający stan pokoju gościnnego, po czym usiadł na skraju jej łóżka.

W jego oczach błyszczała jakaś gorączkowa energia, która wzbudziła u Evelyn głęboki niepokój.

- Coś mi się wydaje, że w czasie naszej ostatniej pogawędki zapomniałaś wspomnieć o pewnym drobnym szczególe - powiedział niemal swawolnym tonem.

Nie była pewna, o co mu chodzi, cokolwiek to jednak było, mężczyzna był zbyt zachwycony faktem, że udało mu się to odkryć, by mogło to oznaczać coś dobrego.

- Ten twój wędrowny kochanek - powiedział, promieniując irytującą protekcjonalno-

ścią. - Tom Webster. Dziwię się, że ciągle żywisz w stosunku do niego tak silne uczucia, że tak bardzo chcesz go chronić. Zważywszy na to, z czym cię zostawił.

Nachylił się, wpatrując się w nią z lubością, tak jakby rozkoszował się jej lękiem wywołanym jakąś kolejną umysłową gierką. Evelyn zauważyła, że spod jego rozpiętej koszuli wystaje jakiś medalion. Wystarczył jej rzut oka, żeby rozpoznała na nim symbol Uroborosa.

W tym momencie zorientowała się, że i on - podobnie jak Tom - nie powiedział jej wielu rzeczy o

dawno zapomnianych mieszkańcach komnaty w Al-Hillah.

- W ciąży - powiedział chrypiącym głosem. - Nie myślę się, co? Mia... Jest jego córką.

Zgadłem?

ROZDZIAŁ 40

Przez ponure myśli Mii przebił się jakiś męski głos. - Pani to pewnie Mia Bishop.

Odwróciła się. Stojący przed nią mężczyzna wyciągnął dłoń.

- Bill Kirkwood. Szukam Jima.

Ścisnęła rękę mężczyzny, przyglądając się rysom jego twarzy. Wyglądał na sympatycznego człowieka, ale w jego zachowaniu było coś powściągliwego, jakieś pełne rezerwy wahanie, które wywoływało u niej poczucie skrępowania.

- Nie wiem, gdzie może być - powiedziała. - Zostawił mnie tutaj godzinę temu.

- Rozumiem. - Wydawało się, że przez chwilę się waha. - Przykro mi z powodu tego, co przydarzyło się pani matce - wydusił w końcu z siebie.

Mia nie była pewna, co powinna powiedzieć.

- Tak to już bywa - stwierdziła ostatecznie.

- Problem polega na tym, że ostatnio właśnie nie. Nie w Libanie. Wszystkich nas to bardzo zaskoczyło. Jestem jednak pewien, że nic jej nie będzie.

Mia skinęła głową. Przez chwilę w powietrzu wisiała krępująca cisza.

- Słyszałem, że to nie koniec pani przygód rodem z Dzikiego Zachodu - odezwał się w końcu Kirkwood.

Mia wzruszyła ramionami.

- Chyba mam talent do pojawiania się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

- Można to tak określić. Z drugiej strony, to, że znalazła się tam pani tego wieczoru i opowiedziała policjantom, co przydarzyło się pani matce, być może pozwoli im uratować jej życie.

Mia się rozchmurzyła. Uwaga Kirkwooda nieco ją pocieszyła.

- Mam nadzieję. Znał ją pan? Kirkwood skinął głową.

- Trochę. Z UNESCO. Sponsorowaliśmy niektóre z jej wykopalisk w tym regionie. To wspaniała kobieta, ogromnie ją szanujemy. A cała ta sprawa to coś... okropnego. Powiedz mi, Mio... Mogę tak

cię nazywać?

- Jasne.

- Jakie sprawiła na tobie wrażenie?

- To znaczy?

- Byłaś ostatnią osobą, z którą widziała się przed porwaniem - przypomniał jej Kirkwood. - Wydawała się zdenerwowana? Coś ją martwiło?

- Nic szczególnie. Trochę była zdezorientowana w sprawie Faruka. Wiesz, tego irakijskiego handlarza. Pojawił się tak nagle ni stąd, ni zowąd. Ale poza tym...

Zamilkła, bo zauważyła, że oczy Kirkwooda błędzą po biurku i zatrzymują się na notatniku pokrytym zapiskami, jakie robiła w czasie rozmowy telefonicznej, oraz nabazgranymi wizerunkami Uroborosa.

Kirkwood przechylił nieco głowę, wyraźnie zaintrygowany.

- Symbol z jednej z ksiąg - na wpół zauważył, na wpół zapytał. - Z Iraku. Zaskoczył nieco Mię.

- Tak - odpowiedziała, zdziwiona, że o tym wie.

- Wiesz, co to takiego?

- Nazywa się Uroboros. - Nie była pewna, ile może powiedzieć, dodała więc tylko: -

Nie wiem zbyt wiele na jego temat.

Zmusiła się do uśmiechu, który jednak pojawił się tylko na jej wargach i nie dotarł do oczu. Zastanawiała się, czy to zauważył.

- Myślisz, że porywacze tak naprawdę szukają tej księgi? Poczula się rozdarta.

Kirkwood musiał to zauważyć, bo postanowił uprzedzić jej niepokój.

- W porządku. Pracuję z Jimem nad tym, żeby uwolnić Evelyn. Powiedział mi o waszej rozmowie. Wspominał, że wzięłaś go do jej mieszkania.

- Przerwał na chwilę. - Jesteśmy po tej samej stronie - dodał z cieniem uśmiechu na ustach, nachylając się i przeglądając jej notatki. Mia uspokoiła się i skinęła głową.

- To jedyna rzecz, która łączy Evelyn, komnaty bractwa, księgę i ha - kima. Musi coś oznaczać.

Na twarzy Kirkwooda pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Hakima?

Mia poczuła kulkę w gardle. Wiedziała, że dała ciała już w momencie, kiedy zaczyna-

ła mówić. Zaczęła gorączkowo szukać odpowiednich słów, żeby wydobyć się z matni, ale ja-koś nic nie przychodziło jej do głowy.

- Wiesz, jest... z Bagdadu - mruknęła. - Może powinieneś zapytać o niego Jima.

W tej chwili, niczym anioł miłosierdzia, pojawił się Corben.

Razem z nim do pokoju wszedł mężczyzna, młodszy od niego, którego Mia nigdy wcześniej nie widziała. Miał kasztanowe włosy, grubą krótką szyję i był ubrany w granatową marynarkę bez krawata. Corben wydawał się zaskoczony widokiem Kirkwooda. Skinął mu lekko głową. Kiedy Kirkwood odwzajemniał pozdrowienie, Mia zauważyła, że Corben rzuca okiem na gryzmoły na biurku i na jego twarzy pojawia się ledwie dostrzegalny niepokój.

Corben wskazał na towarzyszącego mu mężczyznę.

- Poznaj Grega - powiedział do Mii. - Jak tylko będziesz gotowa, zabierze cię do hotelu i zostanie tam z tobą. Ulokujemy cię w Albergo. To taki niewielki hotel w Ashrafieh, powinien ci odpowiadać.

Ashrafieh była chrześcijańską dzielnicą Bejrutu.

- W porządku - skinęła głową Mia.

- Ja też się tam zatrzymałem - dodał Kirkwood, po czym zwrócił się do Corbena. - Coś wyniknęło z podsłuchu?

- Jeszcze nie - odpowiedział rzeczowym tonem Corben.

- Co w takim razie będziesz teraz robił? - zapytał Kirkwood.

- Wracam do miasta. Będę mógł szybciej zareagować - wzruszył ramionami Corben. -

Być może czeka nas przerwa. - Odwrócił się do Mii. - Zadzwoń do ciebie później, żeby się upewnić, że wszystko załatwione.

- Mną się nie przejmuj - powiedziała.

Corben spojrzał na nią, po czym skinął głową agentowi, tak jakby chciał stwierdzić:

„Zostawiam ją w twoich rękach”. Odwrócił się i zaczął zbierać do wyjścia.

- Powodzenia. Czekamy na wieści - powiedział Kirkwood.

- Jak tylko się czegoś dowiem, dam wam znać.

Z jakiegoś powodu Mii nie wydawało się, żeby Corben był szczególnie zachwycony tym trybem pracy. Co więcej, wdawał się odrobinę nieufny w stosunku do Kirkwooda.

Co oznaczało, że również ona powinna się mieć przed nim na baczności.

KIRKWOOD PODNIÓSŁ PLASTIKOWE wieczko i nalał sobie kawy ze stojącego w holu przybudówki automatu. Zaryzykował łyk. O dziwo nie była taka zła.

Powtórzył w myślach rozmowę z Mią. Było oczywiste, że dziewczyna, a zatem i Corben, wiedziała o wiele więcej, niż oboje się do tego przyznawali. W trakcie spotkań z ambasadorem Corben nie wspominał nic o tym, żeby porywacze byli szczególnie zainteresowani któ-

rymś z zabytkowych przedmiotów, nie mówiąc już o samej księdze. Nie poruszył też tematu odkryć Evelyn związanych z podziemną komnatą. W dodatku o obu tych sprawach najwyraź-

niej wiedziała Mia.

Z pewnością zaś Corben nie wspominał ani słowem o hakimie. Mimo że był on w oczywisty sposób nieodłączną częścią całego równania.

Jeszcze ciekawsze było to, że Mia wspominała, że hakim ma coś wspólnego z Bagdadem. Kirkwood wiedział, że hakim oznacza lekarza i na samą myśl o tym poczuł uścisk w żo-

łądku.

Ogarnął go głęboki niepokój. Wokół toczyły się sprawy, o których nie miał pojęcia. A irakijski handlarz ciągle jeszcze nie znajdował się w bezpiecznym miejscu. Kirkwood musiał

się dowiedzieć, co się tak naprawdę dzieje, i wiedział, że w tym celu powinien porozmawiać z Corbenem. Zdawał sobie sprawę, że to nie będzie proste. Jego kontakty w ONZ były bardzo mocne, jeśli chodzi o służby wywiadowcze - w żadnym razie nie mógł stwierdzić czegoś takiego. Jednak ONZ - czasem celowo, innym razem niechcący - odgrywało w Iraku ważną rolę, zwłaszcza w obliczu fiaska, jakim okazała się cała kwestia broni masowego rażenia. Kirkwood mógł wykorzystać swoje kontakty i za ich pośrednictwem pociągnąć wątek, jednocze-

śnie szukając innych sposobów na uzyskanie dostępu do wewnętrznych działań agencji.

Musiał również zdobyć więcej informacji na temat Mii, co jednak wymagało zastosowania innych środków. Nie sądził, żeby było to zbyt trudne. Wypił jeszcze jeden łyk kawy, wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał na klawiaturze numer.

ROZDZIAŁ 41

Corben spojrział na zegarek. Była godzina jedenasta czterdzieści pięć. Kwadrans do godziny zero. Od pół godziny siedział w nissanie pathfinderze i czekał. Nie przeszkadzało mu to. Cieszył się z chwili spokoju. Dzięki niej mógł powoli, metodycznie wszystko przemyśleć, ocenić różne opcje, między którymi mógłby potem wybierać. Musiał mieć jakieś opcje. W

jego biznesie rzadko cokolwiek szło zgodnie z planem.

Rozciągnął zeszywniałe kości, dopił kupione po drodze podwójne espresso i wyrzucił

papierowy kubek pod siedzenie z tyłu. Kofeina zaczynała właśnie działać, co również mu odpowiadało. A może po prostu był niecierpliwy?

Spojrzał na siedzenie obok i wyjął z walizki rugera MP9. Broń raczej brzydką, ale niezwykle skuteczną. Sprawdził magazynek. Był pełny. Trzydzieści dwie kule. Wcisnął pierwszy nabój, czując, jak ustępuje sprężyna, i obrócił go lekko, upewniając się, że siedzi na miejscu, jak trzeba, po czym wbił go z powrotem w magazynek. Sprawdził, czy selektor ognia jest ustawiony na „full auto”. Przy tej opcji broń wypluwała z siebie zawartość całego magazynku w niewiele ponad trzy sekundy. W rękach jakiegoś ćpuna, mającego zwyczaj najpierw strzelać, zamykać oczy, a dopiero później oceniać skutki, większość kul prawdopodobnie chybiła-by celu. Corben jednak był na tyle doświadczony, żeby w pełni wykorzystać możliwości broni.

W walizce leżały bezpiecznie jeszcze trzy magazynki, wszystkie w pełni naładowane.

Za paskiem Corbena w kaburze tkwił glock 31. Mieściło się w nim tylko siedemnaście kul, ale za to pociski z tej broni były w stanie przebić się przez karoserię samochodu jak przez kartkę papieru.

Potrzebował potężnej siły rażenia.

Przemyślał wszystko i postanowił, że mimo ryzyka musi załatwić to sam. Udało mu się do tego przekonać szefa placówki, stwierdzając, że Faruk łatwo może się wystraszyć, na-leżało więc podejść go z prędkością światła i z maksymalną ostrożnością. Wyskakująca zza rogu armia obcych agentów mogłaby go co najwyżej sprowokować do ucieczki.

Przez chwilę - krótką chwilę - zastanawiał się, czy nie zabrać ze sobą Mii. Faruk - któ-

ry spodziewał się samochodu pełnego libańskich policjantów - nie znał Corbena. Nie miał

żadnego powodu, żeby mu wierzyć czy ufać. A przecież spotkał się przelotnie z Mią w wieczór, w który została porwana Evelyn. Na widok znajomej osoby w punkcie kontaktowym Irakijczykowi z pewnością by ulżyło. Ogólnie jednak nie powinien nawet rozważać takiej możliwości, zwłaszcza biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, z jakim wiązała się cała akcja, oraz to, przez co Mia przeszła rano. Nie byłoby dobrze, gdyby była na miejscu, zresztą mogłaby rozpraszać Corbena, i to w momencie, gdy powinien myśleć i poruszać się bardzo szybko.

Corben wolał również nie angażować detektywów z Fuhud, ponieważ nie miał pewno-

ści, któremu z nich mógł ufać. Wiedział, że prawdopodobnie przyjdzie mu się zmierzyć z samochodem pełnym uzbrojonych bandytów. Miał tylko nadzieję, że uda mu się dostać do Faruka przed nimi i niezależnie od tego, w którym miejscu zaszył się Irakijczyk, uniknąć pakowania się pod lufy ich automatów.

Kwestia lokalizacji miała zresztą w tym wypadku naprawdę kluczowe znaczenie. Skąd zadzwoni

Faruk? Dzięki sygnałowi z telefonu Rameza udało im się ustalić, że porywacze znajdowali się na terenie dzielnicy Malaab, na południowym krańcu miasta. Corben musiał

zająć pozycję w miejscu, z którego będzie miał szansę wyprzedzić ich w wyścigu do Faruka.

Przyjrzał się mapie i wykreślił kilka dzielnic, w których nielegalny imigrant z silnym irackim akcentem i prawdopodobnie bez pieniędzy raczej nie miał czego szukać. Mógł się na przykład nie przejmować Wschodnim Bejrutem. Modnym śródmieściem również. Z kolei południowa część miasta była sama dla siebie lennem i obcy nie mieli do niej wstępu.

Pozostawał więc Zachodni Bejrut.

Corben postanowił czekać przed multipleksem Concorde. Mieścił się on przy głównej drodze, która skośną linią dzieliła Zachodni Bejrut na pół i skąd było blisko do innych arterii, z których w razie potrzeby mógł skorzystać, żeby dostać się na drugą stronę miasta. Gdyby Faruk zadzwonił gdzieś z okolic uniwersytetu - gdzie ostatnio był widziany - Corben znajdowałby się bliżej niego niż oddział zbirów i miałby spore szanse, żeby dostać się na miejsce przed nimi. Zakładając, że nie dysponują jakąś przednią strażą.

Zrobił najazd na zbrojownię, zabierając z niej również kevlarową kamizelkę kuloodporną, przy której projektowaniu - nawiasem mówiąc - sądząc z tego, jak zeszywniały mu plecy, nikt nie myślał o wygodzie użytkownika. Postanowił też użyć jednego z samochodów na zwykłych, nie zaś dyplomatycznych tablicach. W razie kłopotów raczej nie chciał, żeby łatwo było zidentyfikować jego pojazd.

W podłączonej za pomocą technologii bluetooth słuchawce telefonu komórkowego Corbena zatrzeszczał głos Leili.

- Mamy coś.

- Wygląda na to, że wreszcie wyciągnęli telefon Rameza z kieszeni-dodał Olshansky.

Corben usłyszał w tle jakieś mówiące po arabsku głosy, najwyraźniej porywaczy, podłączonych do głośników w jamie Olshanskiego.

Słowa stały się wyraźniejsze. Corben wyobraził sobie wypowiadającego je mężczyznę, prawdopodobnie przywódcę porywaczy, tego, którego widział przed mieszkaniem Evelyn.

Leila pracowała bardzo szybko, za każdym razem wykorzystując nieregularne przerwy między kolejnymi dobiegającymi z głośnika zdaniami.

- Mówi Ramezowi, że już prawie pora... Pyta go, czy zrozumiał dokładnie, do czego ma przekonać Faruka... Ramez mówi, że zrozumiał. Nie słyszę go wyraźnie, ale chyba jest przerażony... Przypomina mu, że obiecał, że go uwolni, jeśli to zrobi... Mówi, że potrafi trzymać buzię na kłódkę, że nikt nie musi wiedzieć i tak dalej. - Głos umilkł na chwilę, po czym znowu dało się go słyszeć z głośnika. - Facet mówi mu, że ma się nie martwić, że wszystko będzie dobrze. Że ma być ostrożny. Nie może

popęłnić błędu. Że jego życie jest teraz w jego rękach. Wszystko zależy od niego.

Mężczyzna przerwał, po czym znowu się odezwał.

- Mówi swoim ludziom, żeby przygotowali samochód - wyjaśniła Leila.

FARUK PO RAZ CZWARTY w CIĄGU pół godziny zapytał mężczyznę obok, która jest godzina.

Siedział w niewielkiej kawiarni w dzielnicy Basta, podupadłej i zatłoczonej części miasta, z dala od zdobionych marmurem drapaczy chmur i McDonalldów z parkingowymi.

Tamtejszy labirynt wąskich uliczek był zatłoczony byle jak zaparkowanymi samochodami i rozklekotanymi ręcznymi wózkami, uginającymi się od jedzenia, tanich ubrań i pirackich płyt DVD. Okolica roiła się także od handlarzy antykami, których towary okupowały wąskie chodniki, zmuszając pieszych do poruszania się po jezdni. Faruk znał tę dzielnicę z dawnych czasów. Kiedyś sprzedawał zabytkowe przedmioty z epoki mezopotamskiej kilku miejscowym handlarzom, których nigdy od tego czasu nie spotkał i z którymi wolał się nie kontaktować.

Było to doskonałe miejsce dla kogoś, kto chciał się wtopić w tłum, chciał się przycząić.

Czuł się skrępowany w swoich ubraniach, które mocno już śmierdziały. Nie pamiętał, kiedy ostatnio brał kąpiel. Po spotkaniu z Ramezem nie poszedł z powrotem do ogrodu Sanayi. Ogarniała go już paranoja i wolał nie wracać na noc do tego samego miejsca. Udał się więc do Basty, gdzie powalał się po starych restauracyjkach i bazarach z antykami, posila-jąc się jedynie kaikiem i sokiem kupionym u ulicznych handlarzy. Spędził noc skulony w krypcie na pobliskim cmentarzu, drżąc na myśl o zbliżającej się, decydującej o wszystkim godzinie. Która zresztą, jeśli wierzyć lekko podenerwowanemu już mężczyźnie siedzącemu przy zaprawionej miodem fajce wodnej, właśnie wybiła.

Podziękował sąsiadowi, wstał z krzesła i z sercem podchodzącym do gardła precisnął

się przez kilku graczy w tryktraka do lady. Zapytał właściciela, okrągłego mężczyznę z ogromnym wąsem, czy - tak jak ustalili wcześniej - może użyć jego telefonu, jeszcze raz zapewniając go, że chodzi o rozmowę lokalną. Grubas obrzucił go nieufnym spojrzeniem, po czym Wręczył mu słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

Faruk odwrócił się, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pogniecioną kartkę na której Ramez zapisał mu swój numer. Położył ją na barze, zaciągnął się dla otuchy papierosem i zadzwonił.

RAMEZOWI WYDAWAŁO SIĘ, ŻE ŚWIAT wokół niego zwolnił i porusza się w surrealistycznym, żółtym tempie. Jego umysł odliczał każdą mijającą sekundę.

Ciągle był przywiązany do krzesła, a na głowie miał zatęchły worek Ten ostatni nieznośnie śmierdział, wzmagając tylko pulsujący w głowie Rameza ból. Siedzenie na krześle, czekanie i modlenie się, żeby Faruk za dzwonił, tak jak obiecał, było torturą wprost nie do wytrzymania.

Co gorsza, Ramez coraz mocniej czuł kłujący ból w pachwinie. Zdał sobie sprawę, że jego pęcherz

rozpaczliwie domaga się opróżnienia, ale w tym momencie w żadnym razie nie było to możliwe.

Wiedział, że będą musieli zdjąć mu z głowy worek, jeśli i kiedy... Nie po prostu kiedy, żadnego jeśli. Jeśli nie wchodziło w rachubę. Musiał się skupić na „kiedy” - kiedy zadzwoni telefon. Z pewnością nie mieli zamiaru zmuszać go do rozmowy z tym czymś na głowie. Po-myślał, że na wypadek, gdyby martwili się o to, że będzie w stanie ich rozpoznać, powinien zamknąć oczy, a przynajmniej spoglądać w dół i unikać z nimi kontaktu wzrokowego. Chciał

ich o to zapytać, postanowił jednak tego nie robić, nie chcąc zwracać ich uwagi na coś, czym niekoniecznie musieli się przejmować. Starał się nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli - tak jak się tego spodziewał - rzeczywiście się nad tym zastanawiali.

Kiedy odezwał się telefon, dźwięk dzwonka przeszył ciało Rameza jak prąd. Ktoś jednym szarpnięciem zdjął mu worek z głowy, co tylko pogрузżyło go w jeszcze większym szoku.

Nie był w stanie skoncentrować wzroku, ciągle przyzwyczajając oczy do zimnego neonowego światła rozjaśniającego pozbawioną okien piwnicę. Wydawało mu się, że rozpoznaje wiszącego nad nim mężczyznę, że pamięta, jak wpychał go do wnętrza samochodu. Porywacz przyglądał się telefonowi Rameza, który znowu zadzwonił. Ramez pomyślał, że jego porywacz upewnia się, czy na ekranie nie wyświetlił się jakiś numer z książki adresowej telefonu - numeru Faruka komórka nie powinna rozpoznać.

Ramez napotkał wzrok mężczyzny. Nie potrafił oderwać od niego oczu. Całe zaklina-nie się, że nie będzie nawiązywał kontaktu wzrokowego, poszło na marne. Porywacz - ciem-nowłosy, schludny, ale o potwornych, martwych oczach - spojrzał na niego z taką wściekło-

ścią, że Ramez o mało nie zaczął się dusić. Jego prześladowca podniósł ostrzegawczo i groź-

nie palec, w jego oczach bez wątpienia pojawiło się słowo: „Uważaj!” po czym wcisnął w telefonie klawisz odbierania i przysunął aparat do ucha Rameza.

- Ustaz Ramez?

Ramez odetchnął. To był Faruk - w czasie ich rozmowy Irakijczyk zwracał się do niego, używając formy ustaz, profesor. Pełen nadziei skinął głową w stronę porywacza. Mężczyzna odpowiedział mu takim samym, zachęcającym kiwnięciem, pokazując, żeby mówił dalej, po czym zbliżył głowę do Rameza i odchylił nieco telefon, tak by również móc słyszeć Faruka.

- Tak, Faruk. - Głos Rameza był trochę zbyt piskliwy, wyrównał go więc, starając się, żeby nie było w nim słyhać zdenerwowania. - Cieszę się, że zadzwoniłeś. Wszystko w po-rządku?

Zaschło mu w ustach, a słowa wydobywały się z nich niczym bale bawełny. Oblizął wargi.

- Rozmawiał pan z nimi? - zapytał łamiącym się, zdesperowanym głosem Faruk.

- Tak, rozmawiałem z detektywami z posterunku Hobeish. To oni prowadzą śledztwo.

Przekazałem im to, co mi powiedziałaś.

- I?

Ramez kątem oka spojrział na porywacza. Mężczyzna ponownie skinął zachęcająco głową.

- Chcą zrobić to, o co prosiłeś. Nie obchodzą ich te dzieła sztuki i nie mają zamiaru odsyłać cię do Iraku. Zrobią wszystko, żebyś im pomógł odnaleźć Evelyn.

- Jest pan pewien? Rozmawiał pan z kimś ważnym?

- Rozmawiałem z szefem detektywów - zapewnił go Ramez. - Osobiście mi to zagwarantował. Żadnego oskarżenia i pełna ochrona do momentu, kiedy będzie po wszystkim. Potem możesz robić, co ci się podoba. Jeśli wszystko pójdzie, jak trzeba, pomogą ci nawet zdobyć zezwolenie na pobyt.

Irakijczyk po drugiej stronie linii przez chwilę milczał i Ramez zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził. Serce zaczęło mu bić mocniej, postanowił więc brnąć dalej.

- Nie wiedzą, co robić, Faruk. Muszą ją znaleźć, a ty jesteś ich jedyną nadzieją. Potrzebują cię.

- Dziękuję - wydusił z siebie w końcu Faruk. - Dziękuję, ustaz Ramez. **Nie** wiem, jak się panu odwdzięczę. Uratował mi pan życie.

- Nie ma spraw - odpowiedział po prostu Ramez, czując, jak opadają na niego dwie sprzeczne fale: wyrzutów sumienia i ulgi. Stłumił jednak podekscytowanie.

- Co mam zrobić?

Ramez spojrział na porywacza. Chwila prawdy.

Mężczyzna skinął głową. Czas zwabić szczeniaka w pułapkę.

- Po prostu zostań tam, gdzie jesteś. Nigdzie się nie ruszaj. Czekają na mój telefon -

powiedział Ramez, rozpaczliwie próbując opanować drzenie w głosie. - Przyjadą i cię zabiorą. Czekają tylko, żebym im powiedział gdzie jesteś. - Przerwał, czując, że w gardło wbija mu się od środka jakiś cierń. Wreszcie zapytał: - Gdzie jesteś, Faruk?

Cztery sekundy, które nastąpiły po tym pytaniu, były niezaprzeczalnie najdłuższą i najbardziej przerażającą chwilą w całym obfitującym w rozmaite przygody życiu naukowca.

A potem Faruk zaczął mówić.

ROZDZIAŁ 42

Corben słuchał słów przestraszonego Faruka w akompaniamencie włączonego już silnika. W słuchawce agenta huczał głos Leili. - Jest w kawiarni w dzielnicy Basta. Musisz wjechać na obwodnicę i zjechać z niej przed estakadą.

Corben spojrział przez ramię, zauważył pięćdziesięciometrową przerwę między nim a zbliżającym się samochodem i doszedł do wniosku, że to musi wystarczyć. Przekręcił kierownicę i wcisnął pedał gazu. Pathfinder wyskoczył z miejsca parkingowego, zawrócił z piskiem opon i pomknął jak strzała w przeciwnym kierunku.

Pędząc w stronę starej siedziby telewizji, Corben wyobraził sobie mapę i zaklął pod nosem. Wiedział, gdzie jest Basta, jeśli więc się nie mylił, znajdował się mniej więcej w tej samej odległości od miejsca, w którym ukrywał się Faruk, co oddział zabójców.

Liczyła się każda sekunda.

- Leila, czy możesz sprecyzować, gdzie dokładnie jest Faruk? Corben wiedział, że przepychanie się przez wąskie, zatłoczone uliczki dzielnicy handlowej może stanowić problem.

- Tak, będzie czekał przed dużym meczetem. Zawiadom mnie, jak będziesz przy zjeździe, to cię tam poprowadzę.

- Co się dzieje z Ramezem?

- Kazał Farukowi nie ruszać się i czekać, aż się zjawia. - Leila przerwała na sekundę. -

Po prostu się rozłączyli.

RAMEZ OBSERWOWAŁ, JAK PORYWACZ wyłącza telefon i rozkazuje swoim ludziom, żeby się ruszali. Było ich dwóch, jeden starszy, drugi młodszy od szefa. Obaj mieli takie same zacięte, pozbawione emocji twarze oraz oczy w których nie można się było dopatrzeć nawet cienia człowieczeństwa. Opuścili szybko pomieszczenie, zostawiając Rameza samego z porywaczem.

- Dobrze poszło, prawda? Zrobiłem dokładnie to, o co pan prosił prawda? - zapytał

Ramez. Jego oddech nagle stał się płytki i urywany.

- Azim - odpowiedział krótko mężczyzna. Perfekcyjnie.

Ramez poczuł, że w oczach zbierają mu się łzy. Obserwował, jak porywacz kiwa głową, po czym obojętnie opuszcza mu telefon na kolana. Ramez spojrział na niego, ale zaraz podniósł oczy z powrotem na porywacza uśmiechając się nerwowo. Serce waliło mu jak młotem, wydawało się, że jego nerwy za chwilę eksplodują, a on sam wbrew logice, wbrew podszeptom elementarnego zdrowego rozsądku, przekonywał się, że zaraz będzie wolny.

Jego złudne przekonanie szybko zostało rozwiane. Porywacz wyciągnął z pasa pistolet, przyłożył go prosto do czoła Rameza i wypalił.

PATHFINDER MIAŁ WŁAŚNIE WLOKĄCA się wzdłuż ogrodu Sanayi taksówkę, kiedy Corben usłyszał, jak dwa krótkie strzały eksplodują w jego słuchawce. Po kilku sekundach rozległ się trzeci.

Kontrolny strzał. Żeby mieć pewność.

Jego mięśnie się ściągnęły.

„Sukinsyny”.

Wiedział, że było to nieuniknione. Rozgrywał w głowie różne scenariusze i nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, w jaki sposób działają ci faceci. W momencie, gdy Ramez podał

im Faruka na tacy, stał się dla nich bezużyteczny. Zresztą Corben zdawał sobie sprawę, że porywacze raczej nie mieli wyjścia. Ramez był martwy już w momencie, gdy został porwany.

Chodziło wyłącznie o to, czy będzie bardzo cierpieć, zanim ostatecznie stanie się to, co nieuniknione.

Usłyszał w słuchawce jęk. Wiedział, że to Leila.

- Jim, słyszałeś to? - wtrącił się głos Olshanskiego.

- Słyszałem - odpowiedział beznamiętnie Corben.

Zdawał sobie sprawę, jak trudno słuchać czegoś takiego, ale nie miał czasu na to, żeby pocieszać Leilę. Musiała się skoncentrować, Olshansky zresztą też.

- Leila. Potrzebuję tych wskazówek.

Po kilku sekundach usłyszał pociągnięcie nosem, po którym w słuchawce znowu rozległ się jej głos, nagle przytłumiony i drżący.

- Gdzie jesteś?

- Wjeżdżam na obwodnicę.

W dali zauważył wznoszącą się w górę autostradę, która łączyła Wschodni i Zachodni Bejrut.

- Musisz zjechać pierwszym zjazdem za tunelem.

Głos Leili tym razem był już czysty - pojawiła się w nim nagle twarda nuta. Corbenowi zostało kilka minut.

OMAR ZIMNYM WZROKIEM SPOGLĄDAŁ przed siebie. Samochód pędził niedawno wytyczoną, przecinającą miasto szosą.

Tym razem wszystko musiało pójść perfekcyjnie.

Potrzebował Faruka. Rozpaczliwie.

Ostatnie kilka dni było pasmem porażek. Omar był dumny ze swojej zimnej skuteczności, uważał się za sztylet w świecie tępych toporów. Zadania takie jak te, które przydziela-no mu, odkąd zaczęła się ta cała afera, były dla niego chlebem powszednim. Stracił już dwóch ludzi a tak naprawdę trzech, jeśli doliczyć tego z roztrzaskanym ramieniem i choć za-stąpił ich z równą łatwością, z jaką wymieniał samochody rozbijane w trakcie kolejnych starć, nie był w stanie znieść tego, że ten mały skurwysyn ciągle chadza po ziemi.

Również Amerykanin okazał się wrzodem na tyłku. Postawił go w bardzo trudnym położeniu, co było niewybaczalne. Omar musiał wyrównać z nim rachunki - w odpowiednim czasie, niezależnie od konsekwencji, znajdzie sposób. Najważniejszy był właściwy moment.

Poczeka na okazję, na jakiś kolejny z przetaczających się co jakiś czas przez ten kraj huraga-nów. Wtedy jego zemsty nie zauważy nikt poza tymi, którzy tylko ją docenią, a prawda pozostanie zagrzebana pod górą bardziej palących problemów.

Zauważył zakręt prowadzący w stronę bazaru ze starożytnościami i kazał trzem towarzyszącym mu mężczyznom sprawdzić broń.

Nie miał zamiaru wracać bez zdobyczy.

PATHFINDER WYŁONIŁ SIĘ Z TUNELU i Corben z całej siły wcisnął hamulec. Droge zablokowała mu ściana samochodów.

Czteropasmowa, poprowadzona estakadą autostrada była główną arterią łączącą obie strony miasta. Każda przeszkoda - stłuczka, jakaś stara rozkraczona ciężarówka, samochód unieruchomiony przez snajperów - blokowała ją, zmuszając cały ruch do stłoczenia się na jednym pasie. Przypadkowe, niespodziewane korki były w Bejrucie dla kierowców czyny normalnym. Ludzie prześcigali się w pomysłowości, by jakoś sobie z nim, poradzić. Jednym ze sposobów uelastycznienia przejazdu było na przykład wjeżdżanie na pasy przeznaczone dla ruchu w przeciwnym kierunku. Niestety, obwodnica była przedzielona wielką, niemożliwą do pokonania, barierką. A do zjazdu zostało Corbenowi jeszcze kilkaset metrów.

Agent nie był w stanie stwierdzić, co spowodowało korek. Spojrzał do tyłu. Zatrzymywało się tam kilka samochodów, ale żaden nie stanął bezpośrednio za nim. Wrzucił wsteczny bieg i wcisnął pedał gazu.

Samochód pomknął do tyłu i zanurkował w tunel. Był on zbyt krótki, żeby ktokolwiek myślał o włączaniu w czasie przejazdu nim świateł, a nagłe przejście z ostrego słonecznego światła do całkowitych ciemności nie pozwalało Corbenowi stwierdzić, czy ktoś się do niego zbliża. Po chwili jego oczy przyzwyczyły się do mroku i w tym momencie zauważył pędzący prosto na niego samochód.

Zaklął pod nosem, zdjął nogę z gazu i zjechał w bok, przytulając się niemal do ściany.

Nadjeżdżający samochód rzucił się nagle w lewo, zmuszając kierowcę z tyłu do gwałtownego wciśnięcia hamulca w celu uniknięcia kolizji, i minął go, wypełniając cały tunel odgłosem klaksonu. Corben wcisnął ponownie gaz i skierował samochód do tyłu, z trudem mijając kolejny przejeżdżający pojazd i wreszcie wyłaniając się z tunelu.

Wycofał się aż do zjazdu prowadzącego w stronę skrzyżowania przecinającego tunel wzniesioną nad nim estakadą i wcisnął hamulec. Zmienił bieg i po chwili znalazł się na zjeździe.

- Musiałem się wycofać z tunelu - krzyknął do telefonu. - Jadę ponad nim w kierunku placu.

- W porządku - natychmiast odezwała się Leila. - Bierz pierwszy zakręt w prawo, a potem zjedź w lewo. Potem pojedziesz prosto, aż po prawej zobaczysz zabudowania straży pożarnej.

Corben zrobił tak, jak kazała, ale poruszał się bardzo wolno. Wąskie uliczki były za-tłoczone, a zaparkowane bez ładu i składu samochody i porozrzucane wszędzie wokół wózki ulicznych handlarzy zamieniały je w istny tor przeszkód. Cenne sekundy zamieniały się w minuty, on zaś ciągle przedzierał się przez miejską dżunglę, krzycząc, trąbiąc i zmuszając inne pojazdy do zjeżdżania na bok. Wreszcie dotarł do gmachu straży pożarnej.

- Widzę straż - zawołał.

- Skręć w prawo i jedź tą drogą - odkrzyknęła Leila. - Po lewej masz mur cmentarza.

Zaraz jak się skończy, skręć w lewo. Po pięćdziesięciu metrach zobaczysz meczet. Faruk ma być właśnie tam.

Corben niemal przeskoczył przez sunące przed nim samochody i wreszcie wypatrzył meczet wciśnięty między kilka bazarów, na których handlowano antykami. Kiedy go zauważył, zwolnił. Usiłując przypomnieć sobie dokładnie zdjęcie Faruka z teczki Evelyn, zaczął przeczesywać wzrokiem ulicę. Szukając na niej Irakijczyka lub oddziału zabójców hakima.

Wreszcie go zauważył.

Irakijski handlarz stał w miejscu, wyczekując nerwowo - tak jak go poinstruowano.

ROZDZIAŁ 43

Irakijczyka nie dało się pomylić z nikim innym, i to nawet w miejscu, w którym wła-

ściwie nie wyróżniał się z tłumu. Jego postawa - był czujny, bezustannie rzucał podejrzliwe spojrzenia na obie strony ulicy i starał się wtopić w otoczenie - powiedziała Corbenowi wszystko. Agent spojrzał na nadjeżdżające samochody i zerknął w lusterko. Wiedział, że w każdej

chwili mogą się pojawić zabójcy. Podjechał pod meczet, zatrzymał się i otworzył

okno.

Faruk przyjrzał mu się uważnie. Corben się zorientował, że pewnie zauważył jego zainteresowanie, bo na twarzy handlarza pojawił się lęk. Rzucił okiem w przeciwnym kierunku, tak jakby stamtąd miało nadejść zbawienie, i cofnął się kilka kroków.

Corben wysiadł z samochodu, starając się poruszać w miarę szybko, choć nie na tyle, żeby jeszcze bardziej przstraszyć Faruka. Podniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Faruk. Jestem znajomym Evelyn. Musisz pójść ze mną.

Faruk spojrzał na ulicę, a potem znowu na Corbena. Wciąż się cofał, lęk na jego twarzy przerodził się zaś w panikę.

- Faruk, posłuchaj mnie. Ramez został dzisiaj rano porwany przez tych samych ludzi, którzy przetrzymują Evelyn. To pułapka. Nie jadą po ciebie żadni gliniarze, ale porywacze.

Zaraz tutaj będą.

- Nie - mruknął Faruk, po czym odwrócił się i rzucił w głąb ulicy.

Corben zmarszczył brwi i puścił się za nim biegiem, przeciskając się przez rój blokujących mu drogę pieszych. Faruk nie poruszał się szybko i Corben bez problemu go doganiał.

Irakijczyk spojrzał przez ramię, po czym nagle rzucił się w stronę bazaru ze starożytnościami.

Corben ruszył za nim.

Wzdłuż wąskich uliczek miniaturowego pasażu handlowego biegły różne sklepiki, do których można było dotrzeć wyłącznie od strony bazaru. Przejścia były zagracone meblami i ozdobami, z których część była rzeczywiście stara, ale zdecydowana większość składała się z falsyfikatów, choć wytwarzanych na miejscu według dawnych, wysokich standardów. Corben wypatrzył Faruka, który wskakiwał w ciągnący się na lewo półmrok. Pobiegnął za nim, omijając zdobione markieterią stoliki i krzesła w stylu Ludwika XVI i przemykając obok krzyczących za nim zaskoczonych straganiarzy. Dotarł do skrzyżowania i po prawej zobaczył Faruka zmierzającego pasażem w stronę innego wyjścia, przez które można się było wydostać na boczną uliczkę. Przyspieszył, wyężdżając wszystkie siły, i odległość między nim a Irakijczykiem zaczęła się zmniejszać. Dogonił go tuż przed wyjściem. Skoczył w jego stronę, złapał handlarza i przycisnął go do szyby sklepika z dywanami.

- Co ty robisz? - warknął, łapiąc go za kołnierz i wstrząsając nim. - Nie mamy czasu na takie gówno. Mogą tu być w każdej sekundzie. Właśnie staram się uratować ci życie.

Faruk spojrzał na niego skamieniałym wzrokiem. Trzęsły mu się usta. Szukał odpowiednich słów.

- Ale Ramez...

- Ramez nie żyje - chrapliwym głosem powiedział Corben. - Chcesz być następnym?

Faruk opuścił otępiałe oczy. Stał w miejscu i kręcił tylko głową.

- Idziemy! - rozkazał Corben, wskazując ręką drogę prowadzącą z powrotem do głównego wejścia.

Jak tylko skręcili w wychodzący na ulicę pasaż, Corben zauważył zabójcę o ospowatej twarzy. Stał na chodniku tuż przed bazarem i wzrokiem przeczesał okolice w poszukiwaniu swojego celu.

Corben wepchnął Faruka za dużą szafkę zajmującą spory fragment przejścia i wyciągnął pistolet. Gestem przykazał Irakijczykowi, żeby był cicho, a sam wyrzwał na zewnątrz.

Mężczyzna ciągle stał na ulicy. Nieprzeniknione oczy na jego wykrzywionej twarzy błyskały wściekłym niezadowoleniem.

W dodatku blokował Corbenowi dostęp do samochodu.

Corben spojrzął do tyłu, sprawdzając, czy pasaż jest czysty, i wepchnął Faruka z powrotem na bazar. Okrążyli jedną z wystaw z meblami i skręcił w boczną uliczkę, którą mijali już wcześniej.

- Idziemy - popędził Faruka Corben i poprowadził go z powrotem w stronę znanego im już bocznego wyjścia.

Agent wystawił głowę i upewnił się, że wąska dróżka jest bezpieczna, po czym wysunął się pomiędzy stłoczonych wystaw. Zmrużył oczy, przyzwyczajając je do gęstego światła dziennego, schylił się i zaczął skradać podniszczonym chodnikiem, upewniając się co jakiś czas, że Faruk podąża za nim, i trzymając broń w pogotowiu, ale - żeby nie wywoływać paniki - przyciśniętą nisko do nogi.

Dotarł do skrzyżowania i spojrzął ukradkiem w stronę meczetu. Pa-thfinder stał zaparkowany w połowie drogi do następnej ulicy, zводniczo blisko. Piętnaście metrów dalej było widać herszta zbirów, ciągle gapiącego się na główne wejście do bazaru. Niedaleko, po drugiej stronie ulicy, Corben zauważył zaparkowanego „na drugiego” mercedesa. Ospowaty spojrzął na kierowcę, który odpowiedział mu, kręcąc głową. Gdzieś w okolicy musiał się czać jeszcze jeden bandyta, ale Corben nie potrafił go wypatrzeć.

Zaczekał chwilę, wybrał odpowiedni moment i krzyknawszy do Faruka: - Już! - wy-prowadził go z za rogu. Ruszył szybkim krokiem, starając się, żeby Faruk trzymał się tuż obok niego i w miarę możliwości szukając osłony pośród przechodniów. Ścisnął mocno broń i rozglądając się na wszystkie strony, przeczesał wzrokiem ulicę.

Docierali już do samochodu, kiedy z widocznej na prawo kawiarni wyszedł młody mężczyzna o nerwowych oczach i wąskich ustach. Obaj natychmiast się rozpoznali. Bandyta wyciągnął broń i dał nura za jakiegoś staruszka, który również wychodził z kawiarni. Ręka Corbena na ułamek sekundy zawisała w powietrzu, bezskutecznie próbując ustawić się do czystego strzału. Przerażony staruszek krzyknął i zaczął się przesuwając bokiem w stronę ściany budynku. Ciągle zasłaniał trochę Corbenowi

widok, agent więc po prostu trzymał palec na spuście. Nagle postanowił zrobić coś nieoczekiwanego. Złapał od tyłu Faruka i przystawił mu pistolet do szyi.

- Chcesz tego, co? Chcesz, żebym go zabił? - rzucił w stronę zabójcy.

Popchnął Faruka do przodu, trzymając się ciągle za nim. Kątem oka zauważył, że ospathfinderem reaguje na zgiełk i wyciąga broń. Przewaga agenta nie mogła się utrzymać dłużej niż przez sekundę lub dwie. Zbliżył się jeszcze bardziej do samochodu i zauważył, że zdeorientowany zabójca przy kawiarni zaczyna się rozglądać, ustawiając się wreszcie na linii strzału. Corben wycelował w niego pistolet i wpakował mu w pierś dwie kule kalibru 357, które zwały mężczyznę z nóg i cisnęły nim o stoły i krzesła.

- Do samochodu, teraz! - krzyknął do Faruka, popychając go w stronę drzwi od strony pasażera. Ludzie wokół zaczęli biegać i szukać jakiejś osłony. Corben zauważył herszta bandytów nadbiegającego spod wejścia na bazar. Posłał w jego kierunku kilka kul, po czym otworzył drzwi i wskoczył do samochodu.

Przekręcił kluczyk i wcisnął gaz. Pathfinder wystrzelił na ulicę i pomknął w stronę zaparkowanego mercedesa. Corben pchnął głowę Faruka w dół i krzyknął:

- Pod siedzenie!

Jego mózg pracował na najwyższych obrotach i agent w okamgnieniu doszedł do wniosku, że nie może tak po prostu odjechać. Znajdował się w labiryncie wąskich uliczek i nie dało się przewidzieć, w którym momencie ruch zacznie się toczyć w żółwym tempie czy nawet się zatrzyma.

Istniała możliwość, że bandyci szybko ich dogonią. Corben musiał zdobyć większą przewagę.

Kiedy pathfinder przejeżdżał obok mercedesa, agent wcisnął hamulec. Ciężki wóz zatrzymał się z piskiem opon. Corben wyciągnął glocka i zatoczył wokół siebie ręką. Zdziwiony kierowca zanurkował pod siedzenie, a Corben wypalił trzy razy w przednie koło mercedesa, niszcząc je doszczętnie. Cały samochód opadł o kilkanaście centymetrów. Dało to agentowi potrzebny mu czas. Wcisnął znowu pedał gazu i ruszył z piskiem opon. Kiedy jednak nabierał

prędkości, zauważył, że z bocznej uliczki po stronie Faruka wybiega czwarty zabójca, celując z broni w pathfindera i w końcu strzelając. Kule przebiły się z prawej strony przez karoserię wozu. Corben zobaczył w lusterku, że dowódca oddziału dogania strzelca i krzyczy coś do niego. Domyślił się, że pewnie wymyśla mu od ostatnich za to, że naraża życie Faruka. Hakim potrzebował handlarza żywego, co zresztą Corben wykorzystał chwilę wcześniej w celu zdeorientowania pierwszego strzelca.

Wbił wzrok w przednią szybę, starając się sobie przypomnieć najszybszą drogę ucieczki z pułapki, w jakiej ciągle tkwili. W tym momencie usłyszał jęk Faruka.

Odwrócił się i zobaczył, że handlarz krzywi się z bólu, a na jego boku wykwita szkar-

łatna plama

ROZDZIAŁ 44

Corben pędził przed siebie przez dwa kilometry, przeciskając się przez wczesno popo-

łudniowy tłok. Faruk na siedzeniu obok wił się z bólu i jęczał. Co chwilę sprawdzał z niedowierzaniem ranę, zgodnie z radą Corbena przyciskając do niej ociekające krwią dłonie i przez cały czas mruczając do siebie oraz wyklinając po arabsku swój los. Corben oka nie odrywał od lusterka, nie zauważył jednak nawet śladu ludzi hakima. Agent wiedział, że Faruk się męczy, ale musiał wytrzymać jeszcze trochę, aż Corben poczuje pewność, że są już bezpieczni. W

końcu zjechali z głównej drogi w szeroki betonowy kanał suchego aktualnie koryta rzeki Bejrut, tłukąc się przez chwilę przez zakurzoną aleję i zatrzymując przy odrapanych starych gara-

żach.

- Pokaż - powiedział do Faruka Corben, po czym sięgnął w jego stronę ręką i ostrożnie sprawdził jeszcze raz ranę. Kula przeszła handlarzowi bokiem na wylot, wbijając się w jego ciało w dolnej części pleców i wychodząc powyżej biodra. Ból był do wytrzymania, co prawdopodobnie oznaczało, że żołądek i wątroba nie zostały uszkodzone, a zważywszy, że handlarz ciągle żył, kula musiała również ominąć aortę. Corben wiedział jednak, że mogła uszkodzić inne narządy, Faruk zaś broczył obficie, tracąc mnóstwo krwi.

Należało coś postanowić.

Oddech Faruka był coraz bardziej nierówny, przyspieszony. Jego oczy, rozszerzone ze strachu, usilnie wpatrywały się w Corbena, szukając u niego pociechy.

- I jak?

- Wygląda na to, że kula ominęła wszystkie ważniejsze narządy. Nic ci nie będzie. -

Corben rozejrzał się po samochodzie, ale nie znalazł niczego, co Faruk mógłby do niej przytknąć. - Przyciskaj ranę rękami. Zatamuje to trochę krwawienie.

Faruk położył obie dłonie na ranie i wykrzywił się z bólu. Po jego twarzy spływał pot, a kiedy mówił, drżały mu usta.

- Nie wiesz, gdzie jest najbliższy szpital? Corben właśnie się nad tym zastanawiał.

- Nie ryzykowałbym wyprawy do szpitala - powiedział beznamiętnym głosem. - Ci ludzie wszędzie mają kontakty. Nie byłbyś bezpieczny. Zabiorę cię do ambasady. To tylko dwadzieścia minut stąd.

Na twarzy Faruka wyrysowało się najpierw zdumienie, a potem poczucie ulgi. Ambasada była dobrym wyborem. Prawdopodobnie mieli tam najlepszych lekarzy.

Odchylił się i zamknął oczy, tak jakby chciał zapomnieć o istnieniu świata.

Corben wrzucił bieg i samochód ruszył.

- Muszę się od ciebie dowiedzieć kilku rzeczy. Kto cię ściga?

- Nie wiem - odpowiedział Faruk, wykrzywiając się z bólu, kiedy samochód podskoczył na jednym z licznych spękań przecinających stary, popękany asfalt.

- Ale pewnie masz jakiś pomysł. Skąd się dowiedzieli o antykach? Jak cię znaleźli?

Faruk zatopił się w siedzeniu i opowiedział o tym, jak Abu Barzan zaproponował mu pośrednictwo w sprzedaży swojego skarbu, jak Hadż Ali Sallum znalazł kupca, jak wyłączył

księgę ze zjadaczem ogona z transakcji, jak klient zażądał całej kolekcji, jak pojawili się u Alego zabójcy i o wiertarce elektrycznej.

- Dlaczego nie chciałeś sprzedać księgi razem z pozostałymi antykami? - zapytał Corben.

Twarz Faruka zachmurzyła się, pojawiły się na niej wyrzuty sumienia i żal.

- Wiedziałem, że sitti Evelyn będzie chciała ją zdobyć i że w zamian mi pomoże.

Corben skinął głową.

- Byłeś z nią w Iraku, kiedy odkryła podziemną komnatę.

Było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie. Faruk początkowo poczuł się trochę zdezorientowany tym, że Corben wiedział tak dużo, po chwili jednak stwierdził, że właściwie mu ulżyło.

- Tak. Poświęciła mnóstwo czasu, żeby zrozumieć, co oznacza ten symbol. Kiedy więc zabili Hadż Alego i musiałem uciekać, wiedziałem, że szukają właśnie tego, choć nie miałem pojęcia dlaczego.

Corben szybko przemyślał usłyszane słowa. Ogólnie pasowały do ob razu sytuacji, jaki sobie zarysował w myślach, właściwie nawet go dopełniały. Musiał jednak zadać jeszcze jedno, podstawowe pytanie.

- W takim razie, gdzie ona jest?

- Co? - zapytał zmieszany Faruk.

- Księga. Gdzie ona jest? Faruk się skrzywił.

- W Iraku - odpowiedział, tak jakby spodziewał się po Corbenie, że będzie już o tym wiedział.

Corben odwrócił się do niego całkowicie zaskoczony. - Co?

- U Abu Barzana, jak wszystko. A gdzie miałyby być? - Słowa zaczęły płynąć z ust Faruka szybkim, rozpaczliwie szybkim strumieniem. - Przecież nie dałby mi jej tak po prostu, zanim zdobyłbym

pieniądze. Nie przywiózł ze sobą niczego do Bagdadu. Podróż z takim towarem byłaby niebezpieczna. Wszystko trzyma w Mosulu.

- Powiedziałeś Ramezowi, że masz te antyki - stwierdził wyprowadzony z równowagi Corben.

- Mówiłem, że chciałem je sprzedać - zaprotestował Faruk. - Pewnie założył, że mam je ze sobą. Ale one nie są moje.

Corben zmarszczył brwi, spojrzał przed siebie i się zamyślił. Brał wprawdzie pod uwagę taką możliwość, uważał jednak za bardziej prawdopodobne, że Faruk zabrał księgę ze sobą do Libanu i ukrył ją w jakimś bezpiecznym miejscu, kiedy odnalazł Evelyn.

- Ten cały Abu Barzan. Jest teraz w Iraku?

- Tak myślę - odpowiedział słabym głosem Faruk. - Pewnie wrócił do Mosulu.

Corben przez chwilę gotował się w milczeniu z wściekłości, a jego umysł pracował

jak oszalały. Drzewko możliwości, które zarysował sobie w głowie przed spotkaniem z Farukiem, rozsypało się właśnie w pył.

- Masz numer jego telefonu?

- Oczywiście.

Corben wyciągnął swoją komórkę.

- Podaj mi.

Faruk spojrzał na niego pełen obaw.

- A co chcesz mu powiedzieć?

- Ja nic. To ty z nim pogadasz. Powiesz mu, że masz kupca. Przecież oto cię właśnie prosił, prawda?

- Corben machnął ręką. - Podaj mi ten numer.

Kiedy Corben wybierał na klawiaturze Kiedy numer, Faruk pomyślał nagle, że znalazł

się w nieciekawej sytuacji. Niby jego towarzysz go uratował, a przynajmniej tak twierdził. Z

drugiej strony kilka chwil wcześniej przystawił mu pistolet do twarzy i blefował, narażając jego życie.

W głowie zaczęło mu wirować, jego powieki nagle zaczęły ważyć tonę, a pieczenie w brzuchu stawało się coraz bardziej intensywne. Przeklinał swojego pecha, przeklinał los, przeklinał samego Boga i żałował, że nie może cofnąć czasu, że w ogóle pomyślał o Evelyn i jej zainteresowaniu zjadaczem ogona, że nie zostawił wszystkiego tak, jak jest, że nie przekazał

całego towaru kupcom Alego, nie pocałował go w czółko z wdzięczności i po prostu nie zgarnął swoich pieniędzy.

Nawet Bagdad był lepszy niż to.

Corben wsłuchiwał się przez moment w sygnał, po czym przekazał mu telefon. Faruk wziął go trzęsącą dłonią. W uchu rozbrzmiało mu odległe, nieregularne buczenie.

Po kilku dzwonekach telefon odebrał Abu Barzan.

- Kto mówi? - zapytał swoim szorstkim, przepalonym głosem.

- Faruk. - Zauważył, że Abu Barzan mówi głośniejszym niż zwykle, a w tle usłyszał jakieś radio. Pomyślał, że handlarz pewnie jest w samochodzie.

- Faruk! - zagrział Abu Barzan, jowialny jak zawsze. - Gdzie ty się, do diabła, po-dziewasz? - Dorzucił żartobliwie kilka powszechnie uważanych za obraźliwe słów, którymi opisał przyjaciela. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale musiał ci zdechnąć telefon.

- Jestem teraz z kupcem - powiedział zgodnie z prawdą Faruk. - Chce kupić antyki.

Corben spojrzał na niego. Farukowi udało się wymusić z siebie półuśmiech.

Corben prowadził dalej.

- Spóźniłeś się - poinformował go Abu Barzan z wyniosłym rechem, po czym dorzucił jeszcze kilka soczystych inwektyw. - Już je sprzedałem.

Wiadomość uderzyła w Faruka niczym grom.

- Jak to „sprzedałeś”? - wybuchnął. - Właśnie jadę z towarem do kupca. Faruk odetchnął z ulgą.

- Więc ciągle je masz?

- I to przy sobie.

- Dobra, to ja ci mówię tyle, że mam kupca. - Faruk zauważył, że Corben odwraca się, zaalarmowany tonem jego głosu, i czując nagły przyływ lęku, zaczął się zastanawiać, jak zareaguje. Spróbował zebrać się w sobie i pokręcił głową, dając Corbenowi znać, że nic się nie stało.

- To sprzedaj mu coś innego - powiedział Abu Barzan. - Przecież w tym swoim sklepiku masz całą piwnicę bezcennych gratów, nie?

- Posłuchaj - syknął do telefonu Faruk, starając się nie wyglądać na zdenerwowanego i zawiedzionego. - Jacyś ludzie szukają jednej z ksiąg, które sprzedajesz. Źli ludzie. Zabili Hadż Alego, zabili innych. Porwali z jej powodu moją znajomą, a ja właśnie zostałem postrzelony, rozumiesz?

- Zostałeś postrzelony?

W słuchawce rozległy się kolejne przekleństwa, choć tym razem nie pod adresem Faruka.

- Tak.

- Wszystko w porządku? Faruk zakasłał.

- Żyję.

- Kto został porwany?

- Amerykanka. Archeolog, tutaj, w Bejrucie.

- Jesteś w Bejrucie?

- Tak - odpowiedział zrozpaczonym głosem Faruk. - Posłuchaj, ci faceci nie żartują.

Przyjdą po ciebie.

Abu Barzan parsknął lekceważąco.

- Przykro mi, że musiałeś przez to przejść, ale to nie mój problem. Jutro wieczorem spotykam się z moim kupcem. Przekazuję mu towar i zgarniam forszę, a wtedy to jest już jego problem. Ale dzięki za cynk. Będę miał oczy otwarte.

Faruk skrzywił się i westchnął ciężko. Wydawało mu się, że tonie. Choć właściwie nawet nie był zdziwiony. Abu Barzan nie tylko był grubym wieprzem i ale i łajdakiem, który sprzedałby własnego syna, gdyby tylko znalazł kupca, którego po jednym spojrzeniu nie zniechęciłyby jego gówniane geny.

- Zostań na linii - powiedział Faruk i odwrócił się do Corbena, wykrzywiając usta z bólu i zdenerwowania. - Mówi, że już je sprzedał. Właśnie jedzie, żeby je dostarczyć.

Corben zamyślił się za kierownicą.

- Czy ciągle ma księgę? - zapytał w końcu.

Faruk skinął głową i zapytał o to Abu Barzana, opisując dokładnie kodeks. Abu Barzan stwierdził, że z tego co wie, ciągle ma go przy sobie. Umowa dotyczyła całej partii towaru.

- Zapytaj go, ile chce za całość - powiedział Corben.

Faruk natychmiast się zorientował, że zaczyna się właściwa gra, skinął więc głową i zadał pytanie.

- Twój kupiec ma głębokie kieszenie? - roześmiał się Abu Barzan.

- Tak - stwierdził cierpliwie Faruk, w duchu odchodząc od zmysłów.

- Trzysta tysięcy dolarów. Gotówką - padła odpowiedź.

Faruk przekazał jego słowa Corbenowi i przybrał zdziwiony wyraz twarzy, tak jakby chciał powiedzieć: „Spora sumka”.

Corben zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Daję czterysta.

Oczy Faruka się rozszerzyły. Przekazał ofertę.

- Szybko poszło. To poważny gość? - zakpił Abu Barzan.

- Oczywiście.

- Lepiej, żeby tak było. - Tym razem Abu Barzan mówił śmiertelnie poważnym tonem. Kiedy sprawa dotyczyła gotówki, nie lubił żartów. - Powiedz mi coś. Co jest takiego wyjątkowego w tej księdze?

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to - warknął wściekłym głosem Faruk. - Ja tylko próbuję uratować życie tej kobiecie.

- Oszczędź mi swojej drętwej gadki, dobra? - Abu Barzan wziął głęboki oddech, świszcząc przy tym niemilosiernie. - W porządku. Jestem zainteresowany. Ale muszę zadzwonić do mojego kupca. Przynajmniej dam mu szansę, żeby przebił waszą ofertę.

Faruk przekazał wieści Corbenowi. Ten kazał mu zapytać, jak długo to potrwa.

- Zadzwonił do mnie dzisiaj - powiedział Abu Barzan. - Zaraz do niego zadzwonię.

Podaj mi swój numer.

Corben kazał Farukowi powiedzieć, że oddzwonią do Abu Barzana za pięć minut. Faruk zrobił to i się rozłączył. Pathfinder wjeżdżał właśnie na nadbrzeżną autostradę. W dali zamajaczyły wzgórza, wśród których była ukryta ambasada.

Faruk skulił się w fotelu i wciągnął głęboko w płuca powietrze, starając się zapomnieć o palącym bólu w brzuchu. Otuchy dodawał mu fakt, że ciągle żyje, oraz nadzieja, że wbrew temu, czego można się było spodziewać, cała awantura mogła się dla niego skończyć znacznie lepiej niż dla jego przyjaciela Alego.

ROZDZIAŁ 45

Kirkwood oparł się o ławkę na placu za dobudówką i czekał. Ogarnęła go frustracja.

Nie był w stanie odpowiedzieć na istotne dla siebie pytania i czuł, że cenne minuty przepływają mu przez palce, a on tylko siedzi bezradnie i czeka. Zerknął jeszcze raz na zegarek. I wtedy zadzwonił

telefon. Spojrzał na numer dzwoniącego i zmarszczył brwi. Wstał, rozejrzał

się, upewniając się, że nikt nie podsłuchuje, i otworzył klapkę aparatu.

- Właśnie dzwonił do mnie kupiec zainteresowany kolekcją - zagrział mu wprost do ucha głos Abu Barzana. - Oferuje mi za nią więcej niż ty, drogi przyjacielu.

- Myślałem, że zawarliśmy umowę - stwierdził poirytowany Kirkwood.

- Bo zawarliśmy i ciągle obowiązuje. Ale to niezła oferta, a ja jestem biznesmenem.

Prawdziwy konkurent, czy tylko blef? Kirkwood się zastanowił. Tak czy inaczej musiał podjąć grę.

- Ile oferuje? - zapytał z udawaną cierpliwością.

- Czteryście tysięcy.

Kirkwood musiał to przemyśleć. Inny kupiec, ni stąd, ni zowąd. Oferujący znacznie więcej niż jest warta cała kolekcja. Jeśli to ktoś z grupy, która przetrzymywała Evelyn, to kupno kolekcji sprawi, że porwana archolog stanie się dla nich zbyt cenna. Tyle że Kirkwood nie miał zamiaru pozwolić nikomu zgarnąć mu księgi sprzed nosa. Nie tak łatwo.

Daję pięćset, ale pod jednym warunkiem. Drugi raz nie będziemy się bawić. Musisz być ostrożny. Znasz mnie i wiesz, że nie będzie ze mną problemów. Ale kręcą się tutaj pewni bardzo niebezpieczni ludzie.

- Też tak słyszałem - spoważniał nagle Abu Barzan. - Powiem ci coś. Niech będzie sześćset i cała kolekcja jest twoja. W tym księga.

Kirkwood zeszywniał. Abu Barzan nie powinien wiedzieć o księdze. Kirkwood ani nie chciał łapać przynęty, ani dawać po sobie poznać, że pieniądze nie stanowią dla niego problemu. Przeczekał chwilę, żeby wzbudzić u Abu Barzana niepokój, po czym powiedział:

- Niech będzie. Sześćset. Ale to wysoka cena i dobrze o tym wiesz.

- Wierz mi, wiem doskonale. Widzimy się jutro wieczorem.

- Ten nowy kupiec - zapytał szybko Kirkwood. - Możesz mi coś o nim powiedzieć?

Abu Barzan roześmiał się swoim gardłowym głosem.

- Przykro mi, przyjacielu. Kolejny szurnięty Amerykanin, taki jak ty. Próbuje położyć łapska na tej księdze. Może powinienem ją sobie zatrzymać, jak myślisz?

Kirkwoodowi ledwie udało się powstrzymać wybuch gniewu.

- Nie radziłbym - odpowiedział krótko. Abu Barzan znowu roześmiał się szyderczo.

- Spokojnie. Z tego co słyszałem, wygląda mi na przeklętą. Cieszę się, że się jej po-zbędę. Nie zapomnij o dodatkowej gotówce.

Rozłączył się.

Kirkwood przez chwilę wpatrywał się w aparat, po czym odłożył go na bok. Zastanawiał się nad tym, jak to się wszystko zbiegło w czasie. Coś tu się według niego nie zgadzało.

Nowemu licytantowi chodziło wyłącznie o księgę. Jedyne osoby, o których wiedział, że mogłyby nawiązać kontakt z Abu Barzanem, byli porywacze Evelyn oraz iracki handlarz, którego próbował sprowadzić Corben. Czyżby agentowi się nie udało? Czyżby porywacze dopadli Irakijczyka?

Postanowił pójść do głównej willi. Wspiął się po schodach i udał się do gabinetu ambasadora. Sekretarka poinformowała go, że szef jeszcze przez godzinę będzie na jakimś spotkaniu. Kirkwood podziękował jej. Wrócił do przybudówki i poszedł do biura prasowego.

Mia ciągle siedziała w swoim pokoju. Czytała jakiś gęsto zadrukowany tekst, który znalazła w Internecie, i wydawała się głęboko nim zaabsorbowana. Kirkwood nie widział ty-tułu, a literki były zbyt małe, żeby mógł odgadnąć, o czym traktuje.

- Miałaś jakieś wieści od Corbena? - zapytał.

- Nie. - Na jej twarzy pojawił się niepokój. Zerknęła na zegarek. Kirkwood chwilę wcześniej spojrzał na swój. Wiedział, że było już po dwunastej. Podniósł wzrok i napotkał

spojrzenie Mii. W jej oczach jak w lustrze odbijały się jego własne obawy.

Rozmowa telefoniczna z pewnością już się odbyła.

Wkrótce wszystkiego się dowiedzą.

PATHFINDER WYDOSTAŁ SIĘ Z ZAPCHANEGO pasa i zaczął się piąć przez wzgórza w stronę Awkaru.

Jego silnik coraz częściej stękał z wysiłku, bo szeroka równa droga zwęziła się w serię krętych wiraży, wijących się o stóp Góry Liban. Po obu stronach jezdni ciągnęły się porozrzucane przypadkowo, w nieregularnych odstępach domy, których zresztą w miarę zbliżania się do szczytu było coraz mniej i których kamienne fasady dzieliły od siebie coraz większe przestrzenie, odsłaniając szersze połacie majaczącego za nimi gęstego lasu.

Corben zadzwonił do Olshanskiego i przekazał mu numer komórki Abu Barzana. Kazał mu sprawdzić jej lokalizację, dodając, że właściciel przebywa prawdopodobnie w północnym Iraku. Powiedział też, że przez telefon ktoś pewnie w tej chwili rozmawia i że Corben chciałby wysledzić również osobę po drugiej stronie linii.

Upewnił się, że do Olshanskiego dotarło, że sprawa jest najwyższej wagi.

Do ambasady zostało im dziesięć minut jazdy, nie miał więc zbyt dużo czasu, żeby przemyśleć możliwości, jakie miał do dyspozycji. Musiał od-dzwonić do Abu Barzana, choć spodziewał się, co wyniknie z rozmowy. Mimo wszystko nie był przygotowany na komplikacje, które nieuchronnie czekały go już w momencie, gdy wjedzie na teren ambasady.

Zauważył boczną uliczkę, z której już kiedyś korzystał, zwolnił więc i skręcił w nią.

Była to wąska dróżka pokryta popękanym asfaltem. Minęli jakieś podniszczone domy i inne niskie budynki, aż wreszcie wjechali w gęsty sosnowy las. Droga wyrównała się, po czym w serii ostrych zakrętów zaczęła opadać w dół. Corben oddalił się dwa kilometry od głównej drogi, po czym wjechał na niewielką polanę i wyłączył silnik.

Miejsce było odludne i dzięki gęstej pokrywie drzew, przez którą od czasu do czasu przebijały się eteryczne promienie słońca, panował w nim chłód. Ciszę wokół polany zakłóca-

ły jedynie rozbrzmiewające wszędzie wokół pieśni godowe niezliczonych cykad.

Faruk przecesał wzrokiem drzewa, po czym zwrócił się, wyraźnie zdezorientowany do Corbena:

- Dlaczego się tutaj zatrzymaliśmy?

- Wolałbym nie dzwonić z terenu ambasady.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Faruk.

- Lepiej, żebyśmy to mieli już za sobą, jak tam dojedziemy - powiedział spokojnie Corben. - Nie martw się. Zostały nam dwie minuty drogi. Będziemy tam, zanim zdążysz się zorientować.

Spojrzał na zegarek. Już czas. Wyciągnął telefon, znalazł w wykazie drugą w kolejności rozmowę i wcisnął zielony przycisk. Kilka sekund później uzyskał połączenie.

Już po pierwszym sygnale usłyszał głos Abu Barzana i wręczył aparat Farukowi.

Irakijczyk przez chwilę słuchał, po czym odwrócił się do Corbena. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu i konsternacji.

- Jego kupiec dał sześćset.

Corben spodziewał się dokładnie takiej sumy.

Zdawał sobie sprawę, że dalsza licytacja nie ma sensu. Zabytkowe przedmioty były warte zaledwie ułamek tych pieniędzy, co z pewnością oznaczało, że kupiec szuka tego samego co on, i że prawdopodobnie jest w stanie zapłacić dowolną sumę. Mimo to przez chwilę rozważał podjęcie rzuconej rękawicy. Pytanie tylko, czy udałoby mu się zdobyć taką ilość go-tówki. Zanim jednak

zdążył odpowiedzieć, zauważył, że Faruk znowu w skupieniu słucha Abu Barzana.

Irakijczyk jeszcze bardziej się zachmurzył.

- Mówi, żebyś mu nie proponował jeszcze większych pieniędzy - przekazał Corbenowi, dysząc boleśnie. - Mówi, że jego klient jest znany z licznych transakcji, co oznacza, że je-

śli ktoś zabija ludzi z powodu tych antyków, to nie jest to z pewnością jego kupiec. A on jest bardziej niż zadowolony z ceny. Dziękuję nam za jej podbicie, ale transakcja jest już zakoń-

czona.

Corben zmarszczył brwi. Sprawa wymykała mu się z rąk. Potrzebował jakiejś karty przetargowej, ale jedyna, jaką dysponował, nie należała do mocnych i mogła przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, bo zależała od przekonań politycznych Abu Barzana, których nie miał czas; ocenić, oraz jego skłonności do ustępowania pod naciskiem.

Postanowił zaryzykować.

- Czy on mówi po angielsku?

Faruk skinął głową.

- Daj mi telefon.

Faruk wymamrotał coś w rodzaju krótkiej prezentacji, przekonał Abu Barzana, żeby pozostał na linii, po czym wręczył aparat Corbenowi. Był lepki od krwi.

- Nie mogę przebić twojego klienta - powiedział handlarzowi Corben - ale mogę cię przekonać, żebyś jeszcze raz przemyślał moją ofertę.

- Przykro mi, przyjacielu - zarechotał Abu Barzan. - Znam dobrze mojego kupca i wiem, że jutro będę miał moje pieniądze. Wrócę do Mosulu jako bardzo bogaty człowiek. A o tobie nic nie wiem. Znasz pewnie takie przysłowie: lepszy wróbel w garści...

- Chciałbym tylko, żebyś przemyślał kilka kwestii - powiedział spokojnie Corben. -

Nie chodzi tylko o forszę. Pracuję dla amerykańskiego rządu, a do głowy przychodzi mi kilka gorszych sytuacji niż ta, w której ktoś ma w nas dłużnika. Z tego, jak układają się sprawy, wynika, że raczej pozostaniemy w Iraku przez jakiś czas. Może się okazać, że któregoś dnia przyjaciel w naszych sferach może się okazać przydatny. Rozumiesz, co mam na myśli?

Abu Barzan przez chwilę milczał. Kiedy odezwał się znowu, w jego głosie nie było już nawet cienia kpiarskiego tonu, który zastąpiła lodowata pogarda.

- Wydaje ci się, że jak mi powiesz, że pracujesz dla rządu amerykańskiego, to nabiorę ochoty, żeby ci pomagać? Wydaje ci się, że możesz coś dla mnie zrobić w Iraku?

Poglądy polityczne Abu Barzana przestały być tajemnicą.

- Lepiej mieć w rządzie dłużnika, niż nas wkurzać, to pewne - odpowiedział beznamiętnym tonem Corben, zdając sobie sprawę, że i tak nic to nie da.

- A teraz mi grozisz? - wrzasnął Abu Barzan, obdarzając Corbena potokiem niezwykle interesujących wyzwisk. Agent był przy drugim „pierdol się!”, kiedy postanowił się rozłączyć.

Faruk wpatrywał się w niego okrągłymi, pełnymi konsternacji oczami.

- I co powiedział?

Corben nieznacznie pokręcił głową.

- Nie jest zainteresowany. Faruk westchnął ciężko.

- Nie mamy więc niczego, co moglibyśmy wymienić na sitt Evelyn. Miał rację. Corben wiedział jednak, kto ma księgę. I znał jego numer telefonu.

Abu Barzan powiedział Farukowi, że jedzie właśnie dostarczyć towar i dodał, że swoje pieniądze będzie miał „jutro wieczorem”. Corben miał więc ponad dwadzieścia cztery godziny, żeby go namierzyć. Jeśli Abu Barzan był w podróży i musiał pozostawać w kontakcie z kupcem, prawdopodobnie nie będzie miał czasu, żeby zmienić telefon ani nie będzie chciał

ryzykować. Corben był właściwie pewien, że Olshanskiemu uda się ustalić jego pozycję.

Kiedy się głębiej nad tym zastanowił, doszedł nawet do wniosku, że wszystko poszło nie tak znowu źle. Oczywiście, odkrycie jeszcze jednego kupca komplikowało sytuację. Ale z drugiej strony zmusiło do ujawnienia się kogoś, kogo Corben również chciał znaleźć, kogoś, kto bardzo długo potrafił skutecznie pozostawać w cieniu i o kim Corben przez cały czas nawet nie wiedział. Już na podstawie tego można było stwierdzić, że sytuacja potoczyła się w korzystnym kierunku.

Pozostawał Faruk.

Faruk, który siedział obok, dysząc chrapliwie, jęcząc i zalewając krwią cały wypożyczony przez Corbena z ambasady samochód.

Corben znał tego typu rany. W telewizji ludziom, którzy zostali postrzeleni, mówi się, że mają szczęście, że to „tylko” powierzchowna rana i że za kilka dni będą jak nowo narodzeni, a o postrzale świadczyć będzie jedynie szeroki biały bandaż. Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. Większość ran postrzałowych wymagała hospitalizacji i intensywnej terapii.

Łatwo i często wdawały się po nich infekcje. Rana taka, jaką zadano Farukowi, w najlepszym wypadku wymagała kilkumiesięcznego pobytu w szpitalu. Istniało duże prawdopodobieństwo

stwo, że w jakimś stopniu będzie mu dokuczała do końca życia.

Co stanowiło pewien problem.

Corben powiedział Farukowi prawdę: szpital nie był bezpiecznym miejscem, nie w momencie, gdy w grę wchodził hakim dysponujący kontaktami w libańskiej policji. Poza tym to, żeby hakim się dowiedział, że Faruk został postrzelony, było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął

Corben. Nawet gdyby hakim nie dorwał Faruka natychmiast, zaraz by się zorientował, ile wie Corben, co z miejsca przekreśliłoby przewagę nad hakimem jaką mógł się teraz cieszyć agent.

W sprawę należałoby też wprowadzić detektywów z Fuhud. Komendanta posterunku.

Prawdopodobnie prasę. Każdy ruch, każda decyzja, jaką podjąłby albo chciałby podjąć od tego momentu Corben, zostałaby natychmiast wzięta pod lupę. Nie dałoby się też uniknąć wciągnięcia we wszystko ambasadora i rządu libańskiego. Gdyby dowiedzieli się o pozostają-

cych w dyspozycji Abu Barzana dziełach sztuki i zdołali położyć na nich rękę, pewnie chcieliby zorganizować z hakimem wymianę, próbując uwolnić dzięki nim Evelyn. Hakim znalazł-

by to, czego szukał i wycofałby się, a Corbenowi zostałaby tylko frustracja i tony papierkowej roboty. Również gdyby hakimowi nie udało się dotrzeć do Faruka albo gdyby nie doszło do wymiany, na pewno zniknąłby z powierzchni ziemi.

Wizytę w szpitalu należało wykluczyć.

Nie mógł również trzymać Faruka w ambasadzie. Nie było tam sprzętu medycznego.

Byłoby fatalnie, gdyby Faruk zmarł w szpitalu, ale gdyby umarł w ambasadzie... Ambasador był człowiekiem z zasadami, honorowym urzędnikiem, który za nic w świecie nie utrzymałby pobytu Faruka w tajemnicy przed Sekretariatem Stanu i lokalnymi władzami. Śmierć Faruka na amerykańskiej ziemi wywołałaby skandal, który wszystko by zepsuł.

Corben nie dostałby tego, czego szukał.

Kiedy myślał o tym na zimno, nie mógł uciec od refleksji, że Faruk nie przedstawiał

już dla niego żadnej wartości. Irakijczyk zaplątał się w to przypadkowo, a teraz, kiedy Corben wyciągnął już z niego wszystko na temat Abu Barzana, stał się bezużyteczny.

Bardziej niż bezużyteczny.

Był ciężarem.

Im głębiej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniej dostrzegał, że przywożenie go do ambasady wiązało się z pytaniami, przeszkodami, komplikacjami i kłopotami.

Właściwie więc nie miał wyboru.

Odwrócił się do Faruka. Ranny Irakijczyk wyglądał jak poturbowane zwierzę. Zwinął

się w kłębek i ociekał krwią. Twarz lśniła mu od potu, a w bladym, rozproszonym świetle przedzierającym się przez las, jego skóra wydawała się wręcz popielata. Drżał na całym ciele, a trzęsące dłonie, pobrudzone płatami zakrzepłej krwi, przyciskał potulnie do rany. Patrzył na Corbena przerażonymi, na wpół martwymi oczami, niemal przegrywając bitwę z opadającymi na nie powiekami.

Otworzył spękane suche usta, chcąc coś powiedzieć, ale Corben spokojnym gestem przykazał mu milczenie. Nachylił się nad nim i powiedział:

- Przepraszam.

Faruk spojrzał na niego lekko zaskoczonym wzrokiem.

Corben zaatakował go obiema rękami. Jedną dłoń wsunął mu za głowę, przytrzymując ją w nieruchomej pozycji. Drugą położył Farukowi na twarzy, zaciskając ją mocno i zatykając tym samym Irakijczykowi usta i nos.

Faruk zaczął rzucać dziko na wszystkie strony oczami, młóćąc jednocześnie ramionami powietrze. Niestety zabrakło mu sił. Corben cofnął rękę i wymierzył Irakijczykowi cios tuż obok rany. Faruk zawył przez przyduszone usta i zgiął się wpół. Corben przycisnął go z powrotem do siedzenia, nadal odcinając mu dostęp powietrza. Faruk zaczął się krztusić i wydawać z siebie ciężkie, bulgoczące odgłosy, a jego oczy, wpatrzone w Corbena z nieludzkim przerażeniem, wydawały się wyskakiwać z orbit. Corben wzmocnił jeszcze żelazny uścisk, czując, że Irakijczyka opuszczają siły, czując, jak z jego poobijanego ciała wyciekają ostatnie strużki życia. Wreszcie poczuł, że daremny opór ustąpił.

ROZDZIAŁ 46

Przez okno w swoim pokoju w biurze prasowym Mia zauważyła pathfindera, który przejechał obok przybudówki, zmierzając w stronę tylnej części obiektu. Okno od strony kierowcy było opuszczone i Mia zobaczyła przez nie Corbena, który skierował samochód w stronę krytego parkingu oddalonego od głównego budynku, co miało stanowić dodatkowy środek ostrożności przeciw samochodopułapkom. Zerwała się i wyjrzała na zewnątrz. Kiedy koncentrowała wzrok na samochodzie, wyraźnie czuła, jak przyspiesza jej puls. Niestety, z miejsca, z którego patrzyła, nie była w stanie dostrzec siedzenia pasażera. Minęło kilkanaście niekończących się sekund i wreszcie Corben wyszedł zza przypominającego bunkier parkingu.

Mia zamarła. Był sam.

Co gorsza, pokryty był czymś, co mogło być tylko krwią. A jakby to nie wystarczało, jego twarz wykrzywił ponury, wymowny grymas.

Mia poczuła, że uginają się pod nią kolana. Opadła z powrotem na fotel, czując, że coś w niej w

środku pęka.

Nie było Faruka.

Nie było sposobu, żeby odnaleźć księgę.

Nie było niczego, co można by wymienić na jej matkę.

CORBEN ZAMKNAŁ OCZY I POZWOLIŁ, żeby strumień gorącej wody zmywał znużenie z jego obolałego ciała. Znajdująca się na terenie ambasady sala gimnastyczna była pozbawiona okien i wciśnięto ją w najdalszy kąt piwnicy przybudówki. Jedna z jej kabin prysznicowych zapewniła właśnie Corbenowi chwilowe wytchnienie od krwawego i brudnego dnia, który miał zapamiętać jako najcięższy od chwili, kiedy dostał przydział do tego nerwowego miasta.

Zanim po drodze do ambasady zadzwonił i przekazał swoim szefom - szefowi placów-ki i ambasadorowi - krótki zarys wydarzeń, wszystko dokładnie przemyślał. Faruk został postrzelony. Śmiertelnie. Zmarł, zanim Corben zdążył go dowieźć do szpitala. W tym momencie miał tylko jedno wyjście: musiał się upewnić, że porywacze się nie dowiedzą, że Faruk nie żyje. W przeciwnym razie stwierdziliby, że wraz z nim stracili jedyne źródło informacji na temat miejsca ukrycia zabytkowych przedmiotów i w ten sposób nie byłoby już czego wymieniać na życie Evelyn.

Nie mógł przywieźć ciała do ambasady, która oficjalnie była częścią terytorium Stanów Zjednoczonych. Nie mógł go również przekazać policji. Biorąc pod uwagę to, jak mocno wydawała się zinfiltrowana, porywacze dowiedzieliby się o śmierci Faruka zanim jeszcze jego ciało zdążyłoby ostygnąć. Musiał załatwić wszystko tak, by po Irakijczyku nie został nawet ślad. Przynajmniej przez jakiś czas. Musiał zapewnić sobie możliwość wymyślenia jakiegoś innego sposobu na uwolnienie Evelyn.

Pojechał więc do sosnowego lasu na wschód od miasta i zostawił w nim ciało, podrzucając je obok wąskiej, prawie w ogóle nieużywanej dróżki. Wokół nikogo nie było. Jeśli ktoś kiedyś odnajdzie ciało, Corben i ambasada wyprą się wszystkiego. Tak, Corben wiozł go ze sobą, ale mężczyzna odniósł w strzelaniu poważną ranę, po czym w jakimś korku wyskoczył z samochodu i uciekł. Zupełnie wiarygodna wersja miała wyglądać więc tak, że Irakijczyka dogonili ścigający go bandyci, którzy wcześniej zamordowali również Rameza. W tym momencie i tak już pewnie będzie po całej sprawie i nikt nie będzie się przejmował losem jakiegoś nielegalnego imigranta, tym bardziej z Iraku.

Corben naprawdę nie miał wyboru. Była to trudna decyzja, którą musiał podjąć natychmiast. Gdyby tego nie zrobił, naraziłby na szwank wszelkie dotychczasowe starania. Nie mógł tego zrobić. Stawka w tej grze była zbyt wysoka.

Stłumił wątpliwości i jego myśli wkrótce popłynęły w bardziej produktywnym kierunku. Olshansky wstępnie namierzył komórkę Abu Barzana. Handlarz wcale nie znajdował się w północnym Iraku, jak zakładał Corben. Telefon błędził gdzieś po wschodniej Turcji, niedaleko syryjskiej granicy. Olshansky potrzebował trochę więcej czasu, żeby namierzyć go dokładniej. Powiedział Corbenowi, że na pewno uda mu się wyśledzić mężczyznę, ale dotarcie do osoby, z którą się wcześniej kontaktował, będzie trudne. Informatyk nie omieszkał dorzucić kilku zdań w potwornym technicznym

żargonie na temat niekompatybilnych systemów, co Corben oczywiście postanowił zignorować.

Informacja o miejscu pobytu Abu Barzana nie zaskoczyła Corbena, Żaden cudzoziemski kupiec nie ryzykowałby wjazdu na terytorium Iraku, żeby odebrać antyki, a Mosul - skąd pochodził handlarz - leżał bardzo blisko tureckiej granicy. Corben całkiem dobrze znał tamte tereny. W przeważającej części po obu stronach granicy były zamieszkane przez Kurdów, podobnie zresztą jak Mosul. Domyślał się, że kupiec zaplanował sfinalizowanie transakcji w jednym z pobliskich miast, takich jak Batman, Mardin czy Diyarbakir. We wszystkich trzech były lotniska obsługujące regionalne loty oraz czartery, do wszystkich można było dotrzeć z iracko-tureckiej granicy w kilka godzin.

Corben nie mógł przepuścić tej transakcji.

Uzyskane od Faruka informacje na temat kupca sporo przepłacającego za niewielki skarb Abu Barzana postawiły plany Corbena pod znakiem zapytania. Aż do tego momentu głównym celem agenta był hakim, jedyny znany mu człowiek, który ścigałby swój sen z tak bezlitosnym zapamiętaniem. Tajemniczy kupiec nagle stał się dla Corbena równie interesują-

cy. W jakiś sposób udało mu się uzyskać informację o tym, że księga jest dostępna, i to jeszcze wcześniej niż hakimowi. I zdystansował go w wyścigu. Do diabła, możliwe, że wiedział o księdze i jej znaczeniu więcej niż sam hakim. Pytanie tylko, czyjego wiedza była wystarczają-

ca, żeby hakim przestał się liczyć w planach Corbena, czy też jego dzieło nie było jeszcze ukończone. Czy odkrył już tajemnicę metody leczenia, czy też potrzebował ogromnych środków i sprzętu hakima, żeby sen zamienić w rzeczywistość?

Na celowniku Corbena znajdowały się teraz dwa cele. Jeden bez wątpienia musiał się z nim skontaktować: hakim założy pewnie, że Corben ma Faruka oraz księgę, i będzie chciał

się wymienić. Drugi powinien wyruszyć na małe tete-a-tete gdzieś we wschodniej Turcji.

Corben musiał się tam dostać, ale wiedział, że powinien znaleźć jakiś sposób, żeby rozegrać wszystko sam, na własnych zasadach, nie angażując w przedsięwzięcie kolegów z ambasady.

W tym momencie, poza tajemniczym kupcem i samym Abu Barzanem, o zbliżającej się transakcji nie wiedział nikt. Corben musiał przez jakiś czas utrzymać ten stan, przynajmniej do momentu, kiedy uda mu się załatwić sobie wyprawę do Turcji na własnych warunkach. I musiał starannie dobierać słowa, jeśli chciał to zrobić bez przyciągania czyjegoś nadmiernego zainteresowania.

Tak czy inaczej finał rozgrywki był już blisko.

KIRKWOOD PRZYGLĄDAŁ SIĘ TWARZY Corbena i z rosnącym niepokojem słuchał relacji agenta.

Nic nie poszło zgodnie z planem. Co prawda Corben sporo improwizował. Nigdy nie mieli gwarancji, że uda im się przechwycić rozmowę z Ramezem, nie wspominając o zdy-stansowaniu porywaczy w pościgu do Faruka. Corben, docierając do Irakijczyka przed nimi, poradził sobie całkiem nieźle, w dodatku akcja zakończyłaby się powodzeniem, gdyby jakaś pechowa kula nie

odnalazła drogi do ciała Faruka.

Rzucił okiem na twarze pozostałych przebywających w pokoju mężczyzn. Ambasador i Hayflick, szef placówki, również słuchali w skupieniu, jak Corben imponująco klarownie streszcza swój tok myślenia.

- Co nam w takim razie zostało? - zapytał ambasador. - Wiemy, gdzie są schowane antyki, których szukają porywacze Bishop?

Corben pokręcił głową.

- Nie miałem czasu, żeby to od niego wydobyć. Był w szoku i bełkotał tylko coś bez ładu i składu po arabsku, zanim wreszcie się poddał.

Ambasador skinął ponuro głową.

Kirkwood nie odrywał oczu od Corbena. Zastanawiał się, czy agent wiedział, że antyki nigdzie nie są ukryte. Telefon od Abu Barzana wywołał w umyśle Kirkwooda kilka kłopo-tliwych pytań. Ponieważ porywaczom nie udało się schwytać Faruka, tajemniczym kupcem nie był żaden z nich. Co oznaczało, że w grze brał udział ktoś jeszcze. A wszystko to zbyt idealnie zgrało się w czasie, żeby nie brać pod uwagę możliwości, że licytant był w jakiś sposób związany z Corbenem. Może nawet był nim sam agent.

Co prowadziło do kolejnych niepokojących wniosków.

Jeden z nich sprowadzał się do tego, że bardzo możliwe, że Corben wiedział o zbliżającej się tureckiej transakcji. Inny polegał na tym, że zwa - żywszy na ukryty plan, według którego wydawał się działać agent, odzyskanie Evelyn być może wcale nie jest dla niego priorytetem.

- Myślisz, że porywacze się skontaktują? - zapytał Kirkwood.

- Muszą - zaryzykował Corben. - Są przecież przekonani, że mamy Faruka, a więc i pewni, że dotarliśmy do jego skarbu. A oni szukają właśnie jego. Myślę, że skontaktują się z nami i zaoferują wymianę Evelyn na antyki. W każdym razie mam taką nadzieję. Póki co wydaje mi się, że to nasza jedyna szansa, żeby uratować Evelyn.

W pomieszczeniu zapanowała ponura cisza.

„Słabe” - pomyślał Kirkwood. Nie podobała mu się strategia pod tytułem „czekaj i się módl”, zwłaszcza że blefowanie w wypadku, gdyby porywacze rzeczywiście zadzwonili, było dosyć ryzykowne. Musiał przyspieszyć akcję.

- Powinniśmy wysłać im jakiś sygnał - zasugerował. - Wiadomość. Powiedzmy im, że jesteśmy gotowi do wymiany. Może powinieneś wygłosić oświadczenie dla prasy? - zwrócił

się do ambasadora. - Coś, w czym między wierszami można by było wyczytać, że „czekamy na wiadomość od porywcy, dzięki której moglibyśmy przekazać im to, czego szukają i załatwić sprawę

z korzyścią dla obu stron”.

Twarz ambasadora się zachmurzyła.

- Znasz naszą politykę dotyczącą prowadzenia otwartych negocjacji z terrorystami.

Chcesz, żebym poszedł do telewizji i zaprosił ich do wymiany?

- Oni nie są terrorystami - przypomniał mu Kirkwood. - To tylko przemytnicy antyków.

- Przestań, Bill. Nikt nie kupi tego rodzaju niuansów. Dla większości ludzi to jedno i to samo.

Kirkwood zmarszczył brwi, czując narastającą frustrację.

- A co z młodszą panią Bishop? Córka, która we wrzeszczący sposób błaga porywaczy, żeby uwolnili jej matkę?

- Nie widzę problemu - podchwycił ambasador. - W porządku. Załatwię to. Ale wiecie, że taki blef może być ryzykowny, biorąc pod uwagę fakt, że nie mamy tych antyków?

- Jeśli zadzwonią do nas i będą chcieli się wymienić, to uwolnimy ją, bez względu na wszystko - zapewnił ambasadora Hayflick. - Możemy rozegrać to tak, żeby ustawić się w ko-rzystnej sytuacji.

Kirkwood odwrócił się do Corbena. Wydawało mu się, że zauważył w jego oczach cień niezadowolenia, ale poza tym twarz agenta pozostawała nieprzenikniona. Odpowiedział

na propozycję Kirkwooda nieznacznym, zamyślonym skinieniem głową.

Kirkwooda zaczęła jednak nurtować inna myśl. Coraz bardziej był przekonany, że jest to nieuniknione. Wszyscy jego partnerzy zgodzili się na to. „Zrób, co tylko możesz, by uwolnić Evelyn, nie odsłaniając całego projektu. Ale jeśli będziesz musiał, wykorzystaj księgę”.

Nie widział jeszcze kodeksu i nie był pewien, czy poświęcenie go cokolwiek odsłoni, mogło jednak narazić ich pracę i liczące kilkaset lat dziedzictwo na niebezpieczeństwo.

Na szczęście póki co nie musiał jeszcze podejmować tej decyzji. Dopóki porywacze nie nawiążą kontaktu, nie było to potrzebne.

Poczuł w kieszeni wibrację i wyciągnął telefon. Spojrzał na ekranik. Dzwonił jego człowiek z ONZ.

- Przepraszam, muszę odebrać - powiedział, po czym wstał i odszedł od stolika.

Kategoryczny głos po drugiej stronie linii przeszedł od razu do sedna.

- Ta sprawa, o którą mnie prosiłeś - powiedział znajomy Kirkwooda z ONZ. - Ten cały hakim. Myślę, że mam coś dla ciebie.

WYDOBYWAJĄCE SIĘ Z UST OMARA pełne skruchy słowa rozjuszyły hakima.

- Uciekł nam, mu'allimna . Mają go Amerykanie.

Hakim nie mógł w to uwierzyć. Jak Omar mógł go tak zawieść - znowu? Miał wszystko, co potrzeba. Środki, kontakty, broń, a mimo to zawiódł.

Omar pospieszył z wyjaśnieniami i przeprosinami, ale hakim uciszył go, udzielając mu krótkiej i brutalnej nagany. Nie miał zamiaru słuchać szczegółów. Interesowały go wy-

łącznie rezultaty. I potrzebował ludzi, którzy dostarczyliby mu to, czego potrzebował. Kiedy już będzie po sprawie, poprosi o zastąpienie kimś Omara. Musieli mu przydzielić kogoś bardziej wiarygodnego. Bardziej kompetentnego. Kogoś, kto będzie wykonywał swoją robotę.

Uspokoił oddech i skupił się na kolejnym posunięciu. Ciągle miał jeszcze asa w rękawie. Dadzą mu to, czego szuka, za kobietę, był tego pewien. Jednak wymiana niosła ze sobą pewne ryzyko, a zważywszy na ostatnie popisy Omara, przeprowadzenie jej bez pozostawiania za sobą jakiegoś śladu było właściwie niemożliwe. Hakim nie miał ochoty podejmować niepotrzebnego ryzyka, ale nieudolność Omara sprawiała, że było to nie uniknione. Wymiany zakładników rzadko przebiegają zgodnie z planem - zarówno jednej, jak i drugiej strony.

Ale w żyłach hakima krążyło coś jeszcze, coś znacznie bardziej toksycznego niż nie-unikniona groźba wymiany: Amerykanin znowu poniżył jego ludzi, a zatem poniżył również jego. Była to dla niego osobista zniewaga, wielka obelga, której nie mógł ani tolerować, ani przebaczyć. Grzech należało ukarać. Porządek należało przywrócić.

- Zadzwoń do swoich ludzi. Teraz. Chcę wiedzieć wszystko o tym Amerykaninie -

warknął. - Wszystko.

ROZDZIAŁ 47

W bezpiecznym schronieniu pokoju hotelowego Mia z powściągliwą obojętnością oglądała samą siebie w telewizji. Patrzyła na ekranie na własną twarz, która błyskała dziwacznie, w odpowiedzi recytując starannie dobrane słowa błagalnej prośby, które Corben wręczył

jej, zanim przekazał ją w objęcia attache prasowego ambasady. Mia właściwie nawet nie rejestrowała obrazu na ekranie. Wydawał się jej jakąś alternatywną rzeczywistością, surrealistycznym równoległym kosmosem, który obserwowała przez szparę w matriksopodobnym kontinuum. Tylko że to nie był matrix. To była rzeczywistość. Bez wątplenia niezaprzeczalnie rzeczywistość.

Tuż przed konferencją z ciężkim sercem zadzwoniła do domu wujostwa w Nahant.

Odebrała ciotka. Radosny ton jej głosu wskazywał na to, że nic jeszcze nie czytała o porwaniu. Mia zbierała odwagę, przez chwilę przekomarzając się żartobliwie, po czym starannie do-bierając każde słowo, opowiedziała ciotce, co się stało. Była to trudna rozmowa, ale ciotka należała do typu silnych kobiet i choć ogromnie się zmartwiła, przyjęła złe wieści ze stoickim spokojem. Mia ostrzegła ją

przed konferencją prasową i zapewniła, że zostały podjęte wszystkie środki, żeby odnaleźć Evelyn i przyprowadzić ją bezpiecznie do domu, dodając na koniec, że tak, ona również będzie ostrożna. Rozłączyła się, czując w klatce piersiowej bolesny ucisk.

Ściszyła telewizor i zaczęła się zastanawiać nad ponurymi wiadomościami od Corbena. W momencie, gdy umarł Faruk, grzebiąc szanse na odnalezienie zabytkowych przedmiotów, nie pozostało im nic, co mogliby wymienić na Evelyn. Wiadomości były więc naprawdę niedobre. Myślała przez chwilę o tym, by udać się jeszcze raz do mieszkania matki, poszpera w jej rzeczach, poszukać jakiegoś śladu kolejnej książki, czegoś z wrytym gdzieś symbolem węża zjadającego własny ogon, czegoś, co mogliby wykorzystać, namawiając porywaczy do wymiany, ale Corben bardzo szybko rozwiał jej nadzieje. Był już tam, zrobił to, co miała zamiar zrobić. Nie znalazł niczego, co mogłoby posłużyć jako substytut książki.

Zresztą wszystko to ograniczało się obecnie do czczych dywagacji. Żaden sukinsyn jeszcze się z nimi nie skontaktował.

Miała cichą nadzieję - modliła się - że to zrobią. Muszą to zrobić. Po co mieliby ją porywać, gdyby nie chcieli jej na nic wymienić?

Wiadomości zajęły się jakimś mniej przygnębiającym newsem. Mia wyłączyła telewizor i rozejrzała się po pokoju. Nie mogła znieść jego gorzkiego wyobcowania. Wróciła myślami do poprzedniego wieczoru, do pobytu w mieszkaniu Corbena. Ledwie go знаła, ale jego obecność dodawała jej otuchy. Zdała sobie sprawę, że w ciągu kilku pierwszych godzin ich znajomości przeszła z nim więcej, niż z większością mężczyzn, z którymi się kiedykolwiek umawiała. Zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić, zapytać o jakieś świeże wiadomo-

ści, postanowiła jednak tego nie robić przekonana, że nie jest to najlepszy pomysł.

Spojrzała na swoje łóżko. Wiedziała, że jeśli w ogóle uda jej się zasnąć, będzie musiała wymusić, przekupić, przywabić sen.

Podniosła kartę chipową z kluczem oraz komórkę i ruszyła w stronę drzwi.

W SWOIM POGRAŻONYM w CIEMNOŚCIACH salonie Corben wyłączył telewizor i przeszedł do sypialni. Miał za sobą parszywy dzień - być może najtrudniejszy w życiu. Kilkanaście godzin spędzonych na adrenalinowym haju całkowicie go wypompuwało. Każdym porem skóry czuł

znużenie, a jego ciało gwałtownie domagało się wypoczynku. Nie miał zamiaru mu się opierać.

Wtoczył się do łóżka i zgasił światło. Żaluzje skutecznie zasłaniały sypialnię przed okiem zewnętrznego świata i Corben mógł wreszcie pozwolić płynąć swobodnie myślom.

Jednak jego umysł opierał się jeszcze przez chwilę, uparcie trzymając się czekającego go zadania.

Myśli Corbena zatrzymały się na Tomie Websterze - mężczyźnie, z którym próbowała się skontaktować Evelyn. Agent poprosił analityków w Langley, żeby sprawdzili to nazwisko w

systemie. Pasowało do wielu osób - okazało się zaskakująco popularne. Corben podał anali-tykom przybliżony wiek i pewne informacje dotyczące okoliczności, w jakich się pojawiło, co nieco zawęziło obszar poszukiwań, ale dopasowanie danych do konkretnej osoby, jeżeli w ogóle było w tym wypadku możliwe, musiało zająć trochę czasu.

Przeszedł do bardziej palącego problemu. Według ostatnich informacji od Olshanskiego, irakijski handlarz zatrzymał się na noc w Dijar-bakirze, niewielkim mieście w południowo-wschodniej Turcji, niecałe sto kilometrów od granicy syryjskiej. Corben był przekonany, że mężczyzna zmierzał do Mardin, nieco bliżej granicy z Irakiem. W obu miastach były lotniska, ale to w Dijarbakirze było większe, podobnie jak samo miasto, i obcy w znacznie mniejszym stopniu rzucali się tam w oczy. Metodą triangulacji Olshansky wyznaczył pozycję handlarza z dokładnością około pięćdziesięciu metrów, co biorąc pod uwagę, jak odległym od cywilizacji miastem był Dijarbakir, i tak było niezłym wyczynem.

Corben musiał wymyślić, jak się do niego dostać, nie zwracając jednocześnie uwagi kolegów na to, co może w nim znaleźć. Agencja miała swoich ludzi w tamtym regionie, ale Corben nie chciał im niczego przekazywać. Musiał tam pojechać osobiście i nie chciał, żeby Hayflick lub ktokolwiek inny znał prawdziwy powód jego wyjazdu. Podejrzewał, że uda mu się wykorzystać to, co udało się namierzyć Olshanskiemu, by usprawiedliwić wyprawę. Powie, że chodzi o kogoś, do kogo Faruk dzwonił z kawiarni. Osobę, którą warto się zainteresować. Dijarbakir leżał zaledwie jakieś czterysta kilometrów od Bejrutu. Dotarcie tam jakimś niewielkim samolotem zajmie mu co najwyżej kilka godzin. Musi to oczywiście Załatwić zaraz rano, jeśli chce pojawić się na miejscu na czas i spotkać tajemniczego sprzedawcę.

Myśl o tym uspokoiła go, dzięki czemu już po chwili zanurzył się w objęcia upragnionego snu.

DWA PIĘTRA POWYŻEJ POKOJU MII KIRKWOOD mimochodem oglądał znad laptopa oświadczenie wygłaszane przez nią w telewizji. Widział już je na jednym z kanałów regionalnych. Doradcy ambasady wykonali kawał dobrej roboty podobnie zresztą jak Mia - porywacze jej matki z całą pewnością otrzymają wiadomość.

Uwaga Kirkwooda ugrzęzła gdzie indziej - jego oczy opadły z powrotem na ekran laptopa, na złowrogi plik, który wysłał mu jego kontakt z Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Zdążył go już przeczytać, postanowił jednak zrobić to jeszcze raz.

Plik zawierał dossier hakima.

Rzucalo ono również pewne światło na Corbena jako agenta, który usiłował go odnaleźć. Corben sam w sobie był czysty. Misje, jakie prowadził, były na Środkowym Wschodzie chlebem powszednim agencji i nie należały do kategorii ani zbyt podłej, ani zbyt mokrej roboty. Kirkwoodem wstrząsnęły informacje dotyczące hakima.

Jego źródła w Iraku wspominały w ciągu kilku ostatnich lat o kimś, kto rozpytuje o Uroborosa, nigdy jednak nie udało mu się dowiedzieć, kto stoi za tymi poszukiwaniami. Za rządów Saddama ludzie bali się mówić.

Zwłaszcza w tym wypadku.

Przebrnął jeszcze raz przez dossier, czując narastającą odrazę. Odkrycia w Iraku były ohydne. Sekcje zwłok przeprowadzone na kilku ciałach, które odkryto po rajdzie na siedzibę hakima, z przerażającą szczegółowością potwierdziły, nad czym pracował mężczyzna. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, do czego dążył.

Wiele ze stosowanych przez niego technik wypróbowywano wcześniej w ramach testów na zwierzętach laboratoryjnych, głównie myszach. W mniejszym lub większym stopniu pozwalały one odmłodzić okazy lub przedłużyć im życie. Problem polegał na tym, że hakim nie wykorzystywał myszy. Te same eksperymenty przeprowadzał na ludziach.

Jeden z nich, podjęty z dużym rozgłosem na początku lat pięćdziesiątych przez włoskich i amerykańskich neurobiologów, polegał na przeszczepianiu tkanki pobranej z szyszynki młodych myszy starszym osobnikom i odwrotnie. Najprościej rzecz ujmując, stare myszy stawały się dzięki temu młodsze, a młode - starsze. Te pierwsze wyglądały zdrowiej, mogły znowu biegać po klatkach, z zaskakującym wigorem napędzać umieszczone w nich kółka i żyły dłużej niż ich rówieśnicy, z kolei futro młodych myszy traciło blask, a one same zwalniały, nie były w stanie wykonywać podstawowych sztuczek, które przed transplantacją nie sprawiały im żadnego problemu, i umierały szybciej. Sekcje zwłok wykazały, że niektóre z organów wewnętrznych starszych myszy, którym wszczepiono tkankę młodszych osobników, przejawiały zaskakujące symptomy odmłodzenia. A ponieważ szyszynka jest odpowiedzialna za produkcję hormonu zwanego melatoniną, efekt odmłodzenia przypisano zwiększonemu jej poziomowi w organizmach biorców, co zresztą wywołało szal na zawierające melatoninę suplementy.

Kiedy jednak przyjrzano się bliżej eksperymentowi, jego wyniki okazały się znacznie mniej obiecujące, niż się początkowo wydawało. Naukowcy którzy szczegółowo przeanalizowali jego wyniki, odkryli, że wykorzystane w nim myszy były obciążone defektem genetycznym uniemożliwiającym im produkcję melatoniny. Przypisywanie pozytywnych zmian w fizjologii melatoninie okazało się zatem w oczywisty sposób błędne. Jednak udowodnienie, że to nie ten hormon był odpowiedzialny za odmłodzenie zwierząt i przedłużenie im życia, nie negowało samego faktu, że wyglądały one młodziej i żyły dłużej. Coś musiało za to odpowiadać. Po prostu nie była to melatonina.

Sekcje zwłok wykazały, że celem niektórych eksperymentów hakima było sprawdzenie, czy przeszczepy i transplantacje szyszynki wywołują ten sam efekt u ludzi. Przeprowadzenie ich nie było łatwe. Szyszynka, która wielkością przypomina ziarnko grochu, jest umiejscowiona w mózgu. Gruczoł ten jest najbardziej aktywny w okresie dojrzewania, u osobników dorosłych wapnieje i jak twierdzą naukowcy, zużywa się. Oznacza to, że - warto ją pobierać wyłącznie od dzieci lub nastolatków, w dodatku pozyskiwanie jej wymaga zaawansowanych umiejętności w dziedzinie mikro-chirurgii endoskopowej, niesamowitej precyzji oraz niesie ogromne ryzyko dla życia dawcy.

Co nie stanowiło żadnego problemu dla kogoś, kto miał pod rękę niewyczerpane zapasy nikomu niepotrzebnych dzieci.

Jedyna trudność wiązała się z tym, że eksperymenty z przedłużaniem życia prowadzi się zazwyczaj na

gatunkach żyjących krótko, co umożliwia obserwowanie i dokumentowanie zmian, które zachodzą w tym momencie w ograniczonych ramach czasowych. Idealne są do tego jętki, które żyją tylko jeden dzień. Naukowcy używają również nicieni, które średnio żyją tydzień lub dwa tygodnie, oraz myszy laboratoryjnych, choć ich dwuletni okres życia znacznie utrudnia eksperymenty. Żeby zaobserwować jakiegokolwiek zmiany w organizmie człowieka, obserwacje należy prowadzić o wiele dłużej. Oznaczało to, że zanim jakiegokolwiek rezultaty zabiegów w ogóle stawały się widoczne, ofiary hakima po przeprowadzeniu na nici eksperymentów musiały być więzione przez całe miesiące lub lata.

Dzięki sekcjom zwłok odkryto, że hakim bawił się nie tylko szyszynką. W repertuarze miał również inne gruczoły, takie jak przysadka mózgowa, grasicca oraz jądra u mężczyzn i jajniki u kobiet. W wypadku niektórych ofiar ograniczył eksperymenty do obserwacji wpływu różnych hormonów czy enzymów na ciała obiektów badań. Jego prace były w zdumiewający sposób zaawansowane i obejmowały zarówno wykorzystywanie takich wydłużających życie związków, jak telomeraza, jak i eksperymenty z całkiem niedawno przebadanymi substancjami, w rodzaju białka PARP-1. Dysponował też najnowocześniejszym sprzętem i najwyraźniej był biegłym chirurgiem oraz biologiem molekularnym.

Ofiary jego eksperymentów niezmiennie spotykała potworna śmierć. Niektórzy z przywożonych na salę operacyjną mężczyzn, kobiet i dzieci byli hodowani wyłącznie jako dawcy organów i po spełnieniu swojej funkcji po prostu porzucani. Inni, biorcy, męczyli się długo wskutek efektów obłąkańczych zabiegów, a kiedy ich ciała wreszcie się poddawały, hakim nie miał skrupułów przed otwieraniem ich w celu sprawdzenia, co poszło nie tak, a następnie wyrzucaniem do masowych grobów.

Kirkwood poczuł mdłości. W dolnej części gardła zebrała mu się piekąca żołąć. Znał

historie kilku naukowców, którzy ulotnili się do krajów mniej opornych względem przekraczania nakazów etyki zawodowej, gdzie mogli przeprowadzać swoje groteskowe eksperymenty, nie narażając się na protesty aktywistów i komisji etycznych. Jednak ten przypadek był inny. Wykraczał daleko poza to, do czego według Kirkwooda w ogóle są zdolni ludzie.

To było czyste zło.

Najbardziej szokujący był w tym wszystkim fakt, że Corben, jeśli wierzyć dossier, miał za zadanie odnaleźć hakima.

Nie zlikwidować.

Wykorzystać jego talenty.

Coś takiego zdarzało się już nie po raz pierwszy. Rządy zawsze chętnie wybaczały zbrodniarzom dawne przewiny, nieważne, jak potworne, i brały diabła za rękę, jeśli tylko mogło to oznaczać wejście w posiadanie wyników innowacyjnych i cennych badań. Jednym z pierwszych wyznawców tej metody był rząd amerykański. Zastosował ją w wypadku nazi-stowskich specjalistów w dziedzinie badań rakietowych. Przejął też rosyjskich naukowców, którzy prowadzili badania nad bronią nuklearną, chemiczną i biologiczną. Wydawało się, że chętnie zrobiliby to samo z hakimem.

Zadanie Corbena polegało na tym, żeby znaleźć hakima i przeciągnąć go na odpowiednią stronę. Porwanie Evelyn okazało się sposobnością do nawiązania z nim kontaktu.

Oznaczało to jednak, że dla Amerykanów Evelyn w ogóle się nie liczyła. Była tylko środkiem. Niczym więcej.

Kirkwood wrócił myślami do niespodziewanego telefonu od Abu Barzana. Nowy licytant. Pojawiający się w tym samym czasie, kiedy Faruk odniósł śmiertelną ranę.

Kiedy pozostawał pod opieką Corbena.

Tuż przed śmiercią.

„Jak daleko byli w stanie się posunąć?”.

Kirkwood musiał nieco skorygować plany.

Zastanawiał się, kto jeszcze był w kręgu wtajemniczonych. Wszyscy? Hayflick, szef placówki - być może. Ambasador - raczej nie. Kirkwood nie wyczuł w nim niczego, co mogłoby o tym świadczyć, choć należało pamiętać, że tego rodzaju ludzie żyją z kłamstwa.

Musiał zadzwonić do pozostałych, poinformować ich o swoich odkryciach. Wiedział, że się z nim zgodzą. Musiał przeszkodzić Corbenowi w realizacji zadania, nawet jeśli oznaczało to narażenie projektu na niebezpieczeństwo. Zależało od tego życie Evelyn, podobnie zresztą jak życie niezliczonych niewinnych ofiar, które mogły się znaleźć na stole operacyjnym tego potwora.

Każda myśl Kirkwooda wpadała w pułapkę, jaką zastawiały na nią kłębiące się w jego umyśle obrazy ofiar hakima. Wiedział, że długo nie będzie mógł zasnąć.

JAKIŚ STŁUMIONY, POWTARZAJĄCY SIĘ łomot obudził Corbena.

Usiadł. Jego oczy ledwie zarejestrowały, że stojący na stoliku nocnym budzik wskazuje upiorną godzinę drugą pięćdziesiąt cztery. Otumaniony mózg ciągle budził się do życia i usilnie starał się zidentyfikować balansujący na granicy słyszalności hałas: szybkie, ukradkowe kroki rozbrzmiewające po zimnej, wykafelkowanej podłodze mieszkania, zmierzające prosto w jego kierunku.

Zorientował się, co się dzieje, i instynktownie natychmiast sięgnął do szuflady nocnego stolika po broń, ale w momencie, gdy jego palce poczuły jej uścisk, z hukiem otworzyły się drzwi sypialni i do środka wpadło trzech mężczyzn, których rysów twarzy agent nie był w stanie w ciemnościach rozróżnić. Ich dowódca kopniakiem zamknął szufladę, przytraskując Corbenowi nadgarstek. Agent zachłysnął się bólem i odwrócił się, i w tym samym momencie uniesiona ręka mężczyzny opadła na niego jak błyskawica.

Wydawało mu się, że w dłoni włamywacza zauważył pistolet. Ułamek sekundy póź-

niej cios dosięgnął jego czaszki i Corben pogrążył się nagle w całkowitych ciemnościach.

ROZDZIAŁ 48

Na tarasie dachu hotelu Albergo panował kojący spokój, co stanowiło przyjemną odmianę od chaosu i rozgardiaszu w barze poprzedniego lokum Mii. Była tam po raz pierwszy.

W ciemnych zakamarkach oazy, wiszącej jakby w powietrzu i wychodzącej na dachy miasta oraz widoczne w oddali morze, dostrzegła grupki gości zagubionych wśród jaśminu i karłowatych drzewek figowych. Mia znalazła cichy zakątek i wkrótce zanurzyła się w pocieszają-

cych objęciach martini. E. B. White nazwał ten napój swoim „eliksirem spokoju”, a ona potrzebowała w tej chwili właśnie czegoś takiego.

Była zbyt zagubiona we własnych myślach, żeby zauważyć, że jako jedyna siedziała przy stoliku sama. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wiele się wydarzyło, umysł

Mii miał więc przed sobą mnóstwo pracy.

Podniosła właśnie wzrok w poszukiwaniu kelnera, którego chciała poprosić o jeszcze jedno martini, kiedy na tarasie pojawił się Kirkwood. Dosiadł się do niej. Wypili razem kolejkę i przez jakiś czas bawili się w luźne pogaduszki, komentując w skrócie uroki hotelu oraz sprzeczności napotykaną na co dzień w mieście. Mia widziała jednak, że jego umysł jest gdzie indziej. Z oczu mężczyzny promieniował głęboki niepokój. Coś go wyraźnie dręczyło.

Kirkwood pierwszy zwrócił się na powrót w stronę złowrogiej fali, przez którą oboje się ostatnio przebijali.

- Widziałem program. Świetnie ci poszło. Powinno się udać. Hakim z całą pewnością otrzymał wiadomość. Zadzwoń ją.

- Ale co potem? - zapytała Mia. - Nie mamy im nic do zaoferowania, a blefowanie przy nich w ten sposób...

Nie dokończyła.

- Ludzie z ambasady znajdują się na swojej pracy - zapewnił ją Kirkwood. - Załatwią to.

W końcu udało im się dotrzeć do Faruka przed porywaczami, prawda?

Widziała, że i on nie jest zachwycony tym, co ich czeka. W każdym razie doceniła jego wysiłek.

- Tak, i zobacz, co z tego wyszło. Kirkwood uśmiechnął się nieznacznie.

- Moi ludzie w Iraku już nad tym pracują. Jestem pewien, że coś wymyślą.

- Co? Co mieliby tam znaleźć, co mogłoby polepszyć naszą sytuację?

Kirkwood raczej nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Obok pojawił się kelner i dyskretnie

uzupełnił naczynia z pałeczkami z marchewki i orzeszkami pistacjowymi. Kirkwood poczekał, aż skończy, po czym nagle zmienił temat:

- Nie wiedziałem, że Evelyn ma córkę.

- Nie było mnie w okolicy - powiedziała Mia. - Mieszkałam z ciotką. W Bostonie.

Właściwie niedaleko Bostonu.

- A twój ojciec?

- Zmarł, zanim się urodziłam.

Na twarzy Kirkwooda pojawił się cień.

- Przykro mi.

Mia wzruszyła ramionami.

- Byli razem. W Iraku. W tej komnacie. Miesiąc później ojciec zginął w wypadku samochodowym. - Podniosła wzrok na Kirkwooda. Głos jej posmutniał. - Ten zjadacz ogona.

Przecież to jest, do cholery, talizman przynoszący szczęście, prawda?

Kirkwood nie odpowiedział, tylko skinął poważnie głową.

- To znaczy, o co chodzi temu szaleńcowi? - wybuchła z wściekłością. - Próbuje sprowadzić na nas jeszcze raz jakąś biblijną plagę, czy może naprawdę chce sporządzić magiczny napój, który zapewni mu wieczne życie? Chodzi mi o to, że... Jak w ogóle można się zastanawiać nad taką bzdurą?

Kirkwood uniósł brew.

- Uważasz, że hakim szuka eliksiru młodości? Skąd taki wniosek? Oglądałem teczkę.

Nie ma w niej niczego na ten temat.

Mia się zachnęła, po czym niemal z pogardą dla siebie samej opowiedziała o swojej rozmowie z Boustanym na temat eliksirów.

Kirkwood upił łyk koktajlu, ważąc jakby słowa. Odstawił szklanekę i spojrzał na Mię.

- Cóż, to ty jesteś genetykiem. Sama powinnaś wiedzieć. Czy to naprawdę szaleństwo?

- Proszę - zadrwiła Mia.

Kirkwood jednak nie żartował. Mówił zupełnie poważnie.

- Naprawdę mnie pytasz, czy to możliwe? - zważyła.

- Mówię tylko, że na przykład jeszcze kilka lat temu przeszczepy twarzy uważano za coś niemożliwego. Dzisiaj już się je przeprowadza. Jeśli zastanowić się nad tym, jak w ostatnich latach rozwinęła się medycyna... To wprost oszałamiające. I ciągle słyszymy o nowych sensacyjnych osiągnięciach. Udało się nam sporządzić mapę ludzkiego genomu. Sklonowali-

śmy owcę. Wyhodowaliśmy tkankę mięśnia sercowego z komórek macierzystych. Nie wiem.

Być może to wcale nie jest tak nieosiągalne, jak mogłoby się wydawać.

- Oczywiście że jest - odpowiedziała lekceważącym tonem Mia.

- Widziałem kiedyś taki film dokumentalny. Na temat rosyjskiego naukowca z lat pięćdziesiątych, nazywał się chyba Demichow, który prowadził badania nad przeszczepem głowy. Żeby udowodnić, że to wykonalne, wszczepił głowę i górną część ciała szczeniaka du-

żemu dogowi, tworząc w ten sposób dwugłowego psa. Zwierzę merdało wesoło ogonem całe sześć dni, zanim zdechło. - Kirkwood wzruszył ramionami. - A to tylko jeden z przykładów, o którym wiemy.

Mia nachyliła się ku niemu, a jej oczy rozbliły pewnością co do własnych racji.

- Dzięki przeszczepom można na nowo łączyć nerwy oraz żyły i owszem, może kiedyś uda się to z rdzeniem kręgowym. Ale tutaj mówimy o czymś innym. Mówimy o po-wstrzymaniu uszkodzeń w naszych komórkach, w naszym DNA, w naszych tkankach i organach, uszkodzeń, które dokonują się w nich z każdym oddechem. Chodzi o błędy w replikacji DNA, chodzi o molekuly w naszym ciele, które są bombardowane przez wolne rodniki, imitu-ją w błędnym kierunku i z czasem ulegają degradacji. Chodzi o zużycie.

- Pozwól, że zaprezentuję swój punkt widzenia. Nie chodzi o lata, a właśnie o zużycie

- powiedział z naciskiem Kirkwood. - Mówisz o tym że komórki ulegają uszkodzeniom i się psują, co jednak wcale nie oznacza, że są zaprogramowane, żeby żyć przez jakiś czas, a potem obumrzeć. To tak, jakbyś kupowała nową parę tenisówek. Nosisz je, biegasz w nich więc ich podeszwy się zdzierają i ostatecznie buty się rozpadają. Gdybyś ich jednak nie nosiła, nie rozpadłyby się same z siebie w pudełku. Chodzi o zużycie. Dlatego właśnie umieramy, prawda? Nie mamy w środku jakiegoś zegarka, który odmierza kolejne godziny i w końcu stwierdza, że czas na nas. Nie jesteśmy zaprogramowani, żeby umrzeć, prawda?

Mia poprawiła się na krześle.

- To tylko pewien punkt widzenia.

- Tyle że zgodny z aktualnymi tendencjami w nauce, prawda?

Mia wiedziała, że Kirkwood ma rację. Kiedyś nawet flirtowała z tego rodzaju specjalizacją, ostatecznie jednak skrzyła w innym kierunku, zdając sobie sprawę, że badania nad starzeniem przypominają kłopotliwego krewnego, z którym nikt nie chce rozmawiać. Biogerontologia - nauka o

starzeniu - przechodziła trudny okres, i to od momentu gdy... Cóż, gdy po ziemi chodziły jeszcze dinozaury.

W oficjalnych kręgach nie uznawano jej za zbyt odległą od szarlatanerii dawnych alchemików i sprzedawców cudownych napojów. Poważni naukowcy, uparcie trzymając się tradycyjnego przekonania, że starzenie jest procesem nieuniknionym, raczej niechętnie przykładali rękę do czegoś, co było z góry skazane na niepowodzenie i co w dodatku mogło ich narazić na drwiny. Organizacje rządowe odmawiały funduszy na badania w tej dziedzinie: ich przedstawiciele uważali je za mrzonkę i nie mieli ochoty łożyć na coś, co ich elektorat - zgodnie z tym, czego go uczono - uważał za nieosiągalne. Zresztą, nawet gdy dysponentom publicznego grosza przedstawiano trudne do odparcia argumenty i wyniki przełomowych badań, natychmiast odrzucali je z powodu głęboko zakorzenionych przekonań religijnych. Ludzie starzeją się i umierają. Tak jest urządzone świat. Śmierć jest błogosławieństwem, nieważne, czy zdajemy sobie z tego sprawę czy też nie. Nieśmiertelność zapewniają dobre uczynki - ale tylko w niebie. Podważanie tych przekonań w obecności członków Prezydenckiej Rady Bio-etyki nie miało najmniejszego sensu. Zapobieganie starzeniu było według nich większym zagrożeniem dla chwalebnej przyszłości rodzaju ludzkiego niż al Kaida. Sprawa zamknięta.

A przecież, jeśli wziąć pod uwagę szersze tło, naukowcy odnieśli do tej pory wiele spektakularnych sukcesów w dziedzinie przedłużania ludzkiego życia. Jego średnia długość -

przeciętna liczba lat, której może dożyć Statystyczny człowiek - w historii ludzkości wahała się przeważnie między dwudziestoma a trzydziestoma latami. Zaniżał ją przede wszystkim jeden czynnik: śmiertelność niemowląt. Na każdą osobę, która zdołała przetrwać dżumę lub uniknąć ostrza miecza i dożywała osiemdziesiątki, przypadały trzy albo cztery martwe niemowlęta. Stąd brała się niska średnia. Rozwój medycyny i higieny - czysta woda, antybiotyki, szczepionki - sprawił, że znacznie więcej dzieci może dziś dotrzeć do wieku dorosłego, dzie-

ki czemu przez ostatnie sto lat średnia życia gwałtownie wzrosła, zasługując nawet na miano pierwszej rewolucji w długowieczności. W XIX wieku wynosiła czterdzieści lat, w 1900 roku

- pięćdziesiąt, a dziś w rozwiniętych krajach oscyluje wokół osiemdziesiątki. Podczas gdy dawny człowiek miał jedną na dwadzieścia milionów szans, żeby dożyć stu lat, dziś może na nią liczyć jedna na pięćdziesiąt osób. Od 1840 roku średnia długość ludzkiego życia co roku wzrasta o kwartał. Jak się okazało, demografowie, którzy przewidywali, że wartość ta ma swoją górną granicę, konsekwentnie się mylili.

Najważniejsze jednak było to, że wydłużenie średniej ludzkiego życia zostało osią-

gnięte przez rozwój szczepionek i antybiotyków, które nie były pomyślane jako środek do przedłużania życia, ale jako lek pomagający zwalczać choroby, co zawsze uznawano za bezsprzecznie szlachetny cel. Niby niuans, lecz bardzo istotny. I dopiero ostatnio pojawiło się pewne przesunięcie w paradygmacie wyznaczającym postawy społeczności medyczno-naukowej wobec starzenia. Przestano postrzegać te ostatnie jako coś nieuniknionego i z góry przesądzanego, powoli uznając je za zjawisko znacznie mniej drastyczne... Za chorobę.

Jako prostą analogię można by podać to, że jeszcze do niedawna terminu „choroba Alzheimera” używano jedynie w stosunku do cierpiących na tę formę demencji osób poniżej pewnego wieku - około sześćdziesięciu pięciu lat. U osób starszych nie diagnozowano choroby, odnotowywano u nich tylko starcze zniedołężnienie i uważano, że leczenie czegoś, co stanowi jeden z elementów procesu starzenia, jest pozbawione sensu. Zmieniło się to dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy cierpiącego na demencję dziewięćdziesięciolatka leczono już tak samo jak czterdziestoletniego chorego na Alzheimera - dziś obu takich pacjentów uważa się za ofiary tej samej choroby, którą lekarze usilnie starają się wyjaśnić i wyleczyć.

W podobny sposób „starczy wiek” coraz częściej jest dzisiaj postrzegany jako choroba. Choroba wysoce złożona, wieloaspektowa i kłopotliwa. Ale mimo to choroba.

A chorobę da się wyleczyć.

To nowe podejście kazało nam zadać sobie zwodniczo proste, fundamentalne pytanie:

„Dlaczego się starzejemy?”. Odpowiedź, najprościej rzecz biorąc, sprowadzała się do stwierdzenia, że starzejemy się, ponieważ w naturze nic innego się nie starzeje.

Czy może, ściśle mówiąc, prawie nic nigdy się nie starzało.

Przez tysiące lat - właściwie przez cały okres ewolucji gatunku ludzkiego - w naturze, która przecież nie знаła czegoś takiego, jak opieka medyczna i korzyści płynące z cywilizacji

- ludzie i zwierzęta prawie nigdy nie dożywali sędziwego wieku. Byli trzebieni przez drapieżników, choroby, głód i warunki pogodowe.

Nie mieli szansy na to, żeby się zestarzeć.

A natura troszczyła się wyłącznie o to, żeby organizmy się reprodukowały, żeby utrwały się gatunki - o nic więcej. Od naszych ciał żądała tylko tego, do czego z ewolucyjnego punktu widzenia jesteście zaprojektowani - by osiągnęły wiek reprodukcyjny, miały dzieci i wychowywały te ostatnie do momentu, gdy osiągną wiek, w którym będą mogły przetrwać w przyrodzie na własną rękę.

I tyle.

Natura dbała tylko o to.

Oprócz tego, byliśmy zbędni - zarówno ludzie, jak i inne bestie. Składające się na nas komórki nie miały powodu, żeby nas dłużej utrzymywać przy życiu.

Skoro zatem nie mieliśmy szansy, żeby przetrwać znacznie dłużej, niż wynosi nasz wiek reprodukcyjny, to wysiłki natury skoncentrowały się na tym, by umożliwić nam jego osiągnięcie oraz ułatwić rozmnożenie. W selekcji naturalnej chodzi tylko to, by dotrzeć do wieku reprodukcyjnego, a więc - całkiem słusznie, choć niekoniecznie szczęśliwie dla tych z nas, którzy chcieliby pożyć trochę dłużej - jej mechanizmy działają na korzyść krótszej średniej życia, ponieważ zapewnia ona

skuteczność: kolejne pokolenia dzielą krótsze odstępy czasowe, dzięki czemu mocniej mieszają się 'geny, co z kolei zapewnia lepszą adaptację do stanowiących zagrożenie warunków środowiskowych. Wszystko to oznacza, że starzenie, jako proces, który nigdy tak naprawdę nie manifestował się w naturze, w przyrodzie, nie może mieć podłoża genetycznego.

Natura, kiedy kształtowała za pomocą mechanizmów ewolucji nasz gatunek, nie wiedziała, co to takiego starzenie.

Innymi słowy: proces starzenia nie został w nas zaprogramowany genetycznie.

Co z kolei prowadziło do radykalnie odmiennego sposobu jego postrzegania.

Skoro nie zostaliśmy zaprogramowani, żeby umrzeć, skoro jesteśmy zabijani tylko przez proces zużycia, to narzuca się argument, że może, po prostu może, da się nas naprawić.

ROZDZIAŁ 49

Zmysły Corbena zaatakowała paląca woń soli trzeźwiących, przywracając go do życia. Do jego świadomości natychmiast dotarł ostry ból, pulsujący z tyłu głowy, agent poczuł

też, że jego członki są dziwnie wykrzywione. Zorientował się, że dłonie i stopy związane mu razem za plecami, a nogi wygięto w ten sposób, że jego ciało przybrało odwróconą pozycję embrionalną. Ciągle był też tylko w bokserkach. Usta i policzki miał przyciśnięte do czegoś twardego i drapiącego jak papier ścierny, a gardło wypalone. Instynktownie spróbował obli-zać wargi, ale na języku poczuł jedynie suchą ziemię. Wypluł żwir i odkaslnął.

Zatoczył wokół oczami, usiłując zorientować się w otoczeniu. Stwierdził, że leży na boku na ziemi, na jakimś polu. Wokół panowała cisza. Wbijały się w niego reflektory zaparkowanego samochodu, ponad nimi ciągle majaczyła noc, choć zza łańcucha górskiego po prawej stronie powoli wyłaniały się pierwsze słabe przebłyski porannego słońca.

Łańcuch górski. Na wschodzie. Zapamiętał to spostrzeżenie, domyślając się, że znalazł się gdzieś w dolinie Bekaa. A skoro zbliżał się świt, oznaczało to, że był nieprzytomny przynajmniej przez kilka godzin. Co mniej więcej zgadzało się z czasem, jaki był potrzebny, żeby dostać się w to miejsce z Bejrutu, zwłaszcza o tej godzinie, kiedy drogi były opustosza-

łe.

W miarę jak zakończenia jego nerwów budziły się do życia, Corben coraz dotkliwiej czuł, jak na całym jego poobijanym ciele boleśnie odzywają się siniaki. Spróbował przesunąć się i zmienić pozycję na jakąś mniej niewygodną, ale jego wysiłki zostały powstrzymane przez ostry, wymierzony twardym butem kopniak w żebra, który wywołał w jego boku pieką-

cy ból.

Zwinął się i przechylił do przodu, naciągając nylonowe więzy, unieruchamiające jego kończyny. Ciągle leżał na boku, z twarzą wbitą w szorstką ziemię. Odwrócił się do góry i zobaczył łypiącego na

niego spode łba zbira o ospowatej twarzy.

- Chalas - usłyszał wydany ostrym głosem rozkaz, - Wystarczy.

Kątem oka wyczuł jakiś ruch. Przez łunę światła z reflektorów podchodził do niego właściciel głosu. Ze swojej zabieję perspektywy Corben widział tylko jego buty - skórzane mo-kasyny, wyglądające na drogie - i ciemne spodnie. Twarz wisiała gdzieś wysoko, daleko poza zasięgiem wzroku agenta.

Mężczyzna podszedł do Corbena, zatrzymując się zaledwie o kilka centymetrów od jego twarzy. Corben powoli, niezgrabnie spróbował przetoczyć się i położyć na plecach, ale związane nogi utrudniały mu ruchy. Mężczyzna przez chwilę po prostu stał, patrząc na niego z góry jak na robaka. Corben nie był w stanie rozróżnić rysów jego twarzy, widział jednak, że mężczyzna jest szczupły, gładko ogolony i ma dosyć długie siwe włosy.

Uczucie bezbronności i bezsilności było czymś okropnym. Mężczyzna, tak jakby pró-

bował utwierdzić w nim Corbena, podniósł stopę, po-stawił mu ją na twarzy, przycisnął podeszwę do nosa, po czym zaczął powoli napierać butem, stopniowo wzmacniając ucisk i miaż-

dząc Corbenowi nos oraz policzki, wgniatając mu głowę w ziemię i wywołując potworny ból na całej twarzy.

Corben usiłował wydostać się spod buta, ale mężczyzna skutecznie wgniatał jego głowę w podłogę. Agent wydał z siebie umęczony, na wpół zduszony krzyk, błagając mężczyznę, żeby przestał.

Ten jednak nie zrobił tego i przedłużał męki Corbena jeszcze przez kilka sekund, zanim w końcu oderwał od niego stopę. Popatrzył z góry na agenta, przyglądając mu się uważ-

nie.

- Masz coś, co chcę mieć ja - powiedział głosem zaprawionym pełną drwiny pogardą.

Corben wypluł z ust piasek i żwir.

- Ty też masz coś, kogoś, kogo chcę mieć ja.

Mężczyzna podniósł znowu stopę, unosząc ją groźnie ponad twarz, Corbena. Agent nawet nie drgnął. Napastnik przez chwilę trzymał nogę w górze, tak jakby chciał rozgnieść jakiegoś robaka, po czym postawił z powrotem na ziemi.

- Nie wydaje mi się, żeby twoja sytuacja pozwalała ci na takie zagrywki - powiedział

spokojnie. - Chcę mieć tę księgę. Gdzie ona jest?

- Nie mam jej.

Mimo oszołomienia Corben rozpoznał jego akcent. Z pewnością południowoeuropejski. Być może

włoski. Zanotował to w pamięci.

Mężczyzna skinął głową do kogoś stojącego za Corbenem. Zanim agent zdążył się zorientować, do kogo, w jego bok wbił się kolejny kopniak.

Corben wrzasnął z bólu.

- Mówię ci, że jej nie mam. Niech to szlag. Tamten wydawał się zdziwiony.

- Oczywiście że masz. Przecież masz Irakijczyka.

- Nie mam jej jeszcze, rozumiesz? Będę ją miał jutro. - Głos Corbena kipiał z wściekłości. Spróbował przyjrzeć się uważnie twarzy przeciwnika, ale po spotkaniu z jego butem ciągle mieszał mu się obraz przed oczami, a w dodatku światło reflektorów samochodu skutecznie zamazywało nawet to, co widział. - Nie miał jej za sobą - dodał zdławionym głosem.

Mężczyzna znowu mu się przyjrzał.

- Nie mam zamiaru bawić się w żadne kolejne gierki. Daj mi księgę bo jak nie, to zamienię twoje życie w piekło. Co, jak pewnie już się zorientowałeś, potrafię robić dosyć skutecznie.

Corben spojrzał na niego z rozpaczliwą determinacją.

- Zdobędę dla ciebie tę księgę. Chcę, żebyś ją zdobył. Ale chcę czegoś jeszcze.

- Słucham?

W głosie mężczyzny pojawił się zagadkowy ton. Corben czuł w uszach przyspieszone bicie serca.

- Wiem, nad czym pracujesz.

Mężczyzna z powątpiewaniem zasznurował wargi.

- A nad czym to ja pracuję?

- Widziałem twoje laboratorium. W Saddamiji. Masowe groby. Części ciał. Bank krwi. - Tym razem to Corben mu się przyjrzał. Obraz przed jego oczami zdążył się już ustabilizować i rysy twarzy tego człowieka zaczęły się układać w wyraźną całość. Skoncentrował

na nich wzrok, po czym dodał: - Byłem tam, hakimie.

Twarz mężczyzny drgnęła. Corben się nie mylił. Odnalazł go.

Aż do tej chwili podejrzewał to tylko, zakładał, że za porwaniem Evelyn stoi lekarz z Bagdadu, ale nie był tego pewien. Nigdy nie widział zdjęcia hakima ani nie słyszał jego głosu, nie wspominając już o osobistym spotkaniu. I chociaż miał nadzieję, że spotka się z tym potworem w odmiennych okolicznościach - bardzo odmiennych - to mimo wszystko właśnie się okazało, że poszukiwany przez

niego człowiek stoi obok niego. Konkretnie: nad nim.

Przez ciało Corbena przeszedł dziwny dreszcz, będący mieszaniną jednocześnie przerażenia i radości.

- Poprosiliśmy paru ekspertów, żeby się temu przyjrzeni - kontynuował. - Przebadali martwe ciała, ślady po operacjach i sprzęt, który tam zostawiłeś. Fragmenty ciał w słoikach.

Ich wnioski są... zdumiewające.

Przerwał, starając się odgadnąć reakcję mężczyzny. Hakim spoglądał niewzruszenie przed siebie, a jego usta i oczy zwężyły się w cienkie szparki. Corben poczekał chwilę, aż jego słowa w pełni dotrą do hakima, po czym zapytał:

- Rozumiesz, o czym mówię?

- Chcecie przejąć wyniki moich badań, tak? - Hakim roześmiał się lekceważąco. - Jesteś tutaj, żeby zaoferować mi błogosławieństwo i mecenat amerykańskiego rządu, a ja w zamian mam się z nim podzielić rezultatami mojej pracy?

- Nie. - W oczach Corbena pojawił się twardy wyraz. - Nie amerykańskiego rządu. Raczej moje.

ROZDZIAŁ 50

Z tego, co czytałem - powiedział Mii Kirkwood - wynika, że identyczne bliźniaki mają te same geny, ale nie żyją tak samo długo ani nie umierają z tych samych powodów, i nie mó-

wię o tych, w których wjedzie autobus. Badania wykazały, że DNA każdego z bliźniaków mutuje we własnym, szkodliwym kierunku. Gdyby starzenie było w nas zakodowane genetycznie, to starzeliby się w ten sam sposób. Ale tak nie jest. Zniszczenia w ich komórkach gromadzą się przypadkowo, tak jak u wszystkich innych ludzi.

Mia upiła jeszcze jeden łyk z kieliszka, kręcąc głową nad jego wywodem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co pociąga za sobą pojęcie „naprawiania”? Mówimy o takich komórkach, jak mózgowie czy sercowe, które nie są zastępowane nowymi, kiedy obumierają, mutacji chromosomów prowadzących do raka, akumulacji protein w komórkach i poza nimi... Jest kilka różnych sposobów, na które nasze ciała rozpadają się z czasem.

- Chcesz powiedzieć: „zużywają” - uśmiechnął się Kirkwood.

- Tak, oczywiście, przecież całe nasze życie polega na zużywaniu się, prawda? - Mia wzruszyła ramionami. - Nie mam jednak zamiaru zaszyć się w jakimś bezstresowym klasztorze w Tybecie i spędzić resztę życia na mruczeniu listy buddyjskich przebojów i medytowaniu, w wyniku czego mogłabym zyskać kilka dodatkowych dekad.

- Po Bejrucie mogłoby to być trochę nudne - zażartował Kirkwood.

- Właściwie, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to może z chęcią bym się teraz nawet trochę ponudziła.

Kirkwood skinął ze współczuciem głową, po czym na jego twarzy znowu pojawił się poważny wyraz.

- Mówię tylko, że to możliwe. Po prostu jeszcze nie wiemy, jak to zrobić. Uważa się, że rak jest wyleczalny, prawda? Pracujemy nad tym. Może się zdarzyć, że nawet przez najbliższe sto lat nie znajdziemy lekarstwa, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że pewnego dnia nam się to uda. Tak to już działa. Nie tak dawno temu głównymi przyczynami śmierci człowieka były infekcje: od najprostszych wirusów po epidemie grypy. Dżumę uważano za plagę zesłaną przez Boga. Doszliśmy do wniosku, że jest inaczej. Udało nam się poskromić te choroby i żyjemy teraz wystarczająco długo, żeby doczekać ataku serca lub raka. Sto lat temu uważano je za nieuleczalne, w przeciwieństwie do infekcji. Lekarze byli przekonani, że pochodzą one z wnętrza naszego organizmu. Wiemy teraz, że tak nie jest. A kiedy poskromimy również te choroby, kto wie, jak to się odbije na pozostałych częściach naszego ciała. Mia przyjrzała mu się z ciekawością.

- Cholernie dużo wiesz na ten temat. Kirkwood się uśmiechnął.

- Jestem nim osobiście zainteresowany.

Spojrzała na niego niepewnie, nie wiedząc, jak ma rozumieć jego; słowa.

Kirkwood przerwał, tak jakby chciał podsycić w niej moment nie-; pewności. Po chwili wrócił do tematu:

- Zresztą wszyscy jesteśmy, nieprawdaż? Nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas chciał umrzeć choć chwilę wcześniej, niż naprawdę musi.

- I co, naprawdę cię to kręci? Głodzisz się i łykasz dziennie buteleczkę tabletek?

Wielu czołowych biogerontologów ściśle przestrzegało planu fizycznych ćwiczeń - je-dynej powszechnie uznawanej metody zapewnienia sobie długiego i zdrowego życia. Zażywali również witaminy i antyoksydanty oraz uważali na to, co jedzą. To ostatnie czasem nie-roztropnie doprowadzali do ekstremum, powołując się na badania, które wykazały - choć nie u ludzi, ale u zwierząt - że poważne ograniczenie kalorii może przedłużyć życie. Jednak większość z nich zgadzała się ze stwierdzeniem, że wywołuje to istotne zaburzenia w relacji „ilość kontra jakość”.

- Dbam o siebie, jasne - przyznał. - A ty?

Mia z ironicznym uśmiechem wychyliła do końca kieliszek.

- To plus kule... nie bardzo pomaga, jeśli ktoś chce dobić setki - zakpiła. Odstawiła kieliszek i przyjrzała się twarzy Kirkwooda. Było w niej jakieś niedopowiedzenie, jakaś po-wściągliwość, przez którą Mia nie była w stanie się przebić. - Ale tak poważnie - postanowiła naciskać dalej - wydajesz się siedzieć w temacie o wiele głębiej niż ktoś, kto po prostu dba o siebie dbać.

- Mamy taki mały wydział w Organizacji Narodów Zjednoczonych Światowa Organizacja Zdrowia, słyszałaś o nim? - roześmiał się cicho Kirkwood. - Pracuję dla kilku komisji.

Realizujemy mnóstwo programów związanych z procesem starzenia, choć w większości z nich chodzi o polepszenie jakości życia osób starszych. Prowadzimy jednak również wiele debat i przygotowaliśmy kilka szczegółowych analiz, które, będąc osobiście zainteresowany, postanowiłem przeczytać. - Spojrzał uważnie na Mię. - Wiesz doskonale, jak rozwija się obecnie biologia molekularna. Odnotowujemy gwałtowny rozwój nauki i technologii. Jego stale zwiększające się tempo pozwala myśleć o tym, że pozornie odległe projekty będzie moż-

na zrealizować w niedalekiej, namacalnej przyszłości. To, co jeszcze do niedawna wydawało się osiągalne za kilkaset lat, dziś okazuje się kwestią kilku dekad. Z komórek macierzystych da się wyhodować zapasowe organy. Same komórki można wszczepiać w ciało, naprawiając je. Możliwości są nieskończone. I nie mówię o odległych marzeniach, takich, jak sztuczna in-teligencja czy nanotechnologia. Mówię o tym, co według naszej wiedzy jest wykonalne. A je-

żeli nasze ciała da się naprawić, jeżeli zużycie komórek da się choć raz powstrzymać lub od-wrócić, to nie widzę powodu, dla którego tego procesu nie dałoby się powtórzyć. To tak jak samochód, który serwisuje się co dwadzieścia tysięcy kilometrów. Dzięki temu będziemy mogli po prostu przedłużyć sobie życie lub, jeśli wyciągniemy z tego założenia logiczne wnioski, znajdziemy się - tak naprawdę wydaje mi się, że mnóstwo naukowców jest przekonanych, że już się tam znaleźliśmy - na progu osiągnięcia nieśmiertelności dzięki medycynie. Jeśli więc tego właśnie szuka hakim... Mogłoby to nam cholernie dużo wyjaśnić, nieprawdaż?

Mija ściągnęła twarz, zastanawiając się nad roztoczoną przez Kirkwooda wizją.

- Naprawdę uważasz, że jacyś prymitywni alchemicy sprzed tysiąca lat odkryli coś, o czym my dopiero teraz zaczynamy myśleć jako o czymś możliwym?

Kirkwood wzruszył ramionami.

- Starożytni Grecy używali pleśni jako antybiotyku. Niecałe sto lat temu naukowcy udoskonalili to i otrzymaną substancję nazwali penicyliną, ale znano ją przecież od tysięcy lat. To samo z aspiryną. Na pewno wiesz, że stosowali ją Fenicjanie, podobnie jak Asyryjczy-cy, rdzenni Amerykanie i wiele innych ludów. Nie chodzi w końcu o technologię raketową.

To po prostu proces utleniania proszku uzyskiwanego z kory wierzby. Uważamy dzisiaj, że każdy powinien codziennie zażywać jej niewielką dawkę, żeby uniknąć zawału serca. Załedwie wczoraj czytałem artykuł o tym, że w Chile odkryto właśnie na nowo lekarstwa, których tamtejsze rdzenne plemiona Mapuczów używały do leczenia różnych rodzajów chorób, i że są one zadziwiająco skuteczne. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, o których nie wiemy. Chodzi przecież o jeden związek chemiczny, być może jakiś potężny wymiatacz wolnych rodników, który jest w stanie naprawić w naszych komórkach szkody wywołane przez proces utleniania. Jeden związek. To nie jest wcale nie do pomyślenia.

- Nadal jednak - sprzeciwiła się Mia - mimo tego, co wiemy, mimo całej naszej wiedzy, nie udało

nam się tego osiągnąć.

- Miałabyś rację, gdyby naukowcy podejmowali jakieś poważniejsze wysiłki w celu zapobiegania starzeniu, ale tak nie jest. Pracuje nad tym zaskakująco niewiele osób. Trudno znaleźć motywację, żeby poświęcić się tego rodzaju badaniom. Rządowe szczyty, przywódcy religijni i naukowcy wierzący w nieuchronność śmierci uważają, że to niemożliwe, a gdyby nawet, zapewniamy, że nie powinniśmy do tego dążyć. W dodatku na wszystko, co zaczyna brzmieć interesująco, natychmiast rzucają się media, w rezultacie zamieniając poważne przedsięwzięcia w żart nawiedzonych apologetów. Wszyscy poważni naukowcy, którzy rozważają podjęcie badań na tym polu, boją się - nie bez racji - że zostaną wrzuceni do jednego worka z armią szarlatanów sprzedających eliksiry młodości i że zostaną nominowani do nagrody Srebrnego Runa, przyznawanej fałszywym przedłużającym życie remediom. Wiedzą, że w chwili, kiedy wspomną o tym, że ich badania mają cokolwiek wspólnego z przeciwdziałaniem starzeniu, zamknie się przed nimi każda furtka prowadząca do zdobycia funduszy co więcej, nawet nie używają już tego słowa, ukrywając prawdę pod terminem „badania nad długowiecznością”. Boją się pracować na czymś, czego wyniki - w razie udowodnienia swojej skuteczności w stosunku do ludzi będą widoczne dopiero po kilkudziesięciu latach. Nie brzmi obiecująco perspektywa poświęcenia się badaniom, w których prawdopodobieństwo niepowodzenia jest bardzo wysokie, i przy których w dodatku można zostać wyśmianym... Jesteś genetykiem. Weszłabyś w to?

Mia ponuro pokręciła głową. Znała te problemy zaskakująco dobrze. Jej własny obszar badań wydawał się obecnie polem minowym.

- Widzisz więc, do czego zmierzam - kontynuował Kirkwood. - Wiesz doskonale, jak rząd traktuje twoją branżę. Nie jest skłonny wesprzeć nawet badań nad komórkami macierzystymi. To samo dotyczy Kościoła. Trudno więc znaleźć fundusze i zachętę do pracy w dziedzinie, o której mówię. Ale świat się zmienia. Nowi miliarderzy zaczynają się starzeć. I są zainteresowani. Nie chcą umierać, jeśli to nie jest konieczne. A żeby odkryć coś takiego, jest potrzebny albo szczęśliwy traf, albo lata pracy i mnóstwo pieniędzy. Ile wydano na Projekt Manhattan? Na wysłanie człowieka na Księżyc? Na wojnę w Iraku? Czy żeby się przekonać, że jesteśmy w stanie naprawić ludzkie ciało oraz zwalczyć choroby i spustoszenia wywoływane w organizmie przez czas, nie warto by poświęcić jednej dziesiątej tych samych funduszy?

A choćby jednej setnej? Nie mamy nawet tyle. Czy wiesz, ilu ludzi każdego dnia umiera na choroby związane ze starzeniem? Sto tysięcy. Sto tysięcy każdego dnia. - Przerwał i wzruszył

ramionami. - Może jednak warto się nad tym zastanowić.

Odłożył drinka i dał Mii chwilę, żeby jego słowa do niej dotarły.

- Nie zrozum mnie źle. Jeśli hakim pracuje właśnie nad tym, nie twierdzę w żadnym razie, że jest usprawiedliwiony. Jego metody są w najwyższym stopniu szalone. Jest potworem, który zasługuje na to, żeby go łamać kołem. Ale może - po prostu może - to, czego szuka, nie jest wcale takie szalone. A jeśli tak, to wyobraź sobie, co się stanie, kiedy uda mu się to znaleźć.

Mia skończyła drinka i oparła się o tył krzesła. Była pijana wynikającymi z tego moż-

liwościami.

- Chyba zaczynam rozumieć stopień jego zaangażowania. Jeśli uważa, że istnieje choćby cień szansy, że to możliwe... - Jej twarz się rozjaśniła.

- Musi naprawdę rozpaczliwie pragnąć położyć łapska na tej księdze. Co my możemy wykorzystać, starając się uwolnić moją mamę.

- Jak najbardziej. - Kirkwood przez chwilę milczał. - Rozmawiałaś już o tym z Jimem?

Mia pokręciła głową.

- Godzinę temu nie byłam jeszcze pewna, czy w ogóle jest o czym rozmawiać. Czemu pytasz?

- Zastanawiam się po prostu, jak on to widzi. Póki co rozmawialiśmy tylko o szczegółach operacyjnych tego, co się dzieje.

- Uważa, że facet pracuje nad bronią biologiczną. Może też powinien o tym wszystkim wiedzieć. Jutro rano do niego zadzwonię.

Kirkwood się skrzywił.

- Na twoim miejscu dałbym spokój. Tak naprawdę nie dotyczy to jego planów.

- Tak, ale jeżeli masz rację, jeżeli hakim rzeczywiście tego szuka... To chyba wszystko zmienia.

Na twarzy Kirkwooda pojawił się cień.

- Tyle że nie na dobre, jeśli chodzi o uwolnienie Evelyn.

Powaga, z jaką wypowiedział te słowa, wywołała u Mii nagły niepokój.

- Co przez to rozumiesz?

Kirkwood przez chwilę nie patrzył na nią, ważąc w duchu słowa. Kiedy wreszcie nachylił się w jej stronę, na jego twarzy ciągle rysowało się zmartwienie.

- Pomyśl tylko. Jim jest agentem rządu. Jeżeli mamy tu do czynienia z czymś takim, jeżeli wiedzą, nad czym tak naprawdę hakim pracuje... Jak myślisz, co zrobią? Przekażą to jakiemuś wariatowi? A może będą chcieli to ukryć?

ROZDZIAŁ 51

Uwaga Corbena zaskoczyła hakima, który zawahał się, choć tylko na chwilę. - Rozumiem, że twoja pomoc i mecenat mają być dla mnie nawet bardziej atrakcyjne niż twojego rządu, tak? Corben spojrzał na niego. - Zlecono mi zadanie odnalezienia ciebie - zaczął spokojnym i równym głosem. -

Miałem cię wytropić. Ale to było cztery lata temu. Od tego momentu wiele się zmieniło.

Przesunął się nieco, starając się ułożyć na twardym podłożu choć trochę wygodniej.

- Cały ten burdel z bronią masowego rażenia sparaliżował nas - kontynuował. - „Raport wywiadu” stał się określeniem wstydliwym, zaczął oznaczać mniej więcej to samo, co dowody sfabrykowane przez Biały Dom. Zostaliśmy pariasami. Wydawało się, że ruchy anty-wojenne i prasa rozszarpia nas na strzępy. Zaczęły się zwolnienia lub przesunięcia, co objęło również mojego szefa. Zmieniły się priorytety. Wszyscy zaczęli wzajemnie kopać pod sobą dołki, wytykać się palcami i próbować ratować własne tyłki. Po drodze zgubiło się mnóstwo rzeczy. W tym twoje akta. Agencja przestała się tobą interesować.

- Ale ty nie - zauważył cierpkim tonem hakim.

- Nie byłem pewien. Istniało duże prawdopodobieństwo, że pogoń za tobą to strata czasu, ściganie cienia. Prowadziłeś eksperymenty, miałeś zapewnione wszystkie potrzebne do tego środki oraz nieprzerwane dostawy ludzkich królików doświadczalnych, ale nie miałem pojęcia, czy ci się udało. W dodatku zwinąłeś kramik. Niewiele brakowało, a dałbym ci spokój. Zapomniał o tobie. Pozostawał jednak ten symbol wyryty na ścianie jednej z twoich cel.

Wąż zjadający własny ogon. Zacząłem szukać informacji, ale nie znalazłem niczego przydatnego. Dopiero kiedy wziąłem się do przekopywania starych archiwów w Langley - metodą jak za króla Ćwieczka - wreszcie na coś trafiłem. Stare akta, dawno zapomniane. Raport od człowieka agencji w Watykanie. Notatka dotycząca jakiejś starej sprawy z osiemnastego wieku, której autor wspominał o symbolu zjadacza własnego ogona, fałszywym markizie i księ-

ciu, który wierzył, że oszust w ciągu piętnastu lat nie postarzał się nawet o jeden dzień. - Corben zauważył, że twarz hakima przybiera coraz ostrzejszy, coraz bardziej stanowczy wyraz. -

Nagle zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście jesteś po prostu kolejnym szarlatanem (Bóg wie, ilu ich stąpa po ziemi), czy też może naprawdę na coś trafiłeś. Postanowiłem mieć oczy i uszy otwarte. Słyszałeś o tych detektywach, którzy nigdy nie zapominają o pewnych nurtujących ich nierozwiązanych sprawach? Ty stałeś się moją nierozwiązaną sprawą. Gdyby się okazało, że w całej tej aferze jest chociaż ułamek prawdy, miałeś być moim biletem do wypisania się z tej gównianej roboty w wywiadzie, sposobem na pokazanie środkowego palca tym wszystkim niewdzięcznym, zadufanym w sobie skurwysynom z Waszyngtonu, którzy z lubością potrafią nas wykorzystywać, a potem wyrzucić jak zużytą gumkę, sposobem na to, żeby odjechać w stronę zachodzącego słońca, sącząc martini na tylnym siedzeniu własnego maybacha.

Wszystko, co powiedział, było prawdą, przynajmniej jeszcze w momencie, kiedy rozmawiał z Abu Barzanem. Teraz jednak Corben nie był już pewny, czy to hakim stanowi naj-krótszą drogę do eliksiru młodości, jeśli oczywiście coś takiego w ogóle istniało. Teraz zorientował się, że tajemniczy kupiec coś wiedział. Nie chciał jednak, żeby hakim się w tym po-

łapał. W każdym razie jeszcze nie. Od tego zależało, czy wróci do Bejrutu w jednym kawał-

ku.

- Po Bagdadzie - podsumował Corben - dostałem przydział tutaj. Miałem oczy i uczy otwarte, czekałem, aż coś się pojawi. I to właściwie wszystko. - W jego głosie pojawiła się twarda nuta. - Nikt inny nie wie, że jesteś zaplątany w tę sprawę. Nikt nie wie, co cię z nią łączy.

czy. Wszyscy myślą, że to tylko jacyś przemytnicy walczą nad zagrabionym na wojnie łupem.

Zadbałem o to. I mogę załatwić, żeby tak właśnie zostało.

Hakim odwrócił wzrok, kiwając do siebie głową niemal niezauważalnie, prawdopodobnie zastanawiając się nad słowami swojej ofiary.

- A co ty mi możesz zaoferować, czego jeszcze nie mam? - zapytał w końcu.

- Och, mnóstwo rzeczy. Dostęp do informacji wywiadowczych, do naszych źródeł.

Badania. Mogę też nad tobą rozciągnąć parasol bezpieczeństwa. Nie wiem, gdzie się zaszłyś po tym, jak w Bagdadzie rozpętało się w piekło, ale tej części świata nie można raczej nazwać stabilną, na wypadek więc, gdyby wokół ciebie wybuchła jakaś kolejna awantura, może chciałbyś zmienić miejsce pobytu na mniej... dekoncentrujące. Mogę to załatwić. Nowe papiery, nowa tożsamość. A jeśli dysponujesz czymś, za czym tęskni świat, za co ludzie byliby skłonni zapłacić kupę forsy, to mogę zostać twoim przedstawicielem. Mogę być twym posłań-

cem i zalegalizować to. A przecież nie muszę ci mówić, ile na tym można zarobić.

Hakim z twarzą pokerzysty wpatrzył się w Corbena, rozważając jego propozycję. Po krótkiej chwili, tym samym lekceważącym tonem co wcześniej powiedział po prostu:

- Nie wydaje mi się.

Po czym skinął ręką do kogoś za swoimi plecami. W głowie Corbena rozdzwonił się alarm. Naprężył się, starając się dojrzeć, co się dzieje, niczego jednak nie zobaczył.

- Co przez to rozumiesz?

Od strony samochodu podszedł do hakima jakiś mężczyzna z niewielką walizką w ręku. Otworzył ją i przytrzymał wieko, które zasłoniło Corbenowi widok na jej zawartość.

Hakim zanurkował do środka. Kiedy agent zobaczył znowu jego ręce, mężczyzna trzymał w nich strzykawkę i jakąś buteleczkę. Ospowaty złapał Corbena i przyszpilił go do ziemi, a hakim wbił igłę w buteleczkę i napełnił strzykawkę wypełniającą ją cieczą.

- To, że zaraz powiesz mi, gdzie jest księga, moi ludzie ją przyniosą, i dopiero potem zastanowię cię, czy zostawić cię żywym czy nie.

- Nie musisz tego robić, mówię ci...

Ospowaty uderzył Corbena w żołądek. Cios pozbawił jego płuca powietrza. Poczuł, że ktoś mu wykręca ramię i owija je opaską uciskową, po czym zobaczył, jak hakim nachyla się i wyciska ze strzykawki bąbelki powietrza.

- Gdzie jest księga?

Corben nie potrafił oderwać oczu od igły.

- Mówiłem ci, że jej nie mam.

Hakim wbił igłę. Kilka sekund później Corben poczuł, że po jego żyłach rozlewa się błyskawicznie jakieś palące uczucie, zamieniając mu krew w płonącą lawę. Krzyknął z bólu.

Hakim nachylił się nad nim, obserwując go z obojętną ciekawością.

- Gdzie jest księga?

- Nie mam jej - zawołał Corben. Hakim wcisnął mocniej tłoczek.

- Gdzie jest księga? - warknął.

Corbenowi wydawało się, że jego skóra płonie od wewnątrz. Wzrok przestoniła mu mgła, a oczy zalały łzy.

- W Turcji - wybuchnął. - Księga jest w Turcji. Hakim wyciągnął igłę.

Płomień zaczął słabnąć, tak jakby wyparowywał z Corbena palcami.

- Słucham.

Corben wziął głęboki oddech. Jego ciało ciągle się trzęsło.

- Faruk, ten iracki handlarz, który przyjechał zobaczyć się z Evelyn. Nie miał jej ze sobą. Tylko pośredniczył w jej sprzedaży. A właściwy handlarz właśnie jest w drodze i ma doręczyć cały towar innemu kupcowi.

Ostatnie zdanie wyraźnie rozbudziło zainteresowanie hakima.

- Innemu kupcowi?

- Komu?

- Nie wiem.

Hakim groźnie podniósł strzykawkę.

- Nie wiem - powtórzył z naciskiem Corben. - Nie powiedział mi. Próbowałem go przebić, ale drugi kupiec zaliczył jeszcze wyżej.

Nie chciał, żeby hakim dowiedział się o innym kupcu, zaklął więc w duchu, widząc, że jego oprawca wyraźnie zastanawia się nad tym samym, co on, że rozpaczliwie stara się do-ciec, kto jeszcze jest zainteresowany całą sprawą.

- Gdzie mają zamiar się wymienić?

- Nie wiem jeszcze - przyznał niechętnie Corben. - Namierzamy ich. Wygląda na to, że spędził noc w Dijarbakirze. Transakcja ma się odbyć jutro. - Skrzywił się. - Jeśli chcesz dostać księgę, musisz ze mną współpracować. Jestem jedyną osobą, która może wydobyć tę informację od naszych chłopaków z wywiadu, a jeżeli rano nie pojawię się przy biurku, to akcja jest odwołana.

Na wargach hakima pojawił się słaby uśmiech.

- Ach, jestem pewien, że możesz się tego dowiedzieć przez telefon. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że agenci CIA codziennie muszą podpisywać listę. Chyba że zapomną się rano zameldować przez telefon.

Hakim był dobrze poinformowany: wiedział, że agencja wymaga, żeby pracujący w terenie agenci każdego ranka dzwonili o określonej godzinie, potwierdzając, że wszystko u nich w porządku. Corben obserwował hakima, który zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał:

- Co im planowałaś powiedzieć, uzasadniając małą wycieczkę do Dijarbakiru?

- Miałem sprawdzić kogoś, do kogo dzwonił Faruk. I nie wspominać o księdze.

Hakim skinął głową.

- Chcę dostać tę księgę - powiedział stanowczym tonem. - A jeszcze bardziej chcę się dowiedzieć, kim jest ten drugi kupiec. Zawiozę cię do Dijarbakiru. Twój ludzie o niczym się nie dowiedzą. Tymczasem wolę cię jednak zatrzymać przy sobie. Jeżeli będziesz potem musiał się z tego tłumaczyć, powiesz, że porwaliś mi cię z mieszkania i zamknęliśmy. - Spojrzał

uważnym wzrokiem na Corbena. - Zabierzesz moich ludzi do miejsca, w którym odbędzie się wymiana. Przyniesiesz mi księgę, przyprowadzisz kupca i wtedy pogadamy o twojej przyszłości. Umowa stoi?

W oczach Corbena pojawił się twardy wyraz. Skinął głową. Nie miał wyboru. Trudno było zaprzeczyć, że hakim pracuje w metodyczny sposób.

Musieli jednak omówić jeszcze jedną kwestię.

- A co z kobietą? Evelyn Bishop? Słyszałeś oświadczenie ambasadora. Miałbym mocniejszą pozycję, gdyby w którymś momencie udało mi się ją uwolnić.

Hakim wzruszył ramionami.

- Tak jak mówiłem. Sprowadź księgę i kupca. Potem być może zainscenizujemy jakąś cudowną

ucieczkę i uwolnimy również kobiety.

Spojrzał pytającym wzrokiem na ospowatego i powiedział coś do niego po arabsku.

Corben wytrzymał mięśnie, próbując spojrzeć mu przez ramię, i zobaczył, że zabójca wyciąga z kieszeni jego telefon komórkowy. Wyjął z niego wcześniej baterię, którą trzymał

właśnie w dłoni.

Hakim skinął głową, po czym schował strzykawkę w walizeczce i gestem ręki kazał swojemu człowiekowi ją zabrać. Odwrócił się i odszedł, dając podwładnym jakiś znak. Mężczyźni podeszli do Corbena.

- Więc to naprawdę istnieje? - zawołał za nim Corben. Mężczyzna nawet nie zwolnił.

- Czy to działa? - krzyknął z uporem Corben.

Hakim zatrzymał się i odwrócił. Kąciki jego warg podniosły się w nieznacznym, cierpkim uśmiechu.

- Mam nadzieję, że nie będziesz próbował udowodnić, jaki z ciebie bystrzak. Zawsze mogę dla ciebie znaleźć jakiś pokój w mojej klinice. Rozumiemy się?

Oczy obu mężczyzn spotkały się. Corben zdał sobie sprawę, że tego człowieka trudno byłoby powstrzymać i że w związku z tym będzie musiał skorygować swoje zamierzenia. Je-

śli drugi kupiec będzie znał się na rzeczy, Corben pozbedzie się hakima. Myśl o tym, żeby aresztować tego chorego sukinsyna albo - może nawet lepiej - wpakować mu kulkę w czoło, nagle wydała mu się ogromnie satysfakcjonująca.

Hakim wszedł do czekającego na niego samochodu i odjechał. Jego ludzie podeszli do Corbena, zakleili mu usta taśmą, dźwignęli i zanieśli jak spętanego wołu do bagażnika innego samochodu, po chwili zatraskując nad nim jego klapę.

ROZDZIAŁ 52

Niewyraźne poranne światło słoneczne najwyraźniej zmówiło się z klaksonami samochodów i ulicznymi sprzedawcami, żeby obudzić Mię. Prawdę mówiąc, nie spała zbyt dobrze, mimo że łóżko było miękkie i wygodne. Jakby nie wystarczała jej już myśl o tym, że szalone aspiracje hakima być może wcale nie były takie szalone. Ostatnie słowa Kirkwooda sprawiły, że w jej głowie wszystko zaczęło wirować. Trzy wypite martini bynajmniej pod tym wzglę-

dem nie pomagały. Kirkwood miał rację. Lepiej było trzymać to w tajemnicy, przynajmniej do momentu, w którym Evelyn będzie bezpieczna.

Co oznaczało, że nie mogła nic powiedzieć Corbenowi.

Mia przypomniała sobie, że kiedy po raz pierwszy Corben znalazł się w jej obecności w towarzystwie Kirkwooda, wyczuła w agencji pewną nieufność. Co tak naprawdę mogło być jej przyczyną? Czy agent wiedział więcej, niż jej mówił? Wróciła myślami do opowieści Corbena o laboratorium w Bagdadzie. Sugerował, że chodziło tam o broń biologiczną, nie wyjaśnił jednak w zadowalający sposób, dlaczego hakim szuka kodeksu, powtarzając uparcie

- co zresztą, jak nagle zdała sobie sprawę Mia, było bardzo irytujące - że jeśli chodzi o uwolnienie Evelyn, nie ma to większego znaczenia. A przecież jeśli eksperymenty hakima miały cokolwiek wspólnego z długowiecznością, to z pewnością eksperci z CIA musieli się w tym zorientować.

Co oznaczało, że wolą trzymać całą sprawę w tajemnicy.

Mogła oczywiście całkowicie się mylić, co jej zdaniem było nawet dosyć prawdopodobne. Jeśli jednak istniał choćby cień szansy, że w tym, o czym spekulowała w nocy z Kirkwoodem, może się zająć prawda, oznaczało to, że Corben coś przed nią ukrywa. Co zresztą, upomniała samą siebie, nie powinno w ogóle jej dziwić. Gość był z CIA. Miał robotę do wykonania. Fakt, że nie mówił jej całej prawdy, raczej nie spędzał mu snu z powiek. Z drugiej strony, na temat Kirkwooda nie wiedziała prawie nic. Wyczuwała w nim pewien dystans, pewne wahanie, prawie nieśmiałość. Jednak Kirkwood emanował też spokojem, pewnością, która mogła się brać jedynie z solidnej wiedzy. Mimo to naprawdę wiedziała na jego temat zaskakująco niewiele. Pojawił się w Bejrucie, żeby pomóc w uwolnieniu Evelyn, pracował w ONZ - i tyle. Zdała sobie sprawę, że również w stosunku do niego powinna zachować ostroż-

ność. Z tych samych powodów, które nie pozwalały jej do końca zaufać Corbenowi.

Poczuła suchość w ustach, a jej żołądek głośno zaczął się domagać napełnienia. Do-szła do wniosku, że szybciej zaspokoi go w bufecie, niż wzywając obsługę, wskoczyła więc w bojówki i ruszyła w stronę hotelowej restauracji.

Czekając na windę, pograżyła się w myślach. Nagle rozległ się gong i otworzyły się drzwi. W środku stał Kirkwood.

U jego stóp stała srebrna walizeczka i leżał plecak. Wyglądało na to, że się dokądś wybiera.

Mia weszła do windy. Jej oczy zaczęły błądzić od Kirkwooda do jego i bagażu i z powrotem. Poczuła ucisk w gardle.

- Wyjeżdżasz?

Na jego twarzy pojawiło się zdenerwowanie, tak jakby został na czymś przyłapany.

- Nie, ja... - bąknął. - Wieczorem wrócę.

Skinęła głową, wyczuwając jego skrepowanie. Postanowiła podrażnić nieco głębiej.

- Posłuchaj, myślałam o tym, o czym wczoraj rozmawialiśmy, i wydaje mi się, że powinnam powiedzieć o wszystkim Jimowi. - Spojrzała na Kirkwooda. - Może to coś da.

KIRKWOOD RÓWNIEŻ NIE SPAŁ DOBRZE. Rozmowa z Mią w barze na dachu hotelu rozbudziła w nim głęboki niepokój. Otarł się w niej o prawdę, ale się wycofał. Pozostawił tym samym Mię z wieloma pytaniami, lataniami, z powodu których mogła popaść w tarapaty.

Corben i jego agenci najwyraźniej działali według własnego planu. Evelyn nie była w nim priorytetem, Kirkwood zdawał sobie z tego sprawę. Mia nie przedstawiała dla nich zagrożenia, gdyby jednak zaczęła zadawać zbyt wiele pytań i stała się dokuczliwa, mogliby poczuć się zagrożeni. Kirkwood wiedział doskonale, co w takiej sytuacji robią tego rodzaju ludzie.

Popełnił już kiedyś ten błąd. Nie mówiąc nic o prawdziwym znaczeniu zjadacza ogona, naraził ludzi na niebezpieczeństwo. Nie chciał go powtarzać.

Z pewnością zaś nie chciał, by coś złego przydarzyło się Mii.

- Porozmawiajmy chwilę, zanim to zrobisz - powiedział, kiedy wyszli z windy. Obrzucił wzrokiem hol, zauważając ochraniającego Mię agenta, który stał przy wejściu do hotelu i czytał gazetę.

Agent skinął głową Mii, która odwzajemniła pozdrowienie i odwróciła się z powrotem do Kirkwooda.

- Wiem, że nie ufasz motywom Jima - naciskała. - Ale był ze mną dosyć otwarty co do tego, czym dysponują, i...

- Proszę, Mio - przerwał jej Kirkwood. - Musisz mi zaufać. Zerknął na zegarek i się skrzywił.

Poprzedniej nocy chciał jej wszystko powiedzieć. Zastanawiał się nawet nad tym, czy nie zadzwonić do niej rano do pokoju, by wyjaśnić, co się dzieje, ale się powstrzymał.

Pociągnął ją w bok do niewielkiego baru, poza zasięgiem wzroku agenta. W środku nikogo nie było.

- Dostaliśmy dzisiaj rano cynk, z Iraku - skłamał. - Rozpuściłem wici wśród naszych ludzi. Byliśmy mocno zaangażowani w próbę zabezpieczenia historycznego dziedzictwa kraju, zwłaszcza po niepowodzeniu w sprawie Muzeum Narodowego sprzed czterech lat. Zaoferowaliśmy nagrody i amnestie. Strategia okazała się skuteczna. Pomogła nam również stworzyć sieć ważnych kontaktów w środowisku handlarzy antykami. W każdym razie chyba wiemy, kto ma antyki, które próbował sprzedać Faruk. Pewien handlarz z Iraku, który zna - cóż...

- znał go bardzo dobrze, powiedział jednemu z naszych ludzi, że Faruk wspominał mu o zabytkowych przedmiotach. Według niego Faruk pośredniczył w sprzedaży, za którą stał inny handlarz, z Mosulu. - Kirkwood musiał trochę kluczyć, żeby ominąć najtrudniejszy fragment opowieści, ale wreszcie dotarł do tego, o czym chciał powiedzieć. - Faruk nie miał przy sobie tych antyków. Dlatego mógł Kretyn pokazać tylko zdjęcia.

- Czyli księga jest ciągle w Mosulu?

W oczach Mii pojawił się błysk zainteresowania.

- Nie. Jest w Turcji. - Przerwał, oceniając reakcję Mii, po czym przeszedł do sedna. -

Jadę tam, żeby ją odebrać. Jedź ze mną. Wprowadzę cię na pokład samolotu.

W GŁOWIE MII KŁĘBIŁY SIĘ PYTANIA i sprzeczne uczucia.

Nie była pewna, co powinna myśleć o Kirkwoodzie, ale z drugiej strony nie wierzyła też do końca Corbenowi. Jediną osobą, której mogła w pełni zaufać i o której wiedziała z całą pewnością, że obchodzi ją los Evelyn, była ona sama. Jeśli księga, dzięki której będzie można uwolnić jej matkę, rzeczywiście tam była, powinna zrobić wszystko, żeby się upewnić, że trafi bezpiecznie w ich - w jej - ręce. Ciągle jednak dokuczała jej niepewność, ciągle coś chciało ją przed czymś ostrzec.

- Nie mogę tak po prostu z tobą polecieć - zaprotestowała.

- Mio, posłuchaj mnie - naciskał Kirkwood. - Jest kilka rzeczy, o których nie wiesz.

Mia poczuła złość.

- Na przykład? - zapytała z wściekłością. Kirkwood westchnął, dręczony sprzecznymi uczuciami.

- Posłuchaj, przepraszam, ale... W nocy nie byłem z tobą do końca szczerzy. Po tym, jak wspomniałaś w ambasadzie o hakimie, udało mi się zdobyć jego dossier. - Mia usłyszała w jego głosie głęboki niepokój. - To, o czym rozmawialiśmy w nocy. On rzeczywiście nad tym pracuje. A Corben i jego ludzie o tym wiedzą.

Mia otworzyła w zdumieniu usta.

- Eksperymenty..? Znała odpowiedź.

Kirkwood ponuro skinął głową.

- O to właśnie im chodzi.

Mia nie wiedziała, co robić, ale przez ciernie w jej głowie zaczęła sobie torować drogę jedna myśl: nie mogła zaufać Corbenowi. Już nie. Jeśli chodzi o Kirkwooda, to sprawa ciągle była otwarta, ale właściwie nie miała wyboru. Musiała zaryzykować.

- Co powiem mojemu agentowi? - zapytała beznamiętnym tonem, wskazując ręką na pilnującego ją mężczyznę.

- Najlepiej nic.

- Ma mnie ochraniać. Nic pozwoli mi wyjść stąd jak gdyby nigdy nic nie kontaktując się z Jimem.

Imię agenta nagle nabrało dla niej smaku trucizny.

Kirkwood zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę.

- Restauracja obok należy do hotelu, ale prowadzi do niej osobne wejście z ulicy.

Pewnie mają jedną kuchnię. Na zewnątrz czeka na mnie samochód. Wróc do pokoju, zabierz paszport i kilka niezbędnych rzeczy, a potem zejdziesz schodami do restauracji i wyjdź tamtędy z hotelu. Parkuj za rogiem.

Mia zbierała się już do odejścia, ale Kirkwood położył jej dłoń na ramieniu.

- Mio, proszę. Zaufaj mi. Nie mów nic Jimowi. Jeszcze nie. Najpierw musimy odebrać księgę. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek coś schrzanił. Chodzi o twoją matkę.

Przyjrzała się szybko mężczyźnie, jego oczy lśniły szczerością. Albo mówił prawdę, albo był wyjątkowo utalentowanym łgarzem. Tak czy inaczej wkrótce wszystko wyjdzie na jaw. Skinęła głową i ruszyła z powrotem w stronę windy.

KIRKWOOD ZE ŚCIŚNIĘTYM GARDŁEM obserwował znikającą w holu Mię. Klamka zapadła.

Nie mógł się już wycofać.

Spojrzał na zegarek i postanowił przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności, nad którymi się zastanawiał. Wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer zwiadowcy z Iraku, który pierwszy zwrócił jego uwagę na Abu Barzana.

Można mu było zaufać. Współpracowali od lat, kilka razy mieli okazję dowieść sobie wzajemnego zaufania, zabezpieczonego w dodatku niezwykle hojnym honorarium.

Wolał nie ryzykować bezpośrednim telefonem do Abu Barzana. Zdawał sobie sprawę, że jeśli to Corben był drugim licytantem, to on i jego goryle wiedzieli już o handlarzu i znali jego numer telefonu. Będą go monitorować. A Kirkwood wolał na razie nie zdradzać im, o co mu tak naprawdę chodzi.

Zwiadowca natychmiast odebrał. Kirkwood powiedział mu, co ma robić. Miał mówić krótko i zwięźle. Miał się też upewnić, że nie wystraszy Abu Barzana. Kazał zwiadowcy oddzwonić do niego z innego numeru i przekazać mu nowe miejsce spotkania.

Rozłączył się, sięgnął po aktówkę i plecak, po czym ruszył w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ 53

Siedemdziesiąt kilometrów na wschód Corben leżał na wąskim łóżku i rozglądał się po gołych ścianach swojej celi. Niewielkie pomieszczenie było pozbawione okien, nie miał

więcej pojęcia, która może być godzina, ale ponieważ właściwie w ogóle nie spał, doszedł do wniosku, że od chwili, kiedy wepchnięto go do bagażnika samochodu i wywieziono w dal, nie mogło minąć więcej niż kilka godzin. Próbował sobie wyobrazić, przez co musieli przejść inni więźniowie

kliniki hakima. Pomyślał o Evelyn Bishop i zaczął się zastanawiać, czy przebywa w tej chwili gdzieś w pobliżu i czy kiedykolwiek zobaczy ona jeszcze światło dzienne.

W jego głowie zaczął się malować obraz sytuacji. Wszystkie kawałki układanki wydawały się do niego pasować. Znajdował się albo w jakiejś miejscowości na północy Libanu, albo w Syrii. Bardziej prawdopodobna była ta druga możliwość. Akcent ospowatego i jego kumpli wyraźnie zdradzał ich narodowość. Corben słabo mówił po arabsku, ale mimo to potrafił rozróżnić różne akcenty - libański, irakijski, palestyński, syryjski, akcent mieszkańców regionu Zatoki Perskiej. Kiedy więc mówili, był w stanie rozpoznać ich pochodzenie. Poza tym sporo mógł wywnioskować z jazdy samochodem. A przynajmniej z drugiego jej etapu, kiedy był przytomny. Jechali krętą drogą, która najpierw wznosiła się wysoko w górę, po czym zaczęła opadać. Potem się zatrzymali i usłyszał jakąś rozmowę - prawdopodobnie na granicy. Następnie znowu wjechali na krętą drogę, która prowadziła do miasta rozbrzmiewającego ogłuszającą kakofonią modlitewnych wołań, o wiele bardziej hałaśliwą niż w Bejrucie.

Domyślił się, że to Damaszek.

Co zresztą natychmiast wywołało u niego wściekłość. Stolica Syrii była pierwszym i oczywistym pomysłem, jaki przyszedł mu do głowy już w 2003 roku, kiedy jego zadanie oficjalnie było jeszcze aktualne, kiedy starał się odgadnąć, dokąd uciekł hakim. Mimo głębokiej, odwiecznej niemal niechęci między obu krajami, potrzeba chwili i wspólny wróg sprawiły, że zagorzali przeciwnicy od czasu do czasu znajdowali powody, żeby sobie nawzajem pomagać.

Tyle tylko, że jeśli chodzi o hakima, Corben wiedział, że jego porozumienie z rządem nie miało nic wspólnego z polityką.

Dla hakima był to idealny układ. Znalazł mecenasów, którzy zapewnili mu takie samo wsparcie, jak ich poprzednicy w Bagdadzie. Dostawał wszystko, czego potrzebował. Jego niewielka gospoda wkrótce zaroila się od gości. A kiedy pojawiały się komplikacje - lub nowe możliwości - w rodzaju tych, z którymi musiał się zmierzyć w ciągu ostatnich kilku dni, pod ręką miał armię bezwzględnych bojowników.

O wilku mowa, pomyślał Corben, bo w tej samej chwili zazgrzytał zamek i otworzyły się drzwi. Za nimi stał hakim. Byli z nim ospowaty - Omar - i dwóch innych uzbrojonych mężczyzn.

- Czas podpisać listę - ogłosił hakim. Kiwnął ręką na Omara, który wyciągnął telefon komórkowy Corbena i włożył do niego baterię.

- Musisz nam podać dokładne współrzędne GPS tego irackiego handlarza - dodał, unosząc ostrzegawczo palec. - Pamiętaj, trzydzieści sekund. Nie więcej.

Corben, ciągle tylko w bokserkach, wstał i zrobił, co mu kazano. Połączył się z Ol-shanskim. Wydawało się, że w ambasadzie nikt niczego nie podejrzewał. Nie było zresztą ku temu żadnego powodu. Dopóki meldował się na czas, nikt nie miał zamiaru wszczynać alarmu.

- Twój cel od wczorajszego wieczoru nigdzie się nie ruszył - poinformował go Olshansky. - Ciągle

jest w tym samym miejscu w Dijarbakirze, ale pojawił się inny problem.

Ktoś do niego dzwonił z Iraku.

- Kto? - zapytał Corben.

- Nie wiem - odpowiedział Olshansky. - Rozmowa była zbyt krótka, żeby ją namierzyć. Facet powiedział mu tylko, żeby się rozłączył, usunął baterię z telefonu i zadzwonił do niego z innego numeru.

Corben nie pozwolił, żeby wiadomość o niespodziewanych komplikacjach odbiła się jakoś na jego twarzy. Nawet na moment nie stracił zimnej krwi i miarowym głosem poprosił

Olshanskiego o podanie ostatniej współrzędnych GPS komórki Irakijczyka.

- A po co ci one? - zapytał Olshansky. - Po tej rozmowie facet już wie, że go namierzamy. Pewnie od dawna go już tam nie ma.

- Po prostu podaj mi te współrzędne - powiedział Corben. Olshansky wydawał się trochę zdziwiony, ale w końcu spełnił prośbę agenta.

- Jeszcze jedno - dodał. - Ten telefon z Genewy, który próbowałem namierzyć - gość wyjechał ze Szwajcarii. Jego sygnał odbił się od kilku satelitów i serwerów, po czym zniknął

w cyfrowej czarnej dziurze, ale trop zdecydowanie wskazuje na zmianę regionu. Skontaktowałem się ze znajomym z NSA, który zgodził się potraktować go priorytetowo. Twierdzi, że do wieczora uda mu się namierzyć jego pozycję.

- Poproś go, żeby się pośpieszył, muszę to wiedzieć - odpowiedział krótko Corben, zapamiętując nową informację.

Miał pewne podejrzenia co do tego, dokąd może zmierzać rozmówca.

Hakim spojrzał na niego podejrzliwym wzrokiem i gestem kazał mu się rozłączyć.

Corben posłuchał go, przykazując jeszcze tylko Olshanskiemu, żeby poinformował go, gdyby sygnał Irakijczyka zmienił lokalizację. Omar szybko odebrał mu telefon i wyciągnął z niego baterię. „Goście naprawdę wiedzą, jak zacierać za sobą cyfrowe ślady” - pomyślał Corben.

Nie wyłączali aparatu Rameza, bo nie chcieli przepuścić telefonu od Faruka, ale nie popełnili tego samego błędu z Corbenem. Nie będzie w stanie prześledzić wstecz lokalizacji telefonu i określić miejsca, w którym znajdowała się kryjówka hakima, z dokładnością większą niż dzielnica danego miasta.

Przekazał hakimowi współrzędne, które - o czym wiedział doskonale - prawdopodobnie były bezużyteczne, ale właściwie nie miał wyboru. Od tej chwili musiał improwizować.

Omar wprowadził dane do jakiegoś podręcznego urządzenia - Corben zauważył, że zabójca mówi po angielsku - na którego ekranie po chwili pojawiła się mapa turecko-syryjskiego pogranicza i miasta Dijarbakir. Omar z satysfakcją skinął głową.

Ostre rysy twarzy hakima rozproszyło na chwilę coś w rodzaju uśmiechu.

- Czas wyruszać w drogę - rozkazał, wskazując Omarowi Corbena.

Omar skinął ręką na jednego ze swoich ludzi, który podał mu jakąś pomiętą stertę ubrań i buty. Rzucił je Corbenowi pod stopy. Corben włożył wszystko na bokserki - luźne spodnie khaki, ciemnoszarą bluzę i wojskowe buty. Omar wyciągnął plastikowy pasek i gestem kazał Corbenowi trzymać dłonie razem. Corben posłuchał go niechętnie. Omar zatrzasnął pasek, po czym wyciągnął czarny szmaciany worek. Złapał Corbena za ramiona i okręcił

go brutalnie, ustawiając tak, by łatwiej było mu narzucić wór.

- Jalla, imsi - burknął. Ruszaj się. Corben miał już jednak dosyć popychania.

- Spadaj, dupku - warknął, uwalniając rękę i odsuwając od siebie Omara. - Sam to zrobię.

Omar złapał go, przycisnął do drzwi i wrzasnął:

- Imszi, ulaa .

Corben nie ustąpił, ale w tym momencie wtrącił się hakim, rozkazując swojemu podwładnemu się cofnąć. Omar z wściekłością łypnął okiem na Corbena, po czym cisnął mu w ręce worek i odstał.

EVELYN z UCHEM PRZYKLEJONYM DO DRZWI wsłuchiwała się w dobiegający zza nich hałas.

Usłyszała, że ktoś otwiera drzwi i bała się, że to kolejna ofiara, którą sprowadzono tutaj podobnie jak ją albo co gorsza, że bandyci wyciągają kogoś na następną sesję tortur, prowadzoną przez jej obłąkanego gospodarza.

Usłyszała jednak mówiącego po angielsku mężczyznę. Amerykanina. Nie była w stanie zrozumieć, co mówi, ale wydawało się, że nic mu nie jest.

Po chwili usłyszała odgłosy szarpaniny i zrozumiała, że go zabierają. Mężczyzna się opierał.

Jej umysł zalała fala paniki. Nie była pewna, co robić. Jakaś jej część chciała krzyknąć, by dać znać innemu więźniowi o swojej obecności. Gdyby uciekł, gdyby udało mu się uwolnić, przekazałby światu, że Evelyn ciągle żyje. Jednak inna jej część była przerażona.

Przerażona, że mężczyzna wpadnie przez nią w tarapaty, przerażona, że ona sama zostanie ukarana za niesubordynację.

Nie mogła jednak przepuścić takiej okazji.

Pieprzyć konsekwencje.

- Pomocy! - zawołała, ile sił w płucach. - Nazywam się Evelyn Bishop. Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych. Zostałam porwana w Bejrucie. Proszę, daj o tym znać w ambasadzie. - Zaczęła walić obiema dłońmi w twarde, nieustępliwe drzwi. - Pomóż mi. Muszę się stąd wydostać. Proszę. Powiedz komuś, komukolwiek.

Zamilkła i przez chwilę stała w miejscu. Wysiłek całkowicie wyczerpał jej nerwy, a jej umęczone ciało zeszytywniało ze strachu, torturowane jednocześnie przez rozpaczliwą nadzieję. Słuchała i czekała na jakąś reakcję.

Nie doczekała się.

Opadła na podłogę. Kącik jej warg zaczął nerwowo drżeć. Objęła się roztrzęsionymi ramionami.

CORBEN USŁYSZAŁ KRZYKI EVELYN I ZAMARŁ. Odwrócił się i obrzucił spojrzeniem ciągi drzwi po obu stronach długiego korytarza, zastanawiając się, w której celi jest uwięziona. Z natężenia jej głosu wnioskował, że gdzieś blisko, ale stłumione krzyki mogły dobiegać z każdego z przyległych pomieszczeń.

Choć tak naprawdę w tej chwili nie miało to większego znaczenia.

I tak nie mógł nic zrobić.

Spojrzał na hakima. Mężczyzna nawet nie drgnął. Wydawało się, że obserwuje reakcję Corbena.

Na jego wąskich wargach pojawił się lekki uśmiech.

- Jak uważasz - powiedział ironicznym tonem. - Chcesz być bohaterem? Czy wolisz być nieśmiertelny?

Do Corbena powoli docierały jego słowa. Nie potrafił się pogodzić z tym, że ten szaleniec, ten potwór niespełna rozumu, może z nim sobie pogrywać w ten sposób, prowokować go, kusić. Nienawidził za to hakima. Co więcej, nienawidził siebie za to, że temu ulegał. Pakt z diabłem. To się jeszcze nigdy nie sprawdziło, nieprawdaż? Gdyby miał możliwość tu i teraz zdobyć przewagę nad swoimi gnębicielemi, przestrzelić im mózgi na wylot oraz uwolnić Evelyn i resztę więźniów - czy zrobiliby to?

Nie był pewien.

Ale gdyby miał zgadywać, musiał przyznać, że prawdopodobnie nie.

Zbyt dużo było do stracenia.

Nagroda była zbyt cenna.

Corben spojrzał krzywo na hakima i udzielił mu odpowiedzi. Nałożył sobie na głowę kaptur. Jego

zmysły otuliła ciemność. Miał nadzieję, że krzyk Evelyn nie wpije się w jego świadomość, dręcząc go w nieskończoność.

ROZDZIAŁ 54

Samolot Beechcraft King Air ominął porośnięte bujną roślinnością wybrzeże Morza Śródziemnego i jego oba turbośmigłowe silniki zaczęły rażno popędzać go na północ, w stronę Turcji. Mii bez większego problemu udało się wymknąć niepostrzeżenie z hotelu. Samochód Kirkwooda był zaparkowany za rogiem. Na lotnisku uniknęli wszelkich formalności -

razem z Kirkwoodem zawieziono ją od razu do niewielkiego, czekającego na nich z włączonymi silnikami samolotu. Jego koła oderwały się od ziemi właściwie w chwili, kiedy do niego wsiedli. Najwyraźniej ONZ dzierżyło władzę w regionie, zwłaszcza odkąd kilka tysięcy żoł-

nierzy oddziałów organizacji utrzymywało pokój na południu kraju.

Dijarbakir leżał na północny wschód od Bejrutu, bezpośredni tor lotu do miasta powinien więc przeciąć ukosem terytorium Syrii, ale tamtejsza przestrzeń powietrzna znajdowała się pod ścisłą kontrolą i Kirkwood postanowił wybrać bardziej dyskretną, choć nieco dłuższą trasę. Polecieli na północ, trzymając się z dala od syryjskiego nieba, aż wreszcie dotarli do wybrzeży Turcji. Tam przechylili się na prawo i poszybowali na wschód, w głąb lądu, w stronę Dijarbakiru.

Kiedy Kirkwood wrócił z rozmowy z pilotami, Mia oderwała oczy od mieniącego się w dali na horyzoncie wybrzeża. Kirkwood usiadł naprzeciw niej i rozłożył trzymaną w rękę mapę.

- Przyjaciel Faruka nazywa się Ab u Barzan - poinformował ją. - Przekroczył granicę z Turcją wczoraj, w tym miejscu, w Zachu. - Kirkwood odnalazł punkt na mapie, wskazując Mii przejście graniczne niedaleko miejsca, w którym stykały się granice Turcji, Syrii i Iraku. -

jest teraz w Dijarbakirze. - Pokazał miasto leżące siedemdziesiąt kilometrów na północ od granicy syryjskiej.

- Czy to tam spotka się ze swoim kupcem? - zapytała. Kirkwood skinął głową.

- Mamy tam kilku zaprzyjaźnionych prywatnych kontrahentów. Zabiorą nas do niego.

Wszystko to działo się zbyt szybko. Mia nie wiedziała, co myśleć o tej nagłej zmianie sytuacji.

- Jak ci się go udało namierzyć? Kirkwood się zawahał.

- Nie było to zbyt trudne - stwierdził, składając mapę. - Mosul jest znacznie mniejszy od Bagdadu, a facet wszędzie się chwalił, że zawarł transakcję życia.

- A jak masz zamiar odebrać mu księgę? Kirkwood wydawał się skrępowany pytaniem.

- Przekaze nam ją i resztę antyków w zamian za to, że nie odeślemy go do Iraku, gdzie czeka na niego prokurator.

- A co z kupcem? - zapytała Mia. - On pewnie też bierze w tym udział, prawda?

Kirkwood pokręcił głową...

- To prawdopodobnie jakiś antykwariusz z Londynu lub z Frankfurtu - rzucił lekcewa-

żącym tonem. - Właściwie nas nie obchodzi. My musimy tylko zdobyć księgę, którą wymie-nimy na Evelyn.

Mia zmarszczyła brwi. Nie miała żadnych nowych wieści od momentu, kiedy wygło-siła w telewizji swój apel, i nie czuła się najlepiej, pozostając poza zasięgiem ambasady czy nawet Corbena.

- Nie wiemy, czy porywacze nawiązali kontakt - zauważyła.

- Nawiążą. Zorganizujemy kolejną konferencję prasową, powiemy, że ujęliśmy kilku przemytników, i upewnimy się, że księga przez cały czas będzie na widoku. - Kirkwood spojrział na nią z zaciętą determinacją. - Nie martw się. Zadzwoń. Dopilnuję tego.

Mia skinęła głową i wyjrzała za okno, pograżając się w myślach.

Po chwili z zadumy wyrwał ją głos Kirkwooda.

- Co się dzieje?

Na jej twarzy malowało się znużenie.

- Trudno to sobie wyobrazić. Że to robimy. Że cos takiego naprawdę istnieje. - Pokrę-

ciła z niedowierzaniem głową, które wynikało jednak raczej ze zmęczenia niż z czegokolwiek innego.

- To przypomina Frodo Bagginsa i jego pierścień. Kusi człowieka swoją władzą nad siłami natury, obietnicą długiego życia. Bawi się z naszymi łatwo ulegającymi zepsuciu sercami.

Kirkwood z powątpiewaniem zasznurował usta.

- Nie nazwałbym tego zepsuciem. Umieranie to potworne marnotrawienie talentu. I mądrości.

King Air przemykał obok cienkich kosmyków chmur, a oni zaczęli omawiać diame-tralne zmiany, jakie może wywołać „magiczna pigułka” długowieczności, trzęsienie ziemi, które przewróci do góry nogami cały dotychczasowy styl życia ludzkości. Oczywistym problemem było przeludnienie. Od pojawienia się na naszej planecie pierwszych hominidów musiało minąć osiemdziesiąt milionów lat, żeby na początku XIX wieku pojawił się miliardowy przedstawiciel gatunku. Drugi miliard został odhaczony ponad sto lat później, w 1930 roku, odtąd jednak kolejną kreskę na podziałce mijamy co piętnaście lat. Do tego wzrostu przyczyniają się głównie kraje mniej rozwinięte - pozostałe tak naprawdę ledwie są w stanie utrzymać dotychczasowy poziom liczebności populacji. Mimo to, jeżeli w tym samym czasie na ziemi będzie żyło pięć lub dziesięć pokoleń tej samej rodziny, ludzkość czeka prawdziwy wstrząs.

Generalnego remontu będą wymagały między innymi systemy opieki zdrowotnej i emerytalny, którym już dziś przecież przydałyby się poważne korekty. Zmiany, i to dramatyczne, czekają również wszelkiego rodzaju relacje międzyludzkie.

Małżeństwo - czy instytucja ta w ogóle będzie miała sens, skoro nikt tak naprawdę nie będzie oczekiwał, że zostanie z jedną osobą przez kilkaset lat? Dzieci - w jaki sposób będą się starzeć i zachowywać w stosunku do swoich rodziców? Zmiany będą dotyczyły również pracy. Kariery. Emerytur. Czy ludzie będą musieli pracować przez całe swoje długie życie?

Prawdopodobnie tak. Czy będą w stanie sobie z tym mentalnie poradzić? Co stanie się z zasadą, że starzy ustępują, by młodzi mogli odnaleźć w życiu swoje miejsce? Czy wystarczy miejsca dla tych, którzy chcieliby awansować? A co z mniej oczywistymi konsekwencjami, takimi jak kary więzienia: Czy wyrok trzydziestu lat odosobnienia będzie w stanie odstraszyć osó-

b-która według wszelkiego prawdopodobieństwa dożyje lat kilkuset?

Im dłużej o tym rozmawiali, tym bardziej Mia zdawała sobie sprawę że jeśli tkwi w tym chociaż ziarno prawdy, to każdy aspekt życia, które tak dobrze znamy, trzeba będzie zdefiniować na nowo. Nigdy nie ośmieliła by się analizować konsekwencji takiej ewentualności całkowicie na serio, i ograniczała się co najwyżej do naukowych dywagacji oraz przypuszczeń w rodzaju „co by było, gdyby”, kiedy jednak pomyślała o niej jako o czym realnym, zamieniła się w coś onieśmielającego czy nawet przerażającego w perspektywę, którą trudno było sobie nawet wyobrazić.

- Żylibyśmy w epoce postludzkiej - powiedział Kirkwood. - I to właśnie przeraża konserwatywne i religijne elity. Tyle że ich strach jest irracjonalny. To wszystko nie wydarzyłoby się w ciągu jednej nocy. Przebiegałoby stopniowo. Gdyby kiedykolwiek naprawdę odkryto takie „lekarstwo”, ogłoszono by to i ludzie, cóż, po prostu przestaliby się starzeć. Lub też starzeliby się bardzo, ale to bardzo wolno. I świat by się do tego zaadoptował. Już teraz bardzo się różnimy od ludzi, którzy żyli sto lat przed nami. Dla nich już jesteśmy „postludźmi”. I wydaje się, że z wydłużoną średnią życia, rozwojem medycyny i innowacjami technologicznymi radzimy sobie całkiem nieźle.

Mia wiedziała jednak, że zdrowy rozsądek i dobro nie zawsze zwyciężają głupotę i zło. Strach przed zmianą, połączony z protekcjonalnym, aroganckim, mentorskim sposobem patrzenia na świat już teraz skutecznie blokował tego rodzaju odkrycia. Dogmatyczny, konserwatywny rząd zniechęcały również koszty - bez względu na potencjalne oszczędności w służbie zdrowia, wynikające z opanowania przewlekłych, związanych z podeszłym wiekiem chorób - i zmiany organizacyjne, które pociągnęłyby za sobą dłuższą średnią życia. Koncerny farmaceutyczne z radością obserwują, jak rozpadają się nasze ciała, i sprzedają nam leki mające pomóc w opanowaniu różnych chorób. Kremy przeciw starzeniu się skóry odżywki, hormony - tak naprawdę nie bardzo nam pomagają, ale są przecież wysoce lukratywnym biznesem, każdego roku przynoszącym sześć miliardów dolarów.

- Ludzie, którzy się temu sprzeciwiają - podsumował Kirkwood - zwykle są albo głę-

boko religijni, albo zaliczają się do filozofów, którzy i tak nie żyją w realnym świecie. Porównują nas do rozwijających się kwiatów albo używają innych obłąkanych analogii, żeby celebrować znaczenie śmierci, cytują greckich i rzymskich myślicieli lub, oczywiście, Pismo Święte. Dla nich to

śmierć określa życie. Moim zdaniem jest odwrotnie: życie da się określić przez ambicję, przez pragnienie, chęć uniknięcia śmierci. Jesteśmy jedynym gatunkiem, który jest świadomy własnej śmiertelności, jedynym, który może - dzięki intelektowi, dzięki świadomości - próbować ją przezwyciężyć. Człowiek pragnie tego, odkąd zaczął stąpać po tej planecie. To część naszego procesu ewolucji.

Mia przyjrzała się Kirkwoodowi i skinęła głową. Zgadzała się z nim, ale jej serca uczepiła się pewna bardzo nieprzyjemna myśl.

- I aby uwolnić moją mamę, mamy zamiar przekazać to wszystko jakiemuś psychopa-cie?

KIRKWOOD OBSERWOWAŁ, JAK NA TWARZY Mii położyły się chmurą zakłopotanie i niepewność.

On też się nad tym zastanawiał.

Nienawidził się za to, że ją okłamuje, że odwleka to, co nieuniknione. Chciał powiedzieć jej prawdę, tu i teraz, ale za każdym razem kiedy próbował, coś go powstrzymywało.

Wiedział, że musi to zrobić. Wiedział, że to robi. Wciąż jednak okazywało się to zdumiewająco trudne, wciąż nie był w stanie spojrzeć jej w twarz i powiedzieć to, czego nie wiedziała.

Miał wiele do opowiedzenia.

Jego niepokój zwiększało dossier hakima. Kirkwood przyleciał do Bejrutu z prostą i jasną misją: pomóc uwolnić Evelyn, jednocześnie nie dopuszczając do wyjawienia tajemnicy.

Kiedy przeczytał dossier hakima, zadanie to przestało już być takie proste. Mnóstwo ludzi po-niosło straszliwą śmierć i mogło to czekać jeszcze wielu innych. Ktoś musiał powstrzymać hakima.

Kirkwood i jego partnerzy zgodzili się co do tego. Wszelkie inne względy należało odsunąć na bok.

W tym Evelyn. W tym samą tajemnicę.

Nie można było pozwolić, żeby hakim nadal prowadził swoje mordercze poszukiwania.

Co z tego wyniknie dla niego, Evelyn i Mii, to już zupełnie inna sprawa.

ROZDZIAŁ 55

Głowę Corbena zakrywał szmaciany worek, agent skupił się więc na warkocie turbiny śmigłowca. Dźwięk był gardłowy, niski, inny niż odgłosy hueyów, blackhawków i chino-oków, do których był przyzwyczajony. Siedzenie, na które go wepchnięto, potwierdzało jego przypuszczenia. Było ustawione bokiem, wzdłuż zewnętrznej ściany kabiny, jego materiał był

szorstki i sztywny, obicie było cienkie, a w jego uda wgrzyzała się metalowa rama. Corben znalazł się w wojskowym śmigłowcu.

Rosyjskim. Mi-25, bez wątpienia.

Pomyślał, że wkrótce dowie się tego na pewno. Wyczuł, że maszyna zwalnia i przechyla się ciężko na bok, co zapowiadało rychłe lądowanie. I rzeczywiście, maszyna szarpnęła i zaczęła opadać.

Nie był pewien, jak długo lecieli, ale wydawało mu się, że podróż trwała mniej więcej tyle, ile powinna: dwie godziny. Co doskonale odpowiadałoby zasięgowi i prędkości dużych śmigłowców.

Wkrótce byli już na ziemi. Corbena wypchnięto z kabiny, usłyszał jakieś wydawane podniesionym głosem rozkazy, po czym wielkie turbiny nabrały znowu mocy i agent poczuł, że uderza w niego z impetem fala powietrza napędzanego przez rotor. Kiedy śmigłowiec star-tował, Corben postanowił wykorzystać moment nieuwagi swoich strażników: podniósł zwią-

zane nylonowym paskiem dłonie i zdjął z głowy worek. Omar zauważył to i warknął wściekle na niego, ale było już za późno. Corben spojrział na Mi-25, który przechylał się i odlatywał

właśnie z powrotem na południe. Nie zauważył żadnych oznaczeń na jego pokrytej farbą ma-skującą bocznej ścianie, był to jednak z pewnością wojskowy śmigłowiec, a w odległości kilku godzin lotu od Bejrutu dysponował nimi tylko jeden kraj].

Corben uśmiechnął się do Omara, co w tej sytuacji było równoznaczne z wyciągnię-

tym środkowym palcem, po czym się rozejrzał. Ospowaty zabrał ze sobą jeszcze trzech ludzi.

Przenosili imponującą liczbę sprzętu: Corben zauważył dwa karabiny snajperskie, kilka pistoletów maszynowych, skrzynki dodatkowego sprzętu. Wszystko to potwierdzało jego podejrzenia, że kimkolwiek był sponsor hakima, dysponował potężnymi środkami. Wydawało się, że lekarz może dostać na zawołanie poważne wsparcie, że na jego rozkazy czeka prawdziwy arsenał, o niekończącej się armii trutni nie wspominając. Mogli z miejsca polecieć śmigłowcem z Syrii do Turcji, co bez wątpienia było zasługą symbiotycznych relacji między obu krajami, które w myśl starej zasady „wróg mojego wroga...” wspierały się w walce z niepodległościowymi aspiracjami bezpieczeństwa Kurdów.

Corben zdał sobie sprawę, że jego marzenia o współpracy z hakimem były jedynie mrzonką. Facet sam w sobie był trudnym przypadkiem, a w dodatku miał poważnych sponsorów, przed którymi odpowiadał. Kimkolwiek byli, sporo w niego zainwestowali. I pewnie trudno byłoby im przełknąć pomysł zaproszenia do stolika agenta amerykańskiego wywiadu.

Właściwie Corben nawet się tym nie zmartwił. Zdążył nabrać poważnej niechęci do hakima i skórzanej podeszwy jego ręcznie wyszywanego mokasy. Nie mógł się już doczekać, aż wciśnie mu go do gardła, jeśli oczywiście tajemniczy drugi kupiec okaże się użyteczny.

Zobaczył, że Omar wyciąga zabrany mu wcześniej telefon, wkłada do środka baterię, po czym chowa go do kieszeni i sprawdza coś na podręcznym urządzeniu GPS. Corben przeszukał wzrokiem okolicę. Zostawiono ich na polanie niewielkiego wzgórza, na skraju rozległej wysuszonej równiny. Przecinała ją rzeka Tygrys, która wiała się gdzieś na południe, w stronę Iraku, gdzie ostatecznie wpadała do

Zatoki Perskiej. Wzdłuż jej brzegu od czasu do czasu było widać niewielkie płyty zieleni. Półtora kilometra na północ od miejsca, w którym stali, na wyniosłym wzgórku nad spaloną równiną wznosiło się starożytne miasto Dijarbakir.

Omar podszedł do Corbena i podał mu telefon.

- Nie masz żadnej wiadomości - powiedział, ciężko akcentując słowa. - A więc Abu Barzan nie zmienił pozycji.

- Nie zmienił - potwierdził Corben. - Ale lepiej już nie wyłączaj telefonu, bo mogą do mnie zadzwonić, żeby mnie powiadomić o ewentualnych zmianach.

„Jeśli Olshansky wkrótce nie zadzwoni, sprawy mogą przybrać niekorzystny obrót” -

pomyślał. Musi po prostu znaleźć jakąś okazję i wykorzystać ją.

- Zatrzymam go - powiedział Omar. - Na razie.

Corben uśmiechnął się, choć nawet nie próbował złagodzić wyrazi, swoich oczu.

- Intal rajjis, ja Omar. To ty jesteś szefem.

Kątem oka zauważył, że w ich stronę suną dwie zakurzone półterenówki. Omar machnął w ich kierunku ręką i krzyknął do swoich ludzi kładąc im ładować się do środka.

Kilka minut później byli już w drodze.

NA PASIE KOŁOWANIA NA SAMOLOT czekał jeden ze specjalistów do spraw bezpieczeństwa Kirkwooda. Był to typowy były funkcjonariusz SAS lub sił specjalnych, których dawni pracownicy byli bardzo cenieni w chaosie, w jakim pogrążył się Irak. Na prośbę Kirkwooda po-zwolono im wysiąść z samolotu w najdalszym zakątku niewielkiego lotniska, z dala od oczu ciekawskich. Usiedli z tyłu czekającego na nich samochodu, toyoty land cruiser z wyciemnio-nymi szybami. Najemnik, Australijczyk, który przedstawił się jako Bryan, zabrał im paszpor-ty i zaniósł je do terminalu gdzie miały być ostemplowane. Chwilę później bez problemu opu-

ścili teren lotniska i ruszyli w stronę miejsca spotkania z Abu Barzanem.

- Kontaktowałeś się z nim? - zapytał Australijczyka Kirkwood.

- Tak - potwierdził najemnik. - Trochę się zdenerwowałem zmianą miejsca, ale powiedziałem mu, że to tylko tak na wszelki wypadek. Jest z nim jeden z moich ludzi.

Mia z lekkim zdumieniem słuchała wymiany zdań.

- Jakiej zmiany miejsca? On wie, że do niego jedziesz?

- Kazałem mu je zmienić dzisiaj rano - powiedział Kirkwood. - Na wszelki wypadek, gdyby Corben i

inni go szukali.

Mii coś w tym nie pasowało.

- Ktoś go pilnuje, czy jak? To znaczy, nie bałeś się, że po prostu się zwinie?

Wydawało się, że Kirkwood doskonale rozumie jej podejrzliwość.

- Wyjaśnię ci wszystko, jak się z nim spotkamy, obiecuję.

DWIE ZAKURZONE PÓŁTERENÓWKI MINEŁY wąski betonowy most i zaczęły się zbliżać do Dijarbakiru.

Miasto było w tym czasie kurdyjską stolicą wschodniej Turcji. Jego starówkę, wyrastającą na wyniosłym wzgórku, otaczały masywne bizantyjskie mury obronne. Jedyne chiń-

ski Wielki Mur był od nich większy. Zbudowano je z ogromnych bloków czarnego bazaltu i wyposażono w pięć imponujących bram prowadzących do Starego Miasta oraz szesnaście stołpów rozsianych wokół ich obwodu. Do zewnętrznego grzbietu murów była przytulona nowsza zabudowa, wylewająca się na otaczającą je równinę.

Corben z tylnego siedzenia pierwszego pojazdu obserwował swoich strażników. Obok niego siedział Omar, studiując na ekraniku swojego urządzenia współrzędne GPS, a z przodu, na siedzeniu pasażera - jeden z jego kumpli. Prowadził jakiś miejscowy kierowca. W wozie z tyłu siedziało dwóch pozostałych pacholków Omara i drugi kierowca.

Corben zastanawiał się właśnie, czy mu się poszczęści, zanim jego blef wyjdzie na jaw, kiedy nagle odezwał się jego telefon. Omar zerknął na ekranik, po czym przekazał aparat Corbenowi, wyciągając jednocześnie pistolet i przyciskając jego lufę do szyi agenta.

- Uważaj, co mówisz.

Corben zignorował jego uwagę i jak gdyby nigdy nic wziął od niego telefon. Rzucił okiem na ekranik. Dzwonił Olshansky.

- Gdzie ty, do cholery, jesteś? - zapytał techniczny. - Mam jakiś dziwny sygnał.

- Tym się nie martw - uspokoił go Corben. - Co masz dla mnie? Głos Olshanskiego zadrżał z podekscytowania.

- Chłopcom z NSA udało się namierzyć naszego tajemniczego Szwajcara. Nie uwierzysz, gdzie teraz jest.

Corben spokojnie spojrzał na Omara.

- Jest w Turcji - powiedział Olshanskiemu miarowym głosem.

- Nie tylko w Turcji, kolego - rozpromienił się Olshansky. - Jest w Diyarbakirze.

- Gdzie dokładnie?

- Jak go namierzyłem, był na lotnisku - nie, zaczekaj. Właśnie zmienił strefę. Jedzie do miasta. - W głosie Olshanskiego pojawił się niepokój - Hej, wszystko u ciebie w porządku?

- W porządku. Daj mi znać, jak się zatrzyma.

Corben rozłączył się szybko i rozejrzał się przez okno po drodze.

- Czy ta droga prowadzi na lotnisko? - zapytał Omara. Omar zapytał o to po arabsku kierowcę. Ten

skinął głową. Corben obejrzał się i spojrzął na drogę za nimi. Była pusta.

- Powiedz kierowcy, żeby zatrzymał się gdzieś tutaj. Tylko dyskretnie. Nasz kupiec jest niedaleko.

ROZDZIAŁ 56

Skąpany w słońcu krajobraz między lotniskiem a leżącym na wzniesieniu miastem był

surowy i opustoszały. Mia i kierowca Kirkwooda musieli się kilka razy zatrzymywać, kiedy wieśniacy w obdartych strojach przeprowadzali przez drogę stada owiec i kóz, których powolnej procesji towarzyszyły całe eskadry much i które wlokły za sobą dręczący smród. Wreszcie land cruiser minął betonowy most i ruszył w stronę miasta. Ciągące się obok budynki stanowiły przypadkową, niesformą mieszaninę starego i nowego: tanie, często ciągle jeszcze pokryte na wpół zdartymi plakatami z wyborów, szpeczone krzykliwymi szyldami zajmujących ich partery sklepów. Droga zaroiła się od półciężarówek i obładowanych samochodów osobowych, przewożących wszystko, od arbuźów po lodówki.

Kierowca jednak jakoś przeciskał się przez ten zagracony tor przeszkód. Ani on, ani pasażerowie nie zauważyli zaparkowanych przy drodze dwóch zakurzonych półterenówek, osłoniętych przez ogromną cysternę, z której właśnie spuszczano wodę.

KIEDY OBOK PÓLTERENÓWKI PRZEMKNAŁ land cruiser, coś w nim przyciągnęło uwagę Corbena. Był w miarę czysty, w dobrym stanie, i choć agent nie mógł zbyt wiele dojrzeć przez jego przyciemnione szyby, kiedy samochód jechał w ich kierunku, zauważył na fotelu pasażera mężczyznę o jasnej cerze, blond włosach i oczach przesłoniętych przez okulary przeciwsłoneczne.

To musiał być ich obiekt. Do miasta od strony lotniska prawie w ogóle nie jeździły samochody, w dodatku facet był nietutejszy.

- Tam - pokazał Omarowi land cruisera. - To nasz kupiec. Jedźmy za nim.

Omar wydał kierowcy rozkaz. Obie półterenówki odbiły od pobocza i ruszyły do przodu, trzymając się dwa, trzy samochody za land cruiserem.

Corben niecierpliwie naprężył mięśnie. Nie był pewien, czy to pojazd kupca, ale wydawało mu się, że odgadł właściwie. Tak czy inaczej, wkrótce miał dostać od Olshanskiego wiadomość z ostatecznymi zamiarami.

Spojrzał na Omara. Człowiek hakima skinął mu nieznacznie głową po czym jego pozbawione wyrazu oczy zwróciły się z powrotem do przodu i wbiły w potencjalną ofiarę.

Land cruiser zanurkował w szeroką kamienną bramę i po sekundzie wyłonił się już na terenie starówki. Domy były tam znacznie starsze i niższe, zbudowane z charakterystycznych, występujących na przemian pasów białego kamienia i czerwonego czarnego bazaltu. Niemal wszędzie stały meczety, których minarety wbijały się w miejski pejzaż jak włócznie. Nierównymi popękkanymi chodnikami ciągnęły tłumy mężczyzn, w większości ubranych w tradycyjne workowate czarne

spodnie, i kobiet w białych chustach. Od głównej drogi rozchodziły się promieniście boczne ulice, dające schronienie dzieciom bawiącym się w cieniu rzucanym przez budynki.

Obie półterenówki trzymały się w bezpiecznej odległości od land cruisera. Wreszcie zatrzymały się za rogiem dużego rynku. Ich obiekt zaparkował przed przylegającym do niego domem.

Na zewnątrz czekało dwóch mężczyzn. Jeden był Arabem, drugi Europejczykiem lub Amerykaninem. Obaj wyglądali, jakby się zbierali. Omar zapytał kierowcę, gdzie się znajdują. Ten wyjaśnił mu, że to Hassan Basza Han, stary karawanseraj, w którym teraz mieści się kilka sklepów z pamiątkami i kramów sprzedawców dywanów.

Corben nie słuchał. Wbił oczy w land cruisera, którego drzwi właśnie zaczynały się otwierać.

Z samochodu wysiadł najpierw jasnowłosy mężczyzna, który doświadczonego wzrokiem przeczesał okolicę. Okulary przeciwsłoneczne i wybrzuszenie od kabury pod jego kurtką w kolorze khaki pozwoliły Corbenowi domyślić się, że to najemnik. Mężczyzna wymienił

kilka słów z Europejczykiem czy Amerykaninem sprzed domu. W tym samym momencie otworzyły się tylne drzwi samochodu.

Corben najpierw zobaczył Mię. Jakby już tego nie było za wiele, po chwili jego wzrok został zaatakowany przez widok wysiadającego za nią Kirkwooda. Ocalałe z ostatnich pogromów obwody w mózgu Corbena zaczęły pracować na najwyższych obrotach.

Spodziewał się, że zobaczy Webstera. Spróbował jakoś to sobie wyjaśnić. Najwyraź-

niej Webster i Kirkwood pracowali razem. Co w dużym stopniu tłumaczyło obecność Kirkwooda w Bejrucie i jego zainteresowanie.

Spojrzał na Omara, który również zauważył dziewczynę, choć nie znał Kirkwooda.

Corben skinął tylko głową, skrywając satysfakcję.

„Doskonale”.

ROZDZIAŁ 57

Mia wysiadła z land cruisera i obserwowała, jak Australijczyk przekazuje Kirkwoodowi srebrną aktówkę. Kirkwood odwrócił się do Mii. - Daj mi minutkę, w porządku? Upewnię się, że nie będzie sprawiać problemów.

Mia skinęła głową. Kirkwood wszedł do domu z Australijczykiem, zostawiając ją na zewnątrz z drugim najemnikiem, Południowoafrykańczykiem o imieniu Hector, i człowiekiem Abu Barzana. Obaj pozdrowili ją, szorstko kiwnąwszy głową - Arab przyglądając się jej nieco bardziej otwarcie niż Południowoafrykańczyk - po czym przypomnieli sobie o obowiązkach i skupili się na okolicznych ulicach i budynkach.

Wydawało się, że w miasteczku panowało typowe na Środkowym Wschodzie o tej porze dnia odrętwienie. Na ulicach zalegała cisza, a na teren bazaru wchodziło i wychodziło bardzo niewiele osób. W głębi wąskiej wybrukowanej uliczki kilkoro bosych dzieci, które nie uległy ogólnemu letargowi, pod zawalonym praniem sznurem grało w nogę. Mia obserwowa-

ła, jak jeden z chłopców podbija piłkę stopami, kolanami i udami, czemu towarzyszyły radosne okrzyki i drwiny jego kolegów.

Z zamyślenia wyrwał Mię głos Kirkwooda, który zaprosił ją do wnętrza domu. Wej-

ściowe drzwi prowadziły prosto do dużego pokoju dziennego, skąpo i prosto umeblowanego, przesyconego ostrą wonią stęchłego tytoniu. W środku był ich australijski ochroniarz oraz trzech Arabów, palących, jak zauważyła Mia, papierosy.

- To jest Abu Barzan - powiedział Kirkwood, wskazując krępego mężczyznę o potrójnym podbródku, farbowanych na czarno włosach, z gęstym wąsem tego samego koloru i rzucającą się w oczy brodawką na policzku.

- Miło panią poznać - uśmiechnął się Abu Barzan, utrzymując jakimś cudem papierosa na dolnej wardze i radośnie biorąc dłoń Mii w swoje ogromne, spocone łapska. - To jest kaak Mohsen - powiedział, używając kurdyjskiego określenia na brata i wskazując starszego, bardziej stonowanego mężczyznę, który pozdrowił ją zyczliwym półukłonem - mój drogi przyjaciel, który był tak miły, że w ostatniej chwili zaprosił nas do swojego domu - dodał, znacząco spoglądając na Kirkwooda, który zareagował na uwagę pełnym wdzięczności skinieniem głowy. - A to mój bratanek Ba-szar - podsumował Irakijczyk, wskazując młodszego, brzuchatego, przedwcześnie wyłysiałego mężczyznę.

Mohsen zaoferował jej zwyczajową filiżankę mocno osłodzonej herbaty. Mia napiła się, obrzucając wzrokiem zgromadzonych mężczyzn, zauważyła w pomieszczeniu spory zapas broni. Na kredensie przy prowadzących na zaplecze drzwiach leżały dwa karabiny, a bratanek Abu Barzana trzymał w ręku AK-47. Za pas wetknął pistolet.

Zauważyła również srebrną aktówkę Kirkwooda leżącą na stole w kącie pokoju. Bryan, australijski najemnik, wydawał się jej pilnować. Na podłodze obok zobaczyła kilka drewnianych skrzyń, wypełnionych przedmiotami owiniętymi w miękkie szmaciane worki.

Jej wzrok spoczął ponownie na Kirkwoodzie.

- I co, ma ze sobą księgę? - zapytała.

- Ach, tę słynną księgę - roześmiał się gardłowo Abu Barzan. Jego brzuch wznosił się i opadał w rytm przychodzącego mu z trudem oddechu. - Tak, oczywiście, mam ją. Tutaj -

powiedział, podchodząc ciężkim krokiem do stołu, dźwigając niewielką torbę i unosząc ją. -

Tego właśnie szukacie, co?

Odwinął ochronną oprawę z impregnowanej olejem skóry, odsłonił kodeks i pokazał

im go z dumą.

Nawet stojąc po drugiej stronie pokoju, Mia była w stanie zobaczyć symbol zjadacza ogona. Wydawało jej się, że nagle całe pomieszczenie wypełniło się nadzieją.

Abu Barzan położył kodeks na stole.

- Proszę - wskazał go zachęcająco dłonią. Kirkwood spojrział na Mię, po czym niemal w nabożnym skupieniu podszedł do stołu. Mia dołączyła do niego. Sięgnął ręką ku księdze, ale Abu Barzan spokojnie położył na niej przypominający kiełbaskę palec i uśmiechnął się pytająco do Kirkwooda. Ten podchwycił jego wzrok i skinął głową w stronę Bryana. Mia z lekkim niepokojem patrzyła, jak mężczyzna podnosi aktówkę i przekazuje ją rozpromienionemu Abu Barzanowi, który zaraz wycofał się z szacunkiem.

Miała ochotę zapytać, co się dzieje, ale jej uwagę przykuł Kirkwood, który właśnie podnosił kodeks. Przytrzymał go w górze, tak że mogła przyjrzeć mu się razem z nim.

Oprawa była w zadziwiająco dobrym stanie. Uroboros był tak starannie wytłoczony w skórze, że wyraźnie było widać każdą z jego łusek. Kirkwood spojrział na Mię z twarzą promieniującą nerwowym wyczekiwaniem, po czym ostrożnie otworzył kodeks.

Był zapisany od prawej do lewej strony, na sposób arabski. Jego przednią oprawę wypełniała od środka pusta wyklejka, co zresztą było normalne w wypadku księgi, która powsta-

ła w tych czasach. Na środku pierwszej strony widniało kilka słów zapisanych pismem naschi.

Jak tylko wzrok Kirkwooda wpił się w tekst, jego twarz wykrzywiło rozczarowanie.

- Co? - zapytała Mia.

- To inna księga - powiedział, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Nazywa się Kitab al Kajafa - przeczytał na głos. - Księga zasad.

Przez ułamek sekundy na twarzy Mii rysowało się zdumienie, że Kirkwood czyta po arabsku. Z rosnącym zainteresowaniem patrzyła, jak przewraca strony, przeglądając szybko każdą z nich.

Nie wiedziała, czego szukał, ale z pewnością tego nie znalazł.

Stała i się nie odzywała. Kirkwood wrócił do pierwszej strony i nagle jej oczy przycią-

gnęło kilka wersów tekstu, napisanego odręcznie po łacinie w jej górnym rogu, najwyraźniej wiele lat po powstaniu księgi.

- Co tu jest napisane? To po francusku? - zapytała, usiłując połączyć w całość silnie wystylizowane litery.

- Tak - potwierdził Kirkwood. Przeczytał po cichu dedykację. Mia wpatrzyła się w jego twarz.

Zarysowała się na niej głęboka zaduma, tak jakby reszta świata nagle przestała dla Kirkwooda istnieć. Zapisany na starej karcie papieru tekst musiał wstrząsnąć nim do głębi.

Czekała cierpliwie, nie chcąc mu przerywać, wreszcie jednak poczuła, że nie jest w stanie dłużej poskramiać ciekawości.

- Co tu jest napisane?

- To wiadomość - powiedział poważnym tonem Kirkwood. - Od umierającego męża do żony, którą stracił wiele lat wcześniej.

Przerwał, najwyraźniej zastanawiając się ciągle nad słowami, które właśnie przeczytał.

- Napisał tutaj - odezwał się po krótkiej chwili - „Dla mojej ukochanej Theresii, jak tę-

sknię, by cię zobaczyć, by powiedzieć ci, jak bardzo mi cię brakuje, by pławić się znowu w twoim ciepłym uścisku i by pokazać ci to, o czym wiem już teraz, że jest prawdą, że to wszystko jest prawdą, moja ukochana. Wszystko to, o czym marzyłem, jest prawdą. Widzia-

łem to na własne oczy, ale nawet wszystko to, co odkryłem przez całe me życie, błędnie przy tym, kiedy myślę, ile mnie to kosztowało, że kosztowało mnie to bycie z tobą i naszym uko-
chanym synem Miguelem. Żegnaj” - i tu podpis: „Sebastian”.

Na jego twarzy malowało się zdumienie. Przechylił głowę, tak jakby bawił się z jakąś myślą, po czym przewrócił stronę i zaczął czytać. Zauważył coś, po czym odwrócił stronę, zagłębiając się w zapisany na niej tekst. Potem znowu przewrócił kartę, a potem jeszcze raz. Z

błyszczącymi oczami przeglądał tekst, chłonąc arabskie litery, a na jego twarzy pojawiał się coraz szerszy uśmiech.

- Co? - zapytała Mia, nie mogąc od niego oderwać oczu. - Co to jest?

- To jest... To jest cudowne - powiedział, promieniejąc. - To naprawdę istnieje, Mio.

Naprawdę.

ROZDZIAŁ 58

Popatrz na przykład tutaj - powiedział zachwycony Kirkwood. - Pisz się tutaj o tym, w jaki sposób „jak nigdy dotąd zostanie wystawiona na próbę pamięć mężczyzn i kobiet nowego społeczeństwa, a autor pokazuje, jak można to opanować. A tutaj - przewrócił stronę Kirkwood - jest napisane, jak mężczyźni i kobiety nowego społeczeństwa powinni sobie w tym nowym świecie radzić ze swoim niezliczonym potomstwem. Nie tylko mężczyźni. Męż-

czyźni i kobiety. - Nie rozumiem - wyznała Mia. Kirkwood zbierał myśli.

- Ta księga to zbiór zasad, przewodnik po etyce i relacjach międzyludzkich. Wyznacza reguły, zasady

egzystencji w nowym społeczeństwie nowych ludzi, których życie radykalnie się zmieniło.

- Przez to, że żyją dłużej?

- Tak. Traktuje ona o adaptacji do nowej długowieczności. O mężczyznach i kobietach, widzisz? Mężczyznach, ale i o kobietach. - Pokręcił głową. - Po wszystkich tych latach, znalazł ją. Naprawdę ją znalazł.

Kirkwood niczego Mii nie ułatwiał.

- O czym ty mówisz?

- Sebastian Guerreiro. Poświęcił życie poszukiwaniom prawdziwej formuły i kosztowało go to wszystko - żonę, syna - ale koniec końców udało mu się. Dokonał tego. Musiał

znaleźć inną księgę, może kilka ksiąg, w jakiejś ukrytej komnacie podobnej do tej, na jaką trafiła twoja matka - i w jednej z nich była pełna formuła. Naprawdę istnieje. - Kirkwood był

rozpromieniony. - Naprawdę.

W umyśle Mii kłębił się milion pytań.

- Skąd wiesz? To znaczy, księga może przecież być dziełem teoretycznym. Skąd wiesz, czy nie jest to po prostu jakiś filozoficzny traktat opisujący takie społeczeństwo, mechanizmy, jakie rządziłyby nim, gdyby taka substancja rzeczywiście istniała?

- Ponieważ Sebastian miał już część tej formuły - powiedział Kirkwood. - Odnalazł, a właściwie powierzono mu księgę podobną do tej. Ta sama oprawa, ten sam styl... Opisywała serię eksperymentów z użyciem substancji, która wydawała się wyhamowywać proces starzenia. Doprowadziły one do opracowania formuły, eliksiru, ale księga nie była kompletna.

Ostatnia jej część zaginęła. Sebastian nie wiedział, co w niej było. Nie wiedział, czy eksperymenty zostały zwieńczone sukcesem, czy w ogóle powstała pełna formuła, taka, która rzeczywiście działała, czy może księga opisuje tylko nieudane próby jej opracowania czy udoskonalenia tak, by była skuteczna. Uważał jednak, że jest to na tyle istotne, żeby poświęcić odnalezieniu formuły całe życie.

- Ale w tej księdze jej nie ma, tak?

- Nie, ale kodeks potwierdza, że formuła w ogóle istnieje. Kaligrafia jest taka sama, jak w księdze Sebastiana.

- Widziałaś ją?

- Tak - wyznał z pewnym wahaniem Kirkwood. - Należała do tego samego bractwa, tej samej grupy. Jestem tego pewien.

Mia poczuła, że wiruje jej w głowie.

- Skąd to wszystko wiesz? Kim był ten Sebastian?

- Był portugalskim inkwizytorem. - Kirkwood spojrzał na nią, a na jego twarzy odmalowała się duma. - Był też moim przodkiem.

NA DACHU DWUPIĘTROWEGO BUDYNKU stojącego trochę poniżej domu Mahsena po drugiej stronie ulicy, Corben słuchał słów Kirkwooda przez słuchawki podłączone do wycelowanego przez Omara mikrofonu kierunkowego.

Omar spojrzał na niego. On też słuchał uważnie, a fakt, że kiwał przy tym głową, wydawał się świadczyć o tym, że doskonale wszystko rozumie.

- Twoim przodkiem? - zapytała ze wściekłością Mia. - Co tu się, dc diabła, dzieje?

Kim ty, do cholery, jesteś?

- Mio, proszę, po prostu... proszę. - Kirkwood przerwał, po czym usłyszeli, jak nagłym

tonem zadaje adresowane najwyraźniej do Abu Barzana pytanie: - Gdzie znalazłeś tę księgę?

- Nie wiem, nie... Nie jestem pewien - odpowiedział głos Irakijczyka jękając się mało przekonująco.

- Nie rób tego, dobrze? Nie po tym, co przeszliśmy, żeby się tutaj do stać. I tak już skasowałeś fortunę. Gdzie ją znalazłeś? - gwałtownie naci skął Kirkwood.

Po krótkiej chwili milczenia usłyszeli odgłos prawdopodobnie zaciągania się papierosem i Irakijczyk wreszcie zaczął mówić:

- Trafiłem na nią w jezudzkiej wiosce. Maleńkiej, w górach na północ od Al Amadijji, niedaleko granicy. Nazywa się Nerva Zhor - wyzna! z pewnym żalem.

- Były tam jakieś inne księgi opatrzone tym symbolem? - zapytał Kirkwood, wpatrując się uważnie w rozmówcę. - Widziałeś tam gdzieś jeszcze coś takiego?

- Nie wiem. Mochtar wioski - Abu Barzan użył określenia oznaczającego wójta - poprosił mnie, żebym poszedł z nim do jakiegoś ich zagraconego magazynu i zobaczył, czy nie chcę tam czegoś kupić - powiedział Abu Barzan. - Wziąłem stamtąd kilka rzeczy, jakieś stare księgi, amulety. Było im wszystko jedno, co zabieram, po prostu potrzebowali pieniędzy. Od wybuchu wojny ludzie tam są naprawdę w rozpaczliwej sytuacji i sprzedają, co mogą, żeby tylko trochę zarobić.

Kirkwood przez chwilę nic nie mówił, po czym zwrócił się do Mii:

- Jak tylko twoja matka będzie bezpieczna, musimy tam pojechać. Musimy pogadać z tym mochtarem i dowiedzieć się, skąd się wzięły te księgi.

- Dlaczego? - zapytała Mia.

- Ponieważ Sebastian zniknął gdzieś na Środkowym Wschodzie, kiedy szukał formuły
- wyjaśnił Kirkwood. Pasja w jego głosie przebiła się nawet przez zakłócenia w mikrofonie kierunkowym. - A właśnie po raz pierwszy trafiliśmy na wskazówkę, która pozwoliłaby wyja-
snić, co mu się stało.

Omar sięgnął dłonią do słuchawki i przycisnął ją palcem. Sekundę później odwrócił
się do Corbena i skinął głową, tak jakby chciał powiedzieć: „Mamy, czego chcieliśmy”.

Corben pokręcił głową, co miało oznaczać: „Jeszcze nie”, ale Omara niewiele to obeszło. Sięgnął po
radio i przyciszonym głosem rozkazał rozpocząć egzekucję.

ROZDZIAŁ 59

Zaczekaj - uparła się Mia. - Ciągłe nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Co rozumiesz przez to, że był
twoim przodkiem? Kim ty jesteś? I co tutaj tak naprawdę robisz? - To długa historia. - Kirkwood
rozejrzał się, wyraźnie niezadowolony z obecności tak szerokiego audytorium. - Wracajmy do
samolotu. Tam ci wszystko opowiem.

Ciszę za drzwiami domu zakłóciły dwa głucho tąpnięcia - ledwo słyszalne dla wszystkich oprócz
Bryana, który przesunął się bliżej wychodzącego na ulicę okna.

- Nie - wybuchła Mia. - Powiedz mi teraz. Mam już dosyć tego, że razem z Corbenem karmicie mnie
tylko tym, co uważacie...

- Cicho - przerwał im lakonicznie Bryan. Podszedł do okna. Mia i Kirkwood natychmiast zamilkli i
wpatrzyli się w Bryana, który wykorzystując ścianę jako osłonę, wyjrzał
przez firankę.

Jego kolega i człowiek Abu Barzana leżeli na ziemi. Głowa Południowoafrykańczyka leżała w kałuży
krwi. Arab broczył z klatki piersiowej. Oczy obu były nieruchomo wpatrzone w pustkę.

- Na ziemię - rozkazał Bryan, wyciągając pistolet i odrywając się od szyby. - Mamy towarzystwo.

Ostrożnie wyjrzał jeszcze raz na zewnątrz i zlustrował wzrokiem dachy po drugiej stronie ulicy.
Zauważył snajpera, który właśnie przymierzał się do strzału. Przykucnął szybko za ścianą i w tej
samej chwili kilka wytlumionych strzałów przebiło się przez okno i ze zgrzytem wbiło w podłogę,
zasypując przednią część pokoju fontanną kawałków potłuczonego szkła.

Bryan wychylił się i posłał w stronę dachu kilka kul. Za jego plecami wszyscy w pokoju rzucili się
szukać jakiejś osłony. Kirkwood złapał księgę i wepchnął Mię za stół, rozglą-

dając się pośpiesznie po pokoju i analizując różne możliwości. Abu Barzan jedną ręką chwycił
aktówkę, a drugą pistolet. Jego bratanek i właściciel domu również złapali za broń i wszyscy (trzej

zaczęli się wycofywać w stronę tylnej części pokoju.

- Jest tam jakieś drugie wyjście? - zawołał Kirkwood do Abu Barzana.

Ogromny Irakijczyk zgiął się wpół i nerwowo przeczesywał wzrokiem okna, jednocześnie wycofując się w głąb domu.

- Tak, z tyłu - powiedział drżącym głosem. - Tędy.

Bryan wystrzelił jeszcze kilka razy przez okno, opróżniając magazynek, po czym rzucił się do tyłu i dołączył do Kirkwooda i Mii.

- Ilu zauważyłeś? - zapytał Kirkwood.

- Tylko snajpera. - Bryan zręcznie wymienił w pistolecie magazynek. - Kim są ci goście?

- Nie wiem - powiedział Kirkwood. W tej samej chwili kilka strzałów roztrzaskało zamek drzwi, które następnie ustąpiły pod naporem żołnierskiego buta.

- Schowajcie się za coś - zawołał Bryan, po czym wywrócił stół, po-stawił go na boku i zanurkował za jego blat, wychylając się po chwili i szukając celu.

Pokój omiotła kanonada upiornie wytłumionych strzałów, po czym do środka wpadł

jeden z napastników, wypalając z pistoletu i odskakując od drzwi. Bryan namierzył go i posłał

w jego stronę parę kulek, które trafiły go w udo. Mężczyzna wrzasnął z bólu i upadł za sofę.

Kiedy Bryan wychylił c się, chcąc go wykończyć, do pokoju wsunął rękę kolejny strzelec.

Rozległy się dwa strzały, z których jeden trafił Australijczyka w ramię. Najemnik wykrzywił

się z bólu i zanurkował z powrotem za stół, zdrową dłonią sprawdzając krwawiącą ranę.

- Biegnijcie do tylnego wyjścia - wydusił w stronę Kirkwooda i Mii przez zaciśnięte zęby. Po jego czole spływały kropelki potu.

- Nie możemy cię tak zostawić - zaprotestował Kirkwood.

- Ruszaj, brachu - rozkazał Bryan. - Spadajcie stąd, zanim będzie za późno.

Po czym wychylił się i ostrzelał jakiś przemieszczający się przy drzwiach kształt, powalając pierwszego strzelca - tego, którego wcześniej udało mu się zranić - i zmuszając do wycofania się wchodzącego właśnie do środka drugiego napastnika.

Kirkwood odwrócił się do Mii, krzyknął: - Idziemy! - i z kodeksem pod pachą wyskoczył zza stołu.

Mia ruszyła w ślad za nim. Ile sił w nogach pobiegli w stronę drzwi z tyłu pokoju.

Przemknęli obok schodów prowadzących na górne piętra domu i dotarli do kuchni.

Ledwie przekroczyli próg zagraconego pomieszczenia, kiedy usłyszeli kolejne strzały i głucho uderzenia, i zauważyli Abu Barzana, który - już w pojedynkę - wycofywał się w stronę drzwi kuchni. Nie zda żył jeszcze do nich dotrzeć, kiedy jego wzrok napotkał Mię i w tym samym momencie coś uderzyło go w plecy, przewracając na podłogę. Irakijczyk zaczął więc się z bólu, a na jego lewym udzie wykwitła plama krwi.

Kirkwood popchnął Mię z powrotem w stronę, z której przybiegli, krzycząc:

- Wracamy. Nie tędy, szybko.

Oderwała oczy od leżącego na podłodze Irakijczyka i pędem ruszyła z powrotem w kierunku pokoju dziennego.

CORBEN STAŁ OBOK OMARA Z NAPIĘTYMI mięśniami oraz rękami ciągle związanymi nylonową linką i obserwował, jak pierwszy strzelec szturmuje dom.

Widział, jak snajper zwyczajnie zaszedł od tyłu strażników i zastrzelił ich. Omar wysłał już trzech ludzi, żeby sprawdzili dom od drugiej strony i Corben wiedział, że skutecznie odetną atakowanym drogę ucieczki. Nie mógł nic zrobić. Stał więc po prostu obok ściany i czekał na odpowiedni moment, na jakąś okazję, obserwując bezradnie, jak ludzie Omara zabierają się do roboty.

Wiedział, że mieli rozkaz nie ruszać amerykańskiego kupca - słyszał, jak Omar kilka razy to powtarza. Poczł nagle przyływ gniewu, bo pomyślał, że Mia została uwięziona w pułapce jak na strzelnicy.

O niej Omar nic nie powiedział.

Usłyszał dochodzące od tyłu domu strzały, a po chwili drzwi zostały zasypane gradem kul. Omar z zachmurzoną miną spojrzał na dom, wsłuchując się uważnie w odgłosy strzelaniny, po czym kazał snajperowi włączyć się do akcji.

Strzelec skinął głową, zajrzał do środka, wsunął przez drzwi ramię i wystrzelił kilka razy. Niski jęk bólu dobiegający z wnętrza domu kazał się Corbenowi domyślić, że drugi ochroniarz Kirkwooda został trafiony. Spojrzał na Omara. Pachołek hakima również to usłyszał. W jego oczach mordercy pojawił się psychopatyczny błysk i mężczyzna rozkazał swoim ludziom wykończyć ich wszystkich.

W POKOJU DZIENNYM BRYAN WBIŁ KOLEJNY magazynek do pistoletu i po raz ostatni wyrztał

w stronę drzwi wyjściowych. Obaj strzelcy szukali osłony. Nie mógł zbyt długo chować się za przewróconym stołem - prędzej czy później przypuściliby na niego szturm. Coraz bardziej bolało go ramię, w ranie czuł coraz większy chłód, co świadczyło o znacznej utracie krwi.

Musiał coś zrobić.

Wychylił się, zauważył jakiś ruch i ostrożnie wypalił kilka razy, po czym wyskoczył z ukrycia i schyliwszy się, pomknął ile sił w nogach w stronę drzwi, w których zniknęli pozostali. Zobaczył, że strzelec sprzed domu zagląda do środka i dobiegając już do wyjścia wystrzelił kilka razy w jego stronę.

Minał drzwi i ruszył w głąb domu. Dotarł do schodów, gdzie spotkał się z Kirkwoodem i Mią, którzy właśnie wracali z kuchni. Nie był to dobry znak - miał zamiar pobiec za nimi na tył domu.

Zobaczył, że Mia spogląda do góry i krzyknął:

- Tędy!

Przed domem rozległy się urywane rozkazy po arabsku, a strzelec - kolega rannego zbira - zerwał się i pobiegł za Bryanem. Australijczyk schował się za schody, odliczył w duchu kilka sekund, po czym wyskoczył, zwalając się napastnikowi na piersi jak kawał sadła i wgniatając go w podłogę.

W tym momencie w jego plecy wbiła się pierwsza z trzech kul.

MIA, A TUŻ ZA NIĄ KIRKWOOD, LEDWIE zdążyła pokonać kilka pierwszych stopni, kiedy poniżej w ściany wąskiego korytarza po obu stronach Bryana wbiła się krótka seria kul. Spojrzała w dół i zobaczyła, że Australijczyk kryje się i odpowiada ogniem, a po kilku sekundach napastnik, który przybiegł za nimi z kuchni, strzela mu w plecy.

Na widok upadającego na podłogę, rozrywanego kulami ciała mężczyzny na chwilę sparaliżowało ją przerażenie, szybko jednak się opanowała i zmusiła nogi do ucieczki. Jak w ukropie minęła resztę wąskich stopni. Kirkwood pobiegł za nią i wkrótce dotarli na pierwsze piętro. Schody prowadziły dalej w górę.

- Do góry - krzyknął Kirkwood, ale ona już się wspinała, pchana instynktem samoza-chowawczym, który w ostatnim czasie pracował na pełnych obrotach. Przebiegła przez schody i dotarła do drewnianej poziomej kłapy zaopatrzonej w starą zasuwę, która litościwie nie była zamknięta. Pchnęła deski, otworzyła klapę i jednym skokiem znalazła się na górze - na płaskim dachu domu. Kirkwood wspiał się za nią, po czym zatrzasnął klapę, która jednak nie miała od zewnątrz zamka. Wokół nie było też nic, czym dałoby się ją zablokować.

Kirkwood zlustrował wzrokiem dach, wypatrzył jakiś zardzewiały pręt zbrojeniowy i wepchnął go w zasuwę kłapy. Dawało im to trochę czasu, choć niezbyt dużo.

Mia rozejrzała się, przeczesując pośpiesznie wzrokiem niewielką, wybieloną przestrzeń i czekając na cud. Na środku, przy klapie, stała wielka klatka na gołębie. Obeszła ją.

Nerwy miała w strzępach, a jej umysł rozpaczliwie szukał wyjścia z pułapki. Było to jednak niemożliwe: wolno stojący budynek ze wszystkich stron otaczały ulice i dróżki.

Nie mieli dokąd uciec.

ROZDZIAŁ 60

Corben obserwował, jak Omar z wyciągniętym pistoletem lustruje wzrokiem przednią część pokoju dziennego. Arab pociągnął go za sobą jak psa na smyczy i ruszył w głąb domu-

.Zauważył przy drzwiach rannego strzelca i podszedł do niego szybkim krokiem. Wił się na podłodze, przytulony do ściany i nie wyglądał za dobrze. U jego stóp leżało ciało drugiego strzelca. Omar schował się za otwarte drzwi i krzyknął w stronę korytarza, pytając, co się dzieje. Jakiś głos odpowiedział mu, że Rudwaan nie żyje - jeden z dwóch strzelców, których Omar wysłał na tyły budynku, trzeci z zabójców lub jeden z kierowców - ale że drugi najemnik został zastrzelony i że Amerykanin z dziewczyną pobiegli na górę.

Omar obrzucił Corbena wściekłym wzrokiem, po czym złapał go za kark i popchnął w głąb domu. Spotkali się z jednym ze strzelców, którzy wchodzili od tyłu. Przy schodach leża-

ło powykręcane, skapanie w krwi ciało najemnika Kirkwooda.

Omar spojrzał do góry, zastanawiał się przez ułamek sekundy, i wreszcie odwrócił się do Corbena. Podniósł pistolet i przyłożył jego lufę poniżej policzka więźnia. Wbił oczy w Corbena. Każda blizna na jego ospowatej twarzy wydawała się ociekać furia.

Corben nawet nie drgnął. Albo miał tu umrzeć, albo pojawiła się przed nim szansa.

Omar warknął na swojego człowieka, każąc mu zostać z Corbenem i go pilnować, po czym ruszył po schodach za Kirkwoodem i Mią.

KIRKWOOD I MI A KRAŻYLI PO DACHU, szukając jakiejś drogi ucieczki przerzucając wzrok od biegnącego wokół niego niskiego murku do kłap i z powrotem.

Obeszli dach i znaleźli się w punkcie wyjścia.

Wiedzieli, że wkrótce pojawią się strzelcy.

Musieli coś zrobić.

Kirkwood ruszył w stronę krawędzi dachu, za którą rozpościerała się pusta przestrzeń oddzielająca dom od sąsiedniego budynku. Zawołał Mię. Podeszli tam i stanęli przy samym brzegu. Dwa metry dalej zaczynał się następny dach, przykrywający bazar, długi i pełen róż-

nych wypukłości, które mogły posłużyć im za osłonę.

Oddzielała ich jednak od niego przepaść, wisząca nad wąskim, pokrytym brukiem przejściem.

- Doskoczysz? - zapytał Kirkwood. W jego głosie czaiła się rozpacz, co kilka sekund spoglądał w stronę kłapy, spodziewając się, że w każdej chwili może się otworzyć.

- Zwariowałeś? - odkrzyknęła Mia.

- Potrafisz - nie ustępował.

- Nie doskoczę tam.

Nagle rozbrzmiało głośne walenie w drewnianą klapę. Kirkwood przeszył wzrokiem Mię.

- Doskoczysz - zawołał z silnym przekonaniem. - Musisz.

Klapą wstrząsnął kolejny łomot. Zaskrzypiała i otworzyła się na milimetr, a jej zawiasy zdrząły. Wiedzieli, że długo już nie wytrzyma. Mia spojrzała na dach bazaru, a potem znowu na Kirkwooda.

- Skacz, rzucę ci księgę. Nie czekaj na mnie. Biegnij. Musisz dotrzeć do jednej z naszych ambasad i koniecznie porozmawiać z ambasadorem - tylko z ambasadorem, rozumiesz?

Wydawało się, że Mia chce go przebić wzrokiem. W jej umyśle kłębiły się tysiące pytań i sprzecznych emocji.

Od strony klapy znowu rozległ się łomot.

- Dlaczego to robisz? - zapytała. - Kim jesteś? Dlaczego mam ci zaufać?

Pytania wbijały się w jego serce jak włócznie. Poczuł, że w tym samym momencie opanowuje je dziki żal i wściekła furia.

- Ponieważ byłem z twoją matką w tej komnacie w Al-Hillah - powiedział.

Na twarzy Mii odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

- Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa jestem twoim ojcem - dodał rozpaczliwym tonem, czując się tak, jak gdyby coś w tym momencie wysysało z jego ciała duszę.

Rozległ się kolejny głuchy łoskot i tym razem klapa ustąpiła. Kirkwood i Mia odwró-

cili się jednocześnie w jej stronę i zobaczyli, że z dziury wyskakuje ospowaty i wdrapuje się na dach.

- Biegnij, teraz! - krzyknął Kirkwood.

Mia spojrzała w dół na ciemny pasaż, podniosła wzrok na mężczyznę, który właśnie powiedział, że jest jej ojcem i skinęła głową. Była zbyt otępiała, żeby cokolwiek powiedzieć, choć jej umysł zalała cała lawina pytań. Cofnęła się więc o kilka kroków, wzięła rozbieg i rzuciła się w objęcia powietrza.

Udręka trwała krócej niż oddech: jej nogi przez chwilę szerokimi okrężnymi ruchami młóciły powietrze, aż wreszcie Mia upadła ciężko na dach bazaru, turlając się po jego zakurzonej powierzchni. Wyprostowała się i zerwała na nogi. Od twardego lądowania dzwoniły jej zęby i kręciło się w głowie. Rzuciła się pędem do murku.

Kirkwood stał w miejscu. Kiedy zobaczył, że Mia wyprostowała się i że nic jej nie jest, na jego

ustach pojawił się szeroki uśmiech ulgi.

Nagle za Kirkwoodem przesunął się jakiś cień. Był to ten sam ospowaty mężczyzna, którego każde pojawienie się w Bejrucie sprawiało, że wokół rozpętywało się piekło. W dłoni trzymał pistolet.

- Za tobą! - krzyknęła Mia.

Kirkwood obejrzał się szybko, odwrócił z powrotem do niej, opuścił oczy, po raz ostatni spojrzął na trzymaną w dłoniach księgę, po czym jednym płynnym ruchem rzucił ją Mii.

Bezcenny starożytny skarb zawirował w powietrzu, obracając się wokół własnej osi jak jakiś dysk i w tym samym momencie, w którym zabójca dobiegł do murku, wylądował w jej rękach. Widziała, jak ospowaty podnosi w jej stronę pistolet, jak z jego lufy wydobywa się śmierć i pędzi, by pozbawić ją życia. Nagle jednak mężczyzna, którego znała jako Billa Kirkwooda, rzucił się z boku na zabójcę, powalając go i podbijając mu rękę, dzięki czemu kula poszybowała bez celu w powietrze.

- Biegnij - krzyknął Kirkwood, walcząc z uzbrojonym zabójcą. Wszystko w niej, każda emocja, każdy instynkt wydawał się przyklejać jej stopy do podłoża, ale zrobiła, co kazał.

W CIEMNOŚCIACH WNEKI POD SCHODAMI Corben obserwował pilnującego go nerwowego strzelca. Obaj wsłuchiwali się w powtarzające się, dobiegające z góry odgłosy uderzeń. Wyglądało na to, że Mia i Kirkwood zamknęli się w jakimś pokoju. I Omar wkrótce się do niego dostanie, Corben nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Za chwilę będzie po wszystkim. Jeśli miał zamiar czegoś spróbować, musiał to zrobić teraz.

Pilnował go tylko jeden człowiek.

Nerwowy palant w dodatku.

Czas rozkręcić imprezę.

Schody blokował martwy ochroniarz. Dalej w korytarzu na podłodze leżało ciało jednego ze strzelców Omara. Obok jego ramienia leżało coś bardzo interesującego.

Corben podchwycił nerwowe spojrzenie strażnika, popatrzył na bok na ciało człowieka Omara, po czym z udawanym zdumieniem przeniósł wzrok na uzbrojonego mężczyznę.

- Księga. Jest tam, popatrz.

Wskazał zakrwawioną podłogę. Podeszedł krok w stronę martwego strzelca, nie odrywając oczu od strażnika, sprawdzając jego reakcję.

Strzelec krzyknął na niego, kładąc mu się odsunąć, ale Corben patrzył ciągle w dół i nadal posuwał się naprzód.

- To księga, kretynie, nie rozumiesz? Al kitab - powiedział głośniej. Zbliżył się do celu jeszcze o krok, podnosząc w bezradnym geście związane ręce, po czym wycelował je w dół.

- Al kitab - powtórzył. - To ją chce znaleźć wasz *mu'allim*, pieprzony kretynie.

Strzelec znowu krzyknął i uniósł broń, rzucając nerwowo oczami w stronę schodów w oczekiwaniu na nadejście Omara, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Corben miał już połowę pracy za sobą - był coraz bliżej i nie miał zamiaru się wycofywać. Sięgnął znowu rękami w dół i zawołał:

- Księga, w porządku? Al kitab, rozumiesz?

Mówiąc, ustawił się plecami do mężczyzny, po czym sięgnął palcami po zaopatrzoną w tłumik broń martwego mężczyzny, odwrócił się szybko w stronę wpatrującego się w niego rozszerzonymi oczami Araba i pociągnął za spust, modląc się do Boga, w którego nie wierzył, żeby magazynek nie był pusty i natychmiast doświadczając cudownego nawrócenia, bo okazało się, że w pierś mężczyzny wbiło się kilka kul, które rzuciły nim do tyłu, sprawiając, że jego zamienione w krwawą masę ciało upadło na podłogę.

NA DACHU OMAR ODEPCHNĄŁ KIRKWOODA brutalnym uderzeniem głowy i zerwał się na nogi. Przytrzymał go na dystans wycelowanym w niego pistoletem i rozejrzał się po dachu bazaru.

Po Mii i księdze nie było już śladu.

Złapał Kirkwooda za kark i zmusił do powstania. Rzucił jeszcze raz okiem na dach, po czym poddał się i krzyknął na Kirkwooda, żeby się ruszał. Przecisnął go przez klapę i pogonił

schodami w dół, szturchając co chwilę w plecy pistoletem.

Był wściekły.

Stracił księgę - i to w momencie, kiedy była tuż obok, w zasięgu jego rąk. Miał jednak to, czego hakim pragnął nawet bardziej: kupca. Całego i zdrowego. Gotowego do przesłuchania. Nie był to jednak sukces, w żadnym razie. Oprócz księgi stracił kilku ludzi.

Musiał szybko wydostać się z tego miejsca. Bez wątpienia za chwilę zjawi się zaalarmowana strzelaniną turecka policja.

Podążył za Kirkwoodem w dół. Kiedy kończyły się schody, zauważył plecy Corbena.

Warknął wściekle na mężczyznę, który miał pilnować Amerykanina.

Corben odwrócił się do niego powoli, niegroźnie, z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu.

W ciemnościach zakurzonego korytarza Omar nie zauważył w jego dłoni pistoletu.

Nie widział nawet, że z jego lufy wydobywa się dziewięćmilimetrowa kula, której pokonanie drogi prosto do jego czoła zajęło zaledwie ułamek sekundy.

ROZDZIAŁ 61

Kirkwood patrzył, jak Omar osuwa się obok niego na ziemię, zatacza kilka kroków, po czym pada głową w dół, zwijając się u stóp Corbena w poszarpany, zbryzgany krwią kłę-

bek. Corben spojrzał na schody. - Gdzie jest Mia? - zapytał natarczywym tonem.

Kirkwood spojrzał mu w oczy. Ciągle rozmyślając o tym piekle, jakie rozpętało się kilka minut wcześniej. Zabójcy byli Arabami, pewnie więc wysłał ich hakim - tyle że Corben był z nimi. Zdaniem Kirkwooda coś było nie tak.

- Co ty tu robisz?

Wydawało się, że Corben również zbiera myśli.

- Porwali mnie wczoraj w nocy.

- Skąd wiedzieli o naszym spotkaniu? - nie ustępował Kirkwood. - Od ciebie? Miałeś na oku Abu Barzana?

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał oskarżycielski ton. Co zresztą nie speszyło Corbena.

- Nie mamy teraz na to czasu - zbył otwarcie Kirkwooda. - Gdzie jest księga?

- Mia ją ma. I wierz mi, jest już daleko stąd. - Kirkwood obserwował reakcję Corbena.

- Trudno zresztą ją winić, po tym, jak nasłuchiwała się tylu bzdur o tym, że uwolnienie jej matki jest dla ciebie najważniejsze.

Corben spojrzał na schody, tak jakby spodziewał się tam zobaczyć Mię, po czym podchwycił i wytrzymał wzrok Kirkwooda.

- Oczywiście, tobie nie chodziło o nic innego - odgryzł się zaprawionym cynizmem głosem. - Ty nie znalazłeś się tutaj z żadnego innego powodu, co? I wcale nie miałeś zamiaru odnaleźć formuły, której poszukiwał twój przodek.

Jego uwaga zaskoczyła Kirkwooda. Corben nie mógł o tym wiedzieć, chyba że podsłuchiwał. Co oznaczało, że nie znalazł się w tym miejscu, jako więzień. Pracował już z hakimem - tyle że coś najwyraźniej pokrzyżowało mu plany, zważywszy, że właśnie zabił męż-

czynę, który, zdaje się, był hersztem bandy zbirów szaleńca.

Corben spojrzał na wyjściowe drzwi, po czym nachylił się nad ciałem Omara, wyjął z jednej z jego kieszeni nóż i uwolnił sobie ręce. Roztarł nadgarstki, żeby napłynęła do nich z powrotem krew, po czym odebrał martwemu Arabowi swój telefon komórkowy, szybko sprawdzając stan jego baterii. Była w pełni naładowana. Wyciągnął ją i odłożył, po czym podszedł do ciała Bryana, wziął jego pistolet maszynowy, przewiesił go sobie przez ramię i przeszukał kieszenie najemnika. Znalazł kilka

magazynków i zabrał je, podobnie jak kluczyki do land cruisera, których to właśnie szukał.

Kirkwood zauważył, że agent spogląda w stronę tylnej części domu, tak jakby się nad czymś zastanawiał.

- Idziemy - rozkazał Kirkwoodowi, przekraczając ciało Omara i ruszając w głąb budynku.

- Dokąd idziemy? - zapytał Kirkwood. Corben nie odpowiedział.

Kirkwood wszedł za nim do kuchni. Corben sprawdził szybko ścieżkę biegnącą za domem, po czym się wycofał. W jednym z kątów pomieszczenia leżał twarzą do podłogi Abu Barzan. Otaczała go kałuża krwi. Obok jego stóp stała walizeczka.

Corben podniósł ją. Odwrócił się. Kirkwood stał w miejscu, twarzą do niego. Spojrzał zdumionym wzrokiem na agenta, po czym wyciągnął rękę w stronę aktówki.

Corben nieznacznie pokręcił głową.

- Lepiej ją zatrzymam. Upewnię się, że bezpiecznie wróci do ONZ. Nie chcielibyśmy, żeby się gdzieś zapodziała, prawda?

Przez jego ostre rysy twarzy przemknął słaby szyderczy uśmiech.

Kirkwood przez chwilę wpatrywał się w agenta, po czym z rezygnacją opuścił wzrok.

Rękawiczki zostały odłożone na bok. Nie było już po co udawać. Spojrzał w dół i jego oczy zatrzymały się na broni jednego z Irakijczyków, pistolecie leżącym obok niego na podłodze.

Kusząco blisko.

Corben również go zauważył.

Kirkwood napiął mięśnie. Zaczęli się mierzyć wzrokiem z Corbenem. Wydawało się, że chcą nim sobie nawzajem przebić twarze i sięgną, w głąb myśli.

- To niezbyt dobry pomysł - ostrzegł Corben.

- Może ich tam być jeszcze kilku - zablefował Kirkwood. - Przyda się drugi strzelec.

Corben lekceważąco pokręcił głową.

- Już się z nich rozliczyliśmy. - Machnął pistoletem w kierunku tylnej części domu, wskazując Kirkwoodowi drogę wyjścia. - Idziemy - rozkazał.

MIA PRZYKUCNEŁA ZA MURKIEM NA DACHU bazaru. Palcami kurczowo ścisnęła kodeks.

Co chwilę spoglądała nerwowo na dom, z którego udało jej się uciec, wydawało się jednak, że nikt

nie wychodzi przez klapę w jego dachu i nie próbuje jej ścigać. Co zresztą wcale jej nie uspokoiło. Serce przez cały czas łomotało jej w piersiach jak oszalałe. Próbowa-

ła poukładać w jakąś całość to, co się właśnie wydarzyło i - może nawet jeszcze bardziej uparczywie - to, co powiedział jej Kirkwood. Jeśli rzeczywiście tak się nazywał.

„Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa jestem twoim ojcem” - powiedział.

To nie miało sensu.

Nie mógł być z Evelyn w Al-Hillah. To było trzydzieści lat temu, a on nie wyglądał nawet na czterdziestkę.

Nie była jeszcze gotowa przyjąć jedyne go możliwego wyjaśnienia.

Poza tym powiedział przecież, że jego przodek szukał kompletnej formuły eliksiru. Z

tego wniosek, że była ona niekompletna. A skoro była niekompletna, to nie działała i nie mógł jej zastosować.

Wyparła z umysłu tego rodzaju myśli. To było niemożliwe. Nie mogło być. Kłamał, musiał kłamać. Co było bezpieczną i pocieszającą konkluzją, i należało się jej uczepić, tyle że jakoś nie była w stanie. Kiedy wypowiadał te słowa, patrzyła mu w oczy, podobnie jak wtedy, gdy opowiadał o swoim przodku Sebastianie, o kodeksie, o tym, kim był. Emanowała z niego szczerłość. To samo wrażenie odniosła, kiedy rozmawiali w samolocie i jeszcze wcześniej, w barze na dachu hotelu. Nie kłamał. Z jakiegoś powodu, z powodu, którego nie była w stanie sobie wyjaśnić, była tego pewna.

Co oznaczało, że coś, co do tej pory uważała za niemożliwe, musiało zostać poddane powtórnej ocenie, zakwestionowane i - jeśli instynkt jej nie mylił - jeszcze raz sklasyfikowane, tym razem bez przedrostka „nie”. I dotyczyło to również stwierdzenia, że niemożliwe jest, by był jej ojcem.

Usłyszała poniżej jakiś ruch i wyrzała przez krawędź murku. Zamarła, widząc Kirkwooda, który szedł wąską, prowadzącą obok domu dróżką. Za nim podążał jakiś inny męż-

czynna. Wychyliła się mocniej, by lepiej ich widzieć. Jej serce prawie że się zatrzymało: rozpoznała Corbena.

„Co on tu robi?”

Nie była pewna, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie, bo jego widok napełnił ją z powrotem otuchą. Corbenowi udało się wyrwać Kirkwooda z rąk ludzi hakima i obaj byli bezpieczni.

Miała już zerwać się i dać im o sobie znać, kiedy nagle coś rzuciło jej się w oczy.

Obaj mężczyźni wchodzili właśnie na ulicę, mijając martwe ciała człowieka Abu Barzana i drugiego ochroniarza Kirkwooda. Corben szedł za Kirkwoodem. Przez ramię miał przewieszony pistolet

maszynowy, a w rękę trzymał aktówkę. W długiej dłoni również coś ścisnął -
pistolet.

Coś w ich ruchach się nie zgadzało. Było między nimi jakieś napięcie, było to wyraź-
nie widać w sposobie, w jaki Kirkwood stąpał ostrożnie przed Corbenem.

Wyglądało to tak, jakby był jego więźniem.

CORBEN SZEDŁ ZA KIRKWOODEM, KIERUJĄC GO w stronę land cruisera. W jednej dłoni
ścisnął aktówkę, w drugiej pistolet z tłumikiem.

Podeszli do półterenówki i Corben spokojnie zlustrował wzrokiem okoliczne domy.

Zauważył małego chłopca wychylającego się przez otwarte okno i wciąganego po chwili z powrotem
do wnętrza domu przez zalęknioną matkę. Wyczuwał ruch również w innych oknach. Musieli się
spieszyć. Turecka policja prawdopodobnie była już w drodze - w tym regionie siły porządkowe
przez cały czas były w pogotowiu, zwłaszcza że znajdowali się w ro-dzinnych stronach kurdyjskich
bojówek separatystycznej Partii Pracujących Kurdystanu, któ-

ra stwarzała na tym terenie bezustanne zagrożenie - a Corben nie miał ochoty tłumaczyć się ani przed
nimi, ani przed kimkolwiek innym, przynajmniej nie teraz.

Doszli do land cruisera. Przez otwarte okna Corben zauważył, że drzwi samochodu nie są zamknięte.

- Wsiadaj - rozkazał Corben ścisłym, ochryplym głosem. - I nie rób niczego głupiego.

Kirkwood usiadł na fotelu pasażera, a Corben wrzucił to tyłu walizeczkę i pistolet maszynowy.
Spojrzał w górę i zaczął przeczesywać wzrokiem dachy. Nigdzie jej nie widział, ale był pewien, że
ich obserwuje.

- Mia! - zawołał w niebo. - Możesz wyjść. Już jest bezpiecznie. Musimy się zbierać.

NA ULICY ROZBRZMIAŁ GŁOS CORBENA, ale Mia nadal chowała się za murkiem.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, to żeby ją tutaj zostawili, samą, w tym zapomnianym przez Boga
zakątku świata, w otoczeniu martwych ciał. Analogia z Midnight Express coraz bardziej rzucała się
w oczy. Pragnęła uwierzyć, że Corben jest po jej stronie, że znalazł się tam, żeby ich ocalić, że ciągle
próbuje uwolnić jej matkę. Pewne było, że zabił ludzi hakima. Co liczyło mu się na plus. I co z tego,
jeżeli wiedział o eksperymentach hakima? I co z tego, że ją okłamał, tłumacząc, o co w tym
wszystkim chodzi? Wielkie rzeczy. Przecież ona „nie musiała wiedzieć”. I wcale nie oznaczało to, że
nie próbował również uwolnić Evelyn.

- Mia - zawołał ponownie Corben. - Musimy jechać. Chodź! Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że
Corben i Kirkwood odjeżdżają bez niej. Przerazała ją już sama myśl o tym. Nie mogła tutaj zostać.

Poskromiła sprzeczne emocje i czując, że żołądek skręca jej paniczny strach, że popełnia właśnie błąd życia, zaczęła wstawać.

KIRKWOOD SIEDZIAŁ W LAND CRUISERZE. Wsłuchiwał się w wołanie Corbena i czuł, że wzbierający niepokój.

Musiał coś zrobić. Był pewien, że Corben nie będzie miał zamiaru trzymać Mii przy sobie, kiedy dostanie w swoje łapska księgę. Wiedziała zbyt dużo.

Musiał ją ostrzec.

Sięgnął ręką w stronę klamki, otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu.

- Mia, nie wychodź - zawołał, wpatrując się w okoliczne dachy. - Nie zbliżaj się!

Corben rzucił się za nim i kilka metrów od land cruisera powalił go na ziemię. Złapał

Kirkwooda za kołnierz i przycisnął mu do twarzy pistolet. Kirkwood skrzywił się i spojrzał na niego wyzywającym wzrokiem.

- I co zrobisz, zastrzelisz mnie?

Corben trzymał go przez chwilę, dysząc z gniewu i frustracji.

- Wstawaj - rozkazał, po czym pociągnął go w górę i popchnął w kierunku land cruisera. Zatrzymał się przy samochodzie, po raz ostatni spojrzał na dachy, po czym wepchnął Kirkwooda do środka i wsiadł za nim.

MIA PATRZYŁA, JAK KIRKWOOD wyskakuje z samochodu i biegnie ulicą. Wstrzymała oddech. Całe jej ciało zeszywniało: Corben dogonił Kirkwooda, powalił go i wepchnął z powrotem do samochodu.

Schowała się znowu za murkiem i patrzyła, jak Corben wsiada do półterenówki. Serce zamarło jej, gdy usłyszała odgłos zapalnego silnika i kiedy samochód ruszał z piskiem opon i zniknął za rogami.

Wstała. Z jej twarzy odpłynęła cała krew. Czowała mdłości. Spojrzała na pogrążoną w ciszy ulicę. Land cruisera dawno już tam nie było. Zostawił za sobą jedynie smugę kurzu i dwa martwe ciała. Z sąsiednich domów i z bazaru ostrożnie zaczęli się wyłaniać oszołomieni i zaciekawieni ludzie.

Spojrzała na trzymaną w rękach starą księgę i zauważyła, że wbiła głęboko paznokcie w jej skórzaną oprawę. Miała ochotę rozedrzeć przeklęty kodeks na strzępy i wyć ze wściekłości, ale zamiast tego rozejrzała się tylko i zauważyła coś, co wyglądało jak okap klatki schodowej. Ruszyła w jego stronę.

ROZDZIAŁ 62

Mia wymknęła się chyłkiem przez boczne wyjście z bazaru i znalazła się na wybrukowanej drodze,

na której kilka minut wcześniej pojawili się Corben i Kirkwood. Mieszkańcy musieli się już zorientować, że zagrożenie minęło, i zaczęli się kłębić na ulicy przed domem, postanowiła więc wybrać inną drogę i ruszyła z powrotem w stronę dróżki. Kiedy zniknęła za rogiem, zauważyła, że z domu, potykając się, wyłania się jakaś ciężka i niezdarna postać.

Rozpoznała Abu Barzana. Ogromny Irakijczyk posuwał się powoli krok za krokiem. Był pochylony, jedną rękę przyciskał do uda, a jego spodnie były przesiąknięte krwią. Na dróżce le-

żało jeszcze kilka martwych ciał. Abu Barzan zatrzymał się przy jednym z nich i przykucnął, przesuwając dłonią po martwej twarzy mężczyzny. Mia domyśliła się, że znalazł ciało swojego bratanka.

Podeszła do niego. Odwrócił się do niej, dysząc ciężko i z wyraźnym wysiłkiem. Jego na wpół zamknięte oczy były obolałe, a obwisła twarz błyszczała od potu.

- Przykro mi - powiedziała cicho, starając się trzymać wzrok z daleka od leżącego u jej stóp martwego mężczyzny.

Abu Barzan beznamiętnie skinął głową, choć na jego twarzy malowały się gniew i sprzeciw.

- Pokaż - powiedziała, wskazując jego ranę.

Nie zareagował. Sięgnęła ku niemu z wahaniem ręką i rozerwała spodnie, odsłaniając ranę. Na tłustym udzie wyraźnie widać było wlot i wylot pocisku. Krwawienie nie było zbyt obfite, a mężczyzna mógł ciągle stać i oddychać, Mia doszła więc do wniosku, że prawdopodobnie ani kula, ani kawałki kości nie uszkodziły tętnicy udowej. Zmniejszyło to znacznie ryzyko wykrwawienia się na śmierć, ale ranę trzeba było szybko opatrzyć, by uniknąć dalszej utraty krwi oraz infekcji.

- Kula chyba nie uszkodziła kości - stwierdziła - ale ranę trzeba oczyścić.

W oddali dały się słyszeć słabe, wysokie tony syreny. Abu Barzan spojrzał na Mię z niepokojem.

- Muszę iść - burknął i kuśtykając, ruszył powoli przed siebie.

- Zaczekaj. - Mia podążyła za nim, przekraczając martwego bandytę. - Powinieneś pójść do szpitala.

Abu Barzan machnął tylko ręką.

- Do szpitala? Zwariowałaś? Jestem pół-Kurdem - wyrzucił z siebie - Jak mam to wszystko według ciebie wyjaśnić?

Mia poważnie skinęła głową.

- Nie jestem pewna, czy sama wiem, jak im to wyjaśnię.

Abu Barzan spoglądał na nią przez chwilę, po czym powiedział:

- Chodź.

Wsunęła mu rękę pod ramię i podtrzymując go, żeby nie obciążał zbyt mocno rannej nogi, zanurzyła się razem z nim w jedną z ciemnych bocznych uliczek Starego Miasta.

CORBEN CO CHWILĘ SPOGLĄDAŁ W LUSTERKO. Wyjechali z miasta i skierowali się na południe, w stronę Mardin.

Miał do podjęcia trudną decyzję, im więcej jednak o tym myślał, tym bardziej był

przekonany, że mu się uda. Miał Kirkwooda, który odpowiednio umotywowany, mógł odsłonić rąbka tajemnicy, a Corben, cóż, był ekspertem w dziedzinie inspirowania opornych. Miał

też otwarte okienko możliwości, dzięki któremu mógł wytłumaczyć swoje niegrzeczne zachowanie: został porwany w czasie snu, czego dowodziły drzwi jego mieszkania. Mógł powiedzieć, że był więźniem hakima. Do wszystkiego, co robił, został zmuszony - przystawiono mu lufę do głowy. I tyle.

Problemem był Kirkwood.

Nie mógł go po prostu wypuścić. Gość za dużo wiedział. Mia - ją ja koś da się wyma-newrować. Z Kirkwoodem rzecz była bardziej skomplikowana.

- Naprawdę pracujesz dla ONZ? - zapytał go. Pistolet trzymał wciąż na kolanach.

- O ile wiem, owszem - odpowiedział beznamiętnym głosem Kirkwood, wpatrując się obojętnie przed siebie.

Corben skinął głową. Był pod wrażeniem.

- Sześćset tysięcy dolarów. Niezła wymiana. - Zaczekał na reakcję, ale Kirkwood się nie odezwał. -
Ilu was tam jest?

Wyczuł u Kirkwooda pewne zmieszanie.

- O czym ty mówisz?

- Ilu was tego szuka? To znaczy, wiem o tobie, o Tomie Websterze zgadza się? - pró-

bował dociekać Corben. - Potrafisz z miejsca wyskoczyć z walizką pełną gotówki. Coś mi się wydaje, że dysponujecie niezłymi środkami.

Kirkwood zignorował jego uwagę.

- Dokąd jedziemy?

- Obaj szukamy tego samego. Powiedzmy, że spróbujemy to doprowadzić do końca. -

Corben przerwał i spojrzał na Kirkwooda. - Po za tym brakuje mi gór. Czystego powietrza.

To dobre dla płuc - dodał z kamienną twarzą.

Od irackiej granicy dzieliło ich kilka godzin jazdy. Corben zastanawiał się, czy zadzwonić do centrali i poinformować szefa placówki, że został porwany, udało mu się uciec i że teraz śledzi irackich przemytników, którzy stali za porwaniem. Mógł go poprosić, żeby zadzwonił gdzie trzeba i załatwił im swobodny przejazd przez granicę. Postanowił jednak tego nie robić. Wolał jeszcze przez chwilę trzymać wsparcie ukryte w cieniu. Chociaż nie miał

przy sobie paszportu ani karty ID, z tyłu jego samochodu leżały o wiele skuteczniejsze dokumenty podróży: walizka pełna dolarów. Wiedział, że na tych nieszczęsnych ziemiach kilka takich banknotów może otworzyć większość drzwi. Z miejsca, w którym się znajdowali, nie było daleko do Al Amadijji. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, dotrą do wioski, o której mówił

Abu Barzan, jeszcze przed zmrokiem.

- I co z nią zrobisz, jeśli rzeczywiście ją tam znajdziesz? - zapytał otwarcie Kirkwood.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że nasz rząd choćby myśli o tym, by sobie z czymś takim poradzić. Status quo i tak dalej. - Odwrócił się do Corbena. - Ponieważ taki jest plan, prawda? Zlikwidować to - to oraz wszystkich, którzy o tym wiedzą?

Corben uśmiechnął się i zachichotał cicho.

- Prawdopodobnie. Ale to nie mój plan. Kirkwood uniósł brew.

- Słucham?

Corben spojrzał na niego. Kąciki jego ust wykrzywiły się w cierpkim uśmiechu.

- Powiedzmy, że mam bardziej biznesowe podejście do życia. - Przerwał. - Pytanie tylko, co wy planujecie.

- Lepszy świat dla wszystkich ludzi - odpowiedział Kirkwood, wyraźnie poruszony nonszalancką postawą Corbena. - Podkreślam: wszystkich.

Corben wzruszył ramionami.

- To jesteśmy po tej samej stronie.

- Tyle że różni nas pewien drobny, ale irytujący szczegół. Ja nie mam zamiaru nikogo z powodu tego zabijać.

- Może jeszcze nie stanąłeś przed odpowiednio trudnym wyborem?

Kirkwood pozwolił, żeby pytanie wisiało przez chwilę w powietrzu.

- A co, jeśli stanąłem?

Sugestia ta zaintrygowała Corbena, ale nie dał niczego po sobie poznać.

- W takim razie wychodzi na to, że to mnie bardziej zależy na ulepszeniu naszego łoża padółu niż tobie
- odpowiedział nonszalancko.

- A jak się do tego ma Evelyn Bishop? Skutki uboczne?

- Niekoniecznie. - Corben spojrzał na niego. Właśnie w ręce wpadło mu narzędzie mo-tywacyjne. -
Pomóż mi to załatwić, a nic nie sprawi mi większej przyjemności niż dorwanie hakima i uwolnienie
Evelyn.

Postanowił szturchnąć Kirkwooda trochę mocniej w odpowiednim kierunku.

- Tak przy okazji, kiedy ty i Webster mieliście zamiar powiedzieć Mii, że jej tatuś cią-
gle żyje?

KIRKWOOD ZESZTYWNIĄŁ, SŁYSZĄC ŻARTOBLIWY ton Corbena. Pocieszył się, że agent
przynajmniej nie zna całej prawdy.

Przynajmniej nie wie, że to on jest Tomem Websterem.

Wrócił myślami do tego, co Corben najprawdopodobniej podsłuchiwał w Dijarbakirze i powtórzył w
głowie całą rozmowę. Corben zakładał, że formuła nie działała, nie dla każdego.

To dlatego nie połączył faktów.

„I niech tak zostanie” - pomyślał.

Dźwięk imienia, pod którym przedstawił się Evelyn, sprawiło, że jego myśli znowu popłynęły ku
niej. Dręczyło go poczucie winy. Gdyby wtedy w Al-Hillah, powiedział jej prawdę, może byłaby
bardziej ostrożna. Wic działałoby, że kręcą się wokół tego niebezpieczni ludzie. Zawsze tak było.
Pojawiali się znikąd w momencie, gdy tylko coś zwęszyli. Taki już jest ten świat. Od setek lat.

Evelyn nie zostałaby porwana.

A on wiedziałby, że ma córkę. Córkę, którą mógłby wychowywać jako ojciec. Udało-by mu się.
Znalazłby sposób.

Przypomniał sobie wyraz oczu Mii, kiedy mówił jej prawdę, i myśl o tym niemal wy-patroszyła go
od środka - wydawało się, że wyrwała mu wnętrzności, w miejscu których została w nim tylko
głęboka czarna dziura.

„Przynajmniej - pomyślał, dodając sobie otuchy - przynajmniej ona jest teraz bezpieczna”

MIA SIEDZIAŁA NA CHYBOTLIWYM KRZEŚLE w pokoju całkowicie wypełnionym dymem. Wypiła łyk wody ze szklanki. Żyłasty stary mężczyzna o poplamionych krwią rękach kończył

właśnie opatrywać Abu Barzanowi ranę.

Handlarz antyków poprowadził ją bocznymi uliczkami starożytnego miasta do domu należącego do swoich kolejnych znajomych. Mimo wybuchających od czasu do czasu brato-bójczych walk, wszystkich Kurdów łączyła nienawiść do wspólnego wroga, pomagali więc sobie nawzajem, zwłaszcza jeśli chodziło o wymknięcie się z sidła zastawionych przez MIT, turecki wywiad - tamtejszą odmianę Muchabarat .

W pokoju było jeszcze trzech mężczyzn. Wszyscy byli tutejsi, wszyscy palili. Kłócili się hałaśliwie ze sobą i z Abu Barzanem po kurdyjsku. Mia nie rozumiała, co mówili, ale nie-dawne wydarzenia wyraźnie ich rozgniewały. W końcu został zabity jeden z ich ludzi oraz bratanek Abu Barzana, debata dotyczyła więc pewnie potencjalnych reperkusji - czytaj: od-wetu - jakie musiał pociągnąć za sobą incydent.

Lekarz skończył pracę i wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą pozostałych i zostawiając Mię tylko z Abu Barzanem. Przez chwilę panowała grobowa cisza. Smugi dymu zaczęły się przeredzać, aż wreszcie znikły zupełnie i wtedy Abu Barzan się odezwał.

- Ciągłe masz księgę - zauważył. Leżała na stole przed Mią. Skinęła głową, pogrążona we własnych myślach.

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem. - Zastanawiała się nad tym przez cały czas, kiedy lekarz opatrywał ranę Abu Barzana, ale nie udało jej się niczego wymyślić. - Nie mogę iść do ambasady. Nie wiem już, komu ufać. - Opowiedziała mu o tym, co wydarzyło się w Bejrucie i o porwaniu Evelyn.

Kiedy przekazała mu wszystko, co wiedziała o hakimie, poczerwieniał z gniewu. Saddam użył kiedyś gazów bojowych przeciwko Kurdom. Nie należeli do jego ulubieńców. Całkiem możliwe - a nawet prawdopodobne - że radośnie wybierał dla hakima króliki doświadczalne z ich szeregów.

Opowiedziała handlarzowi o Corbenie, pomijając jednak to, co Kirkwood wyznał jej na dachu, opisując go tylko jako przedstawiciela ONZ, który próbuje im pomóc.

Ciągle sama się nad tym zastanawiała.

Na obwisłej twarzy Abu Barzana pojawił się sceptyczny wyraz.

- Ten facet z ONZ. Ten, który to kupił - wskazał grubym paluchem kodeks. - Ufasz mu?

Uwaga ta zaskoczyła Mię. Szybko przypomniała sobie, jak Kirkwood przekazywał handlarzowi srebrną aktówkę.

- To on był twoim kupcem, tak? Abu Barzan skinął głową.

- Sześćset tysięcy dolarów. Poszło. Westchnął ciężko.

Mia zmarszczyła brwi i wróciła myślami do Corbena. Gdzieś w dalekim zakamarku jej umysłu coś domagało się uwagi, nie wiedziała jednak co. Pamiętała, że Corben miał przy sobie aktówkę, coś jej się jednak nie zgadzało. Był sam. Żadnego wsparcia, żadnego komanda foki, żadnych wspomagających go tureckich sił specjalnych - a przecież byli sojusznikami.

Działał na własną rękę. Zbuntowany agent.

Przeszedł ją dreszcz niepokoju. Kirkwood. Corben miał Kirkwooda. A jeśli istniał

choć cień szansy, by odnaleźć jej matkę, to wiązała się ona właśnie z nim.

Próbowała przewidzieć następny ruch Corbena. Evelyn go nie obchodziła, to było oczywiste. Zabił ludzi hakima, co nie stanowiłoby najbardziej odpowiedniego sygnału z kategorii „dogadajmy się”, gdyby rzeczywiście znalazł się tam, żeby nawiązać z nim kontakt.

Tak, Corben działał na własną rękę. Miał własny plan.

Co oznaczało, że będzie szukał. A to oznaczało, że może się udać tylko w jedno miejsce.

- Chcesz odzyskać swoje pieniądze? - zapytała Abu Barzana. Nagle w jej głosie pojawiła się nadzieja.

Abu Barzan podniósł na nią wzrok, a na jego twarzy pojawił się posępny i zmieszany wyraz.

- Potrafisz nas przerzucić przez granicę? - zapytała w uniesieniu.

ROZDZIAŁ 63

Słońce opadało już łukiem po zamglonym wczesno popołudniowym niebie, kiedy land cruiser przekroczył granicę Iraku. Corben zatrzymał się obok prowizorycznej budki z owocami, która stała przy drodze z [Idil](#), niedaleko granicy, i kupił kilka butelek wody oraz kiść bananów dla siebie i swojego więźnia. Rozwiązał Kirkwooda - przymocowując jedynie jego prawy nadgarstek do klamki w drzwiach pasażera, żeby się upewnić, że nie będzie próbował

uciec - i obaj ulżyli sobie przy drodze. Po chwili ruszyli dalej, mijając długą kolejkę pustych cystern i autobusów czekających na wjazd do Iraku. Zatrzymał się przy tureckim posterunku granicznym. Dyżurującego w nim chamskiego, nadgorliwego żołnierza szybko zastąpił bardziej przychylnie nastawiony oficer, który, gdy Corben machnął mu przed oczami jego kilkumiesięcznym zarobkiem, z błyszczącymi nagle oczami dorzucił im hojnie jeszcze mapę regionu i bez problemu pozwolił opuścić Turcję. Corben i Kirkwood przejechali przez ogrodzoną drutem kolczastym ziemię niczyją oddzielającą od siebie obie granice. Smętny pas był jeszcze bardziej wymarły niż równiny, które rozciągały się po obu jego stronach. Po kilkuset metrach dojechali do irakijskiego posterunku, gdzie strażnik w nędznym kamuflującym mundurze po-łowym równie radośnie schował do kieszeni zwitek

banknotów i pospiesznie machnął Corbenowi, żeby ruszał dalej.

Kiedy tylko Corben upewnił się, że jego łapówka nie przyniosła żadnych niepożądanych skutków i że nikt ich nie śledzi, zatrzymał się na stacji benzynowej niedaleko Zacho. Za-tankował i rozłożył mapę, szukając na niej Nerva Zhorii. Nie było to łatwe i poczuł już nawet ukłucie niepokoju, wkrótce jednak zauważył niewielką wioskę, oznaczoną drobną czcionką i zagubioną w górach. Leżała niemal na granicy z Turcją.

Musieli pojechać na południe do Dahuk, później skręcić w lewo i skierować się na północ, mijając Al Amadiję i wjeżdżając w góry. Corben popatrzył na zegarek na desce rozdzielczej, później zerknął na pozycję słońca i dokonał w myślach szybkiej kalkulacji. Zakładając, że nic ich nie zatrzyma, mógł się spodziewać, że dotrą na miejsce przed zachodem słońca.

Złożył mapę, spojrzął przelotnie na Kirkwooda i wcisnął pedał gazu.

Z NIERÓWNEGO TYLNEGO SIEDZENIA starego peugeota Mia obserwowała płaski, skalisty, suchy, odrętwiający krajobraz rozpościerający się za otwartym oknem. W zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa - wzdłuż wąskiej drogi ciągnął się tylko rząd anorektycznych słupów elektrycznych, połączonych ze sobą zwisającymi jak w letargu przewodami. Przypominały Mii słupy telegraficzne rodem z Dzikiego Zachodu, co zresztą, zważywszy na to, jaki miała za sobą dzień - czy raczej dni - było nader trafną analogią.

Abu Barzan siedział obok niej, dysząc ciężko między jednym a drugim zaciągnięciem się marlboro. Dwóch pozostałych mężczyzn, których spotkała w domu lekarza, siedziało z przodu. Straciła już rachubę, ile Abu Barzan i jego kumple wypalili po drodze papierosów. Na nogawce spodni handlarza było widać ciemną plamę: krew przesiąkła przez bandaż, ale na szczęście plama się nie powiększała. Lekarz w Dijarbakirze odwalił, jak się zdaje, kawał dobrej roboty, zresztą, biorąc pod uwagę ciągle niepokoje w regionie, prawdopodobnie miał w tej dziedzinie niezłą praktykę.

Nie zważając na ranę Abu Barzana, postanowili opuścić Dijarbakir i natychmiast wyjechać. Planowali podróżować dłuższą trasą niż ta, którą, jak podejrzewał Abu Barzan, wybrał

Corben. Nie mogli ryzykować przekraczania granicy na oficjalnym przejściu w Zacho, nie w momencie, gdy ciągnęli ze sobą handlarza z raną postrzałową. Poza tym Mia nie miała ze sobą paszportu - torbę zostawiła w land cruiserze. Nie wiedzieli też, czy Corben skontaktował

się z kimś z tureckiego wywiadu, gdzie na pewno miał jakieś kontakty, prosząc, żeby na wszelki wypadek uszczelniono granicę, którą za sobą zostawił. Pojechali więc trasą dłuższą o siedemdziesiąt kilometrów, wybierając główną, omijającą granicę drogę na wschód, którą dotarli do bazy w górach Chiyae Linik. Stamtąd mieli zostać przeschmuglowani do Iraku.

Minęli kilka niewielkich, żelbetonowych przygranicznych miasteczek i w końcu step zamienił się w faliste pogórze. W oddali wyrosło imponujące pasmo górskie i wkrótce droga zrobiła się kręta i zaczęła piąć się gwałtownie. Wysłużony samochód kołysał się i stękał z wysiłku.

Słońce zdążyło już zniknąć za strzelistymi szczytami, gdy zjechali wreszcie z głównej drogi i

skierowali się środkiem wąskiej doliny na południe. Płynęła przez nią jakaś rzeczka i peugeot przez kilka kilometrów musiał podskakiwać na pokrytej żwirem ścieżce, zanim droga po prostu skończyła się na wąskiej polanie, na której czekało na nich dwóch mężczyzn o po-sępnych twarzach.

Mieli ze sobą muły - obładowane sprzętem i, co Mia przyjęła z uczuciem ulgi, osiodłane - a sami byli uzbrojeni po zęby w kałasznikowy i strzelby.

Kierowca zgasił silnik. Mia wyszła z samochodu i patrzyła, jak mężczyźni pomagają zrobić to samo Abu Barzanowi. Wymienili kilka serdecznych pocałunków w policzki, uści-snęli się mocno, poklepując się po plecach, i przez chwilę żarliwie lamentowali nad raną Abu Barzana. Jak tylko cały rytuał dobiegł końca, Abu Barzan odwrócił się do Mii.

- Musimy jechać - powiedział po prostu, wskazując jej obłązonego przez muchy muła, który czekał sobie leniwie z boku.

Popatrzyła na spoglądające na nich z góry onieśmielające szczyty i skinęła głową.

PIĘTNAŚCIE KILOMETRÓW ZA AL AMADIJJA Corben zjechał z głównej drogi w krętą ścieżkę prowadzącą na północ. Silnik land cruisera z napędem na cztery koła przechodził naprawdę ciężką próbę i stękał, protestując gwałtownie, kiedy pokonywał kolejne góry wzdłuż czegoś, co można było nazwać co najwyżej dróżką dla mułów.

- Abu Barzan powiedział, że to „jezydka” wioska - przypomniał sobie Corben, walcząc z kierownicą i starając się uniknąć wyrastających co rusz większych skał. - Wiesz coś o nich?

- Tylko tyle, że są czcicielami szatana - beztroskim tonem wyjaśnił Kirkwood, uśmiechając się cierpko.

- Dobrze wiedzieć - wrzucił ramionami Corben.

Było to bardzo często spotykane nieporozumienie, ale rysująca się na twarzy Corbena irytacja przyniosła Kirkwoodowi odrobinę satysfakcji.

Ściśle rzecz biorąc, Jezydzi, znani również jako Czciciele Aniołów, byli niewielką, pokojowo nastawioną sektą, która przez setki lat opierała się naporowi islamu. Ich religia, zawierająca w sobie elementy zoroastryzmu, manicheizmu, judaizmu, chrześcijaństwa i islamu, była uznawana za najstarszą na świecie. Jezydzi odrzucali pojęcia grzechu, diabła i piekła, wierząc w oczyszczenie i odkupienie przez metempsychozę - transmigrację duszy - i owszem, czcili szatana, tyle że jako upadłego anioła, który poczuł skruchę i uzyskał od Boga wybaczenie oraz któremu przywrócono w niebiosach pozycję przywódcy aniołów. Saddam odczuwał

w stosunku do Jezydów szczególny wstręt. Pielęgnował przylepianą im etykietkę „czciciele diabła”, używając jej, żeby powiększać przepaść między nimi a Kurdami. Po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej, w czasie odwetowych ataków na Kurdów, jezydckie wioski zostały brutalnie zaatakowane i splądrowane. Zabito wielu mężczyzn, a ich rodziny zmuszono do zapłacenia za kule, którymi ich zgładzono.

Wokół pojawiało się coraz więcej roślinności. Krajobraz zaczął przypominać ciągnące się bardziej na północ gęsto zalesione góry. Im dalej land cruiser wspinał się stromym szlakiem, tym bardziej spadała też temperatura. Kiedy zauważyli wreszcie wąskie iglice dymu wbijające się we wczesno wieczorne niebo, do zachodu słońca została już tylko niecała godzina. Wkrótce wyłoniła się przed nimi sama wioska.

Corben zaparkował samochód na wąskim poboczu skalistego szlaku. Wcisnął do kieszeni niewielki zwitek studolarówek, wsunął za pasek pistolet i spojrzał na Kirkwooda.

- Pomóż mi - zaproponował - a ja pomogę ci uwolnić Evelyn. Masz moje słowo.

Kirkwood bynajmniej nie wydawał się udobruchany.

- Chyba nie mam wyboru, co?

- Obaj szukamy tego samego - powtórzył Corben. - Znajdźmy to. Resztą zajmiemy się później.

Kirkwood wzruszył ramionami i skinął głową. Corben wiedział doskonale, że Kirkwood się nie myli, stwierdzając, że nie ma wyboru. Wie dział również, że powabowi tego, co mogli znaleźć w wiosce, trudno się oprzeć.

Uwolnił Kirkwoodowi nadgarstki i obaj ruszyli w stronę wioski, Nerva Zhorl była niewielką, zapomnianą przez Boga osadą, bezpiecznie przytuloną do rozpadliny w zboczu góry.

Po obu stronach prowadzącej przez nią głównej, zakurzonej dróżki ciągnął się niski kamienny murek, od czasu do czasu przerywany przez zardzewiałe metalowe bramy. Za niewielkimi po-dwórkami, zasłanymi taczkami i materiałami budowlanymi, między stojącymi tu i ówdzie to-polami, wyrastały niskie domki z suszonej glinianej cegły, jedną stroną wsparte o wnoszące się za nimi góry, drugą zwrócone na urwiska wzgórz i ciągnący się poniżej las. Gлина na tych górskich terenach była ulubionym materiałem budowlanym, nawet czerwone dachy budynków były przykryte grubym kocem wysuszonej ziemi. Na drodze stało kilka półciężarówek, starych i wyblakłych. W jej poprzek człapał rząd kaczek, a na dzikich polach za domami pasły się krowy i konie, szczypiąc płaty wysokiej trawy porastającej gdzieś jałową poza tym ziemię. Było już dawno po żniwach i zbliżała się ostra górską zima.

Dwóch zbliżających się do wioski mężczyzn natychmiast zostało zauważonych przez tubylców. Gromadka dzieci i stara kobieta oderwali się od swoich zajęć. W osadzie rzadko pojawiali się goście, choć Jezydzi byli znani z łagodnego, życzliwego sposobu bycia i gościnności. Obaj mężczyźni przywitali mieszkańców nieznacznym, przyjacielskim skinieniem głowy, które natychmiast zostało ostrożnie odwzajemnione. Corben przyglądał się twarzom wie-

śniaków, którzy z kolei popatrywali na niego nieco nerwowo. W końcu postanowił zaczepić jednego z chłopców.

- Mówisz po angielsku? - zapytał. Malec pokręcił głową.

- Aawiz iikallam maa il mochtar . Muszę pogadać z szefem - powiedział Corben, mając nadzieję, że

chłopiec rozumie przynajmniej po arabsku. Jezydzi byli Kurdami i mówili pół-

nocnym dialektem kurdyjskiego o nazwie kurmandzi. Wspomógł tłumaczenie, sięgając do dłoni chłopca i wciskając w nią studolarowy banknot.

- Mochtar - powtórzył.

Malec się zawahał, po czym z lękiem skinął głową. Wepchnął banknot do tylnej kieszeni spodni i pokazał przybyszom, żeby szli za nim.

Corben triumfalnie skinął głową Kirkwoodowi i ruszył za ich nowym przewodnikiem.

MILCZĄCY KONWÓJ WĘŻOWYM RUCHEM przeciskał się przez kręty szlak. Mii wydawało się, że jej plecy i nogi ogarnął płomień. Wsiedli na muły wiele godzin wcześniej i wlekli się noga za nogą bez chwili wypoczynku, ale miała wrażenie, że nie zbliżyli się do celu nawet o krok.

Mijali pasterzy, z przewieszonymi przez ramię strzelbami, strzegących swoich stad owiec i kóz przed watahami włóczących się wilków i hien - myśl o tym bynajmniej nie dodała Mii otuchy - oraz uzbrojonych przemytników, którzy prowadzili przez góry osły obładowane kartonami z papierosami i witali się wzajemnie dziwnymi chrząknięciami i czujnymi, wy-mownymi spojrzeniami.

W górach roilo się od różnych szlaków i nie było sposobu, żeby władze po którejkol-wiek ze stron zdołały objąć je kontrolą - po prostu się więc poddały. Granica była nieszczelna, ale Mia dopiero teraz zaczęła rozumieć, jakiej determinacji i fizycznej formy wymagało przedostanie się przez nią.

Krajobraz wokół nich wyraźnie różnił się od płaskich nieużytków, jakie za sobą zostawili. Przez wznoszące się nad nimi, budzące szacunek łańcuchy górskie przebijały się wartkie strumienie, drażąc w nich głębokie doliny. Niegościnniej teren, poprzecinany istnym labiryntem ukrytych ścieżek, urozmaicały od czasu do czasu gaje pistacjowe i kępki wysokich topoli.

- Daleko jeszcze? - zapytała Mia.

Abu Barzan przetłumaczył pytanie jednemu ze swoich ludzi, po czym odpowiedział:

- Godzina. Może więcej.

Mia z rozpaczą wypuściła z płuc powietrze. Szybko jednak zebrała się w sobie i wyprostowała. Nie poddawała się. Sił dodawały jej gniew, wywołany tym, że została oszukana, pragnienie wydobywania na światło dzienne prawdy o jej ojcu oraz rozpaczliwa chęć uratowania matki.

CHŁOPIEC, MIJAJĄC ZDEZELOWANĄ TOYOTĘ, zaprowadził Corbena i Kirkwooda na zakurzone podwórko. Do wyrastającego obok wzgórza był przytulony niski domek, który niczym nie od-różniał się od pozostałych. „Raczej nie przypomina ratusza” - pomyślał Corben, podążając za chłopcem w stronę drzwi.

Chłopiec otworzył je pchnięciem i głośno zaanonsował przybycie gości. Z głębi domu zabrzmiał jakiś szorstki głos. Chłopiec zdjął buty i położył je obok innej, zniszczonej pary.

Corben zrobił to samo, podobnie Kirkwood.

Minęli niewielką kuchnię i przez kolejne drzwi weszli do niskiego korytarza. Corben rozglądał się uważnie po wnętrzu domu. Kiedy dotarli do następnego pomieszczenia, opuścił

jednak wzrok. Wchodząc do środka, poczuł, że gdzieś na samym progu jego świadomości ja-kiś głos zaczyna krzyczeć, że coś jest nie w porządku. Tuż przy wejściu do pokoju na pokrytej kafłami podłodze widać było niewyraźne ślady czyichś butów. Spostrzegłszy to, poczuł

niepokój, ale było już za późno. Na plecach poczuł dźgnięcie twardej stali.

Zanim zdążył się odwrócić, w półmroku zauważył siedzącą po turecku znajomą szczupłą postać: przylizane do tyłu srebrzyste włosy i zimne, obojętne oczy, wbite prosto w agenta.

Siedział na podłodze - w pokoju nie było żadnych mebli i tylko przy ścianach było widać porozrzucane poduszki - a tuż obok niego leżała jego torba lekarska. Towarzyszył mu uzbrojony po zęby osiłek, który zaciskał grube łapska na ramionach jakiegoś przerażonego tubylca. Corben się domyślił, że to mochtar. Mężczyzna pocił się obficie i rozcierał sobie przedramię.

Wkrótce reszta pokoju nabrała kształtów. W rogu migotał wyciszony telewizor. W

blaszanym kominku trzaskał niski płomień. Obok trzech uzbrojonych mężczyzn trzymało na muszce kobietę i czwórkę dzieci - kilkunastoletniego chłopca i trzy dziewczynki.

- Miło, że wpadłeś - powiedział oschłym tonem hakim. - Właśnie skończyliśmy bardzo pouczającą pogawędkę.

ROZDZIAŁ 64

Corben odwrócił się szybko, celując ręką we wbity w jego plecy pistolet, ale nie był

wystarczająco szybki. Jego przeciwnik z prędkością światła podniósł w górę ramiona i walnął

Corbena kolbą kałasznikowa, trafiając go prosto w szczękę. Corben upadł na podłogę. Poczuł, że czaszka pęka mu z bólu. Po chwili obraz przed jego oczami zaczął z powrotem nabierać ostrości. Odwrócił się i zobaczył, że hakim wstaje i zbliża się do nich. Co ciekawe, wydawał

się w ogóle nie zwracać uwagi na Corbena. Minął go i podszedł do Kirkwooda.

- A więc to jest nasz tajemniczy kupiec - stwierdził, z nieskrywaną fascynacją wpatrując się w twarz Kirkwooda. - Mam przyjemność z...?

Nie dokończył pytania.

Kirkwood stał w miejscu i bez słowa obserwował hakima. Lekarz zarechotał lekko, po czym, nie odrywając od niego oczu, uniósł w górę trzymaną w ręku igłę i powiedział do Corbena:

- Czy byłbyś uprzejmy oświecić naszego gościa co do mojej siły przekonywania?

Corben jęknął, podnosząc się z podłogi.

- Powiedz mi, co tylko chce - stwierdził niechętnie. - Wierz mi, zaoszczędzisz sobie jedynie bólu.

Hakim nadal wbijał wzrok w Kirkwooda. Na jego twarzy pojawił się wyraz samoza-dowolenia.

Kirkwood spojrzał na mężczyznę, nad którym chwilę wcześniej pracował hakim.

Mochtar, ubrany w tradycyjny regionalny strój, wydawał się tonąć w bólu i - odnosił wrażenie Kirkwood - wstydzie.

- Kirkwood. Bill Kirkwood - poinformował beznamiętnym tonem krążącego wokół niego mężczyznę.

- A może chciałbyś dodać do tego jeszcze kilka innych nazwisk? - zadrwił hakim. -

Nie? - Przerwał, wpatrując się w swoją ofiarę. - Bardzo dobrze. Zajmiemy się tym później. -

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. - Nigdzie nie widzę księgi. Gdzie ona jest?

- Nie mam jej - odpowiedział rzeczowo Kirkwood. Hakim z powątpiewaniem uniósł brwi.

- Nie ma jej - wtrącił się Corben. - Dał ją córce Evelyn Bishop. Prawdopodobnie ktoś ją teraz właśnie odprowadza do ambasady.

Hakim analizował przez chwilę nową informację, po czym wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że to i tak nie ma znaczenia. Przecież księga nie zawiera formuły, prawda? W każdym razie sam tak stwierdziłeś. A nie miałeś żadnego powodu, żeby kłamać -

Przypatrzył się Kirkwoodowi, a następnie dodał: - Nie w obecności Mii Bishop. Przecież nigdy byś jej nie okłamał, prawda?

Kirkwood poczuł, że w żyłach ścina mu się krew. Zdał sobie sprawę, że hakim musiał go podsłuchiwać. W myślach przypominał sobie szybko wszystko, co powiedział wtedy w pokoju.

- Poza tym w końcu ruszyłeś w te pędy tutaj - kontynuował hakim. - Żeby porozmawiać z tym człowiekiem. - Wskazał swoim wytwornym palcem usadzoną w miejscu ofiarę. -

Czego więc chciałeś się od niego dowiedzieć?

Kirkwood milczał.

- Może miałaś nadzieję się dowiedzieć, co się stało z twoim przodkiem? I przy odrobinie szczęścia, co udało mu się odkryć? - Hakim podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. - Fascynujący człowiek, ten twój przodek. Człowiek wielu talentów. I wielu imion - kpił dalej. -

Sebastian Guerreiro. Markiz Montferrat. Hrabia St. Germain. Sebastian Botelho. W każdym razie znamy tylko te. Tak czy inaczej, przypuszczam, że prowadził bardzo intensywne życie, prawda?

Na każde z imion Kirkwood reagował jak na cios cegłą w żołądek. Nie było sensu udawać. Ten człowiek wyraźnie był doskonale poinformowany.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Cóż, skoro już wiemy tyle o twoim przodku - odpowiedział wyniośle hakim - na pewno chętnie usłyszysz coś o moim. Być może jego imię z czymś ci się skojarzy Raimondo di Sangro?

Cegły zamieniły się w żrący kwas.

Kirkwood doskonale znał to nazwisko.

Hakim podszedł jeszcze bliżej do Kirkwooda. Jego oczy wypełniała zaprawiona cynizmem ciekawość.

- Właśnie nadaliśmy zupełnie nowe znaczenie określeniu „pełny krąg”, nie uważasz?

Na jego twarzy nagle pojawił się wyraz powagi.

- Zaoszczędzę nam czasu. Jak już mówiłem, nasz łaskawy gospodarz i ja - hakim skinął lekceważąco głową w stronę mochtara - właśnie odbyliśmy przyjemną pogawędkę. Po pierwsze, dowiodła ona, że w tak oddalonych od cywilizacji miejscach jak to - wskazał ręką ściany pokoju - pamięć pokoleniowa sięga naprawdę głęboko.

Kirkwood rozejrzał się wokół siebie i zrozumiał, o co mu chodzi. Zza pokrytego nalotem szkła spoglądały na niego zewsząd wyblakłe portrety przodków mochtara. Zajmowały honorowe miejsce na głównej ścianie pokoju.

- Ci ludzie nie mają gier wideo ani kablówki, a przecież muszą się jakoś rozerwać -

kontynuował hakim. - Gromadzą się więc wokół kominka i opowiadają sobie nawzajem historie, w których zawierają się doświadczenia całego ich życia. W dodatku to właśnie Jezydzi szczególnie starannie pielęgnują tę silną oratorską tradycję, prawdopodobnie zresztą z konieczności, gdyż ich najświętsze pisma, niestety, zaginęły. - Jezydzi rzeczywiście utracili swoją świętą księgę, Masza Rasz, Czarną Księgę. Według najbardziej wśród nich rozpo-wszechnionego przekonania zabrali ją Brytyjczycy, którzy po dziś dzień przechowują ją w tajemnicy w jednym z angielskich muzeów. Musieli więc pielęgnować tradycję gawędziarzy, którzy potrafili wyrecytować całą zaginioną księgę z pamięci. - I wszystko wskazuje na to, że ukochany dziadek tego pana opowiedział mu kiedyś o człowieku, który przyszedł do nich z gór, o samym szejku. Trawiła go jakaś gorączka - moim zdaniem tyfus albo cholera - i w ostatnich godzinach swojego życia zaczął mówić różnymi językami, językami,

których nikt nigdy tu nie słyszał. Wywołał wśród nich spore poruszenie, co zresztą jest całkowicie zrozumiałe.

- Umarł tutaj? - zapytał Kirkwood.

- Na to wygląda - potwierdził ironicznym tonem hakim. Właśnie mieliśmy wyjść i rzucić okiem na jego grób. Dołączycie do nas?

ROZDZIAŁ 65

Lizbona, Portugalia, marzec 1765 roku

Sebastian popędził konia i z przemożnym uczuciem zadowolenia zaczął się oddalać od doków. W takie czyste, złote wieczory Lizbona była naprawdę wspaniałym miastem. Cieszył

się, że do niego wrócił. I tak trwało to zbyt długo.

Długo zwlekał z powrotem do kraju, o mieście, w którym się urodził, nie wspominając, ale jego decyzja okazała się nader fortunna. Podobnie jak ono rodził się na nowo, powstawał z popiołów, co i na niego, i na miasto okazało się wywierac zbawienny w stosunku do po-przednich wcieleń wpływ.

Rankiem 1 listopada 1755 roku, w dzień Wszystkich Świętych, miasto zostało spustoszone przez gigantyczne trzęsienie ziemi. Kiedy nadeszły pierwsze wstrząsy, kościoły były wypełnione wiernymi, którzy przyszli oddać honory swoim zmarłym. Drugie uderzenie nadeszło czterdzieści minut później. Wody Tagu wystąpiły z koryta i przetoczyły się przez miasto, zrównując je niemal w całości z ziemią. Resztę pochłonęły pożary. Pod koniec dnia miasto było już dymiącą pustynią. Zginęło ponad trzydzieści tysięcy jego mieszkańców, większość pozostałych straciła dach nad głową.

Skutkami katastrofy z wzorcową starannością i skutecznością zajął się markiz de Pombal, rzeczywisty władca Portugalii. Kazał szybko postawić prowizoryczne schroniska i szpi-tale, a oddziałom wojska polecił dostarczać prowiant potrzebującym. Powołał również zespół

architektów wizjonerów, którzy stare, średniowieczne miasto szybko zamienili w olśniewają-
cą europejską stolicę.

Miasto odrodziło się nie tylko pod względem wizualnym. Pombal, skutecznie radząc sobie ze skutkami katastrofy, zdobył autorytet, dzięki któremu mógł pozbyć się z kraju sił, z jakimi walczył od lat. Szczególne znaczenie dla Sebastiana miało to, że rozwiązał zakon jezuitów, wygnał jego członków, a siedzibę zamienił w szpital. Pałac inkwizytora, obrócony przez trzęsienie ziemi w perzynę, nigdy nie został odbudowany.

Sebastian i Theresia przybyli do Lizbony w samym środku procesu odbudowy. Brak archiwów oraz panujący wokół zaraźliwy optymizm całkowicie mu odpowiadał. Wszyscy, którzy znali go z czasów, gdy był inkwizytorem, dawno już nie żyli. A dzięki wydaleniowi jezuitów ciągle żywe duchy jego mrocznej przeszłości zostały ostatecznie wygnane.

Hrabia St. Germain przybrał więc z powrotem imię, które nadali mu rodzice - Sebastian. Na wszelki wypadek zrezygnował z prawdziwego nazwiska i postanowił przedstawiać się jako Botelho, używając nazwiska swojej matki. Zainwestował w niewielką rafinerię cukru w dzielnicy Alfama, przerabiając surową trzcinę z kolonii w Brazylii w produkt kuchenny, który można było eksportować do różnych krajów Europy. Interes szybko zaczął kwitnąć, podobnie jak życie rodzinne Sebastiana. Wkrótce w kościele w Tomarze odbyła się krótka cere-monia, po której Theresia została jego żoną, a dwa lata później przyszedł na świat ich syn, Miguel.

W dniu, w którym opuścił z Theresią Paryż, wygnał jeszcze jednego i uporczywego ducha rodem z dawnych dni.

Kiedy po drodze do domu mijał zdobione arkadami domy przy Praca de Comercio, jego myśli popłynęły ku promiennej twarzy Theresii. Miał za sobą pomyślny dzień: zawarł

kolejny kontrakt i to na doskonałych warunkach. Trącił konia, popędzając go do galopu.

Okrzyżował gładkie wody Mar de Palha - śródlądowego „słomkowego morza” - upajając się rześ-

kim, słonym powietrzem, po czym skierował się na północ, w stronę przytulonych do miasta niskich, falistych wzgórz.

W momencie, gdy powiedziano mu, że Miguel ciągle jest na przejażdżce konnej z Theresia, poczuł nagłe i nieokreślone ukłucie lęku. Ostatnio kupił synowi pierwszego kucyka, a Theresia uwielbiała sadzać chłopca w małym siodle i oprowadzać go wokół należącego do posiadłości jeziora. Sebastian wiedział jednak, że nigdy nie zostawali tam tak długo, nie o tej porze roku, nie kiedy słońce wtapiało się już w otaczające wzgórza i pod dawało wdzierające-mu się nagłe w powietrze chłodowi wieczoru.

Zostawił konia i ruszył pieszo pochyłą łąką. W miarę jak przedzierał się przez oliwne i cytrynowe zagajniki, jego kroki stawały się coraz szybsze. Nagle serce mu zamarło: kiedy wyskoczył spomiędzy drzew, zauważył samotnego kucyka, który pasł się niewinnie na łące.

Popędził w jego stronę, omiatając pełnym paniki wzrokiem brzegi jeziora. W tym momencie zauważył Theresię, która leżała na ziemi na brzuchu sto metrów od wody. Niedaleko niej, na skalistej wychodni, siedział Miguel. Towarzyszył mu mężczyzna, którego ponurą postać Sebastian rozpoznał nawet z tej odległości.

Kiedy mężczyzna dostrzegł pędzącego na pomoc Theresii Sebastiana, wstał i mocno złapał chłopca za jego małą dłoń. Na szczęście Theresia ciągle oddychała. Sebastian nie zauważył ani krwi, ani rozcięć czy ran. Była tylko ogłuszona. Domyślił się, że di Sangro uderzył

ją i powalił na ziemię, po czym zajął się ich synem.

- Miguel - jęknęła zaniepokojonym głosem Theresia, drgnąwszy pod dotykiem Sebastiana.

Skinął jej głowę, zrzucił z ramion płaszcz i wsunął go żonie pod głowę, po czym wstał

i zwrócił się w stronę swojego prześladowcy.

Dziesięć lat żalu i frustracji, które wypełniały życie di Sangro, odkąd spotkali się po raz ostatni w Paryżu, mocno zaznaczyło się zarówno na jego twarzy, jak i w jego postawie.

Miał opadnięte ramiona, jego włosy były gęsto przetykane siwizną, a skóra wysuszona i blada. Znikł gdzieś wysoki, giętki, wilczej urody principe, którego Sebastian pamiętał z Neapolu.

Zamiast niego patrzył na rozkładający się szkielet, wyniszczony przez czas i ogarniającą go obsesję. Jedynie kipiący głód w jego oczach ani trochę nie przygasł.

- Wypuść chłopca - zażądał Sebastian. Di Sangro ani trochę nie zwolnił uścisku.

- Jesteś mi coś dłużny, marquese. Occhio per occhio, dente per dente. Oko za oko, ząb za ząb.

Wyszarpnął zza pasa sztylet i przyłożył jego ostrze do policzka chłopca. Sebastian zrozumiał. Syn di Sangro nie wyleczył się z rany, którą jako hrabia St. Germain zadał mu tamtej nocy na Ile de la Cite.

- Szukałeś mnie - powiedział zdławionym z wściekłości głosem Sebastian, celując palcem w księcia i starając się trzymać na wodzy gniew. - To ty ściągnąłeś na niego niebezpieczeństwo.

- Podobnie jak ty ściągasz je na swojego syna, odmawiając mi - warknął w odpowiedzi di Sangro.

Sebastian zbliżył się o krok, ale di Sangro szybko zacieśnił uścisk wokół dłoni chłopca i oparł ostrze sztyletu o jego szyję.

- Tranquillo, marquese - ostrzegł. - Nie zbliżaj się.

Sebastian zatrzymał się, otworzył dłonie i uniósł je w uspokajającym geście.

- Przykro mi z powodu twojego syna - powiedział z autentycznym żalem w głosie, nie odrywając oczu od di Sangro. - Puść go. Przecież chodzi ci o mnie.

- Nic mi po tobie - warknął wściekle di Sangro. - Pragnę tylko tego, co wiesz. Powiedz mi prawdę, a może rozważę ją jako soldi di sangue. Krwawe pieniądze. Może w ten sposób -

dodał z żalem - okaże się, że mój syn nie umarł na próżno.

- Nadal wierzysz, że mam to, czego szukasz - powiedział spokojnie Sebastian, trzymając ciągle uniesione dłonie i stawiając ostrożne, wyważone kroki w stronę księcia.

- Wiem, że to masz... - zaczął di Sangro, ale nagle głos mu się załamał. Sebastiana dzieliło już od niego zaledwie jakieś pięć metrów, a z każdym jego krokiem coś zmieniało się w wyrazie twarzy księcia. W jego zmęczonych oczach, wbijających się chciwie w twarz Sebastiana, zamigotała konsternacja.

Di Sangro otworzył nieznacznie usta.

- Ty się... ty się postarzałeś? - zapytał, rozluźniając nieco uścisk wokół dłoni chłopca.

Ciągle nie mógł oderwać oczu od Sebastiana.

Ale wzrok go nie mylił.

W dniu, kiedy Sebastian uciekł z Theresią z Paryża, przestał zażywać eliksir. Nie mógł już tego cofnąć.

Narodzony na nowo Sebastian Botelho z Lizbony miał się zestarzeć i umrzeć jak każdy normalny człowiek.

Nigdy tak naprawdę nie żałował decyzji, którą podjął pod wpływem chwili. W rzadkich chwilach niepewności i przypływu wyrzutów sumienia wystarczyło mu spojrzeć na szelmowski uśmiech jego sześcioletniego syna, żeby zrozumieć, że nie popełnił błędu. Postanowił, że kończy z tajemnicami, że nigdy więcej nie będzie musiał uciekać w nową tożsamość, że - co najważniejsze - nigdy już nie będzie samotny. Będzie dzielił swoje policzone dni z kobietą, którą kochał, czując wdzięczność za każdy wschód słońca, kiedy budził się przy jej boku.

Aż do tego pamiętnego wieczoru.

Di Sangro wpatrzył się w swoje nemezis. Mężczyzna wyraźnie zmienił się od czasu, kiedy spotkali się w Neapolu i w Paryżu. Na jego twarzy pojawiły się zmarszczki. Włosy, przetykane siwizną, w okolicy skroni po woli zaczynały się cofać.

Sebastian stał w miejscu, pozwalając, żeby zdumienie osłabiło determinację di Sangro.

Zauważył, że uścisk księcia wokół dłoni chłopca jeszcze bardziej się rozluźnił. Di Sangro niemal w transie zbliżył się do Sebastiana, pragnąc mu się lepiej przyjrzeć.

- Ale... Myślałem, że...?

Sebastian skoczył na niego, jedną ręką podbijając sztylet, drugą uderzając di Sangro w pierś. Książę stracił równowagę i upadł na ziemię.

- Biegnij do matki - krzyknął Sebastian do Miguela, który natychmiast pędem rzucił

się w stronę Theresii. Sebastian obezwładnił swojego prześladowcę. Podniósł z ziemi sztylet i przyłożył go di Sangro do gardła.

- Dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju? - syknął.

Di Sangro opuścił wzrok. Płonące w nim światło nagle przygasło.

- A co ty byś zrobił na moim miejscu? Sebastian odsunął sztylet.

- Ja też zmarnowałem życie, szukając czegoś, co nie istnieje. Próbowałem ci to powiedzieć, ale nie chciałeś słuchać.

Książę z żalem skinął głową.

- Więc tak naprawdę nie masz tego?

- Nie - przyznał Sebastian.

Principe pojął nagle nieodwracalność tej odpowiedzi i na jego twarzy odmalował się wyraz autentycznej konsternacji. Sięgnął do swojej koszuli i wyciągnął łańcuszek, który nosił

na sercu. Drżącymi palcami dotknął naszyjnika.

- A więc to? - zapytał, unosząc go w stronę Sebastiana.

- Zwyczajna sztuczka, miraż - powiedział głuchym głosem Sebastian. - Syrena, która wabi ludzi i rozbija ich ciała o skały fałszywych obietnic.

Spojrzał na di Sangro i rozluźnił uścisk. Wstał i wyciągnął do księcia rękę. Principe przyjął ją, podniósł się i spojrzał na szklistą powierzchnię jeziora. Każdy milimetr jego zmę-

czzonego ciała wydawało się przepęłniać przygnębienie.

- Wielka szkoda. To tragedia. Dla nas wszystkich. - Odwrócił się do Sebastiana. - Wyobraź sobie, że to prawda. Wyobraź sobie, jak zmieniłby się świat. Jakim byłoby to dla niego darem. Mieć więcej czasu, żeby spędzić go z tymi, których kochamy. Więcej czasu na naukę, podróże, odkrycia... Na prawdziwe życie.

Sebastian ponuro skinął głową.

- Idź do domu. Wróć do swojej rodziny. Ciesz się czasem, jaki ci pozostał. I zostaw mnie w spokoju, żebym mógł się cieszyć swoim.

Di Sangro spojrzał na niego po raz ostatni i skinął głową.

WOKÓŁ ROZBRZMIEWAŁY HAŁAŚLIWE RYKI I ŚMIECH, ale di Sangro niczego nie słyszał. Siedział w małej tawernie przy stoliku w rogu, sącząc kolejny dzban piwa, wpatrując się w tań-

czący przed nim płomień świecy i zapadając w otchłań swoich myśli.

Wszystko to na nic, lamentował. Wszystkie te lata na marne. Czas, pieniądze. Życie jego syna. I po co to? Żeby skończyć teraz, jako stary i zwiędły, topiący smutki w gorzkim pi-wie samotnik, daleko od domu.

Jego myśli były jak przesłonięte szkłem, ale mimo to spróbował przeczesać pamięć w poszukiwaniu każdej, najdrobniejszej nawet cząstki wiedzy, jaką udało mu się zgromadzić, każdego słowa, które

usłyszał, każdego niuansu, który wyczuł w czasie swojej zawziętej pogoni za człowiekiem, który teraz przedstawiał się jako Sebastian Botelho. Od czasu do czasu ze szczelin jego umysłu wyłaniały się sprzeczne myśli, stwarzając zagrożenie, że połączą się ze stwierdzeniem, którego tak pożył, ale za każdym razem wraz z nimi pojawiały się wątpliwości, każąc im z powrotem pograżyć się w głębokim cieniu. W głowie księcia walczyły ze sobą obrazy i głosy - między innymi hrabina di Czergy i jej wspomnienia z Wenecji, pani de Fontenay w Paryżu - ale za każdym razem tuż za nimi pojawiała się niezgłębiona twarz Sebastiana Botelho, która niczym Bóg zmuszała je do uległości.

Godzina za godziną rozgrywał bez końca w myślach swoje spotkania z tym człowiekiem, słowa, jakie wypowiedzieli, tajemnicę, jaką widział w jego oczach - a może jaką wydawało mu się, że widział. I w tej właśnie płataninie sprzecznych myśli kilka słów uczepliło się jego świadomości.

„Nie chcesz jej poznać, principe . Zaufaj mi. To nie jest dar, dla nikogo. To przekleństwo, jasne i oczywiste. Przekleństwo, od którego nie ma wytchnienia”.

Wytchnienia.

Skoncentrował się na tym słowie i na udręczonym wyrazie oczu Botelho - wtedy markiza de Monferrat - kiedy wypowiadał je wiele lat wcześniej.

A co, jeżeli Botelho wreszcie odnalazł wytchnienie? Co jeśli miał eliksir, ale - z jakiegoś obłąkańczego powodu, którego di Sangro nie był w stanie pojąć - postanowił przestać go zażywać?

Cisnął kufel na podłogę i przetarł gwałtownie oczy, starając się rozwiać zaciemniającą mu myśli mgłę. W uszach waliło mu serce, a w głowie zaczęła nabierać kształtu prawda. Poczł gniew.

Został oszukany.

Marquese znowu to zrobił. Owinął go sobie wokół palca. Tak, Botelho postarzał się.

Ale nie oznaczało to, że nigdy nie miał eliksiru. Znaczyło to tylko tyle, że już go nie używał.

A di Sangro, jak stary dureń, którym chyba rzeczywiście się okazał, pozwolił, by marquese omotał go, przekonał, żeby mu uwierzył, żeby porzucił swoją misję.

- Bastardo! - ryknął, zrywając się i chwiejnym krokiem wyszedł z gospody, napędzany przez płonący w żyłach wściekły ogień.

SEBASTIAN OBSERWOWAŁ PRZESUWAJĄCE SIĘ słabe cienie rzucane przez księżycową poświatę na ściany sypialnej komnaty.

Nie mógł zasnąć. Ciągle kłębiła się w nim myśl o tym, że di Sangro odbiera mu Teresię lub Miguela. Zastanawiał się, czy nie powinien był go zabić na miejscu. Teraz jednak było już za późno. Poza tym nie wiedział, kogo przywiódł ze sobą principe, komu zwierzył

się ze swoich podejrzeń. Zabicie go nie gwarantowało spokoju.

Jego sanktuarium zostało zagrożone. Napastnikiem, w stopniu większym niż wypowiadający je człowiek, były słowa, które ciągle brzęczały Sebastianowi w uszach.

„Wyobraź sobie, że to prawda. Wyobraź sobie, jak zmieniłby się świat. Jakim byłoby to dla niego darem. Mieć więcej czasu, żeby spędzić go z tymi, których kochamy. Więcej czasu na naukę, podróże, odkrycia... Na prawdziwe życie”.

Wyobrażał to sobie wiele razy, podobnie jak robił to wcześniej Izaak Montalto, podobnie jak jego ojciec. Dar, który wszyscy pragnęli przekazać ludzkości. Ciężar, który samotnie dźwigał na swoich barkach. Obietnica, którą zdradził.

Di Sangro miał rację. To była tragedia.

Nie mógł dłużej tego ignorować.

Theresia poruszyła się obok niego. Na tle białych prześcieradeł rysowała się wyraźnie jej gładka skóra. Lęk w jej oczach kazał mu odgadnąć, że jak tyle razy wcześniej, jego zmar-twiona twarz pozwoliła jej czytać mu w myślach.

- Musimy wyjechać, tak? - zapytała.

Sebastian tylko skinął głową i przytulił Theresię.

DI SANGRO BLADYM ŚWITEM WTARGNAŁ do okazałej rezydencji niczym demon, wymachując szpadą w jednej ręce, pistoletem w drugiej, żądając wrzaskiem, żeby Sebastian natychmiast się przed nim pojawił. Ale nikt nie odpowiedział na jego krzyki. Kilkoma kopniakami odepchnął służących, którzy zaczęli zewsząd nabiegać, próbując go jakoś uspokoić, i rzucił

się po schodach na piętro, gdzie znajdowały się sypialne komnaty. Kopnął w rzeźbione po-dwójne drzwi. Nikogo jednak za nimi nie znalazł.

W komnacie nie było Sebastiana i Theresii, a serce podpowiadało mu, że nigdy już ich nie zobaczy.

Opadł na kolana, cisnąwszy z brzękiem broń na pokrytą kaflami podłogę, i się rozplą-kał.

SEBASTIAN OBSERWOWAŁ, JAK BAGAŻOWI wnoszą kufer i neseser Theresii na statek. Port roił

się od wszelkich rozmiarów łodzi: czy to niewielkich fenickich fragatas w kształcie półksię-

życa, które rozładowywały większe statki, czy też wysokich trójmasztowych okrętów, które kursowały po Atlantyku, zapewniając połączenie między starym miastem portowym a Nowym Światem.

Na myśl o tym, że wkrótce popłyną tam również jego żona i syn, Sebastianowi ścisnę-

ło się serce. Od chwili, kiedy zaledwie kilka dni wcześniej opuścili w nocy dom, decyzja, któ-

ra podjął, ani na chwilę nie dawała mu spokoju.

Nigdy nie znajdą wytchnienia. Nie pozwoli na to di Sangro, nie pozwolą inni, którzy nieuchronnie musieli o wszystkim usłyszeć. Tak długo, jak będą razem.

A on miał zadanie do wykonania.

Obietnicę, której musiał dotrzymać.

Przeznaczenie, które musiał wypełnić.

- Może jednak zmienisz zdanie i pozwolisz nam wyjechać z tobą? - zapytała Theresia.

Obok niej stał Miguel, trzymając ją za rękę i w zdumieniu patrząc, jak na górujący ponad nimi statek ładowane są ostatnie skrzynie.

- Nie, tam nie jest bezpiecznie - odpowiedział Sebastian. Słowa ledwie przeciskały mu się przez usta.

Wiedział doskonale, o czym mówił. Był już tam kiedyś - i znowu miał się tam wybrać w podróż. Miał wrócić do Konstantynopola. Przyjąć postać szejka, tak samo, jak pół wieku wcześniej. Wyprawić się do Lewantu, do tętniących życiem miast, takich jak Bejrut, Jerozoli-ma, Damaszek i Bagdad, a potem podróżować przez dzielące je góry i pustynie w nadziei, że tym razem jego poszukiwania będą bardziej owocne.

Pierwszy mat okrętu rozkazał wciągnąć trap i zwolnić liny.

Theresia ścisnęła mocniej Sebastiana.

- Wróć do mnie - szepnęła mu do ucha.

Wziął ją w ramiona i pocałował, a potem ukląkł i ucałował syna.

- Zrobię, co w mojej mocy. Tyle mógł obiecać.

Po chwili z drżącym sercem obserwował, jak żagle okrętu nabierają powietrza i zabierają ze sobą jedyne szczęście, jakiego miał okazję w życiu zaznać.

ROZDZIAŁ 66

Kirkwood i Corben oraz mochtar i jego rodzina, trzymani ciągle na celowniku, wyszli z domu i znaleźli się pod pokrytym mozaiką szarości i purpury niebem. Horyzontem płynęły spienione chmury oświetlone od tyłu przez zachodzące słońce. Cmentarz znajdował się na samym końcu wioski. Proste groby skupiały się wokół mazaru, niedużego, stożkowatego żałobnego pomnika. Mochtar poprowadził ich przez twardą jałową ziemię, aż wreszcie dotarli do niewielkiego nagrobka. Zatrzymał się przy nim i z posepnym wyrazem twarzy wskazał go ręką.

Kirkwood ukląkł i przyjrzał się starej płycie nagrobnej. Ascetyczny kawał wapienia ledwie wystawał znad ziemi. Był pusty z wyjątkiem drobnego, okrągłego symbolu wygrawe-rowanego na jego powierzchni. Kirkwood wyciągnął dłoń i odgarnął z brzegów znaku mech i pył. Jego oczom ukazał się wyraźnie wąż, którego proste detale zostały już poważnie nadgryzione przez ząb czasu.

Poniżej zauważył coś jeszcze. Przesunął palcami po rowkach, oczyszczając je z tego, co przez lata się w nich nagromadziło.

Była to data, wyryta w kamieniu arabskimi cyframi.

- Tysiąc osiemset drugi - przeczytał głuchym głosem Kirkwood.

Poczuł suchość w ustach. Ogarnęło go uczucie niewysłowionej straty.

To tutaj więc zakończyła się jego podróż.

Kłębiące się w głowie Kirkwooda wspomnienia rozproszył nagle przebijający się przez nie głos hakima:

- Tysiąc osiemset drugi - powtórzył, myśląc na głos. - Mój przodek zmarł w tysiąc siedemset siedemdziesiątym pierwszym. Nieduża różnica, można by powiedzieć. Jest tylko jeden problem. Nasi przodkowie spotkali się w połowie osiemnastego wieku, około roku tysiąc siedemset pięćdziesiątego. Twój przodek w tym czasie, według dziennika di Sangro, wydawał

się jego rówieśnikiem, a więc miał około czterdziestu lat. Co oznacza, że umierając zbliżał się do setki. Tyle że mój przodek umarł jako stary człowiek. A twój, cóż... według przekazanej mi opowieści, człowiek, który zszedł z gór i umarł tutaj, nie był starcem. Zszedł z gór sam. A zabiła go gorączka, nie wiek. Mochtar wyraził się jasno. Co oznacza, że albo twój przodek znalazł coś w tych górach, co pozwoliło mu odzyskać młodość, albo - i osobiście skłaniam się raczej ku tej drugiej możliwości - że, jak podejrzewał *principe*, używał formuły od lat. Tyle że ty twierdzisz, że nie masz kompletnej formuły. Co wydaje mi się bardzo dziwne. Czyżby twój przodek opuścił żonę i dziecko i wyruszył do tego pełnego niebezpieczeństw i odległego zakątka naszego globu no to tylko, żeby szukać czegoś, co już znajdowało się w jego posiadaniu?

Kirkwood zeszywniał.

- Nie znajdowało się.

Hakim zbliżył się do niego groźnie o krok. Na jego czole pojawiła się ciemna chmura.

- Wiesz co? Moim zdaniem kłamiesz. Uważam, że miał eliksir - powiedział zjadliwym tonem. - Uważam, że mój znamienity przodek przez cały czas miał rację. Uważam, że Sebastian Guerreiro używał formuły, żeby cieszyć się nadzwyczaj długim życiem. Uważam też -

dorzucił z wściekłością - że ty robisz to samo.

Kirkwood próbował powstrzymać gniew i strach.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Jego głos nawet nie zadrżał.

Poczuł na sobie wzrok Corbena, ale nie odważył się do niego odwrócić. Hakim obserwował go zbyt uważnie.

- Naprawdę? - zauważył oziębłym tonem hakim. - Przekonajmy się.

Wydał swoim ludziom krótki rozkaz. Dwóch z nich ruszyło się z miejsca leniwym krokiem i zniknęło za jednym z domów. Pozostali ostrożnie unieśli pistolety maszynowe, wpatrując się jastrzębim wzrokiem w Corbena i Kirkwooda.

Chwilę później obaj strażnicy wrócili, prowadząc ze sobą ubranego w mundur połowy więźnia. Miał związane dłonie, a głowę zasłonięto mu czarnym szmacianym workiem, podobnym do tego, jaki wcześniej narzucono na głowę Corbenowi. Mężczyźni ustawili więźnia obok hakima i wycofali się.

Zanim jeszcze hakim zdołał im kogokolwiek przedstawić, Kirkwood zobaczył wszystko przez workowaty strój i maskę. Sparaliżowało go. Zerknął kątem oka na Corbena, ale z niezgłębionej twarzy agenta nie udało mu się niczego wyczytać.

- Chciałeś powiedzieć, że...? - zapytał szorstkim głosem hakim, po czym zerwał worek z głowy więźnia.

Evelyn zmrużyła oczy, przyzwyczajając je do światła. Nagle zobaczyła stojącego przed nią Kirkwooda i otworzyła ze zdumienia usta.

- Mój Boże... Tom?

ROZDZIAŁ 67

Widok pełnych zdumienia oczu Evelyn wywołał w sercu Kirkwooda lodowate ukłucie. - Evelyn, dzięki Bogu jesteś... - Pokręcił z bólem głową. - Tak mi przykro.

Hakim z wyraźną satysfakcją przyglądał się reakcji Evelyn. Na twarzy wymalował mu się irytujący wyraz zadowolenia z siebie. Odwrócił się do Kirkwooda i podszedł kilka kroków w jego stronę. Dzieliło go teraz od niego zaledwie kilka centymetrów.

- Wiem, że chirurgia plastyczna czyni dzisiaj cuda, ale to... - powiedział do Evelyn, wskazując dłonią z góry do dołu ciało Kirkwooda - to chyba trochę więcej niż kosmetyka, prawda?

- Jesteś... - Evelyn słowa uwięzły w gardle. - Jak to możliwe? Hakim skinął głową na jednego ze swoich ludzi, który złapał Evelyn i odciągnął ją do tyłu. Twarz hakima ponownie wykrzywiła groźba.

- Masz formułę - zwrócił się zawziętym głosem do Kirkwooda. - Czego więc tak naprawdę szukasz?

Kirkwood zebrał w sobie resztki opanowania i się nie poruszył.

- Tego samego co ty.

- Ale przecież już to masz - warknął hakim. Kirkwood nie odpowiedział.

Hakim złapał za trzymany przez jednego z jego ludzi pistolet i przyłożył go do głowy Evelyn.

- Masz już formułę, prawda?

Każdy nerw w ciele Kirkwooda ogarnęła furia, wytrzymał jednak i nie zareagował.

Hakim zaczął naciskać palcem spust.

- Masz już formułę, prawda? - powtórzył ze wściekłością. Kirkwood tylko niemo wpatrywał się w niego z ponurą twarzą.

- Jak chcesz - syknął hakim. Jego ostry głos wydawał się przecinać powietrze. Zamrugał oczami do Evelyn, po czym przechylił lekko nadgarstek, tak jakby przygotowywał się do oddania w jej głowę strzału...

- Czekaj! - krzyknął Kirkwood.

Hakim odwrócił się, nie opuszczając jednak pistoletu. Kirkwood spojrzał na Evelyn, po czym opuścił oczy.

- Mam formułę - bąknął pod nosem.

Nie musiał się rozglądać, żeby się zorientować, że wszyscy wbili w niego wzrok.

- Nie rozumiem - wybuchnął Corben. - Co my tu w takim razie, do cholery, robimy?

Po co tu przyjechałeś? Co aż tak bardzo chcesz znaleźć?

Kirkwood westchnął ciężko i boleśnie.

- Eksperymenty opisane w naszej księdze... nie są dokończone. Formuła nie działa na... wszystkich.

- Co rozumiesz przez „wszystkich”? - zapytał hakim, opuszczając pistolet.

Kirkwood spojrzał na Evelyn, po czym podniósł wściekły wzrok na hakima.

- Działa tylko na mężczyzn.

Hakim zastanowił się nad jego słowami. Po chwili jego twarz rozpalili wyraz dzikiej euforii.

- Więc jej używałeś? Kirkwood skinął głową.

- Księga, którą znalazł Sebastian, nie była kompletna. Była częściowo spalona i brakowało w niej kilku ostatnich stron - tak naprawdę trudno powiedzieć ilu. Opisane w niej eksperymenty nie do końca zostały zwieńczone sukcesem, a przynajmniej tak wynika ze stron, któ-

rzymi dysponujemy. Ciągłe była w nich widoczna istotna skaza. Przez wiele lat próby wskazania przyczyn tego błędu i usunięcia go były z góry skazane na niepowodzenia. Nauka nie znajdowała się na wystarczającym etapie rozwoju, a poza tym nasze najlepsze głowy miały o wiele bardziej istotne problemy do rozwiązania, poważniejsze choroby do pokonania. Tak naprawdę dopiero pięćdziesiąt lat temu poczuliśmy, że wreszcie nadszedł czas zainicjować poważne naukowe próby wyjaśnienia tej zagadki.

- „My”? - zapytał hakim, machnąwszy pytająco pistoletem.

- Jesteśmy niewielką grupą. Cztery osoby. Uważnie wybierane i zapraszane do udziału w przedsięwzięciu przez tego potomka Sebastiana, które mu obecnie jest pisane nieść... to brzemię. Zaczęło się od mojego ojca.

- Który z kolei przekazał to tobie - domyślił się hakim.

- Tak. Dlatego właśnie - zwrócił się do Evelyn Kirkwood - nie mogłem z tobą zostać.

Nie w momencie, kiedy zażywałem eliksir. Pracowaliśmy nad tym, żeby go udoskonalić, żeby odkryć, jak można by jego działanie rozszerzyć na wszystkich, i nasze komórki, nasza krew, były częścią eksperymentu. Wszystko to należało jednak trzymać w tajemnicy. Nie mogliśmy ryzykować, by świat dowiedział się o naszym istnieniu. Gdyby coś takiego wyszło na jaw, gdyby stało się dostępne dla wszystkich, postawiłoby całe społeczeństwo na głowie.

Mężczyźni żyliby kilkaset lat, podczas gdy kobiety trzy razy krócej i umierałyby... Cały nasz świat zostałby zdefiniowany na nowo, wszystkie reguły cywilizacji należałoby jeszcze raz określić.

- Nie wiem - zadumał się cynicznie hakim, wbijając oszołomiony, ale i zaciekawiony wzrok w mochtara. - Muzułmanie i mormoni żyją z kilkoma żonami jednocześnie i wydaje się to funkcjonować całkiem dobrze. Byłoby podobnie, tyle że po kolei.

Evelyn ciągle była oniemiała z wrażenia.

- I tyle to właśnie wam daje? Dwieście lat? - zapytała. Kirkwood skinął głową.

- Wydaje się, że eliksir mniej więcej trzykrotnie przedłuża człowiekowi życie, jeśli zaczyna się go zażywać w dorosłym wieku. Nie czyni nas nieśmiertelnymi. Po prostu starzejemy się bardzo, bardzo wolno. Opóźnia w naszych komórkach rozkład i radykalnie spowalnia ich starzenie. W końcu jednak się rozpadają.

Hakim, jako naukowiec, nie mógł się oprzeć zawodowej ciekawości i zapytał:

- Jak to działa?

Kirkwood wzruszył ramionami.

- Ciągłe nie jesteśmy do końca pewni. Wydaje się, że eliksir zachowuje się jak podrasowany wymiatacz wolnych rodników. Odkryliśmy, że zmienia sposób, w jaki DNA zazwyczaj owija się

wokół białek chromosomów. W rezultacie niektóre geny zostają wzmocnione, a inne osłabione. Jednym z tych pierwszych jest gen odpowiedzialny za proces antyoksydacji.

Jednak z jakiegoś powodu, coś związanego z różnicami chromosomalnymi między mężczyznami a kobietami na podstawowym poziomie mitochondrialnym, hamuje jego skuteczność u kobiet.

- Przypomina to czterofenylomaślan - zachwycił się hakim. - Lek ten, jak wykazały ostatnie eksperymenty, ma zaskakujący wpływ na organizmy muszek, którym radykalnie przedłuża życie. Tyle że działa u ludzi.

Kirkwood niechętnie skinął głową.

- Dokładnie.

Evelyn ciągle wbijała w niego wzrok, w którym mieszały się gniew, rozczarowanie, zdumienie i przerażenie.

- Ile masz lat? - zapytała. Kiedy słowa te wydobywały jej się z gardła, strach zmusił ją do zaciśnięcia zębów, niemal wtlaczając je tam z powrotem.

Kirkwood powiedział już o wiele więcej, niż zamierzał, ale nie był w stanie okłamać Evelyn.

- Urodziłem się w 1913 roku - powiedział ściszym głosem. - Sebastian był moim dziadkiem.

Oderwał oczy od oszołomionej twarzy Evelyn i spojrzał na pozostałych. Corben patrzył na niego oziębłym wzrokiem, jak zawsze z twarzą pokerzysty. Również mochtar wsłuchiwał się uważnie w jego słowa, choć na jego twarzy szok malował się całkiem wyraźnie.

Ciągle rozcierał sobie nerwowo przedramiona.

- Więc to właśnie robicie od kilkuset lat - stwierdził oskarżającym tonem oburzony hakim. - Urządzacie sobie mały sabat czarownic, potajemnie zażywacie eliksir i pozbawiacie cały świat możliwości długiego życia, zamiast ogłosić to, podzielić się swoim odkryciem i zaprosić do wspólnej pracy nad udoskonaleniem eliksiru najtęzsze umysłów naszych czasów?

- Ale dla nas pracują wybitni naukowcy - gwałtownie zaprotestował Kirkwood. Hakim szarpnął za odpowiednią strunę, wzbudzając w nim ogromne poczucie winy. - Jedni z najlepszych na świecie.

- Cóż, może jest ich za mało - odparował hakim, dźgając wściekle powietrze pistoletem i podkreślając nim każde wypowiedane słowo. Jego palec ciągle znajdował się niepokoją-

co blisko spustu. - Może do tej pory udałoby się już znaleźć rozwiązanie? Zamiast tego ukrywacie eliksir, samolubnie zatrzymując go dla siebie.

- Myślisz, że to takie zabawne? - rozgniewał się nagle Kirkwood.

- Nigdy nie móc do nikogo tak naprawdę się zbliżyć? - Mówiąc, spojrzał na Evelyn i jego głos

złagodniał. - Obserwować, jak wszyscy ci, których kochasz, na których ci zależy, więdną i umierają? Poza tym - dodał, zwracając się znowu do hakima - co jeśli nie ma rozwiązania? Jeżeli twórcom eliksiru nie udało się znaleźć sposobu, by działał na wszystkich?

- Cóż, najwyraźniej twój dziadek uważał, że jednak się udało - zauważył hakim zaprawionym pogardą głosem. Skinął sam do siebie głową, zastanawiając się nad słowami Kirkwooda. Kiedy podniósł oczy, przebijało z nich twarde zdecydowanie.

- Chcę tej formuły - powiedział spokojnie. - A ty mi ją dasz, obaj o tym wiemy. Ale nie martw się. To tylko tymczasowe rozwiązanie. Coś, co dostarczy mi rozrywki, kiedy moi ludzie będą przeszukiwać góry. - Odwrócił się do mochtara. - Co ty na to? Pokażesz mi, gdzie powinni zacząć?

Mochtar cofnął się niepewnie o krok, piecami uderzając o jednego z ludzi hakima. Z

jego twarzy odpłynęła cała krew. Jego oczy były okrągłe jak spodki. Zaczął gwałtownie kręcić głową, a na skroniach pojawiły mu się kropelki potu.

Twarz hakima się zachmurzyła. Podeszedł groźnie do mochtara.

- Jakiś obcy, tajemniczy człowiek schodzi z gór, gadając we wszystkich językach świata i taszcząc pod pachą księgę, na której swoją obcą dłonią gryzmoli jakieś przesłanie.

Umiera tutaj, w tej wiosce. Mam ci uwierzyć, że twoi przodkowie nie byli ciekawi, skąd przybył? Naprawdę wydaje ci się, że uwierzę, że nie próbowali sprawdzić, skąd się tu wziął?

Mochtar nadal kręcił głową, rzucając na boki oczami i rozpaczliwie starając się nie patrzeć na wysokiego, podnieconego mężczyznę, który dyszał mu niemalże w twarz.

- To jak? - zapytał hakim. - *Dzaawih, ja kalh!* - rozkazał wściekle.

- Mów, psie!

Mochtar wymamrotał coś pod nosem. Nic nie wiedział.

Oczy hakima zwęziły się, a on sam odwrócił się do bandyty, który pilnował rodziny mochtara, i skinął pogardliwie głową w kierunku dzieci. Strażnik zagonił je brutalnie w stronę swojego szefa.

Kirkwood czuł, że przyspiesza mu puls i instynktownie rzucił się do przodu, ale stojący obok niego bandyta powstrzymał go stanowczym ruchem ręki.

Hakim uniósł pistolet i skierował go w stronę dzieci.

- Które pierwsze? - zapytał mochtara. Wziął na cel nastoletniego chłopca. - Chłopiec?

A może - obrócił szybko lufę i skierował ją w stronę jednej z dziewczynek - ona? Wybieraj! -

rozkazał.

Po policzku mochtara spłynęła łza.

- Proszę - jęknął, opadając na kolana.

- Które?! - wrzasnął z wściekłością hakim. W jego oczach płonęła dzika determinacja.

- Powiedz mu! - zawołał ze złością Kirkwood. Mochtar pokręcił głową.

- Powiedz mu! - powtórzył gniewnie Kirkwood. - To nie jest warte ich życia - dodał, spoglądając na przerażone dzieci.

Mochtar stał, pocierając twarz dłońmi i nagle, nie podnosząc wzroku, skinął głową i wymamrotał:

- Pokażę ci. Zabiorę cię, dokąd chcesz.

Nagle coś uderzyło w pierś jednego z ludzi hakima. Mężczyzna rzucił się do tyłu, a z jego ciała wytrysnął czerwony obłok. Opadł ciężko na ziemię. W tym samym momencie otaczające ich wzgórza rozbrzmiały echem huku wystrzału z karabinu.

ROZDZIAŁ 68

Na cmentarzu rozległ się trzask kolejnych kilku wystrzałów. Bandyty i ich zakładnicy rzucili się w panice szukać osłony. Kirkwood ruszył w stronę Evelyn, ale hakim był bliżej i złapał ją dokładnie w momencie, gdy w pobliski nagrobek wbiły się trzy pociski. Kirkwood schylił się i pomknął szukać osłony. Mógł tylko obserwować, jak hakim z pistoletem przyci-

niętym do głowy Evelyn ciągnie ją w stronę niskiego muru cmentarza. Kule wydawały się nadlatywać zza domu na skraju wioski. Obok hakima przycisnął się jeden z jego ludzi, spora-dycznie wychylając się sponad zasłony i wysyłając w stronę źródła ognia kilka starannie wy-celowanych strzałów.

Kirkwood spróbował pobiec w stronę Evelyn, ale inny człowiek hakima strzelił w jego stronę zza *mazaru* i musiał się wycofać. Wyrzwał na drugą stronę cmentarza i zauważył Corbena, który ponaglał mochtara i jego rodzinę w kierunku bezpiecznego miejsca, pomagając dzieciom wspiąć się na zakręcający mur. Hakim również go zauważył i krótkim warknięciem rozkazał przykucniętemu obok ochroniarzowi ich powstrzymać. Corben usłyszał jego głos.

Odwrócił się. Bandyta podniósł broń, przymierzając się do strzału. Corben popchnął mochtara, przerzucając go przez obniżenie w murze i skoczył w ślad za nim. W tym samym momencie w cegły za jego plecami wbiło się kilka kul.

W płytę nagrobną obok Kirkwooda z chrzęstem wgryzły się kolejne pociski przeznaczone dla strzelca ukrytego za niskim pomnikiem. Na lewo od Kirkwooda hakim ciągle siedział w kucki przy murze z ramieniem zaciśniętym wokół gardła Evelyn, zaczął się jednak powoli przesuwać w stronę drugiej strony cmentarza, opadającej w dół zboczem wzgórza.

Ciągnął ze sobą Evelyn. Za murem było widać las wysokich topoli. Kirkwood przełknął ślinę.

Znajdowali się na samym skraju wioski i ten, kto strzelał, znajdował się po przeciwnej stronie. Nie byli otoczeni. Co oznaczało, że hakim miał otwartą drogę ucieczki.

Kirkwood nie mógł mu pozwolić znowu porwać Evelyn. W tej chwili nie był jednak w stanie nic zrobić. Z rosnącą frustracją obserwował, jak trzeci z ocalałych członków oddziału hakima, który przykucnął przy murze niedaleko wejścia na cmentarz, wstaje, opróżnia w kierunku napastników magazynek, po czym uchyla się, przeładowuje i strzela jeszcze kilka razy.

Nagle bandyta rzucił się gwałtownie do tyłu, a z jego głowy wytrysnęła krew. Niestety, strzelec, któremu udało się go trafić, popełnił błąd: wychylił się lekkomyślnie, żeby sprawdzić, czy strzał był celny. Eskortujący hakima bandyta wstał i wpakował mu kulę w klatkę piersiową.

Hakim i Evelyn dotarli do granicy cmentarza. Kirkwood zobaczył, że Evelyn próbuje wyrwać się prześladowcy, ten jednak bezlitośnie uderzył ją i powalił na ziemię. W Kirkwoodzie zagotowała się krew. Nie mógł dłużej wytrzymać bezczynności. Zauważył, że biegnący przy hakimie bandyta próbuje odpowiedzieć ogniem i zostaje trafiony. Jego wijące się po ziemi ciało odciągnęło na chwilę uwagę hakima, który spojrział przerażonym wzrokiem przez mur. Kirkwood postanowił działać.

Rzucił się przez cmentarz, pochylając głowę, zaciskając pięści i wbijając wzrok w hakima i Evelyn. Nie słyszał żadnych wystrzałów, biegł więc dalej. Był trzy metry od celu, kiedy zauważył go hakim.

Odwrócił się dokładnie w momencie, kiedy Kirkwood rzucił się na niego, lewe ramię wyciągając w stronę prawej, uzbrojonej dłoni szaleńca. Uderzył hakima, ale pistolet zdążył

wypalić, wstrząsając wszystkimi zmysłami Kirkwooda i wywołując w jego lewym ramieniu błyskawicę bólu. Usłyszał krzyk Evelyn. Poddał się fali adrenaliny i wbił w pierś hakima kolano. Mężczyzna zarzęził ciężko. Obie ręce Kirkwooda zacisnęły się wokół pistoletu, walcząc rozpaczliwie, by jego lufa nie znalazła się zbyt blisko niego. Rozległ się kolejny strzał, ale broń była skierowana w dół i kula niegroźnie wgrzyła się w ziemię, wzbijając kłęby kurzu.

- Uciekaj! - krzyknął do Evelyn Kirkwood, nie mogąc oderwać oczu od hakima i zorientować się, jak daleko udało się jej umknąć.

Hakim wbił łokieć w szczękę Kirkwooda. Zachręściły głośno kości i Kirkwood poczuł w czaszce palący ból. Jego uścisk na dłoni hakima zelżał na chwilę i szalenie wykorzystał moment, żeby wyswobodzić pistolet. Wycelował go w Kirkwooda, ten jednak bez zmrużenia oka rzucił się z pełnym impetem na hakima, przygważdżając go całą wagą ciała do muru i sprawiając, że broń wyfrunęła mu z dłoni i wbiła się w ziemię.

Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Wionął z nich nieskończony absolutny, wzajemny wstręt. Obaj natychmiast oderwali od siebie wzrok i skierowali go na leżący obok pistolet. W tym momencie Kirkwood wyczuł obok jakiś ruch. Odwrócił się i zobaczył, że jedyny ocalały bandyta, ten ukryty za *mazarem*, obraca w jego kierunku pistolet. Dał nura w stronę Evelyn, powalając ją na ziemię, i natychmiast odwrócił się do hakima, który obrzucił

ich ostatnim, pożądanym spojrzeniem, po czym wdrapał się na niski mur i zniknął za nim.

- Idziemy! - zawołał do Evelyn Kirkwood. Ostatni ze strzelców zaciekle odpowiadał

ogniem. Kirkwood podczołgał się do przodu, osłaniając Evelyn, starając się ustawić tak, by jak najwięcej nagrobków oddzielało ich od strzelca. Ból w jego ramieniu z każdym krokiem narastał. Udało im się przemieścić o metr, kiedy bandyta znowu zwrócił na nich uwagę i nachylił się, żeby wykonać kolejny strzał, ale zanim zdążył ich zabić, w jego ciało wbiło się kilka karabinowych kul, rzucając nim brutalnie do tyłu. Jego pistolet maszynowy wypuścił z siebie rozpaczliwą serię, która jednak przecięła już wyłącznie powietrze. Jej odgłos umarł razem ze strzelcem.

Nagle na cmentarzu zapanowała upiorna cisza. Kirkwood spojrzał na Evelyn. W jego ramieniu płonął ból, a przez umysł jak oszalałe pędziły myśli. Zastanawiał się, czy są wreszcie bezpieczni.

- Halo? - zawołał, nie kierując słów do nikogo w szczególności, mając tylko nadzieję, że strzelcy, którzy interweniowali w ich obronie, byli przychylnie nastawieni.

GŁOS, KTÓRY USŁYSZAŁ W ODPOWIEDZI, tchnął w niego radość.

- Kirkwood? Mamo? - zawołała Mia. - Jesteście cali? Spojrzał na Evelyn, a jego twarz zalała fala ulgi.

- Jesteśmy! - odkrzyknął. Omiótł wzrokiem powalonych ludzi hakima, szukając potencjalnych zagrożeń, po czym wstał ostrożnie, krzywiąc się z bólu.

Evelyn wstała razem z nim. Od strony wioski pędzili w ich stronę Mia i jacyś uzbrojeni mężczyźni.

Evelyn sięgnęła ręką, sprawdzając jego ramię. Odsunął się, kiedy je dotknęła. Rana pulsowała głębokim, palącym bólem.

- W porządku - zapewnił Evelyn. Spojrzał w stronę porośniętego lasem wzgórza, które opadało zboczem od krawędzi cmentarza.

Hakim ciągle gdzieś tam był.

Evelyn wyczytała to ze spojrzenia Kirkwooda.

- Tom - ostrzegła go.

Ale on szedł już w stronę jednego z leżących na ziemi ludzi hakima.

- Tom, nie - nalegała. On jednak nachylił się i odebrał martwemu strzelcowi pistolet maszynowy. Sprawdził magazynek, za pasem mężczyzny znalazł kilka nowych, schował jeden z nich do kieszeni, drugi wbił do pistoletu, po czym wprowadził nabój do komory. W tej samej chwili dotarli do nich Mia i ludzie Abu Barzana.

- Zostań z matką - powiedział do Mii Kirkwood, po czym ruszył w stronę muru.

Wspiął się na niego niezgrabnie, starając się chronić zranioną rękę, i rzuciwszy szybko okiem na Evelyn i Mię, zniknął na zboczu wzgórza.

- Na co czekacie? - krzyknęła do otaczających ich mężczyzn Evelyn. - Idźcie za nim.

Saidu - rozkazała po arabsku. Pomóście mu.

Skinęli głową i pobiegli za Kirkwoodem.

ROZDZIAŁ 69

Kirkwood biegł przez cichy, coraz bardziej mroczny las. W uszach pulsował mu nierówny oddech, a przy każdym kroku ból w jego ramieniu wybuchał nowym płomieniem.

Oczami przeczesywał drzewa w poszukiwaniu hakima. Ścigały go odgłosy szybkich, zdeteminowanych kroków biegnących w ślad za nim ludzi Abu Barzana. Mgła w jego głowie stawała się coraz gęstsza, powieki coraz cięższe. Upływ krwi zaczynał zakłócać podstawowe czynności jego ciała. Zacisnął szczękę i zebrał się w sobie, starając się dokopać do ostatnich rezerw energii, pozwolić, by gniew i odraza dodały mu sił.

Nagle dotarł do niego ledwie słyszalny powolny świst, odgłos budzącego się do życia silnika. Z każdym krokiem Kirkwooda stawał się on coraz głośniejszy i bardziej wytężony, a powietrze z coraz większą zaciekłością rozłupywały łopaty rotora.

Odgłosy sprawiły, że Kirkwood poczuł rozpaczliwy zastrzyk adrenaliny, który pozwolił mu pobiec dalej przez zbocze. Zanim jeszcze jego oczom ukazał się śmigłowiec, zdążył go sobie wyobrazić: wyraźnie zobaczył hakima, który macha do niego i gapi się, gdy maszyna odrywa się od ziemi i unosi go w stronę bezpiecznego nieba. Myśl ta jeszcze bardziej dodała mu sił.

Nie mógł pozwolić, żeby uciekł.

Nie mógł pozwolić, żeby żył.

W oszalałającej plątaninie światła i cieni rzucanych przez topole dostrzegł, że hakim wspina się do ogromnej maszyny. Wskoczył zza osłony drzew i natychmiast uderzyła w niego wściekła fala powietrza napędzanego przez śmigło i ogłuszającego ryk turbin startującego helikoptera.

Śmigłowiec, MI-25, wisiał dokładnie naprzeciw niego. Wyglądał jak jakaś potworna zmutowana osa: jego kadłub szpeciła wysypka szklanych baniek kokpitu i wieżyczek karabinów, a po bokach wystawały dwa niewielkie skrzydła obciążone wyrzutniami rakiet i za-sobnikami. Za sterami siedziało dwóch pilotów. Spoglądali na Kirkwooda przez szybę, pope-

dzając jednocześnie helikopter do szybkiego startu.

Kirkwood podniósł pistolet i zaczął strzelać.

Pełny automat.

Jeden magazynek, potem drugi.

Wszystko, co miał.

Każdej kolejnej kuli towarzyszyło bolesne echo w jego ramieniu, ale ścisnął nadal mocno pistolet maszynowy, bezlitośnie opróżniając magazynki, bombardując unoszącego się ciężko na jego oczach sępa gradem kul. Obserwował, jak iskrzyły na metalowym poszyciu śmigłowca niczym strzały odbijające się od czołgu, ale nie przestawał korygować linii strzału, aż wreszcie kilka pocisków odnalazło drogę do szyby kabiny pilota. Pierwsza z nich wbiła się w nią i ją roztrzaskała, a kilku kolejnym najwyraźniej udało się wgryźć w ciało i krew swojej ofiary, bo nagle na popękany szkło rozprysnął się makabryczny czerwony obłok.

Kirkwooda dogonili ludzie Abu Barzana. Dołączyli do niego. Ogromny śmigłowiec zakołysał się na bok, jego silnik nagle zawył rozpaczliwie. Maszyna przechyliła się pod ostrym kątem i ześlizgnęła w powietrzu, a jej rotor zaczepił o kępkę topoli. Masywne łopaty wgryzły się w czubki drzew i przez chwilę las przypominał gigantyczną sieć, w którą zapląta-

ła się jakaś cenna zdobycz. Kirkwood patrzył z ponurą miną. Cofnął się instynktownie, a jego umysł pobiegł już w stronę eksplozji, która za chwilę miała pochłonąć całe zbocze wraz z nim. MI-25 zakołysał się groźnie, a Kirkwood pomyślał o Evelyn i Mii. Wyglądało na to, że maszyna przechyliła się na bok i wpadnie między drzewa, ale w momencie, gdy już-już miała się rozbić, drugi pilot nagle odzyskał kontrolę nad sterami. Śmigłowiec rzucił się gwałtownie do tyłu i potoczył w przeciwnym kierunku, wyswabdzając łopaty rotora z pułapki drzew i unosząc się w czyste powietrze.

Obrócił się, szybując w górę i pogardliwie pokazując swoim napastnikom ogon, po czym przez chwilę przechylał się jeszcze na boki i w końcu odleciał, zostawiając za sobą góry. Kirkwood z rosnącym przerażeniem obserwował jego odwrót. Ogarnęła go rozpacz. Nagle jednak usłyszał coś za plecami, coś, co dobiegło do nich od strony wioski. Brzmiało to jak głośny klaps - nigdy nie słyszał czegoś podobnego. Za klapsem szybko podążył szelest, który przeciął powietrze ponad Kirkwoodem. Spojrzał w górę i zobaczył cienką smugę wąskiej bia-

łej rury, która mknęła przez zachmurzone niebo, wznosząc się po łuku w stronę śmigłowca, pędząc z ogromną prędkością i wreszcie doganiając swoją ofiarę. Spotkanie obu punkcików wywołało niewielką eksplozję, po której prawie natychmiast na niebie pojawiła się ogromna kula ognia. Łopaty wielkiego rotora oddzieliły się od śmigłowca i pofrunęły wściekle we wszystkich kierunkach. Niezdarny kadłub przeokoziółkował kilka razy w powietrzu, po czym gwałtownie poszybował w stronę ziemi i eksplodował gigantyczną chmurą ognia.

EVELYN I MIA ZBIEGŁY ZBOCZEM WZGÓRZA i dotarły do Kirkwooda, który leżał oparty o drzewo. Jego twarz perlila się od potu, skóra była blada i ziemista, a oczy otwierały się z trudem, ale on sam ożywił się nieco na widok obu kobiet. Obok stało dwóch nowych mężczyzn.

Jeden z nich ciągle trzymał ręczną wyrzutnię rakiet SA-14. Obaj - kurdyjscy przyjaciele Abu Barzana, jak wyjaśniła Mia - wznosili radosne okrzyki i przyjacielsko poklepywali po plecach swoich dwóch kumpli. W dali w gasnącym świetle wieczoru ciągle kłębił się czarny dym.

Evelyn usiadła przy Kirkwoodzie, a Mia szybko zajęła się tamowaniem krwi z jego rany.

Nie wiedział, od czego zacząć.

- Evelyn - powiedział słabym głosem. Opadły z niego resztki sił. - Nigdy...

Przerwał. W jego oddechu można było wyczuć cały ogrom żalu. Evelyn podchwyciła jego wzrok.

- Później - powiedziała.

Skinął z wdzięcznością głową, ale było coś, na co nie mógł dłużej czekać. Spojrzał na Mię, która natychmiast zrozumiała jego wzrok. Odwrócił się do Evelyn.

- Czy ona...? - zapytał, wiedząc już tak naprawdę, czekając z nadzieją na odpowiedź, ale mimo to wstrzymując oddech.

- Tak - skinęła głową Evelyn. - Jest twoja.

- Jak więc właściwie mamy się do ciebie zwracać? - zapytała Mia - Bill? Tom? Może jakoś inaczej?

- Tom - wyznał ze skruszonym uśmiechem, patrząc na Evelyn. - Tom Webster.

Zalała go fala sprzecznych uczuć, uderzająca do głowy mieszanka poczucia winy i euforii. Nic na to nie mógł poradzić, że rozpromienił się na widok swojej własnej córki, tutaj, z nim, z matką - córki, która w jakiś cudowny sposób zdołała dotrzeć w to miejsce i ich ocalić, a która teraz się nim opiekowała. Nagle poczuł się bardzo stary, ale po raz pierwszy w życiu wydało mu się to uczucie przyjemne.

Z zadumania wyrwał go widok jakiejś postaci biegnącej z boczem od strony wioski.

Okazało się, że to syn mochtara. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Słowa, które zaczęły się wydobywać z ust chłopca, w żaden sposób nie układały się w całość, ale Kirkwood szybko zrozumiał, o co mu chodzi.

Corben zniknął.

I zabrał ze sobą mochtara.

ROZDZIAŁ 70

Konie szturmowały jeden za drugim grzbiety gór. Ich kopyta wykopywały z podłoża luźne kamienie. Chrząst odbijał się echem od drzew. Z każdą sekundą światło było coraz słabsze, wkrótce miały zapanować totalne ciemności. Corben nie miał wyboru. Musieli opu-

ścić wioskę, i to natychmiast. Musiał uciekać, dopóki pozostali byli zajęci czym innym. Do-póki nie zwrócili na niego uwagi.

Mochtar prowadził go przez góry, starając się nie ryzykować i nie wysforować zbyt mocno przed swojego gnębiciela, który dosłownie trzymał go na smyczy. Kiedy opuścili wioskę, Corben zawiązał wokół talii mężczyzny linę, którą przymocował z drugiej strony do łąku swojego siodła. Zabrał również jednemu z zabitych ludzi hakima AK-47. Miał ochotę wziąć też trochę sprzętu z land cruiser - na przykład aktówkę pełną gotówki - ale samochód był zaparkowany przy wjeździe do wioski i Corben obawiał się, że najprawdopodobniej Abu Barzan i jego ludzie zdążyli go już po drodze splądrować.

Ich nagła interwencja - oraz pojawienie się Mii, którą również wypatrzył wśród strzelców - z jednej strony go zirytowała, z drugiej zaś zrobiła na nim wrażenie. Ciekawiło go, jak udało im się tutaj dostać, choć oczywiście miał na ten temat kilka teorii. Nie mógł sobie wybaczyć, że w Dijarbakirze nie pomyślał, żeby sprawdzić w kuchni ciało handlarza, choć skutki tego okazały się całkiem pozytywne.

W końcu przysadzisty Kurd i jego kumple ocalili mu życie.

Ogólnie rzecz biorąc, jego aktualna sytuacja nie była wcale zła. Oficjalnie został tutaj przywieziony na muszce, a hakim był już najprawdopodobniej martwy. Razem z mochtarem widzieli, jak helikopter wybucha w powietrzu. Evelyn była bezpieczna, Mia też.

Misja wypełniona.

Jego zdaniem ani obie panie, ani Kirkwood - czy raczej mężczyzna przedstawiający się jako Kirkwood - nie będą sprawiali żadnych problemów. Nie będą chcieli robić afery wokół tego, co tak naprawdę się wydarzyło. Zaryzykowałiby dekonspiracją Kirkwooda, a Corben wiedział doskonale, że żadne z nich by tego nie chciało. Najprawdopodobniej potwierdzą każdą historyjkę, jaką wymyśli.

Najważniejszy jednak, upomniał sam siebie, jest skarb, który znajdował się teraz w zasięgu jego ręki. A kiedy już go posiadzie, sytuacja zmieni się radykalnie na jego korzyść.

Skarb był kluczem do całego królestwa. Jeśli coś pójdzie nie tak - wszystko jedno co - Corben znajdzie się w doskonałej pozycji negocjacyjnej.

Tak czy inaczej już niedługo stanie się nieprzyzwoicie bogatym człowiekiem. Skarb zapewni mu poza tym dodatkową premię: swoim przepychem będzie się mógł cieszyć bardzo, bardzo długo.

MIA ZAKLEŁA W DUCHU, WLOKĄC SIĘ zakurzoną dróżką w ślad za jadącym przed nią jeżdź-

cem. Nie tego oczekiwała po wyczerpującej, przyprawiającej nogi o odrętwienie, popołudnio-wej czterogodzinnej wędrówce na mule.

Tym razem towarzyszyło jej trzech mężczyzn. Prowadził syn mochtara. Chłopak - z pełnym niepokojem wahaniem - przyznał, że wie, gdzie Corben zabrał jego ojca. Mochtar zdradził mu tajemnicę na samym początku wojny w Iraku, na wypadek, gdyby coś mu się przydarzyło. Tuż za nim podążało dwóch innych mieszkańców wioski, a Mia zamykała peleton.

Wszyscy mężczyźni byli uzbrojeni. Wieśniacy przywłaszczyli sobie kałasznikowy martwych ludzi

hakima, a syn mochtara - jak dowiedziała się Mia, zaledwie szesnastoletni chłopak o imieniu Salem - taszczył starą myśliwską strzelbę.

Decyzja, żeby wyruszyć natychmiast, nie czekając na poranek, nie była łatwa. W gó-

rach wkrótce miały zapanować całkowite ciemności. Ścigającym trudno będzie się rozeznąć, w jakim kierunku podążają, a ścieżki w górach były strome i zdradzieckie. Noc niosła ze sobą również inne niebezpieczeństwa. Po opustoszałym ponurym paśmie górskim w poszukiwaniu rzadkiego pożywienia włóczyły się o tej porze wilki, hieny i szakale.

Jednak syn mochtara naciskał, żeby wyruszyć jak najszybciej, w czym zresztą całkowicie poparła go matka. Corben i porwana przez niego ofiara nie mieli teraz zbyt dużej prze-wagi, ale jeśli nie zatrzymają się nigdzie w nocy, rano trudno ich będzie dogonić. Inną kwestią było uczestnictwo Mii w pościgu. Nalegała usilnie, by dołączyć do mężczyzn. Przeszła przez to razem z Corbenem i była przekonana, że powinna to doprowadzić do samego końca.

Uważała, że w razie czego przyda się, by negocjować z Corbenem, by jakoś go przekonać - w końcu spędziła z nim sporo czasu. Poza tym czuła się za wszystko odpowiedzialna. Ta sprawa stała się częścią jej samej.

Musiała chronić tajemnicę.

Pospiesznie zorganizowana grupa zabrała ze sobą tyle sprzętu, ile tylko zdołała udźwi-gnąć: latarki, pochodnie, koce - temperatura na tej wysokości po zachodzie słońca gwałtownie spadała - i wodę. A kiedy Mia no raz ostatni rzuciła okiem na wioskę, zanim osada zniknęła za grzbietem góry, w głowie rozbrzmiewały jej ciągle urywane słowa ojca. Jej ojca - Mii wciąż trudno było pogodzić się z tą myślą i jak podejrzewała, przez jakiś czas ten stan się nie zmieni. Kirkwood potwierdził, że tak, eliksir rzeczywiście istniał. Zaakceptowanie tego faktu również zajmie jej chwilę. Ojciec Mii powiedział jej też zaraz o ograniczeniu - o tym, że dzia-

ła tylko na mężczyzn - dodając jednak, że pełna formuła znajduje się gdzieś w tych górach i że Corben szuka jej nie po to, żeby pomóc rządowi ją ukryć, ale by wykorzystać ją dla własnych - materialnych - celów.

Na co nie mogli pozwolić.

Kirkwood - nie, Tom, poprawiła sama siebie - i jego koledzy również chcieli ujawnić całą formułę światu, ale mieli zamiar zrobić to przy zachowaniu maksymalnej ostrożności i zgodnie ze szczegółowo opracowanym planem. Zaprezentowanie formuły niczego niepodejrzewającej ludzkości było niesamowicie trudnym zadaniem. Z pewnością wywoła ona rewo-lucyjne zmiany w życiu człowieka - być może najbardziej doniosłe w całej jego historii. Życie zmieni się we wszystkich aspektach.

Nie było to więc coś, co miałoby się ochotę powierzyć mordercy o mało chwalebnych motywach.

Popędzali konie, jak mogli, zmuszając je do wspinania się ukrytym szlakiem wijącym się między

skalistymi szczytami przez rozpadliny w górach i przełęcze. Mia odwróciła się i rzuciła nerwowo okiem na horyzont. Za jej plecami słońce chowało się już za górami. Szlak stawał się coraz ostrzejszy, coraz bardziej stromy, podłoże coraz luźniejsze, coraz bardziej śliskie. Z góry spoglądały na nich pradawne sękaty sosny, przygięte do ziemi przez nieprzyjazną pogodę i niezliczone dziesiątki lat, uczipione pnących się pionowo w górę lic skał, które za każdym zakrętem miały, wydawało się, pochłonać wędrowców. Mimo to pieli się dalej. Ich konie czepiały się jakoś kopytami wąskich przejść, zostawiając za sobą strumień kamyków i luźnego gruntu. Ostatnie promienie słońca powoli poddawały się ostatecznej ofensywnie zmroku.

Im wyżej się wspinali, tym bardziej ochładzało się powietrze. Przyprawiające o zawrót głowy zimno z bezlitosną łatwością przebijało się przez cienką warstwę ubrań Mii. Początkowo próbowała je ignorować, ale przemarzła do szpiku kości. Odwinęła więc koc, który ktoś przywiązał jej pospiesznie do siodła, i narzuciła go sobie na ramiona. Przy akompaniamencie rżenia koni, stękających przy każdej pochyłości, przedzierali się naprzód przez krętą, niekoń-

czącą się przełęcz, która rozłupała korony gór na dwie części.

Kiedy wreszcie wyłonili się po drugiej stronie, panowała już prawie całkowita ciemność. Nad nimi wisiał nisko księżyc w trzeciej kwarcie, rzucając bladą, srebrzystą poświatę na rozciągającą się poniżej długą, głęboką dolinę. Wyglądała jak wielki czarny kleks: jej niższe partie gubiły się w cieniach, chronione przez bastion strzelistych szczytów, poza którymi było widać niekończący się ciąg falujących dolin i gór. Mia wyteżyła wzrok, starając się dostrzec, dokąd ich prowadzi syn mochtara, ale światło było tak słabe, że wkrótce zrezygnowała z wy-siłków. Wydawało się zresztą, że i on ma kłopot z orientacją, bo wkrótce wyciągnął zapalniczkę i zapalił pochodnię.

Niewielki konwój zwolnił kroku. Poruszał się teraz ostrożniej, zagłębiając się łagodnie opadającym szlakiem w gąszcz drzew. Wokół ściagały się i tańczyły cienie ich nagich gałęzi.

Poza zasięgiem migotliwego blasku pochodni panował męczący bezruch. Żadnego wiatru, żadnego krakania ptaków, żadnych kozich dzwoneczków. Nic oprócz wyteżonego oddechu koni, sennego stukotu ich kopyt i strzału z pistoletu, który rozbrzmiał nagle w powietrzu i wyrzucił jednego z wieśniaków z siodła.

Kolejny strzał wbił się w kamienną wychodnię obok drugiego wieśniaka, wywołując panikę wśród koni. Mężczyzna nawet nie próbował opanować wierzchowca, zeskoczył tylko z niego i schował się za skały. Kobyła pognąła szlakiem, rżąc jak oszalała i znikając wkrótce w ciemnościach. Mia zsunęła się szybko z siodła i pociągnęła swojego konia w stronę zapewniającej względne bezpieczeństwo linii drzew. To samo zrobił syn mochtara, wyrzucając po drodze pochodnię, która mimo to nie zgasła.

Mia zaczęła przeczesywać wzrokiem rozciągające się przed nią ciemności. Nie miała pojęcia, gdzie przyczał się Corben. Rozbrzmiały dwa kolejne strzały - kule wbiły się w pnie drzew, niebezpiecznie blisko nich. Corben był dobrym strzelcem, Mii nie trzeba było tego udowadniać.

W dusznej ciszy zagrzmiało nagle jego głos.

- Zawracajcie i jedźcie z powrotem do wioski. Nikomu więcej nie chcę nic zrobić.

Usłyszała, jak mochtar zaczyna coś krzyczeć. Pochwili dobiegł do niej odgłos głuchego ciosu i męczyzna zamilkł.

- Jim! - zawołała Mia. - Wypuść go. Oni go nie zostawią.

- Nic mu nie zrobię - odkrzyknął Corben - Wypuszczę go, jak tylko pokaże mi to, po co przyszedłem.

Uwagę Mii przyciągnęły jakieś szepty po jej lewej stronie. Zauważyła, że syn mochtara i wieśniak gwałtownie się naradzają. Wymamrotali cicho kilka słów, po czym wynurzyli się ukradkiem zza osłaniających ich skał, szerokim łukiem rozchodząc się w przeciwne strony. Syn mochtara przemknął obok niej, rzucając jej pożegnalne spojrzenie. W jego oczach nieomylnie czał się strach. Mia mogła to dostrzec nawet w zanikającej łunie rzucanej przez pochodnię.

Serce ścisnęło jej się na myśl, że chłopcu może przydarzyć się coś złego, że za chwilę znowu poleje się krew.

- Jim! - krzyknęła błagalnym głosem w ciemności. - Proszę. Nie rób tego. Nie odpowiedział.

Wiedział lepiej, co robić.

CORBEN NICZYM JASTRZĄB OBSERWOWAŁ w skupieniu drzewa, wyczulony na najmniejszy ruch w lesie otaczających go cieni.

Zmartwiła go obecność Mii. Co ona, u diabła, tu robi? Czy nie ryzykowała już wystarczająco dużo?

Zacisnął zęby i oddalił od siebie tę myśl. Musiał się skupić.

Zatrzymali się na noc - zrobiło się zbyt ciemno, by dalej wlec się szlakiem - i nagle usłyszał odgłosy nadciągającej pogoni. Nie spodziewał się jej już tego wieczoru. Jednego udało mu się zdjąć. Był prawie pewien, że cała grupa liczyła cztery osoby, w tym Mię. Co oznaczało, że musiał się martwić już tylko o dwóch napastników.

Niespecjalnie przejmował się ich liczebną przewagą. Znajdował się na wyżej położonym terenie, co zawsze było w takich sytuacjach korzystne. Będą musieli go wypłoszyć, co oznaczało, że sami się odsłonią. Musi być tylko na to przygotowany.

„Królestwo za noktowizor” - pomyślał. „1 bieliznę termiczną”. Zadrżał z zimna. Spró-

bował zignorować chłód. I nagle wyczuł na lewo od siebie jakiś ruch.

Ostrożne kroki, powoli zbliżające się do niego.

Kroki myśliwego.

Zamknął na chwilę oczy, uwrażliwiając siatkówkę, po czym otworzył je i zlustrował

nimi drzewa. I w tym właśnie momencie usłyszał chrzęst kroku na zwirowatej glebie, tym razem

dobiegający jednak z prawej strony.

ROZDZIAŁ 71

Mia wyteżwała wzrok, starając się przebić nim gęste ciemności i słysząc w uszach uderzenia własnego serca. Nienawidziła tego uczucia. Wiedziała, że wkrótce ktoś umrze - znowu

- i nie mogła zrobić nic, żeby temu zapobiec. Noc nagle rozświetliła się błyskami z luf karabinów, a od pni drzew odbiły się odgłosy wystrzałów. Naliczyła ich co najmniej dwanaście. Nastąpiły po sobie w nieregularnych odstępach i pochodziły z różnych źródeł. Mia usłyszała przeraźliwe rżenie koni, które rzuciły się do ucieczki. Z dali przez chwilę dobiegał stukot ich kopyt - po czym nastąpiła cisza.

Właściwie niezupełnie.

Jęki.

Pełen bólu, żaloszny skowyt rannego człowieka. A potem krzyki, po kurdyjsku.

Gniewne, wściekłe, zbolące zawroźzenie.

Wyskoczyła na otwartą przestrzeń i ruszyła pędem w kierunku odgłosów, wymijając pnie drzew i luźno porozrzucane kamienie, starając się jakoś zachować równowagę.

Najpierw trafiła na drugiego z wieśniaków. Leżał - ranny, choć ciągle żywy. Został

trafiony w bok. Musiało go bardzo boleć i był przerażony. Zaczął ją błagać o pomoc, z całych sił starając się nie zamykać oczu. Pochyliła się, żeby spojrzeć na jego ranę i w tym samym momencie usłyszała dziki wrzask mochtara. Odwróciła się w kierunku, z którego dobiegał.

Zobaczyła, że między drzewami przemyka jakiś cień, po czym usłyszała kolejne strzały, które wkrótce zastąpił charakterystyczny odgłos szczękania pustego magazynku.

Gestem ręki zapewniła wieśniaka, że zaraz wróci. Usłyszała, że chłopiec woła coś do ojca, po czym zanosi się od kaszlu, czy może raczej od wymiotów, najwyraźniej ciężko rano-ny. Pobiegnęła ostrożnie przed siebie, kierując się w stronę miejsca starcia. Na ziemi leżał Salem, syn mochtara. Krwawił tuż poniżej ramienia. Rana znajdowała się niebezpiecznie blisko górnej części płuc. Zakasłał krwią, co potwierdziło, że kula musiała je przebić i że rana była naprawdę poważna. Obok syna stał mochtar. Jego twarz wykrzywiały lęk i gniew. Drżące dłonie zaciskał wokół karabinu. Celował nim w stronę gęstych drzew, które wyrastały w odległości jakichś dziesięciu metrów przed nimi.

- Tam! - bąknął, wskazując je karabinem, tak jakby widział wśród nich osaczoną ofiarę. - Chodź.

Ruszył ostrożnie przed siebie, broń trzymając prosto przed sobą. Mia podążyła za nim.

Krok po kroku minęli kilka drzew, aż wreszcie dotarli do dwóch ciężkich i niezdarnych pni.

Corben leżał na ziemi, plecami oparty o jeden z nich. Był ranny, kula trafiła go w brzuch. Jego koszula była przesiąknięta krwią, a on sam ciągle trzymał w rękach bezużytecznego kałasznikowa.

Pustymi oczami spojrzał na mochtara. Mężczyzna zaklął ostro pod jego adresem, trącił

go groźnie strzelbą i nagle wpadł w szał. Zaczął wrzeszczeć głośno i piskliwie, przygotowując się do wpackowania kuli w głowę Corbena.

Mia stanęła przed nim, zasłaniając Corbena i krzyknęła:

- Nie!

Mężczyzna był siny z wściekłości: wrzeszczał coś po kurdyjsku, wskazując ręką za siebie na rannego syna i obrzucając krwawiącego agenta kolejnymi obelgami. Mia raz za razem krzyczała do niego „Nie!” machając z gniewem rękami, aż wreszcie złapała za lufę karabinu i odsunęła ją.

- Wystarczy - krzyknęła. - Wystarczy już. Facet dostał. A twój syn jest ranny. Jeden z twoich ludzi też. Potrzebują pomocy.

Mochtar niechętnie przechylił karabin w dół i jeszcze raz spojrzał krzywo na Corbena, po czym skinął głową.

Patrzyła, jak się odwraca i rusza z powrotem w stronę cieni. Uklękła przy Corbenie i zabrała mu AK-47.

- Już go nie będziesz potrzebował, prawda? - powiedziała. Skinął głową, wpatrując się w nią oszołomionym wzrokiem.

Mia sprawdziła ranę. Kula utkwiała w brzuchu. Trudno było powiedzieć, co uszkodziła po drodze. W okolicy rany znajdowało się mnóstwo organów, a większość z nich pełniła w organizmie ważne funkcje.

- Bardzo boli? - zapytała.

- Nie... aż tak - powiedział, krzywiąc się.

Niezależnie od tego, w co trafiła kula - w żołądek, wątrobę, nerkę czy jelita - raną trzeba się było szybko zająć. Postrzały w brzuch prawie zawsze były bardzo groźne. Mia z ilości krwi wywnioskowała, że najprawdopodobniej tętnica główna nie została uszkodzona, ale nawet jeżeli rzeczywiście tak było, bez natychmiastowej pomocy mogło to co najwyżej przedłużyć Corbenowi życie o kilka minut w stosunku do tego, co pozostało mu, jeśli było inaczej.

- Musimy cię zabrać do wioski.

Skinął słabo głową, ale rysujące się w jego oczach ponure pogodzenie się z losem podpowiedziało Mii, że zdaje sobie sprawę, że nigdy już jej nie zobaczy.

Mochtar wrócił pędem do niej. Ścisnął w rękę wodze konia, jednego z tych, na których przyjechał z Corbenem.

- Po waszych koniach nie ma śladu - wyjąkał. - Został nam tylko ten.

Mia obrzuciła wzrokiem otaczające ich ciemności. Rzeczywiście nie dostrzegła żadnego.

Jęknęła przygnębiona.

- Twój syn wymaga natychmiastowej pomocy medycznej. A ten drugi mężczyzna z wioski...

- Shaker, mój kuzyn. Nie żyje - głosem równie posępnym, jak otaczający ich las, poinformował ją mochtar.

Mia skinęła głową. Wiedziała, co trzeba zrobić.

- Zabierz konia i jedź z synem. Zmieście się obaj w siodle. Zostanę tutaj z Corbenem.

- Nie mogę cię tak zostawić - sprzeciwił się mochtar. - Możemy załadować go na konia i razem pójść obok.

- Nie ma czasu. Jemu trzeba szybko pomóc.

Mochtar pokręcił: ł z rozpaczą głową.

- Przyjechałaś po o mnie, żeby mnie uratować.

- Jedź więc szybko i sprowadź pomoc - powiedziała upartym głosem. - Już!

Mochtar wpatrywał się w nią przez chwilę, tak jakby rejestrował jej twarz w pamięci, po czym skinął głową.

- Pomogę ci rozpalić ogień.

- Nie, jedź już. Dam sobie radę.

Spojrzał na nią oczkami pociemniałymi od wyrzutów sumienia. W końcu, z oporem, poddał się. Rzucił raz jeszcze wściekle okiem w kierunku Corbena, po czym poprowadził konia w stronę leżącego nieco dalej syna.

Podzielili między siebie zapalniczki, pochodnie - mochtar musiał oświetlić sobie czymś drogę - i koce, które udało im się odzyskać. Chwilę później mochtar posadził syna w siodle, usadowił się za nim i z ciężkim sercem machnąwszy je jeszcze raz trzymaną w dłoni pochodnią, odjechał. Mia, która również ścisnęła w rękę pochodnię, obserwowała go, wbijając rozpaczliwie wzrok w zanikającą w dali postać tak długo, aż wreszcie całkowicie pochłonęły ją ciemności.

ROZDZIAŁ 72

Jeszcze raz sprawdziła ranę Corbena. Niewiele mogła dla niego zrobić poza dopilnowaniem, żeby było mu ciepło. Czując, że jej kości przeszywa dziwny dreszcz, ruszyła na poszukiwanie ciał obu wieśniaków. Znalazła najpierw jednego, potem drugiego. Obaj leżeli martwi na zimnej ziemi. Na wszelki wypadek sprawdziła im puls. Poczowała, że ze wściekłości na Corbena i jego lekkomyślne postęпки w gardle zbiera jej się żółć. Roztrzęsionymi rękami, z ogromnym poczuciem winy, zdjęła z jednego z ciał kurkę, po czym zaniósła ją Corbenowi i przykryła go. Potem wzięła się za rozpalanie ogniska. Zimowe deszcze jeszcze się nie rozpoczęły, więc gałązki i gałęzie, które znalazła, były suche i łamliwe. Udało jej się rozpalić naprzeciw drzewa, o które opierał się Corben, całkiem przyzwoity ogień, zgromadziła też obok stos zapasowego drewna, którym miała zamiar go podsycać.

Zastanawiała się, jak długo będzie musiała czekać na nadejście pomocy. Biorąc pod uwagę, że dotarcie do tego miejsca zajęło im blisko dwie godziny, obliczyła, że zanim ktokolwiek się pojawi, musi minąć co najmniej dwa razy tyle czasu, może nawet więcej, zważywszy że jeźdźcy będą musieli poruszać się nocą - zakładając, że podejmą próbę teraz, a nie zaczekają do rana. Pomyślała tęsknie o Evelyn i Tomie, i rozlała się po niej fala ciepłych uczuć.

Wiedziała, że nie będą czekać do rana, choć z drugiej strony nie chciała, żeby znowu narażali się na niebezpieczeństwo.

Resztki adrenaliny, jakie utrzymywały ją przy życiu, powoli zaczęły ustępować wyczerpaniu - zarówno fizycznemu, jak i umysłowemu. Podała się i opadła na ziemię obok Corbena. Przez chwilę leżeli po prostu w milczeniu, wpatrując się w ognisko, słuchając, jak skwierczy i trzaska, obserwując, jak promienie liżą, ogarniają, ściągają w dół i wreszcie pochłaniają gałązki.

- Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jak wychodzę z pokoju na drinka z mamą - odezwała się w końcu Mia. - Jak to się stało, że skończyliśmy w tym miejscu?

Corben przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- To przez takich dupków, jak hakim. I ja. W jego głuchym głosie pobrzmiwał żal.

Mia odwróciła się do niego.

- Tak bardzo tego chciałeś? Wzruszył ramionami.

- Coś takiego przebija właściwie wszystko, prawda? - Skrzywił się. - Wszystko, z wyjątkiem kuli w brzuchu.

- Zabiłeś Faruka?.

Corben nieznacznie skinął głową.

- Był poważnie ranny, ale... tak.

- Dlaczego?

- Przez chciwość. I instykt samozachowawczy. - Przemyślał własne słowa. - Głównie chciwość. - Dźwignął się trochę, chcąc spojrzeć jej w twarz. - Nie jestem dobrym człowiekiem, Mio. Nie wyszkolono mnie, żebym był dobry. Wyszkolono mnie, żebym był skuteczny.

Żeby rozwiązywać problemy. Robiłem mało chwalebne rzeczy, czasem nawet naprawdę pa-skudne, a moi szefowie byli zadowoleni. - Pokręcił głową z poczuciem winy. - Wydaje mi się, że gdzieś po drodze doszedłem do wniosku, że mogę robić to samo na własną rękę.

- Więc moja matka, ja... Byliśmy po prostu... Czym właściwie? Środkiem do celu?

Corben pokręcił słabo głową.

- Nie miałem w głowie gotowego planu. To wszystko mnie, nas, trochę zaskoczyło, wciągnęło. Coś się dzieje, pojawia się możliwość i wchodzisz w to. Ale przez cały czas ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, to żeby cię narażać na niebezpieczeństwo, żeby coś ci się stało.

Naprawdę. I bez względu na moje intencje, przez cały czas byłem przekonany, że jak tylko będzie to możliwe, uwolnię twoją matkę. Tyle że w mojej branży pierwszą rzeczą, jakiej się uczysz jest, że rzadko cokolwiek dzieje się zgodnie z planem. - Zakasłał. Na jego ustach pojawiła się krew, którą starł wierzchem dłoni. Spojrzał na Mię. - Wiem, że to nie ma znaczenia, ale... - Pokręcił głową, tak jakby nie chciał tego mówić. - Przepraszam. Za wszystko.

W tym momencie cichym nocnym powietrzem wstrząsnęło przyprawiające o dreszcz wycie. Był to skowyt wilka, bez najmniejszych wątpliwości. Wkrótce odpowiedział mu kolejny przeciągły jęk, odbijając się echem wokół Mii i Corbena.

Nie wilka.

Wilków.

One nigdy nie polowały w pojedynkę.

Żołądek Mii nagle skręcił się z przerażenia. Jej oczy spoczęły na Corbenie. On również usłyszał wycie.

- To krew - wyjaśnił ponurym głosem Corben, wyprostowując się. - Wyczuły ją.

Powietrze przeszył kolejny skowyt, tym razem bliżej.

„Jak szybko się poruszają?”

Mia się podniosła, wytężając oczy i uszy.

- Karabiny - wymamrotał Corben. - Przynieś karabiny.

Mia zerwała się na nogi i wyciągnęła z ogniska płonąca żagiew. Na miękkich jak z waty nogach pobiegła w stronę miejsca, gdzie jak zapamiętała, upadł syn mochtara. Wydawa-

ło się jej, że widziała, jak mochtar odkłada tam strzelbę chłopca. Pistolety maszynowe leżały również obok martwych wieśniaków, ale było do nich znacznie dalej i Mia nie była pewna, czy może zaryzykować tak daleką wyprawę.

Ruszyła ostrożnie przed siebie, machając płonąca gałęzią na lewo i prawo oraz przeczesując wzrokiem ciemności w poszukiwaniu choćby śladu drapieżników. Po chwili dostrzegła starą myśliwską strzelbę, opartą jak talizman o drzewo, pod którym leżał syn mochtara.

Podeszła do niej i w momencie, kiedy sięgnęła ręką, by za nią złapać, zauważyła czające się w mroku szare kształty. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Obserwowała, jak skradają się, wbijając w nią wzrok. Gwałtownym ruchem wysunęła w ich stronę gałąź, zmuszając je do uskokoczenia i wycofania się o krok, ale niełatwo było je nastraszyć. Po chwili znowu się przybliżyły, groźnie obnażając zęby. Ich pokryte lśniąca sierścią ciała były napięte z wyczekiwa-nia.

Zebrała się w sobie i przecięła gałęzią powietrze, krzycząc na wilki i jednocześnie ostrożnie zbliżając się do strzelby. Złapała ją wolną ręką - ważyła o wiele więcej, niż się spodziewała - podniosła i zaczęła się wycofywać, plecami zwróciwszy się w stronę ogniska i machając gwałtownie wokół siebie żagwią. Dobiegł do niej jakiś skowyt i gniewne warknięcia, i trzy wilki, które ją śledziły, pomknęły w stronę ciemności. Usłyszała, że gorączkowo się na coś rzucają i zdała sobie sprawę, że znalazły martwe ciała wieśniaków.

Popędziła z powrotem do Corbena, nie czekając, aż bestie nabiorą ochoty na coś więcej. Udało mu się podnieść: siedział na poły w kucki, plecami zwrócony do ogniska, z płonąca gałęzią w ręku. Mia przekazała mu broń.

- A co z automatami?

- Nie mogłam się do nich dostać - powiedziała drżącym ze strachu głosem.

Corben przyjrzał się strzelbie i zmarszczył brwi. Był to rosyjski karabinek SKS, stanowiący kiedyś część wyposażenia irackiej armii. W jego magazynku mieściło się dziesięć naboju. Corben przypomniał sobie, że słyszał, jak dwa z nich poszybowały w powietrze, trzeci wbił się w jego własny brzuch, co oznaczało, że w środku było jeszcze sześć naboju, jeśli oczywiście strzelba była w pełni naładowana. Pomacał dłonią pod lufą. Ku swojemu rozczarowaniu zorientował się, że składany bagnet, w modelach wojskowych zazwyczaj przymocowany na stałe, został usunięty.

Mia obserwowała go kątem oka.

- Co mamy?

- Siedem kul, co najwyżej - wyjaśnił ponuro.

Wkrótce ciemności wokół nich zaroily się od upiornych kształtów. W ich oczach migotały złote błyski płomieni. Zaczęły krążyć wokół Mii i Corbena niczym jakiś legion z piekła rodem, przecinając sobie spokojnie nawzajem drogę, tak jakby się namawiały i planowały atak. Kłapały szczękami i

obnażały kły, szydząc ze swoich ofiar, rzucając się do przodu i równie szybko się wycofując, bawiąc się z nimi, sprawdzając ich reakcje.

Mia rzuciła się w ich kierunku, czując, że pochodnia pali ją w oczy, a płomień gorzejącego ogniska niemal liżą ją po plecach. W jej nozdrza wbił się cuchnący zapach bestii.

- Nie damy rady powstrzymać ich w nieskończoność - syknęła do Corbena. - I jest ich więcej niż siedem.

Corben właśnie zastanawiał się nad tym samym.

Oczami przeczesywał obrzeża rozpalonego kręgu, starając się ocenić z jaką liczbą wilków mają do czynienia. Z tego co widział, było ich dziesięć może dwanaście. A przynajmniej tyle dostrzegł w pierwszej linii.

Był coraz słabszy. Siły tak naprawdę dawno go już opuściły, wiedział też, że długo nie utrzyma się na nogach. Kilka drapieżnych bestii postanowiło nacisnąć ich trochę mocniej i rzuciło się w jego kierunku, szeroko rozdziawiając pyski, w których było widać łapczywie ociekające śliną języki. W świetle ogniska rozbłysły ostre kły. Corben dźgnął powietrze gałę-

zią, starając się przy tym nie wywrócić. W uszach słyszał ogłuszające uderzenia swojego pracującego na ostatnich obrotach serca. Wilki z łatwością uniknęły płomieni, wycofując się szybko i zręcznie. Jeden z nich, jakby wyczuwając słabnące w Corbenie siły życiowe, postanowił dobić ofiarę i rzucił się na niego, rozcapierzając szeroko łapy i szczęki i celując nimi w szyję agenta. Corben wypalił. Kula dosięgła wilka w połowie lotu, zaskowyczał i upadł u jego stóp jak worek z piaskiem. Druga bestia natychmiast postanowiła wykorzystać okazję i skoczyła na Corbena, który powstrzymał ją kolejnym strzałem. Wydawało się, że strzały i nagła śmierć towarzyszy wystraszyły na chwilę pozostałe wilki, które wycofały się, znikając stopniowo w ciemnościach.

- Jesteś cały? - zapytała Mia, wbijając ciągle oczy w prześladowające ich cienie.

Corben ledwie mógł ustać na nogach. Zamykały mu się oczy. Wydawało mu się, że opada w jakąś zapierającą dech w piersiach otchłań.

- Bez automatów nie damy rady - wydusił przez zaciśnięte zęby. W środku zaczynał

go palić jakiś płomień, ostrzejszy niż gorąco bijące od ogniska. - Gdzie jest najbliższy?

- Tam. - Mia wyciągnęła rękę w kierunku, gdzie leżał martwy wieśniak. - Ale to za daleko, nie dosięgniemy go, mówiłam ci.

- Nie mamy wyboru. Nie załatwię reszty garścią kul, które zostały w tym złomie. Jeśli nie spróbujemy, to i tak jesteśmy już martwi. Ogień w końcu zgaśnie. A one nas po prostu wymęczą, tak właśnie robią. Nie wiem jak ty, ale ja nie mam ochoty skończyć jako karma dla wilków.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Mia. Ze strachu zaschło jej w ustach.

- Wyciągnij dwa duże konary. Największe, jakie jesteś w stanie unieść. Pójdziemy tam ramie w ramie Rób krok za krokiem i trzymaj wilki na dystans. Jeśli będę musiał, użyję kul, które mi pozostały. Jeżeli uda nam się dotrzeć do jednego z pistoletów, myślę, że je załatwię.

Co ty na to?

- A dojdiesz tam?

Corben otarł z twarzy spływające po niej kropelki potu.

- Nigdy nie czułem się lepiej. - Uśmiechnął się. - To jak?

Mia podchwyciła jego wzrok. Niezależnie od tego, co zrobił lub jakie były jego intencje, mimo wszystko kilka razy uratował jej życie i być może, po prostu być może, właśnie miał zamiar zrobić to ponownie. Koniec końców, miało to pewne znaczenie.

- Idziemy - wydusił z siebie, kaszląc krwią. - Młodość nie wieczność - dodał z ironicznym błyskiem w oku.

Mia nachyliła się do ogniska i wyciągnęła z niego dwa duże, płonące polana.

Skinęła głową do Corbena.

- Ty prowadzisz, ale trzymaj się blisko - powiedział.

Oparli się o siebie plecami i ruszyli: powoli, bokiem, oddalając się stopniowo od ogniska, zmierzając w kierunku dalekiej głębi i wymachując we wszystkie strony pochodniami, rysując wokół siebie ochronny pierścień ognia. Krok po kroku zbliżali się do miejsca, w któ-

rym leżał jeden z wieśniaków. Ich osłabionych umysłów uczeplił się obraz poszarpanego przez wilki ciała martwego mężczyzny. Wszędzie wokół nich kłapały szczękami i warczały bestie, rzucając się do przodu i wycofując, biegając dookoła z oczami utkwionymi w swoich ofiarach.

W niewyraźnym świetle pochodni Corben zauważył postrzępione zwłoki wieśniaka, a tuż obok nich błysk lufy AK-47.

Jego nogi zaczynały się poddawać, ale zmusił je do wytrzymania jeszcze chwilę i podejmując iście herkulesowy wysiłek, zdołał dotrzeć do leżącego na ziemi pistoletu maszynowego.

- Trzymaj je ode mnie z daleka, a ja sprawdzę broń - wydusił z siebie, sięgając ręką w dół i podnosząc pistolet. Wydawało się, że w jego rękach waży tonę. Jęknął i się wykrzywił, starając się wyprostować, po chwili jednak odzyskał równowagę i wysunął magazynek, naci-skając palcami na pierwszy nabój. Sprawdził ładunek.

- I jak? - zapytała z rozpaczą w głosie Mia.

- Nie jest źle - odparł, ledwo utrzymując równowagę. Nastawił pistolet na półautomat i odwrócił się

trochę, by spojrzeć Mii w twarz. Patrzyła na niego wzrokiem, w którym było wi-dać nerwowe wyczekiwanie.

- Weź to - powiedział, przekazując jej strzelbę. - Załatwię ich tyle, ile się da, ale gdyby mnie dopadły, musisz je tym wykończyć. Jest odbezpieczona. Po prostu wyceluj i naciśnij, w porządku?

Jakoś udało jej się uśmiechnąć. Otworzyła usta, tak jakby chciała coś powiedzieć, ale Corben wiedział, że nie był to najlepszy moment. Mia również to wiedziała.

Bestie ogarnęło podekscytowanie. Musiały wyczuć, że zbliża się ostateczna konfrontacja i rzeź. Nagle jedna z nich złączyła tylne nogi i skoczyła na Corbena. Agent nacisnął spust i wilk zatrzymał się w powietrzu, po czym opadł martwy na ziemię. Pozostałe uznały to za sygnał do ataku.

Corben wypuścił kilka kolejnych kul, obracając pistolet w lewo i w prawo, siejąc wśród wilków śmierć. Jego ciało poruszało się właściwie siłą samego rozpędu - każdy strzał

kosztował go sporo wysiłku, siła odrzutu ciskała jego ciałem do tyłu o Mię, a jego palce zacisnęły się śmiertelnie wokół uchwytu broni i magazynku. Wilki padały jeden za drugim, zatrzymując się w powietrzu jakby uderzał w nie jakiś niewidzialny młot albo jakby trafiały na nieistniejącą szklaną barierę, zwalając się na ziemię i układając na niej w stos futra, kości i krwi.

Kiedy u stóp Corbena kłapały szczękami już tylko dwa wilki, iglica pistoletu nagle z głośnym stukiem uderzyła o pustą komorę. Jeden z wilków skoczył na niego. Corben obrócił

w górę drewnianą kolbę kałasznikowa i strząsnął nią z siebie bestię. Ta jednak prawie natychmiast zerwała się znowu, tak jakby uderzył ją co najwyżej zrolowaną gazetą. Zanim zdążyła się przygotować do kolejnego frontalnego ataku, Corben przesunął szybko w dłoniach pistolet maszynowy, złapał go za lufę jak topór i uderzył nim z całej siły bestię - raz, drugi, aż nieruchome powietrze przecięło rozpaczliwe skomlenie zwierzęcia.

- Jim - usłyszał okrzyk Mii, ale zanim zdążył się odwrócić, ostatni wilk zaatakował go od tyłu. Poczul, że jego zęby wbijają mu się w szyję, a szpony rozrywają skórę na plecach. W

tym samym momencie pierwszy wilk jakby ozdrowiał, okręcił się wokół siebie i dołączył do towarzysza. Pistolet wypadł Corbenowi z rąk. Nagle poczul jakby ziemia spod stóp uniosła się.

Upadł. Ból był niesamowity - wilki zaczęły ze wszystkich stron rozszarpywać jego ciało - ale właściwie był na niego nieczuły, bo jego wyczerpane neurony nie potrafiły już przekazywać żadnych wrażeń do półzywego mózgu. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że usłyszał strzał, potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i ruchy nad nim zamarły, tortury zelzały, a zęby i szpony, które wdzierały się w jego ciało, zastygły w miejscu.

Przetoczył się na plecy i poczul, jak ciemnieje mu w oczach. Zobaczył niewyraźny kształt Mii, która stęknęła, szarpiąc za bestie jeszcze przed chwilą wgrzyzające się w jego cia-

ło, i ściągnęła je z niego, a potem zobaczył jej twarz majaczącą nad nim, wpatrującą się w niego z przerażeniem i smutkiem, i po chwili na jego wargi zaczęły skapywać wydobywające się z jej oczu

lzy, których słony smak wydawał się reanimować wchłaniające je martwe ko-mórki, jej delikatne palce musnęły jego twarz i odgarnęły coś z czoła, jej usta zaczęły się poruszać i mówić coś, czego nie był w stanie pojąć, wokół jej anielskiej twarzy zamigotała hipnotyzująca aureola odległych gwiazd, a on pomyślał, że to całkiem niezła śmierć, lepsza niż jakakolwiek inna, której się spodziewał czy na którą, swoim zdaniem, zasługiwał. Być może nawet udało mu się przywołać na wargi uśmiech, ale nie był tego pewien, bo w końcu wchłonał w siebie ostatni ciepły łyk majaczącego przed nim cudownego eliksiru, coraz szybciej zamieniającego się w ciemność, i wszystkie uczucia opuściły jego wyniszczone ciało.

ROZDZIAŁ 73

Mia przez długą chwilę po prostu siedziała przy Corbenie, nawet się nie ruszając. Jej ciałem wstrząsało drzenie, którego nie była w stanie powstrzymać, a oczy wpatrywały się w ciemność, unikając wzgórków tworzonych przez martwe ciała ludzi i bestii, rozrzucone wokół

niej po ziemi. W końcu, stwierdziwszy, że pochodnia, którą ciągle ścisnęła w rękę, dogorywa, wstała i powlokła się w stronę ogniska. Nawet nie rozejrzała się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy gdzieś tam nie czają się kolejne wilki - była zbyt znużona, wyczerpana i zubożona -

ła, by się tym przejmować.

Nic jednak po nią nie przyszło.

Zdrętwiałymi rękami dorzuciła drewna do ogniska, po czym skuliła się, oparłszy się o drzewo, pod którym leżał Corben, i schowała twarz w dłoniach.

Do świtu było jeszcze daleko. Straciła poczucie czasu, ale wiedziała, że czeka ją długa noc. Nigdzie się nie wybierała. Zostanie tutaj, przykuta do tego miejsca, aż ktoś - albo coś -

przyjdzie i ją zabierze.

Przez ciszę przebiło się jakieś samotne, odległe wycie.

Nikt ani nic mu nie odpowiedziało.

Głos wyjącego stworzenia był pełen smutku, tak jakby lamentował nad tyloma zmar-nowanymi zyciami, nad monsunem śmierci, który skropił obficie spieczoną ziemię gór.

I wtedy je zobaczyła.

Dalekie światła, migoczące tu i tam między drzewami, powolny konwój wijącym się ruchem zmierzający w jej stronę.

Wyteżyła wzrok, pragnąc się zorientować, kto lub co się do niej zbliża, ale pochód był

za daleko. Zniknął za załomem skały i po kilku minutach pojawił się ponownie, już nieco bli-

żej. Cicha, milcząca procesja powoli pokonywała odległość dzielącą ją od Mii. Kiedy wreszcie pojawiła się w zasięgu jej wzroku, Mia dostrzegła kilkoro jeźdźców, sześciu, może więcej, trzymających w rękach płonące pochodnie i latarnie oliwne.

Nikogo nie rozpoznała. Pomyślała, że nie są z Nerva Zhoru - w zamieszaniu po wybuchu helikoptera spotkała tam mnóstwo wieśniaków. I nagle zobaczyła znajomą twarz mochtara, który zeskoczył z konia i podszedł do niej ze znużonym uśmiechem, trzymając w ręku koc.

Owinął ją nim i poprowadził do czekającego na nią konia. Pozostali przybysze w pełnym szacunku, ale również zaciekawienia milczeniu obserwowali każdy jej ruch.

ROZDZIAŁ 74

Filadelfia, grudzień 1783 roku

W niewielkim, ale wygodnym pokoju trzaskał ogień w kominku. Theresia wyjrzała przez okno. Drzewa na zewnątrz pokrywała cieniutka warstwa śniegu, którego płatki migotały skąpane w księżycowej poświacie, ześlizgując się delikatnie w stronę miejsca swojego spoczynku.

Wiedziała, że nie wróci.

Wiedziała to już na nabrzeżu w Lizbonie, prawie dwadzieścia lat wcześniej.

„Czy to naprawdę było tak dawno temu?”

Przez umysł Theresii zaczęły przelatywać wspomnienia i na jej twarzy pojawił się słodko-gorzki uśmiech.

Theresia nie chciała, żeby Sebastian wyjeżdżał, ale wiedziała, że musi. Lata spędzone w Lizbonie, kiedy mieszkała z nim, podróżowała, uczyła się i kiedy oczywiście wspólnie wychowywali swojego młodego syna, były najszczęśliwszym, najbardziej udanym okresem w jej długim życiu. Nie chciała, by to się skończyło, pragnęła rozpaczliwie, by z nią został albo by zabrał ją i Miguela ze sobą, ale zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe. Musiał podążać za swoim przeznaczeniem, a ona musiała zapewnić ich synowi bezpieczeństwo.

Kiedy ją opuścił i kiedy przepłynęła się przez ocean, okazało się, że ich syn - tak jak Sebastian obiecał - rzeczywiście był już bezpieczny. Od momentu, kiedy osiedlili się w Filadelfii, nikt nie niepokoił ani jej, ani Miguela - czy raczej Michaela. Miasto Braterskiej Miłości zasługiwało na swoją nazwę. Ostatnie lata były w nim wprawdzie burzliwe - tak to zwykle bywa w czasie rewolucji - ale na szczęście Michaelowi i jej udało się przeżyć zamieszki, a teraz, kiedy został podpisany traktat paryski, wszystko wskazywało na to, że najgorsze było już za nimi.

Niestety, powoli zaczynało ją dręczyć pytanie, na jak długo starczy jej życia, by cieszyć się tym spokojem. Niepokoiły ją niewielkie, twarde grudki, które pojawiły się pod jej ramionami i w lewej piersi. Chłubiła się niezależnością i fizyczną kondycją, jakie udało jej się utrzymać w ciężkich czasach konfliktu. Jako sześćdziesięcioletnia wdowa - drobne kłamstwo, które po jej przybyciu do

nowego miasta mieszkańcy bez problemu zaakceptowali - nie mogła cieszyć się lepszym zdrowiem. Jednak od chwili, gdy odkryła te grudki, budząc się każdego ranka zaczęła odczuwać zmęczenie w kościach i ciężar w głowie, które wywoływały u niej napływający falami niepokój. Wiedziała, że krew, którą zauważyła w zeszłym tygodniu, gdy odkaslnęła, nie była pomyślną wróżbą.

Nie zostało jej zbyt wiele czasu.

Zastanawiała się, jak się trzyma Sebastian. Wyobrażała sobie, że pije ciągle swój de-stylat i uśmiechała się w duchu na myśl o tym, że od czasów, z których go zapamiętała, zmienił się tylko odrobinę. W cienkim szkle okna zerknęło na nią odbicie jej własnej, pomarszczonej twarzy i Theresia poczuła, że z całych sił życzy mu sukcesu. Jakże cudowny byłby to dar.

Najcenniejsze z odkryć... nawet jeżeli kosztowało ją ono miłość jej życia, a Michaela - ojca.

Zobaczyła, że jej syn pojawił się w bramie i zbliża do domu. Wyrósł z niego przystojny młody mężczyzna. Poradził sobie doskonale w trudnych czasach, razem z matką współpracując z wysłannikami z Francji, którzy wspomagali skierowany przeciw Brytyjczykom wojenny wysiłek. Niezaprzeczalnie był obdarzony talentem dyplomatycznym i organizacyjnym, i obserwując jego działania w czasie konfliktu, Theresia wyobrażała sobie, że w przybranej ojczyźnie czeka go wspaniała przyszłość. Ale z każdym mijającym dniem coraz bardziej przypominał jej Sebastiana. Widziała to w jego oczach, w jego postawie, a nawet w tak drobnych szczegółach, jak to, w jaki sposób trzyma pióro. Kiedy więc z chłopca wyrósł mężczyzna, zdała sobie sprawę, że nie może dłużej lekceważyć jego wyjątkowego pochodzenia.

Nie mogła też lekceważyć dziedzictwa jego ojca.

Obiecała Sebastianowi, że nigdy nie powie chłopcu, co sprawiło, że jego ojciec musiał

ich opuścić. Sebastian kazał jej to sobie obiecać, a ona wtedy była przekonana, że to rozsądne żądanie. Pragnął, by jego syn wiódł normalne życie. Nie chciał, by wpadł w zasadzkę tego samego przekleństwa, które i jego wciągnęło w swoje sidła. To było jego brzemię - a nie jego syna.

Nie mogła jednak dłużej dotrzymać tej obietnicy.

Była to winna Sebastianowi. Jego pamięci i jego dziedzictwu. Jeśli miał umrzeć daleko od niej, samotnie, na jakiejś obcej ziemi, musiała chociaż spróbować sprawić, by jego śmierć nie poszła na marne.

Gdzieś głęboko w środku była przekonana, że Sebastian by sobie tego życzył.

- Matko?

Usłyszała, jak Michael zdejmuje buty i idzie przez dom, żeby dołączyć do niej w salonie. Odwróciła się do niego. Na widok jego rozpromienionej twarzy ból w jej kończynach ustąpił. Zauważyła, że zdziwił się na jej widok, i że jego wzrok opadł na starą księgę z wytłoczonym na skórzanej oprawie dziwnym okrągłym symbolem, którą przyciskała do piersi.

- Muszę ci o czymś opowiedzieć - wyjaśniła mu, zapraszając syna, żeby do niej dołączył.

ROZDZIAŁ 75

Mia poruszyła się na wąskim łóżku. Pokój był skąpany w promieniach słońca. Ciągłe czując zmęczenie i dziwny tuman w głowie, uniosła się na łokciach i rozejrzała. Powitała ją cisza oraz ręcznie wykończone ściany, proste dębowe meble i wiszące w oknie firanki. Spró-

bowwała rozjaśnić umysł. Zachmurzone, wymieszane ze sobą obrazy powoli zaczęły w jej głowie nabierać ostrości. Przypomniała sobie, że jechała na koniu nocą w niewielkim konwoju, zostawiając za sobą pokiereszowane ciała. Przypomniała sobie ukradkowe spojrzenia towarzyszących jej mężczyzn i kobiet oraz mochtara, który jechał bezpośrednio przed nią, obserwując ją uważnie i w każdej chwili gotów ją wesprzeć, gdy krętą ścieżką poruszali się zboczem góry, docierając wreszcie do jakiejś nieznannej Mii wioski. Przypomniała sobie, że wprowadzono ją do jednego z domów, usadzono przy rozpalonym palenisku za chwiejącym się stołem kuchennym i zaproponowano gorący ziołowy napar o dziwnym smaku, że kiedy wychylała go z wdzięcznością, mochtar i jakaś para starszków obserwowali ją z życzliwym zainteresowaniem.

Czuła, że ma lekkiego kaca. Domyśliła się, że podali jej jakiś środek uspokajający, co zresztą jej zdaniem było bardzo dobrym pomysłem. Ciężar w głowie wkrótce zaczął ustępować. Na krześle przy niewielkim oknie zostawiono dla niej bawełnianą bieliznę oraz beżową sukienkę, delikatnie haftowaną wokół kołnierza i długich rękawów. Na podłodze stały moka-syny z owczej wełny. Wsunęła w nie stopy, otworzyła okno, odchyliła drewniane okiennice i poczuła na zmęczonej skórze kojący i ciepły dotyk słońca.

Wyrzała na zewnątrz. Znajdowała się w jednym z kilku niskich domków postawionych na dnie doliny. Zbudowano je częściowo z suszonej cegły, częściowo z kamienia i pokryto podobnymi strzechami, jak w wiosce Jezydów. Za niewielką osadą majaczyły pola i zadbane łąki, przysypane warstwą wczesnozimowej gleby, ciągnące się aż do stóp otaczających do linę gór o postrzępionych szczytach.

Wyszła z pokoju. We wnętrzu domu nie zastała nikogo. Minęła kuchnię i wyszła przez drzwi na zewnątrz. Powietrze było zaskakująco ciepłe, wyraźnie inne niż w ścietych nocnym chłodem wyższych partiach gór. Mia usłyszała jedynie lekką bryzę szeleszczącą gałęziami drzew pistacjowych oraz szemranie i trele niewielkich ptaków. Panujący wokół całkowity spokój stanowił ostry kontrast w stosunku do zgiełku, jaki wypełnił poprzedni dzień - i noc.

Objęła się ramionami i ruszyła spacerkiem przez wąską ścieżkę, mijając kilka domków i oborę. Wioska miała w sobie coś sielskiego, coś uspokajającego - co w tym momencie działało na Mię niezwykle kojąco. Przypomniały jej się wioski amiszów - ich schludna, bezpretensjonalna prostota i szlachetne odosobnienie. Spotkała jakąś rodzinę - rodziców i dwóch kilkunastoletnich chłopców - rozładowującą drewno z ciągniętego przez konia wozu.

Uśmiechnęli się do niej uprzejmie i wrócili do pracy. Przeszła jeszcze kawałek ścieżką i zauważyła

dwie kobiety, które prowadziły muła dźwigającego kosz z chlebem. Nie zatrzymując się, pozdrowiły ją życzliwym spojrzeniem i lekkim skinieniem głowy.

Szła dalej, wchłaniając w siebie spokój i czyste górskie powietrze, czując, że wraca do życia. Z prawej strony usłyszała jakieś słabe głosy. U stóp niewielkiej skały stali ludzie po-grażeni w rozmowie. Zauważyła wśród nich mochtara, parę staruszków - tych samych, któ-

rzy, jak przypominała sobie mgliście, poprzedniego wieczoru poczęstowali ją napojem - oraz, ku swojej ogromnej uldze, stojących obok nich Evelyn i Webstera.

- Mamo? - zawołała. - Webster?

Póki co nie mogła się zmusić do myślenia o nim jako o „tacie”, ale wiedziała, że z czasem uda jej się do tego przyzwyczaić.

Odwrócili się i zauważyli ją. Rozpromienieni, zaczęli kiwać jej dłońmi, zapraszając do siebie. Pobiegła przez łąkę i dołączyła do nich. Stali obok niewielkiego stawu.

Wyściskała matkę, po czym z wahaniem, uważając na jego ranę, przytuliła również Webstera.

- Kiedy tutaj dotarliście? - zapytała uradowana.

- Przyjechaliśmy dzisiaj rano - wyjaśniła Evelyn. - Kaak Sulajman - wskazała na mochtara - był na tyle miły, że posłał po nas do wioski.

Mia przypomniała sobie, jak odjeżdżał na koniu z rannym chłopcem.

- Co z twoim synem? - zapytała łagodnie, mając nadzieję, że wszystko w porządku.

- Przeżyje - powiedział mochtar. W jego ciemnych oczach pojawił się błysk ulgi. -

Przeżyje - powtórzył, tak jakby tego rodzaju mantra mogła potwierdzić jego nadzieję.

Mia skinęła głową. Jej serce zaczęły bombardować okrutne wspomnienia poprzedniego wieczoru. Ojciec, tak jakby to wyczuwając, zwrócił jej uwagę na stojącą obok parę staruszków.

- To Munir i Arija - powiedział. - Twoi gospodarze.

Jego ruchy były powolne i niepewne. Skrzywił się, opuszczając rękę. Evelyn pospieszyła mu z pomocą, ujmując ją w swoje dłonie i przytrzymując. Staruszkowie uśmiechnęli się przyjaźnie do Mii.

- Dziękuję, że wczoraj w nocy po mnie przyjechaliście - powiedziała Mia. Wzruszyli skromnie ramionami. Zauważyła w ich zachowaniu pewnie napięcie i skrępowanie, które znajdowało również odbicie w postawie Webstera i jej mamy. Nagle przypomniała sobie, co przede wszystkim ich tutaj przywiodło, i czując przypływ podekscytowania, odwróciła się do Webstera.

- I jak? - zapytała. - Czy oni to mają? Pytałeś ich?

Cała dolina wydawała się nagle rozbrzmiewać nadzieją. Webster spojrział konspiracyjnym wzrokiem na staruszków, po czym popatrzył znacząco Mię, a potem na staw.

Podążyła za jego wzrokiem. Przez jej twarz przemknął wyraz zdumienia i nagle Mia zrozumiała.

- Czy to jest... to? - zapytała, wskazując ręką na staw. Webster uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, to jest to.

Staw nie wyróżniał się niczym szczególnym, wyglądał jak zwykłe płytkie jezioro wypełnione mętną wodą. Z jego powierzchni wyrastały kępki niskich roślin o drobnych li-

ściach.

Nachyliła się, pragnąc lepiej im się przyjrzeć.

- Co to jest?

- Nazywa się Bacopa - powiedział Webster. - Bacopa monniera . Znane jest również jako ziele wdzięku, dzięki czemu człowiek zaczyna się zastanawiać...

Zamilkł.

- Nazywamy je dżalnim - zaskakująco dobrym angielskim dodał Munir, pochylając się, zrywając jedną łodygę i wręczając ją Mii.

Mia musnęła palcami grube lśniące liście i przyjrzała się niewielkim białym kwiatkom rośliny. Poczła nagle radosne podekscytowanie. Serce jej zamarło.

- A co z... - zawahała się i spojrzała na nich. Najważniejsze pytanie uwięzło jej w gardle. - Czy Sebastian miał rację? - zapytała Webstera. - Czy to działa na... wszystkich?

Webster podchwycił jej wzrok i z iskierką bezgranicznej satysfakcji w oczach spokojnie skinął głową.

SIEDZIELI WOKÓŁ NIEWIELKIEGO KUCHENNEGO STOŁU i z apetytem pochłaniali naprędce przygotowany przez Ariję posiłek: owsiankę, ser, chleb i oliwki. Mia z całej siły starała się oderwać od kłębiących się w jej głowie pytań i zmusić do jedzenia, zdając sobie sprawę, jak bardzo jej ciało go potrzebowało.

Nie było to łatwe.

Siedziała na progu nowego świata.

Mochtar przekazał Munirowi wszystko, co Webster powiedział ha-kimowi nad grobem Sebastiana.

Wyjaśnił, w jaki sposób Webster i jego rodzice chronili sekret. Powiedział, że Webster jest wnukiem Sebastiana. Uspokoiło to Minura, przynajmniej na tyle, by sam mógł zgłębić historię Webstera.

- A co z tym bractwem, które spotykało się w podziemnych pomieszczeniach w Al-Hillah? - zapytała Evelyn. - Co o nich wiesz?

- Byli naszymi przodkami - odpowiedział Munir. - Tam właśnie wszystko to się zaczęło, w południowym Iraku, mniej więcej w połowie jedenastego wieku.

Pierwszym odkrycia dokonał mało znany uczony filozof o imieniu Abu Fares Al-Masboudi, który studiował u Ibn Siny Awicenny, po czym przeniósł się do Kufy.

Bagna południowego Iraku gęsto porastała wtedy B-copa. Podróżni z Indii opowiadali, że mieszkańcy tamtejszych terenów używali jej od wieków, choć oczywiście nie w postaci preparatu. Co rozbudziło jego ciekawość.

Webster zauważył w oczach Mii pytanie.

- To jak aspiryna, o której rozmawialiśmy - wyjaśnił jej. - Jeśli żujesz kawałek brzozywej kory, nie przyniesie to tego samego efektu. To skomplikowany proces chemiczny, ale wszystko zaczyna się od rośliny.

Munir skinął głową.

- Al-Masboudi sam zaczął jej zażywać i, uważając specyfik jedynie za leczniczy balsam, polecił go również swojej żonie oraz dwóm przyjaciółom i ich żonom. Po wielu latach wszyscy zaczęli na sobie obserwować jego efekty. Zdali sobie sprawę z jego działania. Utworzyli więc tajne bractwo, o którym mówiłaś. Zaczęli w nim dyskutować nad tym, co zrobić ze swoim odkryciem, czy ogłosić je ludzkości. Musicie pamiętać, że świat wyglądał wtedy zupełnie inaczej niż dzisiaj. Wszyscy chwalili się swoimi cudownymi wynalazkami, ale poważ-

ne eksperymentowanie od tego, by zostać ogłoszonym czarnoksiężnikiem i wygnanym - lub nawet gorzej - dzieliła niezwykle cienka linia.

- Studiowaliśmy ich pisma - powiedziała Evelyn, patrząc na Webstera. - Czy byli oni jakoś związani z Braćmi Czystości?

- Jeden z kolegów Al-Masboudiego należał do bractwa - potwierdził Munir, kiwając z uznaniem głową. - Zastanawiali się wspólnie, czy wtajemniczyć braci w swoje odkrycie, ale ostatecznie postanowili zachować je dla siebie - do momentu, kiedy uzyskają pewność, że żaden z rządzących nie będzie go nadużywał. W ówczesnym Iraku, rządzonym przez kalifa Al-Kaima, panował niemal taki zamęt jak dzisiaj. Dla dynastii Abbasydów ogromne zagrożenie stanowili Seldżuci. Moi przodkowie obawiali się, że jeśli wyjawią kalifowi sekret, spotka ich śmierć, a on będzie mógł obdarzać długim życiem tego, kogo będzie miał ochotę, dzięki czemu stanie się żywym bogiem. Postanowili więc milczeć i czekać - wzorując się na braciach, spotkali się w tajemnicy i prowadzili długie debaty na temat tego, jak urządzić nowy świat, w którym ludzie będą żyli o wiele dłużej.

Mijały lata i oczywiście ludzie zaczęli plotkować. Moi przodkowie doszli do wniosku, że muszą się przenieść na nowe pastwiska i zacząć nowe życie. Udali się na północ. Ostatecznie osiedlili się na terytorium Jezydów.

- Munir pozdrowił mochtara lekkim skinieniem głową. - Tutaj, w tej niedostępnej dolinie.

- A im dłużej czekali, tym trudniej było im znaleźć sposób, by wyjawić swoją tajemnicę światu - raczej zauważył niż zapytał Webster.

Munir skinął głową.

- Aż do niedawna wydawało się to niemożliwe. Nasze myślenie podążało zawsze w tym kierunku, że albo wszyscy powinni mieć do tego dostęp, albo powinno to pozostać ukryte. Jednak przez stulecia cała planeta znajdowała się pod rządami egoistycznej arystokracji i bezwzględnych dyktatorów. Nie było między ludźmi braterstwa, nie było prawdziwej demo-kracji. Panowało niewolnictwo. Wybuchaly wojny, prowadzone z powodu próżności lub chciwości. Mniejszość rządziła większością. Nie żeby ta większość była jakoś specjalnie warto-

ściowa. Wydawało się, że człowiek dobrze się czuje dopiero wtedy, kiedy zadaje ból innym, kiedy robi wszystko, co możliwe, by wyrosnąć nad innych ich kosztem, nie myśląc o bólu i cierpieniu, jakie za sobą pozostawia. A my wiedzieliśmy, że coś takiego wypaczyłoby jedynie nasz dylemat i wzmocniło ludzi o podejrzanym intencjach. Powstało więc pytanie: czy człowiek zasługuje na to, by żyć dłużej, czy też raczej zadawałby tylko w ten sposób więcej bólu swoim bliźnim?

- Nie uważam, że należy wszystkich wrzucać do jednego worka - sprzeciwił się Webster. - Na ziemi żyje mnóstwo dobrych ludzi.

- Możliwe - zgodził się Munir. - Pewnie masz na ten temat lepsze informacje niż my.

Myszę jednak, że potrafisz zrozumieć naszą powściągliwość. Chciwość i egoizm wydają się głównym motorem działań ludzkości.

- Skąd wiecie tyle o zewnętrznym świecie - zapytała Mia - skoro żyjecie w tej odciętej od niego dolinie?

- To nie jest żadna utopia. Zawsze żyliśmy w ukryciu. I nie było nas wielu. Wiedzieli-

śmy, że jeśli chcemy przetrwać, musimy wymieszać się z ludźmi z zewnątrz. Zaczęliśmy więc - niewielki krąg strażników, jeśli wolelibyście tak nas nazywać - na przemian opuszczać dolinę i podróżować. Zawsze to robiliśmy. I nigdy nie zabieraliśmy ze sobą eliksiru. Zostawał

tutaj. Przemierzaliśmy różne lądy i obserwowaliśmy, jak rozwija się świat. Przywoziliśmy tutaj książki i traktaty, żeby również inni mogli się uczyć. I czekaliśmy. Od czasu do czasu spotykaliśmy kogoś wyjątkowego, kogoś, kto według naszego przekonania mógł się stać naszym silnym sojusznikiem, kto być może mógł nam pomóc znaleźć odpowiedź na pytanie, jak pokonać przeszkody uniemożliwiające nam podzielenie się tym z resztą planety. W ten sposób w czasach krucjat moim

przodkom zaimponował pewien rycerz. - Munir odwrócił się do Webstera. - Twój dziadek był jednym z wybrańców.

Webster wbił wzrok w Munira. Wydawało się, że coś analizuje, oblicza coś w głowie.

- Nie - uśmiechnął się Munir, tak jakby czytał w jego myślach. - Nie znałem go. Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie. Ale mój ojciec go znał. I zawsze czule wspominał.

- Jak was znalazł? - zapytał Webster.

- My znaleźliśmy jego - z rozbawionym wzrokiem powiedział Munir. - Przebywał w Damaszku. Rozpytywał o Uroborosa, szukał ksiąg, na których znajdował się ten symbol. Mój ojciec usłyszał o nim i go odszukał. Przyprowadził go tutaj. Chciał nam pomóc rozgłosić dobre wieści - był pełen energii i optymizmu, nie bał się sił, które mogłyby się temu sprzeciwić -

ale tej samej zimy zapadł na tyfus. Nie chciał tutaj umierać, naciskał, że musi spróbować wrócić do żony... mimo że przebywała na innym kontynencie.

Mia spojrzała na niego w zdumieniu.

- I przez te wszystkie lata udało wam się to utrzymać w sekrecie? Nikt nigdy nie uciekł od was i nie zdradził tajemnicy?

- To niewielka wioska - zauważył Munir. - Ludzie, szczególnie młodzi, potrzebują się stąd wyrwać i poznawać świat. Nie mówimy więc o tym wszystkim. Niektórzy nas opuszczają i nigdy nie wracają. Inni pojawiają się znowu po pewnym czasie, przyprawiając ze sobą osoby, które kochają. Więc czekamy. I obserwujemy. Nasze skromne życie niekoniecznie wszystkim odpowiada, ale kiedy czujemy, że jakaś osoba dotarła już do etapu, na którym w pełni zadowoli ją to, co nasza dolina ma do zaoferowania, na którym uprawa ziemi i nasz prosty sposób bycia przyniesie jej satysfakcję, na którym nie będą się czuli sfrustrowani z powodu ograniczeń narzucanych przez życie z dala od świata, wtedy - i tylko wtedy - zapraszamy ją do kręgu strażników, by dzieliła z nami nasz sekret, korzystała z jego dobrodziejstw i by go chroniła.

Mia oparła się o tył krzesła. W głowie kręciło się jej od możliwości. Spojrzała najpierw na Webstera, potem na Evelyn. Oboje mogli czytać jej w myślach, wyraźnie zresztą wypisanych na twarzy. Ojciec skinął jej lekko głową. Odwróciła się do Evelyn, która również potwierdziła swoją aprobatę.

Mia podniosła wzrok na gospodarzy i z sercem podchodzącym do gardła zapyła:

- Czy możemy wam pomóc w podzieleniu się tym sekretem ze światem?

Munir odwrócił się do żony, a potem do mochtara. Przyglądał się przez chwilę Mii, po czym uśmiechnął się uprzejmie.

- Uważasz, że świat jest już na to gotowy?

- Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek będzie - odpowiedziała Mia. - Ale jeśli zrobimy to w odpowiedni sposób... Nie rozumiem, jak moglibyśmy nie spróbować.

Munir rozważał przez chwilę jej słowa, po czym skinął głową.

- Dlaczego nie. Wracajcie do swojego świata. Uporządkujcie swoje sprawy. Upewnijcie się, że przez jakiś czas nikomu nie będzie was brakować. A potem wróćcie do nas i zostańcie z nami przez chwilę. Spędzimy razem trochę czasu, omówimy kilka rzeczy. A potem, jeżeli wszyscy się co do tego zgodzimy, może razem uda nam się to zrobić.

Mia spojrzała na rodziców.

- Co wy na to?

Na twarzy Evelyn pojawił się wyraz powagi.

- Musimy się upewnić, że klinika hakima zostanie zamknięta i że wszyscy, którzy są tam przetrzymywani, zostaną uwolnieni.

Odwróciła się do Webstera. Webster skinął głową.

- Oczywiście. Potem jednak... - zaczął, patrząc na Evelyn, ale po chwili odwrócił się do Mii. Jego oczy wypełniły się nadzieją i dumą. - Myślę, że mamy mnóstwo do nadrobienia.

Mia się uśmiechnęła. Podejrzewała, że będą mieli na to bardzo dużo czasu.

NOTA AUTORA

Żebyśmy zrozumieli nasze przeznaczenie, musi nas prowadzić nie mit rodem z przeszłości, ale wizja naszej przyszłości.

Mark B. Adams, omawiając wizjonerskie badania J. B. S. Haldane'a w dziedzinie biologii Kiedy powstawała ta książka, nikomu jeszcze nie udało się wykazać, że jest możliwe spowolnienie lub zahamowanie procesu starzenia u ludzi. To brutalna prawda. Trudno jednak zaprzeczyć, że naukowcy poczynili ostatnio wyraźne postępy w badaniach nad tym, dlaczego się starzejemy i dlaczego umieramy. Postępy te zawdzięczamy w przeważającej mierze zmianie - „przesunięciu w paradygmacie” - podejścia naukowców do problemu, która jest opisana w tej książce. Zamiast po prostu analizować symptomy zaawansowanego wieku i szukać sposobów na ich przewyciężenie - na ich łagodzenie, na reperowanie naszych ciał niszczących w ramach tego, co „apologeci umierania” uważają za nieuchronne, sądzone nam, a nawet szlachetne osuwanie się w stan niedołęstwa - zwolennicy przedłużania życia starają się przede wszystkim dojść do tego, dlaczego się starzejemy oraz w jaki sposób możemy powstrzymać ten proces, i ośmielają się twierdzić, że starzenie, jak rak lub choroby sercowo-naczyniowe, może zostać przewyciężone, że dłuższe zdrowsze życie być może nie jest taką znowu straszną perspektywą. Zajmujących się tą dziedziną naukowców czeka iście herkulesowa praca: nie tylko muszą walczyć z najbardziej kłopotliwym problemem naukowym, z jakim kiedykolwiek zetknęła się ludzkość, ale również radzić sobie z uprzedzeniami, z jakimi

zazwyczaj wiążą się badania nad długowiecznością, oraz z ostrymi atakami etyków, którzy czają się na nich z każ-

dej strony. Tym, którzy przodują w tego rodzaju trudnych, kontrowersyjnych, ale niezwykle cennych badaniach - Aubrey de Grey, Tom Kirkwood, Michael Rose, Cynthia Kenyon, Leonard Guarente, Bruce Ains, Barbara Hansen żeby wymienić jedynie kilku - należy się podziw i wsparcie. Któryś z nich może kiedyś dokonać - i nie można wykluczyć, że dokona -

odkrycia, które zakończy się ni mniej, ni więcej tylko zdefiniowaniem ludzkości na nowo.

Książkę tę dedykuję również im.

Jeśli któryś z moich czytelników jest zainteresowany poszerzeniem wiedzy z tej dziedziny, polecam mu lekturę doskonale napisanej, wszechstronnie ujmującej temat nowej książ-

ki Bryana Appleyarda *How to Live Forever or Die Trying*. Zachęcam również do zapoznania się z pozycją *The Fountain of Youth*, zbiorem wnikliwych esejów zredagowanym przez Stephena Posta i Roberta Binstocka. Ciekawym opracowaniem omawianego tematu jest również książka *The Quest for Immortality* Jaya Olshanskiego i Brucea Carnesa.

Radzę również zajrzeć do streszczenia teorii Aubrey de Grey, dokonanego przez Sherwina Nulanda w artykule *Do you want to live forever?*, dostępnym na prowadzonej przez Massachusetts Institute of Technology stronie <http://www.technologyreview.com>. Również na stronie <http://www.futurepundit.com> czytelnik znajdzie stale uzupełniane archiwum tekstów na temat starzenia.

Z kolei podróż Mii do Bejrutu w celu pracy nad projektem związanym z Fenicjanami zawdzięcza wiele Rickowi Gore'owi oraz jego pasjonującej relacji z prac Spencer Wellsa i Pierrea Zalloui, których celem było odkrycie pochodzenia Fenicjan. Zainteresowanych odsy-

łam na stronę Genographic Project, prowadzoną przez „National Geographic”

(www3.nationalgeographic.com/genographic). Mogą tam nawet dołączyć do projektu i sprawdzić swoje pochodzenie.

Jeśli chodzi o historyczne fragmenty tej książki, to na temat hrabiego de St. Germain napisano i wymyślono bardzo dużo. Osiemnasty wiek był pełen tego rodzaju zagadek, zresztą i dziś, kilkaset lat później, nazwisko hrabiego nadal spowija tajemnica. Nie ma wątpliwości, że ktoś taki istniał, co potwierdzają liczne listy i pamiętniki z epoki, spisane przez różnego rodzaju dyplomatów i arystokratów. Wspomina się w nich na przykład, że hrabia „doskonale znał się na ziołach i roślinach i wynalazł lekarstwo, którego stałe zażywanie wydłużyło jego życie i polepszyło zdrowie” O ogromną część jego legendy zawdzięczamy jednak jednemu z największych literackich fałszerstw w historii, dziełu *Souvenirs de Marie-Antoinette*, przypuszczalnie napisanemu w XIX wieku przez hrabinę d'Adhemar, swego czasu ogromnemu bestsellerowi. Czy hrabia St. Germain rzeczywiście był mistykiem, posiadaczem wielkich sekretów, człowiekiem oświeconym - jak twierdził jeden z współczesnych mu wielbicieli, „najbardziej zagadkowym ze wszystkich niepojętych”? A może był tylko błyskotliwym szarlatanem, zmyślnym oszustem, który potrafił oczarować i omamić otaczających

go łatwowiernych arystokratów?

Znacznie więcej wiemy o Raimondzie di Sangro. Na potrzeby tej opowieści potraktowałem dosyć swobodnie jego życiorys, jeśli jednak czytelnik odwiedzi kiedyś Neapol, z całego serca polecam mu wizytę w cudownej kaplicy, jaką pozostawił po sobie ten arystokrata, Capello San Severo, z jej tajemniczymi, spowitymi woalami rzeźbami, dziwną ikonografią oraz przyprawiającymi o gęsią skórę „maszynami anatomicznymi” strzegącymi wejścia do jego podziemnego laboratorium.

Od Gilgamesza do St. Germain i dalej do Aubrey de Grey i niestrudzonych pionierów usiłujących rozwiązać tę najokrutniejszą z wszystkich zagadek - tęsknota za niepoddawaniem się i długim życiem - to żadna gra słów - jest tak stara, jak sam człowiek. Nie chodzi tylko o to, że żyjemy ze świadomością nieuniknionej, nieuchronnie zbliżającej się śmierci, ale również o to, że jako jedyny gatunek mamy tego - i dźwigamy ten ciężar - świadomość. A skoro tak, to jest oczywiste, że się temu sprzeciwiamy. I nieważne, jak wiele trudności i przeszkód postawi przed nami obóz „apologetów umierania” - determinacja ta ostatecznie nad nami za-panuje. I w pewnym momencie, kiedyś, okres słabości i zniedołężnienia uda się nam w końcu w skuteczny sposób od siebie odsunąć, choć najprawdopodobniej nie na wieczność.

I nie wiem jak wy, ale ja uważam, że fajnie byłoby zobaczyć wnuki mojej córki, będąc w dodatku na tyle sprawnym, żeby któregoś dnia nauczyć je jeździć na rowerze...

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym zacząć od podziękowania mojej żonie Suellen za to, że tak hojnie dzieliła się mną z Mią, Evelyn, Corbenem oraz resztą barwnej zgrai gości, którzy towarzyszyli nam przez cały poprzedni rok. Mam dla niej dobre wieści - w momencie wydania tej książki ostatecznie opuścili nasz dom. Niestety, okazuje się, że nowa grupka właśnie dzwoniła z lotniska i jest już w drodze. Kiedy pisałem tę książkę, swoją wiedzą i czasem dzieliło się ze mną mnó-

stwo moich przyjaciół. Chciałbym za większy lub mniejszy wkład podziękować im wszystkim, a szczególnie (kolejność przypadkowa) takim osobom, jak: Mahfouz Zacharia, Nic Ran-some, Raya i Carlos Heneine, Joe i Amanda McManus, Richard Burston, Bruce Crowther, Bashar Chalabi, Tamara Chalabi, Alain Chibl, dr Amin Milki, Lauren Klee oraz całej mojej rodzinie: rodzicom, bratu Richardowi, siostrze Doris i ciotce Lillian.

Chciałbym również podziękować moim niezwykle rozsądnym i cierpliwym redaktorom - Benowi Sevierowi i Jonowi Woodowi - oraz Mitchowi Hoffmanowi, który opiekował

się tą książką ostatnio. Bez nich oraz bez pozostałych członków wspaniałych zespołów, z jakimi miałem szczęście pracować (już po raz drugi) w Dutton i w Orion, wszystko to w ogóle nie byłoby możliwe. Jestem również głęboko wdzięczny wszystkim tym, których doskonałe umiejętności i niezmiernie wysiłki sprawiły, że książka ta znalazła się na półkach i trafiła w ręce czytelników.

Wreszcie chciałbym wspomnieć o wspaniałej ekipie z William Morris Agency: Eugene Furniss, Jay Mandel, Tracy Fischer, Raffaella De Angelis i Chartolte Wasserstein. Kłaniam się nisko! Serdeczne dzięki!

Table of Contents

